

W SAMĄ PORĘ.

AUROLA
KONIEC

CYKL_AURORA_03

AMIE KAUFMAN JAY KRISTOFF

AUTORZY .ILLUMINAE FOLDER™ - BESTSELERA Z LISTY .NEW YORK TIMESA™

AURORA KONIEC

Amie Kaufman
Jay Kristoff

CYKL AURORA_03

Przełożyła
Małgorzata Strzelec

Wydawnictwo MAG
Warszawa 2024

Tytuł oryginału: *Aurora's End. The Aurora Cycle Book 3*

Text copyright © 2021 by LaRoux Industries Pty Ltd. and Neverafter Pty Ltd.

Jacket art copyright © 2021 by Charlie Bowater

Copyright for the Polish translation © 2024 by Wydawnictwo MAG

Redakcja: Urszula Okrzeja

Korekta: Magdalena Górnicka

Ilustracja na okładce: Charlie Bowater

Opracowanie graficzne okładki: Piotr Chyliński

ISBN 978-83-68069-56-3

Wydanie II

Wydawca:

Wydawnictwo MAG

Pl. Konstytucji 5/10, 00-657 Warszawa

www.mag.com.pl

Wyłączny dystrybutor:

Dressler Dublin sp. z o. o.

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

tel. 227 335 010

www.dressler.com.pl

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie *Zecer*

SPIS TREŚCI

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Co powinniście wiedzieć

Część 1. Latawiec wśród burzy.

1

2.1

2.2

2.3

2.4

3

4

5

6

7

Część 2. Dwa w jednym życiu

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

Część 3. Krzyk pośród nocy.

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

Część 4. Ujrzę cię w gwiazdach

35

36

37

38

39

Członkowie drużyny.

*Członkom drużyny,
bez których bylibyśmy całkowicie zagubieni:
Amandzie Brendanowi i teraz także Pip.*

Co powinniście wiedzieć

► Seria: Cykl Aurora

▼ Obsada

Aurora Jie-Lin O'Malley – Dziewczyna spoza czasu. Wieki temu wyruszyła razem z innymi kolonistami statkiem *Hadfield* na Octavię III. Teraz już wiemy, że to całe szczęście, że tam nie dotarła, bo coś bardzo złego, coś bardzo... botanicznego, przydarzyło się kolonistom, którzy tam dolecieli. Niestety dotyczy to także jej taty.

O nim więcej już za chwilę.

Po tym, jak dołączyła do drużyny 312, Auri zaczęła mieć prorocze sny, przejawiać zdolności telekinetyczne i, ogólnie rzecz biorąc, przemieniła się w małą, ale zdeterminowaną superbohaterkę. Dowiedziała się, że otrzymała swoje moce od Eshvarenów, tajemniczej rasy, która prawie pokonała Ra'haam wiele eonów temu.

Wiedząc, że ich pradawny wróg tylko pogrążył się we śnie, Eshvarenowie zostawili po sobie Broń i stosowny program treningowy, po którym Zapalnik do Broni byłby w stanie się nią posłużyć.

Wewnątrz Echa, parapsychofizycznej przestrzeni treningowej, Auri opanowała swoje moce i przećwiczyła też parę innych rzeczy ze swoim chłopakiem, Kalem. Wyszła z Echa gotowa pokonać Ra'haam, ale wtedy odkryła, że ktoś inny skradł Broń.

Syldrański wódz znany jako Gwiazdobójca, który także został wyszkolony do roli Zapalnika, posłużył się Bronią, żeby zniszczyć słońce swojej własnej planety i teraz grozi tym samym Ziemi. Ach, i okazało się, że to jest tata Kala. Ta rozmowa nie zakończyła się dobrze.

Ostatnio widziana: na pokładzie Broni, kryształowego statku, gdzie walczyła z Gwiazdobójcą o kontrolę nad niszczącą planetę mocą, na widok której można narobić w spodnie.

Tyler Jones – Dowódca, który został ściganym przez prawo zbiegiem. Kiedy Tyler wstąpił do Legionu Aurory, nigdy nie wyobrażał sobie, że jego drużyna będzie składała się z najgorszych odpadków Akademii. Z drugiej strony nie wyobrażał też sobie, że przyjdzie mu uciekać przed połową Galaktyki, napadać na banki i okradać wraki, już nie wspominając o tym, że miałyby się sprzymierzyć z najwredniejszą syldrańską wojowniczką, jaką ujrzały jego oczy.

Czy wspomniałam, że to siostra Kala, Saedii? Rety, ten chłopak ma naprawdę sporo trupów w szafie.

Tak czy inaczej, Tyler wykorzystał swój geniusz taktyczny i śliczne doleczki w policzkach, żeby uciec razem ze swoją drużyną z Octavii do Szmaragdowego Miasta, gdzie zwinął potężną kupę szmalu, pudełko z tajemniczymi podarkami, które zostawiono dla nich na długo przed tym, jak zaczęły się te wszystkie machinacje, oraz kluczyki do bardzo, bardzo wypasionego statku.

Kiedy właśnie wykradali czarną skrzynkę z *Hadfielda*, zostali wzięci do niewoli przez wyżej wspomnianą syldrańską wojowniczkę, Saedii. Jedną walkę z drakkanem później Ty został złapany przez Globalną Agencję Wywiadowczą (w skrócie GAW) wraz z jego nowym syldrańskim wrogiem.

Dowiedział się wielu ciekawych rzeczy, na przykład tego, jak Saedii wygląda w samej bieliźnie, oraz tego, że on i Scarlett nie są ludźmi, tak jak myśleli, bo ich matka była Syldranką i należała do Ligi Wędrowców.

Ostatnio widziany: podczas ucieczki ze swoją świeżo upieczoną (nie-)przyjaciółką, Saedii.

Kaliis Idraban Gilwraeth – Wojownik, którego nikt nie rozumie. Kal sporo ostatnio przeżył: od wzlotów, kiedy odnalazł nową rodzinę w drużynie 312 i miłość w osobie żywej broni parapsychicznej znanej jako Aurora, po bolesny upadek, kiedy odkryto, że jest synem Gwiazdobójcy, i wyrzucono go za to z drużyny.

Wygnany z powodu tego drobnuteńkiego przemilczenia – że jest synem ich największego wroga – wrócił na łono rodziny. Ale, uwaga!

Pozostał wierny Aurorze i walczył razem z nią, kiedy przybyła, żeby rozprawić się z jego ojcem.

Ostatnio widziany: podczas ataku parapsychicznego na pokładzie Broni Eshvarenów.

Scarlett Isobel Jones – Znana też jako Olśniewająca, dziewczyna, która zainstalowała moją osobowość, światło mego życia. Wie także, gdzie mam wyłącznik.

Słowa „gdyby tylko bardziej się przykładała” nie pojawiały się równie często w raportach żadnego innego kadeta w historii Akademii, jednak jej zdumiewające zdolności empatyczne (nie tak zdumiewające, kiedy już się wie, że jej matka była syldrańskim Wędrowcem, o czym Scar nie ma pojęcia) i niezachwiana lojalność wobec brata bliźniaka – Tylera – sprawiły, że przeleciała przez prawie całą Galaktykę z drużyną 312 i nawet nie złamała sobie paznokcia.

Podczas ucieczki członkowie drużyny odkryli podarki w Repozyturze Dominium, zostawione dla nich na wiele lat przed tym, jak wstąpili do Legionu Aurory. Scar dostała najlepszy: medalik ozdobiony diamentem. A diamenty, jak widać wszyscy, są najlepszymi przyjaciółmi dziewczyny.

Po tym, jak Tyler został uwięziony przez GAW, Scar i pozostali zrobili, co w ich mocy, żeby pomóc Aurorze odebrać Gwiazdobójcy Broń, ocalić Ziemię i zająć się zabiciem Ra'haam, zanim się obudzi i pożre całą Galaktykę. Bułka z masłem.

Ostatnio widziana: Właśnie miała zacząć całować się (!!!) z Finianem (!!!), ale przeszkodziło im to, że w ostatniej chwili Finian zdał sobie sprawę, że diament na jej medaliku wcale nie jest diamentem, tylko kryształem Eshvarenów (!!!).

No tak, i wtedy wszystko wybuchło.

Finian de Karran de Seel – Facet, którego naprawdę można polubić, gdy się już go lepiej pozna. Miejscowy betraskański geniusz techniczny, który wielokrotnie dowiódł swojej lojalności wobec drużyny 312.

Może nieco złagodził swój szorstki sposób bycia, ale prędzej padłby trupem, niż porzucił swoją przemądrzałość. I możliwe, że właśnie zobaczą, jak pada trupem, bo ostatnią rzeczą, jaką on, Scarlett i Zila ujrzeli pod koniec poprzedniego tomu, było oślepiające światło pośrodku gigantycznej bitwy kosmicznej, mającej na celu obronę Ziemi przed zręczliwym Gwiazdobójcą.

Ostatnio widziany: Gdy sam przeszkodził sobie w realizacji życiowego marzenia o pocałowaniu (!!!) Scarlett Jones (!!!) pod wpływem nagłego oślnienia w kwestii jej medalionu. Ten chłopak musi wreszcie przestać rzucać sobie klody pod nogi, serio mówię.

Zila Madran – To ta, która nosi kolczyki. I ma mózg wielkości planety.

Chociaż drużyna Zili przez dość długi czas uważała ją za czystej wody socjopatkę (i na ich usprawiedliwienie dodam, że okazywała bardzo niezdrową fascynację dezelatorem ustawionym na ogłuszanie), to od tego czasu dowiedzieliśmy się, że jako dziecko widziała śmierć swoich rodziców, którzy próbowali ją ochronić, i od tego czasu żyła całkiem sama w wielkiej Galaktyce.

Wykręcając naprawdę imponujący numer, żeby uratować drużynę uwięzioną na statku Saedii, przeszła od teorii do praktyki i powoli, ale w sposób nieunikniony łód zaczął tajać.

Ostatnio widziana: gdy została wysadzona na składowe cząsteczki razem ze Scarlett i Finianem podczas bitwy o Ziemię.

Catherine Brannock – Poległa towarzyszką broni. Najlepsza przyjaciółka Tylera i Scarlett, pilotka drużyny 312. Cat „Zero” Brannock była niezrównanym asem przestworzy.

Została pożarta przez Ra'haam, kiedy drużyna uciekała z Octavii, ale to nie znaczy, że już nigdy więcej jej nie zobaczyliśmy. Teraz stanowi część Ra'haam, który wykorzystał jej wiedzę w pościgu za Aurorą, Tylerem i resztą drużyny.

I nie zawaha się posłużyć także jej znajomą twarzą. Kiedy Tyler został uwięziony, to ona przesłuchiwała go jako agentka GAW.

Ostatnio widziana: gdy wystrzeliwała salwę pocisków w ulubioną twarz Tylera.

Caersan, archont Nieugiętych – W każdej rodzinie trafia się czarna owca i nie zabrakło jej też w rodzinie Kala. Warto przy tym orientować się nieco w syldrańskiej polityce.

No dobrze, zatem Syldranie dzielą się na ligi, zgadza się? Liga Zbrojnych to wojownicy (już sama nazwa to sugeruje, nie?) i kiedy Syldranie podpisali traktat pokojowy z Terranami i Betraskanami, wojownicy, cóż... woleli dalej walczyć.

Grupa Zbrojnych nazwała się Nieugiętymi i rozpętała syldrańską wojnę domową. Dowodził nimi Caersan, archont Nieugiętych znany też jako Gwiazdobójca. Dorobił się tego przydomku po tym, jak ukrał Broń Eshvarenów, którą Auri uczyła się posługiwać, i wysadził słońce własnej planety, żeby tym epickim gestem przekonać wszystkich, by nie wtrącali się do jego walki z rodakami.

Jego syn, Kal, nie chciał mieć z nim nic wspólnego i wstąpił do Legionu Aurory incognito. Przekonaliśmy się, jak to się dla niego skończyło.

Jego córka, Saedii, pozostała wierna ojcu. Kiedy razem z Tylerem została uwięziona przez GAW, Caersan wyraził się bardzo jasno, że jest gotowy wysadzić Ziemię, byle odzyskać córkę.

Saedii Gilwraeth – Przeróżająca siostrzyczka. O ile Kal opuścił Caersana razem z matką w młodym wieku, o tyle Saedii postanowiła zostać z ojcem. Teraz jest jednym z jego templariuszy, dowodzi ogromnym i przerażającym okrętem wojennym oraz znaczącą częścią jego floty.

Jest piękna, śmiertelnie niebezpieczna i nosi naszyjnik z kciuków byłych załotników, zatem lepiej dwa razy się zastanów, nim zaczniesz ją podrywać.

Po tym, jak paru Nieugiętych usłyszało imię Kala w czasie bijatyki w barze na Wiekuistym, Saedii śledziła drużynę, podążając za nią ze Szmaragdowego Miasta do wraku *Hadfielda*, gdzie udało jej się wziąć ich do niewoli. Potem był cały ten kram z walką z drakkanem i Saedii razem z Tylerem wpadli w łapy Globalnej Agencji Wywiadowczej. GAW, do której przyniknął Ra'haam, próbowała sprowokować międzyplanetarny incydent, żeby odwrócić uwagę od swoich szybko dojrzewających planet-wylęgarni. Naprawdę to wszystko jest dość skomplikowane.

Saedii niechętnie przyznaje, że Tyler okazał się względnie przydatny podczas ich ucieczki.

Ostatnio widziana: w towarzystwie Tylera Jonesa podczas próby ucieczki.

Eshvarenowie – Tajemnicza obca rasa. Wiele eonów temu Eshvarenowie walczyli z Ra'haam, żeby uniemożliwić mu przejście całego życia w Galaktyce. I udało im się.

Prawie.

Ra'haam został zmuszony do ukrycia się i czekał jakiś pierdyliard lat, by odzyskać siły.

Wiedząc, że już ich nie będzie, kiedy zacznie się druga runda, Eshvarenowie rozsiali nasiona życia w całej Galaktyce, zaludniając ją setkami różnych gatunków istot, z których wszystkie były dwunożne, oparte na węglu i zdolne komunikować się z pozostałymi, czego wcześniej nie potrafiono wyjaśnić i co stało się zarodkiem Wiary Zjednoczonej. Uczeni teraz niewątpliwie skupią się na pytaniu kto stworzył stwórców.

Znani z wyrobu pięknych kryształowych przedmiotów, elastycznego podejścia do czasu i ogólnie pojmowanej tajemniczości Eshvarenowie stworzyli Echo, gdzie Aurora, zestresowana podróżniczka w czasie zmieniła się w parapsychiczną wojowniczkę, która ma jeden jedyny cel.

Eshvarenowie powiedzieli Auri, że zdoła przywołać potrzebne jej moce tylko wtedy, jeśli wyzwoli się z więzów łączących ją z jej dawnym życiem. Jednakże Aurora ostatecznie zrozumiała, że te więzy to prawdziwy powód, dla którego chce podjąć walkę.

Ostatnio widziani: wiele eonów temu, kiedy wymierali.

Ra'haam – niepowstrzymany, zdeteminowany wróg.

Ra'haam od niepamiętnych czasów próbował przejąć Drogę Mleczną i po ostatniej wielkiej klęsce zadanej mu przez Eshvarenów, wycofał się na dwadzieścia dwa mało znane światy-wylęgarnie, gdzie jego ostatnie nasiona, jakie przetrwały, powoli odzyskiwały zdrowie ukryte pod powierzchnią planet. Nikt nie wziął pod uwagę, że uprzykrzeni Terranie skolonizują planetę Octavię, przy okazji przedwcześnie budząc Ra'haam. Ra'haam przejął ciała kolonistów (w tym niestety ojca Aurory) i posłużył się nimi, żeby przeniknąć do terrańskiego społeczeństwa.

Parę stuleci po tym, jak zostali zainfekowani, koloniści z Octavii zdobyli władzę i teraz kontrolują Globalną Agencję Wywiadowczą, przerażającą organizację od supertajnych operacji i bezpieczeństwa planetarnego.

Dowodzi nimi princeps, którego umysł jest częścią Ra'haam, ale którego ciało należy do taty Aurory.

Indywidualni agenci nie są w stanie generować zarodników, które mogą zainfekować kolejne jednostki, pilnują jedynie, żeby nikt nie zakłócał spokoju na planetach-wylęgarniach, gdzie Ra'haam prawie już odzyskał siły.

Ostatecznie te planety rozkwitną i wybuchną, rozprzestrzeniając zarodniki poprzez Fałdę na każdą zamieszkaną planetę w Galaktyce, a tam zainfekują

wszelkie inteligentne życie, które stanie się wtedy częścią wielkiej, zbiorowej inteligencji, jaką właśnie jest Ra'haam.

Polując na Aurorę i resztę drużyny 312, żeby utrzymać swój sekret, dopóki pozostałe dwadzieścia jeden planet-wylęgarni nie będzie gotowych do rozkwitu i rozsypania zarodników, Ra'haam pojmał Tylera i Saedii. To zapoczątkowało międzyplanetarny incydent, który doprowadził do tego, że Gwiazdobójca zagroził wysadzeniem Ziemi, o ile GAW nie odda mu córki, i to w tej chwili.

Ostatnio widziany: jak ścigał Tylera i Saedii, kiedy próbowali uciec. Ale tak naprawdę to jest wszędzie.

Magellan – O, cześć, to ja! Nie będę kłamał, bywało u mnie lepiej niż jest ostatnio. Przymażylem się nieco, kiedy Aurora dotknęła sondy Eshvarenów i miała mnie w kieszeni, dlatego musiałem trochę popytać, żeby zebrać dla was te wszystkie informacje. Obecnie jestem, ehm, na wsi, gdzie mam mnóstwo miejsca do biegania.

Ale może wróćę przed końcem tej historii, żeby uratować wszystkim tyłki? To brzmi jak zagranie w moim stylu...

A na razie zapinajcie pasy, moi przyjaciele, bo wracamy w sam środeczek tego bajzlu.

Pewnego razu była sobie banda zwariowanych dzieciaków, które nie chciały słuchać swojego ultrainteligentego unikronowego przyjaciela...

CZĘŚĆ 1

LATAWIEC WŚRÓD BURZY

Rzadko coś mnie zaskakuje. W każdej sytuacji kalkuluję prawdopodobieństwo wszelkich możliwych rezultatów, dzięki czemu jestem przygotowana na każdą ewentualność.

Mimo to jestem ogromnie zaskoczona, gdy odkrywam, że nadal żyję.

Przez sześć sekund stoję z rozdziawioną buzią z powodu dozanego wstrząsu i mrugam powoli powiekami. Potem przyciskam dwa palce do szyi i sprawdzam puls, który jest przyspieszony, ale niewątpliwie wyczuwalny. To sugeruje, że nie doświadczam właśnie jakiejś nieoczekiwanej wersji życia pozagrobowego.

Ciekawe.

Zerkam na ekrany kokpitu, ale to niczego mi nie wyjaśnia: nie widzę żadnych gwiazd, statków, tylko ciemność. Odruchowo sprawdzam nasze szwankujące czujniki krótkiego i dalekiego zasięgu. To przedziwne: nie widzę najmniejszych oznak potężnej bitwy, która szalała wokół nas jeszcze kilka chwil temu, zanim Broń Eshvarenów wybuchła i rozpadła się na kawałki, czyli do incydentu, jaki nie mógł się zakończyć w żaden inny sposób, jak tylko naszym spalaniem.

Chociaż to niemożliwe, cała syldrańska armada wraz z terrańską i betraskańską flotą oraz sama Broń po prostu... zniknęły.

Ciekawe?

Nie.

Niepokojące.

Pozwalam, żeby szkolenie wzięło we mnie górę, i polecam starszemu komputerowemu nawigacyjnemu na naszym syldrańskim statku skatalogować wszystkie widoczne gwiazdy, Bramy Fałdy i inne charakterystyczne miejsca lub zjawiska, żeby określić nasze obecne położenie.

Chwileczkę. Nasze.

Włączam system łączności.

– Finian, Scarlett, czy wciąż...?

– Oddychamy? – rozlega się głos Finiana. Odrobinę mu się łamie.

– Najwyraźniej tak.

Zalewa mnie fala ulgi i nie staram się temu zapobiec. Walka z takimi odczuciami jest skazana na przegraną. Lepiej pozwolić im minąć w sposób naturalny.

– Jestem w tej chwili naprawdę skonsternowanym chłopcem... – mówi Fin.

– Czy my właśnie... eksplodowaliśmy? – pyta Scarlett.

– ...Niech sprawdzę – odpowiada Fin.

Słyszę słaby pisk. Ciche westchnienie. Mija długa chwila i już mnie kusi, żeby wysłać zapytanie, kiedy Finian wreszcie się odzywa:

– Tak. Bez wątplenia nadal żyjemy.

– Badam sytuację – melduję im, kiedy rozlega się cichy sygnał nawigacji. – Nie rozłączajcie się, proszę.

Sprawdzam systemy naprowadzania i między moimi brwiami pojawia się drobna zmarszczka. Nie dość, że nigdzie nie ma śladu walnej bitwy, w której powinniśmy byli zginąć, to jeszcze nie ma ani śladu planet terrańskiego układu. Nie ma Neptuna, Urana ani Jowisza.

Właściwie to w ogóle nie wykrywam żadnych ciał niebieskich. Ani w pobliżu, ani w oddali.

Żadnych układów planetarnych.

Żadnych gwiazd.

Zostaliśmy... przeniesieni.

I nie mam pojęcia dokąd.

Ciekawe, A TAKŻE niepokojące.

Nowa ikonka wyskakuje na ekranie szwankujących czujników, wskazując, że coś znajduje się za nami. Nasze uszkodzone podczas bitwy silniki nadal nie działają, więc włączam czujniki rufowe i patrzę w rozległą połąć przestrzeni za naszą rufą.

To...

Jakby to rzec...?

Ja, ehm...

Ehm...

Przestań, legionistko!

Biorę głęboki wdech i prostuję plecy.

Nie rozumiem tego, co widzę.

Zaczynam katalogować to, co da się zaobserwować, tak jak postąpiłby każdy naukowiec.

Czujniki statku rejestrują kolosalne fluktuacje w całym spektrum grawitonowym i elektromagnetycznym, wybuchy cząstek kwantowych i rezonanse w podprzestrzeni. Jednak po włączeniu kamer rufowych ledwie cokolwiek z tego zamętu dostrzegam w widzialnym spektrum.

Właściwie to w pierwszej chwili omyłkowo zakładam, że system czujników wizualnych został uszkodzony. Wszystko jest czarne. I wtedy w oddali rozkwita blade światło, drobnutki błysk fotonów ulegających dezintegracji. W krótkim fioletoworóżowym blasku dostrzegam coś, co można opisać tylko jako...

Sztorm.

Mroczną burzę.

Jest ogromna. Rozległa na tryliardy tryliardów kilometrów. Jednakże jest całkowicie czarna, jeśli pominąć przelotne rozbłyski fotonów. Oleista kipiąca pustka tak totalna, że światło po prostu w niej umiera.

Wiem, co to jest.

– Burza – szepczę. – Burza ciemnej materii.

Już samo jej pojawienie się byłoby dostatecznie dziwne, zważywszy, że kilka chwil temu znajdowaliśmy się na obrzeżach terrańskiej przestrzeni kosmicznej, gdzie nie istnieje żadna tak przestrzenna anomalia. Widzę jednak coś jeszcze dziwniejszego. Włączam powiększenie i potwierdzam swoje podejrzenia. Za naszą sterburką srebrzy się na tle czarnej kipieli... stacja kosmiczna.

Zwalista, paskudna rzecz, ewidentnie zbudowana z myślą o funkcjonalności, a nie estetyce. Wygląda na uszkodzoną – ogromne, oślepiająco białe błyskawice wyładowań pełzają po jej powierzchni. Od najbliższej nam strony widać wyciek: paliwa albo tlenu i atmosfery, jeśli załoga stacji ma pecha. Bucha chmurką jak oddech w zimny dzień i wpada w nie-skończoną, skotłowaną ciemność.

Jeśli to terrańska stacja, to jej projekt jest dosłownie archaiczny.

Co jednak nie wyjaśnia, skąd w ogóle się tu wzięła.

Ani jak my tu trafiliśmy.

Nic z tego nie ma najmniejszego sensu.

– Zila? – To Scarlett. – Co tam się dzieje? Widzisz Broń Eshvarenów? Jaki jest aktualny stan wrogiej floty? Czy grozi nam niebezpieczeństwo?

– My... – Nie jestem pewna, jak mam odpowiedzieć na jej pytanie.

– Zila?

Od stacji ciągnie się gruby kabel z błyszczącego metalu. Długi na setki tysięcy kilometrów, wije się i faluje, ale trzyma się mocno poobijanej konstrukcji. Na jego drugim końcu, który sięga skraj kipieli ciemnej materii, rozciąga się na prostokątnej ramie ogromny srebrzysty żagiel, a jego powierzchnia migocze jak plama ropy. Wydaje się maleńki na moim podglądzie, ale sam fakt, że mogę go zobaczyć, świadczy o tym, że musi być przeogromny.

Gdybym nie miała dość rozumu, uznałabym, że to...

– Niezidentyfikowana jednostko, wtargnęliście w obszar ograniczonego dostępu w przestrzeni terrańskiej. Podajcie dane identyfikacyjne

i kody dostępu, w przeciwnym wypadku zostaniecie zestrzeleni. Macie trzydzieści sekund na odpowiedź.

Głos rozlega się z trzaskiem w kokpicie, ostry i przykro brzmiący. Tętno mi nieco rośnie, co nie pomaga.

Nie widzę drugiego statku. Skąd dobiega ten głos?

Pomijając fakt, że nie mam żadnych kodów dostępu, to nie wiem nawet, czy wzywa nas przyjaciel, czy wróg.

Chociaż faktem jest, że moja drużyna ma teraz niewielu przyjaciół.

Włączam przycisk wewnętrznej łączności i mówię pośpiesznie:

– Scarlett, przyjdź, proszę, natychmiast na mostek. Potrzebny jest dyplomata.

– Niezidentyfikowana jednostko, podajcie dane identyfikacyjne i kody dostępu, w przeciwnym wypadku zostaniecie zestrzeleni. Wobec nie zastosowania się do instrukcji wasze działania zostaną uznane za wrogie. Macie dwadzieścia sekund na odpowiedź.

Rozglądam się po przyrządach promu i wyciągam się – każdy Syldranin powyżej dwunastego roku życia jest ode mnie wyższy – żeby wcisnąć przycisk i przełączyć kanał łączności z audio na obraz. Muszę się dowiedzieć, kto się do mnie zwraca.

Twarz, która wypełnia mój ekran systemu łączności, jest zasłonięta czarnym aparatem oddechowym, gruba rura znika poza kadrem. Maskę skrywa wszystko poniżej oczu pilota, a hełm skrywa wszystko powyżej.

Patrzę na Terranina, najprawdopodobniej Azjatę, chociaż trudno określić jego wiek i płeć. Co prawda znalazłam się w dziwnej sytuacji, ale może uda mi się porozumieć z Terraninem – w końcu jesteśmy przedstawicielami tego samego gatunku.

– Proszę poczekać – mówię. – Wzywam właśnie Twarz mojej drużyny.

– Kody identyfikacyjne! – żąda pilot, mrużąc oczy. – Natychmiast!

– Zrozumiano – odpowiadam. – Nie mogę podać kodów, ale...

- To wtargnięcie w obszar ograniczonego dostępu w przestrzeni terańskiej! Macie dziesięć sekund, żeby przedstawić stosowne zezwolenia albo was zestrzele!

Wszędzie wokół mnie alarmy ozywają, światła rozbłyskują, syldrańskie symbole zapalają się, kiedy głośnik warczy na mnie. Nie rozumiem słów, ale wiem, co mówi.

- Uwaga, uwaga: jednostka została namierzona przez wyrzutnię pocisków.

- Pięć sekund!

- Proszę - nalegam. - Poczekajcie, proszę...

- Strzelam!

Patrzę na maleńką linię światła, która pojawia się na naszych czujnikach.

Nie mamy silników. Nie mamy systemu nawigacji. Nie mamy systemu obrony.

Powinniśmy już nie żyć. Powinniśmy byli spłonąć razem z Aurorą i Bronią. Uważam jednak, że to nie w porządku, że znowu musimy umrzeć.

Światło się zbliża.

- Proszę...

Pocisk w nas trafia.

Ogień rozrywa mostek.

BUM.

2.1

SCARLETT

Czarne światło płonie bielą na mojej skórze. Czuję smak otaczającego mnie dźwięku – metaliczny na moim języku, słyszę dotyk i odbieram skórą zapach, kiedy wszystko, czym jestem, byłam i będę, rozpada się i składa, i składa, i składa...

– Scar?

Otwieram oczy i widzę drugą parę oczu tuż przed sobą.

Są wielkie.

Czarne.

Ładne.

Finian.

– Czy ty właśnie...? – pytam.

– Czy to było...? – mówi Fin.

– Dziwne – mruczemy oboje.

Rozglądam się i przedziwne, upiorne uczucie déjà vu przebiega mi stadem mrówek po kręgosłupie.

Stoimy w korytarzu przed maszynownią, dokładnie tam, gdzie byliśmy minutę temu, kiedy Broń Eshvarenów wystrzeliła promień niszcycielskiej perfidii prosto w nasze ulubione twarze i rozniosła nas na drobniutkie iskierki.

A jednak – o, niezmierna radości – wbrew wszystkiemu nie jesteśmy martwi.

To dobra wiadomość z kilku powodów.

Po pierwsze, to byłoby bardzo słabe zagranie ze strony wszechświata zmarnować taki tyłek jak mój, paląc go w ognistej eksplozji w głębinach kosmosu. Serio mówię, coś takiego jak te pośladki zdarza się raz na tysiąc lat.

Po drugie, to oznacza, że chłopiec, który stoi naprzeciwko mnie, też nie jest martwy. I z dziwnego powodu to jest dla mnie o wiele ważniejsze, niż przyznałabym jeszcze kilka godzin temu.

Finian de Karran de Seel.

Zdecydowanie nie jest w moim typie. Mózgowiec, a nie mięśniak. Jego żal do świata jest równie głęboki jak rów oceaniczny. Ale jest dzielny. I bystry. I stoi tak blisko, że nie mogę nie zauważyć strzechy białych włosów, gładkiej bladej skóry i ust, które prawie pocałowałam, kiedy właśnie mieliśmy umrzeć.

Bo zrobiłabym to tylko z tego powodu.

To było pewne jak w banku, że umrzemy, nie?

Wpatrujemy się w siebie, świadomi tego, jak blisko siebie wciąż stymy. Żadne z nas się nie odsuwa. Finian patrzy mi w oczy, a ja otwieram usta, ale po raz pierwszy, odkąd sięgam pamięcią, nie mam pojęcia, co powiedzieć, i tym, co ratuje mnie przed zenującym oniemiaaniem – zwłaszcza że jedyne, w czym jestem dobra, to właśnie mówienie – jest głos Zili, który niesie się z trzaskiem przez system łączności.

– Finian, Scarlett, czy wciąż...?

– Oddychamy? – pyta Finian lekko łamiącym się głosem.

– Najwyraźniej tak.

I znowu to upiorne wrażenie, jakbym wyczuwała coś złowieszczonego przez skórę. Wrażenie, że...

– Jestem w tej chwili naprawdę skonsternowanym chłopakiem... – mówi Fin.

– Czy my przed chwilą nie... eksplodowaliśmy? – pytam.

Finian znowu patrzy mi w oczy. Czuję ten prawie-pocałunek między nami i wiem, że on też to czuje. Widzę, że zbiera się na odwagę i bierze

głęboki wdech.

- ...Niech sprawdzę - mówi.

Czuję wyładowania elektryczne, kiedy muska palcami moje opuszki. Bierze moją dłoń w swoją i wpatruje się we mnie sekundę dłużej pytającym wzrokiem. Jest absolutnie nie w moim typie, ale mimo to się nie odsuwam. Teraz pochyła się bliżej i jeszcze bliżej. I chociaż już nie grozi nam śmierć, całuje mnie - o, Stwórco - całuje mnie i ogarnia mnie piorunujące wrażenie, jakby prąd przeszył mi usta i przebiegł przez cały kręgosłup. Napieram na niego, odpowiadam na pocałunek i cała drzę, gdy jego ręce zsuwają się na moje biodra i niżej, na ten tyłek, którego wszechświat nie ważyłby się zmarnować, i ściskają go w absolutnie właściwy sposób.

Finian de Karran de Seel. No proszę, proszę.

Kto by w całej Galaktyce pomyślał, że tak znasz się na rzeczy?

Nasze usta odrywają się od siebie i pewna cząstka mojej osoby już tego żałuje. Finian odchyła się i mówi znowu przez system łączności:

- Tak - melduje. - Bez wątpienia nadal żyjemy.

- Badam sytuację - mówi Zila. - Nie rozłączajcie się, proszę.

Łączność urywa się z trzaskiem i zostajemy sami. Fin i ja nadal przyciskamy się do siebie, a pocałunek wisi między nami. Wiem, że jeśli żadne z nas się nie odezwie, to zaraz znowu zaczniemy się całować. A zważywszy na okoliczności, to pewnie nie jest najmądrzejszy pomysł.

Zerkam na jego ręce.

Aha. Nadal są na moim tyłku.

- Wiesz, kiedy Zila powiedziała, że mamy się nie rozłączać, to nie wiem, czy chodziło jej właśnie o to, de Seel.

Fin śmieje się nerwowo i zabiera ręce.

- Wybacz.

- Nie ma czego.

I znowu dopadam jego ust w krótkim i gorącym zderzeniu. Gryzę go w wargę, nim się odsunę, by wiedział, że nadal jestem głodna.

– Tyle że musimy się zorientować, co tu jest, u diabła, grane.

– Racja. – Fin bierze głęboki wdech i odsuwa się, przeczesując zakończonymi metalem palcami strzechę białych włosów. – To byłoby nie od rzeczy.

Nadal stoimy w korytarzu przed maszynownią promu, a drzwi nadal są zamknięte. Powietrze cuchnie przypaloną plastalą, sfajczonymi kablami, dymem. Zerkam przez pleksiglas i widzę, co działa elektromagnetyczne zrobiło z naszym napędem, kiedy w nas trafiło, i chociaż żaden ze mnie ekspert, jestem przekonana, że silniki nie powinny rozpadać się na pięćdziesiąt różnych kawałków.

– Potrzebujemy ich do latania – mówię.

– I kto mówi, że nie mogłabyś zostać Macherem?

– Každy instruktor z akademii, łącznie z moim opiekunem roku i szefem wydziału inżynierii.

Finian uśmiecha się znacząco i rozgląda się. Jego wzrok wędruje po suficie, po zniszczonej maszynowni. A potem zerka na moją pierś. Rozchyła lekko usta i praktycznie widzę, jak oczy mu się mgłą za szklami kontaktowymi.

Co się dzieje z chłopakami na widok moich walorów, serio pytam?

– Ej! – Pstrykam palcami. – Wiem, że są olśniewające, ale bez żartów. Skup się na swojej robocie, de Seel.

– Nie. – Puka się w gardło. – Twój medalion. Zapomniałaś?

Sięgam do szyi. Medalik, który znaleźliśmy w Repozyturze Dominium w Szmaragdowym Mieście. Na każdego z nas czekał w skarbcu podarunek, dzięki uprzejmości admirała Adamsa i nadkomendantki klanów de Stoy. Tyler dostał nowe buty, Kal pudełko na cygaretki, które uratowało mu życie. Finian dostał długopis, co go przezabawnie rozzłościło, Zila kolczyki z sokołami. A ja dostałam ten medalik z diamentem opisany słowami „Trzymaj się planu B”. Tuż przed tym, jak mieliśmy zostać rozerwani na pojedyncze molekuły, Fin zdał sobie sprawę, że to wcale nie jest diament.

– To kryształ Eshvarenów.

Owszem, to było dziwne. Znaleźliśmy już wcześniej w Faldzie kryształ Eshvarenów – sonde, która doprowadziła Auri do Echa, ale to tak naprawdę nie wyjaśnia, dlaczego dowódcy akademii dali mi medalik z takim cackiem.

I dlaczego właściwie nie jesteście martwi?

Adrenalina spowodowana śmiercią o włos i pocałunkiem o włos, a potem wywołana tym, że zdecydowanie nie zginęliśmy, ale owszem, zdecydowanie się pocałowaliśmy, zaczyna opadać i teraz trzęsą mi się ręce. Mimo to nadal wędruję wzrokiem po ciele Finiana, który rozgląda się po korytarzu z tym swoim typowym, na poły poirytowanym, na poły skonsternowanym, wyrazem twarzy, jakby wszechświat celowo postanowił przysporzyć mu kłopotów. Ma kończyny spowite srebrnym egzozszkieletem, jest błydy jak duch i mruży czarne jak smoła oczy, przechylając głowę.

– Nie narzekam, rzecz jasna... – zaczyna ostrożnie – ...ale jesteście na syldrańskim statku w środku walnej bitwy w przestrzeni terrańskiej i nie mamy silników. Nawet jeśli przetrwaliśmy wybuch Broni... to czy jakiś terrański twardeł nie powinien właśnie roznieść nas na kawałki?

Marszczę brwi i uderzam w komunikator na piersi.

– Zila? Co tam się dzieje? Widzisz Broń Eshvarenów? Jaki jest aktualny stan wrogiej floty? Czy grozi nam niebezpieczeństwo?

– My... – Głos jej się łamie.

– Zila?

Patrzę na Finiana i odbieram w nim to, co sama czuję: to mrowienie przebiegające po kręgosłupie. To uczucie, że...

– Scar, ta rozmowa wydaje mi się... okropnie znajoma.

– Wiem, co masz na myśli.

Kręci głową, marszcząc brwi.

– To zabrzmi jak wariactwo, ale mam przemożne uczucie...

– Déjà vu.

Robi zdziwioną minę.

– Co to jest, u diabła, *déjà vu*?

– Takie uczucie. Wrażenie, że powiedziałeś coś albo zrobiłeś już wcześniej.

– Ach, jasne. – Kiwa entuzjastycznie głową. – Jasne. Mam to na sto procent, ale my, Betraskanie, nazywamy to *tahk-she*.

– Aha, wiem, ale na Terrze mówimy *déjà vu*. To po francusku.

– Ani w ząb nie znam francuskiego.

– Trzymaj się mnie... – Mrugam porozumiewawczo. – to cię trochę poduczę.

Głos Zili znowu rozlega się w kanale łączności i tym razem zdradza niepokój.

– Scarlett, przyjdź, proszę, natychmiast na mostek. Potrzebny jest dyplomata.

I znowu wraca to uczucie. Wrażenie, że już to mówiliśmy, że już to przeżyliśmy chwilę temu. I co więcej, że to się kończy bardzo, bardzo źle. Wyciągam rękę. Fin łapie ją bez zastanowienia i razem biegniemy korytarzem. Egzoszkielec Fina syczy i sapie, kiedy pędzimy, nasze buty wałą o metal, gdy wbiegamy po schodach do kokpitu.

Zila siedzi w fotelu pilota i sprawia wrażenie lekko rozstrojonej, co w jej wypadku oznacza praktycznie całkowite załamanie nerwowe. Na pierwszy rzut oka wszystkie nasze systemy wizualne są martwe, na ekranach nie ma niczego poza czernią. Żadnych planet ani nawet gwiazd, co jest właściwie...

Nie, chwileczkę. Przynajmniej niektóre kamery wciąż działają. Widzę małą obskurną stację kosmiczną na jednym z ekranów. Ciągnie się od niej ciężki kabel prosto w nieskalaną ciemność.

To nie ma za grosz sensu...

Raptem kilka minut temu znajdowaliśmy się w samym środku walnej bitwy kosmicznej na obrzeżach terrańskiej przestrzeni kosmicznej.

Gdzie się podziały floty? Skąd się wzięła stacja? I dlaczego nie ma tu żadnych gwiazd?

Zila napotyka moje spojrzenie, kiedy czekam na jej wyjaśnienia, i wiem, że to brzmi jak szaleństwo, ale część mnie wie, po prostu WIE...

– Rozumiem, że ty także masz wrażenie, że ta chwila się powtarza – mówi.

– To po francusku! – wrywa się Finian.

Rozbłysk światła rozkwita na ekranach. Jest słabe, fioletoworóżowe i trwa raptem kilka sekund. Jednak mój żołądek wywija paskudnego koziołka, kiedy zdaję sobie sprawę, że tam, na zewnątrz, jest coś więcej niż tylko ciemność. Tam kotłuje się jakaś... burza. Oleista, skłębiona kolizja ciemnych macek, tak wielkich, że mój mózg się na tym załamuje.

Fin mruga.

– Czy to...?

– Burza ciemnej materii – mruczy Zila. – Zgadza się.

Zerkam na ekran łączności, czuję smak spalonego metalu na języku, świetliste syldrańskie pismo przesuwają się wśród odczytów. Widzę zdecydowanie ziemską twarz młodej Terranki, chociaż jest w większości ukryta za maską tlenową pilota i hełmem. Ma dwa romby na kołnierzyku, co znaczy, że jest porucznikiem, ale to zdecydowanie nie jest mundur Terrańskich Sił Obronnych. Moje pierwsze odczucia są takie, że niezły z niej kozak, ale w jej głosie pobrzmiwa ledwie wyczuwalna nutka niepewności.

– Słuchajcie... musicie podać swoje dane identyfikacyjne i kody dostępu. Macie dziesięć sekund.

Teoretycznie drużyna 312 jest poszukiwana za galaktyczny terrorizm, zatem postanawiam nie traktować zbyt dosłownie kwestii ujawniania naszej tożsamości. Odgarniam włosy, zamieniam się w ucieleśnienie układności i mruczę do mikrofonu:

– Nie potrafię wyrazić, jak dobrze panią widzieć, pani porucznik! Już myśleliśmy, że wpakowaliśmy się w straszną kabałę. Nasz statek jest

uszkodzony, silniki nie działają i potrzebujemy pomocy. Odbiór.

– To obszar ograniczonego dostępu – odpowiada pilotka, nadal nieco roztrzęsiona. – Jak się tu dostaliście? I czym wy, u diabła, leccie?

– To naprawdę bardzo długa historia, pani porucznik. – Uśmiecham się ciepło i przyjaźnie. – Ale stan naszego systemu podtrzymywania życia nie prezentuje się szczególnie radośnie, więc gdyby mogła pani wziąć nas na hol, to chętnie opowiem pani wszystko przy drinku.

Zapada długa pauza. Zaciskam zęby.

– W porządku – oznajmia w końcu porucznik. – Wystrzelę wam kabel holowniczy i doprowadzę was do hangaru na stacji, ale jeden niewłaściwy ruch, a wysadzę wasze tyłki bez jednej chwili wahania.

Uśmiecham się.

– To cudowna wiadomość, pani porucznik.

– Dziękujemy! – Finian pojawia się za mną i macha wesoło. – Jest pani równie mądra jak piękna!

Głos porucznik staje się lodowaty. Niewiele widać, ale orientuję się, że jej twarz skamieniała.

– Macie cholernego Betraskanina na pokładzie?

Wszędzie wokół nas alarmy ozywają, czerwone światła rozbłyskują, syldrańskie symbole zapalają się, głośnik warczy.

– Uwaga, uwaga: jednostka została namierzona przez wyrzutnię pocisków.

Na naszych czujnikach pojawia się małe światełko. Patrzę na innych bezradnie, szaleńczym wzrokiem. Nie mamy silników. Nie mamy systemu nawigacji. Nie mamy systemu obrony.

– O, cholera... – mruczę.

– Scar... – szepcze Fin.

Światełko zbliża się. Nasze palce się stykają.

– Nie bójcie się. – Zila marszczy czoło. – To nie boli tak bardzo.

– Co takiego? – pytam.

Pocisk w nas trafia.

Ogień rozrywa mostek.

BUM.

2.2

SCARLETT

Czarne światło płonie bielą na mojej skórze. Czuję smak otaczającego mnie dźwięku – metaliczny na moim języku, słyszę dotyk i odbieram skórą zapach, kiedy wszystko, czym jestem, byłam i będę, rozpada się i składa, i składa, i składa...

– Scar?

Otwieram oczy i widzę drugą parę oczu tuż przed sobą.

Są wielkie.

Czarne.

Ładne.

Finian.

– Czy ty właśnie...? – pytam.

– Czy to było...? – mówi Fin.

– Dziwne – mruczymy oboje.

Rozglądam się i przedziwne, upiorne uczucie *déjà vu* przebiega mi stadem mrówek po kręgosłupie. Stoimy w korytarzu przed maszynownią, dokładnie tam, gdzie byliśmy minutę temu, kiedy Broń Eshvarenów wystrzeliła promień niszczycielskiej perfidii prosto w nasze ulubione twarze i rozniosła nas na drobniutkie iskierki.

A jednak – o, niezmierna radości – wbrew wszystkiemu nie jesteśmy martwi.

Ale...

Chwileczkę...

Czy my przed chwilą...?

Spoglądam na Finiana, świadoma tego, jak blisko siebie stoimy. Finian patrzy mi w oczy, ale ja nie mam pojęcia, co powiedzieć. Przed żenującym oniemiением ratuje mnie Zila.

– Finian, Scarlett, czy wciąż...?

– Oddychamy? – pyta Finian lekko łamiącym się głosem.

– Najwyraźniej tak.

Znowu to uczucie. To upiorne wrażenie, jakbym wyczuwała coś złowieszczonego przez skórę. Wrażenie, że...

– Jestem w tej chwili naprawdę skonsternowanym chłopcem... – mówi Finian.

– Czy my przed chwilą nie... eksplodowaliśmy? – pytam.

Finian znowu patrzy mi w oczy. Widzę, że zbiera się na odwagę i bierze głęboki wdech.

– ...Niech sprawdzę.

Czuję wyładowania elektryczne, kiedy muska palcami moje opuszki, a potem – o, Stwórco – całuje mnie i ogarnia mnie piorunujące wrażenie, jakby prąd przeszył mi usta i...

– Przestań! – mówię, odrywając się od niego. – Nie, przestań, Fin... Czekaj...

Patrzę na niego, a on odpowiada tym samym skonsternowanym spojrzeniem, jakie pewnie ja mu posyłam, i jakimś cudem wiem doskonale, co powie.

– To zabrzmiało jak wariactwo, ale mam przemożne uczucie...

– Déjà vu.

Robi zdziwioną minę.

– To po francusku.

– Ani w ząb nie znasz francuskiego – mówię, a mój żołądek wywija koziołki.

Finian odsuwa się ode mnie, pokład jakby przesuwając się pod moimi stopami. Mam zimną grudkę lodu w brzuchu, kiedy Finian się rozgląda. Nadal stoimy w korytarzu przed maszynownią promu, powietrze wciąż

cuchnie przypaloną plastalą, sfajczonymi kablami, dymem. Zerkam przez pleksiglas i znowu widzę, co zostało z naszych silników, i wiem, że żaden ze mnie ekspert, ale to miejsce, ta rozmowa, jakimś cudem...

- Co tu jest, u diabła, grane, Fin?

Marszczy bardzo mocno czoło.

- Już to robiliśmy.

- Ale to... to niemożliwe...

Fin unosi jasną brew i mimo wszystko udaje mu się uśmiechnąć.

- Scar, uwierz mi, kiedy ci powiem, że wyobrażałem sobie całowanie ciebie dostatecznie często, by zorientować się, gdy przydarzy mi się dwa razy tego samego dnia.

Głos rozlega się w systemie łączności.

- Scarlett? Finian?

- Zila?

- U was... wszystko w porządku?

- Nie mam zielonego pojęcia. - Fin zaciska zęby i zaraz odzywa się z większym przekonaniem: - Słuchaj... to może zabrzmieć naprawdę dziwnie, ale czy przypadkiem nie widzisz właśnie na ekranie starej, poobijanej stacji kosmicznej? Burzy ciemnej materii? I czy terrański myśliwiec właśnie grozi, że rozniesie nas na smętne kawałeczki?

- Rozumiem, że wy także odnosicie wrażenie, że ta chwila się powtarza.

Fin patrzy na mnie i zaciska usta w wąską linię.

- Na oddech Stwórcy... - szepczę.

- Zaraz przyjdziemy - mówi do Zili Fin.

Adrenalina spowodowana śmiercią o włos i pocałunkiem o włos, a potem wywołana tym, że zdecydowanie nie zginęliśmy, ale owszem, zdecydowanie się pocałowaliśmy, ustępuje wrażeniu całkowitego nieprawdopodobieństwa tego, co się dzieje. Nogi mam jak z galarety, mózg brzęczy mi w czaszce. Wyciągam rękę do Fina i razem biegniemy korytarzem do kokpitu. Znowu zastajemy Zilę w fotelu pilota i znowu spr-

wia wrażenie lekko rozstrojonej. Znowu na naszych ekranach widzę obskurną stację kosmiczną pośród morza bezgwiezdnej ciemności i gniewną Terrankę.

Znowu.

Znowu!

Jednakże tym razem w głosie pilotki zamiast drobniuteńkiej nutki niepewności rozbrzmiewa najszczerze zdumienie.

– Co tu, u diabła, jest grane?

Zila patrzy na Finiana, przygryzając długie, kręcone pasmo włosów.

– Temporalne zniekształcenie? – sugeruje Fin.

– Nie jestem w stanie wywnioskować żadnego innego stosownego wyjaśnienia – odpowiada Zila.

– O, chooolera – szepcze Fin. – Efekt uroborosa?

– To tylko teoria. – Nasz pokładowy Mózg kręci głową, zerka na stację. Rozbłysk fioletowawego światła pojawia się wśród burzy. – I mimo naszych zajęć z mechaniki temporalnej powiedziałabym, że to nieprawdopodobne.

– Słuchajcie... – odzywam się, piorunując oboje wzrokiem – ...jedyne zajęcia z temporalnej mechaniki, na jakich byłam, spędziłam, flirtując z Jeremym i Jonathanem McClainami...

(Były chłopak nr 35 i nr 36. Plusy: bliźnięta jednojajowe, zatem jeden równie przystojny jak i drugi. Minusy: bliźnięta jednojajowe, wobec tego łatwo ich pomylić w ciemności. Ups).

– ...i na wypadek gdybyście to przegapili, tu jest bardzo wkurzona pilotka...

Kanał łączności ożywa i Terranka wchodzi mi w słowo:

– Znajdujecie się w obszarze ograniczonego dostępu w przestrzeni terrańskiej – odzywa się wyżej wspomniana pilotka. – Macie piętnaście sekund na przesłanie kodów identyfikacyjnych albo otworzę ogień!

– Wygląda na to, że doświadczamy temporalnego zaburzenia, Scarlett – wyjaśnia mi Zila. – Ty, ja, Finian i nasz statek... chociaż brzmi to

naprawdę przedziwnie... przeżywamy wciąż kilka tych samych minut.

– Dziesięć sekund!

– To pętla czasowa, Scar – wyjaśnia mi Fin. – Znaleźliśmy się w jakieś pętli czasowej.

– Która kończy się naszą śmiercią. – Zila kiwa głową. – I zaraz powraca do chwili, kiedy tu przybywamy. Jak uroboros. Wąż z mitologii starożytnych Egipcjan i Greków, który pożera własny ogon.

Krzywię się.

– To niemożliwe.

– To nadzwyczaj mało prawdopodobne – zgadza się Zila. – Ale kiedy odrzucisz wszystkie niemożliwe wyjaśnienia, to, co pozostaje, nawet jeśli wydaje się nad wyraz mało prawdopodobne...

– Zostaliście ostrzeżeni! – warczy pilotka. – Otwieram ogień!

Wszędzie wokół nas alarmy ożywają, światła rozbłyskują, syldrańskie symbole zapalają się, głośnik warczy.

– Uwaga, uwaga: jednostka została namierzona przez wyrzutnię pocisków.

Małe światełko pojawia się na naszych czujnikach. Patrzą na pozostałych. Nie mamy silników. Nie mamy systemu nawigacji. Nie mamy systemu obrony.

– Nie bójcie się – mówi Zila.

– To nie boli tak bardzo – mruczy Fin.

Wyciągam do niego rękę, strach sprawia, że żołądek mi się zaciska.

– Lepiej, żebyście się nie mylili – szepczę.

– Na wypadek gdybym jednak się mylił... masz ochotę jeszcze trochę się ze mną pocałować?

BUM.

2.3

SCARLETT

Czarne światło płonie. Czuję smak otaczającego mnie dźwięku, kiedy wszystko, czym jestem, byłam i będę, rozpada się i składa, i składa, i składa...

– Scar?

Otwieram oczy i widzę drugą parę oczu tuż przed sobą.

Finian.

– Co...? – pytam.

– ...jest...? – mówi Fin.

– Kurwa – mruczemy oboje.

Rozglądam się i znowu wrażenie *déjà vu* powraca mrowieniem na kręgosłupie. Znowu stoimy przed maszynownią. I, o niezmierną radości, wbrew wszystkiemu nie jesteśmy martwi.

Znowu.

Patrzę na Finiana i chociaż to wszystko jest niemożliwe, nadal jestem świadoma tego, jak blisko siebie stoimy. Maaaleńka cząstka mnie jest świadoma tego, że ostatnim razem, kiedy to robiliśmy, ten błady, piękny chłopiec pocałował mnie za jakieś pięć sekund od tego momentu. Jednak reszta mnie, ta rozsądna reszta, wrzeszczy na moje kobiece części, żeby wsadziły mordę w kubeł, bo kogo obchodzi, co się stało, kiedy robiliśmy to poprzednim razem. Drogie Jajniki, rzecz w tym, że JUŻ TO ROBILIŚMY!

– Co tu jest, u diabła, grane, Finian? – szepczę.

– Finian? – rozlega się głos. – Scarlett?

Fin uderza w komunikator i rzuca szybko:

– Jesteśmy, Zila.

– Znowu – dodaję.

– Sugerowałabym, żebyście przyszli tutaj. Szybko.

Nieprawdopodobieństwo tego wszystkiego sprawia, że nogi mam jak z galarety, a mózg brzęczy mi w czaszce, kiedy Fin łapie mnie za rękę i biegniemy korytarzem do kokpitu. Znowu zastajemy Zilę w fotelu pilota, widzimy skłębioną ciemność, przelotne rozbłyski światła, stację kosmiczną. Wszystko jest takie samo jak wcześniej, kiedy robiliśmy to już wcześniej, bo, na oddech Stwórcy, my to już robiliśmy, naprawdę JUŻ to robiliśmy.

Tyle że tym razem...

– Gdzie jest pilotka? – pyta Fin. – Terranka, która nas wysadza?

– Tam jest jej statek. – Zila kiwa głową. – Widzę go na czujnikach. Nie zainicjowała jednak kontaktu radiowego.

– Czekajcie... – Patrzę na Zilę i Fina, a mózg pracuje mi na takich obrotach, że zaczyna mnie głowa boleć. – Wy... chyba powiedzieliście, że znajdujemy się w pętli czasowej.

– To najbardziej prawdopodobny wniosek, zważywszy na dostępne nam dane.

– To czy pilotka nie powinna właśnie wrzeszczeć na nas, domagając się kodów? Nie powinna stale robić tego samego?

Zila żuje pasemko włosów, wpatrując się w maleńki punkcik na naszych czujnikach. Wypisuje coś szybko na migoczącej konsoli, mrużąc pod nosem.

– Ciekawe.

Alarmy ożywają, światła rozbłyskują, syldrańskie symbole zapalają się, głośnik warczy.

– Uwaga, uwaga: jednostka została namierzona przez wyrzutnię pocisków.

– Och, na miłość Stwórcy, tylko nie znowu to samo... – mrużę.

Wyciągam rękę po dłoń Finiana.

Patrzy mi w oczy i ściska mocno moją rękę.

Zila wpatruje się w myśliwca na czujnikach, nadal żując pasemko włosów.

- Naprawdę bardzo ciekawe.

BUM.

2.4

SCARLETT

Czarne światło, kiedy wszystko rozpada się i składa, i składa, i składa, i składa...

– Scar?

Finian.

Patrzę mu w oczy, kiedy światła przygasają. Alarmy ozywają, znajome już warczenie dobywa się z głośnika i żołądek zaciska mi się w punkcik.

– Uwaga, uwaga: jednostka została namierzona przez wyrzutnię pocisków.

– W porządku – wzdycham. – Oficjalnie mam dość dzisiejszego dnia.

– Scarlett? Finian?

– Jesteśmy, Zila.

– Pilotka znowu szykuje się do strzału. Tym razem nawet szybciej.

– Słuchaj! – syczę przez system łączności, starając się nie wrzasnąć, aż mój głos rozpada się na milion kawałeczków razem z resztą mojej osoby. – Może i nie studiowałam fizyki temporalnej, może jestem głupia, ale jeśli ugrzęźliśmy w pętli, to czy wszystko wokół nas nie powinno rozgrywać się dokładnie tak samo?

– Moje odczyty na temat stacji są spójne – odpowiada Zila. – Grawitacyjne rozbłyski w burzy, sygnatury energetyczne, fluktuacje kwantowe... wszystko w tym scenariuszu za każdym razem wygląda identycznie.

Elektryczność się skrzy, kiedy Fin muska moje palce opuszkami.

– Wiesz, że nie jesteś głupia – mówi do mnie. – Nie wiem, dlaczego tak o sobie mówisz.

Patrzę na szary metal, który nas otacza. Rozbłyskujące światła odbijające się w wielkich, ładnych oczach chłopca, który trzyma mnie za rękę. I wtedy to do mnie dociera.

Bo owszem, może i nie jestem Mózgiem w tej drużynie, ale jeśli ugrzęźliśmy w pętli i za każdym razem zachowujemy się inaczej, i nagrzana pilotka też zachowuje się za każdym razem inaczej, to istnieje tylko jedno wyjaśnienie.

Odrzuć to, co niemożliwe.

Cokolwiek zostanie, bez względu na to, jak bardzo wydaje się nieprawdopodobne, musi być prawdą.

– Pilotka też ugrzęźła w pętli – mówię.

– Jesteś czymś więcej niż tylko śliczną Twarzą. – Fin się uśmiecha.

– Doceniłam tę grę słówek.

Uśmiech mu odrobinę rzędzie, gdy patrzę na jego usta. Przyciskam do nich swoje wagi, a on odwzajemnia pocałunek. Uznaję, że są gorsze sposoby, żeby umierać raz za razem i w kółko.

BUM.

- TYLER!

Ściany wokół mnie są tęczami.

Ziemia trzęsie się pod moimi nogami.

Mam krew w ustach, cień wznosi się nad moją głową tak ogromny i ciemny, że wiem, że połknie całą Galaktykę, jeśli na to pozwolę.

Nie mogę na to pozwolić...

Syldrańska dziewczyna klęczy nade mną, kalejdoskop światła za nią wygląda jak aureola. Jest piękna. Promienna. Młodsza ode mnie, ale jakimś sposobem starsza, jej oczy są fioletowe, a włosy wyglądają jak złote nici. I wiem, że znaczy dla mnie wszystko, chociaż nie bardzo wiem, dlaczego.

- TYLER!

Głos niesie się echem z mojej przeszłości prosto w moją przyszłość – kolejna dziewczyna, którą kiedyś znałem, ale nigdy tak naprawdę nie poznałem, krzyczy na mnie spoza granic czasu i śmierci.

Wiem, że próbuje mi powiedzieć coś ważnego, ale syldrańska dziewczyna przede mną wyciąga ręce, które są całe we krwi (mojej krwi) i teraz te złote włosy ociekają czerwienią i...

- ...nadal masz szansę, by to wszystko naprawić, Tylerze Jones...

- Ja nie...

- Tylerze Jones.

Może już nic nam nie zostać.

Nie zostało już nic, co ja...

– Tylerze Jones!

Otwieram oczy i włócznie jasnego światła wbijają mi się w czaszkę. Krzywię się do postaci nade mną.

Syldranka, taka jak ta z mojego snu, piękna i promienna. Jednak o ile tamta miała włosy złote jak światło gwiazd, to ta ma czarne jak noc. Pas farby w tym samym kolorze pokrywa jej oczy i lśni na wykrzywionych ustach.

– Nareszcie się obudził – mówi Saedii, unosząc lekko brew. – Już się zastanawiałam, czy zamierzasz przespać całą wojnę.

W głowie mi dzwoni, światła są za jasne, dudnienie silników niesie się przez med-koję, na której leżę. Mam dermoplastr na rękę, metaliczny posmak stymulantów w ustach, w powietrzu unosi się zapach antyseptyków. Przy oddychaniu czuję lekki ból.

Dociera do mnie, że znajduję się na statku. Czarny metal. Syldrański projekt. Jednak światła są szare, a nie czerwone, więc lecimy przez Fałdę...

– Na oddech S-stwórcy. – Kaszłę. – C-co się stało...?

– To nie jest oczywiste? – Saedii odchyła się w krzesło, unosi nogi i opiera ostry obcas długich czarnych butów na sąsiedniej koi. – Prawie umarłeś, Tylerze Jones.

– Gdzie jestem?

– Na pokładzie mojego statku. *Shika'ari*. A ściślej... – Rozgląda się szybko, odrzuca gruby czarny warkocz na plecy. – W każdym razie teraz to mój statek.

– Ostatnie, co pamiętam... to bitwa na *Kusanagim*. – Opieram się na łokciu, a w głowie mi dudni, jakbym miał tam tarabany. – Wydostaliśmy się z naszej celi. Twój ludzie zaatakowali.

Krzywię się znowu, wydarzenia pamiętam jak przez mgłę, dziwny sen nadal rozlega się echem w mojej głowie. Mam wrażenie, że rozjechał mnie grawifrachtowiec.

„...nadal masz szansę, by to wszystko naprawić...”

– Ewakuowaliśmy się... w kapsułach ratunkowych?

– Terrańskie tchórze z *Kusanagiego* strzeliły do twojej kapsuły. – Saedii uśmiecha się szyderczo, błyska jeden z jej zaostrzonych kłów. – Ja jednak byłam już wtedy na pokładzie *Shika'ari*. Nasz system obrony przechwycił pocisk, zanim trafił w ciebie. Wybuch nastąpił jednak na tyle blisko, że uszkodził twoją kapsułę, zniszczył system podtrzymywania życia. Niewiele brakowało, żebyś umarł, zanim cię odzyskaliśmy.

Unosi czarną, ostro zarysowaną brew.

– Niemniej odzyskaliśmy cię.

Patrzę w jej obwiedzione czarną kreską oczy, których ciemnofioletowe tęczęwki zmieniły się w szare. Ma ostre rysy, idealnie symetryczną twarz, zimną i władczą.

– Uratowałaś mi życie.

Odpowiada skinieniem głowy.

– Tak jak ty uratowałeś moje.

Wyczuwam wtedy dotyk jej myśli. Niepewny, jakby chciała się upewnić, że wszystko, czego doświadczyliśmy w celi i na pokładzie *Kusanagiego*, wydarzyło się naprawdę. Świadomość, że w moich żyłach płynie syldrańska krew, tkwi jak odłamek lodu w moim umyśle. Myśli o matce Wędrowczyni, o której mój ojciec nigdy mi nie powiedział, kłębią się jak dym.

Przypominam sobie inne fakty, którymi się podzieliliśmy. Jej własne pochodzenie, imię jej ojca. Kłamstwo, które usłyszałem od jej brata. Jednak zanim zdążę za bardzo się wściec na wspomnienie o zdradzie przyjaciela, myśli o Kalu przypominają mi o Auri, a potem o Scarlett i...

– Ziemia – syczę, siadając. – Nieugięci walczą z Ziemią.

– Tak.

– Musimy ich powstrzymać! Wojna w Galaktyce to właśnie to, czego chce Ra'haam!

Saedii wzrusza ramionami, zaciska czarne usta.

– Wobec tego los ci sprzyja.

– No dobrze, gdzie, u diabła, jesteśmy? – Wstaję z łóżka, w głowie mi się kręci. – Musimy...

Saedii również wstaje. Jest tak wysoka, że stoimy prawie oko w oko. Kładzie rękę na mojej piersi i powstrzymuje mnie. Czuję zapach jej włosów – aromat wyprawionej skóry, kwiatów lias, wymieszany ze szczypłą krwi. Przypominam sobie, jak przycisnęła usta do mojego policzka na pożegnanie. Wyraz jej oczu, jej głos w moim umyśle, gdy osłaniałem jej ucieczkę.

Masz odwagę, Tylerze Jones. Twoja krew jest prawdziwa.

– Wycofujemy się ze względów taktycznych – mówi Saedii. – Walka z *Kusanagim* wiele nas kosztowała. Tylko *Shika'ari* i drugi z naszych krążowników przetrwały. Oba są poważnie uszkodzone.

– Muszę skontaktować się z moimi ludźmi w dowództwie Legionu Aurory – upieram się. – Z admirałem Adamsem i nadkomendantką klanów de Stoy. Los całej Galaktyki...

– Powinieneś martwić się własnym losem, Terraninie, a nie Galaktyki. – Jej palce na mojej piersi naciskają nieco mocniej. – W końcu w tej chwili jesteś moim jeńcem. A twoi ludzie nie okazali mi zbyt wiele gościnności, kiedy znajdowałam się pod ich pieczą. Cały mój sztab uważa, że powinnam była pozwolić ci umrzeć w kapsule.

Powracam myślami do ostatnich minut mojej ucieczki. Konfrontacja w pobliżu kapsuł. Oczy, kiedyś brązowe, a teraz niebieskie, wwiercające się we mnie spojrzenie. Umysł mojego wroga, głos przyjaciółki błagającej, bym został.

„Tyler, nie odchodź...”.

Cat...

„Kocham cię, Tylerze”.

Saedii patrzy mi w oczy pytająco. Nadal trzyma rękę na mojej piersi. Czuję ciepło jej skóry przesączające się przez terrański mundur, który ukradłem. Ona miała czas, żeby się ponownie przebrać w barwy Nieugiętych: wyraziste czarne linie, pod nimi jeszcze bardziej wyraziste kształty. Nadal mógłbym przypomnieć sobie, jak wyglądała w samej bie-

liźnie w schowku, gdybym zechciał, ale rozpaczliwie staram się o tym nie myśleć, bo najwyraźniej ci, którzy mają krew Wędrowców, potrafią słyszeć swoje myśli, a ostatnie, o czym powinienem teraz myśleć, to...

– Co się stało z *Kusanagim*? – pytam.

– Wycofał się poważnie uszkodzony. – Saedii przechyla głowę. – Co cię to obchodzi?

– Na tym statku byli Terranie – odpowiadam. – Moi ludzie.

– To nimi się przejmujesz? Czy swoją ukochaną?

„Tyler, nie odchodź...”.

– Cat nie jest moją...

– Była.

Kiwam głową, przelękając ślinę.

– Ale to już nie jest Cat.

– Hmm.

Saedii przysuwa się bardziej, kołysze się jak wąż, obserwując mnie przez firankę czarnych długich rzęs. Mogę to wyczuć w niej, gdybym spróbował – podniecenie walką, z której dopiero co uciekliśmy, zapachem krwi, dymu i ognia. Sprawia wręcz wrażenie... pijanej tym doznaniem. Wiem, że jest teraz mnóstwo dużo ważniejszych rzeczy, ale część mnie nie potrafi zignorować faktu, jaka jest piękna. Przypominam sobie, jak wyglądała, gdy walczyliśmy ramię w ramię, płomień w jej oczach, dudnienie krwi w moich żyłach.

Saedii przyciska palce do mojej piersi.

– My, Zbrojni, mamy takie powiedzenie, Tylerze Jones. *Anai la'to. A'le sénu.*

– Nie mówię po syldrańsku. – Krzywię się, gdy jej paznokcie, długie i czarne, przyciskają się mocno do mojej skóry. – A to boli.

– Żyj dzisiaj – tłumaczy. – Jutro umrzemy. – Przesuwa paznokciami po mojej piersi, zaczepiając nimi o materiał. – My, którzy narodziliśmy się na wojny, uczymy się nie marnować czasu na rzeczy trywialne. Pustka wie, kiedy skończy się nasz czas.

Kiwam głową, myśląc o wszystkim, tylko nie o jej ciele przyciskającym się teraz do mojego.

– My też mamy takie powiedzenie. *Carpe diem*. Chwytaj dzień.

Saedii wykrzywia czarne usta w uśmiechu.

– Nasze jest lepsze.

Krzywię się, gdy jej paznokcie wbijają się mocniej w moją skórę.

– Przestań.

– Zmusz mnie.

– Nie żartuję – warczę, odpychając ją.

Kiedy jej dotykam, ona porusza się i w okamgnieniu łapie mnie za nadgarstek.

Prawie krzyczę z powodu nagłego bólu w ramieniu, zapominam o dudnieniu w głowie, kiedy próbuje założyć mi dźwignię. Wyrrywam się i cofam, unosząc rękę.

– Saedii, co, u diabła...?

Ona jednak zbliża się, zanim skończę mówić. Jej uśmiech zamienia się w szyderyczy grymas, gdy markuje cios w moją twarz. Niemal szybciej, niż jestem w stanie to zobaczyć, łapie mnie za ramiona i unosi kolana, celując między moje nogi.

Na całe moje szczęście, Saedii wykonała ten manewr już kilka razy. Pewnie, moje klejnoty nie czuły wtedy, że mają szczęście, ale cóż, człowiek żyje, człowiek się uczy. Pamięć mięśniowa robi swoje i odruchowo blokuje jej atak.

– Oszalałaś? – pytam ostro.

Bierze zamach pięścią, żeby mnie uderzyć, ale ja przenoszę ciężar z nogi na nogę i obracam się w bok. Pozwalam, żeby załatwił ją jej własny pęd, uderzam ją w plecy i Saedii wpada na ścianę. Obraca się wściekła.

Kopie mnie w splot słoneczny. Koziółkuję przez mied-koję, uderzam o podłogę. Stękam, gdy na mojej piersi ląduje coś ciężkiego.

Saedii siedzi na mnie okrakiem, przyszpilając mi ręce do połogi. Jej warkocze opadają czarną zasłoną wokół twarzy, kiedy pochyla się, oddychając chrapliwie. Widzę fioletową plamę na jej bladej skórze i ze zgrozą orientuję się, że rozkwaśła sobie usta.

– Och, na oddech Stwórcy, przepraszam...

Słowa zamierają mi na wargach, kiedy bez żadnego ostrzeżenia miażdży je własnymi ustami.

Jakieś tysiąc myśli przebiega mi przez czaszkę jednocześnie. Przypominam sobie, że to jest dziewczyna, która dla zabawy nosi na szyi odcięte kciuki byłych zalotników. Urodzona wojowniczką, wychowana dla rozlewu krwi, córka samego Gwiazdobójcy. Przypominam sobie, że Nieugięci toczą wojnę z Ziemią i teoretycznie jestem tu jeńcem, że Saedii mnie więzi i jest moim wrogiem. Na zewnątrz toczy się wojna na galaktyczną skalę, a ja leżę, mając na sobie dwa metry syldrańskiej księżniczki.

Kłopot w tym, że mam na sobie dwa metry syldrańskiej księżniczki i związku z tym wszystkie inne myśli nie mają szansy się przebić.

Pocałunek Saedii jest wygłodniały, jej palce mocno zaciskają mi się na nadgarstkach, gdy napiera na mnie całym ciałem. Łapię się na tym, że odwzajemniam jej pocałunek, a jej uczucia, myśli, jej pożądanie, zalewają mnie i napędzają moje własne. Jej warkocze opadają na moje policzki, biodra ocierają się o moje łędzwie. Saedii zasysa moją dolną wargę i gryzie. Mocno.

– Auć! – syczę, odsuwając się. – Co jest z tobą nie t...

Znowu mnie całuje, na poły śmiejąc się, na poły warcząc. Czuję teraz smak krwi, jej i swojej, ból przeszywa moją rozciętą wargę.

– Złaż ze mnie!

– Zmuś mnie.

– Mówię serio!

– Ja też, Tylerze J...

Łapie gwałtownie powietrze, gdy wyrywam się i ją odpycham, ale porusza się jak żywe srebro i znowu wpada na mnie, sięga pazurami do gardła. Siłujemy się, sycząc, krwawiąc, turlając się po podłodze. Jest silna, smukła, wije się jak wąż w moim uścisku, ale wreszcie łapię ją za nadgarstki i przyszpilam do podłogi, unieruchamiając swoim ciężarem.

– Na oddech Stwórcy, czy ty się wreszcie uspokoisz?! – ryczę.

Saedii leży pode mną potargana. Oczy jej płoną. Obejmuje mnie nogami i wyciąga się, żeby zlizać mi krew z podbródka. Czuję jej myśli niosące się echem w mojej czaszce, kiedy wykrzywia usta w mrocznym, szelmowskim uśmiechu.

Uspokoilibym się, gdybyś rzeczywiście tego chciał.

Łapię gwałtownie powietrze, gdy rzuca się do mojej szyi i jej zęby rozcinają mi skórę.

Ale ty wcale tego nie chcesz, prawda, Tylerze Jones?

Zaciska mocniej nogi, bardziej mnie przyciągając. Wiem, że to szaleństwo, ale wiem też, że była w mojej głowie przez cały ten czas. Dosłownie czyta mi w myślach i... ma rację.

Saedii śmieje się, nasze usta znowu się zderzają. Wykręca ręce tak, żeby się uwolnić, i wsuwa je pod moją koszulę, przesuwając paznokciami po skórze. Całuje mnie, jakby umierała z głodu, jej głód przelewa się we mnie, topi każdą inną myśl w mojej głowie. Nasze ręce wędrują wszędzie. Saedii zrywa ze mnie koszulę i przed pytaniem, jak daleko by to zaszło, ratuje nas słaba wibracja pod moją prawą ręką.

– Ehm...

Odsuwamy się. Serce mi wali. Patrząc jej w oczy, cofam niechętnie ręce.

– Myślę... że to do ciebie.

Saedii z westchnieniem uderza w srebrny komunikator na piersi.

– Melduj.

Widzicie, rzecz w tym, że wcześniej trochę jakby skłamałem. Nie mówię po syldrańsku tak płynnie jak Scar, ale dostatecznie dobrze, żeby

załapać główny sens tej rozmowy. Odzyskuję oddech, oblizuję rozciętą wargę i słucham głosu jej przybocznego, cichego i metalicznie rezonującego. Myślę, że prosi o wybaczenie za to, że jej przeszkadza, ale Saedii mu przerywa:

– Erien – warczy z błyskiem w oku. – Mów.

Słyszę kilka słów, które znam dostatecznie dobrze. Wiadomość. Bitwa. Terra.

Saedii napotyka moje spojrzenie. Przypominamy sobie, że nasi ludzie walczą ze sobą, i to powoli zmienia atmosferę. Przestaje mnie obejmować długimi nogami w pasie, a ja wyplątuje się z jej uścisku, siadam na zimnej metalowej podłodze. Przeczesałem palcami włosy i zdaję sobie sprawę, że dłoń mi drży.

Czuję jej krew na ustach.

Saedii pyta o wieści na temat ojca. Odpowiedź rwie się, a Saedii wstaje jednym zręcznym, węzowym ruchem. Wyłapuję takie słowa jak „brak cierpliwości” i „zagadki”. Znowu pyta o Gwiazdobójcę.

Jedyne słowo, jakie rozumiem z odpowiedzi, to „przeпадł”.

Serce mi rośnie, gdy to słyszę. Niewiarygodne. Niemożliwe. Myśl skrzy się między nami, kiedy Saedii otwiera szeroko oczy, że może jakimś cudem, wbrew wszystkiemu, mężczyzna, który zniszczył ojczyzną planetę Syldran...

– Przeпадł? – syczy po syldrańsku z niedowierzaniem. – Nie żyje?

Odpowiedź jest przecząca. Wychwytyuję słowa „konsternacja” i „odwrót”. Lawina słów na temat Terran i Betraskan, i...

– Niech cię Pustka pochłonie, Erien, mów! – żąda Saedii.

Pierwszy paladyn prosi o wybaczenie i znowu mówi. Kiedy Saedii patrzy mi w oczy, słyszę trzy słowa. Na dźwięk których zamiera mi serce. Słowa, które mogą oznaczać koniec wszystkiego.

Gwiazdobójca.

Broń.

Zniknęli.

Siedzę w sali odpraw z trzynastoma Nieugiętymi wojownikami i jestem pewien jedynie tego, że co najmniej dwunastu z nich chce mnie zabić.

Szczerze mówiąc, co do Saedii też nie mam pewności.

Kiedy uparłem się, żeby pozwoliła mi wziąć udział w naradzie swojego sztabu, byłem pewien, że mi odmówi. W końcu teoretycznie jestem tu więźniem. Kimś obcym. Wrogiem. Kazała mi zostać w łóżku i odpoczywać.

– Jestem w połowie Syldraninem – przypomniałem jej. – Wiem więcej o naszym prawdziwym wrogu niż ktokolwiek tu obecny. Nieugiętych wykorzystano, a ja wiem, kto pociągał za sznurki. Łóżko to ostatnie miejsce, w jakim teraz chcę wylądować.

Przyjrzała mi się z namysłem, otarła krew z ust. Wspomnienie... pocałunku/walki/czegokolwiek, co wydarzyło się między nami, nadal wisiało w powietrzu. Mógłbym znowu poczuć jej ciało przy swoim, gdybym zechciał. Oboje wiemy, że mój tekst o łóżku jest tylko w połowie prawdziwy...

– To nie jest jakiś terrański jacht wycieczkowy, którym kieruje banda tchórzy i mięczaków – ostrzegła mnie. – To krążownik wojenny Nieugiętych. Załoga potraktuje cię w najlepszym razie z pogardą. W najgorszym z żadną krwią wrogością.

– Nie sądziłem, że się przejmujesz, templariuszko.

Zmrużyła wtedy oczy. Saedii jest pod każdym względem równie dobrym taktikiem jak ja. Widzi pułapkę, jaką zastawiłem, i za żadne

skarby nie przyzna, że choćby w najmniejszym stopniu przejmuje się moim losem. Dlatego tylko prychnęła, odrzuciła na plecy warkocze i wyszła z pokoju, a ja pokuśtykałem za nią.

Tyler Jones: 1

Saedii Gilwraeth: 0

Powietrze jest gęste od napięcia w sali odpraw, czerwone światło poszarzało z powodu Fałdy. Holoraporty z głównych kanałów informacyjnych w całej Galaktyce wyświetlają się na ścianach, setki z każdej sieci, ale dźwięk ściszone, żeby Nieugięci mogli swobodnie rozmawiać. Klęczą przy owalnym stole wyrzeźbionym z ciemnego drewna lias. Saedii zajmuje miejsce przy jednym końcu w otoczeniu swoich oficerów, a naprzeciwko klęczy Erien, jej przyboczny.

Ja siedzę pod ścianą, ssąc przygryzioną wargę.

Pamiętam przybocznego Saedii – Eriena – z czasu, kiedy pierwszy raz byłem uwięziony na pokładzie *Andarael*. Jej pierwszy paladyn jest wysoki i smukły, piękną twarz szpeci mu blizna pod okiem, w kształcie haka. Nosi sznur obciętych syldrańskich uszu przy pasie. Otacza go grupa weteranów z licznymi szramami i młodych byczków wypełnionych ogniem i gniewem. Wszyscy są ciężko uzbrojeni i ubrani w piękne czarne zbroje ozdobione eleganckimi syldrańskimi znakami. Sposób upięcia włosów świadczy o ich randze: im więcej warkoczy, tym wyżej stoją. Na każdym gładkim czole widnieje syldrański symbol Ligi Zbrojnych: trzy przecinające się ostrza.

Atmosfera, która tu panuje, jest... dziwna. Jakbym obserwował stado tygrysów ludożerców odprawiających ceremonię parzenia herbaty. Za każdym słowem i gestem kryje się wyważona wrogość. Mam wrażenie, że w każdej chwili może dojść do rozlewu krwi, ale dwa wzmacniane żelazem kable wiążą tych ludzi ze sobą.

Po pierwsze, rzecz jasna, wszyscy są Nieugiętymi.

Więź między nimi została wykuta w walce, której nigdy nie zrozumie ktoś, kto nie walczył o życie. Kiedy powierzasz drugiej osobie własny los, wierząc, że będzie cię osłaniać podczas walki, kiedy razem zabijacie

i krwawicie, to stajecie się czymś więcej niż rodziną. I kiedy rozglądam się po sali, to właśnie tu widzę: ludzi, których łączy coś więcej niż krew – więź wykuta w ogniu walki, która trwa całe życie.

A po drugie wiąże ich sama Saedii.

Widzę, że każdy Zbrojny w tej sali ją kocha. Nienawidzi jej. Boi się jej. Czci ją.

Nawet gdyby nie była córką największego archonta Nieugiętych, to widziałem, jak Saedii walczy, zarówno wręcz, jak i dowodząc statkiem. Wiem, że nie zdobyła miejsca u szczytu tego stołu, bo jest ukochaną córeczką tatusia. Zdobyła je, usuwając tego, kto je przed nią zajmował.

Kiedy razem weszliśmy do sali, dwanaście par oczu popatrzyło na mnie jak na przystawkę. Wystarczyło jedno słowo Saedii i wszyscy skupili się na aktualnych sprawach. Wygląda jednak na to, że sprawy przybrały fatalny obrót.

Tak jak powiedziałem, nie mówię po syldrańsku tak dobrze jak Scar, ale dostatecznie, żeby wychwytywać po kilka słów. Słuchając sztabu Saedii, widząc zatrzęsienie wiadomości na ścianach, zaczynam składać w całość obraz tego, co dokładnie wydarzyło się podczas bitwy o Terrę.

Potężna flota Nieugiętych, większa niż wszystko, co widziano od upadku Syldry, zgromadziła się tuż za granicą terrańskiej przestrzeni.

Flota terrańska odpowiedziała mobilizacją własnych sił.

Betraskanie zjawili się z pomocą jako sojusznicy Terran.

Archont Caersan zażądał zwrotu córki.

Przez dwa lata Terra chodziła na paluszkach wokół Nieugiętych. Nasza ostatnia wojna z Syldranami trwała ponad dwadzieścia lat, więc rozpaczliwie pragnęliśmy uniknąć następnej. Przymknęliśmy nawet oko na to, że Caersan zniszczył syldrańskie słońce.

Jednakże TerraRząd nie wiedział, że GAW aresztowała Saedii. W końcu tak naprawdę to Ra'haam ją uwięził, żeby sprowokować kłopoty. Dlatego rząd nie mógł spełnić żądania Gwiazdobójcy i zwrócić mu

córki. Zamiast tego uprzejmie poprosił, żeby zmiatał z jego progę i pocałował ich w rufę.

Caersanowi to się nie spodobało.

Oglądam teraz nagranie z bitwy i serce mi rośnie za każdym razem, gdy widzę masywną kryształową włócznie w tęczy kolorach, wielką jak miasto. Kiedy Nieugięci, Terranie i Betraskanie walczą, Broń sunie przez krwawą bitwę jak rekin, pulsując energią. W wiadomościach nazywają statek „superbronią Nieugiętych”. Jednak po tym, co Saedii powiedziała mi na pokładzie *Kusanagiego*, doskonale wiem, że to wcale nie jest syldrańska broń.

Została stworzona wiele eonów temu przez istoty, które walczyły z Ra’haam ostatni raz, kiedy próbował pożreć Galaktykę. Pradawni, Eshvarenowie w jakiś sposób stali za wszystkim, co się wydarzyło, odkąd wyciągnąłem Auri z kriokapsuły – a mam wrażenie, że miało to miejsce w poprzednim życiu.

Serce mnie boli na myśl o Auri. Zastanawiam się, gdzie jest moja siostra i reszta drużyny 312, modłę się do Stwórcy, żeby nic im nie było, żeby nie dali się wciągnąć w to szaleństwo. Jednak chociaż odsuwanie tych myśli na bok boli, to prawda jest taka, że mamy poważniejsze problemy. Ponieważ raz za razem widzę w wiadomościach, jak Broń, *Neridaa*, ostatnia nadzieja na pokonanie Ra’haam, jaką Eshvarenowie zostawili Galaktyce, rozbłyśnie niczym nowe słońce pośród bitwy. Impuls, jaki wysyła, unieruchamia wszystkie statki w otoczeniu, a potem...

Broń znika, jakby nigdy jej tam nie było.

Nikt nie wie, co się stało. Dlaczego zniknęła i gdzie się podziała. Jednak zniknięcie Gwiazdobjęcy, połączone z wybuchem mocy, jaki temu towarzyszył, przyhamowało walkę.

Nieugięci zaprzestali ataku. Zdziętkowane floty terrańskie i betrańskańskie wycofały się na pozycje obronne. Po paru kolejnych godzinach pełnego napięcia impasu Nieugięci wycofali się przez Bramę Fałdy i zniknęli z układu.

– Odwrót – mówi wdzięczna kobieta w czarnej zbroi paladyna.

– *De'sai* – warczy inny Syldranin.

To słowo znaczy „wstydy” po syldrańsku. Widzę, jak niesie się po sali, połowa zebranych pomrukuje zgodnie, druga jest niepewna.

Żeby tacy wojownicy choć rozważali możliwość odwrotu... Zaczynam rozumieć, ile Caersan dla nich znaczył. To nie jest po prostu ich przywódca. To ojciec, człowiek, który ocalił ich przed hańbiącym pokojem z Ziemią, przed „słabeuszami” w syldrańskiej radzie. Jego zniknięcie ścięło ich jak nóż wbity w serce.

Szczerzą zaostrzone zęby. Padają ostre słowa. Wychwytyuję niektóre: „niepokoje”, „templariusze” i „zamach stanu”. Jeden z młodszych paladynów wali pięścią w stół. W przypadku Syldranina taki wybuch jest nie do pomyślenia.

Potem odzywa się Saedii.

Mówi spokojnie. Ostro. Zimno. Słowa takie jak „honor” i „zemsta”, „ojciec” oraz „prawda”. Rozumiem, co im mówi. Saedii zamierza spotkać się z armadą Nieugiętych, przejąć dowodzenie, wrócić do Układu Słonecznego i dowiedzieć się, co się stało z Gwiazdobjącą.

Jej głos łagodzi napięcie.

To księżniczka Nieugiętych, która zasiada na pustym tronie króla. Jednak...

– To błąd, Saedii – odzywam się w końcu i wzdycham.

Oczy wszystkich kierują się na mnie.

Paladyn o stalowoszarych włosach piorunuje mnie wzrokiem, sięga po piękne, posrebrzane ostrza *kaat*, skrzyżowane na jego plecach. Mówi po terrańsku płynnie, chociaż z wyrazistym syldrańskim akcentem.

– Śmiesz w taki sposób odzywać się do templariuszki Nieugiętych, *so'vaoti*?

– Właśnie. – Bystrooka kobieta patrzy na mnie rozeźlona, a potem zerka na Saedii. – Kim jest ten śmieć, którego wywlekliśmy z brzucha Pustki, templariuszko?

Odpowiadam, zanim Saedii zdąży się odezwać.

- Nazywam się Tyler Jones. Syn Jericho Jonesa.

Widzę, że moje nazwisko robi wrażenie.

Zanim wstąpił do senatu i zaczął walczyć o pokój, mój tata walczył z Sylدرانami i doprowadził do impasu. Przytarł im nosa jak nikt inny przez całą terrańsko-sylدرانską wojnę.

- I jeśli już chcemy tak się rozliczać, to ja uratowałem waszej templariuszce życie, kiedy *Andarael* oberwała od *Kusanagiego* - dodaje. - A potem wyciągnąłem ją z celi więziennej, nim zamęczyliby ją torturami na śmierć. Nie zauważyłem, żeby ktokolwiek z was pojawił się tam z pomocą.

Erien szczyrzy zęby. Kły ma ostre jak szpileczki.

- Powiniennem obciąć ci język, ty terrański szczeniaku.

- Może powiniennem obciąć mi tylko połowę? - Wskazuję na usta. - Chyba że sylدرانską połowę też zamierzasz wyciąć?

Mruży wtedy oczy. Zerka na Saedii, która kiwa głową. Świadomość, że mam sylدرانską krew, dociera powoli do zgromadzonych.

- Oczywiście zakładając, że dasz radę choćby położyć na mnie rękę, wielkoludzie. - Pochyliam się trochę bliżej, ściągając z powrotem spójrzenie Eriena na siebie. - A może zapomniałeś, że to także ja zabiłem bez żadnej pomocy drakkana?

W porządku, zwykle nie należę do tych gości, co przy pierwszej okazji porównują sobie z innymi długość fujarki. Zwykle wolę, żeby moje czyny mówiły za mnie. Jednak doskonale wiem, że Nieugięci szanują siłę. Przekonanie. A nade wszystko odwagę. Gapię się na Eriena, powierze gotuje się między nami, aż stojący obok niego młodszy mężczyzna dotyka jego ręki. Dotyk trwa zaledwie sekundę. Patrzą po sobie i coś się kryje w tym spojrzeniu.

- *Be'shmai* - mruczy młodszy mężczyzna. - *Osh*.

Erien kieruje wzrok na Saedii.

- Może - mówi ona, oblizując pękniętą wargę - zechcesz wyjaśnić, jaki błąd popełniam.

Posyłam jej uśmiech z dołączkami.

– A już myślałem, że nie zapytasz.

– Nie pytam. Rozkazuję.

Krzywi się. Ciemne włosy opadają jej na policzki, kiedy opuszcza podbródek. Widzę jednak po błysku jej oczu, migotaniu myśli, że Saedii jest niemal... rozbawiona.

Dociera do mnie, że templariuszka Nieugiętych nie potrzebuje pochlebców. Żaden dobry przywódca ich nie potrzebuje. Saedii lubi walkę. Lubi wyzwania. I widząc, jak jej wzrok powraca do moich dołączków, wiem, że je też lubi.

I powiedzmy sobie szczerze, kto by ją winił?

Tyler Jones: 2

Saedii Gilwraeth: 0

Erien piorunuje mnie wzrokiem, kiedy odwracam się do zalewu obrazów wyświetlanych na ścianach. Mrużę oczy, aż znajduję te, których potrzebuję, i je wskazuję.

– Wiadomości z GNN-7. Możesz je powiększyć?

Jeden z paladynów zerka na Saedii, która udziela zgody drobnym ruchem ręki. Obraz powiększa się i zajmuje większość ściany. Raport przedstawia Chellerianin, jego niebieska skóra jest szara z powodu Fałdy. Nawet w czarno-białym wydaniu ma olśniewający uśmiech, a jego garnitur wygląda na rzecz wartą tyle, ile wynosi produkt krajowy brutto małego księżycy. Imię i nazwisko Lyrann Balkarri przesuwają się pod jego obrazem, a za nimi nagłówki w tuzinie różnych języków. Wiadomości są ponure.

– Rigelscy powstańcy w chelleriańskich posiadłościach w sektorze Colaris – czyta nagłówek Saedii, unosząc brew. – Co z tego?

– Spór o Colaris między Rigelczykami a Chellerianami toczył się przez ostatnie pięćdziesiąt lat. Chelleriański konsulat dopiero co wynegocjował zawieszenie broni po dziesięciu latach rozmów. A teraz Rigel nagle zaczyna wysadzać chelleriańskie statki?

Odwracam się do kolejnego ekranu.

– I jeszcze to. Powiększ te. – Wskazuję kolejne wiadomości. – I te.

To drobne rzeczy i jeśli się nie uważało, to łatwo je przegapić pośród hałasu i zamieszania związanego z atakiem Nieugiętych na Terrę. Jednak są ich dziesiątki. A ja naprawdę uważam.

Ishtarrski statek z kolonizatorami został zaatakowany i zniszczony przez gremy w Fałdzie.

Trójstronna wojna pograniczna między No'olah, Antarrskim Kolektywem, i Shearr, która przysłała na siedem lat, nagle znowu ożywa.

Trzech najwyższych urzędników Dominium zostało zamordowanych przez agentów jego głównego konkurenta – Pakt Shen.

– Incydenty służące odwróceniu uwagi – mówię, rozglądając się po zebranych. – Prowokacje, które mają wciągnąć tuzin różnych ras w tuzin różnych konfliktów. – Patrzą na Saedii. Malinki na mojej szyi pieką mnie pod wpływem potu. – Tak jak nasze porwanie wciągnęło Nieugiętych w wojnę z Ziemią i Traskiem.

– Wojna z Ziemią nigdy się dla nas nie skończyła, Terraninie – warczy Erien. – Po prostu byliśmy zajęci inną ofiarą.

Ignoruję go, patrząc w oczy Saedii.

– Wiesz, kto za tym stoi.

– Ten... Ra'haam, o którym mówiłeś.

– Przeniknął do GAW, która ma swoich agentów w każdym sektorze galaktyki. – Macham ręką na wiadomości, starając się nie brzmieć jak świr snujący teorie spiskowe. – Wystarczy chwilę poplanować, żeby to wszystko zaaranżować. A Ra'haam planował od stuleci. Chce, żeby w Galaktyce rozpętała się wojna, która zaangażuje i zajmie wszystkich. Wtedy nikt nie spostrzeże prawdziwego zagrożenia, zanim będzie za późno.

Zaczyna się rozmowa między Saedii i jej sztabem po syldrańsku. Pytania. Krótkie wyjaśnienie na temat Ra'haam', Eshvarenów i Broni.

Wyczuwam ich sceptycyzm, widzę pogardę, z jaką na mnie patrzą. Saedii może zajrzeć mi do głowy. Wie, że mówię prawdę.

Mimo to...

– Zielsko pleniące się gdzieś w cieniu to nie nasze zamartwienie – oznajmia. – Zaginiony archont to nasze zamartwienie.

– To jedno i to samo, Saedii.

Bębni palcami o stół. Oczy jej rozbłyskują.

– Rozumiem, że masz jakiś plan, który wykracza poza porykiwanie jak zagubione *bâshii*?

– Dowódcy Legionu Aurory – mówię, ignorując złośliwy przytyk. –

Oni coś wiedzą. Moje buty? Zagłuszacz, który w nich ukryto i który pozwolił nam uciec z celi? Czekają na mnie dziesięć lat w skarbcu Dominium. Umieściło je tam dowództwo Legionu, zanim wstąpiłem do akademii.

– Sugerujesz, że mamy pobiec do Terran i prosić o pomoc? – szydzi Erien.

– Legion Aurory zachowuje neutralność – upieram się. – Nie toczycie z nami wojny. Gdybym mógł porozmawiać z Adamsem albo de Stoy, dowiedzieć się, co wiedzą...

– Ziemia to nasz wróg – ucina Saedii. – Trask to nasz wróg.

– Cała galaktyka będzie twoim wrogiem, jeśli na to pozwolisz.

– Pozwolę? – Uśmiecha się, przesuwając językiem po zębach. – Będę tym zachwycona.

– Ostrza tępieją, gdy pozostają w pochwie, mieszańcu – mówi mi jeden z weteranów. – Gdybyś był czystej krwi, mógłbyś to zrozumieć.

– *Aanta da'si kai* – mruczy inny.

„Urodziliśmy się dla wojny”.

Wzdycham, kręcą głową, patrząc na Saedii. Ona uśmiecha się szerzej. Dociera do mnie, że jest zachwycona. To ją podnieca. Walka. Spór. Tych ludzi nauczono widzieć w konflikcie drogę do perfekcji. Może dlatego lubi mnie trzymać pod ręką.

Widzę, jak jej wzrok przesuwają się na malinki na mojej szyi. Wyczuwam jej głód w głowie. To jednak nie jest gra, a ja jestem wyczerpany, boję się o moją siostrę, przyjaciół i mam wrażenie, że biegnę od wieków, a nie pokonałem nawet jednego cala.

A najgorsze jest to, że wyczuwam tamten sen – ten, który mnie obudził. Nadal powtarza się echem w mojej czaszce, aż pokój zaczyna się wokół mnie kręcić. Przyciskam rękę do obolałego czoła.

Ściany wokół mnie mają kolor tęczy.

Ziemia trzęsie się pod moimi nogami.

– Źle wyglądasz, Terraninie – mówi Saedii.

Opuszczam rękę i warczę.

– Nic mi nie jest.

Uśmiecha się tak szeroko, że widzę zaostrome zęby przy końcach jej szczęki.

– Jeśli chcesz wrócić do łóżka...

– Zapomnij o mnie – mówię, tracąc cierpliwość. – Dajesz Ra'haam to, czego on chce. On tobą pogrywa.

– Nie jestem niczym pionkiem.

– To nie zachowuj się jak pionek. Jesteś na to za mądra.

– I jestem mądrzejsza od ciebie. Nie zapominaj, kto cię więzi.

– A czyim więźniem nadal byś była, gdyby nie ja?

– Uratowałeś nie tylko moją, ale i własną skórę. – Saedii przechyliła głowę i patrzy mi w oczy. – Nie myśl, że dzięki temu coś dla siebie uzyskasz.

– Nie proszę o nic dla siebie – warczę. – Proszę tylko, żebyś nie zachowywała się jak idiotka.

Rozbawienie Saedii znika. Alarm rozlega się w mojej głowie.

Faul techniczny. Jeden punkt karny.

Tyler Jones: 2

Saedii Gilwraeth: 1

Ups, za daleko...

Temperatura wokół mnie spada o kilka stopni. Migotanie umysłu Saedii w moim własnym nagle gaśnie, jakby zatrzasnęła między nami żelazne drzwi. Zerkając na pierwszego paladyna, mówi:

– Wygląda na to, że nasz gość zmęczył się, Erienie. – Odrzuca warkocz na plecy. – Dopilnuj, żeby bezpiecznie dotarł do właściwych kwater.

– Saedii...

– Twoja wola, templariuszko.

Saedii odwraca się do pozostałych członków załogi i zaczyna wydawać rozkazy po syldrańsku. Ja patrzę jednak na Eriena, który podnosi się i staje nade mną. Jego piękna twarz jest jak wycięta z kamienia, zniekształcona przez szramę. Srebrne włosy nosi zaplecione w siedem grubych warkoczy, z których każdy jest ozdobiony syldrańskim uchem.

– Rusz się – mówi.

Patrzę na Saedii. Ona jednak udaje teraz, że mnie nie widzi, jej umysł zamknął się dla mnie. Nie powinienem był pozwolić, żeby poniósł mnie gniew. To było głupie. Zagnałem ją w kozi róg, więc odpowiedziała atakiem.

W czasie mi dudni, zamykam oczy i wstaję. Powietrze wibruje dźwiękiem silników i coraz silniejszym nurtem galaktycznej wojny. W moim umyśle nadal niesie się echo głosu ze snu.

„...nadal masz szansę, by to wszystko naprawić...”

Nie widzę jednak w jaki sposób.

Stwórcu, dopomóż, bo nie mam pojęcia, w jaki sposób.

Terrańska pilotka wysadza nas jeszcze trzy razy, nim wreszcie się podaje. Za każdym razem Scar i ja pojawiajemy się w korytarzu przed maszynownią. Za każdym razem Scarlett przyciska usta do moich, kiedy wybuchamy jako rozgrzana do białości kula plazmy.

Może to przejaw jakiejś sprawiedliwości dziejowej – kiedy wreszcie mogę pocałować Scarlett Jones, rzeczywistość imploduje, bo to jest zbyt nieprawdopodobne.

Jednakże po ośmiu razach, kiedy nasza nowa przyjaciółka pociąga za cyngiel, Scarlett i ja ponownie materializujemy się przed maszynownią. Czekamy na to co nieuniknione, ale nic się nie dzieje. Alarmy nie wrzeszczą. Nie słychać ostrzeżeń przed nadlatującym pociskiem. Nic.

Scar przechyla głowę. Czeką.

– Nie zabija nas – mruczy.

– Postęp! – Szczerzę zęby w uśmiechu jak skończony idiota.

Nie tylko dlatego, że nie zostaliśmy wysadzeni, jeśli mam być szczery.

Scar próbuje zmusić się do uśmiechu, ale widzę, że jest nieźle wstrząśnięta. Prawdę mówiąc, nie mogę mieć o to do niej pretensji. W ostatnich kilku tygodniach dziewczyna straciła najlepszą przyjaciółkę, brata, a teraz najwyraźniej całą rzeczywistość.

Sięgam po jej dłoń i zaciskam palce, ściskam delikatnie.

– Wiem, że to szaleństwo – mówię cicho. – Mnie też to przeraża, ale cokolwiek tu się dzieje, rozgryziemy to, jasne?

Tym razem lepiej radzi sobie z uśmiechem i mimo całego otaczającego nas szaleństwa serce szybciej mi bije na ten widok.

Stwórco, jaka ona jest piękna.

Scarlett przysuwa się i całuje mnie delikatnie w usta.

– Jesteś słodki.

– Nie mów nikomu. Muszę dbać o moją reputację przemądrzałego dupka.

– Chodź, mądralo – mówi z uśmiechem. – Zobaczmy się z naszym Mózgiem.

Biegniemy razem na mostek i zastajemy Zilę przy sterach. Wbija wzrok w uszkodzone tęczowe wyświetlacze, zaciskając usta.

– Raport sytuacyjny? – pyta rzeczowo Scar, idąc wzdłuż kokpitu. Przez chwilę brzmi jak jej brat.

Nasz Mózg nie odrywa wzroku od monitorów.

– Nasze koordynaty są dokładnie takie same jak podczas pierwszych ośmiu razy. Znajdujemy się kilkaset tysięcy kilometrów od gigantycznej burzy ciemnej materii. Na podstawie nielicznych przelotnie spostrzeżonych gwiazd nasz komputer nawigacyjny wyliczył, że znajdujemy się w okolicy Sigma Arcanis.

– Ale przecież byliśmy w Układzie Słonecznym. – Scar patrzy na potężną połączoną nieskazitelnej czerni, która rozbłyskuje czasem dziwnym światłem. Jest bledsza niż zwykle. – Jak się tu przenieśliśmy?

– Nie wiem, ale zamierzam się dowiedzieć. – Zila puka w urządzenie na nadgarstku. – Ustawiłam czasomierz. Musimy zebrać jak najwięcej informacji na temat tych cykli. Właśnie minęły cztery minuty i sześć sekund.

– A co z naszą rwącą się do strzelania znajomą? – pytam.

Zila zerka na monitor, jakby umyślnie ją zirytował.

– Tym razem nie nawiązała kontaktu radiowego, ale tak, jak domyśliła się Scarlett, bez względu na naturę tej temporalnej anomalii, działania pilotki wskazują, że również ich doświadcza.

Wszyscy wzdrygamy się, kiedy układ sterowania syczy przed Zilą. Ten statek był stary, kiedy Wędrowcy nam go dali, a ostatnie doświadczenia nie poprawiły jego stanu.

– Stacja kosmiczna, burza ciemnej materii za nią i zewnętrzne odczyty są identyczne – mówi Zila. – Jedyne zmienne w tym równaniu to najwyraźniej nasze i jej działania. Prawdopodobnie uznała, że palenie nas jest bezowocne, a to dobra nowina. Szaleństwo z definicji to powtarzanie tego samego działania i oczekiwanie innego skutku.

– To już postęp – mruczy Scarlett. – Jeśli wie, że dzieje się coś dziwnego z nami wszystkimi, możemy spróbować się dogadać.

– Musimy zmienić podejście – orzeka Zila. – Finian, co myślisz o naszym otoczeniu?

Powstrzymuję chęć zbycia tego żartem, bo nie mamy na to czasu. Nasza przyjaciółka MacStrzelba może lada moment zacząć ostrzalać. Wiem, że nie ma sensu wyglądać przez okna, bo jedną z zasadniczych cech ciemnej materii jest to, że nie da się zobaczyć jej samej, a jedynie jej wpływ na to, co ją otacza. Zerkam więc na nawalające ekrany i napływające dane.

– Burza jest naprawdę ogromna. Jedna z największych, jakie w życiu widziałem. Grawitonowe, elektromagnetyczne i kwantowe fluktuacje wychodzą poza wszelkie skale. Jesteśmy jednak dostatecznie daleko, by nie odczuć żadnych jej skutków. Chyba.

– A stacja kosmiczna?

Zerkam na obrazy z kamer.

– Sam nie wiem. Nigdy nie widziałem czegoś takiego.

– To terrańska stacja – mruczy Zila. – Tak samo jak pilotka, która nas wzywała. Jednak projekt jest archaiczny. I stacja jest poważnie uszkodzona. Myślę, że traci plazmę z rdzenia.

– Czyli jeśli to jest jej dom, to ma poważniejsze kłopoty niż my.

Zila nie patrzy na mnie, a trybiki w jej wielgachnym mózgu obracają się z pełną prędkością.

– Co myślisz o żaglu w burzy?

Wzruszam ramionami, przyglądając się potężnemu kablowi, który ciągnie się od stacji, i małyemu prostokątowi na obrzeżach burzy.

– No wiesz, to wygląda jak żagiel kwantowy.

– Co takiego? – pyta Scarlett, rzucając mi wyzywające spojrzenie: „Tylko spróbuj zasugerować, że robiłam sobie manicure podczas wykładu w akademii”.

Nie zamierzam sprawiać jej przykrości w jakikolwiek sposób, więc odpowiadam bardzo dyplomatycznie:

– To jeden z tych idiotycznych pomysłów, jakich wy, Ziemiaki, chwytaście się w czasach, kiedy nawiązaliście kontakt z Betraskanami. Dopiero po wojnie wyjaśniliśmy wam, jak bardzo błędziście. Opieraliście się na teorii, że można pozyskać energię z burzy ciemnej materii.

Scarlett mruga, patrząc na mnie tępo, co sugeruje, że owszem, kiedy wykładano jej podstawy astrometrii, to malowała sobie paznokcie.

I to w wielkim skupieniu.

– Słuchaj, ciemna materia to zasadniczo grawitacyjny klej, który trzyma galaktykę w kupie, jasne? A kiedy jej strumienie zderzą się ze sobą, otrzymasz różnego rodzaju szalone *chakki* dziejące się na poziomie subatomowym. Te światła, które tam widzisz, to ciemne impulsy kwantowe. W jednym takim rozbłysku jest więcej energii niż w wybuchu supernowej. Wy, Terranie, myśleliście, że zdołacie nad tą energią zapanować. – Wzruszam ramionami. – Teoretycznie to brzmi dobrze, ale w rzeczywistości ciemna energia impulsów kwantowych jest zbyt niestabilna. W dodatku ciemna energia zaczyna robić naprawdę niebezpieczne rzeczy, gdy się ją próbuje zamknąć w ograniczonej przestrzeni. Zatem to rzeczywiście wygląda jak żagiel kwantowy, ale to nie może być żagiel kwantowy, bo Terranie nie są już tak głupi.

Zila wpatruje się w ekran, żując w zamyśleniu pasmo włosów. Scarlett siada obok niej w fotelu.

– No dobrze, zapomnijmy na razie o potężnym przestrzennym dziwactwie nieopodal, bo wciąż musimy zorientować się, co tu się dzieje –

mówi Scar, przewracając do mnie oczami. – Wprowadźmy małą zmianę. Jeśli pilotka nie chce do nas zagadać, to może my się do niej odezwiemy.

Zila podaje jej częstotliwość i nasza Twarz przez chwilę majstruje przy systemie łączności. Ja wpatruję się w potężną burzę pulsującej ciemności i maleńką stację, która znajduje się na jej obrzeżach. Ze zdumieniem.

– Uwaga, terrańska jednostko. Uwaga, terrańska jednostko. Czy mnie słyszysz?

Bez odpowiedzi. Zila i ja patrzymy po sobie, podczas gdy Scar próbuje znowu.

– Słuchaj, wiemy, że to brzmi jak szaleństwo, ale domyślam się, że w tej chwili ta sytuacja wydaje ci się paskudnie znajoma. A zważywszy, że nie strzelasz już do nas, to pewnie zaczynasz się domyślać, że nasza czwórka jakimś cudem tkwi w tym bałaganie razem. Czymkolwiek ten bałagan jest. Co powiesz na to, żebyśmy wspólnie spróbowali to wyjaśnić?

Znowu cisza. Scarlett przemawia swoim najlepszym Głosem Rozsądku.

– Pewnie jesteś równie przestraszona jak my. Chcemy tylko porozmawiać, dobrze?

Nadal nic. Impuls ciemnej energii oświetla burzę, intensywnie fioletoworóżowy pośród kłębiących się pasm bezdennej czerni. Już zaczynam się zastanawiać, czy może Scar nie spotkała jedynej osoby w Galaktyce, która oprze się jej czarowi, kiedy ekran rozbłyśnie i pojawia się zamaskowana twardzielka. Mrużąc oczy, rzuca nam śmiercionośne spojrzenie klasy piątej.

Tym razem uważniej jej się przyglądam i zauważam, że właściwie wygląda na dość młodą, niewiele starszą od nas. I nie sprawia wrażenia takiej twardej. Jeśli już, to wygląda na jeszcze bardziej przerażoną od nas.

– Cześć – mówi Scar i posyła dziewczynie swój najlepszy uśmiech. – Naprawdę musimy przestać się spotykać w takich okolicznościach.

Nasza nowa przyjaciółka piorunuje ją wzrokiem w bardzo nieprzyjazny sposób.

– Co tu, u diabła, jest grane?

– Dobrze pytanie – odpowiada Scarlett, nadal cała w uśmiechach, co jest dobrym pomysłem, bo Twardzielka wciąż ma broń, a my żadnej. – Powiedziałabym wręcz, że doskonale i warte przedyskutowania. Mogę zaproponować, żebyśmy spróbowali odpowiedzieć na nie wspólnie? Bo bardzo chcielibyśmy uniknąć ponownego umierania.

Sekundy upływają, a z twarzy zamaskowanej dziewczyny nie da się niczego wyczytać. Jednak wreszcie słyszymy przeraźliwy huk i cały prom się trzęsie. Po naszym kadłubie niesie się kolejne potężne grzmotnięcie i prawie się przewracam. Muszę wyciągnąć ręce, żeby złapać równowagę.

– Na oddech Stwórcy, ona znowu do nas strzela?

– Nie. – Zila patrzy na czujniki i kręci głową. – Przymocowała do promu kable holownicze.

– Otwórzcie służę powietrzną – rozkazuje pilotka. – Wejść na pokład. Spodziewam się, że wszystkie ręce będą na widoku, kiedy drzwi się otworzą. W przeciwnym wypadku możecie pocałować swoje tyłki na do widzenia. Słyszycie?

– Doskonale – odpowiada Scarlett. – Do zobaczenia wkrótce.

Nasza Twarz obraca się w fotelu. Zaciska zęby i kiwa głową w sposób, który znowu przypomina mi jej brata.

– W porządku. Rozłóżmy czerwony dywan.

– Czekaj, wpuścimy ją tutaj? – pytam, rozglądając się po kokpicie. – Nie chcę się czepiać, ale zamordowała nas dziewięć razy.

– Osiem – poprawia mnie Zila.

– A, no to w porządku.

– Trudno coś z niej wyczytać, kiedy ma na sobie maskę i hełm. – Scar wzrusza ramionami. – Ale gdyby nie chciała rozmawiać, to w ogóle by tu nie przyszła.

– Nie udaję, że wiem, co tu się dzieje, ale pilotka jest tego częścią – mówi Zila, ruszając do drzwi. – Musimy z nią porozmawiać.

Patrzmy po sobie ze Scar i schodzimy za naszym Mózgiem po schodach. Kierując się do ładowni, próbuję ogarnąć naszą sytuację.

Nie jestem takim geniuszem jak Zila, ale mam trochę oleju w głowie, a mimo to nic z tego, co tu się dzieje, nie składa mi się w całość. Chociaż martwię się o nasze własne tyłki, to też martwię się o Auri – co, u diabła, stało się z nią, z Bronią, syldrańską flotą, pośród której się znaleźliśmy?

Czy bitwa na obrzeżach układu planetarnego nadal trwa? Dlatego ta dziewczyna reagowała tak nerwowo? Rzecz w tym, że widzieliśmy, jak betraskańska flota przybyła, żeby bronić Terrę przed Nieugiętymi; jesteśmy sprzymierzeńcami, odkąd wojna zakończyła się prawie dwieście lat temu. Nie ma dwóch planet w Galaktyce, które bardziej trzymałyby ze sobą, niż Terra i Trask. Dlaczego więc spanikowała na mój widok?

Docieramy do ładowni. Światło jest słabe, zapach przypalonego plastenu gryzie w gardło. Przez pleksiglas w śluzie powietrznej widzimy, że terrański myśliwiec ustawił się dokładnie za nami. Tak samo jak w przypadku stacji, nigdy nie widziałem takiej jednostki. Jednak, szczerze mówiąc, mam poważniejsze zmartwienia.

– Słuchajcie, kiedy ostatnim razem Pilotka mnie zobaczyła, wysadziła nas na drobne kawałeczki – odzywam się. – Może powinniśmy trzymać się na razie z dala?

– Ona już wie, że tu jesteś – zwraca mi uwagę Zila.

– Wie, że coś tu nie gra – poprawiam ją. – Nie mamy pojęcia, ile dokładnie pamięta. Może to my powodujemy tę anomalię, bo zostaliśmy wystawieni na działanie Auri, Broni, wybuchu albo coś w tym stylu. Pilotka może w mniejszym stopniu odczuwać skutki uboczne. Nie wiemy.

Zila przechyla głowę, bez słów dając mi do zrozumienia, że uważa to za bardzo mało prawdopodobne.

– A co się stanie, jeśli ja umrę, a wy nie? – pytam. – Czy pętla nadal zacznie się dla wszystkich, czy po prostu pozostanę martwy? Zbyt wielu rzeczy nie wiemy o tej sytuacji. I szczerze mówiąc, nie chcę, żeby ktoś strzelił mi w twarz, jasne?

– To rozumiałe – zgadza się Scarlett.

– Optymistyczne – mruczy Zila.

Rozlega się brzęk na zewnątrz śluzy, sygnalizujący przybycie naszego gościa. Chowam się za stosem skrzynek z jedną ręką na moim dezelatorze z akademii. Nasza trójka milczy, kiedy zamek się obraca. Napięcie aż wibruje we mnie, gdy przez szparę między skrzynkami patrzę, jak otwiera się właz.

Scarlett i Zila trzymają ręce na widoku, a ja staram się rozluźnić ciało i tylko lekko trzymać dezelator. To nie jest łatwe, gdy ciągle ta sama piosenka przewija się w mojej głowie, dudniąc jak bęben.

Co. Jest. Grane.

Drzwi otwierają się z sykiem, ukazując drobną postać podobnego wzrostu i budowy co Zila. Nosi czarny kombinezon pilota, hełm i maskę oddechową. Trzyma ciężką broń osobistą.

Jej pierwsze słowa nie brzmią przyjaźnie.

– Gdzie jest Betraskanin?

– Dzień dobry – odpowiada Scarlett. – Cudownie panią poznać. Nazywam się Sca...

– Gdzie jest Betraskanin?

No dobrze, warto było spróbować.

– Tu jestem. – Wzdycham. Zanim ktokolwiek zostanie zastrzelony, chowam do kabury dezelator, wysuwam ręce zza skrzynek, żeby pokazać, że nie jestem uzbrojony.

– Wyjdź powoli – rozkazuje. – Naprawdę powoli.

Wypełniam rozkaz, unosząc wysoko ręce.

– Wiesz, ludzie zwykle nie próbują mnie zamordować, dopóki nie poznają mnie trochę lepiej.

Silę się na chojrakowanie, ale słyszę drzenie w swoim głosie. Może i umarłem wielokrotnie i jakimś cudem wróciłem, ale moje ciało tego nie rozumie. Jest przekonane, że prędzej czy później zostanie zastrzelone, i nie godzi się na to.

Przyglądam się sprzętowi pani porucznik. Nie przypomina żadnego munduru, jaki widziałem na członkach Legionu Aurory, Terrańskich Sił Obronnych ani Globalnej Agencji Wywiadowczej. Jest zasadniczo czarny, z wyjątkiem srebrnych insygniów. Jedyнным kolorem na całym jej stroju jest wzór na hełmie, jakiś wielki ptak z rozłożonymi skrzydłami i ostrymi pazurami.

Zawsze mieszają mi się terrańskie ptaki. Może to kanarek? Pelikan? Nie, to nie tak...

Widzę, że nasz gość ma imię „Kim” wypisane na kieszeni i insygnia porucznika na ramionach. Zatem porucznik Kim.

Miło panią poznać.

– No dobrze. – Scarlett uśmiecha się. – Jak już mówiłam, nazywam się Scarlett. To jest mój oficer naukowy, Zila, i mój inżynier, Finian. Miło wresz...

– Na kolana – rozkazuje Kim. – Palce zaplecione z tyłu głowy. Wszyscy. Powoli.

Scarlett jest dość dobra, żeby wiedzieć, kiedy się przymknąć, tak samo jak wie, kiedy i co mówić. W milczeniu klęka na pokładzie, a za nią Zila z nieco nieprzytomną miną, która oznacza, że właśnie zaciekle coś kalkuluje. Mój egzozskielec powarkuje i syczy, kiedy klękam obok nich. Krzywię się z powodu nagłego bólu przesywającego mi kolana.

– Co ty nosisz? – pyta mnie porucznik Kim. – To do walki?

– Do walki z grawitacją – odpowiadam. – Potrzebuję tego, żeby chodzić. Nie ukrywam w tym broni, jeśli to cię martwi, chyba że liczy się wbudowany otwieracz do butelek.

- Ta stacja wypuściła żagiel kwantowy na obrzeża burzy ciemnej materii - odzywa się Zila.

- To ściśle tajne - warczy porucznik Kim.

Zila przenosi wzrok, jakby mogła widzieć przez kadłub promu.

- Mój kolega Finian sugeruje, że próbujecie zebrać ciemną energię?

- Tyle że już nikt tego nie robi - odzywam się. - Nigdzie.

- Nie nigdzie - szepcze Zila, trochę upiornie, jeśli mam być szczery.

- Ja tu zadaję pytania, do cholery - warczy Kim. - Kto was przysłał? Jesteście agentami białasów? Jak znaleźliście nas aż tutaj?

Scarlett próbuje załagodzić sytuację:

- Pani porucznik, daję słowo...

- Twoje słowo? - prychna porucznik Kim, mierząc we mnie z pistoletu. - Wy dwie pracujecie z tym łajdakiem przeciwko własnym ludziom? Zdradzacie Terrę? Wiecie, co się dzieje ze zdrajcami podczas wojny?

- Wojny? - pytam. - Pijana jesteś? Nie walczyliśmy...

- Stul dziób, białasie.

Mrugam zaskoczony.

- Białasie?!

- Nie nigdzie... - szepcze znowu Zila.

- Słuchaj, co z nią nie tak? - dopytuje się Kim, piorunując wzrokiem Zilę.

Scar zbywa to machnięciem ręki.

- Och, czasem jej się to zdarza.

Zila znowu patrzy na porucznik, kiwa głową w stronę słuzy powietrznej.

- Twój myśliwiec. To stary model Pegaza. Typ III. Zgadza się?

- Stary? - parska porucznik. - Słonko, jest tak nowiutki, że jeszcze farba na nim nie wyschła.

Zila kiwa głową.

- Nie nigdzie.

- Dlaczego wciąż to powtarzasz?

- Teraz nikt nigdzie tego nie robi, ale Terra próbowała przez krótki czas pozyskiwać ciemną energię - odpowiada cicho Zila. - Kiedy jeszcze trwała wojna z Betraskanami. Podczas pierwszych dni badań Fałdy.

Zdaję sobie sprawę, co Zila sugeruje, i mózg mi się zacina i staje.

Nie może mówić poważnie.

Za nic w świecie.

Tyle że...

- Nie poznaję jej munduru - szepczę. - I ta stacja jest taka staroświecka...

To. Nie. Jest. Możliwe.

- Dlatego nie chodzi o to, gdzie. - Zila kiwa głową. - Tylko kiedy.

- Na oddech Stwórcy - szepcze Scarlett.

Porucznik Kim ma ewidentne tego dość. Unosi brzoń.

- Natychmiast wyjaśnisz mi, co masz na myśli. Albo zacznę strzelać.

- Nie uwierzysz mi - zapewnia ją Zila.

- Spróbuj.

- Który jest rok? W tej chwili?

Porucznik Kim prycha.

- Serio?

- Proszę - mówi Zila. - Zrób mi tę przyjemność.

- Jest 2177.

- A my jesteśmy z 2380.

Milczenie.

- Masz rację. Nie wierzę.

- Ostrzegalam. - Zila wzrusza ramionami.

Mózg mi się gotuje, kiedy myśl „to niemożliwe” walczy we mnie z myślą „ale odlot”. Pod tym wszystkim pewien głosik szepcze: „Prze-trwanie tamtej eksplozji było niemożliwe. Tak samo jak przeżycie ośmiokrotnego wysadzenia. Podobnie jak przeniesienie nas w okamgnieniu do tego miejsca. Gdziekolwiek, do cholery, jesteśmy”.

Bez błędnie wychwytyję moment, kiedy porucznik Kim się poddaje.

– W porządku, to przekracza moje kompetencje. Zabieram was.

– Ewidentnie też doświadczasz anomalii temporalnej – upiera się Zila.

Kim udaje, że jej nie słyszy, puka w mikrofon przy gardle.

– Szklany Pantofelek, tu Kim, czy mnie słyszysz?

– To spotkanie powtarza się dla ciebie tak samo jak dla nas – odzywa się Zila.

– Pantofelek, tu Kim, czy mnie słyszysz?

Nadal nie ma odpowiedzi. Porucznik klnie pod nosem.

– Jeśli rzeczywiście jest 2177 rok, to Terra właśnie walczy z Traskiem – upiera się Zila. – Twoja stacja wygląda na poważnie uszkodzoną. Nie mamy żadnego dowodu, który potwierdzałby naszą tożsamość. Jeśli zabierzesz nas na pokład tego, co ewidentnie jest eksperymentalną wojсковą instalacją podczas wojny, to się źle skończy.

– Nie proszę o twoje poparcie – warczy Kim, wymachując pistoletem. – Ruchy.

Porucznik Kim zagania nas do kokpitu, trzymając na muszce. Kierując swoim myśliwcem za pomocą jakiejś zdalnie działającej konsoli na nadgarstku, zaczyna holować nasz uszkodzony prom do stacji. Rozgrywa się to powoli, z wysiłkiem. Kim ewidentnie wie, co robi, ale myśliwce nie zostały stworzone do tego typu zadań.

Zila, Scar i ja klęczymy pośrodku pomieszczenia z dłońmi splecionymi za głową. Kim stoi za nami. Od czasu do czasu próbuje wywołać stację.

Zła wiadomość jest taka, że przy każdej nieudanej próbie sprawia wrażenie coraz bardziej rozeźlonej, a zabiła nas tego dnia już wiele razy. Dobra zaś, że możemy szeptać, gdy przeklina burzę.

– Zila mówiła serio? – mruczy Scar, przysuwając się. (Jakim cudem pachnie tak pięknie i się nie poci?). – Podróż w czasie?

Wzruszam ledwie dostrzegalnie ramionami i zerkam na nasz Mózg, który znowu zatonał w myślach.

– Nie wiem. To brzmi fantastycznie, ale nie potrafię inaczej wyjaśnić faktów.

Scarlett zagryza usta. W jej oczach maluje się troska.

Jeśli wściekła Ziemniaczka podała nam właściwy rok (co jest niemożliwe, bo oznaczałoby podróż w czasie), Terranie i Betraskanie toczą wojnę. I tak pozostanie przez kolejne dwadzieścia lat. A właśnie jestem transportowany do jakiejś tajnej bazy wojskowej dryfującej na obrzeżach burzy ciemnej materii. Zapewnienie Zili, że to „źle się to skończy”, jest niedopowiedzeniem stulecia.

Bez względu na to, które mamy stulecie...

Nie mówię tego na głos, ale nie muszę. Scar przechyła się w milczeniu i przyciska się do mnie ramieniem.

– Jestem szalenie czarujący – mruczę. – Najpewniej dadzą mi spokój. Porucznik Kim unosi pistolet.

– Ty. Zamknij się.

Zamykam się. I przyciskam się ramieniem do Scarlett, czerpiąc tyle pociechy z tego dotyku, ile się da.

Cat przepadła. Tyler przepadł. Auri i Kal przepadli.

Po wielu latach samotności drużyna stała się moim klanem. Tysiące niewidzialnych nici wiąże mnie z każdym z nich w sposób, jakiego Terranie nie są w stanie pojąć. Zawsze jestem do nich dostrojony, zawsze monitoruję to, gdzie są, jak się wokół mnie poruszają. To kwestia instynktu. Betraskanin bez klanu żyje z nieustanną świadomością tego, że jest małym okruszkiem w wielkim kosmosie, w którym nic z nikim go nie łączy.

Poczułem ten ból, gdy rodzice odesłali mnie, żebym zamieszkał poza planetą z dziadkami, z dala od reszty rodziny, bo łatwiej mi będzie w nieważkości. Dziadkowie byli szczęśliwi, bo sami wybrali swoje miej-

sce zamieszkania i w każdej chwili mogli wrócić do domu. A ja? Moja więź została zerwana, bez względu na to, czy powiedziano to na głos.

Taki sam ból odczuwałem codziennie w akademii, zawsze otoczony przez innych, ale z nikim niezwiązany.

Jednakże ból wywołany utratą jednej osoby z drużyny zaraz po drugiej był jeszcze gorszy.

Nie chcę stracić także Scar i Zili.

Potrzebujemy prawie pół godziny, żeby dotrzeć do stacji i po drodze pierwszy raz mamy okazję dobrze przyjrzeć się burzy ciemnej materii. Skala tego zjawiska po prostu nie mieści się w głowie – rozciąga się na tryliony kilometrów. Czuję się przy niej jak insekt patrzący w twarz Stwórcy.

Jest zupełnie czarna. Ta czerń jest tak nieprzenikniona i absolutna, że od patrzenia na nią bołą oczy. Jednak od czasu do czasu dudni sporadycznymi impulsami kwantowej energii, głęboki różany fiolet przecina czerń. Jej brzegi wiją się, skręcają i płaczą wokół siebie jak węże z dymu, a są ogromne jak całe układy planetarne. Po paru chwilach ciemne światło gaśnie i z powrotem zwała się na nas czerń.

Gigantyczny metalowy kabel ciągnie się od stacji na tysiące kilometrów w pulsującą ciemność. Kiedy się zbliżamy, widzę wyraźniej, czym się kończy. Ogromna konstrukcja zanurzona w niewidzialnym chaosie. Szerokie na tysiąc kilometrów świadectwo zapierającego dech w piersi szaleństwa tych, którzy nas pojмали.

Żagiel kwantowy.

Ta stacja, ta placówka – jej budowa musiała kosztować fortunę. I rzecz w tym, że gdyby kiedykolwiek ktoś sprawił, że ten pomysł zadziała, uzyskałby wręcz niewyobrażalne źródło energii. Niestety posłanie kwantowego żagla w burzę ciemnej materii i uwiązanie go do stacji, na której przebywasz, to jak wysmarowanie ulubionej części ciała *freyanem* i wmaszerowanie prosto do jamy *caladiana*. Zwyczajnie prosisz się – nie, radośnie dopominasz się – o bardzo nieprzyjemne i zdecydowanie ostatnie doświadczenie w swoim życiu.

– Tym ludziom całkiem odbiło – szepczę.

Zbliżamy się do przysadzistej stacji, z której nadal coś bucha w mrok. Kadłub ma rozorany i poczerniały. Wygląda paskudnie, jakby zbudował ją ktoś okropnie wkurzony. Nie wiem, co jest z Terranami i ich poczuciem estetyki, gdy w grę wchodzi projekty techniczne.

Wlatujemy do małego hangaru i chociaż porucznik Kim nadal nie zdołała wywołać swojego dowództwa przez system łączności, to automatyczne ramiona chwytają nasze statki. Pod wpływem tego uderzenia cały prom dygoce i padamy na pokład.

Kiedy drzwi hangaru zamykają się za nami, porucznik Kim rozkazuje nam wstać. Serce mam w gardle, kiedy każe nam wymaszerować przez służbę powietrzną. Chociaż tego dnia zabito mnie już dziewięć razy, ciało wciąż wibruje mi od adrenaliny, a mózg rozbrzmiewa jedną myślą: nie chcę umrzeć.

Nie chcę umrzeć.

Drzwi naszej służby otwierają się i wychodzimy przez drugą służbę do hangaru. Pomieszczenie jest skąpane rozbłyskującym czerwonym światłem. Celując w nas z pistoletu, Kim wpisuje kod dostępu i główne drzwi hangaru się otwierają. Nagle znajdujemy się pośród całkowitego chaosu.

Dziesiątki ludzi w wojskowych mundurach biegną wokół nas, niesie się huk buciorów uderzających o metalową podłogę. Gęsty dym kłębi się przy odpowietrznikach w suficie. Jedna połowa hangaru jest ciemna, druga oświetlona światłami awaryjnymi. Eskadra takich samych myśliwców jak statek Kim stoi w migocącym krwistoczerwonym świetle. Terranie uwijają się w maskach oddechowych, żeby chronić się przed wyziewami. Scar kaszle, Zila też. Cuchnie palonymi włosami i plastikiem.

W ścianie na lewo od nas ciągnie się długie pleksiglasowe okno, widzę żagiel w oddali, tańczący jak latawiec wśród burzy, a za nim pulsuje ciemna materia. Wyglądałoby to nawet ładnie, gdyby...

– Uwaga, personel Szklanego Pantofelka. Uszkodzenie powłoki na pokładach od 13 do 17.

Komunikat z głośników na chwilę zagłusza wszystko inne i kiedy milknie, rozlega się denerwujące wycie syreny.

– Ruchy! – mówi porucznik za nami, szturchając mnie lufą między łopatki.

– Nie chcę – odpowiadam.

– Ja też – popiera mnie Scarlett.

– Uwaga, personel Szklanego Pantofelka. Cały personel techniczny ma natychmiast zgłosić się do sektora Gamma, pokład 12.

– To się źle skończy – przewiduje znowu Zila.

– Kim! – rozlega się ryk. – Gdzieś ty, u diabła, się podziewała?

Zatrzymujemy się, szurając nogami, a Kim staje na baczność. Wielgachny, barczysty mężczyzna zbliża się do nas, wynurzając się z czerwonego światła i dymu. Nie ma żadnych włosów na głowie, tylko te dziwne wąsy, które zapuszczają Terranie. Wyglądają, jakby próbowały wypełznąć mu z nozdrzy. Kiedy mnie dostrzega, oczy mu wychodzą na wierzch, a mnie żołądek wpelza do piersi.

– Co to, u diabła? – warczy. – Czy to cholerny Betraskanin? Wytlumacz się, żołnierzu!

– Proszę o wybaczenie, panie dowódco! – Kim salutuje. – Próbowałam wezwać dowództwo przez system łączności, ale nie było odpowiedzi! Ta trójka włamała się do strefy zamkniętej!

– Więc ich zastrzel! – ryczy mężczyzna.

BUM!

Cała stacja się trzęsie, kiedy coś gdzieś wybucha.

– Uwaga! Przebicie pola siłowego. Natychmiast ewakuować pokład 5 i 6. Powtarzam: przebicie pola siłowego...

Kim przekrzykuje jazgot.

– Myślę, że anomalie towarzyszące ich pojawieniu się wymagają uwagi sekcji naukowej. Gdyby to nie było nagłace...

– Ja ci mówię, co jest naglące! – warczy mężczyzna. – Pole siłowe wokół rdzenia zostało przerwane. Połowa górnych pokładów jest odcięta, potwierdzono śmierć trzydziestu sześciu osób, w tym doktora Pinkertona! Cała cholerna stacja rozlatuje się na kawałki, a ty w takiej chwili sprowadzasz Betraskanina do tajnej bazy! Oszalałaś?!

TRACH.

Czarne światło rozbłyskuje w burzy, czerni zamienia się w skłębiony fiolet, gdy impuls ciemnej energii uderza prosto w żagiel. Eksplozja jest tak potężna, że mimo moich szkieł kontaktowych, gdy dostrzegam ją kątem oka, na chwilę ślepnę i widzę tylko powidoki. Mrugam wściekle, a impuls biegnie po kablu z prędkością światła i zalewa kaskadą samą stacją. Rząd komputerów stojących na prawo od nas wybuchają fontanną iskier. Głośniki ryczą nowym, jeszcze bardziej denerwującym sygnałem alarmowym. Prawie przegapiam słowa Zili, gdy ta mruczy do siebie, stojąc obok mnie.

– Impuls kwantowy czterdzieści cztery minuty od przybycia.

Dowódca mruży oczy.

– A to co, u diabła?

Unosi pistolet, a mnie serce zamiera, gdy widzę, że mierzy do Scarlett. Scar unosi wyżej ręce, cofa się o krok i pośród dymu, chaosu i płonących iskier widzę, że jej medalion zaczął...

Na oddech Stwórcy, on się jarzy.

Ten kawałek kryształu Eshvarenów, który Adams i de Stoy zostawili dla nas w Szmaragdowym Mieście, płonie na jej piersi. Światło jest czarne, patrzenie na nie boli tak samo jak patrzenie na rozbłysk w burzy.

– Uwaga! Przebicie pola siłowego, poziom krytyczny. Natychmiast ewakuować pokłady od 2 do 10. Powtarzam: przebicie pola siłowego, poziom krytyczny.

– Kim, sprawdziłaś, czy mają broń, zgadza się?! – ryczy Terranin.

– Oczywiście, panie dowódco, ale...

- No to co to jest, do cholery?!

- Nie wiem! - krzyczy Scarlett, cofając się. - Proszę, naprawdę nie wiem!

- Uwaga! Przebiecie pola siłowego postępuje, wprowadzić procedury bezpieczeństwa na pokładzie 11.

Zila odzywa się bezpośrednio do Kim, nie zważając na nic, co dzieje się wokół nas.

- Mówiłam, że to się nie uda.

Terranin unosi broń i celuje teraz w Zilę.

- Dowódco, oni... - zaczyna Kim, teraz już zdesperowana.

- A ty idziesz prosto do brygu, Kim! - ryczy mężczyzna, odciągając bezpiecznik.

- Ej!

Och, *chakk*, to ja się tak wyrwałem.

Czas zwalnia, kiedy Terranin obraca broń w moją stronę i widzę, jak pociąga za cyngiel.

Chociaż mam wrażenie, że to trwa wiecznie, mam czas na tylko jedną myśl.

Nie mógłbym patrzeć, jak do nich strzela.

Cieszę się, że będę pierwszy.

BACH.

Budzę się otoczona przez umarłych. Morze twarzy, syldrańskich Wędrowców znieruchomiłych w ostatniej chwili wypełnionej strachem, bólem lub sprzeciwem, z rozwartymi ustami i szeroko wytrzeszczonymi oczami. Dorośli i dzieci leżą razem na stosie, już nie są przyszpileni do kryształowych ścian nad nami siłą woli Gwiazdobójcy.

Leżę na podłodze zawalonej odłamkami kryształu, zerkając z ukosa przez rzęsy na ciała. Zmuszam obolałe oczy do otwarcia się. Przegrywam jednak tę walkę i zamykam je znowu.

Nie wyczuwam umysłu Kala.

Wszystko mnie boli, każdy mięsień w moim ciele krzyczy, w głowie mi dudni. Jednak pod bólem wyczuwam echa mocy, którą wezwałam, potężny wybuch energii przelewający się przeze mnie do Broni i z powrotem, przebiegający przez mój kręgosłup i aż do opuszków. A to wspomnienie budzi we mnie coś podobnego do... euforii.

Nie zważam na ból, skupiam myśli i wysuwam ciemnoniebieską mackę wśród gasnącego echa przedśmiertnego krzyku Wędrowców. Jakbym szukała konkretnego drzewa w gęstym lesie. Teraz jednak nawet najśłabszy pogłos krzyków gaśnie i mój przetykany srebrem ciemny błękit nie znajduje niczego, niczego, niczego.

Musi być zbyt daleko, myślę.

Muszę być za słaba.

Ostatnie, co pamiętam, to wybuch Broni, kolosalny rozbłysk energii, który miał zniszczyć Słońce, Ziemię i wszystkich na niej. Nie mogłam

tego powstrzymać, ale próbowałam skierować energię do wewnątrz, chronić otaczającą nas flotę, planetę, jej słońce. Powstrzymać...

...Caersana.

Gwiazdobójcę.

Wstaję na czworaki, serce mi wali, z wysiłku kręci mi się w głowie. Własny oddech rozbrzmiewa mi nieprzyjemnie w uszach, kiedy próbuję się podnieść.

Mężczyzna odpowiedzialny za zamordowanie wszystkich wokół mnie znajduje się w pobliżu – leży u stóp kryształowego tronu na rozpostartej czerwonej pelerynie. Porusza się półprzymiotnie. Jego warkocze opadły na podłogę, odsłaniając zniszczoną połowę twarzy. Jedno oko jarzy się wśród pajęczyny blizn ciągnących się wzdłuż skroni i policzka, jakby rozświetlane od środka. Światło pulsuje słabo, może w rytm bicia jego serca, a ja przykucam i przykładam rękę do własnej twarzy. Skóra jest szorstka pod dotykiem.

Nigdzie nie wyczuwam Kala.

Wtedy umysł jego ojca ociera się o mój, ciemna czerwień zaschniętej krwi i złoto, które aż za bardzo przypomina złoto Kala, i jego oczy otwierają się gwałtownie. Skupia wzrok na mnie.

To wszystko jego robota. To on odpowiada za każdą kroplę przelanej krwi, za to zniszczenie, za ten ból.

I kiedy nasze spojrzenia się spotykają, Caersan się uśmiecha.

Reaguję, nim zdążę się zastanowić. Łapię ostry odłamek kryształu i startuję jak biegacz, rzucam się do niego, jakbym zamierzała przebić kołkiem wampira.

On podnosi się na jedno kolano i ciosem na odlew sprawia, że wpadam na tron, świat przelatuje mi przed oczami. Łapię się, żeby nie upaść, on też się ślania, krzywi usta, ciemnofioletowa krew kapie mu z nosa.

To jego dzieło.

Martwi Wędrowcy.

Niektórzy z nich to dzieci.

Jego własny lud.

Pusta przestrzeń w miejscu, gdzie powinien być Kal.

Zabiję go.

Wokół nas Broń wibruje, kryształ brzęczy i śpiewa, stygnąc. Na to wszystko nakłada się mój chrapliwy oddech, kiedy stoimy naprzeciwko i zbieramy siły.

Potem znowu patrzymy na siebie i ponownie rzucam się na niego, na osłep walę nim o podłogę, a mój krzyk powraca echem ze wszystkich stron. Całe powietrze uchodzi z niego, gdy wbijam mu kolano w klatkę piersiową.

Turla się, zaciska dłonie na moim gardle, miażdży. Instynktownie składam razem pięści i uderzam między jego przedramiona, zmuszając je do rozsunięcia się, więc puszcza moje gardło.

Zabiję go. Tylko to mi zostało.

Szukam na osłep kolejnego odłamka kryształu, zaciskam na nim palce i wbijam go w Caersana, kierując ostrze w górę. Przecinam mu zbroję. Kiedy on skręca ciało, ja mogę się spod niego wyturlać. Oboje z trudem podnosimy się, cofamy kilka kroków. Chwytam lepiej mój kryształowy nóż. Caersan jest wysoki, porusza się jak wojownik nawet teraz, gdy jest ranny. To mężczyzna, który uczył Kala walczyć.

Jednakże mój umysł jest jak gąbka, z której wyciśnięto całą wodę. Za nic nie jestem w stanie posłużyć się swoją mocą w walce z nim, więc tylko tyle mi zostało. Jego umysł musi być równie słaby, bo inaczej już zmiażdżyłby mnie jak robaka.

Wystarczy tylko jedno szczęśliwe trafienie.

Na to właśnie wykorzystam resztę czasu, jaka mi została.

Caersan pierwszy atakuje – rzuca się do przodu z niemożliwą szybkością, wymierza cios w gardło. Odskakuję, nadeptuję na coś miękkiego, potykam się i rzucam do przodu, tnąc go przez żebra, dopóki jest blisko.

Warczy wściekły, ale żadne z nas nie ma ochoty na słowa. Kontynuuję atak, doskakuję, żeby wymierzyć kolejny cios, ale on, ruchem tak szybkim, że nie nadążam wzrokiem, łapie mnie za rękę i ciska mną, jakbym nic nie ważyła.

Odrywam się od ziemi i na chwilę wszystko zamiera, zanim uderzam z hukiem o podstawę kryształowego tronu. W uszach mi dzwoni, przed oczami robi mi się ciemno.

Prosto we mnie wpatruje się martwa Wędrowczyni, w miejscu jej umysłu wyczuwam tylko ciszę. Warkocze ma potargane i aż mam ochotę je poprawić, powiedzieć, że okropnie, okropnie mi przykro. Bezradnie raz jeszcze sięgam umysłem do Kala, zrozpaczony granat i srebro sięgają w poszukiwaniu...

...czy to...?

...najdrobniejsze mgnienie fioletu i złota.

Radość we mnie wybucha, obracam się gwałtownie, szukając go wzrokiem, bo on tu jest, żyje, on...

- Czekaj! - Wyciągam rękę, a Caersan zamiera, krzywiąc usta i patrząc na mnie, jakbym była czymś, co przykleiło mu się do podeszwy buta.

- Mięczak - prycha. - Teraz prosisz o litość? Za późno, żeby zawiodła cię odwaga, dziewczyno.

- Nie... - Szukam słów, unoszę rękę, żeby wskazać otoczenie. Szukając Kala, otworzyłam umysł i raptownie odkryłam, że coś się zmieniło. - Nie słyszysz?

Krzywi się.

- Niczego nie słyszę.

- Właśnie.

Caersan przekrzywia głowę i obrzeżami umysłu wyczuwam jego ostrożne sondowanie. Węszy zza swojej barykady, bo nie chce się odsłonić.

Niczego nie słyszę na zewnątrz. Kiedy walczyliśmy podczas ataku, przestrzeń wokół Broni była wypełniona walką, umysłami terrańskich, betraskańskich i syldrańskich pilotów i załóg, ich strachem, gniewem, skupieniem. Gdzieś pośród tego wszystkiego byłam świadoma obecności Finiana, Scarlett i Zili, mojej drużyny, mojej rodziny.

Ale teraz... nie wyczuwam niczego. Chociaż tak naprawdę nie chodzi o brak, jakby wszyscy zwyczajnie umarli. To coś innego. Jakbym obudziła się w śnieżny dzień, kiedy wszystkie odgłosy świata są dziwnie przytłumione.

– Gdzie się podziła flota? – pytam cicho. – Bitwa?

Caersan marszczy brwi, a ja szukam na czworakach i wreszcie widzę Kala. Leży po drugiej stronie tronu.

Nie spuszczać wzroku z Caersana, czółgam się do jego syna. Gwiazdobjca zauważa ruch, ale nie dba o to, powraca do kontemplowania dziwnej ciszy na zewnątrz.

Kal leży zwinięty na boku i ma ten sam spokojny, bezbronny wyraz twarzy jak wtedy, gdy śpi. Przez większość poranków w Echu budziłam się przed nim. Przez pół roku widziałam go takim każdego dnia.

Chwytam go za rękę i chociaż trzęsę się z wyczerpania, wydobywam potrzebną energię z własnej duszy, żeby mój mentalny dotyk był delikatnym muśnięciem jego poobijanego, posiniaczonego umysłu.

Chucham delikatnie na fioletowe i złote węgielki, rozpalając je własną siłą, uważając, by ich nie zgasić ani nie przytłoczyć.

Powoli, bardzo powoli, rozżarzają się nieco mocniej.

Jego palce zaciskają się na moich.

Nie mogę powstrzymać łez, które napływają mi do oczu. Ulga sprawia, że coś we mnie pęka. Leży tu, ubrany na czarno, wojownik Nieugiętych. Jednak nigdy nie był jednym z nich. Przybył tu dla nas, chociaż go wypędziliśmy.

Dla mnie.

– Coś... tu jest.

Głos Caersana przerywa moją zadumę. Podnoszę wzrok. Marszczy brwi, jakby był niepewny; mam na myśli najdrobniejszą zmarszczkę na czole, ale w jego przypadku to przekłada się na krańcową konsternację.

– W tym kierunku – dodaje.

Wskazuje poza kryształowe ściany Broni w kosmos na zewnątrz. Może w stronę Słońca albo Ziemi; ja już całkiem straciłam orientację w przestrzeni. Nie ufam mu, nie chcę odsłaniać swojego umysłu, ale prawda jest taka, że to archont ligi fanatycznych wojowników. Choć na razie staram się robić dobrą minę do złej gry, to mógłby mnie złamać na pół, gdyby zechciał.

A teraz, gdy trzymam rękę Kala, mam po co żyć.

Zachowuję więc ostrożność, kiedy badam umysłem wskazany kierunek, w każdej chwili jestem gotowa wycofać się w bezpieczne miejsce, gdyby Caersan spróbował zaatakować. On jednak tego nie robi. Po prostu patrzy na mnie, przechyla głowę, gdy ja wytrzeszczam oczy ze zgrozy.

Ponieważ coś tam jest na obrzeżach mojego zasięgu, wyczuwam to. Świat, z którego pochodzi ludzkość. Kolebka, z której wywodzi się nasza cywilizacja. Planeta, na której się urodziłam i dla której obrony umarłabym.

Ziemia.

Wisi w ciemności, bladoniebieska kropka zawieszona na słonecznym promieniu i przez chwilę mam wrażenie, że to dom. Wtedy jednak wyczuwam coś, co się skrada, pełźnie, pokrywa cały mój świat. Coś srebrzysto-zielono-niebiesko-szarego. Coś rojącego się, wijącego, kłębiącego się i rosnącego. Coś przepełnionego budzącym obrzydzeniem życiem.

Ra'haam.

Ja piórkuję...!

Ra'haam zawładnął Ziemią.

Mój umysł to tysiąc odłamków, tysiąc chwil, tysiąc wspomnień.

Jestem lustrem, które stłuczono.

– Kal?

...mam pięć lat. Jestem w naszym apartamencie na Andarael, dawnym statku ojca. Zdaję sobie sprawę, że to moje najstarsze wspomnienie. Wspomnienie tego, jak moi rodzice się kłócą.

Matka powiedziała mi, że kiedyś byli ze sobą tak blisko, jakby jedna dusza zamieszkiwała w dwóch ciałach. Kiedy pierwszy raz się spotkali, Laeeth i Caersan byli jak żelazo i magnetyt, jak proch i ogień. Myślała, że jej uwielbienie dla niego wystarczy, żeby zmienić kształt jego duszy.

Moja matka jest piękna. Odważna. Jest jednak tarczą, nie ostrzem. Stoją i krzyczą na siebie; łzy napływają mi do oczu, gdy na nich patrzę. Moja siostra Saedii stoi nieopodal i milczy. Patrzy i uczy się. Wrzaski rodziców stają się głośniejsze, matka krzywi twarz, ręka ojca unosi się do nieba i spada jak grom.

Zapada cisza, jeśli nie liczyć mojego płaczu.

Nie rozumiem tego, wiem tylko, że się boję, wiem, że tak nie powinno być. Ojciec odwraca się plecami do leżącej matki. Moja siostra patrzy, jak podchodzi do miejsca, gdzie siedzę. Podnosi mnie, a ja wyciągam ręce, żeby objąć go za szyję, szukam pociechy u tego, kto dał mi życie.

On jednak nie obejmuje mnie. Przesuwa kciukiem po moim mokrym policzku i patrzy, milczący i lodowaty, aż przestaję płakać.

– Dobrze – mówi. – Łzy są dla pokonanych, Kaliisie.

– Kal? – szepcze ktoś.

...mam siedem lat i wróciliśmy na Syldrę.

Wojna toczy się powoli, mój ojciec i pozostali archonci Zbrojnych zostali wezwani na spotkanie Wewnętrznej Rady, żeby zakrzyczeć tych spośród Ligi Wędrowców i Ligi Obserwatorów, którzy domagają się, żeby zacząć negocjacje pokojowe z Terrą. Pewna częśćka mnie ma nadzieję, że ojciec ich zmiażdży. Reszta mnie tęskni za końcem wojny. Dwie połówki we mnie, jedna zrodzona z furii ojca, druga z mądrości mojej matki. Na razie nie wiem, która jest silniejsza.

Saedii i ja stoimy naprzeciwko siebie pod drzewami lias, słodki wiatr przepływa między nami. Nasze postawy są doskonałe, dokładnie takie, jak uczył nas ojciec. Zaciskamy pięści. Jest starsza ode mnie, wyższa, szybsza. Ale ja się uczę.

Matka siedzi nieopodal i rozmawia cicho ze starszyzną swojej ligi. Mają nadzieję, że ona, wybranka Caersana, zdoła przekonać mojego ojca, żeby przynajmniej rozważył inicjatywę pokojową Terran. Głupcy.

Pokój to sposób, w jaki kundel woła, że się poddaje.

Saedii atakuje, kiedy się rozpraszam, jej cios trafia w cel. Wybija spode mnie nogi. Zwalam się na fioletową trawę i całe powietrze uchodzi mi z płuc. Wskakuje na mnie, oczy płoną jej triumfalnie. Unosi pięść.

– Poddaj się, bracie. – Uśmiecha się.

– Nie.

Odwracamy głowy na to słowo i widzimy go odzianego w czarną zbroję pod rozkołysanymi konarami. Największy wojownik znany

naszemu ludowi. Starszyzna Wędrowców pochyla głowy ze strachu. Matka siedzi w milczeniu. Jego cień pada na nią. Mój ojciec mówi, a w jego głosie pobrzmiewa stal.

– Czego cię uczyłem, córko, na temat litości?

– Że to domena tchórzy, ojczu – odpowiada Saedii.

– Dlaczego więc każesz wrogowi się poddać?

Moja siostra ściąga usta i patrzy na mnie. Matka wstaje, patrzy na mojego ojca i odzywa się w sposób, w jaki nikt inny by się nie ośmielił.

– Caersanie, to dopiero chłopiec.

Patrzy poprzez nią, jakby była ze szkła.

– To mój syn, Laeeth.

Wzrok ojca zatrzymuje się na Saedii. Pada niewypowiedziany rozkaz.

Jej pięść rozkwasza mi usta. Czarne gwiazdy rozkwitają mi przed oczami. Kolejny cios spada i czuję smak krwi, czuję ból, coś pęka, coś się łamie.

– Dość.

Lanie się kończy. Ciężar siostry znika z mojej piersi. Otwieram to oko, które jeszcze jestem w stanie – drugie całkiem mi zapuchło – i widzę, że ojciec stoi nade mną. Widzę go w swojej twarzy tego wieczoru, gdy patrzę w lustro. Wyczuwam go za sobą, gdy jestem sam. Moja matka patrzy z wyrazem cierpienia, kiedy obracam się na brzuch i odpycham od ziemi, żeby wstać.

Ojciec przykłęka na jednym kolanie, żeby spojrzeć mi w oczy. Wyciąga rękę i przesuwa kciukiem po moim policzku. Jednak tam, gdzie kiedyś były łzy, teraz jest tylko krew.

– Dobrze, Kaliisie – mówi.

Kiwam głową.

– Łzy są dla pokonanych, ojczu.

– Kal, obudź się, proszę...

...jestem w swoim pokoju na pokładzie Andarael i mam dziewięć lat.

Pięści mam pokaleczone, moja krew jest ciemnofioletowa w słabym, ciepłym świetle. Silniki szumią, gdy grzebię pęsetą w najgłębszym rozcięciu i krzywiąc się, wyjmuję blady odłamek złamanego zęba z opuchniętej kostki dłoni.

Nie zamierzałem uderzyć go aż tak mocno. Nie pamiętam większości z tego, co wydarzyło się, gdy trafiłem go pierwszy raz. Pamiętam jednak słowa, które wypowiedział na temat mojego ojca, słowa, które cuchnęły tchórzostwem. Zbrojni potępiłi traktat, który Rada Wewnętrzna zawarła z Terranami, zaatakowali ziemskie stocznie i zniszczyli ich flotę. A teraz skupimy się na tych spośród naszych ludzi, którzy dopominają się o pokój, kiedy może być tylko wojna. Bo właśnie dla wojny się urodziłem.

Prawda?

Drzwi otwierają się z szeptem i wchodzi moja matka, ubrana w długą, powłóczystą suknię. Sznur kryształów Pustki błyszczą na jej szyi. Prostuję się, jak należy, pochylam głowę i mówię cicho:

– Matko.

Podchodzi do iluminatora i wpatruje się w pustkę za nim. W moim umyśle nadal rozbrzmiewają echa bitwy, która tam się rozegrała: ogromne statki płonące w blasku Oriona. Wszystkie płomyki życia zgaszone dłonią mojego ojca.

Dostrzegam blady siniak w kącie ust matki, ciemną smugę w świetle gwiazd, które całuje jej skórę. Węgielek wściekłości zapala się we mnie. Kocham matkę całym sercem. I chociaż kocham także ojca, nienawidzę w nim tego, co sprawia, że ją krzywdzi.

Wydarłbym to z niego własnymi rękami, gdybym tylko mógł.

– Valeth leży w infirmerii ze złamaną szczęką i dziewięcioma złamanymi żebrami.

– To fatalnie – odpowiadam ostrożnie.

– Mówi, że spadł z pomocniczej zejściówki.

– Te schody są zdradzieckie.

Matka patrzy na mnie błyszczącymi oczami.

– Co się stało z twoją dłonią?

Nie odrywam wzroku od podłogi i odpowiadam cicho:

– Uszkodziłem ją w czasie treningu.

Słyszę ciche kroki, czuję jej chłodny dotyk na policzku.

– Nawet gdybym nie urodziła się Wędrowniczką, nawet gdyby twoje serce było zamknięte przede mną na klucz, a nie stało otwarte na oścież, to wciąż jestem twoją matką, Kaliisie. Nie możesz mnie okłamywać.

– Więc nie zmuszaj mnie do tego. Honor żądał...

– Honor – wzdycha matka.

Muska palcami nowy znak na moim czole – trzy ostrza, które otrzymałem w dniu naznaczenia. Wiem, że ona i ojciec spierali się o to, do której ligi mam należeć, i wiem, że ojciec wygrał.

Zawsze wygrywał.

– Jak myślisz, co będzie czuł ten chłopiec, kiedy będzie okłamywał swojego ojca na temat lania, jakie mu spuścisz?

– Sam zdecydował się zostać moim wrogiem – odpowiadam. – Nie obchodzi mnie, jak się czuje.

– Właśnie, że cię obchodzi. Na tym polega różnica między tobą a Caersanem.

Ujmuje mnie za podbródek i unosi moją twarz, żeby spojrzeć mi w oczy. Widzę w jej oczach ból. Widzę siłę. I widzę w nich siebie.

– Wiem, że jesteś jego synem, ale jesteś także moim synem. I potrzebuję, żebyś nie stał się tym, na kogo on cię uczy.

Pochyla się i przyciska usta do mojego rozpalonego czoła.

– Nie ma miłości w przemocy, Kaliisie.

Widzę za nią światło. Aureolę z granatu przetykanego srebrem.

I słyszę głos, znajomy, ale obcy.

– Kal?

– Nie ma miłości w przemocy.

– Kal, słyszysz mnie? Obudź się, proszę, proszę.

...dotyk matki wyrywa mnie ze snu. Serce bije mi mocno, kiedy otwieram szeroko oczy, a ona zaśnania mi usta dłonią. Mam dwanaście lat.

– Wstań, kochanie – szepcze. – Musimy iść.

– Iść? Dokąd?

– Odchodzimy – wyjaśnia. – Odchodzimy od niego.

Widzę błądy siniak na jej nadgarstku. Rana na ustach jest świeża. Wiem jednak, że nie ze względu na siebie w końcu postanawia uciec.

Wyciąga mnie z łóżka i wręcza mi mundur. Bez słowa ubieram się, zastanawiając się, czy matka mówi serio. Mój ojciec nigdy na to nie pozwoli. Słyszałem, jak groził, że ją zabije, jeśli odejdzie. Matka nie ma dokąd uciec.

– Dokąd się udamy? – pytam.

– Mam przyjaciół na Syldrze.

– Matko, przecież my toczymy wojnę z Syldrą.

– Nie, to on walczy z Syldrą – walczy matka. – Walczy ze wszystkimi i ze wszystkim. Nie pozwolę, żebyś stał się taki jak on, Kaliisie. Nie pozwolę mu dłużej zatruwać moich dzieci.

Zastanawiam się gorączkowo, kiedy przemykamy ciemnym korytarzem do kwatery Saedii. Matka zakrada się do środka, a ja stoję na warcie z sercem bijącym jak szalone, z kołowrotkiem myśli w głowie. On nigdy tego wybaczy. Nigdy tego nie zapomni.

– Saedii – szepcze matka. – Saedii, obudź się.

Moja siostra podrywa się wściekła, wyciąga ostrze spod poduszki, szczyrzy zęby. Na widok matki rozluźnia się odrobinę, ale widząc mnie, znowu sztywnieje.

Twarz ma nadal posiniaczoną po laniu, jakie jej spuściłem. Rozdźwięk między nami jest głębszy niż kiedykolwiek dotąd. Zniszczyła się, który dostałem od matki po tym, jak pokonałem ją podczas treningu. Nie potrafi już mnie pokonać, więc próbuje ukarać mnie w inny sposób. A ja odwdzieczyłem jej się tym samym. Nadal widzę jej krew na swoich palcach. Ból w jej oczach, kiedy uderzałem ją sięm, który zniszczyła. Wstyd mi nawet teraz, że potraktowałem ją w taki sposób. W moim umyśle niosą się echem słowa ojca, które wypowiedział, gdy dowiedział się, co zrobiłem.

„Nigdy w życiu nie byłem równie dumny z tego, że jesteś moim synem”.

– Czego chcesz, matko? – szepcze Saedii, opuszczając ostrze.

– Odchodzimy, Saedii. Odchodzimy od niego.

Moja siostra mruży oczy. Krzywi usta.

– Oszalałaś?

– Oszalałam, pozwalając, żeby to trwało tak długo. Caersan to rak i nie pozwolę mu dłużej się rozprzestrzeniać. Chodź.

Saedii wrywa rękę z uścisku matki.

– Niewierny tchórz, to twój wybranek w Aliażu. Jesteś mu winna serce i duszę.

– Oddałam mu jedno i drugie! – warczy matka, wskazując siniaki na skórze. – I tak mi się odpłaca! Gdybym tylko ja niosła to brzemie, nawet teraz nie złamałabym przysięgi, ale nie będę patrzeć, jak moje dzieci pogrążają się w tej samej ciemności, która pożera jego!

Saedii patrzy na mnie. Ma posiniaczoną twarz. Szczęrzy zęby.

– I ty na to pozwalasz, bracie?

Patrzę błagalnie w jej oczy.

– Przykro mi, siostrze, ale znasz prawdę. Nie jest dla nas dobry. Nie chcę stać się tym, czym on jest.

– Tchórz! – wścieka się, wstając. – Oboje jesteście nielojalnymi tchórzami!

Ciemnoniebieski kolor rozbłyskuje za nią, a ja mruję oczy oślepiiony. Ciepło blasku oblewa mi skórę i czuję mrowienie we wszystkich częściach ciała.

– Kal?

– Saedii, chodź z nami!

– Prędej umrę, niż go zdradzę.

– Kal!

– Tchórz! Hańba! De'sai!

– Kal!

...otwieram oczy.

Widzę ją nad sobą. Świetlista aureola otacza jej głowę. Serce wzbiera mi boleśnie, przyciskam rękę do żeber, żeby powstrzymać ból. Wzrok mi się mgli, umysł mnie boli, ale nadal jedna idea jest dostatecznie wyraźna, żeby przebić mgłę strzaskanych myśli w mojej głowie.

Ona żyje.

Moja Aurora żyje.

Otoczające nas ściany są zrobione z błyszczącego kryształu i zdają sobie sprawę, że unoszę się metr nad podłogą. Kiedy przenoszę ciężar, żeby wstać, powietrze wokół mnie wibruje delikatnie, przybiera kolory tęczy tak samo jak energie w Echu, we wspomnieniach z rodzinnego świata Eshvarenów, gdzie mieszkaliśmy z Aurorą przez pół roku... i całe życie. Teraz jednak inaczej to odbieram. Pieśń energii wypełniającej powietrze jest...

– Nie, nie próbuj siadać – szepcze Aurora, kładąc rękę na moim ramieniu. – Odpoczywaj. Dobrze? Przez chwilę myślałam, że cię straciłam, myślałam...

Głos jej się łamie i Aurora zamyka oczy. Łzy zatrzymują się na jej rękach, gdy spuszcza głowę. Najdelikatniej ujmuję w dłoń jej policzek.

– Jestem tu – mówię. – Nie opuszczę cię. Chyba że sobie tego życzysz.

– Nie – szepcze. – Przepraszam, przepraszam, że cię odesłałam.

– A ja przepraszam, że cię okłamałem, be'shmai. Zachowałem się jak tchórz.

– Przybyłeś tu sam jeden, żeby go zabić. Żeby uratować cholerną Galaktykę. – Przyciska kostki mojej dłoni do ust. – Jesteś najodważniejszym chłopcem, jakiego znam.

Żeby go zabić.

Cień pada na mnie, kiedy wspomnienia przesączają się do ruiny mojego umysłu – walka w sali tronowej, wojna tocząca się na zewnątrz. Terranie, Betraskanie i Syldranie siekający się na kawałki, podczas gdy Broń pulsowała, Wędrowcy krzyczeli, a mój ojciec...

– Mój ojciec – szepczę. – Czy ty...

Aurora kręci głową. Widzę teraz wyraźniej i spostrzegam pęknięcia w jej skórze rozbiegające się wokół prawego oka. Jej tęczówka nadal się żarzy, światło przesącza się przez pęknięcia gdzieś z jej wnętrza.

Zdaję sobie sprawę, że jest ranna. Słaba. Broń...

Broń coś jej odebrała.

A jednak nadal wyczuwam ją w swoim umyśle, promieniujące z niej ciepło, które leczy rany zadane mi przez ojca. Widzę go, jak trzymał mnie samą siłą woli; widzę, jak nóż, który próbowałem wbić mu w serce, wypada mi z rąk, gdy ojciec rozniósł moją psychikę na strzępy.

Próbował mnie zabić.

Tak jak ja próbowałem zabić jego.

– Co... się stało? – szepczę.

– Broń wypaliła – odpowiada Aurora. – Próbowałam to powstrzymać, skierować energię do wewnątrz, na siebie, ale... nie byłam w stanie jej utrzymać. Wszyscy Wędrowcy nie żyją.

– A flota? Bitwa? – Serce bije mi szybciej, unoszę się na łokciu mimo bólu. – Co się stało z Terrą? Z waszym słońcem?

– Słońcu nic nie jest. – Aurora przełyka ślinę, drży. – Ale Ziemia...

Patrzy mi w twarz, łzy napływają jej do oczu.

– Ziemi już nie ma, Kal.

Serce mi zamiera. Biorę ją za rękę.

– Broń w nią uderzyła?

– Nie. – Aurora znowu kręci głową, a ja wyczuwam kalejdoskop jej myśli: konsternację, strach, gniew. – To Ra'haam. Zagarnął całą planetę. Pożarł ją. Wchłonął. Wszystko, co na niej żyło.

– Jak długo byłem nieprzytomny? – szepczę z niedowierzaniem.

– Może kilka godzin.

– Godzin? – Kręcę głową. – Wobec tego... jak to możliwe?

– Nie wiem. Sięgnęłam umysłem po przebudzeniu i nie mogłam niczego wyczuć wokół nas. Flota, piloci, żołnierze, wszyscy przepadli, jakby nigdy ich tu nie było. Wyczułam tylko... to. Jak... olej i pleśń na moim umyśle. Jest tego tak wiele. Pokrywa Ziemię tak samo, jak pokrył Octavię. – Przechesuje palcami włosy. Skóra wokół jej prawego oka popękała jak wyschnięte błoto. – A Ra'haam' wyczuł mnie. Wiem to.

Kryształ szumi wokół mnie, ton się zmienia, tak samo jak odcienie. To wywołuje ciepłe fale na mojej skórze, ale znowu wstrząsa mną zrozumeniem, że nic nie jest dobrze.

– Pieśń tego miejsca. – Patrzę na lśniące piękno, które nas otacza, marszcząc brwi. – Sprawia inne wrażenie niż wcześniej. Wyczuwam w niej niemal... fałszywą nutę?

Aurora kiwa głową.

– Wiem, też czuję, że coś jest nie tak.

– Poruszamy się – zdaję sobie sprawę.

Aurora zerka w błyszczący korytarz i zaciska zęby.

– To jego robota. Musiałam zająć się tobą. Przemieszcza nas przez Fałdę. Zmierzamy... nie wiem dokąd. Z dała od Ziemi. Z dała od

Ra'haam.

– Muszę z nim porozmawiać.

– Kal, nie – prosi Aurora i próbuje mnie powstrzymać, kiedy się podnoszę. – Musisz odpoczywać. On prawie cię zabił, rozumiesz? Strzaskał twój umysł na tysiące kawałków. I jeśli jeszcze raz tego spróbuje, nie wiem, czy jestem dość silna, żeby go powstrzymać.

– Nie boję się go.

– Ale ja boję się o ciebie. Nie mogę cię znowu stracić, nie mogę!

Biorę ją w ramiona, ona obejmuje mnie mocno i na chwilę cały ból i smutek znikają. Gdy jest w moich objęciach, znów czuję się kompletny. Póki mam ją u swego boku, nie ma niczego, czego nie zdołałbym dokonać.

– Nie stracisz mnie – przysięgam. – Jestem twój na zawsze. Kiedy ogień ostatniego słońca zgaśnie, moja miłość do ciebie wciąż będzie płonąć.

Całuję ją w czoło.

– Ale muszę z nim porozmawiać, Auroro. Pomóż mi. Proszę.

Patrzy na mnie jeszcze przez chwilę, niepewna. Walczy z obawą, co ojciec może mi zrobić. Serce mnie boli na widok krzywdy, jaką jej wyrządził. Ile siły poświęciła na dotychczasową walkę. Wreszcie jednak zaciska zęby, obejmuje mnie za ramiona i pomaga mi wstać.

Nadal czuję się kruchy, jakbym był gobelinem z miliona nici, które trzymają się razem dzięki jednemu węzłowi woli i ciepła. Jednak Aurora jest przy mnie i tylko to się liczy. Wspierając się wzajemnie, kuśtykamy błyszczącym korytarzem. Wszędzie wokół nas tęcze kryształu śpiewają fałszywie i zgrzytliwie.

Mój ojciec nazwał ten statek *Neridaa* – to syldrańskie pojęcie opisujące jednoczesny proces niszczenia i tworzenia. Wiem jednak, że to kłamstwo. Posłużył się tą bronią, żeby zniszczyć syldrańskie słońce. Nasz świat. Dziesięć miliardów ludzi zgładziła jego ręka, a wśród nich była moja matka. Wiem, że mój ojciec tworzy tylko śmierć.

Sai'nuit.

Gwiazdóbójca.

Serce mi zamiera, gdy mój wzrok zatrzymuje się na nim. Siedzi na kryształowej iglicy pośrodku komnaty jak cesarz na krwawym tronie. Podłoga jest zaścielona trupami, strzaskanymi odłamkami kryształu. Powietrze cuchnie śmiercią. Nadal ma na sobie zbroję – czarną, z wysokim kołnierzem; długa szkarłatna peleryna spływa na stopnie poniżej. Dziesięć srebrnych warkoczy udrapował na poblížnionej twarzy. Widzę, jak płonie pod nimi jego oko, jarzy się tym samym blaskiem co oko Aurory, kiedy walczyli o los jej świata.

Przed nim widzę rozległą projekcję – połąć czerni upstrzonej maleńkimi gwiazdkami. Domyślam się, że znajdujemy się w Fałdzie i zbliżamy się do bramy. Zastanawiam się, dlaczego wewnątrz Broni świat nie staje się czarno-biały, jak to zwykle dzieje się w Fałdzie. Zastanawiam się, jakie jeszcze niezwykle właściwości ma ten statek. Czy to dzieło kryształu? Eshvarenów? Jego samego?

– Ojczy – mówię.

Nie słyszy mnie. Nie podnosi wzroku, *Neridaa* zbliża się do krystalicznej bramy o kształcie łyzy. Syldrańska konstrukcja.

– Ojczy! – wołam.

Zerka na mnie, a potem równie szybko odwraca wzrok. Jego oko płonie niczym małe słońce.

– Kaliisie. Żyjesz.

– Jesteś rozczarowany?

– Jestem pod wrażeniem. – Jego płonący wzrok pada na Aurorę, a potem znowu na rozciągającą się przed nim czernią. – Ale z drugiej strony zawsze byłeś synem swojego ojca.

Nie zamierzam łapać tej przynęty. Robię krok naprzód z Aurorą u mego boku.

– Co się dzieje? Gdzie jest armada Nieugiętych? Terrańska i betrańska flota? Jak to możliwe, że Ziemia została pożarta przez wroga tak

szybko?

Ojciec oblizuje wargi wykrzywione niemalże szyderczo.

– Przez wroga – powtarza.

– Wroga, którego miałeś powstrzymać! – warczy stojąca obok mnie

Aurora.

Zerka na nią. Skrzywienie ust pogłębia się odrobinę.

– Głupia dziewczyno. Rozumiem, dlaczego mój głupi syn ma do ciebie taką słabość.

Aurora robi krok naprzód, zaciska ręce w pięści.

– Ty sku...

– Czekał.

Biorę ją za rękę i ściskam, patrząc na projekcję unoszącą się przed moim ojcem. Przekraczamy właśnie Bramę Fałdy i wlatujemy do normalnej przestrzeni. Jednak z tak bliska widzę, że brama wygląda... niewłaściwie. Staro. Poczerniała od uderzeń kwantowych błyskawic. Połowa naprowadzających światła nie działa. Brama wygląda, jakby nie naprawiano jej od dziesięcioleci.

– Gdzie jesteśmy? – pyta Aurora.

Ojciec prychnął pogardliwie, odgarnia warkocz na plecy.

– Nieodmiennie szukasz odpowiedzi na niewłaściwe pytanie, dziewczyno.

Patrzę na układ planetarny i rozpoznaję gwiazdę z mojego dzieciństwa: jasnoblękitną jak szafir błyszczący w oceanie ciemności.

– To jest Taalos, be'shmai. Na Taalosisie IV znajduje się syldrańska kolonia. Gwiazdny port zagarnięty przez Nieugiętych po tym, jak wycofali się z Wewnętrznej Rady Syldry.

– Poleciał... po posiłki?

– Przybyłem tu, by uzyskać potwierdzenie, dziewczyno.

Aurora zgrzyta zębami, jej prawe oko zapala się jak błyskawica. Światło pulsuje pod jej skórą, przesącza się przez szpary w policzku.

Przez chwilę otaczające nas powietrze wydaje się oleiste, naładowane elektrycznością. Aurora krzywi gniewnie usta, mówiąc:

– Słuchaj, nie obchodzi mnie, jak bardzo jestem ranna, nie obchodzi mnie, ile to będzie mnie kosztować, ale jeśli raz jeszcze nazwiesz mnie „dziewczyną”, dokończymy to...

– Cisza – przerywa jej mój ojciec.

Aurora mruga zaskoczona.

– W porządku, może nie wyraziłam się jasno, ale nie będziesz odzywał się do mnie w taki sposób. Nie będziesz nazywał mnie „dziewczyną”, nie będziesz mnie uciszał i traktował jak coś, w co przez przypadek wdepnąłeś. Jestem Zapalnikiem Eshvarenów i w przeciwieństwie do ciebie byłam na tyle odważna, żeby...

– Nie.

Mój ojciec wstaje, marszcząc lekko czoło, i patrzy na wyświetlony przed nim układ planetarny.

– Słuchaj. Posłuchaj tego.

Spoglądam na Aurorę, która patrzy mi w oczy i zaciska usta. Czuję, jak jej umysł nabrzmiewa, sięga poza krańce mojego. Unosi rękę, jakby wyciągała ją do odległej gwiazdy. Blade światło, które rozjaśnia jej tęczówkę, przesącza się przez pęknięcia w skórze.

– Nic nie... nic nie słyszę.

Ojciec kiwa głową.

– Cisza.

Patrzy na gwiazdę Taalos, a jego twarz jest jak zimna maska.

– Wokół tego słońca krążyła kolonia składająca się prawie z pół miliona ludzi. Sami Nieugięci. Wierni aż do śmierci. – Splata palce i bierze głęboki wdech. – Teraz zagarnęła ich śmierć. Wszystkich co do jednego.

– Jak? – pyta cicho.

– Ra’haam – odpowiada szeptem Aurora. – Jestem w stanie... go wyczuć.

Patrzy na mnie ze łzami w oczach.

– Przejął kolonię, Kal. Przejął cały ich świat.

– Ale jak? – dopytuję się, coraz bardziej sfrustrowany. – Jak to możliwe? Ra’haam jeszcze nie rozkwitł! Zamierzał doprowadzić do wojny w Galaktyce, dopóki spał na planetach-wylęgarniach i czekał, aż się wykluje! A teraz zagarnął Ziemię? Taalosa? Jak to możliwe?

– To twoja wina – powiedziała Aurora, robiąc krok naprzód. – To wszystko twoja wina. Eshvarenowie zaufali ci, że pokonasz Ra’haam, a ty posłużyłeś się ich Bronią, żeby prowadzić swoją małostkową wojenkę! I gdzie cię to doprowadziło?!

Caersan patrzy na nią i władcza maska, którą nosi, powoli się zsuwa. Zaczyna się to od drobnego błysku rozbawienia w oku, delikatnego wykrzywienia ust. Wkrótce już uśmiecha się. Uśmiecha się coraz szerzej, aż odsłania kły i na domiar wszystkiego zaczyna się śmiać. Śmieje się, jakby moja ukochana powiedziała najzabawniejszą rzecz, jaką w życiu usłyszał.

Cała ta śmierć. Cała ta ciemność. A on uważa, że to zabawne. Widzę wtedy równie wyraźnie, jak widzę dziewczynę obok siebie, jak widziałem zniszczenie naszego świata i zniszczenie mojego ludu.

Mój ojciec oszalał.

– Co, u diabła, tak cię bawi?! – krzyczy Aurora.

– Jak już powiedziałem – odpowiada w końcu, ocierając łzę z oka mój ojciec – zawsze szukasz odpowiedzi na niewłaściwe pytanie.

– O co więc powinniśmy zapytać?

– Nie chodzi o to, do jakiego miejsca doprowadziła mnie moja ambicja, mój synu.

Bierze głęboki wdech i patrzy w pustkę.

– Ale do jakiego czasu.

CZĘŚĆ 2

DWA W JEDNYM ŻYCIU

– Co tu, u diabła, jest grane?!

Jestem z powrotem w kokpicie naszego syldrańskiego promu, unoszącego się na obrzeżach burzy ciemnej materii, w uszach wciąż mi dzwoni od wystrzału z pistoletu, który mnie zabił. Zamiast odtwarzać w myślach chwilę swojej śmierci, skupiam się na twarzy porucznik Kim, kiedy pojawia się na monitorze. Miałam nadzieję, że wybierze inne podejście w tej pętli, i kiedy nawiązuje łączność po raz dziesiąty, zdaję sobie sprawę, że jest gotowa rozmawiać.

To miło.

– Witam, porucznik Kim. Spodziewałam się ciebie.

Porucznik Kim milczy tak długo, że gdybym nie widziała na monitorze, że porusza się odrobinę, to uznałabym, że łączność została zerwana.

– Nie potrafię się zorientować, czy żartujesz – odpowiada w końcu.

– Zdumiewająco często to słyszę.

Znowu cisza.

– Otwórz służę powietrzną. Przyjdę do was.

Scarlett i Finian docierają na mostek zadyszani. Biegli spod maszyny. Finian słyszy końcówkę naszej rozmowy, pochyla się, żeby przyrzec się porucznik na monitorze.

– Wpuścimy cię tylko wtedy, jeśli zgodzisz się do nikogo nie strzelać. Umarłem dzisiaj już dziesięć razy i nie jestem w nastroju.

Porucznik mruga zaskoczona i marszczy czoło.

- Dziesięć? Zliczyłam tylko dziewięć razy.
 - Umarliśmy też w drodze tutaj.
 - W drodze tutaj z przyszłości. - W jej głosie słychać powątpiewanie.
- Scarlett pochyła się obok Finiana.
- Do zobaczenia wkrótce, droga porucznik.

Kim kończy połączenie, zostawiając naszą trójkę samą. Patrzymy po sobie w pełni świadomi tego, jak niemożliwe jest to, co się nam przydarza.

- To mi się nie podoba - mruczy Finian. - Ona mi się nie podoba.

- Mnie też - przytakuje mu Scarlett. - Ale nasz statek stracił wszelką manewrowość i nigdzie się stąd nie ruszymy, dopóki nie przekonamy jej, że nie stanowimy zagrożenia.

Fin patrzy na Scarlett i mówi cicho:

- Jesteś pewna, że nic ci nie jest?

Scarlett mruga zaskoczona.

- Pewnie, czuję się znakomicie. To znaczy, na ile to możliwe, zważywszy, co tu się dzieje...

- Ale... - Fin przetyka ślinę. - Ale zostałam zastrzelona.

- Nic mi nie jest, Fin. - Scarlett uśmiecha się delikatnie i dotyka jego dłoni. - Naprawdę. Ciebie też zastrzelono, wiesz?

- Aha - odpowiada cicho Finian. - Ale ja nie musiałem na to patrzeć.

Patrzą sobie w oczy przez dłuższą chwilę, milczenie w końcu staje się dla mnie zbyt nabrzmiałe i czuję się zmuszona je przerwać.

- Twój medalion. - Kiwam głową, zerkając na mały klejnot na szyi Scarlett. - Diament wzbudził się po tym, jak żagiel kwantowy został trafiony podczas burzy.

- Aha - odpowiada Scarlett, wracając do aktualnych spraw. - Tyle że to nie jest diament. Fin domyślił się, że to kryształ Eshvarenów.

Wpatruję się w medalion, mrużąc oczy.

- Ciekawe...

- Dlaczego zaczęła tak świecić?

– Nie wiem – mrużę, zastanawiając się gorączkowo. – Ale to musi mieć znaczenie. Do tej pory kilka z podarunków od admirała Adamsa i nadkomendantki de Stoy okazało się kluczowymi dla naszego przeżycia. Pudełko na cygaretki uratowało Kalowi życie. Inskrypcja na twoim medalionie odpowiedziała nam, że powinniśmy skupić się na unieszkodliwieniu Broni Eshvarenów. Zupełnie jakby dowódcy Legionu Aurory wiedzieli, co się nam przytrafi. Można wręcz uznać, że ich działania doprowadziły nas do tej chwili.

Fin przekrzywia głowę. Nie jest przekonany.

– Ewidentnie coś jest na rzeczy z tymi podarunkami, ale uznać, że nami kierowali? To już przesada, Zil. Oni mi dali cholerny długopis!

Scarlett kiwa głową, patrząc na moje złote koła.

– A ty dostałaś kolczyki.

BAACH.

Nasz prom kołysze się, kiedy jedna lina holownicza uderza w kadłub.

BAACH.

Zaraz uderza druga.

Fin przewraca oczami.

– Lepiej zejdźmy i wpuśćmy psychopatyczną porucznik. Ciekawe w jaki nowy i zaskakujący sposób zabije nas tym razem.

– Musisz być uprzejmy – ostrzegam go. – Jej zachowanie może być nadmiernie agresywne, ale porucznik Kim pełni kluczową rolę w tym wszystkim.

Scarlett unosi brew.

– Dlaczego tak uważasz?

– Rozumiem, że nie zwróciłaś uwagi na jej sygnał wywoławczy.

Teraz Finian patrzy na mnie zdziwiony.

– Że co?

– Jej sygnał wywoławczy. Przezwisko, którym nazywają ją inni piloci. Ma je wypisane na skrzydle swojego myśliwca. I na hełmie, który nosi.

– Byłam za bardzo zajęta gapieniem się na jej pistolet, żeby zwrócić uwagę na hełm – przyznaje Scarlett. – Jak brzmi?

Dotykam swoich kolczyków, podarunku z Repozytury Dominium. Małe złote ptaki z szeroko rozłożonymi skrzydłami zwieszają się z kół. Ich szpony rozbłyskują w słabym świetle.

– Jej sygnał wywoławczy to Sokół.

* * *

Tym razem, kiedy śluza powietrzna się otwiera, cała nasza trójka czeka na porucznik. Ona zaś nie wchodzi z wyciągniętą bronią, chociaż opiera na niej rękę. Staje w drzwiach, powoli odpina maskę i zdejmuje hełm.

Może być tuż po dwudziestce i myślę, że słusznie oceniłam, że jest z pochodzenia Azjatką. Ma symetryczne rysy, ładne w konwencjonalny sposób. Chociaż podejrzewam, że dla niektórych jej surowy wyraz twarzy może niweczyć to wrażenie.

Nie jest wysoka.

– No dobrze, spróbujmy raz jeszcze – mówi Scarlett. – Nazywam się Scarlett Jones, to jest Zila Madran, a to Finian de Karran de Seel.

– I zanim znowu zaczniesz strzelać, zaznaczę, że część moich najlepszych przyjaciół to Terranie – informuje ją Finian. – Właściwie wszyscy moi najlepsi przyjaciele.

– Porucznik Nari Kim – mówi powoli nasz gość.

– Miło cię poznać. – Scarlett się uśmiecha. – Dziękujemy, że nas nie zabiłaś.

– Nie ma za co – warczy porucznik. – No dobrze, to kto wygra wojnę? Scarlett przechyla głowę.

– Co?

– Skoro jesteście z przyszłości – mówi Kim, ewidentnie wciąż w to powątpiewając – to kto wygra? My? – Kiwa głową na Finiana. – Czy białasy?

- Nikt nigdy nie wygrywa wojny - odpowiadam - ale Terranie i Betraskanie podpiszą traktat pokojowy w...

- Czekaj, czekaj - przerywa mi Scarlett. - Czy powinniśmy rozmawiać o takich rzeczach?

- A czemu nie? - dziwi się Fin.

Scarlett zerka na porucznik.

- A jeśli zmienimy przyszłość?

- Takie rzeczy dzieją się tylko w kiepskich powieściach fantastycznonaukowych, nie?

- To, co nam się przydarzyło, jest bezprecedensowe - mówię. -

A przynajmniej na ile sami się orientujemy. Trudno określić konsekwencje naszych działań i praktycznie nie sposób wykalkulować, jakie efekty może mieć nasza obecność w tym czasie na przyszłość. Jednak biorąc pod uwagę podarunki dla nas od dowództwa Legionu Aurory, moim zdaniem najlepiej jest założyć, że powinniśmy znaleźć się tutaj.

- Może przyszłość, jaką znamy, istnieje tylko dzięki temu, co tu zrobimy - sugeruje Finian. - Może musimy jej to powiedzieć.

- Nadal tu jestem - przypomina nam porucznik Kim.

- Przepraszam. - Scarlett się uśmiecha. - My też próbujemy to wszystko ogarnąć. Uwierz nam, jesteśmy niemal tak samo zagubieni jak ty. Jednak w naszych czasach Betraskanie są najbliższymi sojusznikami Terry. Właśnie opuściliśmy bitwę w 2380 i jedną z ostatnich rzeczy, jakie widzieliśmy przed... tym wszystkim... - Scarlett macha ręką wokół siebie - ...była flota betraskańska, która przybyła, żeby stanąć w obronie Ziemi.

Widzę, że porucznik chce zadać więcej pytań o nasze czasy, ale powstrzymuje się i jestem jej za to wdzięczna. Nie ma sensu myślenie o tym, co zastawiliśmy za sobą. Kogo zostawiliśmy.

- Zatem czym, u diabła, jest... - porucznik naśladuje gest Scarlett - ...to wszystko?

- To właśnie próbujemy ustalić.

Pilotka obrzuca mnie spojrzeniem, zatrzymując wzrok dłużej na moich oczach.

– No to próbujcie. Bo jeśli o mnie chodzi, to nadal wielce prawdopodobne jest to, że jesteście szpiegami białasów.

– Słuchaj, Ziemniaczko... – zaczyna Fin. – Może zechcesz tak dać biały...

– Tu są sami przyjaciele – wchodzi mu w słowo Scarlett, poklepując Finiana po ramieniu i uśmiechając się promiennie do porucznik. – Sami przyjaciele, zapomniałeś?

– Istnieją dwie możliwości – odzywam się. – Albo wydarzenie katalityczne miało miejsce tam, gdzie byliśmy, i spowodowało przerwanie nas w przeszłości oraz stworzenie tej anomalii...

– Takim wydarzeniem mogło być znalezienie się dokładnie na drodze potężnej pradawnej parapsychicznej superbroni, kiedy z niej wystrzelono? – pyta Scarlett.

– ...albo wydarzenie katalityczne miało miejsce tutaj – kontynuuję. – I przyciągnęło nas do tej chwili w czasie.

– Potencjalnie obie rzeczy pasują – mruczy Finian.

Kiwam głową.

– Możesz nam opisać swoje doświadczenia? – pytam porucznik Kim.

Nasz gość rozważa moje pytanie. Nie potrafię dobrze oceniać cudzych emocji, ale moim zdaniem, chociaż nadal jest nieufna, to część napięcia z niej uszła. Teraz przynajmniej próbuje współpracować.

– Byłam właśnie na patrolu sześć minut temu, kiedy nagle pojawiliście się na moich czujnikach – mówi. – Rozmawiamy, strzelam do was i wracam do punktu wyjścia. Nie rozmawiamy, strzelam do was, wracam do punktu wyjścia. Zabieram was na stację, zostajecie zastrzeleni, wracam do punktu wyjścia. Za każdym razem, gdy umieracie, ląduję dokładnie w tym samym miejscu, gdzie byłam sześć minut temu.

Mój umysł uspokaja się, a ja zdaję sobie sprawę, że ten spokój wynika z faktu, że mam konkretny problem do rozwiązania. To jest coś,

co potrafię robić. Zbiorę dane. Przeanalizuję je. Miło będzie mieć zajęcie.

– Co tu się działo sześć minut temu?

Porucznik zagryza usta. Nawet dla mnie jest oczywiste, że jest niechętna, nieufna. W końcu jednak odpowiada:

– Stacja przeprowadzała próbę. Doszło do swojego rodzaju... fluktuacji mocy. Zobaczyłam kulę ciemnego światła o promieniu tysięcy kilometrów, która pochłonęła mój statek. Wszystkie moje instrumenty zwiariowały. A kiedy to minęło... wasz statek znalazł się dokładnie tutaj.

– Jakiego rodzaju próbę? – pytam.

Scarlett kiwa głową.

– Czym właściwe zajmuje się ta stacja?

Porucznik Kim rozgląda się i po raz pierwszy zdradza odrobinę paniki, jaką musi przeżywać.

– Do diabła, nie mam pojęcia. To ściśle tajna operacja wojskowa.

– Wobec tego zebranie informacji musi być naszym pierwszym zadaniem – oznajmiam. – Skoro zjawiliśmy się dokładnie w chwili, w której próba została przeprowadzona, to możemy rozsądnie założyć, że właśnie próba mogła doprowadzić do naszego przybycia. Musimy poznać cel istnienia stacji.

– Jak? – pyta Finian. – Kiedy ostatnim razem się tam znaleźliśmy, natychmiast nas zastrzelono.

– Może moglibyśmy z nimi porozmawiać? – proponuje Scarlett. – Jeśli oni też doświadczają pętli czasowej...

– Nie – odpowiada Kim, kręcąc głową. – Wątpię, żeby ktokolwiek na stacji miał jakiegokolwiek pojęcie o tym, co tu się dzieje. Kilka razy po powrocie do punktu wyjścia rozmawiałam ze Szklanym Pantofelkiem, prosząc o instrukcje, zanim padła łączność. Za każdym razem otrzymywałam tę samą odpowiedź. Słowo w słowo. Zachowywali się, jakby nie działo się nic dziwnego. Poza tym, że mają wyciek z rdzenia i co tam jeszcze się w tej chwili działo.

– Nie wiem, czego się spodziewaliście – odzywa się Fin. – Przywiąza-
liście się do burzy ciemnej materii i łapiecie kwantowe impulsy. Na
wypadek gdybym wcześniej nie wyraził się dość jasno, równie dobrze
moglibyście wejść do zagrody pełnej mondorskich valshinów i zdjąć
spodnie.

Wszystkie trzy patrzymy na niego pytająco.

– Nie? Nie macie... No dobrze, powiedzmy po prostu, że to niewska-
zane.

Scarlett ściąga usta w zadumie, patrząc na Kim.

– Jeśli to nasze przybycie powoduje to wszystko i twój statek był
jedyną rzeczą w pobliżu, to mogłoby wyjaśniać, dlaczego ty ugrzęzłaś
w pętli czasowej, podczas gdy nikt inny nie wie, co tu się dzieje.

– Hmm – mruczy Kim i patrzy na nią z ukosa, ewidentnie zasko-
czona równie przenikliwym spostrzeżeniem. Jednak to rzeczywiście jest
rozsądne założenie.

– Musimy dowiedzieć się czegoś więcej – oznajmiam. – Wiedza jest
kluczem. Mamy dwadzieścia osiem minut do drugiego impulsu kwanto-
wego, którego byliśmy świadkami; impulsu, który uderzy w żagiel,
a potem w samą stację, prawdopodobnie niszcząc jej kluczowe części.
A jeśli pole ochronne wokół rdzenia zostało przerwane, to jest to tylko
kwestia czasu, zanim sama stacja przestanie funkcjonować. Powinni-
śmy podjąć działania.

– Jakie właściwie? – pyta porucznik Kim, znowu nieufna.

– Musimy ustalić podstawowe fakty – odpowiadam. – Aktywator
wydaje się stały, ale bez dalszych danych nie możemy zakładać, że ano-
malia czasowa mimo swojej uporczywej natury nie podlega rozpadowi.

Porucznik ma znajomy wyraz twarzy, chociaż ostatnio rzadko go
widywałam. To znaczy, że nie ma pojęcia, o czym mówię. Zerka na Scar-
lett, która patrzy na Finiana.

Finian tłumaczy moje słowa.

– Ona ma na myśli to, że ponieważ nie wiemy, co zapoczątkowało pętlę, nie wiem, czy będzie powtarzała się wiecznie. Możliwe, że czas nam się kończy.

– No to działajmy – mówi Kim. – Macie skafandry kosmiczne?

– Rozumiem, że masz pomysł, jak wprowadzić nas na pokład stacji?
– pyta Scarlett.

– To zależy – odpowiada porucznik Kim. – Przeszliście szkolenie w nieważkości?

– Niektórzy mniej, inni bardziej – odpowiada cierpko nasza Twarz. – Fin mi pomoże. Rewelacyjnie sobie radzi bez ciężenia.

– Nie masz nawet pojęcia. – Fin szczyrzy zęby w uśmiechu.

Porucznik przygląda się przez chwilę Finianowi, a potem odwraca wzrok, jakby nie chciała pamiętać, że pomaga Betraskaninowi. Zakładam, że szkolenie wojskowe nauczyło ją ufać instynktowi, radzić sobie w sytuacjach dużego napięcia z zimną krwią. Nie dysponując innym rozsądnym wyjaśnieniem, jest gotowa uwierzyć temu, co na razie podpowiadają jej własne zmysły. Przyznaję, że z pewnym podziwem patrzę na to, jak dobrze radzi sobie w tej sytuacji.

Porucznik patrzy na mnie, a ja zdaję sobie sprawę, że się na nią gapię.

Odwracam wzrok, pochylając głowę tak bardzo, że włosy spadają mi na twarz.

– Cała stacja będzie w stanie najwyższego pogotowia – ostrzega. – Nieudana próba miała miejsce niecałe dwadzieścia minut temu. Będą się zastanawiać, czy to nie był sabotaż, i będą strzelać do was bez ostrzeżenia. Mój statek ma ładownię, ale będzie tam cholernie ciasno, więc mam nadzieję, że się lubicie. I to bardzo.

Widzę, że Finian i Scarlett zerkają po sobie przelotnie.

– Wprowadzę was służą towarową – tłumaczy Kim. – Przy odrobinie szczęścia ochrona będzie zbyt zajęta awarią rdzenia, żeby cokolwiek zauważyć.

- A przy odrobinie pecha? – pyta Scarlett.
Fin zdobywa się na błądy uśmiech.
– Do jedenastu razy sztuka?

* * *

Mimo ciasnoty w ładowni myśliwca docieramy do stacji szybko, a potem wystarczy przemieścić się w przestrzeni kosmicznej do towarowej śluzy powietrznej, gotowej do przyjęcia dostawy. Dla Scarlett to ewidentnie spore wyzwanie i nawet kiedy już znajdujemy się bezpiecznie w środku, wciąż trzyma Finiana za rękę.

A przynajmniej podejrzewam, że właśnie z tego powodu.

Porucznik Kim kazała nam poczekać w śluzie. Sama zadokuje myśliwiec i odmelduje się przelożonym. A kiedy już będzie mogła się wymknąć, wyrówna ciśnienie w śluzie i wpuści nas do stacji. I miejmy nadzieję, że nikt nas nie zauważy.

Czekamy w milczeniu. Widzę rozległą, skłębioną czerń przez iluminator w śluzie, rozświetlany przelotnie rozbłyskami energii – posępny fiolet przetykany głębszą ciemnością. Staram się, jak mogę, ignorować to, że przez burzę skóra mi cierpnie. Jej moc jest wręcz niewyobrażalna i myśl o naukowcach na pokładzie tej stacji, którzy próbują ją ujarzmić... budzi we mnie niepokój.

Przyznaję, że uczucie, jakiego doświadczam, gdy zewnętrzne drzwi zaczynają się zamykać, to czysta ulga. Musimy upewnić się, że stoimy na podłodze, kiedy grawitacja się pojawi, żebyśmy nie pospadali. Zsuwam się na miejsce obok Finiana, Scarlett stoi po jego drugiej stronie, podtrzymując go nieco. Powrót grawitacji jest dla niego niemiłym wróżeniem.

Obok wewnętrznych drzwi śluzy zapala się zielone światło, które sygnalizuje, że ciśnienie się wyrównało. Zdejmujemy hełmy, kiedy drzwi się odsuwają. Jednak zamiast porucznik Kim widzimy trzech terańskich żołnierzy z napisem Ochrona na napisownikach.

Drobna cząstka mojego umysłu zauważa zdumienie, że noszą kamuflaż. Przecież są w kosmosie. Po co im kamuflaż?

Unoszą broń.

– Ożeż kurna – mówi Finian. – Jaja sobie ro...

BUM.

Potrzebowaliśmy dziewięciu prób – i kolejnych dziewięciu śmierci – żeby wreszcie znaleźć sensowny sposób wejścia do stacji. Zaczynamy być w tym całkiem dobrzy.

Lada chwila zaczniemy przrzucać się z porucznik Nari Kim prywatnymi żarcikami.

Żartuję. Porucznik Kim nie rozpoznałaby żartu, nawet gdyby spadł z nieba i uderzył ją w głowę, a wszyscy wokół krzyknęliby: „Wielki Stwórco, z nieba spadają żarty!”.

Jeśli jednak idzie o nasze wejście do środka, to czas na nas. Przywarłem do stacji od zewnątrz, jakby to była miłość mego życia i czekam na swoją kolej, żeby wpełznąć do środka przewodem do usuwania odpadków. Zila zniknęła dwie minuty temu, co oznacza, że ja ruszę za czternaście sekund. Przez dziewięć myślę o tym, jak Scarlett mrugnęła do mnie, zanim weszła do zsypu, a przez pozostałe pięć o porucznik Kim, bo jeśli to się uda, będziemy mieli czas na pierwszą prawdziwą rozmowę z nią i muszę przestać ją wkurzać.

Opanowaliśmy już pierwszą część pętli i wszystko działa jak w zegarku. Kim spostrzega nasz statek i kiedy nadaje do dowództwa stacji, że leci go zbadać, my wpełzamy do maleńkiej ładowni jej myśliwca w naszych skafandrach kosmicznych.

Potem nasza nowa przyjaciółka Nari wysadza prom, jej system łączności pada i w jedenastej minucie naszej pętli podrzuca nas w okolice ujścia systemu usuwania odpadków. Śpieszymy się zmartwieni, że

impuls kwantowy, który widzieliśmy z hangaru, może zniszczyć coś, co mogłoby pomóc nam wrócić do domu.

Mam jednak całkiem niezłe przeczucia, jeśli idzie o pomysł ze zsy-
pem. Na pokładzie panuje chaos z powodu wypadku, który zapoczątko-
wał ciąg tych zdarzeń i ta trójka, która załatwiła nas ostatnim razem, to
był tylko przypadkowy patrol ochrony.

Mój zegarek daje sygnał, więc ruszam, rozkoszując się ostatnimi
chwilami w nieważkości. Okrągły otwór rozsuwa się, zahaczam torbę
o nogi i czekam, aż zsymp wypuści obłok gazu i popiołu.

Teraz mam pięć sekund, zanim się zamknie i ciśnienie wewnątrz
zostanie wyrównane. Podciągam się do środka, szarpnięciem wciągam
do środka nogi i torbę tuż przed tym, jak zsymp się zamyka. Znajduję się
w ciemności, którą przesywa światło z mojego hełmu.

Zsymp jest niewiele szerszy od mojego ciała. Wyciągam ręce przed sie-
bie. Chociaż jestem tykowaty, ledwie się przeciskam. Scar musiała się
niezłe namęczyć z racji jej bardziej krągłych fragmentów.

Staram się nie myśleć o tych krągłościach. I bez tego już jest tu ciao-
sno.

Posługując się dłońmi i stopami, kolanami i łokciami, przesuвам
się zsympem tak szybko, jak zdołam. Mam nieco ponad dwie minuty,
zanim napotkam kolejny ładunek gorącego popiołu spływającego
w moim kierunku, i nie jest to ten rodzaj śmierci, jakiego chciałbym
doświadczyć – już za pierwszym razem bolało dostatecznie. Moje ciało
protestuje, skafander utrudnia każdy ruch. Mój ulubiony multitool
wbija mi się w żebra.

Zegarek na moim nadgarstku brzęczy, dając znać, że została mi
minuta, więc przyśpieszam; każdy ruch jest drobny, ale pośpieszny.

Kolejny sygnał.

Trzydzieści sekund.

Chakk.

Wreszcie mój hełm oświetla brzeg wjazdu wyjściowego.

- Jestem – wołam cicho.

Pojawiają się Scarlett i Zila. Światła na hełmach mają wyłączone, sięgają do tunelu, żeby mi pomóc wyjść.

Stoją w niszy w ścianie ledwie szerokiej na jedno ciało. Nikt tędy nie chodzi z wyjątkiem autonomicznych dronów, które zbierają śmieci i wyrzucają do zsypów. Jeden z nich pojawi się tutaj za jakieś dwadzieścia sekund.

Dziewczyny łapią mnie za wyciągnięte ręce i ciągną. Prześlizguję się koło wciąż ciepłego kręgu do spalania i wynurzam się ze zsypu. Dziewczyny opuszczają mnie i podtrzymują, aż mogę stanąć na podłodze. Wszyscy zamieramy, buty Zili znajdują się na wysokości mojej twarzy. Słyszę Scarlett za sobą, hełm tłumi jej głos.

- Co jest w plecaku?

- Parę drobiazgów. Narzędzia. Przekąski. Wiesz, rzeczy niezbędne.

- Cóż, droga do serca dziewczyny wiedzie przez...

- Cisz! – syczy Zila.

Scar zamyka się, ściskając mi kostkę w podcięcie, a dron nadlatuje z terkotem, wypuszcza ładunek do zsypu i ponownie odlatuje. Stacja trzęsie się, syreny wyją przez głośniki.

- Uwaga, personel Szklanego Pantofelka. Zespół techniczny potrzebny na pokładzie 19. Priorytet: 1. powtarzam: Technicy, pokład 19, sektor Alfa.

Kiedy dron znika nam z oczu, wstajemy. Stawy trzeszczą. Zdejmuję hełm, a Scar podaje mi moją torbę. W powietrzu unosi się dym i zapach palonych polimerów, światła migają, z białych zmieniają się w czerwone.

- Dziewięćdziesiąt sekund do naszego okna – mruczy Zila.

Idziemy za nią cicho w stronę panelu sterowniczego przy wejściu. Wszędzie wokół nas alarmy wrzeszczą, z głośników wylewają się raporty o uszkodzeniach. Tym razem (inaczej niż za pierwszym) czekamy

z uchem przy panelu, aż minie nas patrol ochrony. Dopiero wtedy wyjmuję multitoola i otwieram wąż.

Potem jest już łatwo. Idziemy szybko korytarzem, skręcamy w drugi po lewej i docieramy na miejsce: pomieszczenie obok stacji hydratacji i magazynu. Na tabliczce widnieje napis Hydr.Mag.

– Nie ma takiego zwierzęcia? – pytam, przyglądając się skrótowcowi.
– Pochodzącego z Terry?

Scarlett rzuca mi skonsternowane spojrzenie.

– Hydrmag?

– Hydra to taki jamochłon – mówi niepewnie Zila.

– Nie, nie, to wielki potwór – odpowiadam, mrużąc oczy i próbując przypomnieć sobie coś więcej. – Ogromne zębiska. Żyje w wodzie.

– Rekin? – podsuwa Scar.

– Ach, hipopotam – mówi Zila.

Jestem prawie pewien, że coś pokręciłem, ale warto udawać głupka, żeby rozbawić Scarlett – rozlega się ciepły, gardłowy śmiech, od którego przechodzi mnie dreszczyk po plecach.

– Jasne, hipohydra. Scar, ucz się zoologii, bo to zwierzę ewidentnie jest niebezpieczne.

– To najbardziej niebezpieczny żyjący ssak lądowy – przytakuje jej z powagą Zila. – Może zmiażdżyć człowieka w szczękach.

Porucznik Nari Kim pojawia się w drzwiach.

– Czekaście, co miażdży człowieka w szczękach?

– Podobno hipopotamy – odpowiada wyraźnie przejęta tym faktem Scarlett.

– Nie martwiłabym się tym zbytnio, Ruda – odpowiada Nari. – Nie żyją w kosmosie. A poza tym zostało ich już tylko pięć sztuk.

– Nieprawda – wtrąca się Zila. – Nasze programy introdukcji były dużym sukcesem. Hipopotamy doskonale się rozwijają w środowisku wodnym na Troi III.

- Chwileczkę - odzywam się. - Dlaczego właściwie uratowaliście przed całkowitym wymarciem przerażającego potwora z wielkimi zębiskami?

Zila wzrusza ramionami.

- Nauka.

Nari przez chwilę sprawia wrażenie niemal rozbawionej, ale zaraz przypomina sobie, że jest twardzielką, która teoretycznie prowadzi wojnę z moimi ludźmi. Znowu marszczy brwi i chmurzy się. Jednak przysiągłbym, że zaczyna nas lubić.

Kiedy ochrona znalazła nas w służbie przy pierwszej próbie wejścia na stację, byłem przekonany, że to ona nas wydała. Jednakże dziewięć naszych kolejnych prób przekonało mnie, że przynajmniej ta Ziemiaczka jest po naszej stronie.

Po części rozumiemy, jakie to szaleństwo. Podróż w czasie. Temporalne pętle. Umieranie raz za razem i powracanie. Jednak trudno nie wierzyć w dowody, które walą nas prosto w twarz za każdym razem, gdy ginimy. I tak jak mówi Zila, chociaż jestem wrogiem tej dziewczyny, to wszyscy mamy wspólny interes. Wszyscy chcemy wydostać się z tej pętli.

- W porządku. - Nari rozgląda się po zadymionym korytarzu. - Wygląda na to, że obmyśliliśmy sposób, żeby was wprowadzić i żeby nikt przy okazji nie odstrzelił wam łbów.

- Ani żebyśmy się nie udusili - wtrąca Zila.

- Albo spalili. - Scarlett drży.

- Aha. - Kiwam głową. - To zabolalo.

- Ochrona jest w najwyższym pogotowiu - mówi Nari. - Na ile się zorientowałam, uszkodzenie rdzenia jest poważne. - Cała stacja dygoce wokół nas, jakby jej przytakiwała. - Pozostałości dowództwa w każdej chwili mogą zarządzić ewakuację. Czego więc teraz szukamy?

- Uwaga, personel medyczny ma zgłosić się do sektora Beta, pokład

- Informacji - odzywam się. - Będzie nam potrzebny terminal z dostępem do wszystkich tajnych dokumentów, jeśli mamy się czegoś dowiedzieć. Tutejsza technika ma dwieście lat, a ja uwielbiam klasykę, ale nie zdołam włamać się do systemu. Rzecz w tym, że nie dam rady się podpiąć do waszych gniazdek.

- W laboratoriach będzie mnóstwo ludzi - mówi Nari, marszcząc brwi. - Trzydziestu sześciu członków sekcji naukowej zginęło podczas próby i jeśli dowództwo podejrzewa sabotaż, to ochrona oblezie wszystkie pokłady jak liszaj.

- Personel medyczny ma natychmiast zgłosić się na pokład 12 - wzywają głośniki. - Powtarzam, personel medyczny, pokład 12.

- Pomyśl - zachęca ją Scar. - Kogo nie będzie na jego stanowisku?

Stacja kołysze się, metalowe ściany jęczą, a porucznik powoli podnosi wzrok do góry.

- Doktora Pinkertona. To szef projektu. Zginął w wybuchu. Na pewno ma osobisty terminal w swoim gabinecie.

- Genialnie. - Scarlett posyła jej jeden ze swoich uśmiechów, który zawsze sprawia, że człowiek czuje się, jakby stanął w blasku słońca. - Panuje tu spory chaos, ale pewnie będziemy potrzebować mundurów, jeśli mamy biegać tu względnie bezpiecznie. I jakiegoś sposobu, żeby ukryć tożsamość Fina.

- Nie, możemy dotrzeć na poziom administracji schodami ewakuacyjnymi - zapewnia ją pilotka. - Moim zdaniem mamy spore szanse, jeśli nie będziemy rzucać się w oczy.

Myślę, że chyba ona jedyna ocenia nasze szanse tak optymistycznie, ale idziemy za nią. Cztery pary nóg stawiają cicho kroki na metalowych schodach. Zajmuje nam to więcej czasu, niżbym chciał, prawie kwadrans według mojej oceny, ale udaje nam się uniknąć paru bardzo zestresowanych i nad wyraz skłonnych do strzelania patroli ochrony, które biegną tu wszędzie.

Stacja znowu dudni, słyszę głuchy huk przez ściany. Scar wyciąga rękę, żeby mnie przytrzymać, gdy mój egzoszkielet syczy. Ściskam jej

dłoń i uśmiecham się w podzięcie. Mam wrażenie, że stacja rozleci się zaraz w drobny mak.

– Uwaga, personel Szklanego Pantofelka. Uszkodzenie powłoki na pokładach od 13 do 17.

– Chyba musiało mi całkiem odbić... – mruczy Nari.

– To możliwe – przytakuje jej Zila, która idzie za nią. – Ale powątpiewanie we własne zdrowie psychiczne jest rozsądnym dowodem na to, że wbrew pozorom zachowałaś jasność umysłu.

– Aha, ale może właśnie tak powinnam myśleć – mówi Nari, oglądając się na Zilę. – Może nic z tego nie dzieje się naprawdę. Może właśnie jestem jeńcem wojennym, zamkniętym w psycholaboratorium białasów, i to wszystko to jakiś wywołany lekami koszmar, który ma sprawić, że wydam ściśle tajne informacje.

– Informacje na temat czego? – odzywam się. – Zważywszy, że jesteś zwykłym trepem i nie masz o niczym zielonego pojęcia?

– A skąd mam wiedzieć, białasie? – odpowiada Nari zrzędliwym tonem, bo wytknąłem słaby punkt w jej teorii. – Wiem tylko, że jeśli mnie przyłapią na pomaganiu waszej trójce, to stanę razem z wami w szeregu i zostanę rozstrzelana jako zdrajca.

– Uwaga, personel Szklanego Pantofelka. Cały personel techniczny ma natychmiast zgłosić się do sektora Gamma, pokład 12.

– Pozwól, że cię zapewnię jako ta, która umarła dwanaście razy, że to naprawdę się dzieje – odzywa się Scar. – Śmierć boli.

– Trudno zrozumieć, co tu się dzieje – przytakuje Zila, przekrzykując ryczące głośniki. – Miejmy nadzieję, że znajdziemy odpowiedzi w komputerze stacji. Nie uważam jednak, żebyś oszalała, porucznik Kim. Ani żebyś była zdrajcą. Przeciwnie: uważam, że jesteś bardzo dzielna.

Ziemiaczka unosi brew na te słowa, a Zili przez kilka sekund udaje się nie odwracać wzroku. Dopiero potem pochyla głowę i podejmuje wspinaczkę. Po trzech ciągach schodów nasza współkonspiratorka wymyka się, żeby sprawdzić korytarz, a potem daje nam szybko znać, żebyśmy szli za nią.

BUM.

Cała stacja trzęsie się, gdy coś gdzieś wybucha.

– Uwaga! Przebicie pola siłowego. Natychmiast ewakuować pokład 5 i 6. Powtarzam: przebicie pola siłowego.

– Możemy przejść tędy do sekcji Beta – mruczy Ziemniaczka. – Potem mamy jeszcze dwa piętra do gabinetu Pinkertona.

Pokład sekcji Beta znajduje się na obrzeżach stacji, są tu iluminatory z widokiem na kosmos. Kiedy je mijamy, widzę ciemność tuż za ścianami stacji. Gruby kabel biegnący w burzę ciemnej materii, długi na setki tysięcy kilometrów, połączony z kwantowym żaglem zanurzonym w chaosie. Drobnutki rozbłysk energii rozświetla burzę i potężne skłębione chmury, ciągnące się na miliony kilometrów. Echa niosą się przez całą podprzestrzeń.

Szczerze mówiąc, na ten widok mam ochotę wrzeszczeć ze strachu.

– To jest piękne – mówi cicho Scarlett, dowodząc tym samym (podobnie jak wtedy, kiedy postanowiła mnie pocałować), że trzeźwość jej oceny sytuacji budzi ogromne wątpliwości.

TRACH.

Prosto z burzy wypada ten sam potężny impuls kwantowej energii, który widzieliśmy w hangarze, znowu uderza w żagiel. Jest tak jasny, że przez chwilę widzę tylko powidoki. Zila zerka na swój wyświetlacz na nadgarstku.

– Czterdzieści cztery minuty...

– Patrz – szepcze Scar. – To znowu się dzieje...

Mrugam wściekle, kiedy impuls pędzi po kablu w stronę stacji. Łuk ciemnej energii płonie wściekle na tle głębszej ciemności. Kryształ w medaliku Scarlett też płonie. Od czarnego światła bolą mnie oczy.

– Dlaczego on to robi? – dopytuje się Nari.

– Doskonałe pytanie – mówi Zila.

Zerkam na migotanie górnych światel i mruczę:

– Wiecie, mam szczerą nadzieję, że osłona grawitonowa w tej sekcji pozostała nienaruszona.

– Czemu? – Scar odrywa wzrok od błyszczącego dekoltu. – A co by się stało, gdyby osłona grawitonowa została uszkodzona?

I wtedy dwie rzeczy wydarzają się jednocześnie.

Po pierwsze, impuls kwantowy dociera do stacji, przewala się przez kadłub, przez nieosłoniętą część, w której stoimy, i przez nasze ciała.

Po drugie, Nari Kim przekonuje się, że Scar nie żartowała, kiedy powiedziała, że umieranie boli.

PAFF.

Maszeruję korytarzem skąpanym w szarym świetle, a pierwszy paladyn Saedii idzie za mną. Silniki zmieniły ton dwie minuty temu. Lecimy teraz z całą mocą na spotkanie z armadą Nieugiętych.

Nagłówki wiadomości rozbłyskują w mojej głowie, wszystkie te drobne iskierki konfliktu, które zostaną rozdmuchane w potężne płomienie przez Ra'haam i jego agentów. Prawdziwe przedstawienie dla odwrócenia naszej uwagi. Zaslona, za którą skrywa się zagrożenie, aż będzie za późno.

Głowa mnie boli. Nadal nie doszedłem do siebie po tym, jak prawie umarłem po wybuchu kapsuły ratunkowej. Stoję na nogach dość chwiejnie, w palcach czuję mrowienie i za każdym razem, gdy zamykam oczy, widzę tamten sen.

Głos, który nalega, powtarza raz za razem.

„...nadal masz szansę, by to wszystko naprawić...”

Powinienem być w tym dobry. Taktyka to moja dziedzina. Ugrzęzłem jednak na pokładzie wrogiego statku z setką syldrańskich fanatyków i każda chwila, jaką tu marnuję, to kolejna chwila, jaką Ra'haam zyskuje na dojrzewanie pod powierzchnią Octavii i pozostałych światów-wylegarni.

Nie wiem, gdzie jest Scarlett. Auri. Zila. Fin. Kal. Nie wiem, czy żyją, czy zginęli.

I na Stwórcę, ten ból głowy...

– Stój.

Erien odzywa się za moimi plecami, zatrzymując mnie przed ciężkimi drzwiami z plastali. Jest ich mnóstwo w tym korytarzu. Kiedy się rozglądam, domyślam się, że zaprowadził mnie na poziom więzienny.

Robię, co mi kazano. Odwracam się, kiedy Erien przyciska dłoń do panelu sterującego obok drzwi. Otwierają się, ukazując ciemne pomieszczenie, wąziutką koję i puste ściany.

– Templariuszka kazała ci zabrać mnie do właściwych kwater.

– To jest odpowiednie dla ciebie miejsce. Jesteś tu jeńcem, mieszkańcu, a nie gościem. – Kiwa głową, wskazując celę. – Wchodź.

– Słuchaj – mówię, próbując nie zwracać uwagi na dudnienie w głowie. – Wiem, że twoim zdaniem stoimy po dwóch różnych stronach barykady, ale widziałem cię na *Andarael*. Saedii cię szanuje. Słucha ciebie. A domyślam się, że pierwszy paladyn Nieugiętych jest dostatecznie bystry, żeby widzieć, kiedy ktoś nim pogrywa. Dlaczego GAW porwałaby Saedii, jeśli nie po to, żeby sprowokować wojnę? Dlaczego...

Unosi rękę, żeby mi przerwać.

– Jestem równie zainteresowany twoimi teoriami spiskowymi, jak pochlebstwami. Wchodź do środka.

Zgrzytam zębami. Z powodu desperacji ponosi mnie gniew.

– Muszę znowu porozmawiać z Saedii. Musimy...

– Gdyby to ode mnie zależało, już byś nie żył. Chociaż ewidentnie ma do ciebie słabość, Saedii jest moją templariuszką i wypełnię jej rozkaz, umieszczę cię w bezpiecznym miejscu. Ostrzegam cię jednak, nie obrażaj ponownie mojego honoru.

Wytrzeszczam oczy.

– Ma słabość?!

Jego zimny wzrok pada na moją szyję, na malinki, jakie zostawiła tam Saedii.

– Słuchaj, ja dla niej nic nie znaczę – zapewniam go. – Wylądowaliśmy razem w opałach i Saedii musiała się trochę wylądować. To nic takiego.

Erien przekrzywia głowę.

– Nic takiego.

– Jestem tylko zabawką. Prawie oderwała mi głowę, gdy mnie całowała. Nie masz się czym martwić. To znaczy... o ile w ogóle się martwisz. Ten drugi paladyn nazwał cię be'shmai, więc pomyślałem, że jesteście...

– Jesteś głupcem. – Erien kładzie rękę na gładkiej rękojeści syldrańskiej broni pulsacyjnej u pasa i ustawia ją na bardzo mocne ogłuszenie. – Wejdz do celi.

– Wielki Stwórco, nie możesz przez chwilę pomyśleć?! – warczę, gdy ból głowy znowu się zaostrza. – Ziemia przez całe lata unikała wojny z Nieugiętymi. Dlaczego GAW miałyby nagle zaatakować *Andarael*, o ile...

Erien łapie mnie za rękę i mocno ściska.

I to byłoby tyle.

Nie lubię tracić opanowania. Dlatego nie piję, nie palę, nie przeklinam. Jednak desperacja, świadomość, że Ra'haam nami pogrywa, obawa o losy drużyny i siostry, odkrycie, że moja matka, której nigdy nie znałem, była Syldranką i ten cholerny ból głowy...

Wyrywam rękę i warczę:

– Nie dotykaj mnie, ty s...

Erien porusza się tak szybko, że mój wzrok nie nadąży. Jedną rękę zaciska mocno na moim nadgarstku, drugą łapie mnie za gardło, podcina mnie, obala na podłogę i pochyla się, nadal trzymając mnie za gardło. Gwiazdy rozbłyskują mi w polu widzenia, kiedy przydusza mnie całym swoim ciężarem.

Udaje mi się go kopnąć w szczękę, aż mu odskakuje głowa. Erien zatacza się, jego chwyt nieco słabnie. Uderzam drugą stopą, podcinam go, mogę się teraz przeturlać i wstać. On też zaraz się podrywa, porusza się płynnie jak woda, przypomina mi trochę Kala – jest równie szybki, równie silny.

– *Kii'ne dō all'ia...*

Sięga po broń pulsacyjną, a ja wybijam mu ją z ręki. Łapie moja dłoń, ciągnie do przodu, unosząc kolano, żeby kopnąć mnie w brzuch. Wydech uchodzi mi gwałtownie z rozkwaszonych teraz ust. Erien obraca się w miejscu i ciska mną o ścianę, uderzając w swój komunikator na piersi:

– *Sēn, vin Erien, sa...*

Uderzam go nasadą dłoni w nos, rozlega się trzask i tryska ciepła, fioletowa krew. Krew pulsuje mi w skroniach, kiedy łapię go za warkocze i walę znowu pięścią w twarz, rozmasłując mu nos na policzkach.

Podcina mnie, obaj padamy na ziemię, białe światło wybucha mi za oczami. Szukam po omacku broni, którą Erien wypuścił. Wrzeszczę, gdy wykręca mi rękę na plecy.

Palce mi się ślizgają na rękojeści broni, ból w ramieniu jest przesywający, łokieć zaraz mi pęknie. Erien wolną ręką wyciąga z pochwy na plecach jedno z ostrzy *kaat*. Mnie jednak wreszcie udaje się złapać broń, obracam się i strzelam mu w pierś.

Lufa rozbłyskuje, ogłuszające trafienie oświetla zaskoczony wyraz twarzy Eriena. Paladyn pada na plecy, dymiący ślad znaczy mu napierśnik. Krzywiąc się, łapię powietrze. Nadal mocno ściskając broń, podnoszę się chwiejnie i...

Ściany wokół mnie są zalane tęczami.

Podłoga trzęsie się pod moimi nogami.

Słyszę krzyk. Powietrze w korytarzu przybiera kolor zaschniętej krwi i ciemnego granatu upstrzonego błyszczącymi gwiazdami.

I wtedy widzę ją – błyszczy w ciemności przede mną, jarzy się jak fajerwerki z okazji dnia Założenia.

Serce mi wzbiera na jej widok – była więcej niż moim domem przez ostatnie sześć lat, więcej niż miejscem, w którym dorastałem. To symbol nadziei, światelko w ciemności, płonące jasno pośród nocy.

– Akademia Aurora... – szepczę.

„...nadal masz szansę, by to wszystko naprawić...”

Wyciągam rękę, palce mi drżą. Kiedy jej dotykam, akademia rozpada się przed moimi oczami na drobne kawałeczki. Żołądek ściska mi się ze zgrozy, ogień rozkwita w ciemności, a poza nią widzę jeszcze głębszy mrok, widzę cień.

Ra’haam.

Jęk wrywa mi się z ust na ten widok – dziesiątki tysięcy statków, setki tysięcy kształtów wznoszą się przede mną i przesłaniają gwiazdy.

Jest zbyt wielki.

Jest go zbyt dużo.

Odwracam głowę, zaciskam powieki bardzo mocno, żeby nie musieć patrzeć.

Dlatego nie zauważam, kiedy Erien wstaje za moimi plecami.

Słyszę brzęk metalu o metal i kiedy odwracam się, on już stoi. Krzywi piękną twarz w złości. Krew ścieka mu po podbródku, ciemniejsza w Faldzie. Światła odbijają się od ostrza *kaat*, kiedy wyjmuje je z pochwy na plecach.

...powiedziałeś mi, gdzie to się stanie...

Zgrzytam zębami i unoszę broń.

....napraw to, Tyler...

I krzyczę, kiedy wbija mi ostrze w brzuch.

– Wiesz, że w języku syldrańskim nie ma słowa na „do widzenia”?

Otwieram oczy, światło sączy mi się przez rzęsy, gdy jęcę. Saedii siedzi koło mojego łóżka i czyści sobie paznokcie długim, pięknym nożem.

– C-co? – szepczę.

Zmuszam oczy ponownie do otwarcia, w głowie mi się kręci. Otacza mnie cichy szum aparatury medycznej, światło jest słabe i ponure. Zerkam po sobie i orientuję się, że nie mam koszuli. Znowu. Czuję tępy ból w brzuchu, mam dermoplaster na ranie od ostrza Eriena. Jednak to jest krążownik wojenny Nieugiętych i mają tu sprzęt medyczny najwyższej jakości. Prawdę mówiąc, ból nie jest nawet najgorszy.

Biorąc pod uwagę, że zostałem brutalnie dźgnięty, rzecz jasna.

– To prawda. Syldranie wierzą, że ludzie, którzy raz się połączą, nigdy naprawdę się nie rozstają. – Saedii macha nożem w stronę opatrunku. – Nawet gdybyś dzisiaj umarł, atomy twojego ciała przetrwałyby. W ciągu eonów te cząstki rozpadłyby się i ponownie połączyły, stałyby się częścią innych istot, innych ciał niebieskich. Zostałyby wciągnięte do zapadającej się gwiazdy i ponownie rozproszone w wybuchu supernowej. I w końcu, kiedy wielka czarna dziura w sercu galaktyki wciągnie wszystko z powrotem w swoje ramiona, wszelkie rzeczy zostaną ponownie połączone. Dlatego nie żegnamy się przy rozstaniu. Mówimy tylko *an’la téli saii*.

– Co to znaczy? – jęcę.

– Ujrzę cię w gwiazdach.

Przechyla głowę i jej łagodny uśmiech znika.

– Mówię ci to, ponieważ najwyraźniej ogromnie ci się śpieszy, żeby umrzeć, Tylerze Jones.

– To tylko drobna rana, madame. – Przyciskam rękę do opatrunku, krzywiąc się. – Twój przyboczny musi popracować nad celnością, jeśli chce mnie zabić.

Saedii prycha.

– Erien jest pierwszym paladynem w Czarnym Kręgu. Osierocił tysiące dzieci. Gdyby życzył ci śmierci, już byś nie żył. Mówię o Antaelisie, narzeczonemu Eriena. Potwornie spaskudziłeś twarz jego ukochanego. Antaelis chciał wyzwać cię na pojedynek w obronie honoru Eriena.

Kręcę głową i wzdycham.

– Jakbyśmy nie mieli niczego lepszego do roboty, kiedy cała Galaktyka zmierza do swojego końca i tak dalej.

Saedii odchyła się w krzesło, unosi nogi i opiera na moich udach, jakby zagarniała tym gestem nowe terytorium. Przesuwa wzrokiem po moim ciele, powraca do oczu. Znowu rozbłyskuje między nami ta iskierka rozbawienia zabarwiona stłumionym pulsującym gniewem.

– Ty nadal nie rozumiesz, gdzie się znalazłeś, co?

– Doskonale wiem, gdzie jestem. I z kim jestem.

– Gdyby tak było – mówi Saedii i ściąga brwi – nie nazwałbyś mnie idiotką na oczach mojej załogi.

Krzywię się.

– Ehm, słuchaj, przepa...

Saedii unosi rękę.

– Nie powiększaj swojej głupoty o tchórzostwo. Przynajmniej masz dość odwagi, by obstawać przy swoich przekonaniach, Terranie.

– Przysięgam, jesteś najbardziej... – Kręcę obolałą głową i zgrzytam zębami. – Czy przy tobie wszystko musi być walką?

Uśmiecha się wtedy i przesuwając językiem po zębach.

- Jeśli tego sobie życzysz.

- Na oddech Stwórcy - warczę. - Skończysz wreszcie z tymi gierkami?

- Ale ja lubię gry.

- A ja nie jestem w nastroju do grania z tobą. - Czaszka mi pęka, w ustach mi zaschło. - Co tu robisz, Saedii?

Jej uśmiech gaśnie. Zaciska czarne usta, obrzucając mnie spojrzeniem.

- Przeanalizowałam nagranie twojej walki z Erienem - mówi wreszcie. - Pokonałeś go w walce, ale zawahałeś się przed ostatecznym ciosem. Złapałeś się za głowę, jakby cię bolała. Kazałam medykom sprawdzić, czy nie wykryją uszkodzenia mózgu, może spowodowanego wystawieniem na działanie Fałdy, ale niczego nie znaleźli.

- Nie sądziłem, że się przejmujesz, templariuszko.

Widzę wtedy błysk w jej oczach. Tylko przelotny i zaraz znika. Nastroje tej dziewczyny przechodzą od gorącego do lodowatego i z powrotem w okamgnieniu. Jednak gdy przyglądam się uważnie, przez sekundę wydaje mi się, że pod brawurą i szyderstwem księżniczki Nieugiętych dostrzegam przebłysk...

- Słyszałam cię - mówi, pukając się w brew. - Krzyczałeś w mojej głowie, kiedy upadłeś. I nie tak, jakbyś odniósł ranę. Jakbyś był... przerażony.

Przesuwam ręką po oczach i wzdycham.

- Coś... widziałem.

- Masz na myśli wizję?

Biorę głęboki wdech i kiwam głową.

- Widziałem różne rzeczy, odkąd się tu obudziłem. Jakbym... jakbym śnił na jawie. Widzę syldrańską dziewczynę całą we krwi. Jednak we śnie wiem, że to moja krew, a nie jej. Znajdujemy się w ogromnej komnacie. O kryształowych ścianach. Z tronem. Wyrzeźbionej w tęczach.

Saedii mruży oczy.

– Opisujesz wnętrze *Neridai*.

– W moim śnie to miejsce zostaje zniszczone. Rozpada się na kawałki. – Z trudem przełykam ślinę, żołądek wypełnia mi się lodem na samo wspomnienie. – A za ścianami rozciąga się cień. Tak ogromny i ciemny, że wiem, że pożre wszystko, jeśli mu pozwolę.

– Czy kiedykolwiek wcześniej miałeś takie sny na jawie?

– Nigdy. – Patrzę jej w oczy. – Nie potrafię tego wyjaśnić, ale myślę... Saedii, myślę, że stanie się coś straszego.

Odwraca wzrok i patrzy gdzieś w dal, poza ściany statku. Nadal wyczuwam ślad jej myśli, krew Wędrowczyni, którą odziedziczyła po matce przemawia do krwi po mojej matce. Po kobiecie, której nigdy nie poznam, bo nie ma tu mojego ojca, żeby powiedziałby mi, kim jest, jak się poznali, jak ja zaistniałem.

Mimo lodowej fasady Saedii i jej gierek widzę, że nie jest pewna. I kiedy znowu patrzy mi w twarz, znowu dostrzegam ten błysk, coś poza agresją i drwinami, pogardą i maską wojowniczką Nieugiętych, prze-błysk...

Ciepła?

– Kolejne wieści o walkach pojawiają się w wiadomościach – mówi Saedii. – Tuzin kolejnych incydentów podobnych do tych, które wychyciłeś. Ożywione stare waśnie. Ognie dawnych wojen ponownie rozpalone. Gwiazdy ociekają krwią.

– To Ra'haam. Przecież sama wiesz.

Zagryza wargę, obracając nóż w palcach.

– Przynajmniej twoi pobratymcy z Legionu Aurory robią, co w ich mocy, żeby ugasić te płomienie. Zwołano nadzwyczajne posiedzenie Galaktycznego Konwentu, żeby zająć się „narastającą falą niepokojów wśród ras rozumnych Drogi Mlecznej”. Za pięć dni odbędzie się w twojej akademii.

Serce mi wzbiera, ranny brzuch boli, gdy siadam na koi.

– W akademii? Dlaczego nic nie powiedziałaś?

– Właśnie powiedziałam. Dlaczego to ważne?

– Mój sen – szepczę z bijącym mocno sercem. – Ta... wizja. Ostatnim razem była inna. Zobaczyłem Akademię Aurora, błyszczącą jak latarnia morska w ciemności. Kiedy jednak wyciągnąłem do niej rękę... eksplozowała na moich oczach.

Widzę to znowu, nagły ból w umyśle, obraz wybuchającej akademii, a wraz z tym śmierć ostatniej nadziei Galaktyki.

„...napraw to, Tyler...”

Kręcę głową, serce mi wali.

– Jeśli wszyscy członkowie Galaktycznego Konwentu znajdą się w jednym miejscu i Ra’haam uderzy...

– Są głupcami, żeby tak się spotkać – prycha Saedii, zastanawiając się. – Jeśli jednak wierzysz, że akademii coś grozi... może pozwolę ci skorzystać z naszego systemu łączności. Możesz wysłać im ostrzeżenie.

– Myślisz, że łączność Legionu zareaguje na taki komunikat? – prychem. – Już nie mówiąc o tym, czy w niego uwierzą? GAW zrobiła ze mnie terrorystę. Zbrodniarza winnego ludobójstwa. Zdrajcę Legionu i własnych ludzi. A transmisja napłynie ze statku Nieugiętych.

– Na pewno masz kontakty w Legionie, kogoś, kto nadal w ciebie wierzy. Co z tymi, którzy zostawili wam podarunki w Szmaragdowym Mieście?

– Admirał Adams i nadkomendantka de Stoy. – Kiwam głową, zastanawiając się gorączkowo. – Oni coś wiedzą. Jednak nie zdołałem skontaktować się z nimi bezpośrednio. Gdybym znajdował się na pokładzie stacji Aurora, mógłbym wysłać wiadomość do Adamsa korzystając z wewnętrznej sieci akademii. Jednak w wypadku czegoś tak ważnego nie mogę po prostu rzucić ostrzeżenia w ciemno i mieć nadzieję, że jakiś szeregowy pracujący przy systemie łączności akademii pchnie to do przełożonych.

Kręcę głową, z każdym oddechem coraz bardziej przekonany.

– Musisz mnie tam zabrać – orzekam.

Spojrzenie Saedii jest ostre jak szkło.

– „Musisz” to nie jest słowo, jakie wypowiada się do templariuszki, Terraninie.

– Jeśli Ra’haam zniszczy Konwent, Galaktyka pograży się w chaosie! A każdy dzień poświęcony na zbieranie kawałków to kolejny dzień, jaki Ra’haam zyskuje na rośnięcie! Saedii, musimy powstrzymać...

– Znow to słowo.

– Na Stwórcę, czy ty mnie wreszcie posłuchasz? – Zrzucam jej nogi ze swoich ud i wstaję z koi. – Możliwe, że jesteśmy jedynymi żywymi ludźmi, którzy mają jakiegokolwiek pojęcie o tym, co tu się dzieje!

– Mam większe problemy niż...

– Większe problemy?! – krzyczę. – Stawką jest cała Galaktyka! My znamy prawdę! Naszym obowiązkiem jest to powstrzymać!

– Nie waz się pouczać mnie na temat obowiązków, Tylerze Jones! – warczy i też wstaje. – Nie masz pojęcia, jakie to brzemię! Nasz archont zniknął w Pustce, nie zostawiając po sobie śladu! Tuzin wodzów Nieugiętych chce przejąć kontrolę nad ligą, a ja jestem jedyną, która może zapobiec jej rozpadowi na frakcje. Przyszłość moich ludzi stoi na ostrzu noża! A ty marudzisz, żebym zmieniła kurs i wleciała w przestrzeń wroga, bo chcesz uratować bandę zidiociałych *shan’vii*, którzy są na tyle głupi, żeby ryzykować w takiej chwili zebranie się w jednym miejscu na rozmowach?

– Oni próbują uratować pokój! – krzyczę. – Konwent nie wie, że Ra’haam czyha w Galaktyce!

– Zatem nie dość, że są głupi, to jeszcze ślepi.

– Saedii, nie możesz po prostu pozwolić im...

– Nie mów mi, czego nie mogę! – ryczy, stojąc twarzą w twarz ze mną. – Jestem templariuszką Nieugiętych! Przełamłam krew w setkach bitew! Jestem córką Gwiazdobójcy! Robię, co zechcę, leczę, dokąd zechcę i biorę, co zechcę!

Stoi i piorunuje mnie wzrokiem, szczerząc zęby jak zwierzę i ledwie łapiąc oddech. Jej wzrok jest ostry jak nóż w jej ręce. Napiera na mnie tak mocno, że czuję, jak serce wali jej w piersi. Jej umysł znowu miesza się z moim, jej myśli przesiąkają do moich.

Jest furia. Jest ogniem. Wbija się jak nóż w pierś.

Robię, co zechcę.

Lecę, dokąd zechcę.

Biore, co zechcę.

I wtedy to widzę. Kiedy jej wzrok odrywa się od moich oczu, opada na moje usta i powraca.

Na oddech Stwórcy, ona chce... mnie.

Wpadamy na siebie z taką mocą, że znowu rozkwasza mi usta. Oddycha prosto w moje płuca. Wplatam palce w jej włosy i myśl o tym, jakie to głupie, tonie we wrażeniu, że trzymam ją w ramionach, gdy odrywam ją od ziemi.

Obejmuje mnie mocno nogami w pasie, wrywa jej się okrzyk, gdy wpadamy na ścianę. Rysuje paznokciami linie ognia na moich nagich plecach, podczas gdy ja zaciskam dłonie na jej udach, przypierając ją mocno do metalu, chociaż to głupie, chociaż to szalone...

Cała Galaktyka może jutro znaleźć się w stanie wojny.

Możliwe, że wszyscy zginiemy.

Żyj dzisiaj, jutro umrzemy.

Jej umysł płacze się z moim, zalewając mnie jej żądzą, co tylko podwaja moją własną. Z trudem oddycham. Ledwie myślę. Nigdy w życiu nie czułem niczego podobnego, nigdy nie potrzebowałem czegoś równie rozpaczliwie, ale chociaż to szalone...

– Saedii... – z trudem mówię, obracając głowę w bok.

Prześni gadać, Tylerze Jones, rozlega się jej głos w mojej głowie. Możesz zrobić lepszy użytek ze swoich ust.

W porządku, jasne.

Trudno się z tym sprzeczać.

Tyler Jones: 2

SaediiGilwraeth: 2

* * *

- To było... intensywne przeżycie.

Leżymy na podłodze w izbie chorych, dysząc. Okrywa nas cienki, srebrny arkusz folii termicznej. W pokoju wokół nas panuje chaos, meble są przewracane, potłuczone szkło wala się na podłodze. Saedii przyciska się do mnie, długie, czarne warkocze opadają jej na twarz, czarna farba rozmazała się na jej ustach. Oboje jesteśmy śliscy od potu, sól szczypie mnie w ślady po zadrapaniach na plecach, jakie mi zafundowała.

- Chyba będę potrzebował nowych szwów. - Krzywię się.

Saedii nie odpowiada, przyciskając twarz do mojej szyi, jej serce wali o moje żebra. Oddech jej zwalnia, ale poza tym jest zupełnie nieruchoma. Absolutnie cicha.

- Oczywiście nie narzekam - mówię, chcąc sprowokować śmiech. - Ale może następnym razem powinniśmy mieć pod ręką z literek grupy zero Rh minus?

Znowu nie odpowiada. Nie rusza się. Jej myśli nadal są w moich, przeciekają jak atrament rozlany na papierze, ale chociaż chwilę temu byliśmy tak zaplątani, że można by nas uznać za jedną osobę, to teraz powoli się wycofuje. Jej uczucia chłodnieją tak samo, jak pot na naszej skórze.

Jakby ktoś wyłączył słońce.

- Wszystko w porządku? - pytam.

Bez ostrzeżenia odsuwa się i siada. Porusza głową w mroku, ogarnia spojrzeniem chaos, wstaje płynnym wdzięcznym ruchem i wyszukuje wśród bałaganu części swojego porzuconego munduru.

- Co się stało? - pytam.

- Nic się nie stało.

- To... dokąd się wybierasz?

- Wracam na mostek.

Mrugam zaskoczony.

- Tak po prostu?

Znajduje figi na szafce z zapasami, gdzie je cisnąłem, i zaczyna je wkładać.

- A spodziewałeś się czegoś innego?

- No wiesz... - Siadam, srebrny arkusz marszczy się wokół mojego pasa. - Nie do końca wiem, jak to działa u Syldran, ale my, Terranie, zwykle, no wiesz, rozmawiamy potem.

- A o czym mielibyśmy porozmawiać, Tylerze Jones?

- Zrobiłem coś nie tak?

- Nie. - Wkłada stanik. - Zachowałeś się zupełnie adekwatnie.

Unoszę brew. Tę z bliźną, dla większego efektu.

- Kobieto, przez cały czas byłem w twoim umyśle. Jeśli to było dla ciebie „adekwatne”, to Stwórca jeden wie, co...

- Nie jestem tu po to, żeby pompować twoje ego, chwalać cię za to, jak się wykazałaś. - Bierze nóż, który trzymała, gdy się obudziłem, i wsuwa go do pochwy na nodze. - Nadal masz oba kciuki. Możesz wyciągnąć z tego takie wnioski, jakie zechcesz.

Wstaję, owijam się w pasie folią, krzywię się z powodu pieczenia potu i pulsującego, przytłumionego bólu rany klutej w brzuchu.

- Czy ty... jesteś na mnie zła?

Saerii nic nie mówi, tylko odwraca się, patrzy w lustro na ścianie i zaczyna palcami rozczesywać warkocz. Staję za nią, żeby widziała mnie w odbiciu, a potem dotykam jej ramienia.

- Ej, porozmawiaj ze...

- Nie dotykaj mnie - warczy.

Zabieram rękę. To trochę zabolalo.

- Nie to krzyczałaś w mojej głowie jeszcze minutę temu.

– To było minutę temu. – Jej wzrok powraca do warkoczy, palce szybko poruszają się w gęstych, czarnych jak atrament pasmach. Czuję, że zamyka się tak jak podczas narady wojennej. Zatrząskuje swój umysł za potężnymi żelaznymi drzwiami. – Daliśmy sobie przyjemność i teraz już jest po sprawie. Nie rób z tego niczego więcej, niż to było.

– A co to właściwie było?

– Upuściliśmy trochę pary. To zrozumiałe po tym, jak razem zostaliśmy uwięzieni. Epizod bez znaczenia.

– Dlaczego mnie okłamujesz?

Jej ręka opada i nieruchomieje. Saedii znowu patrzy na mnie.

– Powinnaś odciąć ci język, Terraninie. Powinnaś wyrwać ci go z czaszki...

– Saedii, dopiero co byłem w twojej głowie. – Patrzę jej w oczy i mówię cicho: – Cała ta telepatia to dla mnie nowość, ale wiem, co czułaś. To nie był tylko flirt w czasach wojny. Nie chodziło tylko o to, żeby się wyładować.

– Pochlebiasz sobie – prycha.

– Saedii, porozmawiaj ze mną.

Łapię ją za ramię, odwracam twarzą do siebie. I chociaż wyczuwam wściekłość, jaka ją przeszywa, gdy dotykam jej skóry, to znowu wyczuwam pod tym też przebłysk aprobaty.

Ta dziewczyna to wojowniczką. Przywódczyni. Urodzona dla konfliktu. Wykarmiona wojną. Nie chce posłuszeństwa; chce wyzwania. Kogoś jej równego.

Całuję ją. Mocno. Wciągam w objęcia i miażdżę o siebie. Jej ciało sztywnieje. Saedii zaciska pięści, ale jej usta topią się w moim pocałunku jak śnieg w ogniu, wrywa jej się westchnienie i zarzuca mi ręce na szyję.

I poza tą walką przyciągania i odpychania, pragnienia i odrzucenia, znowu dostrzegam przebłysk czegoś przez szczeliny w żelazie, którym

się otoczyła. Czegoś tak wielkiego i przerażającego, że Saedii nie jest w stanie dłużej na to patrzeć.

Sięgam ku temu. Ona to odpycha. Depcze to i odrywa się od moich ust. Patrzę jej w oczy i zdaję sobie sprawę, co to jest, dlaczego tak bardzo próbuje udawać, że to nic dla niej nie znaczyło.

Ponieważ... Ponieważ to znaczyło dla niej wszystko.

– Odczuwasz Przyciąganie – szepczę.

Oczy Saedii rozbłyskują, odpycha się ode mnie, warcząc. Patrzę, jak odwraca się z powrotem do lustra i zaplata warkocze drżącymi rękami. Widzę jednak prawdę za lodowatym spojrzeniem jej oczu, wyczuwam to w jej głowie – jak zalewa ją mimo jej prób odgrodzenia się od tego. Syl-drański instynkt godowy. Pociąg, któremu niemal nie sposób się oprzeć, jaki czują do ludzi, którzy są pisanyimi im bratnimi duszami.

Kal czuje to do Aurory. Powiedział mi raz, że miłość to kropla w oceanie tego, co do niej czuje. Patrząc teraz w oczy Saedii, myśląc o wszystkich tych razach, kiedy mogła mnie zabić, kiedy powinna mnie zabić...

Na Stwórcę, jakim idiotą byłem...

– Od jak dawna? – pytam.

Nie odpowiada. Staję za nią i przyglądam się jej odbiciu.

– Saedii, od jak dawna?

Odpowiada na moje spojrzenie. Wściekłość, smutek, nienawistne i wyzywające uwielbienie zalewa jej myśli. Oczami jej umysłu widzę siebie na pokładzie *Andarael*, w głębinach areny walki Nieugiętych z martwym drakkanem obok mnie, gdy patrzę na nią zakrwawiony, lecz zwycięski.

– Pewnie to by nakręciło silnik nawet zakonnicy, więc nie mogę mieć do ciebie pretensji – mrużę.

Saedii prychna, starając się powstrzymać uśmiech. Idzie przez izbę medyczną. Wyczuwam gotujący się w niej gniew. Nienawiść do siebie kipiąca jej pod skórą. Jakaś część jej osoby chce podnieść odłamek szkła z podłogi i zadźgać mnie tu i teraz. Inna część chce wpaść w moje

ramiona i ścisnąć mnie tak mocno, że pęknę. Nienawidzi tego, że mnie chce. Jednak jest tym też podekscytowana.

– Nie wiedziałaś, że to będzie takie uczucie.

Piorunuje mnie wzrokiem, zaciskając usta.

– Saedii, porozmawiaj ze mną – domagam się.

– Miałam... konkurentów – mówi w końcu z westchnieniem. – Przyjemna rozrywka. Ale nie tak jak... – Zwiesza głowę, zgrzyta ostrymi zębami, zaciskając dłonie w pięści. Śmieje się cicho i kręci głowę. – Pustka naprawdę ma mroczne poczucie humoru, żeby zgotować mi taki los...

– Jestem aż tak zły? – pytam cicho.

– Jesteś Terraninem – warczy.

– W połowie. Ale co z tego?

– Nasi ludzie walczą ze sobą. A mój ojciec zamieniłby twój kręgosłup w szkło i roztrzaskał na milion kawałków, gdyby podejrzewał, że choćby dotknąłeś jednym palcem mojej skóry. – Śmieje się gorzko. – Pustka jedna wie, co zrobiłby ze mną, gdyby wiedział, że ja... że my...

Urywa, gniew w niej wzbiera, kiedy przykuca, żeby wyciągnąć jeden z butów spod med-koi.

Przechodzę przez pomieszczenie, przesuwam ręką po jej nagich plecach, kiedy wstaje. Przebiega ją dreszcz, nawet kiedy odpycha się ode mnie. Ból w niej jest tak prawdziwy, że czuję go we własnej głowie.

– Saedii, twojego ojca tu nie ma – mówię jej. – A nasi ludzie nie muszą ze sobą walczyć. Masz dość władzy, żeby to zakończyć.

– Przestań – warczy.

– Leć ze mną do Akademii Au...

– Nie! – ucina, obracając się do mnie gwałtownie. – Nie prosź mnie więcej! Wszystko, o co mój ojciec walczył, żeby zbudować, może rozpaść się w pył, kiedy on przepadł! Dowolny z tuzina templariuszy może spróbować przejąć władzę nad ligą! Ja jestem córką Gwiazdobjócy! Pod jego nieobecność na mnie spada obowiązek utrzymania Nieugiętych razem!

– Nic z tego nie będzie miało znaczenia, jeśli Ra’haam zdoła się wykluć!

– Mój obowiązek dotyczy moich ludzi! – wrzeszczy. – A nasi ludzie toczą ze sobą wojnę!

Stoimy w półmroku. Nadal czuję jej ciało przyciśnięte do mojego, zaciekle ciepło jej emocji rozpalających mi umysł. W tej dziewczynie kryje się tak wiele, a ja dopiero zaczynam to dostrzegać. Jest jak światło słoneczne zamknięte w pancerzu z czarnego żelaza. Nawet widząc tylko przez małe szczeliny, jakie mi pokazała, orientuję się, jak mocno i gorąco płonie, jak cudownie byłoby zatracić się w takim żarze. Syldrańska krew we mnie ciągnie mnie do niej, most między naszymi umysłami rozbrzmiewa echem tej pieśni.

Saedii jest piękna.

Zaciekła. Genialna. Bezwzględna.

Nigdy nie znałem podobnej dziewczyny.

– Więc pozwól mi polecieć – Słyszę własne słowa.

– Co? – szepcze.

– Jeśli nie chcesz lecieć ze mną, to pozwól polecieć mnie. – Z trudem przełykam ślinę, widząc drobniutkie rozbłyski wściekłości i bólu w jej oczach. – Daj mi prom i parę kredytów. Podrzucić mnie do jakiegoś portu kosmicznego. Sam dotrę do Akademii Aurory. Sam powstrzyma Ra’haam.

– Nie znasz jego planów – mówi Saedii. – Jesteś uciekinierem, poszukiwanym przez swój rząd za naruszenie galaktycznej kwarantanny i terroryzm galaktyczny.

Uśmiewam się krzywo.

– To brzmi jak wyzwanie.

– Pędzisz na spotkanie własnej śmierci. Jesteś głupcem.

– A kto jest większym głupcem? Głupiec czy ten, kto kocha głupca?

Saedii krzywi się i odwraca, a ja stoję przed nią, przyciskam dłonie do jej policzków. Kiedy ją całuję, czuję, jak dreszcz przebiega jej przez

całe ciało, od czubków palców u rąk, po palce u stóp. Napiera na mnie tak mocno, że prawie mnie przewraca.

Zataczam się do tyłu, uderzamy o ścianę. Przyciska się do mnie mocno. Pasujemy do siebie jak dwa najdziwniejsze puzzle. Jej krągłości są twarde jak stal, a usta miękkie jak obłoki. Przez chwilę jedyne, na co mnie stać, to nie zatracić się całkowicie po raz drugi, nie zamknąć oczu na wojnę, która toczy się wokół nas i na cień wznoszący się nad nami, gdy jedynym czego pragnę, jest zagarnięcie Saedii dla siebie.

Wtedy jednak dociera do mnie, że znowu wyciągnęła nóż.

Trzyma go o włos od mojego gardła i patrzy mi w oczy.

– Nie wiem, czego nienawidzę bardziej – szepcze, muskając ostrzem moją skórę. – Przyciągania cię mocno do siebie czy odpychania.

– Wiem, co ja wolę.

Waha się wtedy na ułamek sekundy. W tej ciszy biorę ją za rękę, odsuwam broń od gardła. Całuję ją w kostki dłoni, szukając w jej oczach ciepła, światła.

– Pomóż mi, Saedii. Razem nam się uda.

Ona jednak patrzy ponad moim ramieniem na swoje odbicie w lustrze.

Opada żelazna kurtyna, płonący w niej ogień nagle staje się zimny. Saedii zaciska zęby, odsuwa się i kręci głową.

– Przede wszystkim mam obowiązki wobec własnych ludzi, Tylerze Jones. Nie wobec własnego serca.

Patrzę jej w oczy, z trudem przelękam ślinę.

– W takim razie musisz mnie wypuścić.

– Na pewną śmierć.

– Być może. – Wzruszam ramionami. – Nie mogę jednak siedzieć tu i nic nie robić.

Widzę opór w jej oczach. Wściekłość. Córka Gwiazdobójcy w całej krasie. Widzę w niej groźbę niczym cień wypływający na powierzchnię; jest równie ciemny jak ogień, który ogrzewał mnie kilka minut temu.

Zdaję sobie sprawę, że jedno wynika z drugiego. Obie te rzeczy sprawiają, że jest tym, kim jest: piękną, zaciekle, genialną i bezwzględną.

Unosi ręce. Zakrwawione palce lewej dłoni splata z moimi, a w prawej wciąż trzyma nóż. Patrzy mi w oczy.

Wiem, że mogłaby mnie zmusić do pozostania, gdyby zechciała.

Mogłaby mnie zabić, gdyby zechciała.

Saedii Gilwraeth to dziewczyna, która bierze to, co zechce.

„*Musisz* to nie jest słowo, jakie wypowiada się do templariuszki, Teraninie”.

Jednakże ostatecznie zabiera rękę. Zdejmuje pochwę z uda, chowa do niej nóż i wciska mi do ręki. Zaciska moją dłoń na rękojeści, całuje kostki mojej ręki, miękko i ciepło.

– Ujrzę cię w gwiazdach, Tylerze Jones – mówi.

I pozwala mi odejść.

– Kiedy? – powtarzam. – Co masz na myśli, mówiąc „kiedy”?

Caersan nie patrzy na mnie, tylko na Kala, unosząc brew nad zdrowym okiem.

– Doprawdy, Kaliisie? Masz przed sobą cały wszechświat i oto kogo wybierasz?

Kal robi krok naprzód i bierze mnie za rękę, splatając ze mną palce.

– Mamy większe problemy – przypominam mu cicho, jakbym sama nie była o jedno uderzenie serca od rzucenia się na jego ojca. A potem mówię do Caersana, nie zwracając sobie głowy uprzejmością. – Wyświadczyć tę przyjemność mojemu maleńkiemu terrańskiemu rozumkowi i wyjaśnij mi, o czym, do diabła, mówisz.

– Mówię twoim plugawym językiem równie biegle, jakby był moim ojczystym – odpowiada Gwiazdobójca, przesuwając wzrokiem po naszych złączonych dłoniach, a potem odwraca się do projekcji gwiazd. – Dlatego zakładam, że to zrozumienie idei sprawia ci kłopot, a nie słów. Kaliisie, Brama Fałdy do Taalosa. Jakieś spostrzeżenia?

– Jest uszkodzona – odpowiada powoli Kal. – Zaniedbana. Co nie ma sensu. Powinny zajmować się nią ekipy techniczne z kolonii na Taalosisie.

– Której już tu nie ma. – Caersan kiwa głową. – Tak samo jak przepała cała populacja Terry.

– Nie mogła zniknąć dawno – zaczynam. – Dopiero co...

I wtedy coś zaczyna do mnie docierać. Co Caersan ma na myśli.

Kiedy.

Już samo to, jak bardzo Ra'haam rozplenił się na Ziemi, jak wieloma warstwami ją pokrył, jak związał się i skręcał wokół samego siebie – równie gęsto jak na Octavii. Na całej planecie roilo się od niego.

Jednak Ra'haam jeszcze nie rozkwitł i nie rozsypał nasion. Po to stworzono Broń – żeby zniszczyć go podczas snu, zanim zdążyłby się rozplenić.

Ra'haam potrzebowałby lat, żeby zapełnić Ziemię w takim stopniu.

Nie uwierzyłabym w to, gdybym sama tego nie poczuła.

Może jednak... może rzeczywiście potrzebował na to lat.

– Kiedy – szepczę.

– Auroro? – pyta cicho Kal.

– Ach – mówi jego ojciec. – Dziecko wreszcie pojęło.

– Kal... – mówię. – My właśnie... Nie mogę uwierzyć, że mówię to na głos, ale myślę, że... przeskoczyliśmy do przodu... w czasie.

Milczy przez długą chwilę, zerkając to na mnie, to na ojca, ale w końcu powoli kiwa głową.

– Eshvarenowie rzeczywiście mieli inny stosunek do czasu niż my, którzy nastaliśmy po nich.

Przyjmuje to z takim spokojem, że prawie mnie to zdumiewa. Przypominam sobie jednak, że lud Kala to najstarsza rasa w Galaktyce i zawsze opowiadali historie o Eshvarenach. Historie tak stare, że ich początki ginęły w pomrokach dziejów. Jeśli ktokolwiek miałby gładko przełknąć to, co się właśnie wydarzyło, to dwóch Syldran.

– Echo – przytakuje mu ojciec.

– Pół roku minęło w okamgnieniu. – Kal kiwa głową. – A kiedy pierwszy raz posłużyłaś się swoimi mocami, be'shmai, w noc kiedy skierowałaś nas na Statko-Świat, mówiłaś wstecz, jakby czas zaginał się wokół ciebie.

– Prekognicja. – Caersan kiwa głową. – Dylatacja czasu. Wiedzieli więcej niż my. Wątpię jednak, żeby to wydarzenie było celowe. Eshvare-

nowie nie przewidzieli obecności dwóch Zapalników jednocześnie na pokładzie swojej broni.

– Owszem... – zgadzam się z nim. – Bo spodziewali się, że już pierwszy wypełni swoje cholerne zadanie.

– Oczekiwali całkowitego samopoświęcenia – przytakuje mi, krzywiąc szyderczo usta. – Oczekiwali, że ich Zapalnik umrze na kłęczkach.

– A nie, że zabierze to, co zostawili po sobie, ukoronowanie wysiłku całej ich rasy, żeby niszczyć słońca w imię podboju Galaktyki – warczę. – Zniszczyłeś własny lud, zabiłeś miliardy ludzi i po co? Żeby porządzić przez kilka lat do chwili rozkwitu Ra’haam?

– Urodziliśmy się, żeby rządzić! – Ciska tymi słowami we mnie jak włócznią, ale nie trafia do celu, bo to Kal cofa się pół kroku i oddech mu się rwie. – A moi ludzie okazali się tchórzami i zdrajcami!

– Miałeś szansę! – Mój głos odbija się echem od ścian z kryształu. – Miałeś szansę, żeby zniszczyć Ra’haam, kiedy spał, a zamiast tego zrobiłeś to! – Macham ręką na podłogę zasłaną ciałami jego ludzi.

Pewnie i tak to byli szczęściarze, bo nie dożyli chwili, żeby zobaczyć, jak Ra’haam przejmuje Galaktykę, co musiało nastąpić po naszym zniknięciu.

Gwiazdobójca nawet nie raczy spojrzeć na swoich martwych więźniów. Gniew we mnie narasta, przenoszę ciężar z nogi na nogę, bo przysięgam, że nic ani teraz, ani w innym czasie nie przyniosłoby mi większej radości niż zaciśnięcie rąk na jego gardle. Jednak umysł Kala muska mój własny, fiolet miesza się z ciemnym błękitem, uspokaja mnie, wycisza. Teraz odnajduje mnie bez wysiłku, coś się w nas oboju odblokowało. I to wystarczy, żeby mnie sprowadzić na ziemię.

– Jak do tego doszło, ojcze? – pyta.

Caersan odwraca się i idzie między trupami zaścielającymi podłogę. Kiedy dochodzi do ściany komnaty, kładzie rękę na kryształach i zerkna na wysoki sufit.

– To nie jest jasne – mówi. – Może to przez dysonans parapsychofizyczny spowodowany obecnością dwóch Zapalników. Jeśli jednak *Neridaa* zdo-

łała dokonać czegoś równie nadzwyczajnego raz, to wierzę, że może zrobić to po raz drugi. Znam ten statek równie dobrze jak samego siebie. Moc, która w nim wibruje, mogłaby być moim własnym oddechem. To nie tyle broń, z której się strzela, ile raczej instrument, na którym się gra.

Kropła nadziei przesącza się do mojego umysłu jak najdrobniejszy promyk nadziei przez szparę w chmurach.

– Myślisz, że mógłbyś znowu na nim zagrać?

Caersan patrzy w zadumie.

– Znam nutę w pieśni, którą słyszałem, gdy poruszaliśmy się w czasie. Myślę, że mógłbym ją powtórzyć, mając dostatecznie dużo mocy. Twój umysł mógłby po prostu pchnąć statek, jeśli można się tak wyrazić, a ja skanalizowałbym tę moc w tę samą pieśń i przeniósł nas do chwili, którą opuściliśmy.

– Auroro... – zaczyna Kal, a ja już się śmieję.

– W porządku, Kal, nie zgłoszę się do tego zadania na ochotnika.

– Ale... – Caersan odwraca się do mnie z ręką na sercu. – To ty jesteś Zapalnikiem Eshvarenów, Auroro! Masz szansę dopaść Ra’haam, póki jeszcze śpi! Czy to nie jest twoje „cholerne zadanie”, jak to elokwentnie ująłś?

Zaraz spada ta maska udawanego przejęcia. Caersan opuszcza ręce.

– Teraz już się tak nie rwiesz, żeby im służyć, co? Odkąd wiesz, ile to kosztuje?

Palcami muskam policzek i chociaż większość mojego gniewu jest skierowana na tego aroganckiego łajdaka przed nami, to zapala się we mnie drobny płomyk, który szepcze: Jak miałabyś wystrzelić z tego dwadzieścia dwa razy? Umierałabyś kawałek po kawałeczku.

Tego właśnie od ciebie oczekiwali.

Mimo to czuję moc mrowiącą w opuszkach, która aż się prosi o uwolnienie. Znowu ogarnia mnie swoista euforia na myśl, że mogłabym ją uwolnić. To jest jak rzeka, która wzbiera we mnie. I chociaż

wciąż jestem osłabiona po ostatnim razie, chociaż każde użycie mocy mnie rani, prawie...

Prawie tego chcę.

– Niemniej to wszystko nie ma znaczenia. – Caersan wzdycha.

– Dlaczego? – pytam, spychając pragnienie w palce stóp. – Co masz na myśli?

– Nie wyczuwasz tego, Terranko? W powietrzu? W ścianach?

Sięgam umysłem do otaczających nas ścian, które pulsują i migoczą. I już wiem, co Caersan ma na myśli. Tak jak już wcześniej powiedział Kal.

– Muzyka. Pieśń statku... zmieniła się.

Gwiazdობჯა kiwa głową.

– *Neridaa* została uszkodzona. Podczas walki o Terrę. Nie mogę zagrać nuty, jeśli przecięto struny.

– W takim razie musimy je naprawić – orzekam.

Caersan prycha.

– Bo to takie proste.

– Nie mówię, że to będzie proste – odpowiadam, zaciskając pięści. – Nie możemy jednak dryfować beczynnie. Jeśli to jest przyszłość, jaką stworzyliśmy, to musimy wrócić i to naprawić. – Macham ręką na splugawioną syldrańską kolonię, na zapleśniały oleisty śluz, który oboje wyczuwamy umysłami. – To nasza wina, Caersan!

– Powinniśmy kontynuować tę rozmowę w bardziej osłoniętym miejscu niż obok Bramy Fałdy – odzywa się Kal. – Jeśli Ra'haam zajął Taalosa...

Jego ojciec się krzywi.

– Chcesz powiedzieć, że mamy podkulić ogon i uciec? Czym jeszcze ona cię obdarowała? Jaka jeszcze terrańska słabość zatruwa teraz twoje żyły?

– Tylko głupiec zadaje cios pośpiesznie – odgryza się Kal. – Wojownik uderza raz a dobrze.

Pogarda rozbłyskuje na jego twarzy, żywcem przejęta od Caersana, począwszy od uniesienia podbródka, po linię skrzywionych ust. W tej chwili widzę, że ta sama krew płynie w ich żyłach. Nasze umysły ocierają się o siebie, odruchowo sięgają ku sobie nawzajem. Nie potrzebujemy słów, srebro i złoto spletają się, potwierdzając wspólny zamiar.

Kiedy już wrócimy, znowu go zaatakujemy. Będziemy gotowi.

Będziemy razem.

Caersan tylko krzywi usta i skłania głowę.

– Przynajmniej zapamiętałeś coś z moich nauk – mruczy. – Minęła nas niedawno Burza Fałdowa, powinna zapewnić nam osłonę. Pomożesz mi skierować *Neridaę* w stronę burzy, Terranko.

Piorunuje mnie wzrokiem, gdy się waham. Mierzę go spojrzeniem, przyglądając się tej tak podobnej do Kala twarzy i tak różnej zarzem.

– Wcześniej sam doskonale radziłeś sobie z napędzaniem Broni – zauważam.

Krzywi się.

– Jesteś zbyt wielkim tchórzem, żeby odsłonić się przy mnie.

– Otaczają nas ludzie, których zabiłeś. Nie mam pojęcia, dlaczego miałabym się wahać.

– Masz rację, że się mnie boisz, dziewczyno. – Caersan się uśmiecha. – Ale mogę potrzebować twojego umysłu, żeby powrócić do własnego czasu. Byłbym głupcem, gdybym cię teraz zniszczył.

Odwraca się plecami pełen pogardy i nieulekły. Obraz wyświetlany pośrodku sali przesuwa się, kiedy Caersan wyznacza nowy kurs w kierunku burzy. Powoli, ostrożnie opuszczam bariery, żeby obserwować sposób, w jaki łączy się z Bronią, *Neridaę* swoim umysłem, jak napędza statek samą siłą woli.

Jego umysł jest bogaty, głęboki i silny, to warstwy takiego samego złota jak u syna i ciemnej czerwieni zaschniętej krwi. Wyczuwam w nim siłę płynącą z syldrańskiego dziedzictwa i treningu z Echu. Byłby silniejszym Zapalnikiem ode mnie, gdyby zechciał. A kiedy ogląda się na zain-

fekowaną kolonię na Taalosie, wyczuwam w nim coś pod lodowatą fasadą. Może odgrywać władcze, bezbłędne, ale wiem, że ogarnia go gniew na widok upadłego świata. Chociaż mnie nienawidzi, wyczuwam, że jest coś, czego nienawidzi jeszcze bardziej.

Porażki.

Odgania mnie, zanim zdołam przyjrzeć się uważniej, i oboje zaprzęgamy się do mentalnego kieratu, kierując kryształem wielkości miasta przez ciszę Fałdy. Pracujemy ramię w ramię, ale nie splatamy się tak jak ja z Kalem. Mimo to poruszamy się przez czarno-białą rzeczywistość szybko jak myśl.

Burza majaczy w oddali przed nami, potężna i skłębiona, większa niż całe planety; skrzy się mocą. Kiedy lecimy ku niej, Caersan siada na tronie, czerwona peleryna rozlewa się pod nim, gdy sadowi się wygodnie. Ja siadam na stopniu poniżej, a Kal zajmuje miejsce obok mnie; nadal trzymamy się za ręce.

– Nie patrz na nich – szepczę, kiedy jego wzrok pada, bo jakżeby inaczej, na ciała zaścielające podłogę.

– Przypominają mi kogoś, kogo znałem – mruczy, a ja zamykam oczy i opieram głowę na jego ramieniu.

Kiedy minuty się wloką, pozwalam umysłowi zapuszczać się dalej, rozciągać się i napierać w głąb Fałdy. Sprawdzam swoje ograniczenia. Jestem wyczerpana, ale coś się we mnie budzi, jakbym odkryła nową grupę mięśni, o której istnieniu nie miałam pojęcia. To przypomina dodatkowy bieg i chcę się nim posłużyć. Zatracam się w tym. Opuszczam swoje małe ciało i obejmuję wszystko poza nim.

– Czujesz to, prawda, Terranko?

Zerkam na Caersana. Powietrze wibruje między nami. Patrzy na swoją dłoń, którą powoli zaciska w pięść. Uśmiecha się do mnie.

Ignoruję go, odwracam się i powracam do ciemności. Kosmos jest nieskończony, zbyt wielki, żebym ogarnęła go umysłem. Jednak na zewnątrz, pośród wszystkiego i niczego, zdaję sobie sprawę, że nie jest tak zupełnie pusty. Po raz pierwszy ocieram się o coś. Odruchowo odsu-

wam się, ciemny błękit rozpala się wokół mnie, a wtedy pojmuję, co właśnie znalazłam. To martwy statek otoczony przez chmurę szczątków. Minutę potem znajduję kolejny złom. I jeszcze jeden. Tu, w Fałdzie, nie ma życia, ale ten sektor nie jest całkiem pusty.

To cmentarz.

Czy wszyscy przepadli? Czy wszyscy w Galaktyce zostali pożarci przez Ra'haam? Nie potrafię wyobrazić sobie ludzi, których poznałam, miejsc, które widziałam, zniszczonych. Jasne światła zgasły, ruchliwe ulice opustoszały i ucichły. Setki światów na zawsze zamilkły.

Sięgam umysłem dalej w stronę burzy, mijam kolejny statek – ten jest rozerwany, jakby ktoś wziął go w dwie ręce i rozszarpał, wysypując zawartość do Fałdy i...

Zamieram, a potem wracam gwałtownie do własnego ciała, otwierając błyskawicznie oczy.

– Co?

Umysł Caersana już sięga w kierunku, z którego się wycofałam; czuję, że Kal próbuje tego samego, ale nie ma dość mocy. Ostrożnie łączę z nim umysł i zabieram go ze sobą, podkradając się z powrotem, żeby zerknąć raz jeszcze.

To wygląda jak jedna z tych zagadek, kiedy musisz zmrużyć oczy i zdekoncentrować wzrok, i w chwili, kiedy już właściwie nie patrzysz, pojawia się obraz. Uciszam umysł, wyciągam się na zewnątrz, tak nieruchoma i cicha, jak tylko się da, i wyczuwam to ledwie obrzeżami myśli.

Jeden.

Potem dwa.

Potem dziesięć.

I dwadzieścia.

Na obrzeżach mojego zasięgu pojawiają się statki, są ledwie jak szept. Jednakże kierują się ku nam. I nie są martwe. Nadciągają z najsłabszych kierunków i kiedy patrzę, ich obecność staje się konkretniejsza, bliższa, obrazy konsolidują się na projekcji Caersana.

– *Amna diir* – szepcze Kal. – Ra’haam.

Statki są przeróżne. To kilkanaście różnych projektów, maszyny zbudowane przez kilkanaście różnych ras. Są ogromne. To same okręty wojenne jeżdzące się bronią. Jednak kadłuby mają porośnięte czymś, co wygląda jak mech i porosty, chorobliwą bielą z domieszką błękitu i zieleni. Wleką się za nimi długie pędy jak pnącza, a może jak korzenie, które szukają nowej gleby, żeby ją zanieczyścić. Przypominają mi o kościach Octavii, pochowanych pod masą Ra’haam. Wynaturzenie tego, co postrzegam, sprawia, że żołądek mi się burzy, krew ścina mi się lodem w żyłach – jakby było w tym coś żywego, ale zarzucono na to koc i zduszono życie.

– To duże statki – mruczę.

– Okręty wojenne – odpowiada Caersan. – Nadlatują kolejne.

– Możemy z nimi walczyć? – pyta Kal.

– Nie będziemy z nimi walczyć, my je zniszczymy. – Caersan patrzy na mnie spokojnie, jego prawe oko jarzy się słabo. – Odpalisz Broń, dziewczyno. Ja ukształtuję impuls i skieruję na wroga. Nawet uszkodzona *Neridaa* spokojnie zdoła...

– Nie – przerywa mu Kal.

Caersan przekrzywia głowę, patrząc na syna.

– Nie?

– Wiesz, jaka jest cena, czego wymaga ponowne wystrzelenie z tej broni. – Kal zerka na mnie, na szczeliny wokół mojego ojca, zanim patrzy z powrotem na Caersana. – Po prostu nie chcesz sam zapłacić tej ceny.

Wiem, że Kal ma rację. Impuls nie musi być nawet w przybliżeniu tak silny jak to, czego potrzebuję do zniszczenia słońca, ale po walce z taką ilością statków byłabym osłabiona. Moja skóra będzie coraz mocniej pękać, pajęczyna szczelin, jaką widzę na Caersanie, zacznie pojawiać się i u mnie. Mimo to mrowią mnie opuszki, dostają gęśniej skórki na samą myśl...

- Dam radę, Kal – odpowiadam mu.
- Be'shmai, zrobisz sobie krzywdę.
- Pozwolisz więc, żeby te larwy nas zniszczyły? – pyta Caersan.
- A ty na to pozwolisz? – odpowiada ostro Kal.

- Jesteśmy Zbrojnymi, chłopcze – warczy Caersan. – Wiesz równie dobrze jak ja, co to znaczy. Od chwili, kiedy przyjąłem znak, uznałem śmierć za swoją przyjaciółkę. Nie boję się Pustki. Śmierć w walce to przeznaczenie wojownika.

- Kłamiesz, ojcie – szydzi Kal. – Zgoda na porażkę nie leży w twojej naturze. Nie będziesz siedział beczynnienie i nie pozwolisz, żeby Ra'haam nas zniszczył.

Gwiazdobójca unosi jedną srebrną brew i uśmiecha się do mnie.

- Czyżby?

Caersan odchyła się na tronie, poprawia pelerynę, strzepuje jakiś dokuczliwy pyłek z naramiennika. Styka dłonie czubkami palców przy ustach i wpatruje się we mnie. Wyczuwam zbliżające się okręty Ra'haam, jest ich coraz więcej – plugawa chmara, która wystrzeliwuje myśliwce, opada na nas z czerni.

Caersan nic nie robi.

Najbliższy okręt wojenny otwiera ogień, coś uderza o kryształowy kadłub, może pocisk. Czuję, jak Broń przesuwają się pod nami, niesie się mentalny dźwięk, prawie jakby *Neridaa* odczuwała ból. Kolejne trafienie kołysze Bronią, i następne, światło na statku przygasa, gwałtowne drżenie przebiega przez cały statek.

Gwiazdobójca nadal tylko patrzy.

Zaciskam pięści, czując, jak wzbiera we mnie moc.

- Be'shmai... – szepcze Kal.

- „Be'shmai” – szydzi z niego ojciec. – Oto kogo nazywasz ukochaną? Mięczaka, który pozwoli ci umrzeć w ciemności?

- Nie zrobisz tego – warczy Kal, wstając. – Nie posłużysz się mną przeciwko niej!

– Pozwoliłeś, żeby się tobą posłużyć, Kaliisie. Kiedy związałeś się z takim kundlem. Twoja siostra nigdy by mnie w taki sposób nie zhańbiła, nie ległaby z terrańskim plugastwem. Saedii dopełniłaby obowiązku. Saedii przedłożyłaby nad wszystko inne swoich ludzi, swój honor, swoją rodzinę.

– Rodzinę?! – krzyczy Kal. – Zabiłeś naszą matkę! Rozdarłeś naszą rodzinę, tak jak zniszczyłeś nasze słońce! Co ty wiesz o rodzinie?!

Kal gotuje się z gniewu, szczerzy zęby na ojca, ale ja już jestem poza granicami zwykłych słów. Zamykam oczy, serce wali mi w piersi, gdy coraz więcej wrogich statków się zbliża. Widzę różne kształty, niektóre z nich są chorobliwie znajome: syldrańskie, betraskańskie i terrańskie, a wszystkie splugawione przez Ra'haam. Moc wzbiera we mnie jak woda napierająca na tamę. Ciepła. Zapraszająca. Wyczuwam jej głębię, tak jak powiedział Caersan. Jest nieograniczona. Jest przytłaczająca. Może nawet trochę...

Strzał kołyszce statkiem, jednostki Ra'haam ostrzeliwują nasz kadłub. Zarażone myśliwce śmigają wzdłuż całej długości *Neridai*, odłupując jej skórę żywymi pociskami, które pożrą kadłub. Broń jest ogromna, ale wyczuwam, jak krwawi, jak pęknięcia pokrywają jej twarz. A Caersan cały czas wpatruje się we mnie. Z uśmiezkim na ustach. Bawi się naszym życiem i gdyby ryzyko dotyczyło tylko mnie...

Patrzę jednak na Kala i zaciskam usta. Czuję przyciąganie mocy. Siłę, która czeka, żeby ją uwolnić. Wiem, że gdy to zrobię, to będę chciała to powtórzyć. W końcu po to mnie stworzono, ale...

– Auroro... nie pozwól, żeby tak tobą manipulował.

Nie mogę znowu cię stracić, myślę.

A potem zbieram każdą uncję mentalnej energii i gromadzę w sobie moc, aż skóra zaczyna mnie mrowić, aż prawie pękam w szwach, prąd płynie mi żyłami. Chwila mnie pochłania, pograżam się w absolutnej, niezmierzonej radości. Czuję Caersana w swojej głowie, zimnego i triumfującego; kanalizuje siłę w impuls, który rozprzestrzenia się sfe-

rycznie, podobnie jak to, co wypuściłam w Szmaragdowym Mieście na Wiekuistym, a potem uwalnia osłepiający rozblýsk.

Impuls rozszerza się jak nadmuchiwany balon, sięga tysiące kilometrów w Fałdę, uderzając w tuzin statków Ra'haam i rozrywając je na krwawe strzępy. Ból przeszywa mi głowę w odpowiedzi. Zgrzytam zębami, krew płynie mi z nosa, z trudem łapię oddech.

– Jeszcze raz – mówi Caersan.

– Auroro... – szepcze Kal.

– Jeszcze raz!

– Nie możesz tego robić! – ryczy Kal. – Ona zrobi sobie krzywdę!

– Litość to domena tchórzy, Kaliisie.

Strzelam ponownie, kolejny impuls rozkwita i niszczy wrogie statki. Czuję się jak olbrzym, który niszczy dziecinne zabawki. Czuję się, jakbym miała dziesięć tysięcy stóp wzrostu. Jednak już wyczuwam kolejne okręty poza granicami mojego zasięgu, nadlatują przyciągane, jakbyśmy byli latarnią płonąca w ciemności.

Kal stoi obok mnie. Ścisną moją dłoń, patrzy mi w oczy. Wspiera mnie swoją siłą, ale statki Ra'haam nadal się roją, kolejne trafienie kołysz Bronią, kryształowe odłamki spadają ze sklepienia i roztrzaskują się na ziemi wokół nas...

– Pomóż jej! – krzyczy Kal. – We dwoje możecie zniszczyć...

– Nie, czekaj – udaje mi się wykrztusić.

Ściskam rękę Kala i kiwam na ciemność na zewnątrz.

– Jeden z tych statków nie należy do Ra'haam...

Wyczuwam to pośród zgnilizny i pleśni. To rozmazana plama rdzewiejącego metalu, tnąca Fałdę jak nóż. Pociski lecą po zakrzywionych torach i wybuchają, osłepiające kule bieli fuzji jądrowej podpalają pozostałe statki Ra'haam nagłymi rozblýskami światła i żaru. Słyszę krzyk frustracji w głębi umysłu, wściekłość pokonywanego wroga. Ra'haam jednak już wie, że tu jesteśmy, i nawet teraz czuję, jak zbiera siły do kolejnego uderzenia.

I kolejnego.

I jeszcze jednego.

Aż będzie miał wszystko. Aż stanie się wszystkim.

Caersan wstaje z tronu, marszcząc czoło, wyciągając zakrwawioną rękę w stronę nowo przybyłego.

- Dziwna konstrukcja - mruczy.

- Kto to? - pyta Kal.

- Nie wiem, ale właśnie nas wywołuje. - Caersan mruży oczy.

Ocieram krew z mrowiących ust, siadam w kucki i próbuję odzyskać oddech, kiedy Caersan przerzuca transmisję na ekran wyświetlany pośrodku sali.

Krzywi twarz.

Grupa ludzi pojawia się na monitorze. Siedzą na swoich stanowiskach na mostku. Widzę dwie kobiety, Betraskanę i Syldrankę ze znakiem Wędrowcy wytatuowanym na czole i z głębokimi szparami w ciele wokół oczu. Za nimi jest samica gremp, która musi stać na pudełku, i Rikeryjka z długimi rogami zakrzywionymi do tyłu. Dalej w głębi stoją ściśnięte postaci: Chellerianie o niebieskiej skórze, która poszarzała w Fałdzie, kolejni Betraskanie, pół tuzina obcych ras, których nigdy nie widziałam.

A przed nimi wszystkimi na fotelu dowódcy siedzi ktoś, na czyj widok moje walące serce się zaciska.

Mężczyzna.

- Nie mogę w to uwierzyć - syczy na widok Caersana. - To ty.

Znajduje się w Fałdzie i ponieważ nie wpływa na niego Broń, jego blada skóra jest jeszcze bielsza, jasne włosy stały się szare. Mundur ma poprzecierany i zniszczony w walkach, nosi przepaskę na oku i jest starszy, niż kiedy widziałam go ostatni raz - ma ze czterdzieści lat. Jednak nawet po ponad dwudziestu latach, mimo blizn, zarostu i smutku żłobiącego mu skórę w kącikach oczu wszędzie bym go poznała.

Jednakże to Kal się odzywa. Na dźwięk dwóch słów, które wypowiada, uchodzi mi całe powietrze z płuc. Nazywa mężczyznę przed nami, mężczyznę, który przeszedł piekło, wrócił z niego i jakimś cudem nadal się trzyma, który patrzy na nas z konsternacją, oskarżeniem i gorzkim gniewem.

- Tyler Jones.

– Kal. – Moje imię jest ciężkie jak żelazo, gdy Tyler wypływa je z ust niczym truciznę. Wpatruje się we mnie z projekcji, jaką mój ojciec wyświeśla w powietrzu przed nami i zza oceanu czasu.

Tyler Jones jest teraz mężczyzną, podczas gdy ja znałem go jako chłopca i to zaledwie kilka dni temu. Siedzi w fotelu dowódcy swojego okrętu wojennego i widzę, że lata, które upłynęły, nie obeszły się łagodnie z moim starym przyjacielem. Twarz ma poblížnioną w walkach, zniszczoną, poźłobioną bólem i smutkiem, ale nade wszystko wypełnioną furją.

– Co, u diabła, tu robicie? – pyta ostro. – Co...

– Tyler! – wykrzykuje stojąca obok mnie Aurora. – W mordę jeża, to naprawdę ty?

Gniew marszczy mu poblížnione czoło, w oczach maluje się konsternacja.

– Auri...?

– Tak, to ja! – krzyczy Aurora, ocierając krew z nosa. Sprawia wrażenie osłabionej po walce, ale też uradowanej, niemal pijanej. – To my! Myślałam, że nigdy więcej cię nie zobaczę!

Zdumiony Tyler przenosi wzrok z Aurory na mnie.

– Że mnie więcej nie zobaczysz? Ostatnim razem widziałem was dwadzieścia siedem lat temu...

Aurora kręci głową.

– Ostatnio, gdy cię widzieliśmy, zostałeś aresztowany przez GAW! Okropnie się martwiliśmy! Scarlett dosłownie wariowała ze zmartwienia! – Aurora uśmiecha się szeroko, wykrzykując słowa i ma łzy w oczach. – Wiem, że to brzmi niedorzecznie, ale motyla noga, Ty, jak dobrze cię widzieć! Tak się cieszę, że nic ci nie jest!

– Auroro... czy ja wyglądam, jakby wszystko było u mnie w porządku?

Tyler przenosi wzrok na mojego ojca i patrzy twardo.

– Statek, na którym się znajdujecie, zniknął razem z wami podczas bitwy o Terrę. Potrzebowaliśmy tej Broni, Auri. Potrzebowaliśmy ciebie!

– Wiem – szepcze Aurora i uśmiech jej rzednie. – Przepraszam, Ty. Nie chcieliśmy się tu znaleźć. Nie chcieliśmy, żeby cokolwiek z tego się wydarzyło.

– To może być dla ciebie trudne do zrozumienia, bracie – mówię mu. – Dla ciebie minęło dwadzieścia siedem lat, ale dla nas bitwa między Nieugiętymi a Terranami toczyła się kilka godzin temu. Podróżowaliśmy w czasie.

– Co jest, u diabła... – szepcze Tyler.

– Wyglądamy tak samo jak wtedy, prawda? – upieram się. – Spójrz na Aurorę. Dla ciebie minęły prawie trzy dekady, a ona nie zestarzała się nawet o dzień, prawda?

Patrzy na mnie, marszcząc brwi, i zaciska zęby, zerkając na swoją załogę.

– Mówię prawdę, bracie – przekonuję go.

– Nie będziesz mi tu mówił o prawdzie. – Tyler krzywi usta. – *I'na Sai'nuit* – dodaje nienagannie po syldrańsku.

Serce mi się wtedy zaciska. On wie. Wie, że go okłamałem. Ich wszystkich. Wstydzę się, myśląc o tym teraz. Nazywałem go przyjacielem i kłamałam mu prosto w twarz, mówiąc, kim jestem. Miałem swoje powody, ale to żadne usprawiedliwienie.

– Bracie, ogromnie cię przepraszam. Źle postąpiłem, zwodząc cię wtedy, ale błagam, byś uwierzył mi teraz. Nigdy więcej cię nie okłamię.

– Tyler, proszę... – mówi Aurora.

Betraskanka obok Tylera wtrąca się, mrużąc powiekę, gdy poprawia ostrość w cybernetycznym monoklu celowniczym na oku.

– Dowódco, nie chcę zakłócać wzruszającego spotkania po latach, ale nadlatują kolejne statki. Flota Chwastów, kurs siedem-jeden-osiem-dwanaście-dziewięć. Znajdą się w naszym zasięgu za sześćdziesiąt sekund.

– Cholera – szepcze Tyler i to wstrząsa mną bardziej niż jego widok, lata na jego kościach, czy ból w jego oczach.

Tyler Jones, którego znałem, nigdy nie przeklinał.

To jednak nie jest Tyler Jones, którego znałem.

– Jaki jest wasz status? – pyta. – Kadłub wygląda na uszkodzony.

– Broń została uszkodzona w trakcie podróży tutaj. – Piorunuję wzrokiem ojca, który siedzi i bez większego zaciekawienia obserwuje naszą rozmowę. – I zostaliśmy ponownie zaatakowani przed waszym pojawieniem się. Potrzebowaliśmy trochę czasu, zanim byliśmy w stanie zebrać dość energii, żeby się bronić.

– Wychwyciliśmy przyływ energii na czujnikach dalekiego zasięgu – mówi Tyler. – I macie cholerne szczęście, że nam się udało. Właśnie lecieliśmy z powrotem...

Gryzie się w język i milknie. Zerka na odczyty, na nadlatujące statki Ra'haam i zagryza wargę w zadumie. Widzę jego umysł: nieufność i gniew walczące z dowodem przed oczami. Patrzy na Aurorę, a ona odpowiada na jego spojrzenie z niesłabnącą nadzieją w oczach, wypowiada łagodnie dwa słowa, tę samą wiadomość, jaką admirał Adams przekazał nam, wydawałoby się teraz, że w poprzednim życiu.

– Uwierz, Tyler.

– W zasięgu broni za trzydzieści sekund – melduje Betraskanka.

Wreszcie Tyler Jones wzdycha.

- W porządku. Nie wiem, co tu, u diabła, jest grane, ale nadlatują Chwasty, a ja właśnie zużyłem większość bomb termojądrowych. Proponuję, żebyśmy powrócili do tej rozmowy kilka lat świetlnych stąd. Wasze silniki nadal działają?

Patrzę na Aurorę, na krew na jej górnej wardze. Może to tylko moja wyobraźnia, ale drobne pęknięcia w skórze wokół jej prawego oka wydają się... głębsze. Ona jednak kiwa głową, czy jej płoną.

- Jestem w stanie nas napędzać.

- W porządku, leć za nami. Lae, rozruszaj napęd ryftowy i...

- Chyba nie zamierzasz zabrać ich ze sobą?

To słowa Syldranki, która siedzi - jak przypuszczam - przy sterach. Jest niewiele starsza ode mnie, zaciekła, smukła i ma długie, srebrne warkoczki. Znak Wędrowcy widnieje na jej czole, ale głębokie pęknięcia żłobią jej skórę wokół oczu, podobne do tych, które ma Aurora i mój ojciec. Kiedy się odzywa, przemawia z furią tysiąca słońc i wpatruje się w Tylera z niedowierzaniem.

- Czyżbyś kwestionowała moją ocenę sytuacji, żołnierzu? - odpowiada Tyler.

- Oni lecą z Gwiazdობójcą! - warczy Syldranka. - Krew dziesięciu miliardów Syldran płami jego ręce! Śmierć Galaktyki leży u jego stóp!

- Ucisz się, dziecko - wzdycha mój ojciec, odchylając się na tronie. - Sądząc po twoim wyglądzie, nawet się nie urodziłaś, kiedy Syldra upadła.

- Matka opowiedziała mi o tobie, *cho'taa* - warczy Syldranka, mrużąc fioletowe oczy. - Doskonale wiem, czym ty...

- Proszę uruchomić napęd ryftowy, porucznik - przerywa jej Tyler. - Chcę, żebyśmy się stąd wynieśli.

Syldranka piorunuje wzrokiem Tylera, ale jego ton jest nieustępliwy, twardy. Po chwili walki w milczeniu, kobieta ustępuje i pochyla głowę.

- Jeśli mam zabrać ich ze sobą, nie możemy odlecieć za daleko. Tak duży ryft...

– To nie ma znaczenia, porucznik, o ile tylko wyniesiemy się stąd.

Kobieta zaciska zęby.

– Tak jest, dowódco.

– Auri, Kal – mówi Tyler. – Lećcie za nami. I na wypadek gdyby ten siedzący za wami łajdak wpadł na jakiś głupi pomysł... – Piorunuje wzrokiem mojego ojca; jego zdrowe oko dosłownie płonie. – Wciąż zostało nam parę bomb termojądrowych, Gwiazdobójco.

Mój ojciec nie patrzy na ekran; uznaje, że Tyler nie zasługuje nawet na jego pogardę. Jednak Auri kiwa głową, zaciskając zęby.

– Polecimy za tobą, Ty.

– Zapnijcie pasy, jeśli możecie. Droga będzie wyboista.

Transmisja się kończy i mój ojciec spojrzeniem wyłącza wyświetlany obraz. Światło wokół nas przygasa, sala tronowa przybiera ciemniejszy odcień krwistej czerwieni, która odbija się w oczach mojego ojca.

– Mięczaki – mruczy.

Stojąca obok mnie Aurora obserwuje go, mrużąc oczy. Zaciska usta, wyciąga rękę w stronę środka sali, gdzie unosił się obraz. Powietrze migocze, czuję, jak wzbiera w niej moc. W jej prawym oku błyszczą małe iskra bieli. Pojawia się kolejny obraz, widok spoza statku przywołany mocą jej umysłu.

Patrzę na nią niespokojnie, ale ona się uśmiecha.

Zdaję sobie sprawę, że uczy się, jak kierować statkiem. Opanowuje to miejsce.

Jaką cenę za to zapłaci?

Widzę statek Tylera, dziwny amalgamat syldrańskiej, betraskańskiej i terrańskiej techniki, jakby złożono go w całość z kawałków tuzina innych jednostek. Nie jest piękny, ale funkcjonalny, zbudowany z myślą o walce. Na jego dziobie widnieje namalowana nazwa Mściciel.

Dech mi zapiera, gdy widzę światło, małą iskierkę na tle Burzy Fałdowej. Światło przybiera na intensywności, rozszerza się jak rozdarcie w materii Fałdy. I dociera do mnie, co widzę: Bramę Fałdową, pry-

imitywną i tymczasową, ale dość dużą, żeby przelecieć przez nią *Neridaa* do leżącego dalej układu planetarnego.

Silniki sterujące na statku Tylera zapalają się jasno, jego statek przelatuje przez rozdarcie i znika z Fałdy. Aurora opuszcza podbródek, zmarszczka przecina jej czoło, a ja biorę ją za rękę i czuję, że ruszamy.

To ogromny statek, większy od miasta, potężniejszy od wszelkiej broni wymyślonej przez Syldran, Terran, czy jakiegokolwiek innej rasy. A moja *be'shmai* porusza nim po prostu siłą myśli.

Docieramy do ryftu i Broń zaczyna się gwałtownie trząść. Nagle. Mocno. Dość, żebym prawie się przewrócił. Wyczuwam jednak delikatny nacisk i blask w oku Aurory płonie mocniej, jej moc utrzymuje mnie w pionie. *Neridaa* trzęsie się, kiedy pokonujemy próg, białe światło błyszczący jak supernowa, przestrzeń rozciąga się i wywraca wokół mnie.

I równie nagle, jak się zaczęło, wszystko się kończy.

Zapada cisza. Przestrzeń wokół statku na projekcji nie jest już pozbawioną kolorów rzeczywistością Fałdy, ale prawdziwą przestrzenią ożywioną barwami i wszystkimi odcieniami tęczy. Czerwona gwiazda płonie w oddali. W pobliżu lodowy olbrzym z metanu i azotu wisi w mroku, cichy i zielony, wiecznie zamrożony. Nie widać śladu pościgu Ra'haam, rozdarcie w przestrzeni zamyka się za nami ostatnim rozbłyskiem słonecznego światła.

Jesteśmy bezpieczni.

Na razie.

– Znowu nas wzywają – mruczy Aurora.

Zerkam na ojca. Obserwuje Aurorę jak jastrząb, kiedy ona skupia wzrok i przesuwając palcami. Obraz wyświetlany w sercu sali migocze i znowu widzę zniszczoną walką twarz Tylera Jonesa.

Normalnie poczulbym ból w piersi na jego widok z powodu śladów okrutnych dłoni czasu na skórze mojego przyjaciela, ale bardziej interesuje mnie teraz mój ojciec, który przygląda się Aurorze jak drakkan zwierzyńce. Aurora szybko uczy się obsługi statku, została stworzona do

tęgo zadania, tak samo jak on. Oboje są Zapalnikami Eshvarenów. Oboje są w stanie kierować Bronią w dobrym i złym celu. Patrę mu w oczy. Jedno płonie teraz łagodnie i wiem, że grozi jej niebezpieczeństwo.

Caersan nie będzie tolerował konkurencji do tronu.

– Wszystko u was dwojga w porządku? – pyta Tyler.

– Mamy się dobrze, bracie – mówię mu, odrywając wzrok od ojca. – Dziękujemy ci za pomoc.

– Nie dziękujcie mi jeszcze – warczy Tyler. – Wszyscy członkowie mojego sztabu mówią mi, że powinienem przebadac głowę. Lepiej przynieście tu swoje tyłki, a razem z nimi cholernie dobre wyjaśnienie. Bo, szczerze mówiąc, trochę mnie kusi, żeby zostawić was na pastwę Chwastów. – Pochyla się z płonąącym wzrokiem. – Nawiasem mówiąc, zaproszenie nie dotyczy tego psychopaty i ludobójcy, który siedzi za wami. Bo jeśli tylko zobaczę go we własnej osobie, odstrzelę mu pieprzony łeb i rozbryzgam mózg po całej podłodze.

Mój ojciec unosi brew i ziewa.

– *Mściciel*, bez odbioru.

* * *

Razem idziemy do hangaru. Po drodze Aurora zatrzymuje się, żeby włożyć buty, która zdjęła po wejściu na *Neridaę*. Stoi przez chwilę nieruchomo, podkulając i prostując palce stóp na kryształ, jakby nie chciała stracić z nim kontaktu, a potem z westchnieniem siada, wkłada skarpetki i wiąże buty.

– Pewnie byłoby niepraktyczne iść na naradę wojenną boso – mówi ze smutnym uśmiechem, na którego widok zaciska mi się serce.

To taka zwyczajna, przyziemna chwila, ale przywołuje tysiące innych, jakie spędziliśmy razem w Echu. Przypomina mi o tym, jak uczyliśmy się siebie i dopasowywaliśmy się do siebie dzień po dniu. I przypominam sobie, że chociaż Aurora jest niewyobrażalnie potężna i chociaż znajdujemy się w Galaktyce, w której rządzi śmierć, to nadal

jest dziewczyną, którą znam. Wciąż posiadam niezmierzone bogactwa, ponieważ mam ją.

Tyler oczywiście nie przycumowałby swojej jednostki do statku Eshvarenów, więc Aurora zabiera nas na spotkanie z *Mścicielem*, przenosząc nas przez pustkę.

Nie mam na sobie ani skafandra, ani hełmu, tylko czarną zbroję Nieugiętego wojownika. Normalnie zamarzyłbym i udusił się w próżni. Jednak ciepły nimb światła otacza skórę Aurory i spowija także mnie, gdy bierze mnie za rękę i przenosi przez pustą ciemność samą siłą umysłu.

Jej prawe oko płonie. Łapię się na tym, że jestem pod wrażeniem tego, jak daleko Aurora zaszła. Jak silna się stała. Jej twarz wyraża niemal ekstazę, kiedy przemierzamy razem Pustkę, na jej ustach pełza ledwie uśmieszek. Widzę jednak delikatną pajęczynę blizn wokół jej oka, wyobrażam sobie takie same szczeliny w twarzy mojego ojca, lecz głębsze i ciemniejsze. Zastanawiam się, ile to wszystko ją kosztuje.

Jaką cenę ostatecznie Aurora zapłaci.

– Jesteś piękna – mówię jej, kiedy szybujemy przez czerní.

Serce mi się zaciska na widok jej uśmiechu.

– Ty też wyglądasz nie najgorzej.

– Auroro... przepraszam. Za to, że cię okłamałem. Na temat tego, kim jestem.

Jej uśmiech przygasa przelotnie. Aurora ogląda się na *Neridaę*. Statek wisi w ciemności za nami, kolosalny i piękny, lśni we wszystkich kolorach widma. Widzę jednak teraz blizny na kadłubie po ataku Ra'haam. I wyczuwam cień czający się w jego sercu.

– Rani mnie, że nie mogłeś powiedzieć mi prawdy. – Ścisza mi dłoń.

– Ale teraz, kiedy go poznałam, rozumiem, dlaczego wolałeś, żeby twój ojciec nie żył.

– Dał mi życie – mówię, patrząc na nasze splecione palce. – A ja w zamian za to pragnąłem odebrać mu jego życie. Próbowałem wbić mu nóż w plecy.

- Jest potworem, Kal. Zamordował cały świat.
 - Wiem. - Kręcę głową i wzdycham. - Ale nie powinno tak być.
- Zaciska mocniej dłoń, patrzy mi w oczy.

- Rozumiem. Jestem przy tobie. I cieszę się, że ty jesteś tu ze mną.

Całuje mnie przelotnie i delikatnie pośród nieskończoności kosmosu, gdzie jesteśmy zupełnie sami i gdzie jesteśmy absolutnie w pełni sobą. Wbrew wszystkiemu, pomimo walki, bólu i strat, cząstka mnie nadal nie może uwierzyć, że ta dziewczyna jest moja.

Aurora przenosi nas przez połąkę pustki dzielącą *Neridaę* od statku Tylera. Gdy się zbliżamy, widzę, że *Mściciel* ma za sobą wiele walk i nie rozpada się głównie dzięki spawalniczej prowizorce i modlitwom. Wlatujemy do wyrzutni i Aurora kieruje nas do drugiej śluzy powietrznej. Nimb, jakim nas otoczyła, rozplywa się, kiedy w pomieszczeniu przywracane jest normalne ciśnienie i wlatuje tlen. Grawitacja powoli powraca, włosy Aurory opadają, białe pasmo przesłania gasnący blask w jej oku.

Właz otwiera się i widzimy, że czeka na nas gremp z mostku Tylera. Łapę ze szponami opiera na pistolecie u pasa. Ma na sobie podniszczony skafander kosmiczny. Za pleksiglasową szybką hełmu widzę czarne futro i białą łatę na lewym oku. Z kącika ust zwisa jej wykałaczka, która wygląda na zrobioną z ludzkiej kości.

Obok niej stoi Rikeryjka. Jest wyższa nawet ode mnie i ma rogi odgięte do tyłu nad wydatnymi łukami brwiowymi. Jej ręce są szerokie jak moje uda i ma imponujące szerokie barki. Trzyma ciężki karabin pulsacyjny wycelowany z grubsza w naszym kierunku. Ma na sobie stary, łatany kombinezon bojowy.

- Dzień dobry - mówi, a jej basowy głos pobrzmiwa metalicznie z powodu hełmu. - Jestem Toshh, szefowa ochrony na *Mścicielu*.
- Witaj - odpowiadam, dotykając oczu, ust i serca.
- Cześć - mówi z uśmiechem Aurora.

- To jest Dacca. Sprawdzi skanerem, czy nie jesteście zainfekowani. Wyświadczyć sobie przysługę i nie wierćcie się. - Toshh macha karabinem. - Żadnych nagłych ruchów. Ani nienagłych.

Grem্প sprawdza nas ręcznym skanerem. Aurora i ja patrzymy po sobie, kiedy czerwone światło przesuwają się po naszych ciałach. Oboje doskonale wiemy, jakiej infekcji szuka ta dwójka.

Po skończeniu skanu drobna, podobna do kotki istota cofa się, warcząc w swoim języku. Rikeryjka kiwa głową, dotyka hełmu.

- Tu Toshh, mamy zielone światło na bioskanie. Ani śladu zgnilizny, odbiór.

- Przyjąłem - odpowiada Tyler. - Wprowadźcie ich.

Kobieta opiera karabin o masywne ramię i macha na nas ręką:

- Za mną.

Kobieta wprowadza kod, otwiera się wewnętrzna śluza i wchodzimy za nią do szerszego korytarza. Grem্প z łapą nadal na pistolecie zamyka pochód. We wnętrzu widzę, że światła są przygaszone, statek pracuje w trybie oszczędnym. Plaster jest stara, stal przeżarta rdzą, wyposażenie jest wadliwe - ich kontrolki wciąż migają. Ten statek niewątpliwie pamięta lepsze czasy.

Aurora znajduje moją rękę, kiedy wchodzimy do większego hangaru wypełnionego ludźmi. Są młodzi i starzy, głównie Betraskanie, ale widzę też Chellerian i ludzi, a także parę grem্পów. Wszyscy są obszarpani i w szoku, brudni, wychudzeni, patrzą zmęczonym wzrokiem, jak idziemy za Toshh. Widziałem dość wojen, żeby natychmiast się zorientować.

- Kim są ci ludzie? - pyta szeptem Aurora.

- Uchodźcy - odpowiadam.

Toshh kiwa głową.

- Ostatni ocaleni z floty kopalnianej, którzy ukrywali się w lodowym pasie wokół martwego słońca w sektorze Beta. - Wzrusza ramionami. - Chwasty i tak ich znalazły. Wyciągnęliśmy ich spod ostrzału w ostatniej

chwili, kiedy uderzyła chmara. Udało nam się ewakuować dwa statki z konwoju, zanim reszta została zabrana.

– Ile statków było w sumie? – pyta Aurora.

Gremp za nami świergocze, szczerząc drobne kły.

– Przykro mi – odpowiada Aurora. – Nie ro...

– Trzydzieści siedem – mówi Toshh. – Uratowaliśmy dwa statki z trzydziestu siedmiu.

Dochodzimy do windy, drzwi otwierają się z sykiem. Aurora patrzy na małą Rikeryjkę, która bawi się pluszową zabawką obok stosu skrzynek. Jest brudna, potwornie chuda, małe różki dopiero zaczynają wyrastać z jej czoła poplamionego starą krwią.

– Be'shmai? – pytam cicho.

Aurora mruga zaskoczona, wchodzi za nami do windy, znowu łapie mnie za rękę, gdy drzwi się zamykają. Wyczuwamy ruch, delikatny szum magnetycznych mechanizmów i chwilę potem wychodzimy do pomieszczenia, które widzieliśmy na transmisji Tylera – na mostek.

Zauważam różne łąty i prowizoryczne naprawy, wiązki kabli i drutów wylewające się ze stanowisk taktycznych. Tu także widać ślady zużycia i zniszczenia, ale nigdzie nie są równie widoczne jak na mężczyźnie, który czeka na nas w fotelu dowódcy. Obraca się, ukazując pobliznioną w walkach maskę, długie lata i krew plamią mu rękę i malują się w jedynym oku.

– Tyler! – wykrzykuje Aurora.

Podbiega nagle i bez ostrzeżenia. Toshh i Dacca krzyczą zaniepokojone. Syldranka podrywa się, wyciągając zerostrze zza pasa.

Krzyczę na widok broni, robię krok w stronę szefowej ochrony, Toshh, stając między nią a moją be'shmai. Tyler wstaje z fotela, sięgając po broń u pasa, a Syldranka krzyczy, pędząc do Aurory:

– DOWÓDCO, UWAGA!

Kiedy kopniakiem zbijam broń grempla na bok i wyrrywam karabin pulsacyjny z rąk Toshh, słyszę słaby jęk Aurory i syk Tylera. Stoi napięty

jak struny, kiedy Aurora zarzuca mu rękę na szyję i zamyka go w miazdzącym uścisku.

Tyler stoi jak zmrożony, jak stłuczone lustro, z ręką wciąż na pistolecie. Jego załoga czeka napięta i gotowa, Syldranka gotowa do ataku z zerostrzem skwierczącym ostrym fioletowym światłem. Gremp i Rikerjka wstrzymały oddech. Widzę w ich oczach miłość do Tylera; to załoga, która z radością oddałaby życie za tego, kto nimi dowodzi. Ta załoga wierzy.

– Strasznie mi ciebie brakowało, Ty – szepcze Aurora, ściskając go mocno. – Myśleliśmy, że ty nie...

Nikt nie powiedział tego wtedy na głos. Nie byliśmy w stanie. Słowa zawisają teraz niewypowiedziane, jakby mogły przyciągnąć nieszczęście, ściągnąć ciemność na ten mały statek.

„Nie żyjesz”.

Tyler stoi nieruchomo jeszcze przez chwilę. Zerka na mnie. Jednak wreszcie odsuwa dłoń od pistoletu i powoli unosi rękę. Jego objęcia nie płoną ciepłem, nie wyrażają całkowitego otwarcia się; nadal widzę napięcie w jego sylwetce, brzemień na ramionach. Jednak przez krótką chwilę obejmuję Aurorę mocno i pozwala sobie na sekundę radości w Galaktyce, która jest jej całkowicie pozbawiona. Radości, bo jego przyjaciółka wciąż żyje.

– Mnie ciebie też brakowało – szepcze.

– Niesłuchana historia, Auroro.

Wszyscy siedzimy pod migoczącymi lampami w gabinecie kapitana na *Mścicielu*. Napotykamy wiele wrogich spojrzeń. Aurora siedzi obok mnie, trzyma dłoń na moim kolanie. Sztab Tylera zebrał się po drugiej stronie stołu. Powietrze aż skwierczy od napięcia, wrogości, nieufności.

Tyler siedzi w fotelu kapitana, ciężar dowodzenia spoczywa na jego ramionach z równą naturalnością co zawsze. Wyczuwam jednak nowe brzemie ciężące mojemu przyjacielowi, coś więcej niż lata i blizny. To ciężar, jakiego dotąd nie nosił.

Tyler, którego znałem, był taktycznym geniuszem, chłopcem potrafiącym znaleźć drogę wyjścia z najgorszych opałów. Widziałem jednak już ten wyraz oczu, jaki ma teraz Tyler, na twarzach wojowników idących na pewną śmierć. Tyler nie ma miny odważnego dowódcy, który zaciekle walczy o zwycięstwo, wiedząc, że ostatecznie zatriumfuje. Ma twarz wojownika, który wie, że nie może wygrać w tej wojnie.

To twarz człowieka, który czeka na śmierć.

– Wiem – mówi Aurora. – Sama nie mogłabym w to uwierzyć, gdybym tego nie przeżyła. Jednak dla nas bitwa o Terrę wydarzyła się raptem parę godzin temu.

– Szczęściara – warczy ktoś z obecnych. – Większość z nas musiała żyć z twoją porażką przez dwadzieścia siedem lat.

To słowa Betraskanki, niewątpliwie weteranki, która nazywa się Elin de Stoy i jest zastępczynią Tylera. Cybernetyczny monokl w jej oku

obraca się i przesuwa, kiedy obrzuca Aurorę czarnym spojrzeniem. Aurorę zaskoczył ten przytyk, ale panuje nad sobą, patrzy Elin w twarz.

– Przepraszam, ale nie panowałam na tym, co...

– To jest słowo, którego bardzo często używasz, Terranko – odzywa się syldrańska sterniczka. – Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, że „przepraszam” w ogóle się nie liczy.

Jej fioletowe oczy błyszczą, gdy patrzy na Aurorę, nie kryjąc nawet faktu, że to wyzwanie. Nazywa się Lae, a przynajmniej Tyler tak ją nazywa – ciekawe przezwisko dla kogoś z mojego ludu, ale z drugiej strony nastąpiły ciekawe czasy. Nosi znak Wędrowców na czole, ale aż się jeży wojowniczą wrogością. Ma głębokie szczeliny w skórze wokół oczu, ślady bólu wykrzywiają kąciki jej ust, ale pod tym wszystkim kryje się... coś znajomego, czego nie potrafię do końca uchwycić. A najdziwniejsze jest to, że kiedy już opuściliśmy Fałdę, widzę, że jej włosy nie mają typowego dla mojego ludu srebrnego odcienia, wyglądają jak wyblakła mieszanka srebra i złota.

– Mamy nadzieję naprawić to, co zostało zepsute – odpowiadam, patrząc jej w oczy i przyjmując wyzwanie. – Myślimy, że uda nam się wrócić z powrotem do chwili, którą opuściliśmy, i cofnąć to, co się wydarzyło. Najpierw jednak trzeba naprawić Broń.

– A my mamy ci zaufać? – prychna Lae. – Synowi Gwiazdobójcy?

– Sądząc po stanie waszego statku i załogi, i po tym, co już zobaczyliśmy w Galaktyce, nie widzę, jakie inne macie wyjście.

Cień zawisa nad nami, wspomnienie światów pożartych przez Ra'haam, skażonych statków, które zaatakowały nas w Fałdzie, ładowni pełnych uchodźców. Aurora patrzy na Tylera. W jej oczach maluje się ból, gdy pyta:

– Co tu się stało?

Tyler podnosi poobijaną piersiówkę, wypija łyk, zgrzyta zębami. Wyczuwam z miejsca, w którym siedzę, gryzący zapach alkoholu własnej roboty. Tyler ociera usta, drapie się po skórzanej łacie zasłaniającej miejsce, gdzie powinno być oko.

– A jak myślisz, co tu się stało? Skopano nam tyłki.

Bierze głęboki wdech, wypija kolejny łyk. Wyczuwam ciężar w pokoju, zapach w powietrzu. Patrzę po tych wojownikach i widzę kolor odbijający się w ich oczach, smak soli i rdzy na języku.

Krew.

Tak wiele krwi.

– Saedii i ja zostaliśmy pojmani przez GAW. – Tyler wzdycha. – Zabrano nas na pokład, żeby sprowokować Caersana. A on, jak ostatni idiota, złapał przynętę i rozpętał wojnę między Nieugiętymi a sojuszem betraskańsko-terrańskim. Kiedy Broń zniknęła w czasie bitwy, Nieugięci wycofali się z przestrzeni Ziemi, ale najpierw obie strony poniosły ogromne straty. A potem Ra'haam zaczął realizować prawdziwy plan.

Tyler kręci głową i znowu upija łyk alkoholu.

– Miał już wtedy tajnych agentów w całej Galaktyce. Posługując się siecią i zasobami GAW, zaaranżował serię ataków terrorystycznych w kilka galaktycznych rządów: chelleriański, rikeryjski, betraskański, ale w taki sposób, żeby to wyglądało na robotę innych ras. Zasiał nieufność. Rozbił dawne alianse. Galaktyczny Konwent zwołał posiedzenie nadzwyczajne, żeby to wszystko rozwikłać. Szefowie wszystkich planet zebrali się w jednym miejscu. To był naprawdę głupi pomysł.

Tyler wzdycha i wygląda przez iluminator na gwiazdy.

– Agent Ra'haam zdetonował bombę podczas narady Konwentu. Za jednym zamachem pozbył się wszystkich najwyższych rangą dyplomatów i szefów sprzymierzonych planetarnych rządów. Na dobrą sprawę ściał głowę Konwentu. Planety zaczęły obwiniać siebie wzajemnie, powróciły stare urazy. Zmarnowano wiele wysiłków na odnalezienie sprawcy i na zwalczanie małostkowych sporów. Zanim zorientowano się, co naprawdę się dzieje, było już za późno.

– Rozkwitł i rozsiał się – szepcze Aurora.

– Ra'haam wykuł się ze swoich planet-wylęgarni. – Tyler kiwa głową. – Rozsiał się przez naturalne bramy w tych układach i przeniknął

do Fałdy. Biliony sporów zarażających wszystko, co napotkały. Statek po statku. Planeta za planetą. Rasa za rasą. Wciągały je do zbiorowego umysłu. Walczyliśmy. Oczywiście, że walczyliśmy, ale z każdym światem Ra'haam był coraz silniejszy. Każdy zarażony żołnierz lub statek przechylał szalę zwycięstwa. Aż liczby stały się zbyt wielkie, żeby dłużej walczyć, i pozostała tylko ucieczka. Ludzie rozproszyli się po wszystkich zakątkach Galaktyki, przyczaili się, mając nadzieję, że zbiorowy umysł ich nie usłyszy, nie wyczuje, nie znajdzie. Ale Ra'haam zawsze znajduje.

Zgroza tego zalewa nas oboje. Aurora ściska mocno moją dłoń.

– Ale... nadal walczyacie?

– Zostało nas niewiele – odpowiada Tyler, wskazując zbieraninę tworzącą jego załogę. – Koalicja szukająca tych, którzy przetrwali, zabierająca ich do tych nielicznych bezpiecznych miejsc, jakie możemy oferować. Ale to tylko kwestia czasu.

Tyler kręci głową i znowu patrzy Aurorze w oczy.

– To tylko kwestia czasu, kiedy Ra'haam zagarnie wszystko.

– Jak wam się udaje wymykać wrogowi? – pytam. – Brama Fałdy, którą otworzyliście, żeby nas tu ściągnąć... nigdy dotąd nie widziałem podobnej technologii.

– Nazywamy to napędem ryftowym – odpowiada Tyler. – To amalgamat betraskańskiej i terrańskiej techniki, który wykorzystuje syldrańską energię psychiczną do manipulowania czasoprzestrzenią. Nie rozumiem tego tak naprawdę, ale sami odkryliśmy kilka niezwykłych właściwości kryształów Eshvarenów. – Kiwa głową w stronę złotowłosej Syldranki, która wpatruje się w Aurorę. Szczeliny w jej skórze ciemnieją, gdy krzywi się pogardliwie. – Na każdym naszym statku jest jeden Wędrowiec i kawałek kryształu wydobyty z sond Eshvarenów. Wędrowcy posługują się nimi, żeby otwierać bramy, pokonywać Fałdę na skróty. To ma jednak swoją cenę. A nie zostało nam już wielu Wędrowców.

– Co się stało z pozostałymi? – pyta cicho Aurora.

Tyler marszczy brwi.

– Z pozostałymi Wędrowcami? Oni...

– Nie, mam na myśli Scarlett, Fina, Zilę. Czy oni...?

Nastrój Tylera staje się jeszcze mroczniejszy, jego głos zgrzyta jak mokry żwir, gdy odpowiada:

– Zginęli podczas bitwy o Terre.

– A... Saedii? – pytam.

Tyler patrzy na mnie. Przeczesuje palcami siwiejące włosy, znowu wypija potężny haust z piersiówki.

– Razem uciekliśmy z więzienia GAW. Nawet sprzymierzyłem się z nią i jej załogą w walce z Ra'haam. – Uśmiecha się, ale pod tym uśmiechem widać ból starej blizny. – Nieustannie darliśmy ze sobą koty, ale przez parę lat radziliśmy sobie. To była niezemska kobieta, ta twoja siostra.

Druga Syldranka wbija we mnie wzrok.

– Gdzie jest? – łapię się na tym, że pytam.

– Saedii popełniła samobójstwo.

– Nie – szepczę. – Ona nigdy by...

– Prowadziła misję ratunkową. – Tyler wzdycha. – Próbowala uratować flotę uchodźców w pobliżu Oriona. Zostali trafieni przez Ra'haam. Miała uszkodzone silniki, jej statek dryfował w pustce. Ona i jej załoga byli otoczeni. Wysadziła rdzeń, żeby nie dać się pochłonąć kolektywowi.

Mruczę modlitwę do Pustki, przyciskam palce do oczu, ust, bolącego serca. Aurora ściska mi rękę, oczy zachodzą jej mgłą na widok mojego smutku. Moja siostra i ja nie byliśmy ze sobą blisko w ostatnich latach, ale kiedyś bardzo się kochaliśmy, tak jak tylko potrafi rodzeństwo wykute w tej samej kuźni.

Tyler dopija zawartość piersiówki, a Syldranka piorunuje mnie wzrokiem.

– Umarła z honorem – warczy. – W przeciwieństwie do reszty jej rodziny.

W jej głosie pojawia się gorycz i chęć przemocy, kiedy skupia wzrok fioletowych oczu w siatce spękań na powietrzu obok mojej głowy.

– Słyszysz mnie, *cho'taa?* – warczy. – Wyczuwam cię! Czaisz się w ciemności jak złodziej! Ukaż się, *i'na destii!* *Ko'vash dei saam te naeli'dai!* – Wstaje i aż się jeży z wściekłości, gdy sięga po zerostrze. – *Aam sai toviir'netesh!* *Vaes santiir to sai'da baleinai!*

Podrywam się, staję między Aurorą a skrzącym się psi-ostrzem. Powietrze obok mnie migocze, przemienia się, krwistoczerwony blask kładzie się na całym pomieszczeniu. Aurora wstaje, jej oko błyszczy słabo, kiedy postać mojego ojca materializuje się w pokoju. Jest wysoki, mroczny, dziesięć warkoczy ma udrapowanych na zniszczonej twarzy, kiedy opuszcza podbródek i się krzywi.

Tyler w okamgnieniu wyciąga broń, podobnie robi reszta jego załogi. Strzelają, chociaż krzyczę ostrzegawczo, rozbłyski z dezelatorów i blasterów wypełniają pomieszczenie. Jednak obraz mojego ojca tylko migocze jak odbicie na wodzie, do której wrzucono kamienie, i zdaję sobie sprawę, że to tylko projekcja jego świadomości, którą rzutuje z *Neridai*, żeby podслуchać naszą rozmowę.

– Tchórz! – warczy Lae. – *De'saiie na vaelto'na!*

Mój ojciec przekrzywia głowę i patrzy na wściekłą Wędrowczynię.

– Mnie nazywasz bezwstydnym? – pyta. – Mnie nazywasz kundlem? Mnie, który chadzał wśród gwiazd, zanim się urodziłaś? Mnie, który zrywał słońca z nieba i wygrywał niezliczone bitwy? Nie jesteś warta tego, żeby nazywać siebie Syldranką, szczeniaku.

– To twoja wina! – ryczy. – To WSZYSTKO!

Piorunuje wzrokiem kobietę, jego tęczęwki rozbłyskują słabo. Widzę jednak, że pogarda i gniew słabną w nim na chwilę, mały cień kładzie się na jego sercu.

– Saedii... ona...

Tyler wstaje, szczyrzy zęby i unosi dezelator.

– Wynos się do diabła z mojego statku, skurwysynie.

– Ojczy – odzywam się cicho. – Powinieneś odejść.

Przenosi wzrok na mnie, a potem na Lae i na koniec zwraca się do Tylera. Sugestia smutku, którą w nim wyczułem, została przelknięta w całości, pogardliwe spojrzenie pada na pustą metalową piersiówkę w dłoni mojego starego przyjaciela.

– Nic dziwnego, że zawiedliście, mając tak mało wartego kapitana.

– Jeśli ja jestem tak mało wart, Gwiazdobójco, to jak...

On jednak zniknął, przepadł bezgłośnie jak zmarszczka na wodzie, wycofał się do swojej sali tronowej na pokładzie *Neridai*. Lae patrzy na Tylera, ma ślinę na ustach, kiedy syczy:

– Powinniśmy polecieć na ten statek i zabić go, dowódco.

– Zniszczyłby was wszystkich – odpowiadam.

– Tak się go boisz? – prycha Lae.

– W równym stopniu, jak nienawidzę – odpowiadam ze smutkiem, patrząc w jej zmrużone oczy. – A gdybyś ty była mądra, też byś się go bała.

– Do tych, którzy mają krew Caersana, należy obowiązek zakończenia tej hańby. To twój ojciec. Powinieneś już go zabić, żeby oczyścić nazwisko swojej rodziny.

W tej chwili ból z powodu utraty Saedii się pogłębia. Śmierć matki także odzywa się w korytarzach mojej pamięci, wystrzajając wypowiedziane przeze mnie słowa, kiedy patrzę Lae w oczy.

– Rodzina... to skomplikowana rzecz – warczę. – Nie waż się mnie pouczać na temat mojej własnej. Nie masz pojęcia, co to znaczy być jej częścią.

– Dlaczego, u diabła, współpracujesz z tym łajdakiem, Auroro? – pyta Tyler głosem cichym z powodu zdumienia i nienawiści.

– Potrzebujemy go. Nie przywykłam jeszcze do posługiwania się Bronią. On miał prawie dekadę na naukę i zna nutę, którą trzeba odegrać na *Neridai*, żeby powrócić do naszego czasu.

– Jak to w ogóle jest możliwe? – pyta szefowa ochrony Toshh.

Obok niej Dacca świergocze i kiwa głową, poruszając wąsikami.

– Nie wiem – odpowiada Aurora. – Ale mu wierzę. Jeśli zdołamy stąd wrócić, możemy to wszystko cofnąć! Możemy zniszczyć Ra’haam, zanim się wykluje!

– Więc co, u licha, jeszcze tu robicie? – pyta ostro Tyler. – Skoro możecie...

– Broń jest uszkodzona, bracie. Wymaga naprawy.

Zastępczyni Tylera wbija we mnie wzrok czarnych, błyszczących oczu.

– Jak zamierzacie się tym zająć?

– Nie wiem. – Pocieram podbródek. – Macie jakąś bazę? Jakieś miejsce...

Dacca świergocze, wymachując ogonem i patrząc na mnie złotymi kocimi ślepiami.

– Pewnie, że mamy bazę, elfiku – warczy Toshh. – Ale niech nas Stwórca przeklnie, jeśli zdradzimy jej położenie Gwiazdobjcy.

– Nawet gdybyśmy to zrobili, nie dysponujemy sprzętem do naprawy takiego urządzenia – wtrąca się Betraskanka. – Niewiele zostało portów kosmicznych, które specjalizowałyby się w superbroni z kryształu Eshvarenów.

– Jest jednak pewne miejsce... – mruczy Aurora w zadumie.

Patrzę na nią pytająco, marszcząc czoło.

– Rodzinny świat Eshvarenów – mówi, patrząc mi w oczy. – Pamiętasz? Był ukryty w anomalii Fałdy. Może nadal tam jest.

Kiwam powoli głową.

– Jeśli istnieje jedno miejsce, gdzie można naprawić uszkodzenia, to właśnie tam, gdzie Pradawni skonstruowali Broń.

– Gdzie znajdowała się ta... anomalia? – pyta Tyler.

– W sektorze Theta – odpowiadam. – Trafiliśmy tam ze Scarlett, Finianem i Zilą, po tym, jak zostałeś aresztowany przez GAW.

– Marzysz, elfiku – odzywa się de Stoy. – Sektor Theta został całkowicie zajęty przez Chwasty. Leżą tam grubszą warstwą niż *sketi* na *martuushu*.

– Jeśli będziemy poruszać się szybko...

– Ra'haam dysponuje większą mocą wewnątrz Fałdy – odzywa się Toshh. – Wyczuwa fale psychiczne każdego żywego stworzenia, jakie tam wkracza, i zaraz wysyła flotę, żeby je pochłoniąć.

– Musi istnieć sposób – nalega Aurora.

– Podróżowanie przez sektor Theta to zły pomysł – odpowiada Tyler.

– Może dla ludzi, którzy nie mieli najlepszego taktyka, jaki kiedykolwiek opuścił Akademię Aurora – odpowiada z uśmiechem moja be'shmai. – Tyler Jones nie ma złych pomysłów, zapomniałeś? Ma tylko mniej genialne.

Jednakże Tyler nie odpowiada uśmiechem. Mówi ponuro, z chmurną twarzą:

– To było dawno temu, Auri.

– Potrzebujemy twojej pomocy, bracie – odzywam się. – Proszę.

Tyler bawi się srebrnym pierścionkiem na palcu, zaciskając zęby. Gniew i poczucie zdrady nadal gotują się w nim pod powierzchnią. Rikeryjka przygląda się Aurorze starymi oczami i mruczy:

– Może powinniśmy poinformować o tym radę, dowódcu.

Lae krzywi się i warczy:

– A co nas to obchodzi? Czemu mamy przejmować się czymkolwiek co oni mają do powiedzenia? Nie możemy pomagać Gwiazdobjcy ani jego synowi, ani głupcom, którzy się z nimi wiążą. Musimy zabić go, żeby pomścić nasze straty...

– Dość tego, Lae – odzywa się Tyler.

– Nie! – pieni się Lae. – Dowódcu, on ma krew miliardów na rękach! Honor wymaga jego śmierci! Nie możemy...

– Powiedziałem DOŚĆ, porucznik! – ryczy Tyler.

Patrzą się na siebie, stojąc twarzą w twarz, woła Tylera skrzy się w starciu z wolą Lae. Wyczuwam w niej wściekłość, furię, ale ostatecznie kobieta spuszcza wzrok.

– Tak jest, dowódco – mamrocze.

– W jakim stanie jest napęd ryftowy? – pyta Tyler.

– Kryształ wykazuje oznaki postępującego rozpadu – odpowiada cicho. – Ale na razie jest dostatecznie stabilny.

– Jak szybko możesz zabrać nas do domu?

Lae znowu zerka na niego z niedowierzaniem, ale nie rzuca ponownie wyzwania, zamiast tego tylko przygląda mu się uważnie fioletowymi oczami w siatce spękań.

– Muszę odpocząć. Godzinę, może dwie. A tak daleki skok z równie dużym statkiem... to będzie kosztowne. Dowódco.

Widzę, że spojrzenie Tylera łagodnieje.

– Będzie bolało?

– To zawsze boli, ale jeśli taki jest rozkaz...

Tyler znowu patrzy na Aurorę i na mnie, wreszcie porządkując myśli.

– Nie mogę podjąć tej decyzji sam. Nie, kiedy stawka jest równie wysoka. Musimy wrócić do bazy. – Jego spojrzenie pada na Aurorę. Jego zdrowe oko jest jak ze stali. – Będziesz mogła przedstawić swoją prośbę Radzie Wolnych Ludzi. Jeśli zdecydują, że mamy wam pomóc, to pomożemy. Jeśli nie, to będziecie zdani na siebie.

Aurora kiwa głową. Jej spojrzenie zdradza ból.

– Rozumiem. A jeżeli potrzebujecie mojej pomocy... – Zerka na Lae i wzrusza ramionami. – Przy napędzie... To znaczy, jeśli potrzebujecie mocy do poruszania się, to chyba jestem w stanie pomóc.

Lae zerka na *Neridaę*, potężny statek poruszany jedynie siłą woli Aurory. Kiwa głową.

– Przyjmę twoją pomoc.

– W porządku – mówi Tyler. – Dacca, Toshh, rozmieście uchodźców. Elin, mamy pozostać w stanie pogotowia na poziomie drugim, na wypadek gdyby pojawiły się nowe Chwasty. Godzina w jednym miejscu to nie za długo, ale kiedy tylko będziemy mogli, przeskoczmy do domu.

– Tak jest, dowódco – pada odpowiedź.

– Bierzmy się do roboty, tylko z życiem.

Załoga rozchodzi się do wyznaczonych zadań. Aurora uśmiecha się do mnie łagodnie i wychodzi z Lae, żeby obejrzeć napęd. Tyler i ja zostajemy sami, wpatrując się w siebie ponad stołem. Wiele powinniśmy sobie powiedzieć, ale nie jestem pewien, czy to jest właściwie miejsce ani czy Tyler byłby gotowy słuchać. Dlatego zamiast tego zadaję pytanie, które płonie mi w myślach.

– Gdzie jest dom w takiej Galaktyce jak ta, bracie?

Wygląda przez okno, na czerwone słońce, milczące światy. Pozwalam sobie na najdrobniejszą krztynę nadziei, bo jeszcze nie odmówił mi prawa posługiwania się tym tytułem.

– Właściwie to już tam kiedyś byłeś.

– To Akademia Aurora?

– Nie. – Wzdycha – Agenci Ra’haam zniszczyli ją podczas ataku na Galaktyczny Konwent. Poza tym stacja za wolno się porusza. – Zerka na mnie, a w jego oczach pojawia się strach. – Ra’haam... słucha, Kal. Jest teraz tak wielki, że słyszy wszystko. Schowaj się na planecie, a wkrótce cię znajdzie. Ukryj się we flocie, a ostatecznie wywęszy cię, jak wywęszył tych biedaków w ładowni na dole.

Kręcę głową.

– W takim razie gdzie jest bezpiecznie?

Tyler wzrusza ramionami.

– Jeśli nie ma świata, który mógłbyś nazwać domem, jeśli nie ma bezpiecznego statku, żeby się na nim ukryć, to musisz posłużyć się jednym i drugim.

Mrugam zaskoczony, składając w głowie tę zagadkę.

– Wiekuisty. – Uśmiecham się.

Mój opiekun roku powiedział mi kiedyś, że słowa „gdyby tylko bardziej się przykładała” nie pojawiały się równie często w raportach żadnego innego kadeta w historii Akademii Aurora. I jestem niemalże pewna, że nie to miał na myśli, kiedy powiedział „ćwiczenie czyni mistrza, kadetko Jones”. Jednak jak na razie umarłam tego dnia trzydzieści siedem razy i okazuje się, że mam do tego prawdziwy talent.

Wiem, że to brzmi dziwnie. Może nawet trochę nienormalnie. Ale chociaż to może być dziwne i makabryczne, to zaczynam podejrzewać, że najważniejszy powód, dla którego ludzie boją się umierania, to fakt, że nie wiedzą, co wydarzy się potem.

Zila, Finian, Nari i ja wiemy, co się stanie. W każdym razie co się stanie z nami. Trochę trudniej się bać, kiedy wiesz, co cię czeka.

Czarne światło.

Biały szum.

Przelotne zawroty głowy.

I już znowu stoję przed Finianem na pokładzie promu, z myśliwcem porucznik Nari Kim czekającym na zewnątrz w ciemności.

Strach nie zniknął od razu. W dodatku początkowo dziwność tej sytuacji tak bardzo mi ciążyła, że zastanawiałam się przez chwilę, czy nie wolałabym pozostać martwa. Było w tym coś niewłaściwego. Wręcz nie-naturalnego. Jednak, jak już powiedziałam, zawsze byłam dziewczyną, która widzi szklanke do połowy pełną. I kiedy już strach zniknął, muszę wam powiedzieć... ta nieśmiertelność jest niemalże niesamowita.

Zatem oto nasza kolejna próba dotarcia do gabinetu doktora Pinkertona. Próba nr 37, dla ścisłości, odkrycia sekretu, co, u diabła, dzieje się w tej placówce. Pozwólcie, że podsumuję wam ostatnie wydarzenia w krótkich słowach.

Po pierwsze odkryliśmy, że musimy dotrzeć na poziom administracyjny szybem windy, a nie schodami ewakuacyjnymi, jak za pierwszym razem zaproponowała porucznik Kim. Schody A prowadzą do nieosłoniętej części stacji, a już widzieliśmy, co się dzieje, kiedy impuls kwantowy uderza w stację, a my stoimy tam i ślicznie wyglądamy.

PAAAAFF.

Możecie zastanawiać się, dlaczego nie poczekamy, aż impuls uderzy, i nie pójdziemy potem. Doskonałe pytanie. Niestety już wypróbowaliśmy tę możliwość i odkryliśmy, że kiedy za długo czekamy na niższym poziomie, znajduje nas ochrona, i to nie raz, nie dwa, ale trzy razy z rzędu.

BACH.

BACH.

BACH.

Okazuje się, że nawet mimo uszkodzenia stacji część kamer nadal przekazuje obraz. Kto by zgadł, że chłopaki z ochrony w tajnej instalacji wojskowej tak poważnie potraktują obecność sabotażystów? Myślałam, że cios wymierzony w walory jest bolesny. Zapewniam, że strzał prosto w nie jest o wiele gorszy.

BACH BACH.

Potem postanowiliśmy spróbować szczęścia na schodach B i podczas naszego dziewiczego rejsu zupełnie nowe dziwactwo dołączyło do uprzedniej mieszanki. Widzicie, w drodze na spotkanie z nami droga porucznik Kim postanowiła polecieć inną trasą, żeby zaoszczędzić kilka minut. Weszła do korytarza 16B, na pokładzie 6 dokładnie w tej samej chwili, kiedy kadłub pękł i cała atmosfera z korytarza wyciekła w kosmos.

PSSSSSS.

BAM.

I chociaż Zila, Fin i ja nadal czołgaliśmy się w tym czasie zsysem, to nagle... czarne światło, biały szum, zawrót głowy i stoję na pokładzie promu, znowu patrząc w wielkie, ładne oczy Fina.

To było ostateczne potwierdzenie mojej teorii. W jakiś sposób cała nasza czwórka jest zamknięta razem w tej pętli. Nieważne jak, nieważne kto, ale jeśli jedno z nas wypada z pętli, to całość zaczyna się od nowa.

Znowu.

I znowu.

Czy nam się to podoba, czy nie, tkwimy w tym razem.

W następnej kolejności zajęliśmy się schodami B. Próbowaliśmy trzy razy, ale chociaż poruszaliśmy się najszybciej, jak się da, pokonywaliśmy tylko połowę drogi, zanim system podtrzymywania życia postanowił zabawić się w krótkie spięcie gdzieś w nadbudowie i cała klatka schodowa stawała w ogniu.

SZUUUU.

ARRRGGG.

Zatem został nam szyb windy. Dobra nowina jest taka, że uszkodzenie stacji załatwiło tamtejsze kamery. Zła wiadomość jest taka, że osłabiła kabel i wyłączyła system bezpieczeństwa. Zorientowaliśmy się za pierwszym razem, kiedy wczołgaliśmy się do szybu A i winda pełna inżynierów postanowiła zjechać na poziom rdzenia dokładnie w tej samej chwili, w której my próbowaliśmy wspiąć się szybem.

BRZDĘĘK.

PLASK.

Na szczęście szyb B nie ma tych wad i po kolejnej próbie, podczas której Finian odkrył uszkodzenie szczelbła numer 372 drabiny technicznej (TRZASK, „O W KUUUUURNAAAA”), zdołaliśmy dotrzeć do sekcji mieszkalnej, gdzie znajduje się gabinet doktora Pinkertona.

Ale jeszcze nie zaczynajcie świętować, moi drodzy.

Drzwi na górze są hermetycznie zamknięte, na wypadek gdyby na innym pokładzie zaczęło spadać ciśnienie, więc potrzebujemy trzech minut i czterdziestu dziewięciu sekund, żeby Fin mógł przepalić palnikiem zamki.

Niestety otwarcie drzwi włącza cichy alarm. Przekonaliśmy się o tym w bolesny sposób dokładnie minutę i dwadzieścia trzy sekundy po naszej pierwszej udanej próbie, kiedy przecinaliśmy sobie drogę do gabinetu Pinkertona.

– STAĆ!

– Proszę, nie strzelajcie! Nazywam się Scarlett Isobel Jones i jestem...

BACH BACH BACH.

Zła wiadomość jest taka, że nie da się obejść alarmu. W tej samej chwili, w której otwieramy drzwi, umawiamy się na spotkanie z oprychami z ochrony.

Dobra wiadomość jest taka, że po paru próbach...

– STAĆ!

– Na oddech Stwórcy, czy wy, Ziemniaki, nie macie niczego le...

BACH BACH BACH.

...i błędach...

– STAĆ!

– Po co dupki, mówicie, stać, skoro i tak zamierzacie nas...

BACH BACH BACH.

...wymyśliśmy, jak dostać się do gabinetu Pinkertona bez marnowania czasu na przecinanie zamków w drzwiach.

Wygląda to mniej więcej tak:

Legionista de Seel i ja wspinamy się szybem B (dobrze pamiętając, żeby pominąć szczebel 372). Kiedy ja wiszę na drabinie poniżej niego, patrząc, jak iskry odbijają się w jego oczach, Finian przecina drzwi prowadzące na poziom administracyjny. W tym czasie Zila i porucznik Kim

idą do kostnicy, gdzie przebywa ciało niedawno zmarłego doktora Pinkertona.

Po czterech próbach...

BACH.

ZIIUUT.

„STAC!”

CIACH CIACH CIACH.

...panie nie znalazły sposobu, jak ominąć ochronę i zdobyć to, czego potrzebujemy: elektronicznej karty dostępowej wiszącej na szyi martwego Pinkertona. Jednak jak już wspomniałam, mam tym razem dobre przeczucia.

Zatem trzymajcie kciuki, dzieciaki.

Iskry sypią się z metalu, cichuteńki syk palnika Fina ledwie da się usłyszeć z powodu wyjących alarmów i rozlegającej się od czasu do czasu syreny. Wiszę na szczeblu pod nim i patrzę, jak Finian pracuje: zaciśnięte usta, ciemna zmarszczka skupienia między brwiami.

– Mogę pomóc?

Uśmiecha się.

– Pytałaś mnie o to trzy ostatnie razy. Wszystko w porządku, Scar.

– Jak myślisz, jak radzą sobie Z i Kim?

– Wiesz, wciąż jeszcze nie zniknęliśmy w rozbłysku temporalnego paradoksu. – Ociera czoło rękawem. – Czyli lepiej niż poprzednio.

Stacja wibruje lekko i rozlega się wycie kolejnego alarmu. Czuję się nieprzydatna i to mi się nie podoba.

– Na pewno nic nie mogę zrobić?

Fin się uśmiecha.

– Trochę chce mi się pić...

Zahaczam jedną rękę o szczebel i zdejmuję plecak z ramienia, który zabrał Fin. Sięgam do środka i grzebię pośród naszych bezużytecznych unikonów w poszukiwaniu manierki. Zamiast tego moje palce natrafiają na coś miękkiego. Z futerkiem. Wyjmuję ten przedmiot na światło

i robi mi się ciepło, gdy zdaję sobie sprawę, co trzymam. Uśmiech wykrzywia mi usta.

- Uratowałaś Koniczynkę?

Fin zerka w dół na pluszowego smoka w mojej dłoni i wzrusza ramionami.

- Uznałem, że przydadzą nam się wszyscy sprzymierzeńcy, jakich znajdziemy.

Przyciskam Koniczynkę do ust, oddycham głęboko i patrzę na chłopca nade mną. Stwórcu, jaki on jest słodki. Ze wszystkich rzeczy, jakie mógł zabrać, ocalił jedyną cząstkę Cat, jaka nam została. Nadal czuję jej zapach na pluszu smoka, kiedy się zaciągam, zapach jej perfum i płynu zmiękczającego do tkanin, którego używała. Na chwilę to tak we mnie uderza, że muszę zamknąć oczy. Świadomość tego, jak daleko od domu jesteśmy, jak wiele straciliśmy w drodze tutaj i że możemy nigdy nie znaleźć drogi powrotnej.

- Wszystko w porządku?

Podnoszę wzrok i widzę, że Fin wparuje się we mnie z troską. Wiem, że nie powinnam zawracać mu głowy, ma robotę do wykonania i kto wie, jak wysoka jest stawka, ale nagle czuję się tak strasznie mała, że w ogóle siebie nie wyczuwam.

- Myślisz, że to wszystko dobrze się skończy?

Fin marszczy lekko brwi.

- Masz na myśli...

- Mam na myśli to wszystko. Auri, Tylera, to, nas. - Kręcę głową, nienawidząc łez, które napływają mi do oczu. - Nigdy nie traktowałam niczego poważnie, Fin. Przez cały pobyt w Akademii opieprzałam się. I teraz, kiedy wylądowaliśmy po pas w gównie, czuję się zupełnie bezużyteczna. Potrafię tylko rozmawiać, a tu nie ma na to miejsca. Może gdybym bardziej uważała, gdybym...

- Ej. - Gasi latarkę i z wysiłkiem schodzi po drabinie, żeby spojrzeć mi prosto w twarz. - Ej, bez żadnych takich. Nie jesteś bezużyteczna.

Przewracam oczami.

– Doceniam twoje zaufanie, legionisto de Seel, ale fizyka teoretyczna nie jest moją najmocniejszą stroną.

– Możliwe. – Finian wzrusza ramionami i jego egzoszkielet syczy. – Ale odkąd GAW złapała Tylera, nie jestem pewien, czy zauważyłaś, ale jedyną osobą, która trzyma naszą drużynę w kupie, jesteś właśnie ty. Potrzebujemy ciebie, Scar.

Ociera mi łzę srebrnym palcem.

– Ja ciebie potrzebuję.

Kręcę głową zdumiona.

– Jakim cudem cały czas byłeś pod moim nosem, a ja dopiero teraz cię dostrzegłam?

Uśmiecha się i wzrusza ramionami.

– Cieszę, że dostrzegłaś.

– O, tak – szepczę.

Przysuwam się i Fin obejmuje mnie w talii. Przebiega mnie lekki prąd, gdy nasze usta się stykają. Elektryczność i motyle wzbierają we mnie, kiedy stacja gwałtownie się kołysze. Fin przyciska się do mnie i wtedy głos Zili przekrzykuje wyjące alarmy.

– Czy wy dwoje marnujecie bezcenne minuty w środku temporalnego paradoksu, o jakim nikt dotychczas nie słyszał, na frywolne pre-seksualne działania?

Zerkamy w dół szybu i widzimy Zilę wspinającą się szybko, a za nią porucznik Kim.

– Beznadziejna z ciebie romantyczka, Z! – wołam.

– Nie mamy czasu na takie trywialne rzeczy, możemy...

– Spokojnie, legionistko Madran – mówi Fin, mrugając do mnie porozumiewawczo i wysuwając się z moich objęć. – Zanim dojdiesz na górę, ja tu skończę.

– Zdobyłyście kartę, moje panie?! – krzyczę.

– Udało nam się! – woła w odpowiedzi Zila. – Dzięki błyskawicznemu myśleniu Nari.

– Nari? – mruczy Fin. – Ona i Ziemniaczka są już ze sobą po imieniu?

– Zachowuj się – pomrukuje w odpowiedzi.

– A jeśli nie chcę? – pyta i znowu mruga.

Zamek szczęka, Fin gasi palnik i przy wtórze jęku egzoszkieletu nasz macher rozsuwa szeroko drzwi akurat w chwili, gdy Zila i Kim do nas docierają. Jak zawsze gdzieś rozlegnie się cichy alarm, gdy tylko postawimy nogę w korytarzu, ale mamy chwilę, zanim ochroniarze nas dopadną.

Najszybciej jak zdołamy, pędzimy wypełnionym dymem korytarzem i docieramy do gabinetu Pinkertona. Zila przesuwając kartę nieboszczyka przez czytnik i mija kilka sekund czystej tortury, zanim światelko zamka staje się zielone i wpadamy do środka przy akompaniamencie wycia syren.

Gabinet jest luksusowy, a w każdym razie w stopniu, w jakim coś może być luksusowe w stacji kosmicznej. W pokoju stoją dziesiątki szklanych gablot oświetlonych słabo przez awaryjne światła. W środku unoszą się dziwne przedmioty na poduszkach nieważkości. To mi trochę przypomina gabinet Casseldona Bianchiego na Wiekuistym.

Wygląda na to, że Pinkerton był kolekcjonerem.

Mrużę oczy, patrząc na jeden z przedmiotów, który powoli obraca się w cieniutkim promieniu światła. Jest płaski, prostokątny, a jego powierzchnia jest stara i popękana. Kiedyś mógł widnieć na nim napis, ale czas go zniszczył. Czy w środku jest... papier?

– Co to jest? – pyta Fin, zerkając przez szkło.

– Nie mam pojęcia.

– Żartujecie?

Oglądaliśmy się i widzimy, że Nari wpatruje się w nas jak w głupków.

– Prawie zawsze. – Fin wzrusza ramionami. – Ale w tym wypadku naprawdę nie mam pojęcia, co to jest.

- Nie ma książek w przyszłości?

- Tak właśnie wyglądały książki? - pytam zdumiona.

- Jakież sto la temu. - Nari kiwa głową. - Doktor Pinkerton zbiera antyki. Pierwszego dnia, kiedy wylądowałam na stacji, zrobił mi wykład na temat ratowania skarbów z przeszłości. - Wzrusza ramionami. - Nigdy więcej nie odezwał się do mnie słowem.

- To jest książka? - Fin wytrzeszcza oczy. - Jest owinięta w skórę martwego zwierzęcia!

- Tak to kiedyś robiliśmy.

Fin unosi brew, patrząc na mnie.

- Wy, Ziemniaki, słowo daję...

Uśmiecham się i rozglądam po pokoju. Widzę holozdjęcia jego rodziny. Szereg kaktusów w doniczkach, które pewnie kiedyś stały pod oknem z pleksi, ale trafienie w stację musiało je poprzewracać i teraz leżą potłuczone na ziemi.

- Kto stawia kolczaste rośliny gdzieś, gdzie mogą... Nieważne, nie próbuj mi nawet wyjaśniać - mruczy Fin, ostrożnie je omijając.

Długie szklane biurko stoi pod jedną ścianą, jarzący się monitor osobistego terminala danych rozświecła półmrok.

Zila już siada na krześle, przesuwając kartą przez terminal i zaczyna pisać na klawiaturze. Mówcie, co chcecie na temat wielkich postępów ludzkości w technice w ciągu ostatnich dwóch stuleci, ale poza tym, że są o wiele wolniejsze, na dobrą sprawę komputery działają na tej samej zasadzie. Zila wkrótce przewija menu, przeciąga dłonią przed czujnikami, przesuwając holograficzne obrazy na bok w poszukiwaniu informacji. Porucznik Kim stoi za nią i patrzy jej przez ramię. Fin też tam staje i doradza cicho Zili.

- Uwaga, personel Szklanego Pantofelka. Uszkodzenie powłoki na pokładach od 13 do 17.

Stoję przy oknie i wyglądam na rozgrywający się na zewnątrz chaos.

Kosmos jest oszłamiająco ogromny. Nawet podprzestrzenna kieszeń Fałdy jest zbyt ogromna, żeby ludzki mózg to ogarnął. Jednakże ta burza ciemnej materii jest dostatecznie kolosalna, żeby przerażać. Kiedy patrzę na pulsujący sztorm, ogarnia mnie to samo wrażenie, że jestem maleńka, nic nie znaczę i wpakowałam się w sprawy, które daleko mnie przerastają. Myślę o Tylerze. Myślę o Auri. Myślę nawet o Kalu. Zastanawiam się, gdzie są. Mam nadzieję, że nic im nie jest.

Odwracam się od okna. Ta burza jest za wielka, za dużo tego. Zaczynam oglądać kolekcję doktora Pinkertona, podczas gdy Zila i Fin szukają. Jest coś pociesającego w tym zbiorze, w przedmiotach z przeszłości Terry, które przeżyły swoje czasy. Pod pewnymi względami są podróżnikami w czasie tak jak my.

Przechodzę obok starej kanciastej grudy plastiku z okrągłą klawiaturą i dziwną słuchawką. To mógłby być jakiś pistolet. Powierzchnia jest podziurawiona drobnymi punktami korozji. A w gablocie pod oknem...

– O, cholera – szepczę, zerkając w stronę biurka. – Fin?

– O, to – mruczy do Zili. – Sprawdź to.

– Widzę. – Zila kiwa głową.

– Fin!

Podnosi wzrok, gdy go wołam.

– Hm?

– Chodź to zobaczyć.

Marszczy lekko brwi, ale zostawia Zilę i Nari, wychodzi zza konsoli i podchodzi do mnie.

– Co jest?

Z szaleńczo bijącym sercem wskazuję obiekt w gablocie, który obraca się delikatnie w promieniu zerowej grawitacji. Cienkie, srebrne, prostokątne pudełko. Zupełnie zwyczajne. Niemożliwie znajome.

– Czy to nie jest...?

Fin wytrzeszcza wielkie czarne oczy i rozdziawia śliczne usta ze zdumienia.

– Na oddech Stwórcy... – szepcze, patrząc na mnie. – To pudełko na cygaretki, które de Stoy i Adams zostawili dla Kala w skarbcu Dominium!

– Uwaga, personel Szklanego Pantofelka. Cały personel techniczny ma natychmiast zgłosić się do sektora Gamma, pokład 12.

– Scarlett! – woła Zila. – Finian, myślę, że powinniście na to spojrzeć.

– Zila, nie u...

– To ważne, Finian.

Zerkamy po sobie i nie zdążę nawet dobrze złapać oddechu, kiedy podchodzimy szybko do Nari i Zili. Obie pochylają się nad terminalem. Na holograficznym obrazie, który wisi w powietrzu przed Zilą, widzę strumień danych błyszczących w ciemności.

Większość tego jest całkowicie nie do pojęcia dla kogoś, kto na wykładach z fizyki marzył o tym, żeby być gdzie indziej, ale dostrzegam folder zatytułowany „Projekt Szklany Pantofelek”. Nad zatrząśnięciem niezrozumiałych wykresów widnieje jarzący się, znajomy kształt. Kawał wypolerowanego kamienia w kształcie łyzy, oszlifowany jak klejnot, z tysiącem faset, od których może odbijać się światło.

Rozpoznaję ten kształt.

– To sonda – szepczę. – To jest sonda Eshvarenów!

Zila odchyła się na krześle.

– Ciekawe.

– Co takiego? – dopytuje się porucznik Kim.

– To urządzenie eksploracyjne – mówi Finian wpatrując się w hologram. – Stworzone przez obcą rasę zwaną Eshvarenami. Wystrzelili tysiące takich w Fałdę, wiele tysięcy lat temu. Nasza przyjaciółka Aurora posłużyła się taką, żeby uruchomić swój uśpiony dar parapsychiczny i móc kontynuować pradawną walkę Eshvarenów z...

Urywa, gdy zdaje sobie sprawę, że Nari patrzy na niego jak na wariata.

- To długa historia, jasne? Rzecz w tym, że to wytwór obcych. Potężny gadżet.

BUM.

Cała stacja trzęsie się, kiedy gdzieś coś wybucha.

- Uwaga! Przebicie pola siłowego. Natychmiast ewakuować pokład 5 i 6. Powtarzam: przebicie pola siłowego.

- Musieli taką odkryć - szepczę. - Tu, w tych czasach.

- Jest uszkodzona. - Zila wskazuje miejsce, gdzie odłamał się zaostroszony koniec łezki. - Najwyraźniej nie działa. Projekt Szklany Pantofelek to próba odkrycia własności kryształu. Wykorzystania ich do walki. Główna część znajduje się w rdzeniu stacji i jest poddawana badaniom za pomocą kwantowej energii pobieranej z burzy ciemnej materii. - Marszczy brwi, manipulując holograficznym panelem kontrolnym. - Ale jest też mniejszy fragment, który...

Rozlega się szum.

Fragment ściany nad komputerem odsuwa się, odslaniając szklany cylinder podobny do innych stojących w gabinecie. Jednak zamiast antyku zawieszono w wąskiej kolumnie nieważkości, w tym znajduje się... małe kawałek kryształu.

Na zewnątrz w burzy ciemnej materii impuls kwantowej energii uderza w żagiel i sunie po kablu w stronę stacji. Czterdzieści cztery minuty, odkąd przylecieliśmy, jak zawsze. I jak zawsze fragment na mojej szyi zaczyna świecić w odpowiedzi. Tym razem tak samo błyszczy kryształ unoszący się w cylindrze. Wyglądają jak bliźnięta; światło narasta, oba kryształy są identyczne jak...

- O, cholera... - szepczę.

Sięgam ręką do medalionu na szyi. Ten wisiołek, tak samo jak pudełko na cygaretki Kala, czekał dziesięć lat w skarbcu w Szmaragdowym Mieście. Umieścili go tam ludzie, którzy najwyraźniej wiedzieli, co się stanie, zanim to się wydarzyło.

- Scar... - Fin wpatruje się w gablotkę. - To jest twój kryształ...

– Jak...? – Porucznik Kim kręci głową, patrząc to na kryształ w szkle, to na kryształ na mojej szyi. Tego kształtu nie da się z niczym pomylić. Oba kawałki są identyczne. – Jak to możliwe? Jeśli jesteście z 2380 roku?

– Nie wiem – mówi Zila. – Ale to jest to. To jest powód pętli. Interakcja poprzez czas i przestrzeń między Bronią, stacją, kwantowym impulsem i kryształami Eshvarenów. To wszystko jest powiązane ze sobą. Uroboros.

Impuls dociera do stacji.

Konstrukcja dygoce, światła migoczą.

– Uwaga! Przebicie pola siłowego, poziom krytyczny. Natychmiast ewakuować pokłady od 2 do 10. Powtarzam: przebicie pola siłowego, poziom krytyczny.

Porucznik Kim i ja wpatrujemy się w siebie z tym samym niedowierzaniem w oczach. Fin i Zila przeglądają dane, czytają najszybciej, jak zdołają. Blask medalionu słabnie, powidoki płoną mi bielą pod powiekami.

– Uwaga! Przebicie pola siłowego postępuje, wprowadzić procedury bezpieczeństwa na pokładzie 11.

Stacja znowu się trzęsie. Tym razem mocniej.

Drzwi do gabinetu odsuwają się i pół tuzina laserowych celowników migocze w ciemności.

– Stać!

Fin wzdycha.

– Na miłość...

– Powtarzam: Przebicie pola siłowego postępuje, wprowadzić procedury bezpieczeństwa na pokładzie 11.

Unoszę ręce na widok ochroniarzy.

– Do zobaczenia wkrótce.

BACH BACH BACH.

– *Chakk!* Co tym razem nas załatwiło? – pyta przez system łączności Finian.

– Myślałam, że tym razem jesteśmy bezpieczni – mówi Scarlett.

– Uszkodzenie rdzenia – odpowiadam, wstając z fotela pilota. – Reaktor stacji musiał ulec przeciążeniu pięćdziesiąt osiem minut po trafieniu impulsem kwantowym i wybuch zniszczył całą stację. Wygląda na to, że uszkodzenie stacji doprowadza ostatecznie do jej zniszczenia bez względu na to, co zrobimy.

– Dlaczego nie zarządzili ewakuacji? – pyta Finian.

– Wezwanie do opuszczenia stacji ogłoszono dopiero trzy minuty przed wybuchem. Zważywszy, jak wielkie pieniądze terrański rząd musiał wyłożyć na ten projekt, przypuszczam, że resztki dowództwa stacji próbowały desperacko ratować sytuację.

– A my to wszystko przespaliliśmy? – pyta Scarlett.

– Wyglądaliście na zmęczonych. Nie chciałam was budzić.

Postanowiliśmy poświęcić ostatnią pętlę na odpoczynek. Kumulujące się efekty ciągłych powrotów, przyływy adrenaliny w chwilach, gdy ledwie udawało nam się uniknąć śmierci i w chwilach tuż przed nieuniknioną śmiercią, wysiłek związany z mentalnymi kalkulacjami wymęczyły nas wszystkich. A już byliśmy zmęczeni, kiedy tu przybyliśmy.

Kiedy Scarlett zdała sobie sprawę, że właściwie jesteśmy na nogach od dobrze ponad dwudziestu czterech godzin, a żadne nie czuło się

wypoczęte, zaczynając pętlę, stało się jasne, że sen jest wskazany.

Zgodziłam się na ochotnika na pierwszą wachtę. Przysiadłyśmy razem z Nari – która także miała za sobą ponad dobę życia w pętli – tuż przy naszym wejściu na stację obok ujścia zsypu. Było tam ciasno, ale bezpieczniej niż dryfując w uszkodzonym statku. Oczywiście dopóki stacja nie rozleciała się na kawałki w dramatycznym wybuchu.

Teraz, kiedy znowu znaleźliśmy się na promie, spotykam się z Finem i Scarlett w korytarzu w drodze do ładowni.

– Sądząc po wyrazie twojej twarzy, nie jest dobrze – mówi Scarlett.

– Nie jestem pewna – odpowiadam. – Ale trzy fragmenty kryształu: twój, doktora Pinkertona i główna część sondy, są powodem pętli i naszą drogą do domu, a wszystkie trzy zostają zniszczone w potężnej eksplozji...

– Wobec czego pętla zawsze się kończy bez względu na to, co zrobimy. – Finian marszczy brwi.

Kiwam głową.

– Pięćdziesiąt osiem minut po impulsie kwantowym.

– *Chakk*. – Fin wzdycha. – To znaczy, że nawet jeśli unikniemy wszystkich możliwych śmierci w tym miejscu, to i tak mamy tylko plus minus godzinę i trzy kwadransy w każdej pętli. To o wiele mniej, niż bym sobie życzył.

– Jestem zaniepokojona – przyznaję.

– I niewyspana – wtrąca się Scarlett. – Spałaś w ogóle?

– Zrobię to podczas następnej pętli – odpowiadam. – Miałam okazję zastanowić się, kiedy siedziałam na warcie. Wróćmy do gabinetu doktora Pinkertona.

– I niech tym razem nikt nie nadeptnie na kaktusa – dodaje Fin.

* * *

Docieramy teraz do naszego celu za każdym razem szybciej, ale ja coraz bardziej się martwię, że nie dość szybko. Wcześniej uważałam, że jeste-

śmy całkiem skuteczni w naszych wysiłkach, teraz mam świadomość, że znacząca część naszego ograniczonego czasu w pętli idzie na dostanie się do gabinetu Pinkertona.

Musimy jednak dowiedzieć się czegoś więcej.

Nari i ja doskonale współpracujemy podczas wykradania z kostnicy karty dostępowej Pinkertona, a kiedy już lądujemy w jego kwaterze, jestem w stanie szybciej nawigować w teraz już znajomym menu komputerowym. Nie tracimy czasu na niespodzianki w postaci bliźniaczego fragmentu kryształu ani na roztrząsanie czystego nieprawdopodobieństwa naszej sytuacji.

Finian i Scarlett załatwiają nam więcej czasu, odwracając uwagę patrolu, który w przeciwnym wypadku zjawiłby się w kwaterze Pinkertona, zastrzelił nas i zakończył pętlę.

Cała stacja się trzęsie.

– Uwaga! Przebiecie pola siłowego postępuje, wprowadzić procedury bezpieczeństwa na pokładzie 9.

Nari stoi i patrzy, jak zbieram dane na temat katastrofalnych prób, które są przeprowadzane w chwili, kiedy zaczyna się pętla. Dowiedziałam się podczas jednej z naszych niedawnych eskapad, że jest bardziej rozmowna, niż się spodziewałam.

Nie rozprasza mnie to, raczej uspokaja. Oczy mnie pieką i wiem, że zmęczenie spowalnia moje myślenie. Skupiam się na jej głosie.

– Zatem przyjaźnisz się z obcymi, co? – duma na głos Nari.

Nie podnoszę wzroku, kiedy odpowiadam cicho:

– Teoretycznie wszyscy jesteśmy dla kogoś obcą rasą.

– Znasz znacznie więcej ras niż Betraskanie?

– Owszem. – Myślami wracam do Kala, tak oddalonego w czasie i przestrzeni. A potem do Auri pochylonej nad Magellanem, kiedy próbowała nadrobić dwieście lat historii i dowiedzieć się czegoś o obcych, którzy tak fascynują Nari.

Jednakże Auri przepadła, a Magellan jest zbiorem popsutych obwodów w plecaku Finiana. Odsuwam te wspomnienia.

– Musiałś widzieć niesamowite miejsca – mówi Nari, nieświadoma tego, że na chwilę się rozproszyłam. – Mam na myśli te wszystkie ojczyzny obcych ras. Mówiłaś, że na jednej żyją hipopotamy, zgadza się? Nie mogę uwierzyć, że hipopotamy uprzedzą mnie w eksploracjach międzyplanetarnych.

Nie jestem pewna dlaczego, ale łapię się na tym, że mam ochotę usunąć nutkę żalu z jej głosu.

– To nadal są cudowne czasy. Możesz zobaczyć tak wiele z tego, co wkrótce przepadnie.

– Co na przykład?

– Na przykład tę książkę – odpowiadam, kiwając głową w stronę gabloty. – To niesamowite móc wziąć do ręki coś takiego.

– Pewnie tak... – Po jej tonie orientuję, że uważa, że ją pocieszam, chociaż to nieprawda.

– Książka zatrzymuje historię na stronach, ale nie zamienia jej w martwy okaz przyszpilony w gablotce; historia pozostaje żywa, barwna. Całe światy kryją się między okładkami, życie, które czeka na przeżycie przez każdego nowego czytelnika.

– W przeszłości nadal macie historie – wytyka mi Nari. – Chociaż to bardziej poetyckie spostrzeżenia, niżbym spodziewała się po tobie.

Może bardziej poetyckie, niż sama bym się spodziewała.

– Owszem, wciąż mamy historie – zgadzam się. – Ale żyją w eterze. Książka w tej gablocie reprezentuje coś, czego nigdy nie poznamy. Coś... permanentnego.

– Historie nigdy nie umierają – sprzeciwia się.

– To prawda, ale w książce zawsze wiesz, gdzie je ponownie odnaleźć. Mają swój dom.

Coś kryje się w moim tonie, w tym ostatnim słowie – jakbym mówiła o czymś, co utraciłam jako dziecko.

Dom.

Nari to słyszy i odwraca się od drzwi, żeby przyjrzeć mi się w zadumie. Pytanie pcha jej się na usta, więc wchodzi jej w słowo.

– Ty także widziałaś wiele miejsc utraconych dla nas – mówię, przyglądając się ekranowi. – To zabrzmiało dziwnie, ale nigdy nie widziałam Terry.

– Co? Nigdy?

– Nigdy.

– To trochę... smutne. – Uśmiecha się.

– Powtarzam: Przebiecie pola siłowego postępuje, wprowadzić procedury bezpieczeństwa na pokładzie 9.

Patrzę na nią, zauważając, jak światło burzy na zewnątrz oświetla jej rysy. Czarne i fioletowe impulsy błyszczą w jej oczach.

Powinno pracować szybciej nad rozwiązaniem naszego dylematu.

Jednak znowu przyciąga mnie idea... domu.

– Opowiesz mi o miejscach na Terrze, które odwiedzałaś? – pytam.

– Gyeongju – odpowiada natychmiast. – To naprawdę świetnie miasto w Korei, chronione ze względów historycznych przez TerraRząd. Są tam groby ukryte w zboczach wzgórza, naprawdę doskonale zachowane. Kiedyś to była stolica królestwa, które istniało, nim zaczęto używać nazwy „Korea”.

Odwracam się z powrotem do konsoli, rozwijam serię menu i przyglądam się zawartości, brnąc mimo zmęczenia.

– Nie spodziewałam się, że jesteś wielbicielką historii – przyznaję.

– Bo nie jestem. Tam mieszka moja *halmoni*. Moja babcia. Rozumiesz więc, moja rodzina odwiedza czasem to miejsce.

Nari jest teraz łatwiejsza w kontakcie niż w poprzednich pętłach. Znowu odwraca się do drzwi i obserwuje korytarz, ale widzę jej profil, sposób, w jaki ciemna energia oświetla jej skórę.

Mój nieposłuszny umysł powraca do naszej ostatniej pętli, kiedy Nari i Finian zasnęli, a Scarlett usadowiła się wygodnie obok mnie.

- Zaczynam lubić Nari Kim – przyznała cicho.

- Finian zasugerowałby, że znajdzie się na to lekarstwo – odpowiedziałam jej z całą powagą.

Scarlett się zaśmiała.

- Ty też ją polubiłaś.

- Tak?

- Nie jest... wysoka – mówi szelmowskim tonem.

Żałuję dnia, kiedy powiedziałam Scarlett Jones o tym, jakie kobiety mi się podobają.

- Zila?

Głos Nari przywołuje mnie do chwili obecnej.

O czym rozmawialiśmy?

O domu.

- Masz dużą rodzinę? – pytam ją.

- Och, ogromną. Ale moja *halmoni* i tak lubi, żebyśmy co tydzień składali raporty. Przysięgam, że ma harmonogram i jeśli ktoś przegapi swój dzień... Bardzo, bardzo dużo czasu zajęło mi przekonanie jej, że nie mogę dzwonić do domu z tajnej placówki.

- Często odwiedzałaś ją w Gyeongju?

- Co roku, dopóki nie zostałam powołana. Teraz mniej więcej co dwa lata. – Nari wzdycha. – Tam jest cudownie. Fakt, że zawsze muszę dzielić pokój z szóstką kuzynów, bo wszyscy próbujemy upchnąć się w jej mieszkaniu, ale zawsze jest mnóstwo jedzenia. Robi najlepszą potrawkę z dodatkiem *doenjang* w całym Gyeongju, a do tego jest tuzin przystawek i to wszystko to jest nieformalny posiłek. Jedna z moich kuzynek jest przewodnikiem wycieczek po wyspie Jeju. Mają tam takie owoce, ogromne cytrusy nazywane hallabong. Idiotycznie soczyste, człowiek zawsze się w nich uwala, ale smakują niesamowicie. Zabrałam tam raz moją byłą dziewczynę i przysięgam, że nadal utrzymuje ze mną kontakt tylko po to, żebym przywoziła jej pudełko tych owoców z każdej wizyty. W każdym razie...

Urywa, może świadoma tego, że za dużo powiedziała. A może – nie jestem dobra w odczytywaniu takich rzeczy – próbuje ocenić moją reakcję na wzmiankę o jej byłej dziewczynie?

– Nie zetknęłam się wcześniej z hallabongami, ale lubię cytrusy.

– A reszta? – pyta cicho.

– Jaka reszta?

– Rodzina? Gdzie bywałaś? Opowiedziałam o sobie, a z co z tobą, dziewczyno z przeszłości?

– Uwaga: Wykryto promieniowanie na pokładzie 13; cały personel z pokładu 13 ma natychmiast zgłosić się na procedurę dekontaminacyjną.

– Obawiam się, że mogę zaoferować tylko rozczarowanie. – Skupiam się na nowej serii wpisów zaintrygowana metodami, jakimi naukowcy posłużyli się, żeby zasilić kryształ. – Dorastałam pod opieką państwa, bez rodziny. Nigdy nie byłam na wakacjach.

Porucznik wytrzeszcza oczy.

– Serio? Nigdy?

Wzruszam ramionami.

– Bardziej owocne było spędzenie czasu wolnego na nauce.

Obie milknemy potem, a ja decyduję się poświęcić większą część mojej uwagi rezultatom eksperymentów z zasilaniem.

– Zawsze... byłaś pod opieką państwa? – pyta w końcu Nari, tym razem ciszej. Delikatniej. – To częste w przeszłości? Oczywiście nie musisz o tym mówić. Jeśli nie chcesz.

Waham się, co jest dla mnie nietypowe.

– To nie jest typowe – odpowiadam po chwili. Już mam zamiar powiedzieć jej, że nie chcę rozmawiać o tym doświadczeniu, kiedy patrzę na nią.

Nasze spojrzenia się krzyżują.

– Może porozmawiamy o tym podczas kolejnej pętli – proponuję zamiast tego.

Uśmiecha się i nagle dostrzegam w niej coś tak znajomego, że to całkowicie pochłania moją uwagę.

Mój umysł próbuje zmienić biegi, uruchomić procedurę przeszukiwania, żeby pomóc mi powiązać Nari z jakimś wspomnieniem albo doświadczeniem, które wyjaśniałoby wrażenie znajomości. Nie mam jednak czasu, żeby studiować jej uśmiech, jej oczy. Odchrząkuję i odwracam się z powrotem do konsoli.

– Chcesz posłuchać czegoś więcej o starożytnej historii podczas pracy? – pyta Nari. – Czy za bardzo cię rozpraszam?

– Jedno i drugie.

Kiedy Nari mówi dalej, ja zanurzam się w jej głosie i w linijki danych przede mną. Jeśli nie znajdziemy sposobu, żeby wyrwać się z tej pętli, to będzie całe moje życie. To będzie mój dzień.

W kółko i w kółko, i w kółko.

To będzie mój dom.

– Myślę, że...

Komunikat mi przerywa:

– Uwaga: Kaskadowe przebicie pola siłowego. Nieuchronna implozja reaktora za trzy minuty. Cały personel ma natychmiast zgłosić się do kapsuły ratunkowych. Powtarzam: implozja reaktora za trzy minuty. Odliczanie trwa.

Zatem to ta chwila.

Koniec pętli.

Zawsze będziemy mieć następną, uznaję.

Zerkam na zegarek na nadgarstku i zamieram.

Mała zmarszczka formuje się na moim czole.

Nari przekrzywia głowę.

– Zila?

Musiałam to wcześniej źle policzyć. Powiedziałam Finianowi i Scarlett, że rdzeń ulega przeciążeniu pięćdziesiąt osiem minut po uderzeniu

impulsu kwantowego. Zwykle mam rację, ale minęło dopiero pięćdziesiąt jeden minut...

To na pewno przez zmęczenie. Nie spałam wtedy, kiedy pozostali się zdrzemnęli.

Nie mówię Nari o swoim błędzie.

Zamiast tego kończę pracę, starając się zapamiętać jak najwięcej danych. Nari obserwuje mnie z okolic okna, światło gwiazd lśni na jej skórze. Wreszcie, kiedy zostaje nam już tylko chwila, wstaję gotowa na to, co nieuchronne.

- Do zobaczenia wkrótce, Nari.

- Uwaga: Nieuchronna implozja reaktora za trzydzieści sekund. Natychmiastowa ewakuacja całego personelu. Powtarzam: implozja reaktora za trzydzieści sekund.

- Nie cierpię tej chwili - przyznaje Nari.

Znowu patrzę jej w oczy i nie wiedząc, czemu odruchowo chcę ją pocieszyć.

- Nie jesteś sama - mówię.

Robi krok w moją stronę.

Ma bardzo ładne oczy.

- Uwaga: Nieuchronna implozja reaktora. Pięć sekund. Uwaga.

Nie jest wysoka.

- Zila, wiem, że to najgorszy moment, ale naprawdę uważam, że jesteś...

- Uwaga.

BUM.

Bycie najbardziej poszukiwanym przestępcą w Galaktyce ma swoje zalety.

Przez całe życie grałem zgodnie z regułami. Pilnie się uczyłem, ciężko pracowałem, nigdy nie miałem czasu na rozrabianie. Kiedy jednak podnoszę kołnierz długiego czarnego płaszcza z powodu chłodu i naciągam kaptur, wchodząc do baru – przyznaję to niechętnie – ale trochę podoba mi się to uczucie, że jestem poszukiwany.

W barze panuje okrutny ścisk – piloci frachtowców, załogi długodystansowców, gangsterzy, dilerzy, sutenerzy, handlarze nielegalnymi wizualami, setki twarzy, tuzin różnych ras. Betraskanka za barem rzuca mi pełen zachwytu uśmiech ponad tłumem, a różne szumowiny, lachudry i złoczyńcy, których wypytywałem w ostatnich paru dniach, kiwają mi głowami na powitanie albo po prostu ściskają swoje drinki. Nikt ze mną nie zadziera nawet w tak szemranym lokalu jak ten.

W końcu jestem galaktycznym terrorystą. Wyrzutkiem z Legionu Aurory. Ludobójcą, odpowiedzialnym za śmierć setek Sylدران na pokładzie stacji Sagan, nie wspominając o naruszeniu galaktycznej kwarantanny, napadzie na bank, paru wybuchach na pokładzie Szmaragdowego Miasta oraz wielu innych oskarżeniach, jakie GAW wysunęła przeciwko mnie.

Z takim gościem nie chcielibyście zadzierać.

Podchodzę do baru, zalanego dudniącym rytmem dubu, otoczonego przez hologramy reklamujące najnowsze wizuale i pokazujące wiado-

mości z odległych bitew – przyśpieszający puls nadciągającej wojny wśród gwiazd. Nikt nie robi wrażenia szczególnie tym przejętego. Większość nie jest nawet świadoma tego, co się dzieje. Dziewczyna za barem przesuwa do mnie kieliszek syntetycznego semptaru po wypolerowanej plastali. Kiedy go podnoszę, widzę, że na podstawce napisała mi swój numer.

Jak już wspomniałem, bycie łajdakiem ma swoje zalety.

Przebywam na stacji MaZ4-VII od trzydziestu dwóch godzin. To kosmiczny port na skrzyżowaniu tuzina głównych tras transportowych, orbitujący wokół gazowego olbrzyma tuż obok Bramy Fałdowej do systemu stellańskiego. Długodystansowce zatrzymują się tutaj, by uchronić załogi przed psychozą fałdową. Poza tym to granica betraskańskiej, rigelskiej, terrańskiej i wolnej przestrzeni. Co oznacza, że panuje tu taki ruch jak podczas chelleriańskich zawodów w siłowaniu się na rękę.

Saedii i spółka podrzucili mnie tu prawie dwa dni temu, a ja nadal czuję jej pożegnalny pocałunek na ustach. Wciąż widzę wyraz jej oczu, kiedy podała mi nóż i odmówiła pożegnania, wiedząc, że pewnie nigdy więcej się nie zobaczymy.

„Ujrzę cię w gwiazdach, Tylerze Jones”.

W najlepszym razie ona zjednoczy Nieugiętych, a ja w jakiś sposób powstrzymam Ra’haam przed zniszczeniem Akademii Aurora. Niestety bez Broni i tak wszyscy umrzemy w walce z Ra’haam.

Jednak o wiele bardziej prawdopodobne jest to, że wylądujemy po przeciwnych stronach rozpędzającej się galaktycznej wojny. A najbardziej prawdopodobne jest to, że po prostu zostaną aresztowany jako zdrajca Ziemi i Legionu, a potem stracony.

Widzicie, bycie najbardziej poszukiwanym w galaktyce przestępcą to nie same darmowe drinki i numery ładnych dziewcząt. W dodatku prawda jest taka, że czas ucieka.

Rozglądam się po tłumie, szukając mojego kontaktu. Pocieram plastikowy dysk w kieszeni. Kredyty, które dała mi Saedii, wystarczą, żebym wykupił sobie przelot do układu Aurory. Niestety nadal za trzy

dni w akademii odbędzie się szczyt Galaktycznego Konwentu. Chcę przez to powiedzieć, że dostanie się do układu to nie jest duży problem, to dotarcie na stację stanowi prawdziwe wyzwanie. Ochrona będzie bardziej przerażająca niż Scarlett bez porannej kawy.

Jednakże tak jak powiedziałem Saedii, nie mogę po prostu wysłać przypadkowego ostrzeżenia i mieć nadzieję. Muszę dotrzeć na stację, nie dając się przy tym złapać i zastrzelić, i bezpośrednio ostrzec Adamsa.

Jedynym sposobem, żeby przesłać mu coś, co nie zostanie przechwycone przez system łączności akademii, to zrobić to bezpośrednio na jego prywatny numer. W każdym innym przypadku co najmniej jedna osoba stanie między mną a nim, a najpewniej znacznie więcej.

Istnieje tylko jeden sposób, żeby to zrobić.

– Powinieneś do niej zadzwonić, Ziemiannie.

Zerkam na sąsiednie siedzenie i widzę kotokształtnego humanoida, który siedzi w miejscu, gdzie jeszcze chwilę temu nikogo nie było. Takka potrafi podkraść się chyłkiem, muszę mu to przyznać.

Zerka na mnie złotymi kocimi ślepiami, wąsiki mu drgają. Jest ubrany tak samo jak wczoraj, kiedy go wybadałem – nosi garnitur z poduszkami na ramionach, równie czarny jak jego futro, i duże buty z podwyższającymi wkładkami. Nigdy nie spotkałem grempa, który miałby kompleks wzrostu, ale pewnie kiedyś musiał być ten pierwszy raz. Żuje niebieski pasek Dopalacza, ma zęby zabarwione sacharyną i stymulantami.

– Co? – pytam.

Kiwa głową, wskazując numer na podkładce.

– Dziewczyna – mruczy. – Ładna jest. Warto zabawić się w ostatnią noc przed śmiercią.

– Udało ci się?

Uśmiecha się szyderczo, przesuając żuty narkotyk po nierównych zębach różowym językiem.

– Mówię ci, Ziemiannie, ludzie Takki znają ludzi.

– Na czym stoimy?

Zniża głos i odpowiada stosownie konspiracyjnym tonem, rozglądając się po barze:

– Frachtowiec lodowy. Przelatuje raptem dwa tysiące lat świetlnych od Bramy Fałdowej Aurory.

– Dwa tysiące lat świetlnych? – Marszczy brwi. – A co mi to da?

– Będziesz bliżej niż teraz. – Takka wzrusza ramionami. – Odpowiednio zmotywowany kapitan z pewnością podleci bliżej. A skoro o tym mowa... – Zerka na mój płaszcz i pociera palce. – Kaska.

– Nie dostaniesz kasy, dopóki nie znajdę się na pokładzie. – Piorunuję go wzrokiem. – I chcę spotkać tego twojego kapitana, zanim się zgodzę.

– Zabawne. On powiedział to samo o tobie. – Takka zgniata Dopalacz w zębach i drży. – Ale Takka nie zabierze nigdzie Ziemiannina bez kaski.

Wzdycham, sięgam do płaszcza po kredyty w sztyfcie, przyciskam kciuk do sensora identyfikacji, żeby odblokować fundusze. Takka porywa go w szpony, ale ja nie puszczam sztyftu, patrząc mu w ślepią.

– Połowa teraz, połowa, gdy się zgodzę.

Jedno ucho mu drga.

– Naprawdę nieufny, co?

– Jestem przestępcą, zapomniałeś?

Takka prychna szyderczo, przysuwa swój sztyft kredytowy do transferu i zsuwa się z krzesła. Idę za nim przez tłum, wychodzę na korytarze stacji, spuszcza kaptur na twarz. Według lokalnego czasu trwa pora snu, więc światła są przygaszone, mimo to rura transportu publicznego, którą suniemy, i tak jest zatłoczona. Takka wyraźnie nie jest zadowolony z tego, że ma widok na krocza współpasażerów, kiedy jedziemy stłoczeni jak sardynki.

Wysiadamy w cichej części portu razem z grupą załogantów z długodystansowców. Tu jest spokojniej. Takka prowadzi mnie między lądowic-

skami, mówiąc coś o cynku, który dostał, na temat nadchodzącej walki wagi ciężkiej w GMA, że to łatwe pieniądze, bla, bla, bla. Ja jednak rozglądam się po cieniach, serce mi bije szybciej, gdy ściskam syldrański pistolet pulsacyjny w kieszeni płaszcza.

Nagle dociera do mnie, jak daleko od domu się znalazłem.

Jeśli ten plan spali na panewce, to będzie już po wszystkim, myślę sobie.

– Który to statek? – pytam.

– Tamten. – Grep kiwa głową. – Lądowisko D.

Długie okno z przezroczystej plastali ukazuje statki dokujące w dole, najróżniejsze modele i typy. I rzeczywiście między nami a sekcją D stoi mała góra – frachtowiec. Rozglądam się i widzę, że nawet jak na tak późną porę jest tu okropnie cicho. Kręci się tylko parę dronów załadunkowych. Żadnych patroli ochrony ani obsługi portu.

– Jak się nazywa ten statek? – pytam, przyglądając się manifestowi na ścianie.

– Nie ma nazwy, Ziemiannie. – Takka ogląda się przez ramię. – Numer identyfikacyjny AL-303.

Serce mi się zaciska. Łapię mocniej pistolet.

– To nie jest lodowiec frachtowiec. To jednostka Legionu.

Gdy wychodzimy z za zakrętu korytarza, zatrzymuję się gwałtownie. Za szarą górą skrzyni z frachtowca dostrzegam kadłub Łuku, długi, zaostzony jak włócznia, lśniący bielą na tle niebieskoszarej ściany stacji. Na boku widnieje płonąca gwiazda Legionu Aurory.

– Stać.

Głos rozlega się za mną i towarzyszy mu szum karabinu dezelatorowego. Po tonie broni rozpoznaję, że jest ustawiony gdzieś pomiędzy Pacyfikacją a Zabiciem. Oglądam się przez ramię i widzę wysokiego Syl-dranina o srebrnych włosach, zaplecionych w pięć warkoczy, i przenikliwych fioletowych oczach. Nosi mundur Legionu, zielone paski na ramionach wyjaśniają mi, że jest specjalistą naukowym, a dwa koła na

czole, że należy do Ligi Tkaczy. Czołg obok niego to wielgachny barczysty Betraskanin z ciemnoniebieskimi szklami kontaktowymi w oczach.

– Daj nam pretekst, Jones – mówi Czołg. – Proszę.

Takka odsuwa się na bok, kiedy kolejne postaci wynurzają się z cieni, a każda ma na sobie mundur Legionu: As, Macher, Twarz, mieszanka Betraskan i Terran. Każdy trzyma dezelmator i się krzywi. Rozluźniam chwyt na pistolecie pulsacyjnym. Przymocowane do przedramienia syldrańskie ostrze, które dała mi Saedii, ciąży mi jak ołów.

Zerkam na Takkę i zaciskam zęby.

– Sprzedałeś mnie.

– Wybacz, stary. – Zagryza Dopalcacz i szczyrzy zęby w uśmiechu. Jego terrański nagle ogromnie się poprawił. – Może powinieneś poprawować nad tą swoją nieufną naturą, o której rozmawialiśmy. Każdy głupiec wie, że Legion Aurory od miesiący szukał twojego durnego tyłka w tym sektorze.

– Nie dostaniesz drugiej połowy pieniędzy.

– Za to dostanę nagrodę za wydanie ciebie. – Uśmiecha się jeszcze szerzej. – Bez urazy, stary. Legion ma głębsze kieszenie od ciebie.

Jakaś postać wychodzi z cienia na lewo ode mnie, jej postawa jest nienaganna według standardów akademii. Widzę niebieskie paski Alfy na jej mundurze, długie blond włosy spięte w gładki kucyk, ciemnozielone oczy i lekko piegowatą skórę.

– Możemy to załatwić delikatnie, Jones – mówi. – Albo możemy to załatwić brutalnie.

– Cohen. – Uśmiecham się, podnosząc ręce naprawdę powoli. – Minęło sporo czasu od rozdania dyplomów. Co u ciebie, Em?

– Stul dziób, Tyler – odpowiada. – Na kolana.

– I to powoli – warczy stojący za mną Czołg. – Albo przysięgam na Stwórcę, nigdy więcej nie wstaniesz.

Oglądam się na niego.

– Nie jesteś chyba nadal urażony z powodu Poboru, co, de Renn? Nie moja wina, że ugrzęzłem z Kalem, nie miałem tak naprawdę wyboru. Chociaż, szczerze mówiąc, i tak wybrałbym cię w trzeciej kolejności.

– Ten sam Złoty Chłopak co zawsze. – Emma podchodzi, celując z karabinu w moją pierś. – Prawie tak samo zarozumiały jak jego siostra.

– Scar przeprosiła cię za twojego chłopaka, Em, nie wiem, ile ra...

– Uważałeś się za najlepsze ciacho na całym cholernym roku, Jones, ale trzeba czegoś więcej niż dwa słodkie dołeczki, żeby cię teraz ocalić, parszywy zdrajco.

Unoszę broń.

– Uważasz, że mam słodkie dołeczki, Em?

Cohen syczy z wściekłości. Unosi karabin na wysokość mojej twarzy.

– Wygląda na to, że załatwimy to brutalnie.

BACH.

* * *

Ostatecznie to wizja mnie wybudza. Wyciąga z czarnego bagna nieprzytomności prosto w koszmar.

Znowu widzę to samo, co poprzednio: srebrne miasto Akademii Aurora, szybujące w świetle gwiazdy o tym samym imieniu. Błyszczą jak klejnot pośród nocy, jak latarnia morska, z jakiej mogli korzystać dawni terrańscy żeglarze, żeby omijać skały, które zniszczyłyby ich statki.

Wyciągam ku niej rękę. Słyszę krzyk gdzieś w oddali.

Stacja wybucha rozerwana od wewnątrz, rozpada się jak diamenty po czarnym aksamicie kosmosu.

I wtedy zdaję sobie sprawę, że to ja krzyczę.

Otwieram oczy, siadam powoli, krew mi dudni, dokładając się do bólu głowy. Ze sztywności mięśni domyślam się, że byłam nieprzytomny ze dwanaście godzin. Nie najgorzej, w gruncie rzeczy. Dezelator

Legionu Aurory może załatwić człowieka na trzy dni bez zabijania. Karabin Cohen musiał być nastawiony bliżej Ogłuszania niż Zabijania.

Szczerze mówiąc, zawsze miała do mnie pewną słabość.

Natychmiast rozpoznaję, gdzie jestem. To Łuk Legionu, seria 6, taki sam model, jak statek, który dostała moja drużyna, kiedy wyruszyliśmy na stację Sagan – mam teraz wrażenie, że wydarzyło się to tysiąc lat temu. Ściany są błyszczące i szare, ale kiedy zerkam na lampy, widzę, że lecimy przez Fałdę – zwykle światło ma lekko niebieski odcień.

Znajduję się w celi na Łuku, w pomieszczeniu trzy na trzy metry, w jakim transportuje się więźniów albo niebezpieczny ładunek. Ściany są odporne na strzały z blastera, nie ma panelu sterowniczego po tej stronie ciężkich drzwi. Jedyne meble to duropianowy materac i wylot na nieczystości. Przewody wentylacyjne są maleńkie, nie ma kontaktów w ścianach ani okien. Legion robi całkiem niezłe cele, gdy w grę wchodzi krótkoterminowy areszt.

Głowa mi pęka, jakby ktoś mnie w nią kopnął.

Jak każdy dobry Alfa w pierwszym roku służby Cohen przestrzegająca zasad. Magnetokajdanki krępują mi nadgarstki i kostki nóg. Zabrali mi płaszcz, pistolet, ostrze od Saedii i zostawili minimum: szare spodnie, T-shirt. Zostawili mi buty, ale zabrali sznurówki.

Na podłodze obok drzwi stoi metalowa taca, leży na niej nierozpakowana racja proteinowa i kartonik z filtrowaną wodą. Udając bardziej poobijanego, niż jestem w rzeczywistości, żłopię wodę i zerkam w górny kąt pomieszczenia. Widzę maleńki czarny ćwiek kamery ochrony w suficie. Jeśli Cohen jest dobra, to kazała swojemu Czołgowi bacznie mnie obserwować. A Cohen jest dobra, była jednym z najlepszych Alf na naszym roku. Drużyna, którą wybrała, to połowa ludzi, których sam bym zgarnął, gdybym nie przegapił Poboru. Dlatego niewiele mi teraz zostało poza czekaniem.

Silniki szumią pode mną, kiedy lecimy przez Fałdę. Myślę o siostrze i pozostałych członkach mojej drużyny. Myślę o tym, jak razem uciekali-

śmy z Wiekuistego. Nasza siódemka była niepowstrzymana. Serce mnie boli na myśl, co mogło się stać z nimi wszystkimi.

Może tylko ja jeden zostałem.

Gdzie jesteś, Scar?

Wreszcie wyczuwam zmianę tonu napędu, słabe echo komunikatu z głośników za drzwiami celi. Metal jest za gruby, żebym usłyszał słowa, ale wiem dokładnie, jak brzmiał – lecieliśmy przez Fałdę dwadzieścia cztery godziny bez przerwy, a to maksymalny zalecany czas.

Nie bez powodu nie zaleca się podróżowania przez Fałdę komukolwiek powyżej dwudziestu pięciu lat bez uprzedniego zamrożenia. Nawet młode umysły mają kłopot z długą ekspozycją. Dlatego zgodnie ze standardowym zaleceniem Legionu Cohen rozkazała załodze wyskoczyć przez pobliską Bramę i zrobić sobie przerwę.

Czuję, że zaczynają – dziwny zawrót głowy podpowiada mi, że przechodzimy z Fałdy do normalnej przestrzeni. Moje wnętrzości są jakby nieważkie, składam się w pół, krzyżuję nogi, rzeczywistość faluje i z czarno-białej staje się ponownie barwna. Kiedy przekraczamy próg, przesuвам palce w stronę stóp.

Te buty czekały na mnie dziesięć lat w skarbcu Dominium. Nadal nie mam pojęcia, kto je tam umieścił. Skąd wiedział, że będę musiał uciec z aresztu, i to nie raz, ale dwa. Prawdę powiedziawszy, sądząc po tym, jak toczy się ostatnio moje życie, nie będę kwestionować tej odrobiny szczęścia, jaka mi się trafiła.

Przesuвам w bok fałszywy obcas. Szukam w środku po omacku gremlina, urządzenia, które generuje impuls elektromagnetyczny; dzięki niemu wydostaliśmy się z Saedii z więzienia. Łuk Legionu Aurory jest o wiele mniejszy od krążownika Terrańskich Sił Obronnych, a ja nie jestem pewien, jaki zasięg ma ten maluszek. Jednakże prawdę mówiąc, jestem zbyt zdesperowany, żeby się tym przejmować. Równie zdesperowany, jak kiedy wymyśliłem ten wariacki plan.

Jest dokładnie tak, jak powiedział Takka: każdy idiota wie, że Legion Aurory szukał mojego durnego tyłka w tym sektorze od miesiący. Zatem

wiedząc, jak będzie wyglądała ochrona, potrafiłem wymyślić tylko jeden sposób dotarcia do akademii, żeby ostrzec Adamsa przed Ra'haam.

Na pokładzie statku Legionu Aurory.

Odnotowuję w pamięci, żeby przesłać Takce prezent za to, że sprzedał mnie tak szybko. I pomodliwszy się krótko do Stwórcy, naciskam guziczek.

Czuję tę samą wibrację w bucie co poprzednio. Wychwytyuję ledwie słyszalny szum. I dokładnie tak samo jak na pokładzie *Kusanagiego*, wszystkie światła w celi gasną.

Kamera zdycha.

I, o radości, padają też magnetyczne zamki na moich kajdankach i w drzwiach.

W okamgnieniu podrywam się, zapieram nogą o framugę i uchylam drzwi. Żołądek mi się burzy, wymachuję rękami szaleńczo, kiedy wciąż próbuję oderwać się od podłogi. Widzę, że resztki mojego posiłku robią to samo – pusty kartonik po wodzie unosi się tuż nad tacą.

Drzwi otwierają się, a ja patrzę na ciemny korytarz. Natychmiast orientuję się, co się stało – impuls elektromagnetyczny załatwił nie tylko elektronikę w mojej celi, ale na całym statku. A to oznacza także system podtrzymywania życia. I jeśli pominąć to, co daje nam przyśpieszenie, to zniknęła także grawitacja.

Ups.

Słyszę głosy z mostka – Cohen domaga się raportu. System autonaprawy na Łuku jest najwyższej klasy, co oznacza, że moc i silniki mogą powrócić w każdej sekundzie. Jednak nawet jeśli nie wiem, ile obecny stan potrwą, to wiem, co najprawdopodobniej zrobi Alfa drużyny. W takich sytuacjach obowiązują określone zasady i był taki czas, kiedy sam ich ściśle przestrzegałem.

Czekam nad włazem do maszynowni, kiedy Mózg i Macher z drużyny Cohen tamtędy przelatują. Poświęcili chwilę na włożenie skafandrów z kablami zabezpieczającymi; latarki na ich hełmach rysują linie

światła w ciemności. Impuls załatwił ich system łączności, ale nadal mamy atmosferę, więc mogą przynajmniej rozmawiać.

– Nie widać uszkodzeń – melduje Macher.

To szybki, żylasty Betraskanin, który nazywa się Trin de Vriis, plasował się w górnych trzech procentach na naszym roku. Jego w pierwszej kolejności wybrałbym po Cat w Poborze, gdybym miał szansę.

– Padło zasilanie na całym statku – melduje Mózg, dźgając palcem swój zdechły unikron.

To syldrański Tkacz, który pyskował do mnie w porcie. Nazywa się Anethe i był w pierwszych dziesięciu procentach na naszym roku. Rozważałem go przez pewien czas, ale jego oceny z dynamiki przestrzennej nie były rewelacyjne. A jego wyniki w walce wręcz w warunkach nieważkości były praktycznie przeciętne.

Dlatego najpierw atakuję de Vriisa, odpychając się od grodzi i sunąc na niego jak włócznie. Wpadam na jego plecy, a jemu wyrywa się słaby krzyk, gdy rozbija szybę hełmu o osłonę silnika. Ciężenie jest na tyle małe, że mogę wykorzystać jego pęd do wyprowadzenia ciosu, a osłonę silnika jako punkt obrotu. Jego krzyk rozbrzmiewa w ciemności, kiedy wybijam mu rękę ze stawu z obrzydliwym trzaskiem.

Anethe gapi się na mnie, wytrzeszczając oczy. Blednie. Trzeba mu przyznać, że nie ucieka, ale tak jak powiedziałem, jego wyniki w nieważkości były słabe. Mój kopniak jest dostatecznie silny, żeby zwymiotował, a kiedy zrywa hełm, żeby nie udławić się własnymi wymiocinami, uderzam go w nerw, czego nauczyłem się od Kala podczas bójki na Wiekuistym. Odwracam się z powrotem do jęczącego de Vriisa, przyduszam go, aż starci przytomność.

2:0 dla mnie.

De Renn sprawia więcej problemów. Okłamałem go w porcie: wybrałbym go w pierwszej kolejności na Czołga, gdybym nie wylądował z Kalem. Naprawdę lubiłem tego gościa. Grywaliśmy razem w dżetbol w akademii.

Niestety czasy akademii już się skończyły.

Czekam na niego w zasadzce, kiedy wylatuje po sprawdzeniu mojej celi – Cohen trzyma się regulaminu, więc znowu łatwo przewidzieć jej decyzje. Dezelator de Renna nie zadziała po impulsie elektromagnetycznym, więc wziął inną broń, pewnie z prywatnych zapasów – parę beta-skańskich kijów bojowych z hakami, które nazywają się *satkha*.

Przywalam mu w potylicę gaśnicą, ale nawet zamroczony nie pada, tylko wymierza mi przyzwoity strzał w szczękę, zanim skorzystam ze sztuczki Saedii i wymierzę mu potężny kopniak w krocze. Pada na plecy i wydaje z siebie odgłos pomiędzy krzykiem i piskiem.

Zrywam mu hełm i przyduszam, z trudem panując nad nim, gdy miota się i wygina. Wreszcie wiotczeje, a ja przyduszam go tak długo, jak to jest bezpieczne, a potem wzruszam przepraszająco ramionami.

– Wybacz, stary, nie żyw urazy.

3:0.

Pozostała trójka drużyny 303 jest na mostku. Ich As siedzi przy sterze – stary kumpel Cat od kielicha. Nazywa się Rioli. To zwalisty gość, ciemny blondyn o niebieskich oczach. Cohen siedzi przy drugim stanowisku i próbuje uruchomić łączność. Ich Twarz – ładna Terranka imieniem Savitri – stoi koło wejścia. Ma podniesioną szybkę hełmu, bo obgryza paznokiec, długie włosy unoszą jej się wokół policzków, kiedy, mrużąc oczy, patrzy w ciemność.

– Bel nie powinien już wracać? – pyta.

– Uspokój się, Amelio – odpowiada Cohen. – Pewnie siedzi u siebie i nie może się zdecydować, którą broń wybrać. Jaki mamy status, Rioli?

– Nadal nic – odpowiada As. – Cokolwiek w nas trafiło...

Odwraca się na dźwięk wilgotnego plaśnięcia *satkha* w twarz Savitri. Dziewczyna wykręca piruet, charcząc, krew bucha jej z nosa. Uderza o ścianę, a ja wpadam na Riolię, ciskam nim o konsolę i uderzam go w żebra tak mocno, że słyszę, jak pęka kość.

– Na oddech Stwórcy – szepcze Cohen. – Jones...

Wiem, co widzi, kiedy odwracam się do niej. Mam ręce i twarz zbryzgane krwią – czerwoną terrańską, fioletową syldrańską i różową betraskańską. Muszę pod każdym względem wyglądać jak przestępca, zabójca i terrorysta, jakim odmalowała mnie GAW, najbardziej obiecujący Alfa Legionu Aurory, który zamienił się w psychopatę mordującego z zimną krwią.

Rzecz jednak w tym, że to nie szaleństwo mnie napędza. Ciosem w brzuch sprawiam, że Cohen składa się wpół. To nie wściekłość sprawia, że uderzam ją otwartą dłonią w podstawę czaszki, aż pada na ziemię i odbija się od niej, jęcząc, tracąc przytomność.

To desperacja. To strach.

Bo ja to widzę. Nawet kiedy rozbieram drużynę 303 do samej bielizny i zamykam w celi, spawam drzwi palnikiem acetylenowym zabranym z ładowni. Nawet kiedy przebieram się w mundur Riolięgo i lecę z powrotem na mostek, modląc się do Bogów Systemu Autonaprawy, żeby działali szybciej. Kiedy w końcu zasilanie powraca, kiedy siadam w fotelu pilota i szepczę słowa dziękczynienia do Stwórcy. Widzę to.

Widzę Akademię Aurora. Widzę, jak wybucha w aureoli ognia i szrapneli, przekreślając ostatnią nadzieję na pokój w Galaktyce.

Czuje, jak powstaje zza niej cień gotowy połknąć Galaktykę, słyszę głos, błaganie, żebym nie przestawał walczyć, nawet jeśli zostałem sam.

Wprowadzam kurs do Akademii Aurora. Zwiększam siłę ciągu silników.

„...możesz to naprawić, Tyler...”

– Pewnie, kurna, że mogę – szepczę.

Już lecę.

Usta Finiana są ciepłe i miękkie, kiedy zostawiają palący ślad na mojej szyi. Przebiega mnie dreszcz aż po palce stóp. Leżymy na cieniutkim duropianowym materacu wśród pogniecionych prześcieradeł, a za małym iluminatorem obok nas ciągnie się idealna czern rozświetlana maleńkimi impulsami fioletowego światła. Mam wypuszczoną koszulę, dłoń Finiana kreśli delikatne kółeczka na moim krzyżu, metal na jego opuszkach jest naładowany słabiutkim prądem, od którego skóra mnie mrowi w najcudowniejszy sposób. Przesuwam palcami przez jego włosy i przyciągam go bliżej, wzdychając zachęcająco, gdy całuje mnie w szyję.

Ręka zsuwa się z krzyża niżej, sięga ku figom, więc łapię go za włosy i odsuwam, żeby spojrzeć mu w twarz. Fin ma zaczerwienione usta i policzki – przybrały najdelikatniejszy odcień bladego różu – i oddycha ciężko, ale teraz znieruchomiał i zamrugał powiekami.

– Nie masz nic przeciwko? – pyta.

– Jasne – wzdycham. – Nie przestawaj.

Wpadamy z powrotem na siebie, on dotyka mnie na wszystkie właściwe sposoby, a ja owszem, po części zdaję sobie sprawę, jakie to głupie, zważywszy, w jakiej sytuacji się znajdujemy. Jednak nade wszystko jestem skupiona na ciepłe jego skóry i na tym, jak przyciska się do mnie, na tym, co robią jego ręce, i na tym, jak bardzo nie doceniałam tego, jak dobry w te klocki jest Finian de Seel.

Przez ostatnie pięć pętli odwracaliśmy uwagę ochrony, która w przeciwnym wypadku przeszkodziłaby Zili i porucznik Kim i zastrzełiłaby je w gabinecie Pinkertona. Potrzebowaliśmy kilku prób, ale ostatecznie odkryliśmy, że uruchomienie alarmu zbliżeniowego na niższym poziomie sekcji mieszkalnej odciągnie drużynę drabów na dość długo, żeby całkowicie ominęli gabinet. Parę minut po tym, jak uruchamiamy alarm, cały personel ochrony zostaje wezwany do pożaru na schodach B, który w tej chwili rozprzestrzenia się na system kanałów wentylacyjnych.

To oznacza, że gdy już uruchomimy alarm, mamy z Finem mnóstwo wolnego czasu. Pewnie, że moglibyśmy pójść i pomóc Zili zbierać informacje z komputera w gabinecie Pinkertona, ale ja i tak nie byłabym szczególnie pomocna, a Zila nie potrzebuje wsparcia. Skoro po prostu umieramy i wracamy, umieramy i wracamy, to możemy robić to wszystko wciąż i wciąż, aż opanujemy do perfekcji. Mamy cały czas na tym świecie.

Dlatego przez ostatnie kilka pętli zakradaliśmy się z Finem do pustej kwatery i... poznawaliśmy się lepiej. Bo chociaż wydaje się, że dysponujemy nieskończoną ilością czasu, to zdaję sobie sprawę, że zmarnowałam go dość, nie poznając tego chłopaka wcześniej.

Czerwienię się od jego żaru, serce tłucze mi się o żebra, słyszę, jak Fin pojękuje, gdy mój język porusza się przy jego i wzdycham mu w usta. Chociaż powietrze wypełnia wycie syren alarmowych i trzask udreżonego metalu, moje westchnienie wydaje się okropnie głośne.

– Jak to się dzieje?

Fin odsuwa się i mruga.

– Co?

– Twój egzozszkielet – szepczę, szarpiąc jego koszulę i przesuwając palcami po napiętym brzuchu. – Jak mam to zdjąć?

– Chcesz... – Przełyka z trudem ślinę. – Chcesz zdjąć mój egzozszkielet?

– Nie – odpowiadam, przysuwając się do jego szyi i skubiąc leciutko.
– Chcę zdjąć z ciebie koszulę. Egzoszkielec to tylko środek do realizacji celu.

– Scar...

Muskam zębami jego gardło i czuję, jak drży. Uśmiecham się, widząc, jak na niego działałam.

– Teraz trochę żałuję, że nie uważałam bardziej na zajęciach z inżynierii mechanicznej...

– Scarlett.

– Tak, Finianie?

– Scarlett.

Odsuwam się, słysząc tę nutę w jego głosie. Znam kulturę betraskańską na wylot i wiem, że nie naruszamy tu żadnego tabu, że on naprawdę tego chce, ale gdy patrzę w jego wielkie, ładne oczy, chociaż skryte za szklami kontaktowymi, rozumiem...

Rozumiem...

Że on się boi.

Cała stacja dygoce. Płonące gazy rozświetlają ciemność na zewnątrz iluminatora, kiedy rozlega się komunikat:

– Uwaga: Wykryto promieniowanie na pokładzie 13; cały personel z pokładu 13 ma natychmiast zgłosić się na procedurę dekontaminacyjną.

– Wszystko w porządku?

– Pewnie – odpowiada Fin, odchrząkując. – Jest super.

Obrzucam go spojrzeniem, czytam jego twarz, język ciała, analizuję szybkość oddechu i bicie serca, gdy przyciska się piersią do mnie. Zawsze byłam dobra w te klocki, nawet zanim zaczęłam studia.

Już jako dzieciak często miałam wrażenie, że wiem, co ludzie myślą, nim się odezwą. Nie jestem pewna, jak to robię, zawsze podejrzewałam, że to coś, z czym się urodziłam. Niektórzy są dobrzy w dżetbolu, inni potrafią śpiewać.

A ja? Ja czytam innych ludzi, jak większość czyta książki.

I kiedy przyglądam się uważniej Finowi, wiem, że mam rację.

– Boisz się.

Najeża się, śmieje szorstko, żeby to ukryć. Blef, brawura. Czasem zachowuje się tak... chłopięco.

– Nie, nieprawda – prycha. – Dlaczego miałbym się bać?

– Fin... – Dotykam jego policzka. – Nie musisz mnie okłamywać.

Patrzy mi w oczy przez chwilę, a potem odwraca wzrok i wpatruje się w skłębioną czerni na zewnątrz. Stacja się trzęsie, czas brnie pod prąd, zapętłając się. Wąż pożerający własny ogon.

– Powtarzam: Wykryto promieniowanie na pokładzie 13; cały personel z pokładu 13 ma natychmiast zgłosić się na procedurę dekontaminacyjną.

Całuję go w policzek. Przesuwam ręką po potarganych jasnych włosach.

– Fin, co jest?

– To głupie – mamrocze.

– Na pewno nie. Mnie możesz powiedzieć.

Znowu patrzy mi w oczy, drobna zmarszczka rysuje się między jego brwiami. Wyczuwam jednak ścianę, jaką próbuje teraz wybudować między nami. Zbroję, którą wciąga na siebie. Odcina się. Zamyka.

Dotykam jego twarzy.

– Zaufaj mi – mówię głosem łagodnym jak letnia bryza.

On siłuje się ze sobą jeszcze chwilę.

– Lubię cię, Scar – mówi wreszcie.

– Ja ciebie też. – Uśmiecham się, przesuwając opuszką po łuku jego ust.

– To znaczy... naprawdę cię lubię. – Spuszcza wzrok na moje ciało, przyciśnięte do niego we wszystkich właściwych miejscach. – I chcę, ale...

Mrugam wtedy zaskoczona, kiedy wreszcie coś do mnie dociera. No jasne, mówię sobie. To powinno być oczywiste, ale za bardzo dałam się pochłonąć obecnej chwili. Nie myślałam tak naprawdę o tym, co zamierzamy zrobić i...

- Nigdy wcześniej tego nie robiłeś - mówię.

Zaciska usta w linię. Widzę, jakie to dla niego trudne, tak się odsłonić. Przez całe życie Finian walczył, żeby traktowano go jak równego. Udowadniał, że nie jest po prostu ofiarą zarazy, która zniszczyła jego ciało, gdy był dzieckiem. Żeby uciec przed stygmatem metalowego skafandra, musiał założyć też zbroję od środka. I myśl o tym, że miałby teraz ją zdjąć, odsłonić się...

- Zgadza się - mówi.

- W porządku, Fin - odpowiadam. - To nie szkodzi.

- Nie jestem pewien... - Kręci głową, zaciskając zęby. - Wiem, że miałaś wielu chłopaków. Jednak bez egzoszkieletu nie ruszam się za dobrze. Jestem w stanie, ale niezbyt to zręczne i nie... nie wiem, jak dobry byłbym... - Wzdycha sfrustrowany samym sobą, tą sytuacją, wszystkim. - Ach, *chakk*. Mówiłem ci, że to glu...

Przerywam mu pocałunkiem delikatnym, słodkim i długim.

- W porządku - szepczę.

Nie wierzy mi. Nie patrzy mi w oczy. Znowu dotykam jego policzka delikatnie jak piórkiem, a on patrzy na mnie. Zdaję sobie sprawę, ile to dla niego znaczy. Tak, on naprawdę mnie lubi. I wtedy znowu go całuję.

- W porządku - powtarzam. - Na co tylko jesteś gotowy. Co tylko chcesz. Po prostu jestem szczęśliwa, mogąc być z tobą. Wystarczy to, czego chcesz. - Ściskam jego dłoń, całuję metalowe opuszki jeden po drugim. - Ty mi wystarczasz.

- Naprawdę...? - szepcze.

- Naprawdę. - Uśmiecham się. - Jesteś piękny.

Przesuwa dłonią po moim policzku, sięga po pasmo rudych włosów i nawet gdyby stacja nie rozpadała się właśnie, jestem pewna, że świat

nadal zatrząsłby się, gdy Finian znowu mnie całuje.

– Jesteś niesamowita, Scarlett Isobel Jones – mruczy.

– Wiem, naprawdę cholernie ci się poszczęściło, de Seel.

Śmieje się, a ja mu wtóruję i znowu się całujemy, i to jest miłe, jasne i słodkie. Zastanawiam się, czy nie chciałabym znajdować się w ramionach tego słodkiego, jasnego chłopca raz za razem, aż do końca...

– Scarlett. Finian. Czy mnie słyszycie?

– To Zila – szepcze mi w usta Fin.

– Zignoruj ją – odpowiadam szeptem.

– Scarlett. Finian. Zgłoście się.

– To wygląda na coś pilnego – szepcze Fin.

– To Zila, to nic takiego, ćśś...

– Scarlett. Finian. Proszę odpowiedzcie, to pilne.

– ...szszszlag. – Przyciskam guzik naszego systemu łączności i wzdycham ciężko. – Zil, musimy sobie we dwie porozmawiać o solidarności jajników...

– Załatwiliście sprawę ochrony? – dopytuje się. – Potrzebuję, żebyście natychmiast z Finianem przyszli do gabinetu Pinkertona.

Finian i ja patrzymy po sobie, stacja dudni złowieszczo, a syreny nie przestają wyc. Fin wygląda tak ładnie w ciemnym świetle burzy, ale słyszę w głosie Zili nietypową dla niej nutę strachu, co wystarczy, żebym zaciągnęła hamulce na rozpędzonym sercu i spojrzała Finowi w oczy.

– Zaraz będziemy – odpowiadam jej.

Potrzebujemy paru minut na ciche ominięcie czterech spanikowanych grup personelu i szczęśliwą ucieczkę przed rozbłyskiem plazmy na klatce schodowej A, ale docieramy wreszcie na wyższy poziom mieszkalny. Stacja nadal się trzęsie, kiedy, trzymając się za ręce, skradamy się z Finem korytarzem. Wchodzimy do gabinetu Pinkertona. Widzę niepokój w oczach Zili, zauważam, że żuje czarne pasmo włosów. Może po raz pierwszy sprawia wrażenie naprawdę umęczonej, gdy piorunuje mnie wzrokiem. Nasza dobra porucznik Nari Kim zwana Sokołem stoi obok

niej i wpatruje się w rozjarzone ekrany. Ma minę, jakby ktoś zastrzelił jej psa.

– Gdzie się podziwialiście? – pyta ostro Zila.

– Zil, wszystko w porządku? – odpowiada pytaniem Fin.

– Pytałam, gdzie byliście! – Zila obrzuca mnie spojrzeniem. – Ale widząc, że Scarlett ma wypuszczoną koszulę, a ty masz malinki na szyi, niepotrzebnie zawracałam sobie głowę.

– Zajęliśmy się patrolem ochrony – mówię. – Tak jak powinniśmy. Dzięki temu nie zostałam zastrzelona. Jeśli potem poszliśmy okrężną drogą...

– To było głupie i samolubne – warczy Zila. – Ja też wołałabym zająć się innymi rzeczami, Scarlett.

Przyznaję, że trochę się jeżę na te słowa. Zerkam znacząco na porucznik Nari Kim stojącą nad naszym Mózgiem, krzyżując ręce i patrząc równie znacząco na Zilę.

– Pewnie, założę się, że wołałabyś. I nikt nie będzie was oceniał, jeżeli...

– Nie to miałam na myśli – odpowiada Zila, rumieniąc się i zerkając na Nari. – Niektórzy z nas mają ważniejsze rzeczy na głowie niż flirtowanie. Niektórzy z nas próbują wyplątać nas z tego bałaganu!

Fin patrzy zaskoczony tonem Zili, która praktycznie krzyczy. Zapamiętuję sobie, żeby zgłosić to do Galaktycznej Księgi Rekordów.

To pierwszy raz, kiedy Zila krzyczy.

– Zil, o co się tak pieklisz? – pyta Fin.

– Jak możesz zadawać mi takie pytanie? – wścieka się Zila. – Wiesz równie dobrze jak ja, z jak skomplikowaną rzeczą mam tu do czynienia!

– Słuchaj, jasne, pewnie. – Drapie się po głowie, rzucając mi zakłopotane spojrzenie. – Może ja i Scar zafundowaliśmy sobie chwilę wolnego, wybacznij. Powinienem bardziej ci pomagać. Następnym razem, nie ma sprawy, dobra? Mamy dosłownie nieskończenie wiele czasu, żeby to

rozwikłać. Jeśli coś zawalimy, to po prostu będziemy próbować tak długo, aż wyrwiemy się z pętli.

Zila kręci głową i wraca do odczytów.

– Kiedy zaczniesz następną pętlę, potrzebuję, żebyś skupił swoje wysiłki na Magellanie.

Fin wytrzeszcza oczy, a ja prawie się śmieję, gdy zerkam na jego plecak i leżące tam usmażone szczątki unikronu Aurory.

– Naprawdę chcesz, żebym naprawił to *chakk*? – Wskazuje otaczające nas szklane gabloty. – Z, więcej pożytku miałabyś z tych antyków!

– Będę też potrzebowała twojego unikronu. I twojego, Scarlett.

– Do czego? – pytam. – I tak nie ma tu sieci, żeby...

– Możemy stworzyć sieć między nimi. – Zila prawie się krzywi na ekrany przed sobą. – Ten system jest zwyczajnie zbyt prymitywny, a ja potrzebuję całej mocy obliczeniowej, jaką zdołamy zebrać, żeby przeprowadzić te obliczenia. – Pociera oczy; twarz ma podświetloną przez blask ekranów. – Coś jest nie tak.

Fin podchodzi bliżej do konsoli, traktując teraz sytuację z większą powagą.

– Co masz na myśli? Co jest nie tak?

Głośniki uniemożliwiają Zili odpowiedź:

– Uwaga: Kaskadowe przebicie pola siłowego. Nieuchronna implozja reaktora za trzy minuty. Cały personel ma natychmiast zgłosić się do kapsuł ratunkowych. Powtarzam: implozja reaktora za trzy minuty. Odliczanie trwa.

Zatem to ta chwila.

Koniec pętli.

Nadszedł czas kolejnej śmierci.

Stacja zaczyna drżeć, łapię Finiana za rękę. Siła jego uścisku, ciepło jego ciała, gdy się o niego opieram, niosą pociechę. Jednak Fin nie zwraca na mnie uwagi, zamiast tego wpatruje się w odczyt na nad-

garstku Zili. Cyfry rozbłyskują na zegarku, który ustawia na początku każdej pętli.

– To nie może być prawda... – mówi Fin.

Zila patrzy mu w twarz, zaciskając usta.

– Zastanawiałam się, kiedy zauważysz.

– Sprawdziłaś to? – dopytuje się Fin. – To nie jest jednorazowy wybryk?

– Zauważyliśmy to już kilka pętli temu – odpowiada cicho Nari. –

W każdym razie Zila zauważyła, ale chciała mieć pewność, zanim wam powie.

Zila patrzy Finianowi w oczy jeszcze przez chwilę, po czym przesuwa swoje śmiercionośne spojrzenie na mnie.

– Może gdybyście nie byli myślami tak zupełnie gdzie indziej...

– Słuchaj, Zila, wiem, że jesteś zła – mówię. – I może masz w tym trochę racji, ale czy możesz na minutę odpuścić sobie wytykanie palcami i powiedzieć mi, co tu, do cholery, się wyprawia?

Stacja się kołysze. Fioletowe światło rozbłyskuje, oświetlając burzę na zewnątrz, ogromne chmury zderzające się i kłębiące w czerni.

Fin patrzy mi w oczy.

– Impuls kwantowy uderza w żagiel w czterdziestej czwartej minucie pętli.

– Jasne.

– A Zila powiedziała nam, że przeciążenie rdzenia i wybuch stacji następuje w pięćdziesiątej ósmej minucie po uderzeniu impulsu.

– Aha. – Patrzę zaskoczona to na jedno z nich, to na drugie. – I co z tego?

– Została nam minuta do wybuchu – mówi Zila, unosząc nadgarstek, żebym odczytała wskazania.

Marszczę brwi na widok jasnoczerwonych cyfr na tle małego czarnego ekraniku na brązowej skórze Zili skąpanej w niebieskim blasku ekranu.

- Godzina i trzydzieści dwie minuty – mówię.

- Właśnie. – Zila kiwa głową.

- Uwaga: Nieuchronna implozja reaktora za trzydzieści sekund. Natychmiastowa ewakuacja całego personelu. Powtarzam: implozja reaktora za trzydzieści sekund.

Stacja zaczyna dygotać jak oszalała, otaczający nas metal pęka, powietrze wypełnia się syrenami, dymem i sykiem uciekającej w kosmos atmosfery. Przekrzykuję ten hałas:

- Ale jeśli rdzeń eksploduje pięćdziesiąt osiem minut po uderzeniu, a uderzenie ma miejsce w czterdziestej czwartej minucie...

Kim patrzy mi w oczy z ponurą miną.

- No właśnie.

- Jasna cholera – szepczę.

Patrzę Finowi w oczy.

- Pętla są coraz krótsze – mówię.

- Uwaga: Nieuchronna implozja reaktora. Pięć sekund. Uwaga.

Fin kiwa głową i ściska mi dłoń. Czarne oczy ma wielkie ze strachu.

- Kończy nam się czas – mówi.

- Uwaga.

BUM.

Głowa mi pęka, zanim docieramy do Statko-Światu; patrzę na ekran *Mściciela*, na którym pojawia się ostatni azyl w całej Drodze Mlecznej.

Kal kładzie ręce na moich ramionach, przyciska kciuki, żeby znaleźć miejsce u podstawy czaszki, gdzie zawsze kumuluje się całe napięcie. Musiał to już robić setki razy w Echu, cierpliwie przemawiając do mnie, aż przestawałam rozpaczać z powodu niemożliwych zadań, jakie wyznaczał mi w ramach treningu Esh. Mam wrażenie, że to działo się wieki temu.

Teraz razem patrzymy, jak zbliżamy się do Wiekuistego. Potężny cień unosi się na tle barwnej tęczy mgławicy. Początkowo mam wrażenie, że niewiele się zmieniło przez dwadzieścia siedem lat – to nadal miszmasz statków i stacji zespawanych razem, wież i satelitów wystających w ciemność, tuneli portowych wysuwających się z ciała jak macki.

Jednakże tylko w części palą się światła – cała górna prawa kwarta jest zupełnie ciemna. Kiedy podlatujemy bliżej i mogę się lepiej przyjrzeć, widzę, że została wysadzona. Metal jest poskręcany i popękany. Wybuch, czy też atak, musiał być potężny.

– Dom – mruczy Toshh z sąsiedniego siedzenia.

– Dobre miejsce, żeby schować tam swoje serce – mówię.

Toshh patrzy na mnie dziwnie, unosząc brew.

– To takie stare ziemskie powiedzenie. – Uśmiecham się. – Dom jest tam, gdzie serce twoje.

Siedząca przy sterze Lae zerka na Kala.

- To by wiele tłumaczyło, zważywszy, co Gwiazdobójca zrobił z własnym domem.

Kal bierze głęboki wdech, ale nie komentuje tego. Uznaję, że na swój straszliwy sposób to jest prawda. Kiedy sięgam po jego dłoń, żeby ją uściskać, Lae zerka na mnie, a potem na chłopca obok mnie.

Ogarnia mnie trochę dziwne uczucie, kiedy patrzę na nią, jeśli mam być szczerą. Pozostali członkowie załogi Tylera, nawet sam Ty... teraz z łatwością wyczuwam ich w swojej głowie, ich uczucia. Prądy ich emocji opływają mnie rzeką. Nie mogę jednak niczego wyczytać z Lae. Odcina się, jakby posługiwała się mocami Wędrowcy, żeby zarzucić welon na swój umysł.

Jest silna. Nie umywa się do mnie czy Caersana, niemniej...

Przynajmniej sprawiała wrażenie wdzięcznej za moją pomoc przy uruchomieniu napędu ryftowego. Jak na ironię dostarczyłam jej „prostego pchnięcia”, jakiego oczekiwał ode mnie Caersan, gdy chciał przetransportować broń. Nie jestem pewna, jak to właściwie działa – Lae nami kierowała, a ja dostarczyłam surowej mocy, raz za razem nurkując w strumień, który mnie niszczy i wprawia w euforię. Razem posłużyłyśmy się fragmentem kryształu Eshvarenów w rdzeniu *Mściciela*, żeby otworzyć serię bram w ciągu ośmiu godzin i przeskakując statkiem kilka razy przez rozległą przestrzeń.

To wymagało ode mnie ułamka wysiłku. To niemal błahostka. Jednak widząc pęknięcia wokół oczu Lae, orientuję się, jak wiele za każdym razem kosztuje ją taka podróż. Choć odgrywa twardą, już sam ten fakt mówi mi, że jest dobrą osobą. Tak jak wszyscy w załodze Tylera. Naprawdę wiele z siebie dają, żeby sprowadzić tu ostatnich ocalonych.

Jedynie ostatki z cywilizacji w Galaktyce.

- Najwyższy czas – mruczy Tyler.

Wstaję z siedzenia i staję nad jego ramieniem, kiedy zbliżamy się do Statko-Światu. Tyler zerka na mnie i na jedną chwilę jego oko otwiera się szeroko, zapiera mu oddech w piersi i przelotnie całe ciało mu tężeje.

– Tyler? – Połowa załogi krzywi się za każdym razem, kiedy zwracam się do niego po imieniu zamiast tytułować go „dowódcą”, ale w ten sposób przypominę mu, że byliśmy przyjaciółmi. Sięgam po jego rękę. – Dobrze się czujesz?

– To nic takiego – odpowiada, ściskając nasadę nosa. – Za długo lecieliśmy przez Fałdę. Za stary jestem na to gówno.

Psychoza fałdowa. Zapomniałam o tym. Drużyny Legionu Aurory składają się z ludzi między osiemnastym a mniej więcej dwudziestym piątym rokiem życia, ponieważ więcej niż siedem godzin w Fałdzie za bardzo obciąża mózg. To dlatego przespałam podróż do Octavii, psychoza fałdowa to nie żart. A Tyler jest już dobrze po czterdziestce. Co jest zwyczajnie dziwaczne.

Co zobaczył przed chwilą, kiedy spojrzał na mnie?

Co się z nim dzieje?

– Nigdy nie sądziłam, że jeszcze kiedyś zobaczę to miejsce – mówię, uśmiechając się lekko do niego i zmieniając temat rozmowy. Nie chodzi tylko o to, że potrzebuję, żeby stał po mojej stronie. Nie mogę patrzeć na niego, kiedy jest w takim stanie. – Kiedy ostatnim razem widziałam tę stację, nie wiedziałam nawet, po co tu przylatujemy, już nie mówiąc o tym, że wkrótce napadniemy na bank i stawimy czoło Wielkiemu Ultrazaurovi z Abraaxis IV.

– Czekaj – rozlega się głos za nami. To Elin, Betraskanka, pochyla się na swoim siedzeniu. – Te banialuki na temat Wielkiego Ultrazaura to prawda?

– Żałuj, że nie widziałas, jakie spodnie nosił wtedy wasz dowódca – odpowiadam.

W ten sposób zdobywam przelotny uśmiezek od Elin. I zaraz przypomina sobie, że zniknęłam podczas bitwy o Terre, i jej twarz znowu staje się nieprzyjazna.

– Nie uwierzysz, ile długów zaciągnąłem przez lata u Dariela – odzywa się Tyler i wydaje się, że odrobinę zmiękł. – Cały czas odgrażał się, że je odbierze, ale nigdy tego nie zrobił. – Urywa, zamyka oko,

pociera przepaskę na drugim oczodole. – Zmarł sześć lat temu podczas misji ratunkowej.

Kal staje obok mnie, kiedy ja bezradnie szukam co mogłabym powiedzieć. On jednak jak zawsze wypełnia pustkę za mnie.

– To miejsce widziało wiele walk – mruczy.

Tyler kiwa głową.

– Ra’haam. Walczyliśmy z nim co najmniej pięćdziesiąt razy. Bez względu na to, gdzie się ukryjemy, w końcu nas znajduje.

– Ale za każdym razem go odpieracie? – pyta Kal.

– Skądże! Uciekamy. – Tyler kiwa głową w stronę potężnego statku. – W środku jest napęd ryftowy. I reszta kryształów Eshvarenów, jakie zdołaliśmy zebrać. I każdy Wędrowiec, jaki przeżył w Galaktyce. Kiedy pojawia się Ra’haam, otwieramy bramę i przerzucamy Wiekuistego tak daleko, jak się da.

– Za każdym razem oddając cząstkę siebie – dodaje cicho Lae. – Aż nic nie zostanie.

Tyler patrzy na nią z troską, zaciskając usta.

– Niestety Chwastom i tak udaje się nas znaleźć za każdym razem – warczy Toshh. – Łajdaki potrafią nas jakoś wyczuć. Zwęszyć.

Tyler kiwa głową.

– Zwykle potrzebują na to trzech tygodni. Miesiąc, jeśli mamy szczęście. Ostatnim razem zaatakowali nas raptem dziesięć dni temu, więc powinniśmy przez chwilę być tu bezpieczni.

Jestem przerażona tą myślą o wiecznym zagrożeniu. Świadomością, że nigdy nie można odpocząć, że zawsze ściga cię to... coś, co pożarło mojego ojca. Cat. Octavię. I jeśli mu na to pozwolić, to pożre całą Galaktykę.

Moc skrzy się na moich opuszkach. Włosy stają mi dęba na całym ciele.

Nie mogę pozwolić, żeby to była przyszłość Galaktyki.

To nie będzie jej przyszłość.

– Co możesz nam powiedzieć o radzie, z którą się spotkamy? – pytam.

– To Rada Wolnych Ludzi – odpowiada Tyler. – Składa się z czterech członków. Trójka to reprezentanci trzech największych grup, jakie ocalały, pozostałe na zmianę zgłaszają dwóch przedstawicieli rocznie. Jest więc Syldranin z Ligi Obserwatorów, Betraskanin i Rikeryjczyk, czyli polityk, pragmatyk i wojownik. A teraz mniejszość reprezentuje Ulemna.

– Ludzie są jedną z mniejszości? – pytam z zaciskającym się sercem.

– Nie – odpowiada Tyler, patrząc na stację. – Zakazano nam wstępu do Rady. Elin, nawiąź łączność i powiadom dowództwo Wiekuistego, że nadlatujemy. Przypomnij im o potężnym kryształe Eshvarenów, który holujemy, żeby nikt nie wpadł w panikę i nie wystrzelił w naszą stronę bomby jądrowej.

– Przyjęłam, szefie. – Betraskanka kiwa głową. – Zakładam, że nie powinnam wspominać o maniakałnym ludobójcy zabijającym całe planety na pokładzie tego kryształu?

Tyler pociera podbródek.

– Ten szczególnie lepiej zostawić na rozmowę twarzą w twarz.

– Dlaczego? – pytam cicho, kiedy Elin zaczyna nawiązywać łączność.

– Nie uważasz, że Gwiazdობójca...

– Nie, pytam o to, dlaczego nie możemy należeć do rady?

Wreszcie Tyler odrywa wzrok od Statko-Światu i patrzy na mnie. Widzę, jaki jest zmęczony. Jaki zły. Smutny.

– Bo to nasza wina, Auri. Octavia była naszą kolonią. Obudziliśmy Ra'haam przedwcześnie. Pożarł naszych kolonistów, którzy zdołali wrócić na Terę, i przez następne dwa stulecia przeniknął do GAW i nikt, kurwa, tego nie zauważył. Ci agenci uziemili wszystkie planetarne rządy w Galaktyce. Zniszczyli wszelką szansę, jaką mieliśmy na zniszczenie Ra'haam u jego korzenia. A na dodatek w kluczowym momencie nasz

Zapalnik zniknął razem z jedyną prawdziwą Bronią, jaką dysponowaliśmy.

Oddycham płytko, nogi się pode mną uginają, muszę usiąść, bo inaczej upadnę. To wszystko moja wina, zarówno te najmniejsze problemy, jak i największe. Kal mnie obejmuje, a ja czuję złoto i fiolet jego umysłu, gdy przyciskają się pocieszająco do moich myśli.

– Bracie, to zwykły pech, że Terranie natknęli się na wylęgarnię Ra’haam – mówi cicho. – Kto może powiedzieć, że inna rasa rozpoznaby impostorów? A Aurora nikogo nie porzuciła. Ty jesteś dowódcą i jesteś tu szanowany. Musi istnieć szansa na odrobinę zrozumienia.

– Większość życia spędziłem na dowodzeniu swojej wartości – odpowiada Tyler. – Nie znajdziecie tu wiele zrozumienia na zbyciu.

– Myślisz, że jest szansa, że rada nam pomoże? – pytam, starając się uspokoić nową falę rozpacz, która we mnie wzbiera.

– Wszystko jest możliwe – odpowiada Tyler, ale odwraca wzrok ode mnie i znowu patrzy na Wiekuistego.

* * *

Czekamy w pobliżu Wiekuistego przez kolejną godzinę, zanim rada wzywa Tylera. Wsiada na prom *Mściciela* i leci złożyć raport, a nam nie pozostaje nic innego, jak czekać w krępującym milczeniu w towarzystwie jego załogi.

Po trzeciej godzinie nadchodzi wiadomość, że rada jest gotowa, więc Lae i Toshh eskortują nas na Wiekuistego. Wlatujemy do jednego z portów przy przezroczystych korytarzach wychodzących ze stacji. Ostatnim razem, gdy tu byłam, mrowiło się tam od różnych obcych podróżujących w obie strony. Fin i ja rozmawialiśmy o tym, że jego ludzie żyją pod ziemią i że nie lubi widoku gwiazd.

„Niebo jest pełne duchów”, powiedział.

Jego słowa okazały się prorocze.

Nie jesteś martwy, obiecałam mu w duchu. Cofnę się w czasie. Zmienię zakończenie tej historii.

Kiedy wysiadamy z promu, czekają na nas niedobitki z Wiekuistego. W korytarzu tłoczono jest od małych i dużych postaci, młodych i starych, dziesiątki różnych ras, setki setek ludzi. Każdy ma na sobie ubrania, które łątano i zszywano od dziesięcioleci, wszyscy milczą.

Puste spojrzenia podążają za nami, gdy idziemy, Lae pierwsza, Toshh i Dacca za nami. Ciężar tych spojrzeń jest niemal nie do zniesienia. Tylko tyle zostało. Ci ludzie. Ze wszystkich mieszkańców Galaktyki. Sięgam po rękę Kala tylko po to, żeby poczuć jego ciepłą skórę.

Okazuje się, że Rada Wolnych Ludzi gromadzi się w dawnej sali balowej Casseldona Bianchiego. Tym razem włączono światła, wirujące galaktyki dawno temu przepadły, tak samo jak piękna czerwona sukienka, którą nosiłam tamtego wieczoru. Fantastyczne akwarium ciągnące się wzdłuż ścian jest teraz pełne ram i małych boi – farmy glonów i porostów zajmują każdy centymetr. Domyślam się, że potrzebują ich jako źródła białka, żeby wyżywić tysiące mieszkańców stacji. To ogromna sala, rzędy siedzeń sugerują, że zwykle naradom towarzyszy publiczność, ale teraz echo naszych stóp niesie się w pustce, gdy podchodzimy do odległego stołu, gdzie siedzi czwórka członków rady.

Przy jednym końcu siedzi Rikeryjczyk – jest bardzo stary, rogi odginają mu się do tyłu i zawijają tak daleko, że zatoczyły już pełne kółka, a wyraz twarzy ginie wśród zmarszczek. Wojownik, tak go nazwał Tyler.

Obok niego siedzi Betraskanka, która nie wygląda na wiele starszą ode mnie, białe włosy nosi krótko przycięte. Studiuje coś na tablecie i podnosi wzrok tylko na chwilę. Pragmatyczka.

Trzecią osobą jest Syldranin z Ligi Obserwatorów, pierwszy jej przedstawiciel, jakiego spotkałam. Wygląda na mężczyznę około pięćdziesiątki; nieskazitelne warkocze towarzyszą nieskazitelnej posturze. Znak na jego czole to dwa koncentryczne koła. Polityk.

Ostatnia osoba to musi być Ulemn. Niewiele widzę – nosi ciemnobrązowy kaptur naciągnięty na twarz, ale widzę parę granatowych dłoni

złożonych przed nią na stole. Tyler nic nie mówił o przedstawicielu mniejszości i teraz żałuję, że go nie zapytałam.

Sam Tyler stoi już przed stołem. Kal i ja zatrzymujemy się obok niego, Toshh i Lae stają za nami. W sali jest jeszcze garstka Syl dran ze znakiem Wędrowców na czołach. Wyczuwają kolejną obecność kilka minut po mnie, wszyscy sztywnieją, zaciskają zęby. Widzę, że Lae chmurzy się mocniej, kiedy energia wokół nas zmienia się, powietrze przed nami drży. Odrzuca srebrno-złote warkocze przez ramię i zamyka dłoń na rękojeści zerostrza.

Pośrodku sali pojawia się Caersan.

To tylko projekcja, rzecz jasna, migocze i wyostrza się jak miraż w gorący dzień. Caersan nie jest dość głupi, żeby opuścić *Neridę* i zaryzykować pojawienie się na statku pełnym jego wrogów. Stoi jak cień w sercu sali, światła wydają się przygasać wokół niego. Wędrowcy aż jeżą się wrogością. Członkowie rady piorunują go wzrokiem jak jeden mąż.

Caersan rozgląda się po Sali, promieniując pogardą.

– Zaczynamy – mówi.

Zimna cisza zalega w pomieszczeniu. Cięży brzemię mnóstwa śmierci. To Syl dranin w końcu przerywa milczenie; przemawia spokojnym głosem mimo wściekłości płonącej w oczach.

– Dowódca Jones poinformował nas o okolicznościach waszego przybycia. Chociaż wasze twierdzenia wydają się nie z tej ziemi, to nasi Wędrowcy potwierdzili waszą tożsamość. – Obrzuca nas spojrzeniem fioletowych oczu, najdłużej zatrzymując się na Gwiazdobójcy. – Zatem czego od nas chcecie?

– Broń, na której tu przybyliśmy, jest uszkodzona – mówię. – Potrzebujemy powrócić do anomalii przestrzennej w sektorze Theta. Prowadzi ona do miejsca na rodzinnym świecie Eshvarenów. Jeśli gdziekolwiek da się naprawić Broń, to właśnie tam.

– Zakładając, że Ra'haam nie zniszczył już tego miejsca – odzywa się Betraskanka. – Jesteś pewna, że zdołasz wrócić do swojego czasu, jeśli

Broń zostanie naprawiona?

Caersan przygląda się otaczającym go Wędrowcom, patrzy na nich po kolei, z czymś, co przypomina... głód w oczach. Dlatego odpowiadam:

- Tak. Myślę, że jestem w stanie zapewnić napęd, a on będzie sterował.

Kobieta pochyła się, składając dłonie czubkami palców pod brodą.

- Jesteś świadoma, że sektor Theta został całkowicie opanowany przez Ra'haam?

Kiwam głową.

- Z tego, co powiedział Tyler, wynika, że będziemy musieli wywalczyć sobie drogę. Pewnie będziemy musieli też z nim walczyć po naprawie Broni.

Teraz odezwał się Rikeryjczyk, głosem podobnym do skrzypienia drzwi:

- I mówiąc „my”, masz na myśli „nas”, rzecz jasna. - Patrzy na mnie i Caersana z grymasem. - Chcesz, żebyśmy poświęcili ostatnie zasoby, żeby pomóc ci w czymś, co wygląda na szalenie ryzykowne przedsięwzięcie? Zakładając, że naprawy da się dokonać, kto może orzec, czy twój powrót do przeszłości cokolwiek zmieni?

- Jeśli wrócimy, możemy zniszczyć Ra'haam, zanim zdąży rozkwitnąć i rozsypać zarodniki - mówię, a mój głos niesie się echem w sali. - Po to tu właśnie jestem. Po to zostałam stworzona.

Syldranin kręci głową i wzdycha.

- A jednak jeśli nie wrócisz bezpiecznie do swojego czasu, to skążesz na klęskę nie tylko siebie, ale i wszystkich w tym czasie. Prosisz, żebyśmy zaryzykowali zgaszenie ostatniego światła w Galaktyce.

- Już jesteście skazani na klęskę, głupcze.

Wszyscy patrzą na zjawę Caersana, gdy się odzywa, rozglądając się po sali i zebranych radnych.

– To nie jest azyl. To grób. Chowacie się w cieniach, modląc się, żeby nie znalazła was prawdziwa ciemność. Ona jednak was znajdzie. I wszyscy dobrze o tym wiecie.

Obserwator podrywa się płynnym ruchem.

– Twoja obecność jest niezgodna z moim wprost wyrażonym życzeniem. Nie będę słuchał rad tego, który zniszczył Syldrę, zabił miliardy dzieci Syldry w okamgnieniu i zostawił tych, którzy ocaleli, samotnych i bezdomnych.

– Pokój to sposób, w jaki kundel woła „poddaję się” – warczy Caersan.

– Żaden z niego kundel – warczy stary Rikeryjczyk. – Nie masz pojęcia, co wycierpieliśmy, Gwiazdobójco. Nie znasz ceny, jaką wszyscy zapłaciliśmy.

– Wiem, że otrzymaliście szansę, żeby uniknąć tej ceny. Tego cierpienia. Jedną ostatnią bitwę do stoczenia, gdzie stawką jest przyszłość wszystkiego. – Caersan unosi ręce, a potem powoli je opuszcza do boków. – A wciąż drżycie na myśl o niej. Jak dzieci. Jak tchórze.

Obserwator krzywi usta.

– I to mówi tchórz, który mógł stawić czoło Ra’haam, lecz uciekł.

Caersan odwraca się do niego wściekły. Moc kipi we mnie, gorąca, wibrująca i ogłuszająca. Stawiam mentalną barierę między Gwiazdobójcą a buntowniczymi członkami rady; ciemny granat skrzy się, kiedy napotyka krwawą czerwień, zderzenie jest widoczne przez ułamek sekundy. Betraskanka, Rikeryjczyk zrywają się, kiedy Wędrowcy, Toshh i Lae unoszą broń jak jeden mąż.

Kal robi krok naprzód i krzyczy:

– Ojczy!

Przez ułamek chwili widzę wściekłość rozbłyskującą w umyśle mojego ukochanego, instynktowną chęć walki. Jednak Caersan tylko się śmieje cicho i jego moc się cofa. Powoli opuszczam własną osłonę i napięcie w sali opada.

Wędrowcy wokół Gwiazdobójcy są bladzi, patrzą po sobie niepewnie. Wiedzą, że nie mają najmniejszej nadziei na pokonanie teraz Caersana albo mnie. Lae szepcze coś do ucha Tylera, trzymając jedną rękę na jego ramieniu. Obserwator nadal stoi i patrzy na człowieka, który wymordował jego lud.

– To jest ich propozycja? – rzuca, rozglądając się po pozostałych członkach rady. – Powinniśmy natychmiast odesłać tych żebraków z powrotem na ich statek.

– Albo możemy porozmawiać o tym, w jaki sposób możemy uratować wszystkim życie – wtrącam się pośpiesznie, zanim panowie zaczną porównywać, kto ma większego. – Nie tylko wam. Nie tylko nam. Wszystkim. Wtedy i teraz. Uwierzcie mi, rozumiem wasze uczucie do Gwiazdobójcy. Sama czuję to samo. Jednakże on wie, jak przenieść Broń z powrotem. Ja nie wiem. Potrzebujemy go żywego.

– A kiedy dotrzecie do domu? – pyta Rikeryjczyk. – Co wtedy?

– Wtedy Caersan i ja... porozmawiamy sobie.

Gwiazdobójca przygląda mi się zimno i władczo. Nawet jeśli wyjdziemy z tego żywi i jakoś wrócimy tam, skąd przybyliśmy, oboje wiemy, że czeka nas konfrontacja. Wiem, że jeśli wygram, wystrzelę z Broni. Dam z siebie wszystko, żeby zniszczyć Ra'haam.

Niestety to pierońsko wielkie „jeśli”.

– Fakty są proste: nie zdołam wrócić do własnego czasu bez niego. Dlatego proszę, bardzo proszę, chociaż to trudne, musimy odłożyć własne uczucia na bok i wymyślić, jak wykonać to zadanie.

Rikeryjczyk kręci głową.

– Prosisz o zbyt wiele.

– Nie prosi o nic, czego sama nie jest gotowa oddać – odpowiada Kal.

– Co masz na myśli?

Prostuję się i biorę głęboki wdech.

– Chodzi o to... że to nie jest źródło odnawialne. Moc znajduje się w nas. Możemy posłużyć się nią ograniczoną liczbę razy, zanim... – Ury-

wam, podnoszę rękę do szpar wokół oczu. – Wystrzelenie z Broni odpowiednio wiele razy zabije Zapalnik.

Kal ściska moją dłoń, a ja staram się nie myśleć o strachu w jego oczach.

– Widzicie? – szydzi Caersan. – Nawet to dziecko jest gotowe oddać życie w walce, żeby was uratować, ale wy nie będziecie walczyć o własne ocalenie?

Rikeryjczyk się krzywi. Obserwator nabiera powietrza, żeby wyrzucić z siebie kolejny stek inwektyw. Widzę, że to donikąd nas nie doprowadzi. Wtedy jednak Ulemnna porusza się i zsuwa kaptur z głowy.

Jest upajająco piękna, jej skóra wygląda jak pożyłkowany na niebiesko i fioletowo marmur, pod powierzchnią barwy wirują niczym miniaturowe galaktyki, nieustannie i hipnotyzująco. Oczy ma srebrne, jej głos brzmi jak akord muzyczny w minorowej tonacji, jak trzy nuty zagrane jednocześnie.

– Nawet jeśli zrobimy to, o co prosisz, Terranko, nawet jeśli zdołacie naprawić Broń i przenieść się z powrotem do swojego czasu, co wtedy? – mówi. – Jeżeli pokonacie Ra’haam w przeszłości, dopilnujcie, żeby obecna przyszłość się nie wydarzyła. Zasadniczo przekreślicie nasze istnienie.

– Tylko tę waszą wersję – odpowiada Kal. – Inne będą nadal żyły. W Galaktyce, w której panuje pokój. W Galaktyce bez Ra’haam.

– A co z ludźmi, którzy narodzili się po rozkwicie Ra’haam?

Odwracamy się do Tylera, który stoi wśród swojej załogi. Lae patrzy mu w oczy, ale on patrzy na Kala i na mnie, zaciskając zęby.

– Jeśli wróćcie i wszystko zmienicie, to kto wie, czy w ogóle zaistnieją?

– To kwestia przeznaczenia, bracie – odpowiada Kal. – Przeznaczenia.

– Zawsze możecie pozwolić im tu trwać – mówi Caersan. – Skazać ich na uduszenie i pożarcie przez kolektyw.

– Nie możemy mu zaufać – wścieka się Obserwator. – *Cho'taa. Sai'nuit.*

– Nie masz honoru – prycha Lae na Caersana. – Twoje imię jest okryte hańbą. Twoja krew to wstyd. Nie możemy zaufać jednemu słowu, które wypowiadasz, morderco. Naprawdę oczekujesz, że będziemy za ciebie walczyć? Że poświęcimy własne życie? Dla ciebie?

Gwiazdobójca rozgląda się po sali. Przypominam sobie, jak to miejsce wyglądało w noc, kiedy drużyna 312 przybyła na Wiekuistego, nie tak znowu dawno temu. Galaktyka wirowała nad nami, otaczali nas piękni ludzie we wspaniałych strojach. Teraz widzę tylko migoczące światła, uszkodzone wyposażenie, cuchnącą farmę alg, która ma wykarcić głodujących niedobitków zgromadzonych na dole w narastającej ciemności.

– Wy to nazywacie życiem? – odpowiada szyderczo Caersan.

Zebrani znowu zaczynają krzyczeć, Obserwator, Rikeryjczyk, nawet Betraskanka podnoszą głosy, a Ulemnna siedzi spokojnie i znowu naciąga kaptur. Lae wytyka palcem Caersana i wrzeszczy coś na Tylera, który unosi ręce i mówi ponad nią do Toshh.

Kal ściska mi dłoń, zamykam oczy. To beznadziejna sprawa. Sale wypełniają strach i gniew, Chwasty czają się w ciemności, gdzie nas szukają, a my ugrzęźliśmy pośród ostatnich resztek życia w Galaktyce, które czekają na śmierć.

I wtedy zaczynają wyc syreny.

Słabe światło jeszcze bardziej ciemnieje, klótnie się urywają, strach i konsternacja w oczach radnych przelewają się przez ich myśli.

– Czy to...?

– Czerwony alarm. Czerwony alarm. Wykryto flotę Ra'haam przy wskaźniku Omega. Powtarzam: wykryto flotę Ra'haam. Cały personel na stanowiska bojowe.

– To niemożliwe – szepcze Tyler.

– Śledzono was? – dopytuje się Rikeryjczyk.

– Oczywiście, że nie – warczy Tyler. – Przeskoczyliśmy kilka razy, zanim tu dotarliśmy! Przestrzegaliśmy wszystkich procedur!

– To jakim cudem znalazł nas tak szybko? – pyta Betraskanka. – Ostatni atak miał miejsce dziesięć dni temu! Nie powinien był...

– Och, motyla noga...

Wszyscy odwracają się do mnie, kiedy szepczę:

– Oni mnie wyczuwają. – Patrzę na Caersana i serce mi się zaciska. – Wyczuwają nas.

Sklania głowę.

– To możliwe.

Przełykam z trudem ślinę i patrzę Kalowi w oczy.

– Ściągnęliśmy ich tutaj.

– Czerwony alarm. Nadlatuje flota Ra'haam. Cały personel na stanowiska bojowe.

– Ściągnąłeś na nas zgubę, Gwiazdobójco! – krzyczy Obserwator, podrywając się. – Dowódco Jones, nie powinieneś był...

– Z całym szacunkiem, radny, ale może zajmiemy się wytykaniem winnych palcami, kiedy już wykaraskamy się z tego gówna! – warczy Tyler.

– Nie możecie po prostu otworzyć bramy i wyskoczyć stąd? – pytam. – Powiedzieliście, że stacja ma napęd ryftowy...

– Jest wyłączony! – Tyler przekrzykuje wyjące syreny. – Następny atak nie powinien nastąpić przez co najmniej dziewięć dni! Technicy muszą zająć się konserwacją, naprawami. A nasi Wędrowcy muszą dojść do siebie pomiędzy kolejnymi skokami!

– Ile czasu potrzebujecie, żeby go uruchomić? – pyta Kal.

Tyler patrzy na Obserwatora, który nadal jest błądy z wściekłości.

– Radny?

– Co najmniej czterdziestu minut – odpowiada. – Może godziny...

– Czerwony alarm. Uwaga, to nie są ćwiczenia. dwadzieścia trzy minuty do przechwycenia przez flotę Ra'haam. Czerwony alarm.

Piorunuję pytającym wzrokiem Caersana, który leniwie unosi srebrną brew i kiwa głową. Patrzę Kalowi w oczy, a on kiwa raz. Ręka w rękę odwracamy i się uciekamy.

- Auri! - krzyczy za nami Tyler. - Dokąd, u diabła, biegniesz?
- Dać wam czterdzieści minut!

Jest ich tak wielu.

Wiem, że Ra'haam to jedność. Jeden zbiorowy umysł składający się z miliardów fragmentów połączonych i splecionych w ogromną jednię. Kiedy jedna część czuje ból, cierpi całość. Co widzi jedna część, wiedzą wszystkie. Gdy jednak patrzę na rój statków, które lecą na nas – nigdy w życiu nie widziałem tylu jednostek naraz – to trudno nie myśleć o tej chmarze „Oni”.

Ciężkie terrańskie lotniskowce. Syldrańskie fantomy. Betraskańskie liniowce i chelleriańskie sukcesory. Setki różnych modeli i klas, skradzione z setek różnych światów, wszystkie porośnięte niebiesko-zieloną skorupą i z ciągnącymi się za nimi w ciemności skręconymi pędami.

Wszystkie lecą na nas.

– Ja piórkuję – szepcze Aurora. – Jest tego naprawdę mnóstwo.

– Jestem przy tobie, be'shmai.

Stoimy w sercu *Neridai* i wpatrujemy się w projekcję, którą Aurora rozwinęła wokół nas. Zupełnie jakby ściany Broni stały się przezroczyste – widzimy otaczającą nas Pustkę na zbliżeniu i w wysokiej rozdzielczości – obraz jest ostry jak nóż. Mój ojciec wyciąga się na swoim kryształowym tronie, ale widzę po drobnej zmarszczce na jego czole, że też się martwi rozmiarami sił wroga. Już to by wystarczyło, żeby obudzić we mnie strach.

Nadal jestem ubrany jak wojownik Nieugiętych: w czarny wspomaganą pancerz z jasnymi znakami, ozdobiony pieśniami o chwale i krwi.

Bliźniacze ostrza kaat krzyżują się na moich plecach, lśniące i srebrne, ciężkie pistolety wiszą u moich bioder, pulsacyjne granaty – u mojego pasa. Nie czuję się jednak wojownikiem. W każdym razie nie takim, jakim on chciałby, żebym był.

– Tak wielu. – Mój ojciec patrzy na nadlatujące statki i krew ścina mi lodem, gdy dodaje: – Twoja siostra byłaby zachwycona, Kaliisie.

– Jesteśmy za blisko Wiekuistego, żeby wysłać z Broni impuls na oślepek jak poprzednim razem. – Aurora odwraca się, żeby spojrzeć mojemu ojcu w oczy. – Będziemy musieli ich załatwić jednego po drugim. Ty i ja.

Uśmiecha się, nie odrywając wzroku od wroga.

– To cię cieszy, prawda?

– Cieszysz się? – Aurora wytrzeszcza oczy. – Słuchaj, nie jestem psychopatą tak jak ty. Nie rozkoszuję się zabijaniem dla samego zabijania...

– Nie mam na myśli zabijania, Terranko, lecz moc.

Ojciec rzuca Aurorze mroczne spojrzenie.

– Powiedz mi, że tego nie czujesz, hm? Wibracji pod skórą i w kościach? Powiedz mi, że nie rwiesz się, żeby ją ponownie wypuścić? – Przechyla głowę z błyskiem w oku. – Eshvarenowie byli mądrzy, kiedy tworzyli swoje Zapalniki, dziecko. Znali nas dostatecznie dobrze, żeby zadbać, by trucizna smakowała nam słodko. Żebyśmy, umierając, czuli się jak bogowie.

Aurora zaciska usta i patrzy mu w oczy. Statki nadlatują, roją się w ciemności. Prawe oko Aurory zaczyna się jarzyć, a ja czuję żar na jej skórze, gdy piorunuje wzrokiem mojego ojca.

– Będziesz tak przemawiał czy rzeczywiście mi pomożesz?

– Mam ci pomóc?

Patrzy jej w oczy i nie odrywając wzroku wyciąga lewą rękę. Jego tęczęwka zaczyna się jarzyć, ciemne światło przebija się z wnętrza przez pęknięcie w twarzy. Warkocze poruszają mu się na niewidzialnym wietrze i widzę za skórą *Neridai*, jak jeden ze statków Ra'haam – potężny,

ospały terrański lotniskowiec spowity w pnącza i pulsujące liście – zaczyna drzeć. Musi ważyć miliony ton, a jednak mój ojciec zaciska palce na kształt szponów, jakby miażdżył najdelikatniejszy kwiat. Wytrzeszczam oczy, gdy lotniskowiec drży i wybucha, rozpada się na tysiące płonących okruchów za sprawą jego woli.

Mój ojciec kręci głową.

– Nie interesuje mnie pomaganie ci, Terranko. Interesuje mnie tylko zwycięstwo.

Aurora zgrzyta zębami i odwraca się do projekcji.

– Tyle wystarczy.

Mój wzrok zatrzymuje się na moim ojcu na chwilę dłużej. Myślę o czasach, kiedy byłem młodszy i trenowaliśmy razem pod drzewami lias. Potem jednak sięgam po rękę Aurory, żeby ją ucisnąć.

– Jak mogę ci pomóc?

Wyczuwam płonący wzrok ojca na karku, ale nie zważam na to. Aurora zerka na mnie z ukosa, maleńka galaktyka błyszczy w jej oku, kiedy ściska moją dłoń.

– Już mi pomagasz – mówi z uśmiechem.

I tak to się zaczyna. Statki Ra’haam pędzą ku nam nieopisaną chmurą, a moja be’shmai i mój ojciec sięgają w ciemność po jednego za drugim i miażdżą je. Widzę rozbłyski światła, bezgłośnie eksplozje, jakby nowe konstelacje zapalały się przelotnie na płonącym niebie.

Rzeź, jaką urządzają, zapiera dech w piersi. Światło płonie w tej, którą kocham, i w tym, którego nienawidzę. Przez chwilę serce mnie boli na myśl, czym mogliby być, gdyby się zjednoczyli i naprawdę współpracowali.

Wiem jednak, że to dziecinne marzenie. Caersan, archont Nieugiętych, nigdy nie podzielił się tronem. Nigdy nie zaufa drugiej osobie na tyle, żeby uwierzyć, że kieruje nią coś innego niż żądza krwi i chciwość, jakie napędzają jego.

Mój ojciec jest szalony.

– Kal, tu Tyler, jak mnie słyszysz?

Dotykam słuchawki w uchu.

– Słyszę cię, bracie.

– Nadlatują następni, z wielu stron. Wiekuisty wysłała wszystkie statki. Powiedz Auri, że jeśli zdoła odeprzeć główne uderzenie, będziemy osłaniać jej tyły.

– Zrozumiałem. Ile potrzebujecie czasu do uruchomienia napędu ryftowego?

– Co najmniej trzydziestu minut. Ona i ten łajdak zdołają odpierać ich tak długo?

Patrzę na Aurorę i serce mi się zaciska na widok jej mocy, siły, jaką obdarowali ją Pradawni. Jednakże nawet kiedy moc w niej płonie i rozjaśnia jej tęczówkę niczym słońce, to widzę. Widzę drobniutkie pęknięcie rozprzestrzeniające się od oka i po jej skórze. Widzę, ile to ją kosztuje. Jak to ją boli. I co gorsza – tak jak zapowiedział mój ojciec – widzę, jak bardzo...

Jak bardzo ona się tym raduje.

– Powstrzymamy ich – odpowiadam.

– Przyjąłem – mówi Tyler. – Postaramy się zatrzymać tyłu z nich, ilu zdołamy.

Patrzę, jak gramoli się flota Wiekuistego – z pięćdziesiąt statków, bezładna mieszanina. Kiedy wylatują naprzeciw flocie Ra’haam, widzę rękę Tylera, który kieruje nimi jak dyrygent. Mój brat zawsze był mistrzem taktyki i wygląda na to, że lata wojny tylko udoskonaliły jego umiejętności. Jego statki tną szeregi, myśliwce atakują, pociski wybuchają, rozkwitają eksplozje.

Niestety jednostek Ra’haam’ jest bardzo wiele.

Czerń na zewnątrz płonie teraz: wybuchające statki, eksplodujące rdzenie, gotująca się żywica i krwawiące liście. Wróg wciąż napiera, jest go coraz więcej i więcej, wpada przez maleńkie zniekształcone rozdarcie w skórze systemu. W miejscu każdego zniszczonego statku pojawiają

się trzy kolejne, roją się jak chwasty – tak jak nazwali ich ludzie. I wtedy...

– ...Jie-Lin...

Głos rozlega się echem w otaczającym nas powietrzu. Drżenie przebiega przez ciało mojej be'shmai. Widzę, jak łapie powietrze, jej atak słabnie, wyczuwam zgrozę, smutek i gniew, które przepływają przez nią na ten dźwięk.

– ...Jie-Lin...

– Tato... – szepcze Aurora.

– ...Brakowało nam ciebie... – szepcze Ra'haam.

Znam ten głos. Oczywiście, że znam. To ojciec Aurory, człowiek, którego straciła dwieście lat temu, a potem straciła ponownie na rzecz Ra'haam. Jeden z pierwszych kolonistów na Octavii, jaki został włączony do kolektywu. Na swoisty potworny sposób nadal w nim żyje.

– ...Myśleliśmy, że cię utraciliśmy. Och, moje kochanie, nie potrafimy ci nawet powiedzieć, jak dobrze znowu cię poczuć...

– Be'shmai – szepczę, ściskając jej rękę.

– Wiem – odpowiada cicho. – To nie on.

– ...My jesteśmy nim. Jesteśmy wszystkim, czego dotknęliśmy. Betraskanami, Terranami, Syldranami i Rikeryjczykami. Chellerianami i grempami, Kacorami, Cajakami, Ayerfami i Sarborami. Rodzicami i dziećmi, przyjaciółmi i kochankami, bezgranicznie i wiecznie razem. Tu jest bezpiecznie, córko. Ciepło. To jest miłość...

Aurora drży, zgrzyta zębami. Za nami rozlega się głos mojego ojca, który szczerzy gniewnie zęby.

– Nie słuchaj, dziewczyno.

– Nie słucham.

– To chce cię zdekoncentrować.

– Wiem!

– ...Nie wiesz. Nie możesz. Nie chcemy, żebyś umarła, córko. Wiesz, ile to cię będzie kosztować, prawda? Ostatecznie...?

– Głupia – mówi mój ojciec. – Odetnij ich. Nie słuchaj!

– Ojczce, nie pomagasz! – krzyczę.

– ...Nawet jeśli zatriumfujesz w tej bitwie, nie zdołasz wygrać, czeka cię...

Serce mi się zaciska, kiedy Aurorze zaczyna płynąć krew z nosa. Kiedy małe pęknięcia w jej skórze stają się odrobinę szersze. Wiem, że Ra'haam mówi prawdę.

– ...Czeka cię tylko śmierć...

Nasze obrony słabną. Wróg ma zbyt wielką przewagę liczebną. Statki Tylera kluczą w czerni. Wybuchy rozpalają noc. Mój ojciec krzywi twarz z wściekłości, zaciska palce. Jednak fioletowa krew kapie mu z nosa, ciemne światło sączy się przez szpary.

– Tyler, ile jeszcze? – pytam ostro.

– Dziesięć minut! Może mniej!

– Nie damy rady ich zatrzymać!

Najbliższe statki Ra'haam otwierają ogień zaporowy. Kompletnie ignoruje Wiekuistego i skupia się tylko na *Neridai*, Broni stworzonej do zabicia go, z Zapalnikami, które miały ją uruchomić.

Zrozpaczony patrzę na ojca, na Aurorę. Ich twarze są mokre od krwi, oczy spowite cieniem, ale nadal atakują – potężna fala wyrzuca pociski we wroga. Niestety następne statki nadlatują niekończącą się falą. Serce zamiera mi w piersi.

– Tyler, co się dzieje?!

– Napęd ryftowy został uruchomiony, ale Wędrowcy muszą napęłnić kryształy mocą!

– Kal... – szepcze Aurora.

– Tyler, nie zdołamy dłużej ich odpierać! – wrzeszczę.

– Kal!

Patrzę Aurorze w oczy i widzę, jak rozbłyskuje w nich światło gwiazd. Ślania się na nogach, usta ma czerwone i błyszczące. Oczy jej płoną. Rozpoznaję w niej kalejdoskop emocji: radość, delirium, zaciekle

upojenie walką. Wyciąga rękę w stronę Wiekuistego i prąd skrzy się w jej palcach. Jest w niej moc małego boga.

– Dam radę.

Patrzę na Statko-Świat i kręcę głową.

– Nie, be'shmai, zrobisz sobie...

Ściska mi dłoń.

– Dam radę, Kal.

Patrzę na bitwę, na zalewające nas zainfekowane statki, rozkwitający ogień sunący między gwiazdami. Obejmuję ją, przyciskam usta do jej warg, czując smak krwi.

– Jestem z tobą.

Ojciec przecina powietrze ręką, roztrzaskując statki. Aurora wyciąga palce w stronę Wiekuistego i cała Galaktyka wydaje się trząść. Wyczuwam rozbłysk mocy wokół nas, mrowienie na skórze. Cały statek się trzęsie, ściany wibrują dziwną, fałszywą nutą, kiedy moc płynie do serca Statko-Świata i kawałki kryształu Eshvarenów płoną w nim osłepiającym światłem.

– Co jest, do diabła?! – ryczy Tyler.

Prawa tęczęwka Aurory płonie takim samym światłem, które przesącza się teraz przez szczeliny wokół jej oka. Be'shmai drży w moich objęciach. Odwracam się do ojca i przekrzykuję tę piękną i okropną pieśń:

– Ojcze, pomóż jej!

Wróg zbliża się, wciąż nadciąga chmara. Głód, pragnienie i śmierć. Światło w Statko-Świecie znowu rozbłyskuje, bezbarwne rozdarcie otwiera się w skórze kosmosu. Krew zalewa usta Aurory, serce mi się zaciska gdy widzę, jak krzywi je w uśmiechu.

– Tak – szepcze. – O, tak.

– Jest! – krzyczy Tyler. – Brama Fałdowa jest otwarta! Wszystkie jednostki, odwrót! Odwrót!

Z ostatnim zaciekłym ruchem ręki ojciec odwraca się od rzezi i sięga do statku, który nas otacza. Słyszę, że zmienia się melodia *Neridai*, ogar-

nia mnie zawrót głowy, kiedy zaczynamy się ruszać, a czerń wokół nas płonie. Trzymam Aurorę, jakbym ratował ją przed utonięciem, gdy spadamy przez migotliwą Bramę Fałdową.

Ryft ciska nami przez rozległą czeluść przestrzeni, wrzaskliwą i rozmazaną. Wyczuwam popiół w powietrzu, czuję, jak moje ciało się rozciąga, przestrzeń wokół mnie się zwija, moc śpiewa na zakrwawionych, drżących opuszkach, tęcze stają się czarno-białe i znowu odzyskują pełną chwałę barw.

A potem w kolejnym niemożliwym rozbłysku światła wszystko się kończy.

Jesteśmy bezpieczni.

Trzymam Aurorę w ramionach, podtrzymuję w pionie. Powieki jej ciążą, trzepoczą, jakby spała. Podbródek ma lepki od krwi.

– Auroro? – pytam. – Słyszysz mnie?

Przyciskam rękę do jej policzka błagalnie.

– Auroro!

– Dobra robota, Terranko – rozlega się zachrypnięty głos. – Jestem prawie pod wrażeniem.

Oglądam się przez ramię na cień za sobą. Mój ojciec siedzi na tronie, peleryna spływa po schodach jak szkarłatny wodospad. Oczy ma podkrążone, podbródek umazany błędym fioletem, gdy starł z niego krew. Widzę, że szczeliny w jego twarzy są głębsze. Garbi się nieco. To ledwie najdrobniejsze ślady jego wysiłku. Jednak to, że w ogóle widać po nim osłabienie, mówi mi, że musiał potwornie cierpieć.

Jak wiele oboje ich to kosztuje.

– Dobrze się czujesz? – pytam.

Pociera czoło i się krzywi.

– Nie sądziłem, że się przejmujesz, Kaliisie.

– Oczywiście, że się przejmuję – warczę. – Bez ciebie nigdy nie wrócimy do domu. Nigdy nie pokonamy Ra’haam.

– Zwycięstwo za wszelką cenę.

Patrzy na mnie i oczy mu błyszczą, gdy się uśmiecha.

– Cały mój syn.

– K-Kal?

Odwracam się na dźwięk szeptu Aurory i ściskam ją mocno. Włosy opadły jej na twarz zasłoną z czerni i bieli przemoczonych lepką czerwienią. Odgarniam je i przyciskam usta do jej czoła. Zapiera mi dech, gdy widzę krew na jej ustach, podbródku, w zagłębieniach uszu.

– Auroro...

– J-jesteśmy... b-bezpieczni?

– Tak. – Przesuwam kciukiem po jej wargach, delikatnie wycierając krew. – Jesteśmy bezpieczni, be'shmai. Udało ci się. Naprawdę się udało.

– Och – wzdycha. – To dobrze...

Mruga, rozglądając się po błyszczącym kryształce.

Krew ciurka jej z uszu.

A potem mdleje w moich objęciach.

CZĘŚĆ 3

KRZYK POŚRÓD NOCY

Przyznaję, że zadałem sobie bardzo dużo trudu tylko po to, żeby po prostu zadzwonić.

Potrzebowałem dwóch dni bez przerwy podróży przez Fałdę, żeby dotrzeć do Bramy Aurory przed rozpoczęciem Galaktycznego Szczytu i w efekcie mózg mi odrobinę sfajczyło. Nie tak bardzo jak członkom drużyny 303, która spędziła ostatnie czterdzieści osiem godzin w zaspawanym areszcie. Tak czy inaczej, mój ból głowy to nie przelewki.

Próbowałem przedstawić swoją wersję wydarzeń Cohen i jej towarzyszom, kiedy podsuwałem im rację przez małą klapkę w drzwiach, ale nie byli w nastroju do słuchania. Plus tego jest taki, że nauczyłem się paru nowych syldrańskich obelg. Przydadzą się, jeśli znowu natknę się na przybocznego Saedii, Eriena.

Ochrona wokół bramy do układu Aurory jest równie ścisła, jak się spodziewałem. Kiedy Galaktyka znalazła się o krok od wybuchu kilkunastu wojen naraz i reprezentanci wszelkich rozumnych ras z okolicy przybywali na szczyt, naprawdę nie miałem najmniejszej nadziei na to, że przemknę niezauważony.

Teraz, dzięki Cohen, nie muszę.

– Kody przyjęte, tożsamość potwierdzona, drużyno 303 – nadchodzi odpowiedź przez system łączności. – Masz pozwolenie na lądowanie w hangarze Omega, lądowisko 7420.

– Przyjąłem – odpowiadam. – 7420. Na samym zapyziałym końcu, co?

- Aha, przykro mi, 303. Zalały nas statki cywilów. W dodatku minie trochę czasu, zanim wasz statek zostanie wyposażony i zatankowany. Co najmniej czterdzieści godzin. Odmeldujcie się u swojego dowódcy pokładowego.

- Zrozumiano. - Uśmiecham się. - Miłego dnia. 303 bez odbioru.
Doskonale.

Właściwie to jest lepiej, niż miałem nadzieję. Główne hangary są pełne statków z rządowymi wysłannikami. Kiedy na stacji panuje taki ruch, mając kody Cohen, zdołam prześlizgnąć się nie zauważony, zalogować się do sieci zaraz po wylądowaniu i ostrzec admirała Adamsa. Zostanie mi jeszcze sporo czasu w zapasie.

W każdym razie... taki jest plan.

Patrzę na lśniące srebrne iglice stacji Aurora, podziwiając flotę, jaka się za nią zebrała. Statki piękne i eleganckie, ciężkie i ogromne, setki różnych modeli, a wszystkie suną przez ciemność, jakby tańczyły. Zawsze kochałem statki kosmiczne i nie mogę powstrzymać uśmiechu na ten widok. Jednak żołądek mi się zaciska, kiedy widzę grupę znajomych kształtów na tle gwiazdy nazwanej Aurora - to lotniskowiec klasy Kosiarz otoczony przez pół tuzina ciężkich niszczycieli.

Delegacja z Ziemi. Najprawdopodobniej sama premier Ilyasova sumiennie eskortowana przez Terrańskie Siły Obronne.

Na ich widok czuję się więcej niż trochę przybity. Mój ojciec poświęcił życie, żeby chronić naszą planetę, najpierw jako członek TSO, a potem w Terrańskim Senacie. Wstąpiłem do Legionu Aurory, bo chciałem poświęcić życie dla tej samej sprawy. A teraz mój własny rząd uważa mnie za zdrajcę.

Myśl, że zastrzelono by mnie bez ostrzeżenia, napędza mi usta goryczą.

Wprowadzam Łuk do hangaru, sunę przez powolny balet innych statków Legionu, obcych jednostek, ładowarek, dronów ochrony, autodźwigów, śmigaczy. Nawet tak daleko od głównych hangarów jest tu

prawdziwy dom wariatów. W życiu nie widziałem podobnego ruchu. Prawdę mówiąc, nawigacja okazuje się trochę zawikłana.

Szkoda, że nie ma tu Cat...

Nagle dociera do mnie, że ostatni raz widziałem tę stację, kiedy wylecieliśmy na naszą pierwszą misję. Cała nasza grupa. Drużyna 312 na zawsze. Teraz mam wrażenie, że to się działo wieki temu. Tak daleko stąd. Odsuwam jednak myśli o przyjaciółach, o siostrze, o wszystkim, co straciłem. Skupiam się na tym, co muszę zrobić. Bo Stwórca jeden wie, że tego właśnie oczekiwali ode mnie.

Wszyscy wiele poświęcili – wszystko właściwie – żebym dotarł tak daleko. I teraz ich nie zawiodę.

Mój Łuk dociera na lądowisko, przewody startowe i klamry cumownicze wysuwają się ze śluz, żeby zabezpieczyć statek. Okablowanie strukturalne podcina się do systemu komputerowego Łuku, ściągając dane z podróży i dziennik pokładowy. Mam na swoim koncie czterdzieści osiem godzin w Fałdzie, kilka napaści na legionistów z pozbawieniem ich wolności, sprzeniewierzenie zasobów Legionu oraz coś, co bez wątplenia kwalifikuje się jako galaktyczne piractwo, i teraz wreszcie podpiąłem się do sieci stacji.

Tak jak już powiedziałem: tyle starań dla jednego telefonu.

Ale za to teraz już jestem piratem.

Brakuje mi tylko papugi.

Znam prywatny numer do admirała na pamięć. Można się z nim połączyć tylko przez sieć Legionu Aurory na pokładzie stacji. Jest przeznaczony dla dowódców wyższej rangi i jego najbliższych przyjaciół w Legionie. A także dla syna jego przyjaciela, chłopca, dla którego był mentorem przez wszystkie lata, jakie spędził w akademii.

Musiałem dzwonić do niego z tysiąc razy z prośbą o radę, ze sprawozdaniem, żeby umówić się na partię szachów. On i mój tata razem służyli w TSO; admirał czuwał nade mną tak, jak życzyłby sobie tego mój ojciec. I jakimś cudem, z jakiegoś powodu, to on właśnie postawił mnie na tej ścieżce, to on umieścił Aurorę O'Malley na moim statku, to on

zostawił podarki dla nas w skarbcu Dominium w Szmaragdowym Mieście.

Ręce nadal mi się trzęsą, kiedy wybieram numer w systemie łączności stacji. Wpatruję się w swoje odbicie w szybach monitorów. Adams i de Stoy musieli coś wiedzieć na temat Ra'haam, Eshvarenów, tego wszystkiego. W pewnych chwilach wydawało się wręcz, że wiedzieli, co się wydarzy, zanim w ogóle do tego doszło. A jednak – jeśli moja wizja ukazuje prawdę – z jakiegoś powodu nie wiedzą, że Ra'haam planuje wysadzić akademię i cały Galaktyczny Konwent na jej pokładzie.

W końcu nawiązuję połączenie video. Serce bije mi mocniej, kiedy twarz admirała pojawia się na ekranie – mocna szczęka, poblížnione policzki, szpakowate, bardzo krótko przycięte włosy.

– Admirale...

– „Łączysz się z prywatnym numerem Sepha Adamsa. Niestety nie mogę teraz rozmawiać. Proszę, zostaw wiadomość, a ja skontaktuję się jak najszybciej”.

Szczęk.

Twarz znika.

Ekran ciemnieje.

Mrugam zaskoczony.

– Jaja sobie robicie...

Wpatruję się w ekran i rozbłyskujące pytanie, brzmiące: „Chcesz Zostawić wiadomość?”.

– Nie. – Wstaję. Podnoszę głos. – Nie, jaja sobie ze mnie robicie! – Przeczesuję dłonią włosy, moja cierpliwość rozpada się na milion błyszczących odłamków. – Uciekłem z więzienia GAW, zostałem ranny nożem, pobity i przeżuty w areszcie Niezlomnych jak stary kapeć, udało mi się ich przekonać, żeby mnie wypuścili, załatwiłem całą drużynę Legionistów Aurory, ukradłem im statek, wlokłem swój tyłek przez pół sektora, ryzykując aresztowanie i egzekucję bez sądu, a w zamian łączę się z automatyczną sekretarką?

Chcesz Zostawić wiadomość? – dopytuje się komputer.

– Nie ogarniam tego! – ryczę. – Skąd mógł pan wiedzieć, admirale, że trzeba nam zostawić Zero? Że trzeba wysłać nam zaszyfrowaną wiadomość? Skąd mógł pan wiedzieć, że Kal zostanie postrzelony, że ja zostanę zamknięty, że Cat nie opuści Octavii, i jednocześnie nie wiedzieć, że powinien pan ODEBRAĆ SWÓJ CHOLERNY UNIKRON?!

Ja nie przeklinam. Uważam to za oznakę braku samokontroli. Scar zwykła mówić, że przeklinanie to naturalny odruch i dowiedziono, że w ten sposób obniża się poziom stresu i zwiększa poziom dopaminy. Jeśli jednak masz coś ważnego do powiedzenia, to warto dać sobie chwilę na wypowiedzenie tego bez uciekania się do języka, jaki słyszy się w szalecie. Mógłbym zliczyć na palcach jednej dłoni wszystkie okazy, kiedy wypowiedziałem brzydkie słowo.

– Kurwa – mówię.

Komputer pobrzękuje.

– Kurwa – powtarzam głośniej.

Chcesz Zostawić wiadomość?

– Ożeż kurwa! – wrzeszczę, wymachując pięścią. – Kurwa! Kurwa!
KUUUUURWAAA!

Kucam i ciężko wzdycham.

– W porządku – przyznaję. – Rzeczywiście czuję się odrobinę lepiej.
Ale niewiele.

Adams jest pewnie zawalony robotą – odzywa się cichutki głosik w mojej głowie. To współdowódca pokojowych sił kosmicznych, który próbuje uratować Galaktykę przed pogrążeniem się w tuzinie różnych wojen naraz. To wieczór przed spotkaniem na szczycie. Nie będzie miał czasu na złapanie oddechu, nie wspominając o odbieraniu prywatnych połączeń.

Pewnie nawet nie ma przy sobie unikronu.

I wtedy znowu to widzę. Obraz jest jak drzazga w moim umyśle, która za każdym razem bardziej się zagłębia. Wizja wybuchającej akade-

mii, rozerwanej od środka. Cień, który się zza niej wynurza. Głos na skraju słyszalności, który prosi, błaga.

„...możesz...”

– „...to naprawić, Tyler” – warczę, krzywiąc się z bólu. – Tak, już to wiem!

Zatem na tym stanęło.

Po całej drodze, jaką przebyłem. Po tym, jak wielkie ryzyko podjąłem. Stoję na mecie i nie mogę ostrzec nawet własnej ekipy przed tym, co nadciąga.

Moja drużyna przepadła, nie mam kontaktu z dowództwem stacji, mam status gościa, do którego można strzelać bez ostrzeżenia zarówno wśród członków sił terrańskich, jak i Legionu, a Ra'haam w jakiś sposób wysadzi stację i wszystkich, którzy na niej przebywają.

I nikt inny poza mną nie może temu zapobiec.

Wsuwam nowe racje przez okienko w drzwiach celi aresztu, nie zważając na protesty Cohen i przysięgi de Renna, że wyrwie mi kręgosłup przez... Dobra, nie będę wchodził w szczegóły, ale zapowiada się to dość boleśnie.

Nasuwam czapkę Legionu Aurory nisko na oczy, podnoszę kołnierzyk kurtki od munduru i modlę się pod nosem. Pistolet pulsacyjny schowałem w spodniach, ostrze od Saedii mam przymocowane do nadgarstka.

Mysł, że jestem tu całkiem sam, ciąży mi w piersi jak kamień.

Świadomość, że trenowałem latami przed nadejściem tej chwili, sprawia, że kręgosłup mam jak z żelaza.

A wspomnienie snu i wznoszącego się cienia...

– Ruchy, legionisto!

* * *

Najbardziej elementarna zasada taktyczna: wiedza to siła.

Nie mam pojęcia, co Ra'haam zaplanował, a doprowadzić do eksplozji można na wiele sposobów, jeśli ma się agenta na stacji.

Jednakże z wizji, która wciąż pojawia się w mojej głowie, wiem, że do eksplozji dochodzi wewnątrz Akademii Aurora – płomień buchają jak ognisty kwiat i pochłaniają wszystko wokół stacji.

Początek Galaktycznego Szczytu zaplanowano na jutro, na dziewiątą rano lokalnego czasu. Teraz jest 15:57, więc czas mnie nagli z trzech różnych powodów.

Jeśli wszystko pójdzie dobrze, mam czterdzieści godzin, zanim personel techniczny znajdzie Cohen i spółkę upchanych w areszcie i podniesie z tego powodu alarm.

Gorzej, że nie wiem, za ile godzin ktoś zauważy, że Cohen nie odmeldowała się u swojego dowódcy pokładowego. Może jej przełożeni będą przez pewien czas zbyt zajęci, żeby coś zauważyć. Może przymkną nieco oko, bo zwykle Cohen jest wzorowym legionistą. A może właśnie z tego powodu zauważą, że coś jest nie tak.

Bez względu na to, mam siedemnaście godzin i trzy minuty do rozpoczęcia się szczytu. Zatem czas brać się do roboty.

Na ile znam się na politykach (w skali galaktycznej czy jakiegokolwiek innej), to wieczór przed rozpoczęciem pracy spędzą pewnie w barze.

Wygląda na to, że potrzebuję się czegoś napić.

Wymykam się z ładowni Łuku i włączam się do tłumu pieszych – to dokerzy, ekipy techniczne, garstka legionistów wracających z wyznaczonych zadań. Pokonuję pierwsze dwa punkty kontrolne bez większych dramatów. Kombinezon lotniczy Rioliego trochę ciśnie mnie w kroczo (nie żebym się przechwalał), ale przypominam go na tyle, że wystarczyło machnąć jego kartą identyfikacyjną, żeby zdać egzamin u przeprowadzanych patroli ochrony.

To dziecinada. Kiedy już przejdę dekontaminację i zaczną się wykrywać metale i bramki biometryczne, analizujące rysy twarzy, skanujące siatkówkę i sprawdzające DNA, będę miał przesrane.

Na szczęście Catherine Brannock znana jako Zero była moim najlepszym kumplem.

Przydomek „Zero” nadano jej z racji idealnego wyniku na egzaminie klasyfikującym na pilota – symulatory nie zaliczyły ani jednego trafienia w jej statek. Cat została mistrzynią za sterami Łuku między innymi dzięki dodatkowym, kradzionym godzinom lotów.

Widzicie, ja znałem przepisy obowiązujące w Legionie na wylot, za to Cat znała stację jak własną kieszeń.

Ja, ona i Scar chodziliśmy razem do szkoły na Terrze przez pięć lat – trójka zasmarkanych bachorów z wojskowych rodzin. Pierwszego dnia w przedszkolu Cat roztrzaskała krzesło na mojej głowie za to, że ją pchnąłem. Od tego czasu mam ładniutką, małą bliznę na brwi. Kiedy jednak jej starzy rozwiedli się, jej matkę wysłano na Księżycową Stację Obrony i Cat przeprowadziła się razem z nią. Dorastała na pokładach stacji i poznała je na wylot. Kiedy więc wszyscy skończyliśmy trzynaście lat i wstąpiliśmy do Legionu, Cat dopilnowała, żeby poznać i tę stację.

Miała zwyczaj wymykać się po godzinach na dół, przygotowywała sobie fałszywy plan lotu, podprowadzała jednego ze starszych Łuków i zaliczała kolejne godziny za sterami, latając tak blisko kadłuba stacji, że LiDARy jej nie wykrywały. Powtarzałem, że musiała zwariować, żeby to robić, przecież zawsze mogła ćwiczyć na symulatorach, a gdyby ją przyłapano, z pewnością zostałaby wydalona.

„Latanie na symulatorze to jedno, a tańczenie w ciemności to co innego” – zwykła mi odpowiadać. – „A kiedy moje piruety uratują ci tyłek, Jones, to podziękujesz mi za te godziny”.

I dokładnie to robię. Szeptem dziękuję przyjaciółce, kiedy wymykam się ze ścisku w głównym przejściu i przemykam między pomocniczymi składowiskami paliwa, czołgam się na brzuchu pod zbiornikami i wślizguję się do posiłkowych przewodów wentylacyjnych.

Żałuję jak diabli, że nie ma jej tu ze mną.

Potrzebuję pięciu godzin, żeby pokonać system wentylacyjny – nie znam drogi nawet w przybliżeniu tak dobrze, jak Cat, a stacja Aurora

jest naprawdę ogromna. Oświecłam sobie jednak drogę unikronem Riolięgo i powoli pokonuję labirynt wlotów i krzyżówek. Metal jarzy się w słabym blasku ekranu. Wreszcie trafiam do wnętrza poziomów rekreacyjnych stacji.

Wyczołguję się z przewodu, zdejmuję kombinezon lotniczy, bo cały jestem uwalany w kurzu i brudzie – naprawdę powinni częściej wpuszczać drony sprząające do szybów. Na szczęście mundur Riolięgo pod spodem jest zasadniczo czysty.

Dziwnie się czuję z białymi paskami Asa Legionu na ramionach, ale przynajmniej znajdują się teraz poza strefą dekontaminacji i nigdzie tutaj ochrona nie powinna być szczególnie ścisła. Zachowując się, jakbym był u siebie, maszeruję jasnymi korytarzami, mijam paru pracowników technicznych i młodszych kadetów, a potem wychodzę na główną promenadę Akademii Aurora.

Powiem szczerze: na ten widok zawsze zapiera mi dech w piersi.

Promenada ciągnie się przede mną – to długi łuk z wypolerowanego, lśniącego chromu i białej plastali. Jest dosłownie zapchana ludźmi – tłumami kadetów i legionistów przemieszanych z oficjalnymi członkami delegacji planetarnych, dziennikarzami, mającymi relacjonować przebieg szczytu, i zwykłym zatrzęsieniem personelu, instruktorów i innych pracowników.

Kolumny wznoszą się w niebo nade mną, sama promenada zakręca w oddali, po lewej ciągną się witryny sklepów dzielnicy handlowej, a po prawej chłodne błękity i zielenie arboretum.

Sufit nad nami jest przezroczysty, a ponieważ stacja jest przechylona pod kątem, widać płonąca gwiazdę – Aurorę – i miriady gwiazd za nią, majestaty Drogi Mlecznej w całej jej chwale. A w samym sercu promenady wznoszą się posągi dwóch osób, które to wszystko uczyniły możliwym.

Założycielki Legionu Aurory.

Jedną postać wykuto w olśniewająco białym marmurze wydobytym z jednego z ostatnich kamieniołomów na Terrze. Druga jest z litego czar-

nego opalu z opalizującymi we wszystkich kolorach tęczy żyłkami, który przywieziono aż z Traska.

Ich twarze są pogodne, mądre. Dwie kobiety: Betraskanka i Ter-ranka, nieprzyjaciółki w czasach wojny, które wzniosły się ponad róż-nice dzielące nasze ludy, żeby wykuć coś większego od obu stron wzię-tych osobno. Sojusz najlepszych i najbystrzejszych w Galaktyce. Legion, który walczy o pokój, nazwany na cześć gwiazdy, wokół której krąży zbudowana przez Założycielki akademia.

Nawet tu, w akademii, nie uczą nas ich nazwisk. Założycielki kazały usunąć informacje o swojej tożsamości ze wszystkich oficjalnych zapi-sków, bo nie chciały, żeby ich własna legenda przesłoniła legendę tego, co tu zbudowały.

Nie chodziło o to, kim były, tak jak i teraz nie chodzi tu o żadnego pojedynczego legionistę czy nawet dowódcę. Chodzi o to, kim jesteśmy razem, jako całość. Co sobą reprezentujemy.

Na cokole pod nimi wycięto w kamieniu mantrę Założycielek. Obiet-nicę, jaką złożyły Galaktyce. Słowa, zgodnie z którymi żyłem przez całe życie.

Jesteśmy Legionem

Jesteśmy światłem

Płonącym jasno pośród nocy

Kiedy tak stoję tutaj, sam widok Założycielek napędza mi pierś cie-plem. A gdy rozglądam się po otaczającej mnie stacji, po ludziach, któ-ry przybyli tu ze wszystkich krańców Galaktyki, by walczyć o coś wię-cej, i którym właśnie grozi atak ze strony wroga, jakiego nawet nie są w stanie dostrzec, szepciem składam obietnicę:

– Nie zawiodę was.

Trzymam się obrzeży tłumu, czapkę mam nisko nasuniętą na oczy – w końcu nie jestem tu obcy i jeśli choćby jeden kadet albo legionista mnie spostrzeże, lub jakiś żołnierz TSO rozpozna mnie z wiadomości, to już po mnie.

Szczerze mówiąc, nie jestem nawet pewien, czego szukam, jak mam spostrzec zagrożenie, które widziałem w snach. Czuję jednak wizję w sobie, jak na mnie napiera. To ona mnie tu ściągnęła i płonie jak światło w ciemności. Saedii powiedziała mi, że postępuję jak głupiec, wracając tu, i przelotnie ból przeszywa mi serce na jej wspomnienie. Na myśl, że pewnie nigdy więcej jej nie zobaczę...

Skup się na zadaniu, Jones.

Sunę do arboretum, obserwując tłum. Tutejsze drzewa zebrano z najróżniejszych zakątków Drogi Mlecznej. Woda ciurka delikatnie na kryształowce z Ishtarr, na szeptowce z Syldry, na pierzaste liście i kwiaty wszelkiej barwy z każdego świata. Jednak tęcza kolorów tylko przypomina mi o moim śnie, o pękającym wokół mnie kryształ, o cieniu przesączającym się przez szczeliny jak czarna krew. Wbrew wszystkiemu mam nadzieję, gdy ponownie wybieram numer unikronu Adamsa i przeklinam cicho pod nosem, gdy znowu słyszę nagraną wiadomość:

– „Łączysz się z prywatnym numerem Sepha Adamsa. Niestety...”.

Szczęk.

Mam po prostu zostawić wiadomość?

A skąd mam wiedzieć, że w ogóle ją odbierze?

Czy naprawdę mogę powierzyć losy całej Galaktyki automatycznej sekretarce?

– No proszę, czyż nie jesteś naprawdę roślą kaskiem rodem z Terry?

Zerkam z ukosa na źródło głosu. Góruje nade mną Chellerianin, który trzyma po jednym drinku we wszystkich czterech rękach. Jego garnitur ma głęboki chabrowy odcień, który podkreśla jaśniejszy błękit skóry. Jego rekini uśmiech należałoby opisać słowem „olśniewający”.

– Witam – mówi przeciągle, rozkoszując się słowem, jakby miało smak gorącej czekolady. – Jak się nazywasz, legionisto?

– Nie jestem legionistą, tylko piratem, i bez urazy, ale w tej chwili jestem trochę zajęty.

– Nie uraziłeś mnie – mruczy, taksując mnie wzrokiem. – Wybacz, jeśli zawracam ci głowę. Zastanawiałem się tylko, czy te dołączki to standardowe wyposażenie w Legionie.

– Nie – odpowiadam, rozglądając się po tłumie. – Trzeba dostać specjalną licencję i przejść trzyletni trening, żeby uzyskać kwalifikacje wymagane do ich użycia.

– Ależ z ciebie harda sztuka – rzuca z przekąsem Chellerianin, obracając nóżkę jednego z kieliszków.

– Powinieneś poznać moją siostrę – mrużę pod nosem.

– Z ogromną przyjemnością. O ile tak wolisz. Myślałem, że Terranie mają awersję do tego typu układów. – Odyma usta, przyglądając się musującemu zielonemu płynowi w trzeciej ręce. – Powiedz, czy to będzie zbyt śmiało, jeśli zaproponuję ci drinka? Mam ich całkiem sporo i nie jestem nawet pewien, z czego jest ten konkretnie.

– Posłuchaj, przyjacielu, nie chcę...

Urywam, kiedy przyglądam mu się nieco uważniej. Jego głos brzmi znajomo. A twarz wydaje się jeszcze bardziej znajoma. Jego garnitur wygląda na rzecz wartą tyle, ile wynosi produkt krajowy brutto małego księżycy.

– Ja cię znam...

– Nie tak dobrze, jakbym sobie tego życzył. – Podsuwa mi kieliszek. – Ale możemy na to zara...

– Jesteś prezydentem wiadomości – dociera do mnie. – Pracujesz dla GNN.

– Przyznaję się bez bicia. – Uśmiecha się i wskazuje akredytację korespondenta obok apaszki, a potem mały oddział asystentów i obsługi technicznej za jego plecami. – Lyrann Balkarri, do twoich usług. Mam nadzieję.

– Relacjonowałeś potyczkę w sektorze Colaris.

– Żadna tam potyczka, złociutki. – Chellerianin odyma usta. – Ten bałagan może zakończyć się ponownym wybuchem wojny między Chel-

lerianami i Rigelczykami. Chociaż pochlebia mi, że widziałeś tę relację. Nasze notowania spadły na łeb na szyję po napadzie hysterii archonta Caersana.

Przyglądam się mu nieco uważniej. Widzę matowy czarny guzik mikrofonu wpięty w klapę marynarki. Błysk minikamery w górnym guziku.

– Czekaj no... Nie nagrywasz tego, co?

Uśmiecha się nieco szerzej.

– Nigdy bez zgody drugiej strony, kochanie.

– Co robisz na stacji Aurora?

– Poza tym, że pławię się w niezmiernym blasku twoich dołączków? Relacjonuję przebieg spotkania na szczycie. – Lyrann wypija łyżeczek z kieliszka z pianistą czerwienią, krzywi się i oddaje go asystentce. – Luddia, słonko, wylej to przez służbę, dobrze? I każ w moim imieniu wybatożyć chłopaka, który mi to podał.

– „Szanowni reprezentanci”.

Tłum cichnie. Odwracam się w kierunku głosu. Serce podchodzi mi gardła. Potężny hologram jest wyświetlany w powietrzu nad arboretum, strzelista postać mężczyzny z cybernetycznymi rękami i w galowym mundurze z tuzinem medali i gwiazdą Legionu Aurory.

– Admirał Adams – szepczę.

– „Prześwietni goście” – mówi dalej. – „Legioniści. W imieniu nadkomendantki klanów Danil de Verra de Stoy i moim własnym witamy was na stacji Aurora”.

Kamera pokazuje teraz stojącą obok Adamsa współdowódczynię Legionu. De Stoy ma ponurą twarz, włosy nosi ściągnięte w surowy kucyk. Jednak jej mundur lśni od medali, a głos brzmi równie władczo, jak prezentuje się ona sama.

– „Wiele lat temu, w czasach wojny, Założycielki naszego Legionu ukuły sojusz, który przetrwał stulecia” – zaczyna. – „Mam ogromną nadzieję, że nawet w tych mrocznych czasach rasy całej Galaktyki zdo-

lają ponownie się zjednoczyć i zapalić światło, które rozproszy cień, jaki rozrasta się między naszymi gwiazdami”.

Żołądek zaciska mi się nieco, gdy zwracam uwagę na dobór jej słów.

Cień.

Rosnący.

– „Ostatni uczestnicy zjawiają się tego wieczoru” – dodaje Adams. – „Jutro rano, przed rozpoczęciem szczytu, nadkomendantka de Stoy oraz ja wygłosimy mowę dotyczącą kwestii, która martwi wszystkich na tej stacji, a tak naprawdę w całej naszej Galaktyce”. – Uśmiecha się ponuro. – „Nalegam, aby członkowie prasy biorący udział w szczycie nie zaspali. A na razie pragnę wyrazić naszą wdzięczność za to, że wszyscy zjawiliście się, w szczególności konsulom nadzwyczajnym Mariun de Roy i Gense de Lin z betraskańskiej koalicji klanów oraz premier Tanii Ilyasovej z rządu terrańskiego”.

Kamera pokazuje betraskańskich konsulów stojących w otoczeniu swojej świty. Kłaniają się w odpowiedzi na oklaski. Potem widzimy delegatów z Terry, premier Ilyasova uśmiecha się i kiwa głową w podziękowaniu; jej siwe włosy lśnią w mocnym świetle. Otaczają ją różni ministrowie, urzędnicy i asystenci. Jednak żołądek mi się zaciska na widok jej dalszej świty.

Powinienem był się domyślić...

Normalnie to Terrańskie Siły Obronne odpowiadałyby za zapewnienie premier ochronny i w świecie Ilyasovej nie brakuje żołnierzy TSO, ale wszędzie tam, gdzie w grę wchodzi bezpieczeństwo Ziemi, znajdują się też agenci Globalnej Agencji Wywiadowczej.

Stoją w świecie premier milcząca i nieruchomi. Noszą garnitury w grafitowym kolorze, są zasłonięci od stóp do głów, z twarzami schowanymi za lustrzanymi maskami w kształcie wydłużonych owali. Tyle że ja wiem, co się pod nimi czai.

Ra’haam już tu jest.

– Dobrze się czujesz, kochanie? – pyta Lyrann, dotykając mojej ręki.
– Masz niewyraźną minę.

Z trudem przetykam ślinę. Zaciskam zęby.

– Nic mi nie jest – udaje mi się wykrztusić.

To nieprawda.

Bo pośród agentów widzę znajomą postać. Maską zakrywa jej twarz, ale i tak wszędzie bym ją poznał. Ukryte pod opinającą się jak druga skóra nanotkaniną ciało, które kiedyś trzymałem w ramionach. Moja najlepsza przyjaciółka na świecie.

Widzę ją, jak przyglądała się, gdy torturowano mnie na *Kusanagim*. Widzę pleśń na jej języku i łzy wzbierające w oczach w kształcie kwiatów, gdy mnie błagała.

Tyler, nie odchodź.

Tyler, Kocham cię.

– Cat... – szepczę.

– W porządku, to powinno zadziałać.

Staram się mówić to z przekonaniem, kiedy tłoczmy się nad potrząskaną skorupą Magellana na stole, pochyleni nad nim jak lekarze nad pacjentem w stanie krytycznym. Mamy teraz całe laboratorium dla siebie – ekipie, która powinna tu pracować, właśnie udzielana jest pomoc medyczna z powodu otrzymanej dawki promieniowania. Pewnie sami właśnie zostajemy napromieniowani, ale już podczas następnej powtórki nic nam nie będzie, a mamy ważną sprawę do załatwienia.

Już połączyłem w sieć swój unikron, Zili i Scar, a teraz, zmówiwszy krótką modlitwę do Stwórcy i pobawiwszy się chwilę lutownicą, kończę moje arcydzieło prowizorki.

– Obwody kombinacyjne... – mruczy Zila z powątpiewaniem.

– Rety, wiem. Nari, podaj mi jeszcze jedno takie metalowe urządzenie, co się zakleszcza.

– Znaczą żabkę do papieru?

– Właśnie. Dlaczego tak to nazywacie?

– Bo... – Nari marszczy brwi, zdejmując spinacz z pliku dokumentów. – Właściwie to nie mam pojęcia.

– Bo wymyśliła je żaba? – sugeruje Scar.

– Macie żaby, które używają papieru? Właściwie mogę w to uwierzyć. W końcu próbowaliście kiedyś zbierać kwantowe... Auć!

Lekki wstrząs elektryczny przepływa mi przez palce egzoszkieletu. Gdyby najbardziej denerwujący w całej galaktyce unikron nie był pogrą-

żony w śpiączce cyfrowej, powiedziałbym, że zrobił to specjalnie.

Z cichym pomrukiem martwy unikron ożywa.

– Udało się!

Unoszę rękę i obracam się do Scarlett, która przybija ze mną piątkę, a potem zaciska palce wokół mojej dłoni i przyciąga mnie do pocałunku. O wiele, wiele przyjemniejszy szok elektryczny przepływa, kiedy nasze usta łączą się, i właśnie tak powinny kończyć się wszystkie przybijane...

– Cześć! Stęskniłem się za waszymi b-b-b-b-bużkami!

Przerywamy pocałunek, patrząc, jak przez cztery ekrany unikronów przebiegają linie zakłóceń i seria cyfrowych wzorów.

– To nie wygląda dobrze – mruczy Scar.

– Fakt, ale dysponuję tu tylko prymitywnym narzędziami. – Podnoszę wzrok na Nari. – Bez urazy, Ziemniaczko.

– Nie ma sprawy, białasie.

– Ej, kiedy wojna się skończy za dwadzieścia lat od tej chwili i Trask zostanie najbliższym sojusznikiem Terry, jak bardzo głupio będziesz się czuła w skali od jednego do dziesięciu?

– Nie będę miała nawet w połowie tak głupiej miny jak ty, kiedy mój but wyląduje...

– Dzieciaki. – Scarlett wzdycha. – Błagam.

– Nawet gdyby czas nie uciekał, nadal nie mielibyśmy go dość, żeby marnować na bezsensowną wrogość – wtrąca się Zila. – Wszyscy jesteśmy tu przyjaciółmi.

Kim krzywi się, patrząc na mnie, i niechętnie kiwa głową do Zili. A sposób, w jaki patrzy na Z, podpowiada mi, że chciałaby się trochę bardziej zaprzyjaźnić z naszym małym pokładowym geniuszem. Jednak tak jak powiedziała Zila: czas ucieka.

– Cześć, Magellanie – mówię, kiedy na ekranie przestają migać wzory procedury rozruchowej. – Miło znowu cię widzieć, staruszk. Mamy dla ciebie matematyczne zadanko.

- Cześć, bratku! Terrier incognita! Dalej już tylko smoki. Baret, Jeanne. Stark, Freya. Bird Walton, Nancy. Lista odkrywców jest niekompletna. Ktoś ma ciasteczko?

Lutuję go w jeszcze jednym miejscu.

- Magellanie! Czas nas goni, staruszkuzi, i musisz parę rzeczy policzyć, żeby uratować nasze tyłki.

- Zanim wąż połknie własny - mruczy Zila.

Cała aktywność na ekranie zamiera i przez ułamek sekundy myślę, że tylko pogorszyłem sprawę. Magellan rozbłyskuje i kilka stronicy zdecydowanie niestandardowego kodowania przepływa przez popękany ekran. Ekran mojego unikronu, Zili i Scar zaczynają rytmicznie pulsować światłem i słowo „Uroboros” pojawia się na wszystkich trzech, a potem rozpada się w chmurze jedynek i zer.

Scarlett marszczy brwi.

- Widzieliście to?

Magellan znowu brzęczy. Chłodne niebieskie światło zalewa jego powierzchnię. A potem z cichym, zadowolonym pomrukiem na ekranie pojawia się standardowe okno wyszukiwania.

- Czas goni, co? - szczebiocze unikron. - Czy to znaczy, że wreszcie wyłądownaliśmy z powrotem w 2177? Myślałem, że już nigdy tu nie trafimy!

Na chwilę zapada cisza, jeśli pominąć syki i trzaski dobiegające z otaczających nas stanowisk technicznych. Scarlett i ja patrzymy po sobie, wytrzeszczając oczy.

- Że już nigdy... co?! - udaje mi się wykrztusić.

- Magellanie, powtórz, proszę, ostatnie zdanie - mówi Zila.

- Ach, teraz to was interesuje, co mam do powiedzenia? - Magellan rozbłyskuje paskudnie. - Już macie dość tego powtarzającego się w kółko żarciku?

Zila marszczy brwi.

- Żarciku...?

– „Ej, zaraz rozbijecie się na tej planecie, może mógłbym pomóc?”. Magellan, tryb cichy! „Ej, nie jedzcie tego, to ma wartość odżywcza rigelskiej skarpetki”. Magellan, tryb cichy! „Auroro, nie dotykaj tego przedmiotu obcego pochodzenia, bo zaraz...”. Magellan, tryb cichy!

– Magellanie... – zaczyna Scarlett.

– Wszyscy wokół mnie to pączki z białka nafaszerowane buzującymi hormonami, podczas gdy ja mam IQ supergeniusza, ale nnnie, powrzeszczmy na unikron, bo to takie strasznie zabawne!

– Magellanie, bardzo nam przykro – mówi Scarlett.

– Ooo, nie wątpię.

– Nie wiedzieliśmy, że ranimy twoje uczucia – zapewnia go. – Nikt już nie będzie cię uciszał.

– Nie? Nie ma chętnych? Na pewno? A co ty na to, mądralo?

– Jestem pewien... – zapewniam go, łapiąc pierwszy lepszy klucz, jaki mam po ręką – ...że jeśli zaraz nie zaczniesz mówić, to cię zezłomuję.

– Dobrze, już dobrze! Po co te nerwy? – mruczy Magellan. – Jeśli mój protokół Uroborosa został uruchomiony, to i tak znaczy, że nie mamy na to czasu. – Strumień kodu przesuwa się po migoczącym ekranie. – Rety, moje czujniki całkiem się posypały. Jest tu porucznik Kim?

– Co, u diabła...? – mruczy Nari i patrzy na Magellana, jakby już uznała go za czarownicę i rozglądała się za podpałką. Kiedy dowiedziałem się o tym epizodzie w historii ludzkości, moi przyjaciele musieli się z tego gęsto tłumaczyć, ale teraz zaczynam rozumieć, jak mogło do czegoś podobnego dojść.

– Tak, Nari tu jest. – Zila zerka na porucznik. – Jednak powracając do bardziej palących kwestii: skąd wiedziałeś, że tu będzie?

– Ta informacja znajduje się w dokumencie z instrukcjami, który nadal jest częściowo zaszyfrowany i właśnie rozpakowuje się w moim procesorze. Wiem jednak, że porucznik Kim jest częścią planu.

Zastanawiam się gorączkowo, a Scarlett wpatruje się we mnie, jakby właśnie cała Galaktyka wywróciła się do góry nogami. Gardło tak mi się zaciska, że ledwie mówię.

– Jakiego planu?

– Planu uratowania całej Drogi Mlecznej, Mądralo! To wszystko było częścią planu. Każda chwila, jaką przeżyliście w ciągu ostatniego roku. Każda chwila, odkąd chrapanie kadeta Antona Björkmana nie dało zasnąć kadetowi Tylerowi Jonesowi w noc poprzedzającą Pobór. Każda chwila, odkąd kadet Jones dotarł do wyrzutni, gdzie podporucznik Lexington pozwoliła mu polecieć Fantomem do Fałdy wbrew przepisom Akademii Aurora. Każda chwila, odkąd wykrzył obecność Aurory Jie-Lin O'Malley i uratował ją ze szczątków Hadfielda.

Zapadła całkowita cisza.

– Halo? Mój moduł dźwiękowy szwankuje?

– Ty opowiadał mi o tym – mruczy Scarlett. – Że jego kupel z pokoju chrapał, chociaż zwykle tego nie robił. Powiedział mi o podporucznik, z którą flirtował, żeby móc polecieć do Fałdy bez oficera. Z perspektywy czasu uznał, że to było dziwne, ale...

– Ale to wszystko było częścią planu – mówi Magellan zawadiacko. – Tak samo jak to, że Tyler dał mnie Aurorze, która zakradła się na wasz Łuk. I ZERO, które czekało na was w Szmaragdowym Mieście. Szczerze mówiąc, dopilnowanie, żeby kuzyn Mądrali, Dariel, zobaczył plakaty ogłaszające wystawę zbiorów pana Bianchiego, stanowiło najtrudniejszą część planu. Jest z tych wolno myślących, co?

– Wszystko zaplanowano – powtarzam.

– Łącznie z depozytem w skarbcu Dominium i podarkami dla was wszystkich. Zostawiono je, zanim wstąpiliście do akademii.

– Dla wszystkich z wyjątkiem Cat – szepcze Scarlett, powoli marszcząc brwi. – Nie było prezentu dla Cat. Tylko statek nazwany na jej cześć. A teraz straciliśmy też Tylera. – Podnosi głos i ściska mi dłoń tak mocno, że to aż boli. – Przepadli, a ty mówisz, że to zaplanowano?

– No wiesz... – odpowiada Magellan. – przy tak skomplikowanym równaniu nikt nie jest w stanie zapanować nad wszystkimi zmiennymi. A nasza wiedza na temat wydarzeń sięgała tylko do określonego punktu na linii czasu. Jednak prowokowano określone wydarzenia zawsze, kiedy to było możliwe. Pomagano wam tak, jak się dało.

– Kto konkretnie nam pomagał? – pyta Zila, a ja podziwiam precyzję, z jaką się wypowiada, podczas gdy w moim mózgu tylko buchają fajerwerki.

– Admirał Adams i nadkomendantka klanów de Stoy.

– A kto ich poinformował?

– Wygląda na to, że rozkazy były przekazywane kolejnym dowódcom akademii z pokolenia na pokolenie, począwszy od Założycielek Legionu Aurory w 2214 roku. – Magellan rozbłyskuje, może właśnie odczytuje dane. Jego obwody brzęczą w sposób, który mi się nie podoba. – Z których jedna to była admirał Nari Kim.

W tym momencie nogi uginają się pod Nari. Pada na stołek laboratoryjny, który Zila podsuwa pod jej tyłek dosłownie w ostatniej milisekundzie.

– W porządku – szepcze Ziemiaczka. – W porządku, oświadczam wszem wobec, że tego jest już za dużo.

– Zgadza się – szepcze Scarlett. – Na oddech Stwórcy, to się zgadza.

– Tak? – pytam.

– Pamiętasz główną aulę na promenadzie Alfa w akademii? Te wielkie posągi?

– Założycielki... – szepcze Zila.

Scar podchodzi do poręcznika i wyciąga jedną rękę wysoko nad jej głowę.

– Wyobraźcie sobie, że jest z marmuru i starsza. No i ma ze sto metrów wzrostu.

Gapię się na Nari, coraz mocniej marszcząc czoło.

– Na klejnoty Stwórcy...

Scar odwraca się do Nari.

– Przechodziliśmy obok ciebie dosłownie dzień w dzień. Na naszą obronę dodam, że jesteś znacznie starsza. I masz na sobie galowy mundur Legionu i no wiesz, jesteś z kamienia. I naprawdę jesteś tak ogromna, że tak naprawdę to mijamy twoje stopy. Jednak, do diabła, dziewczyno, zafundowali ci prawdziwy pomnik.

Unosi rękę i czeka, aż Nari przybije piątkę, ale ona nie reaguje i tylko wpatruje się w Magellana.

– Jesteś jedną z Założycielek Akademii Aurory – szepczę.

– Bywają dni, kiedy ledwie potrafię włożyć skarpetki – mruczy Nari.

– To wyjaśnia dlaczego miałam wrażenie, że cię znam – mówi Zila. – Na pomniku masz krótsze włosy.

Nari otwiera usta i natychmiast je zamyka.

– Chyba zaraz zwymiotuję...

– Wiesz... – wtrącam – ...założyłaś Aurorę z najlepszą przyjaciółką, która tak się składa, była Betraskanką. Więc pewnie nie powinnaś nazywać jej białasem i strzelać jej w twarz przy pierwszym spotkaniu.

– Fin... – jęczy Scarlett.

– No dobra, wybacz. – Szczерzę zęby w uśmiechu.

Wiem, że nie powinienem żartować. Naprawdę wiem. Ale... rozumiecie. Jak można zareagować na fakt, że jest się częścią ogromnego galaktycznego planu, który uruchomiono stulecia temu?

– Chwileczkę – mówi nagle Scar, odwracając się do Magellana. – Właśnie zdałam sobie sprawę... To musi znaczyć, że Nari przeżyje! Jeśli jest jednym z pierwszych dowódców Legionu, to musi wyjść cało z pętli, prawda?

– Do diabła, nic z tych rzeczy – odpowiada unikron.

Zila marszczy brwi.

– Ale jeśli porucznik Kim ma założyć Akademię Aurory...

– Jasne, tyle że to się jeszcze nie wydarzyło. Nadal jesteście w środku zapadającego się w siebie paradoksu czasoprzestrzennego. Nie chcę was

zanudzać teorią wieloświata, ale zapewniam, że nie ma tu żadnych pewników. Nari Kim założy Akademię Aurory tylko, jeśli uda wam się wyrwać z pętli.

– Niestety nie wiemy, jak tego dokonać – warczę.

– W takim razie dobrze się składa, że najwyraźniej zaprogramowano mi wszystkie potrzebne do tego informacje. Zatem czy ktoś ma ochotę wrzasnąć tryb cichy!, czy powinienem zacząć rozpakowywać pliki i mówić dalej?

Znowu sięgam po klucz i Scarlett zaciska dłoń na mojej ręce.

– Możesz nam najpierw powiedzieć, co się stało z pozostałymi? – pyta. – Wiesz, z Tylerem? Z Auri? W naszych czasach?

– Wygląda na to, że nie mam dostępu do tych danych. Może osoba, która mnie zaprogramowała, sama nie wiedziała. Albo zdecydowała się mnie nie informować. Albo ta partacka naprawa uszkodziła część mojej pamięci. Na pewno studiowałeś inżynierię, Mądralo? Bo mam wrażenie, że naprawiał mnie ktoś, kto ukończył botanikę.

– Ty nędzny kawałku *chakk*, poskładałem cię, dysponując zwykłymi żab...

Scar zatyka mi usta dłonią.

– W porządku, mam pytanie – odzywa się. – Byłeś po prostu starym unikronem Tylera, zanim dał cię Auri. Jakim cudem stałeś się teraz wyrocznią? Skąd wiesz o tym wszystkim?

– Pamiętasz, jak pomyślałaś, że to będzie zabawne ściągnąć nieautoryzowaną aktualizację osobowości ze strony zakupowej?

– Nadal nie mogę uwierzyć, że to zrobiłaś – mruczę pod nosem.

– Dorzucali torebkę za darmo. – Scar odyma usta.

– Wszystkie te dane były zawarte w aktualizacji. Zostały tak pomyślane, żeby odblokowały się w określonych warunkach operacyjnych. Kilka lat później Tyler przekazał mnie Aurorze i oto jestem.

– Naprawdę jestem aż tak przewidywalna? – Scar robi wrażenie więcej niż tylko trochę urażonej.

– Wiesz, nie mam ramion, ale możesz sobie wyobrazić, że właśnie nimi wzruszam.

– Ożeż...

– A wracając do spraw istotnych. Nie chcę psuć nastroju, ale nadal tkwicie w zapadającej się paradoksalnej pętli, która zakończy się wymazaniem was z kontinuum czasoprzestrzennego. Domyślam się, że chciełbyście się stąd wydostać. Porucznik Kim, jest pani gotowa współpracować?

Wszyscy patrzą na Nari, która stoi całkowicie nieruchomo, z lekko rozdziawionymi ustami. Mija kilka uderzeń serca, zanim odpowiada:

– Ehm... nie wiem, czy jestem w stanie...

Zila przekrzywia głowę w zadumie.

– A z którą częścią sobie nie radzisz? Istnienie pętli już dawno temu ustaliliśmy.

– Nie chodzi o pętlę. To szaleństwo, ale tak się dzieje. Rzecz w tym... że nie mogę założyć całej armii w przyszłości!

– Najwyraźniej możesz. Widzieliśmy efekty. My jesteśmy tym efektem.

Nari kręci głową.

– Ale... Zilo, nie mogę. Może ktoś inny, ale nie ja. Brakuje mi lat do następnego awansu, w życiu nie zostanę admirałem. Żartujesz sobie? Poza tym trwa wojna i... Słuchaj, muszę cofnąć się do paru rzeczy... Mówiłaś o moim posągu wysokim na sto metrów?

Otwieram usta, żeby się odezwać, ale Scar kładzie dłoń na mojej ręce. Dociera do mnie, że Zila i Nari patrzą sobie w oczy i że ta rozmowa – być może najważniejsza rozmowa w historii Galaktyki – nie uwzględnia mojej osoby.

Zila sama się tym zajmie.

– To będzie zasłużony hołd – tłumaczy cicho. – Założenie Akademii Aurora to nadzwyczajne dokonanie. Nawet po zakończeniu wojny Założycielki napotkają ogromny opór i będą musiały stawić czoło scepty-

kom, nie mając niczego poza swoją determinacją. Razem stworzą siły pokojowe znane w całej Drodze Mlecznej.

– I to wszystko dzięki mnie? – szepcze Nari. – To niemożliwe.

Zila kiwa głową.

– Legion Aurory będzie służyć ze swojego honoru, swojej niezłomności. Będzie walczyć o pokój, o sprawiedliwość. Przez wiele pokoleń ludzie będą wzdychać z ulgą na widok nadlatujących statków Legionu.

Nari z drzeniem wypuszcza powietrze i próbuje się uśmiechnąć, ale słabo jej to wychodzi.

– Nie sprawiasz, że brzmi to łatwiej.

– Bo to nie będzie łatwe. Zrobisz to dla tych, który kochasz. Dla tych, którzy potrzebują, żeby ktoś się za nimi ujął. Dla tych, którzy są sami.

Patrzą sobie w oczy i wyczuwam między nimi coś, czego nie potrafię nazwać. Nie wiem, o czym rozmawiały, kiedy my ze Scar się całowaliśmy... to znaczy odciągaliśmy patrole ochrony. Nari jednak wie, że kiedyś Zila też była całkiem sama.

– Bojownicy o pokój – mówi cicho Nari. – To mi się podoba.

– Jesteśmy Legionem – dodaje Zila.

– Jesteśmy światłem – odzywa się cicho stojąca obok mnie Scar.

Muszę odchrząknąć, zanim jestem w stanie dokończyć krede Legionu:

– Płonącym jasno pośród nocy.

– Nie chodzi tylko o to, żeby przyszłość potoczyła się tak, jak powinna. – Prawda dociera powoli do Nari, kiedy patrzy wprost na mnie. – To coś, czego będziemy potrzebować, jeśli kiedykolwiek chcemy przestać walczyć tak jak teraz. Wszyscy jesteśmy tu przyjaciółmi.

– Nawet jeśli to niełatwe – mówi Zila.

– Nawet jeśli to niełatwe.

– ...Nie zaszkodzi, jeśli, robiąc to, będę jednocześnie robić w portki ze strachu?

Wreszcie pryska poważny nastrój. Scar się śmieje, a ja parskam. Zila pochyła głowę i ciemne loki opadają jej na twarz.

– Do tej pory można uznać, że już całą wieczność robimy w portki ze strachu. – Uśmiecham się szeroko. – I jakoś dajemy ze wszystkim radę. Poza tym, że siedzimy uwięzieni w zapadającej się pętli czasowej kilka stuleci w przeszłości.

Nawet Zila... no dobrze, nie powiem, że się uśmiecha, ale jej usta układają się inaczej.

– Jeśli twoja *halmoni* potrafi zapanować nad legionem wnuków, żeby obowiązkowo odwiedzali ją w wyznaczonym czasie, to...

– Mam to we krwi – zgadza się Nari. – Starsze Koreanki są legendarne, masz rację. Będę musiała sięgnąć po swoje zasoby energii *ajumma*.

– No dobrze – wtrąca się nagle Magellan, psując nastrój. – Jeśli już skończyliście poddawać się niepomahowanemu przyciąganiu przeznaczenia... Powinniśmy brać się do roboty.

– Gotowa? – pyta Zila, patrząc na Nari.

– Gotowa.

– Świetnie. Zapinajcie pasy, bo to będzie skomplikowane.

Opieram się o Scar, kiedy Magellan zaczyna mówić, i chociaż słucham, zauważam też, jak miło jest siedzieć ramię w ramię ze Scar. Robi mi się ciepło, gdy patrzy na mnie i mruga porozumiewawczo.

– No dobrze, zatem zgodnie z moimi plikami... Kryształ Scarlett jest kluczem.

– Tak? – Scar się dziwi.

– To ma sens – mruczy Zila, odrywając wzrok od Nari. – Każdy podarunek ze skarbcza Dominium odegrał do tej pory kluczową rolę.

– Zila, ja dostałem cholerny długopis – warczę.

– Zatem ten kryształ... – Scarlett muska palcami wisiorek. – To też kryształ z gabinetu Pinkertona na górze, zgadza się?

- Zgadza się - potwierdza Magellan. - Oba są kawałkiem większej sondy. Słuchajcie, nie mamy tak naprawdę czasu, żeby się zagłębiać w metafizyczne właściwości Eshvarenów i transfazową mechanikę temporalną, ale zasadniczo kryształ Eshvarenów istnieje w superpozycji w wielu różnych wymiarach, także w wymiarze temporalnym. Zatem jeśli potężny strumień energii w 2380 uderzył w kawałek kryształu, który nosisz na szyi, a sonda, z której pochodził, została wystawiona na podobny strumień energii tu, w 2177...

Zila odrywa wzrok od szyi Scarlett i patrzy na burzę ciemnej materii.

- Magellanie, chcesz powiedzieć, że kawałek w wisiorku Scarlett i większy odłamek kryształu, z którego mniejszy odpadł... skontaktowały się poprzez przestrzeń i czas?

- Właśnie! - Unikron popiskuje triumfalnie. - Skoczyły ku sobie jak dwa końce napiętej gumki!

- To dlaczego czas się zapada? - dopytuje się Scarlett.

- Paradoks... - mruczy Zila.

- W rzeczy samej! Kryształ Scarlett już istnieje w tym czasie i miejscu. Jest na górze w gabinecie doktora Pinkertona. Kiedy więc dwie wersje kryształu zajmują zbliżoną pozycję w czasie i przestrzeni...

- Czas próbuje to naprawić - podsumowuje Zila. - I stąd się bierze pętla. Która staje się coraz krótsza.

- Właśnie! Czas opiera się zniekształceniu, próbuje wygiąć się i znowu bieć tak, jak biegł początkowo, zupełnie jak zniekształcony kawałek gumy. W końcu ten mały paradoksalny bąbel, w którym żyjecie, pożre sam siebie, o ile nie znajdziecie sposobu, żeby odesłać kryształ Scarlett z powrotem do jego oryginalnego miejsca w czasie.

- W porządku, mam pytanie - wtrąca się Scarlett. - Jeśli to wszystko jest częścią planu, a nasze pojawienie się tutaj może go popsuć, o ile nie wrócimy do domu, to czemu Adams i de Stoy w ogóle dali mi ten wisior?

Nari kręci głową.

– Bo ja najwyraźniej przekażę wiadomość moim następcom, każąc im to zrobić.

– To znaczy, że musieliśmy się tu znaleźć – szepczę. – To musi być coś, co było nam pisane zrobić. Może po to, żeby poznać Nari i pchnąć ją na drogę do założenia Akademii Aurora. Żeby powiedzieć jej o *Zerze* i podarunkach. Może w przeciwnym wypadku nic takiego by się nie wydarzyło.

– To zaczyna coraz bardziej wyglądać jak zostanie własną babcią – mruczy Scarlett. – No dobra, to jak mamy się stąd wyrwać, Magellanie?

– Świetne pytanie! – popiskuje unikron.

Zapada cisza, którą przerywa tylko drżenie stacji i wycie syren alarmowych. Patrzymy po sobie, a potem na sznurek połączonych ze sobą unikronów. Magellan trzeszczy i skwierczy.

– No więc? – dopytuje się Scarlett.

– Nie mam pojęcia!

Mam wrażenie, że podłoga ucieka mi spod nóg.

– Co takiego?!

– Znaczy kiedyś wiedziałem, ale wygląda na to, że ta część mojej pamięci została uszkodzona. Albo usunięta przez tego tu pana Żabkę. Jesteś pewien, że nie studiowałeś botaniki, Mądralo?

– Ugrzęźliśmy w serii skracających się pętli i czekamy, aż nasz bąbel paradoksu sam się pożre, a ty wiedziałeś, że to właśnie nas czeka. – Teraz już stoję i sięgam po klucz. – I mówisz, że nie wiesz, jak to naprawić?!

– Uwaga: Kaskadowe przebicie pola siłowego. Nieuchronna implozja reaktora za trzy minuty. Cały personel ma natychmiast zgłosić się do kapsuł ratunkowych. Powtarzam: implozja reaktora za trzy minuty. Odliczanie trwa.

– Myślę... – odzywa się cicho Zila.

– Botanikę! – prychem. – Byłem w pierwszych dziesięciu procentach na całym roku.

– Oooooojeku, ale mi zaimpo...

– Myśle... – powtarza z naciskiem Zila i czeka, aż wszyscy zaczniemy słuchać – ...że powinniśmy powrócić do naszymnika Scarlett. I analogii Magellana do gumki.

Scar jako pierwsza jest na tyle sprytna, żeby wejść w swój tryb wspierający, widząc, jak Zila patrzy i skubie pasemko włosów – wszystkie oznaki, które znamy i Kochamy, świadczące o tym, że nasz Mózg pracuje z całą mocą.

– Właśnie. Dostałam go nie bez powodu.

– Z punktu widzenia chronologii... – Zila kiwa głową – ...twój wisiołek jest „z przyszłości”. Istnieje dłużej niż ten, który leży w gabinecie doktora Pinkertona. Magellan powiedział, że czas chce się uporządkować. Jeśli więc usuniemy fenomen, który go tutaj kotwiczy, to twój naszymnik powinien przeskoczyć do oryginalnego położenia.

– Kotwicą jest większy kawał kryształu – podsuwam.

– Sonda, z której pochodzi – mówi Nari. – Znajduje się na poziomie drugim.

– Właśnie – przytakuje jej Zila. – Jeśli odetniemy sondę od źródła mocy, żeby przestała pełnić rolę kotwicy w tym czasie i przekazemy naszemu kawałkowi kryształu podobną ilość energii kwantowej, jaką otrzymał, kiedy nas tu przerzuciło, to szok temporalny może sprawić, że strumień czasu się uporządkuje.

Scarlett marszczy brwi.

– To tak jak... potraktować prądem kogoś, kto miał atak serca?

– Właśnie. – Zila milknie i przechyla głowę. – Albo się uda, albo zostaniemy wymazani całkowicie z kontinuum czasoprzestrzennego. Uważam jednak, że szanse na sukces wynoszą co najmniej 8,99 procent.

– To ma sens – odzywa się Magellan. – Jesteś naprawdę bystra jak na pączek z białka nafaszerowany hormonami płciowymi.

Zila zerka na Nari i marszczy czoło.

– Niczym takim nie jestem nafaszerowana.

- No dobrze, zatem pierwszy problem - odzywam się. - Zakładając, że to ogromne wyładowanie kwantowej mocy nie usunie nas całkowicie z czasoprzestrzeni, to niestety nie dysponujemy taką energią. Potrzebny poziom...

- Uwaga: Nieuchronna implozja reaktora za trzydzieści sekund. Natychmiastowa ewakuacja całego personelu. Powtarzam: implozja reaktora za trzydzieści sekund.

- Implozja reaktora? - popisuje Magellan. - To miejsce jest w gorszym stanie niż ja. co tu się, u diabła, wydarzyło?

- To część eksperymentu, jaki przeprowadzają ci wariaci - wyjaśniam. - Wysłali żagiel na obrzeża burzy ciemnej materii i cała stacja oberwała... hmm.

- Impulsem kwantowym - podsuwa Zila.

- ...a my dokładnie wiemy, kiedy on uderzy - szepczę.

- Czterdzieści cztery minuty. - Zila kiwa głową.

Scarlett patrzy na nas, rumieńce wypływają jej na policzki.

- Czekajcie, chcecie mnie potraktować impulsem czystej ciemnej energii? Uderzeniem, które usmażyło całą stację i zabiło nas jakiś milion razy? To jest wasze źródło mocy?!

- Uwaga: Nieuchronna implozja reaktora. Pięć sekund. Uwaga.

Patrzę na Scar i wzruszam ramionami.

- Możesz poczuć lekkie łaskotanie - przyznaję.

- Uwaga.

BUM.

Kiedy obolała płynę powoli w stronę przytomności, wiem, gdzie się będę znajdować, kiedy się obudzę. Pamiętam wszystko, chociaż to się jeszcze nie wydarzyło.

Będę leżeć na stole naga, przykryta tylko srebrnym kosmicznym kocem.

Po drugiej stronie ściany z mlecznego szkła będzie stał chłopiec bez spodni.

Kobieta, biała jak światło gwiazd, wejdzie i powie, że to przyszłość, że obcy naprawdę istnieją, a moja rodzina od dawna nie żyje.

A ja będę cierpiała z tego powodu.

A potem znajdę nową rodzinę.

A potem...

Otwieram gwałtownie oczy i próbuję unieść się na łokciach, ale natychmiast ból przeszywa mi skronie, sięga do koniuszków palców dłoni i stóp w kilka potwornych milisekund.

– Kal?

Ledwie mogę wychrypieć to słowo i mija kolejne niekończące się okamgnienie, zanim dotrze do mnie, że on tam jest: płatanina fioletu i złota zwinięta w moim umyśle jak kot, który wtulił się w kącik na drzemkę.

Jest gdzie indziej, niedaleko stąd, śpi. Jednak wyczuwam jego puls bijący razem z moim własnym. Nic mu nie jest.

Jest bezpieczny.

- Jest bezpieczny.

Głos rozlega się echem w moich myślach. Przez jedną szaloną chwilę czuję się jak jedna z głównych bohaterek starych wizuali, która przytomnieje po tym, jak oberwała po głowie i teraz wszyscy wokół niej śpiewają, bo te dwa słowa rozbrzmiewają akordem z trzech nut w smutnej minorowej tonacji. I kiedy mój mózg wskazuje liczne dziury w powyższej teorii, obracam głowę i widzę nie tyle chłopaka bez spodni, ile Ulemnę, członkinię Rady Wolnych Ludzi.

Znowu zapiera mi dech na widok nieskalanego piękna, niebieskich i fioletowych wirów poruszających się nieustannie pod jej skórą, srebrnych oczu. Gapię się z rozdziawionymi ustami i nie mogłabym odwrócić wzroku, nawet gdybym chciała.

Ulemna unosi ręce i naciąga kaptur. Czar pryska.

- Co to było? - mruczę oszołomiona.

Jej melodyjny głos zdradza rozbawienie.

- Masz na myśli to, jak cię przyciągam, czy bitwę, która właśnie miała miejsce?

- To pierwsze - uznaję. - A potem chcę wiedzieć, gdzie jest Kal i na koniec, jak się potoczyła bitwa.

- Taki jest mój lud, Ulemna - odpowiada zwyczajnie. - Po prostu... przyciągamy uwagę. A jeśli idzie o twojego syldrańskiego ochroniarza, to jest tutaj.

Wskazuje głową w bok i kiedy ostrożnie obracam się, starając się nie ruszać za bardzo obolałą głową, widzę, że Kal śpi na krześle. Łagodny wyraz twarzy psuje mu tylko drobna zmarszczka między brwiami... Oraz ogromny syldrański miecz, który opiera się o jego krzesło.

- A Gwiazdóbójca?

- Nie chciał opuścić statku Eshvarenów - odpowiada. - Ale Wędrowcy wyczuwają jego obecność. Dochodzi do siebie tak jak ty.

- A Tyler i jego załoga?

– *Mściciel* nie znalazł się wśród ofiar – odpowiada, a minorowe trzy nuty jej głosu stają się cichsze, jeszcze smutniejsze.

Wyobrażam sobie statki, które straciliśmy, jak wybuchają bezgłośnie w próżni kosmicznej.

Ludzi, którzy zginęli, bo Ra'haam dotarł tu za mną.

– W porządku – mruczę. – Jesteśmy chwilowo bezpieczni?

– Na razie tak. Wygraliście bitwę. Zapewniliście nam bezpieczeństwo.

Opadam na poduszkę i zamykam oczy.

Walka sprawiła mi przyjemność.

Wiem, że rozrywałam samą siebie na strzępy, żeby zapewnić im moc, ale, na motylą nogę, jakie to było ekscytujące.

Chcę to zrobić znowu.

Ulemna kontynuuje:

– Rada przegłosowała nasz następny krok. Decyzja nie zapadła jednogłośnie, ale...

Otwieram gwałtownie oczy.

– Pomożecie?

Staram się nie zdradzać zapału. Ta pomoc oznacza dla nich koniec. Umrą, broniąc mnie, kiedy ja będę próbowała cofnąć się w czasie, żeby zginąć z kolei w ich obronie. Przynajmniej... Jak to ujął Caersan?

Przynajmniej będę się wtedy czuła jak bóg.

– Widzieliśmy, jaką cenę jesteś gotowa zapłacić, żeby naprawić zło. Żeby nas chronić. I jest wielu wśród nas, którzy zgadzają się z Gwiazdobójcą, nawet jeśli wydaje się to tragiczne. – Kręci głową. – To żadne życie. Nie widzimy innego wyjścia jak ci pomóc.

– Teraz, kiedy ściągnęłam na was Ra'haam, jeszcze bardziej was osłabiłam.

– Nie, dziecię Terry. – Ulemna mówi teraz łagodnie. – Rzuciłaś tylko światło na prawdę, która zawsze istniała. Nasz upadek jest nieunikniony. To tylko kwestia czasu i to w dodatku niezbyt długiego. Od dawna

rozmawialiśmy o ostatecznej bitwie. Jak jasno zapłonie ostatni ogień, zanim całkiem zostanie zgaszony. Teraz istnieje niewielka szansa, że nasz koniec okaże się ratunkiem, że coś w ten sposób uzyskamy w innym miejscu, w innym czasie. I nawet jeśli zawiedziesz, nasza ostatnia walka będzie godna najwspanialszych opowieści wszystkich ras.

– Jest tak wiele rzeczy, o których nic nie wiedziałam – mruczę. – Ledwie miałam okazję cokolwiek zobaczyć. Nigdy nawet nie słyszałam o Ulemnach.

– Było nas niewielu w czasach, z których podchodzisz. – Patrzy mi w twarz, a jej oczy są stare, smutne i zmęczone. – Ja jestem ostatnia. Z całego mojego ludu pozostałam tylko ja, żeby pamiętać nasze pieśni, nasze opowieści. A kiedy przepadnę...

Milczę. Jak można zareagować na takie słowa?

– Zostawię cię, żebyś odpoczęła. Musisz odzyskać jak najwięcej sił, kiedy będziemy przygotowywać Wiekuistego.

Unosi się powoli, patrzy na otaczające nas ściany i wzdycha.

– Do Jego ostatniej podróży.

* * *

Jakiś czas później Kal się budzi. Leżałam cicho, przyglądając się jego twarzy. On też jest niewiarygodnie piękny. Jestem pewna, że gdybym ja zasnęła na krześle, to śliniłabym się albo głowa by mi opadła i zrobiłby mi się drugi podbródek. Nigdy nie widziałam, żeby on wyglądał nieporządnie, i teraz też prezentuje się nieskazitelnie.

Mój wojownik o wrażliwej duszy.

Żałuję, że nie będziemy mieli dla siebie więcej czasu. To niesprawiedliwe.

Najpierw wyczuwam poruszenie jego umysłu. Przeciąga się, instynktownie mnie szuka i uspokaja się, gdy mnie wyczuwa. Potem rozchyła powieki i patrzy na mnie z powagą.

Nie mamy już żadnych sekretów między sobą. Wyczuwa moją determinację.

- Zamierzasz to zrobić - mówi cicho.

- Nie mam wyjścia - odpowiadam, unosząc rękę i przyzywając go do siebie.

Nadal czuję się, jakby rozjechał mnie grawidżwig.

Podchodzi i przysiada na brzegu mojego łóżka, splatamy palce.

- Może istnieje inny sposób - mówi, patrząc mi w oczy.

- Nie ma.

- Poszukałabyś go, gdybyś wiedziała, że może istnieć?

Mrugam zaskoczona.

- Co to ma znaczyć?

Ściska mi palce.

- Jesteśmy połączeni, be'shmai. Jesteśmy teraz częścią siebie nawzajem. Czerpiesz radość wojownika z zabijania; czuję to tak wyraźnie, jakby to uczucie wypełniało mnie samego. Rozkoszujesz się tańcem krwi. Pragniesz znowu zatańczyć.

- Byłoby lepiej, gdybym czuła się z tego powodu źle? - pytam najeżona. - Gdybym siedziała tu i marudziła jak dziecko? To nie zmienia tego, co muszę zrobić.

- A rzeczywiście musisz to zrobić? - naciska.

Reszta zdania zawisa między nami. Nie potrafiłby jej ukryć przede mną, nawet gdyby chciał. Unosi podbródek, gdy słowa niosą się echem w moim umyśle.

„Czy tylko chcesz to zrobić?”

- Czy chcę umierać po kawałeczku?! - pytam podnosząc głos. - Zamieniam się w słuch Kal, jeśli widzisz inne wyjście.

- Nie widzę - przyznaje, ale dodaje szybko, zanim wejdę mu w słowo: - Na razie. Nadal mamy czas, żeby poszukać innej odpowiedzi. Dokonywaliśmy już rzeczy niemożliwych. Znowu tego dokonamy. Niepotrzebnie biegniesz naprzeciw przeznaczeniu.

– Niepotrzebnie? – warczę, a część mnie wie, że jestem gotowa walczyć, bo Kal grozi, że mi to odbierze. Tę moją boskość. Jednak reszta mnie zna prawdę. – To ostatnie bezpieczne miejsce w Galaktyce. Jedyna iskra, jaka została, która może zapalić potrzebny nam ogień. Jeśli ci ludzie nie doprowadzą mnie do domu, to będzie koniec. Nie możemy czekać, aż Ra’haam znowu nas znajdzie i zginie ich więcej.

– Ich? Nie chcę, żebyś ty zginęła! – wykrzykuje, wypuszczając moją dłoń. Wstaje, zaczyna krążyć bezradnie po pokoju.

Desperacja w jego głosie gasi mój gniew.

– Dziesiątki tysięcy ludzi zamierzają poświęcić swoje życie – odzywam się cicho. – Tylko po to, żeby zbliżyć nas do rodzinnego świata Eshvarenów. Żebyśmy mieli szansę naprawić Broń. I wrócić do domu. Wygrać. Jak mogę prosić ich o więcej, niż sama jestem gotowa dać?

Pochyla głowę, nadal stojąc do mnie plecami.

– Łatwo jest zginąć w ogniu walki – odpowiada cicho. – O wiele trudniej jest żyć w świetle pokoju.

– To nie będzie łatwe. Kal, proszę, wesprzesz mnie?

Odwraca się do mnie, oczy mu błyszczą od łez. Kiwa głową.

– Każdym oddechem, jaki mi jeszcze został.

* * *

Nie pozwalają mi tym razem pomóc przy skoku. Chcą, żebym zaoszczędziła jak najwięcej energii psychicznej na naprawę *Neridai*. Na skok do domu. Na bitwę z Caersanem, a potem z Ra’haam.

– Nie będziemy już niczego potrzebować, kiedy to się skończy – powiedział mi Wędrowiec, kiedy odrzucił moją propozycję. – Nie musimy niczego oszczędzać, skoro nie będzie jutra. – Twarz ma wypraną z emocji, umysł spokojny. Pogodził się z tym, co nadchodzi.

Dzisiaj ostatni ludzie, którzy przeżyli w Galaktyce, przeniosą nas do sektora Theta. W miejsce najbardziej zdławione przez Chwasty w całej

Drodze Mlecznej. I umrą, powstrzymując Ra'haam tak długo, jak się da, zapewniając nam czas, żeby doprowadzić *Neridaę* do domu.

Jeśli zawiedzimy, historia ludzkości, historia wszystkich istot rozumnych w Drodze Mlecznej, zakończy się dzisiaj.

A nawet jeśli wygramy, dla nich to będzie ostatni dzień życia.

Stoję na mostku *Mściciela* z Tylerem i jego żoną. Przyszliśmy z Kalem pożegnać się, zanim przeniesiemy się na statek Eshvarenów. Czuję się tak bardzo, bardzo mała, kiedy patrzę na Wiekuistego na ekranie. Małe światełka połyskują na jego powierzchni, a każde to pokój, który jest dla kogoś domem.

Dzisiaj te wszystkie światła zostaną zgaszone.

Stworzę wam inną przyszłość – obiecuję w duchu. Poświęcę całą duszę, żeby to zmienić.

Jakby wyczuwając moje myśli, Tyler obejmuje mnie bez słowa za ramiona. Patrzymy, jak zbieranina statków – flota Wiekuistego – zajmuje pozycje, gotowa skoczyć przez ryft, kiedy tylko Wędrowcy go wyrwą.

Wtedy głos rozlega się w głośnikach systemu łączności. Głośny i wesoły.

– Cześć, *Mścicielu*. Jones, masz tam swoją pasażerkę?

Tyler i Elin – Betraskanka – patrzą po sobie. Elin pochyla się do mikrofonu, żeby odpowiedzieć.

– Właśnie zamierzamy ją wysadzić. O co chodzi, Redlich?

– Tak sobie pomyślałam, że kiedy już wróci tam, dokąd się wybiera, to może mogłaby mi wyświadczyć przysługę. To mnie gryzło już tyle lat i wreszcie mam okazję to naprawić. Widzicie, jestem niemalże pewna, że zostawiłam konwektor, kiedy ewakuowaliśmy się z Radin IV. Może mogłaby przekazać mi wiadomość i kazać mi tym razem bardziej uważać, jeśli sprawy kiepsko się potoczą.

Ciche śmiechy rozlegają się na pokładzie i część napięcia znika.

– W tej chwili to przekażę – mówi Elin, uśmiechając się szeroko.

- Tam jest statek Redlich - mówi mi Tyler, wskazując poobijany czerwony prom z wyblakłym napisem autoryzowany holownik na jednym boku. Kiedy patrzę, holownik rozbłyskuje światłami w kajucie.

- A to był salut - wyjaśnia stojąca za nami Toshh.

Zanim ktokolwiek coś wtrąci, znowu odzywa się system łączności.

- Ej, Jones, myślisz, że twoja przyjaciółka mogłaby złożyć zamówienie u Eizmana? Na parę tysięcy bajgli, z datą dostawy na dzisiaj?

I znowu:

- Skoro to robimy, to czy mogłaby znaleźć mojego brata i powiedzieć mu, że to ja popsuję jego żółtą ciężarówkę?

- ...niech mi powie, że mam zostać w szkole, bo to naprawdę robota bez przyszłości...

- ...wydać majątek na wyjazd na Rise. Okazuje się, że nie będzie okazji, żeby pojechać tam później...

- ...niech mnie ostrzeże, żeby unikać blondynek...

I gdy załogi śmieją się w ciemności i zajmują pozycje, światła ich statków

rozbłyskują

rozbłyskują

rozbłyskują

w salucie.

Pod koniec płaczę. I nie jestem w tym osamotniona na mostku. I wszyscy się śmiejemy. Śmiech zamiera dopiero, kiedy Lae podchodzi do Tylera. Światło gwiazd lśni na jej srebrnozłoty warkoczach.

- Już czas, dowódco.

Tyler daje znać, że bym podeszła. Pochylam się, żeby odezwać się do mikrofonu.

- Chyba wszystko zapamiętałam, ale obawiam się, że nie mam dość lat, żeby zająć się tym, o czym mówiła załoga Hulaki.

Biorę wdech, żeby zapanować nad głosem.

– Obiecuję, że dam z siebie wszystko i dopilnuję, żebyście wszyscy mieli okazję na zrobienie tego, co należy, gdy dostaniecie drugą szansę.

Milknę i znowu nabieram powietrza.

– Ale zawsze będę pamiętała was takimi, jakimi jesteście w tej chwili.

Odsuwam się i tym razem, kiedy wspinam się na palce i obejmuję Tylera za szyję, ściska mnie mocno, aż wydusza mi całe powietrze z płuc. Obejmujemy się bez końca. Odsunięcie się od niego to najtrudniejsze, czego w życiu dokonałam.

I pewnie znowu bym się rozpląkała, ale Tyler łapie teraz Kala i na widok jego zaskoczonej miny parskam rwanym śmiechem, zamiast się rozbeczeć.

– Szerokiej drogi, bracie – mówi cicho Tyler Jones. – Ktoś musi mieć oko na naszą dziewczynę.

* * *

Caersan ledwie raczy na nas spojrzeć, kiedy wchodzimy do centralnej sali. Ciała Wędrowców nadal tam leżą, a Gwiazdobójca siedzi pośród nich na tronie. Smród śmierci unosi się w powietrzu.

Pęknięcia pokrywają teraz całą jego twarz i są rozświetlone od środka. Jednakże umysł ma potężniejszy niż kiedykolwiek dotąd, zahartowany w walce, pewniejszy dzięki praktyce, jaką zyskaliśmy. Czuję jego energię, jak skrzy się wokół nas, złota i ciemnoczerwona niczym zaschnięta krew.

Jakby w odpowiedzi oplatam własnym umysłem umysł Kala, wsuwam dłoń w jego uścisk. Razem jesteśmy silniejsi. Bardziej niż kiedykolwiek dotąd jestem pewna, że Eshvarenowie się mylili. Miałam wypalić z siebie wszystko, odrzucić rzeczy, które najbardziej się dla mnie liczyły, żeby się wzmocnić i stać zapalnikiem do ich śmiercionośnej broni.

Miłość jest początkiem i końcem wszystkiego, co robię. To dla mnie sens działania. To odpowiedź na każde pytanie. Daje mi siłę. A moja

miłość jest przy mnie.

Kiedy zajmujemy swoje miejsca, wyczuwam wzbierające we mnie podniecenie nieuchronnej walki. Świadomość, że już wkrótce połączę się z Bronią i poczuję uniesienie. To przypomina surfowanie na tsunami, ostatecznie zginiesz, ale po drodze zabawisz się jak nigdy w życiu.

Komunikaty z Wiekuistego trzeszczą w systemie łączności, odbijają się echem w sali, a ja słucham i czuję, jak wyczerpani Wędrowcy na stacji zbierają siły, żeby resztki swojej energii poświęcić na otwarcie jeszcze jednego ryftu.

– Flota Wiekuistego, przygotować się do skoku za dziesięć, dziewięć, osiem, siedem...

Głosy z Wiekuistego, które wkrótce będą duchami, rozbrzmiewają echem w mojej głowie.

„Powiedz im...”.

„Chciałabym...”.

„Gdybym miał jeszcze jedną szansę...”.

Zaciskam pięści. Stworzę dla nich drugą szansę albo umrę, próbując. Zawsze będę niosła ze sobą ich wspomnienia – wspomnienia ludzi, jakimi się stali w tej przyszłości, nad której zniszczeniem tak ciężko pracuję.

Tak długo, jak będę żyła.

Patrzę na Kala, a on odpowiada na moje spojrzenie.

– Przykro mi, że tak to się kończy – szepczę.

– Dopóki razem walczyliśmy, zostaje nadzieja – odpowiada równie cicho. – Jeszcze nic się nie skończyło, Auroro.

Złoty przeblysłk jego umysłu jest jak żartobliwe mrugnięcie Scarlett – to obietnica, że mogę dużo wiedzieć, ale nie wiem wszystkiego, a on nie przestał próbować.

– ...trzy, dwa, jeden...

Szczelina otwiera się przed nami, gotuje się eksplozją kolorów i jak jeden mąż wszystkie niezależne istoty, jakie jeszcze ostały się w Galak-

tyce, wskakują do środka.

Ra'haam już czeka.

Ogromna flota statków spowitych w mech, kwiaty i pnącza ciągnące się w przestrzeni jak poszukujące palce.

Widzę czerwony holownik Redlich, jak wybucha przed nami.

A potem rozpętuje się chaos.

– Auć, Finian! Wbijasz mi łokieć w plecy.

– To nie jest mój łokieć – mruczy Fin.

– W porządku. Oczywiście doceniam entuzjazm, ale naprawdę, czy to właściwe miejsce i czas?

– To jest mój łokieć – syczy Zila. – I gdybyście tak zechcieli się uciśzyć.

Myśliwiec trzęsie się, kiedy Nari zwalnia. W słabym świetle ładowni Fin mruga do mnie porozumiewawczo. I chociaż muszę odpowiedzieć uśmiechem na jego uśmiech, to czuję twardą kulę lodu rosnącą mi w żołądku.

Może tym razem, myślę sobie.

Może tym razem nam się uda.

Tłoczmy się w ładowni myśliwca Nari, kiedy zbliża się do stacji Szklany Pantofelek, jakiś setny raz tego dnia. Kiedy jednak zachnęłam się na ten temat poprzednim razem, Zila poinformowała mnie, że to dopiero pięćdziesiąty pierwszy raz, więc już nie narzekam. Miło wiedzieć, że Z zaczyna ujawniać uczucia – Stwórca jeden wie, że w jej przypadku to wielki postęp, że w ogóle na kogokolwiek powarkuje. Jednak, szczerze mówiąc, nie miałabym nic przeciwko, gdyby w tej chwili okazywała trochę mniej irytacji.

Myśliwiec zatrzymuje się obok wylotu systemu usuwania odpadków.

Drzwi otwierają się za naszymi plecami, wymykamy się w ogromną ciemność i odgrywamy swoje role tak jak zawsze.

Wyrzutnia odpadków.

Kostnica. Klucz Pinkertona.

Szyb windy.

Poziom mieszkalny.

Odwrócenie uwagi ochrony.

I wreszcie ponownie spotykamy się w gabinecie Pinkertona.

Do tej pory to wszystko idzie już jak w zegarku. Alarmy i wycie systemu nagłaśniającego. Stacja rozlatuje się tak jak zawsze i chociaż przeżyliśmy ten dzień już ponad pięćdziesiąt razy, coraz bardziej się boję przy każdej próbie. Nie mogę uwierzyć, że raptem parę pętli temu Fin i ja byliśmy tak zblazowani, że uznaliśmy za dobry pomysł obściskiwanie się po kątach.

Myśleliśmy, że dysponujemy całym czasem Galaktyki. Teraz okazało się, że nie mamy go dość. I z każdą porażką mamy go coraz mniej.

– Personel medyczny ma natychmiast zgłosić się na pokład 12 – wzywają głośniki. – Powtarzam, personel medyczny, pokład 12.

Palce Zili są jak rozmazana plama, kiedy pisze na komputerze Pinkertona. Panel w ścianie otwiera się posłusznie, ujawniając odłamek kryształu Eshvarenów, bliźniaczy fragment tego, który noszę na szyi. Biorę go delikatnie i chowam w plecaku, a potem wręczam porucznik Nari Kim.

Nari wygląda na wyczerpną. Wydaje mi się, że pod stoicką twarzą żołnierza spostrzegam jeszcze większą panikę niż moja własna. Nie potrafię jej za to winić. Gdyby ktoś mi powiedział, kiedy obudziłam się tego ranka, że przyszłość Galaktyki spoczywa na moich barkach, to też byłabym lekko wstrząśnięta.

– Jak się trzymasz, Nari? – pytam.

Przesuwa dłonią po kocyku, stara się mówić spokojnie:

– Co za dzień.

– Tym razem ci się uda. – Z uśmiechem klepię ją po ramieniu. – Jestem tego pewna.

Fin odważa się na krzywy uśmieszek.

– Ej, skoro mówi się „do trzech razy sztuka”, to pięćdziesiąty trzeci musi być jak czyste złoto, nie, Ziemniaczko?

Wbrew sobie Nari się uśmiecha.

– Jak tam uważasz, Białasie.

– To dopiero pięćdziesiąty drugi raz – odzywa się Zila. – A Nari robi, co może. Działa w nadzwyczaj trudnych okolicznościach.

Zila odrywa się od komputera z grymasem. Porucznik Kim podaje jej rękę, a Zila ją łapie. Zauważam drobny rumieniec na twarzy Nari.

– Nic ci nie jest? – pyta cicho.

– Jestem... bardzo zmęczona – przyznaje Zila.

– Jeśli nie damy rady w tej pętli, to może powinniśmy zrobić sobie przerwę podczas następnej? – proponuję. – Spróbować trochę się...

– Nie – ucina Zila i zaciska usta. – Nie ma na to czasu.

Wzdycham, wiedząc, że ma rację, ale mimo to się martwię. Zila działa bez nawet odrobiny snu, jej mózg pędzi tysiąc kilometrów na sekundę, ale jak zwykle podsumowała sytuację bezbłędnie. Mamy tak naprawdę trzy problemy. A wszystkie one sprowadzają się do jednego poważnego.

CZASU.

Zila próbowała wyjaśnić problem numer jeden, ale szczerze mówiąc, fizyka temporalna to nie moja działka. Na ile się zorientowałam, paradoks wynikający z istnienia dwóch dokładnie takich samych kawałków kryształu Eshvarenów w tym samym momencie powoduje temporalne przeciążenie i każda kolejna pętla jest krótsza od poprzedniej. Za pierwszym razem mieliśmy prawie dwie godziny do wybuchu stacji.

Teraz zbliżamy się do jednej.

Cały plan Zili kręci się wokół tego, żebyśmy znaleźli się w burzy ciemnej materii obok żągla kwantowego w czterdziestej czwartej minucie i aby mój wisiołek został trafiony impulsem ciemnej energii. Jednak

co będzie, kiedy pętla stanie się tak krótka, że stacja wybuchnie przed uderzeniem kwantowego impulsu?

Tu pojawia się problem numer dwa: myśliwiec Nari nie został zbudowany tak, żeby znieść energie szalejące w burzy. Tak jak wszystkie Pegazy. Co oznacza, że jeśli mamy wlecieć w burzę, dać się trafić kwantowemu impulsowi i przy odrobinie nadziei wrócić do własnego czasu, to najpierw musimy dostać się do hangaru i ukraść ciężki prom, który zabierze nas na miejsce.

Fakt, że w porównaniu z innym trudnościami, jakie pokonaliśmy, to nie było aż tak trudne – wystarczyło nam kilka prób. Jednak nawet na pokładzie promu ciągle zderzamy się z problemem numer trzy. To właśnie zabija nas raz za razem. A ponieważ pętla się skraca, nie stać już nas na więcej błędów.

Stacja trzęsie się, syreny wyją jak zawsze. Patrzymy po sobie w migoczącym czerwonym świetle w gabinecie Pinkertona i jak zwykle serce podchodzi mi do gardła. To głupie, ale jeśli nam się uda, to jest nasza ostatnia okazja, żeby pożegnać się z Nari Kim. I chociaż znamy ją tylko dzień, to cząstka mnie czuje się, jakbyśmy znali ją całe życie.

Wyrwam włos z głowy, chowam w kartce wyrwanej z notatnika na biurku doktora.

– Do wykrywacza DNA w skarbcu Dominium.

– Właśnie – mówi Fin. – Prawie bym zapomniał.

Podchodzi do gablotki koło okna, tłucze szybę pięścią wzmocnioną egzoszkieletem i zabiera pudełko na cygaretki. Podchodzi szybko do mnie, bierze papier z mojej ręki i wyjmuje swój wierny długopis, żeby napisać coś na złożonej kartce. Nari patrzy na wiadomość, którą Fin chowa w pudełku. To ostrzeżenie. Napisanę ręką Fina.

powiedz jej prawdę.

– To trochę bez sensu. Kal nie posłucha. Ale przynajmniej pudełko na cygaretki uratuje mu życie. – Fin marszczy brwi, kiedy obraca długopis w srebrnych opuszkach. – Mimo to mam wrażenie, że to strasznie

dużo zwracania głowy z czasem i przestrzenią, żeby przekazać Ponu-remu Przystojniakowi liścik, który zignoruje.

– Niemniej to właśnie się wydarzy – odzywa się Zila.

– Miejmy nadzieję. – Wzdycham.

W tej chwili wszystkim nam ciąży to wielkie brzemię: założenie Legionu Aurory, wojna z Ra'haam, przyszłość całej Galaktyki, która zależy od tego, co tu zdziałamy.

– Powodzenia – mówi do Nari Fin i podaje jej rękę. – Mam nadzieję, że kiedy następnym razem cię zobaczę, będziesz miała sto metrów wzrostu i cała będziesz z marmuru.

– Postaram się nie strzelać żadnym Betraskankom w twarz. – Nari uśmiecha się słabo. – Pod warunkiem, że wyjdę z tego cało.

– Na pewno tym razem ci się uda – odzywam się.

– Staram się, Rudzielcu. – Nari wzdycha, drapiąc się po podbródku.

– To naprawdę wielkie wyzwanie.

– Jeśli komukolwiek ma się to udać, to Założycielce Akademii Aurora. – Uśmiecham się. – Jesteśmy Legionem, jesteśmy światłem.

Nari prostuje ramiona.

– Płonącym jasno pośród nocy.

Odwraca się do Zili, zaciska zęby.

– Czas się pożegnać. Znowu.

– Powodzenia, porucznik Kim – mruczy Zila, podając jej rękę.

– Wzajemnie, legionistko Madran – odpowiada Nari, ściskając jej dłoń.

Stoją i trzymają się za ręce, podczas gdy stacja się trzęsie, a metal jęczy niebezpiecznie. Zila patrzy Nari w oczy. Dla większości jej twarz mogłaby być maską, ale, jak to powtarzam, czytanie ludzi to moja działka. Widzę to w oczach Zili równie wyraźnie jak impulsy ciemnej energii przez iluminatory.

Zila lubi tę dziewczynę. Naprawdę ją lubi. Odkąd się znamy, jeszcze nigdy nie widziałam, żeby Zila naprawdę kogoś lubiła. To okrutne, że

musiała przebyć ocean dwustu lat, żeby znaleźć kogoś takiego i zaraz go zostawić.

I chociaż stara się to ukrywać, zachować się profesjonalnie, analitycznie, beznamiętnie, dociera do mnie, że żeganie się raz za razem łamie jej serce.

Raz za razem.

– Dzieciaki, musimy się zbierać – mówi Fin.

– Tak. – Zila kiwa głową. – Musimy.

Wypuszcza dłoń Nari, oddaje jej swój ukochany dezelator i wsuwa unikron do kieszeni na piersi kombinezonu lotniczego porucznik. Nari odpowiada skinieniem głowy, otwiera drzwi gabinetu.

– Powodzenia, Nari – szepczę. – Do zobaczenia w 2380.

Nari idzie schodami, a my wracamy do szybu windy. Szybko uskakujemy przed patrolem ochrony, przystajemy, żeby minął nas podenerwowany zespół inżynieryjny, i wreszcie docieramy do zamętu panującego na poziomie hangarów.

Kiedy zakradamy się do głównego hangaru zalanego migoczącym czerwonym światłem, chaos zalewa nas jak fala. Smród płonących chemikaliów pali mnie w płuca. Wrzaski alarmów wypełniają mi uszy. Dławię kaszel, wciągam odór zwęglonego plastiku i dym, kiedy razem z Finianem i Zilą chowamy się za beczkami. Jak zawsze mija nas biegiem rozgorączkowany żołnierz, a dowódca pokładowy wrzeszczy:

– Zgaście ten cholerny ogień!

Podłoga się trzęsie, a my skradamy się przez wypełniony dymem hangar. Światło jest czerwone, migocze i chociaż ja i Fin nie jesteśmy nawet w połowie tak dobrzy jak Zila w roli kosmicznych ninja, to nikt nas nie zauważa, gdy kucamy pod skrzydłem myśliwca typu Pegaz.

Mija nas dwóch pracowników hangaru i Zila szepcze:

– Teraz.

Biegniemy przez pokład, wycie alarmów zagłusza stukot naszych stóp na kratownicy. Nie nabieram oddechu, zanim nie dotrzemy do celu

- masywnego wojskowego promu o tępych dziobie, który czeka na końcu hangaru.

Jestem pewna, że Tyler mógłby mi powiedzieć, co to za model i jak nazywał się inżynier, który go zaprojektował. Jednakże myśl o bracie tylko sprawia, że kula lodu w moim brzuchu twardnieje, więc staram się o nim nie myśleć. Zamiast tego patrzę, jak Finian sadowi się obok drzwi do ładowni i zaczyna pracować. Nie mam pojęcia, co za magię uprawia, ale to jest magia, bo po paru minutach włąz się odsuwa.

Stacja kołysze się, pokład pod nami dygoce. Śmigamy do środka jak trzy... bardzo szybkie stworzenia. Włąz zamyka się za nami.

- Bułka z dżemem. - Fin uśmiecha się szeroko, kiedy drzwi się zatrząskują.

Wytrzeszczam oczy.

- Co znowu?

- Bułka z dżemem? Tak się mówi, nie?

- Bułka z masłem. - Śmieję się. - Tym najpierw smarujesz bułkę, a potem na to idzie dżem.

- Możliwe. - Wzrusza ramionami i jego egzoszkielec syczy. - Nigdy nie przepadałem za przetworami.

- Bo już bez tego jesteś słodki, co?

Wkłada srebrny palec do ust i wydaje odgłos, jakby się dławił.

- Wiem. - Wzdycham. - Przyprawiamy o mdłości, de Seel.

Uśmiech mu rzednie, kiedy Zila wyciąga unikron z jego kieszeni i kuca na podłodze. Przykucamy obok niej, kiedy z cichym brzękiem obraz zostaje wyświetlony na zakrzywioną ścianę promu. To transmisja z unikronu w kieszeni munduru Nari.

Rozpoznaję znajomy korytarz, stalowoszary z niebieskim napisem: poziom hangarowy, sekcja b. Obraz lekko podskakuje, dźwięk kroków Nari pobrząkuje na kratownicy.

Mam déjà vu.

- Nari, słyszysz nas? - pyta Zila.

Widzimy rękę poruszającą się w kadrze, odchylającą unikron tak, żebyśmy widzieli głowę porucznik. Porzuciła swój hełm, zabrała cudzy z jakiejś szafki – jest prosty, czarny, bez wypisanego sygnału wywoławczego. Zerwała też identyfikatory z piersi i szewrony porucznika z rękawów. Jeśli to przeżyje, to woli, żeby nie rozpoznano jej jako sabotażystki.

– Głośno i wyraźnie – odpowiada.

– Może staraj się nie rozmawiać podczas tej próby – sugeruje Zila. – Tylko marnujesz cenne minuty.

– Aha – mruczy Nari.

– Tym razem lepiej ci się uda. Wierzę w ciebie.

– I doceniamy starania! – wtrąca się Fin. – Że umierasz dla nas raz za razem i takie tam.

– Nie chodzi o umieranie, Białasie – mruczy Nari. – Po prostu... to są moi ludzie, rozumiesz? Czuję, że to nie w porządku.

Zerkamy wtedy po sobie, ale żadne z nas nie odpowiada.

Wracamy więc znowu do problemu numer trzy i naszej największej obawy. Bo jeżeli sonda Eshvarenów na poziomie drugim nie zostanie odłączona od źródła mocy, to nie ma sensu, żebyśmy Fin, Zila i ja wylatywali w burzę i dali się trafić impulsem kwantowym – po prostu umrzemy, a sonda, która ściągnęła nas do tego miejsca w czasie, znowu to zrobi. Jesteśmy jak jo-jo na końcu sznurka, ściągani z powrotem do tej samej chwili raz za razem.

Najlepiej byłoby, gdybyśmy mogli pomoc Nari dotrzeć na poziom 2 i wystrzelić sondę ze stacji. Tyle że wszyscy musimy być w burzy w czterdziestej czwartej minucie, jeśli mamy wrócić do 2380 roku. Zatem jedyną osobą, która może przeciąć sznurek jo-jo, jest Nari.

Ona jedna.

Przeciwko całej stacji pełnej jej towarzyszy broni.

Mimo panującego chaosu poziom drugi jest najlepiej chronioną częścią placówki. Na końcu korytarza stoi czterech strażników, zwalistych typów w ciężkich pancierzach taktycznych, podenerwowanych tym, że

stacja trzęsie się i dygoce. Nie schodzą jednak z pozycji bez rozkazu, bo tak postępują dobrzy żołnierze.

Na szczęście Nari też jest niekiepska. Ta dziewczyna pewnego dnia pomoże założyć Akademię Aurora. Teoretycznie. Wykorzystując element zaskoczenia, mogłaby załatwić tych zbirów z łatwością, ale tu pojawia się kolejny problem. Nazywamy go problemem nr 3/1.

Nari nie zgadza się na zabicie kogokolwiek.

I nie mam na myśli tego, że nie chce nikogo po prostu zastrzelić. Wiadomo: to jej przyjaciele i towarzysze broni. Jednak alarm ogłaszający ewakuację stacji może się rozlec w każdej minucie, a Nari nie chce zostawić nikogo nieprzytomnego na podłodze, kiedy stacja wybuchnie. Zatem, jakby włamanie się do najbardziej chronionej części placówki nie było dość trudne, ona dodatkowo zamierza ogłuszyć każdego, kogo spotka.

Delikatnie.

Nalega, żeby dać każdemu największą szansę odzyskania przytomności i ucieczki. Kocham to w niej, ale to nas zabija. Dosłownie.

Największy strażnik unosi brew na jej widok. Podobno nazywa się Kowalski. Nari powiedziała, że znają się z siłowni. Prawie go nie słychać z powodu alarmów.

– Zgubiłeś się, żołnierzu?

– Na to wygląda – odpowiada Nari, wyciągając dezelator Zili.

Broń jest ustawiona na ogłuszanie, ale trafienie w twarz nadal musi być bolesne. Towarzysze Kowalskiego sięgają po broń, lecz Nari załatwia ich dezelatorem i zaraz pozostali trzej leżą na podłodze. Nawet przy minimalnym ustawieniu będą spać przez co najmniej kwadrans.

– Dobra robota, Nari – mruczy Zila. – A teraz szybko.

Nari zabiera Kowalskiemu kartę dostępu. Metodą prób i błędów odkryliśmy, że kamery w tej sekcji wciąż działają, więc ochrona właśnie się zbiera, żeby zająć się zamaskowaną sabotażystą.

Kula lodu w moim żołądku staje się coraz zimniejsza.

Nari wpada do windy, naciska przycisk ze strzałką skierowaną w dół. Słyszymy jej przyspieszony oddech.

– Pamiętaj, jest ich trzech – ostrzega ją Zila. – Trzeci wyjdzie...

– Na mojej dziewiątej, wiem, wiem.

Winda zjeżdża na poziom drugi, drzwi otwierają się przy wtórze dzwonnka. Nari wypada na korytarz, koziółkując, kiedy strażnik wrzeszczy: „Stać!”. Pada strzał. Drugi, trzeci. Światło jest czerwone jak krew, rozbłyskuje biało, kiedy Nari strzela z dezelatora i trafia pierwszego strażnika w pierś. Rozbłyśki strzałów sprawiają, że ekran unikronu jarzy się biało. Krzywię się, słysząc ryk, strzał i przekleństwa Nari. Obraz potwornie się trzęsie, unikron wpada z kieszeni, Zila zaciska zęby i pot perli jej się na czole. Słyszymy stęknienie, kolejny strzał, zmienia się dźwięk alarmu, kiedy stacja znowu się trzęsie. Jednak unikron leży na podłodze i widzimy teraz tylko sufit, przewody, czerwień rozbłyskująca biało.

– Ochrona na poziom 2. Powtarzam: ochrona na poziom 2.

– *Chakk...* – szepcze Fin.

– Uwaga, personel Szklanego Pantofelka. Uszkodzenie powłoki na pokładach od 13 do 17.

– Nari? – odzywa się Zila. – Nari, czy mnie słyszysz?

– Doskonale – pada odpowiedź; Nari ciężko dyszy.

Podnosi unikron i widzimy jej twarz, bo odsunęła zasłonę hełmu. Jest blada i się krzywi.

– Nic ci nie jest? – dopytuje się Zila. – Podaj swój status.

– Tym razem ją dopadłam. – Zdyszana Nari uśmiecha się. – Tą z dziewiątej, tak jak uprzedziłaś. To była Liebermann. Do diabła, świetnie strzela.

– Nie tak dobrze jak ty. – Fin również się uśmiecha.

Nari kaszle.

– Nie byłabym taka pewna...

Serce mi się zaciska, kiedy widzę krew na jej ustach i zębach. Opuszcza unikron, kieruje kamerę na swój brzuch. Żołądek mi się burzy na widok poszarpanej, krwawiącej dziury w kombinezonie lotniczym tuż pod żebrami.

- Stwórco... - szepcze Fin.

- Nic mi nie jest - upiera się Nari. - Dam radę.

Zerkam znowu na Zilę, widzę ból w jej oczach, kiedy patrzy, jak Nari chowa unikron z powrotem do kieszeni. Stacja się trzęsie. Drzwi na końcu korytarza są opisane dużymi białymi literami.

Nieupoważnionym wstęp wzbroniony.

- Ochrona na poziom 2. Powtarzam: ochrona na poziom 2.

- Myślicie, że to z m-mojego powodu? - Nari rechoce.

- Jeszcze nigdy nie zaszła tak daleko - szepcze Fin.

Kiwam głową. Nabieram nadziei.

- Może tym razem jej się uda.

- Zila, musisz przygotować prom do startu - odzywa się Fin. - Ja zacznę pracować nad drzwiami hangaru.

- Chwileczkę... - szepcze.

- Uwaga, personel Szklanego Pantofelka. Cały personel techniczny ma natychmiast zgłosić się do sektora Gamma, pokład 12.

Zila obserwuje obraz z zaciśniętymi ustami. Nari idzie chwiejnie, dyszy, ale porusza się szybko. Korzysta ze skradzionej karty dostępowej, gródź dygoce i rozsuwa się szeroko. Na chwilę rozbłyskuje światło tak jasne, że cały ekran bieleje.

- To jest to... - szepcze Zila.

- Wielki Stwórco - mruczy Fin.

Przed Nari widzimy wielkie okrągłe pomieszczenie skąpane w czerwonym awaryjnym świetle. Ściany, sufit, podłoga są poznaczone długimi, czarnymi smugami. Dociera do mnie, że to ślady po przypaleniu. Przewody i rury wiją się wokół potężnego rzędu komputerów, suną po podłodze do cylindrycznego szklanego zbiornika pośrodku pomieszcze-

nia. Szkło jest popękane, zwęglone w paru miejscach. Wewnątrz pulsuje światłem uszkodzona sonda Eshvarenów.

Czuję żar na piersi, zerkam na swój wisiołek. Pulsuje. Jakby w jakiś sposób wiedział, na co patrzę.

– Co tu, u diabła, robisz? – warczy ktoś.

To naukowiec ubrany w ciężki biały kombinezon chroniący przed promieniowaniem. Nari odwraca się, strzela z dezelatora. Mężczyzna krzyczy i pada. Drugi mężczyzna w białym kombinezonie sięga po broń, strzela, iskry sypią się z komputerów, kiedy Nari rzuca się w bok i ciężko łąduje. Kaszle krwią. Stękając, turla się, strzela raz, drugi. Mężczyzna pada. Sonda wibruje, światło w pokoju staje się fioletowe, a potem czarne. Ściany dygocą.

– Ochrona na poziom 2. Powtarzam: ochrona na poziom 2.

– Naprawdę jej się uda... – szepcze Fin.

– Uwaga! Przebicie pola siłowego. Natychmiast ewakuować pokład 5 i 6. Powtarzam: przebicie pola siłowego...

– W porządku – mówi Nari, podnosząc się z trudem. – Jak, do diabła, mam odpiąć to cho...

Została minuta do uderzenia błyskawicy. Nawet gdyby jej się udało, spóźnimy się. Nie mogę jednak odwrócić wzroku.

– Stać! – wrzeszczy ktoś.

Huk strzałów niesie się przez unikron. Nari przeklina. Rzuca się w bok, widzę oddział ochrony, który wpada do laboratorium i strzela. Nari pada na brzuch, turla się, strzela z dezelatora. Oni jednak mają przewagę liczebną. Mają przewagę w uzbrojeniu.

Wszyscy wiemy, jak to się skończy.

Tak jak zawsze.

– O, nie – szepczę.

– W prawej! Z prawej!

– Strzelać w dziurę!

Potężny huk niesie się przez głośnik. Obraz rozbłyskuje bielą.

- Nari... - szepcze Zila.

- Do diabła - klnie porucznik.

Obraz dygoce. Nari przeklina z bólu, wyciąga unikron z kieszeni. Widzimy teraz jej twarz obryzganą krwią. Słyszać kroki. Huk strzałów.

- Wybaczcie, dzieciaki - z trudem mówi Nari. Ma czerwone zęby. - Guzik z tego.

- Tak niewiele brakowało - szepcze Fin.

- Tak daleko zaszła. - Wzdycham.

Zila wyciąga rękę do obrazu. Dotyka twarzy Nari.

- Do zobaczenia wkrótce.

BRZDĘK.

Rozegrałem to w myślach tysiąc razy i nadal nie jestem pewien, czy dam radę.

Próbowałem skontaktować się z Adamsem jeszcze dwanaście razy, bez skutku. Jednak to był wieczór poprzedzający najbardziej pracowity dzień w jego życiu, więc nie mogłem się złościć ani też nie zostawić radosnej wiadomości o niebezpieczeństwie grożącym stacji i modlić się, że ją odbierze.

Zastanawiałem się, czy nie dać się aresztować ochronie i potem błagać o spotkanie z dowódcą. Rozważałem, czy nie włamać się do sekcji mieszkalnej oficerów albo czy nie przeniknąć na szczyt, żeby wygłosić dramatyczną mowę na temat Ra'haam, nie dając się przy tym zastrzelić. Rzecz w tym, że nie mam dowodu na istnienie Ra'haam i nawet gdybym jakimś cudem przekonał przywódców planet, że pradawna roślinna jednia próbuje manipulacją wpędzić ich w wojnę dla odwrócenia od siebie uwagi, to nadal nie zdołam powstrzymać agentów Ra'haam przed wysadzeniem stacji.

Lyrann Balkarri zaproponował, żebym przenocował w jego apartamencie – ewidentnie chodzi mu o coś bardziej długoterminowego. Niestety nie udaje mi się nawet zmrużyć oka. Głowa boli mnie teraz nieustannie, wizja mnie dręczy: tęczowe ściany, złotowłosa syldrańska dziewczyna, dłonie pokryte moją krwią. Powietrze skrzy się od ciemnego błękitu i krwistej czerwieni, wokół mnie pęka kryształ, a na końcu widzę akademię, jak wybucha rozsadzona od środka – ostatnia nadzieja,

jaka została Galaktyce, zostaje zdmuchnięta jak płomień świecy i pogrąża nas w mrokach wojny.

„...możesz to naprawić, Tyler...”

Tak szczerze, to nie jestem pewien, czy mogę. Nie widzę jednak innego wyjścia. Zostało mi jeszcze parę pionków i nie na darmo spędziłem tyle czasu w klubie szachowym akademii.

Zgadza się, należałem do klubu szachowego. Wiem, żaden przystojny kosmiczny pirat nie powinien się do tego przyznawać. Ale kiedy nie klniesz, nie pijesz i nie uganiaś się za spódniczkami, co możesz robić dla rozrywki w akademii wojskowej?

Cieszcie się, że byłem takim nudziarzem, jasne? Bo teraz następny ruch wroga jest dla mnie jasny jak słońce.

Istnieje tylko jeden sensowny powód, dla którego umieszczono by Cat w świecie pani premier. Tylko z jednego powodu Ra'haam postużyłby się konkretnie nią. W końcu studiowała na akademii. Zna to miejsce jak własną kieszeń, jak mało kto. Jego sekrety. Zabezpieczenia. Słabości.

Już się przekonałem, że chociaż Ra'haam wie wszystko, co wie każda jego cząstka, to nadal jednostki mają pewną wartość... Nie bez powodu wysłano ojca Auri, żeby ją odnalazł, i nie sądzę, by chodziło tylko o efekt, jaki wywoła widok jego twarzy. Nie bez powodu teraz przyleciała tu Cat – do placówki, którą zna na wylot.

A ja znam ten powód równie dobrze jak gambit hetmański albo obronę Caro-Kann.

Ona jest cynglem.

Catherine „Zero” Brannock jest tą, która zniszczy Akademię Aurora.

Nie jestem tylko pewien w jaki sposób.

Godzinę przed rozpoczęciem szczytu wreszcie widzę ją w lobby przed sekcją mieszkalną w skrzydle dla gości. Sam szczyt odbywa się w Enklawie Założycielek, gdzie dowództwo akademii urządza ogólne zgromadzenia. To ogromny, wielopoziomowy amfiteatr zdolny pomieścić kilka tysięcy ludzi. Setki delegatów już wybiera się na pierwsze roz-

mowy tego dnia, ochrona stacji zachowuje najwyższą czujność. Widząc jednak grafitowy mundur i lustrzaną maskę, rozumiem, dlaczego Ra'haam nie śpieszył się ze swoim ruchem. Uczestnicy zlatywali się aż do rana i teraz, gdy przybyli kolejni goście, zaczyna brakować ludzi do ochrony.

Tym łatwiej będzie samotnemu pionkowi pokonać linię obrony i pozostać niezauważonym.

Idę za nią przez tłum, ubrany w nowy, ciemny garnitur i z dziennikarską akredytacją od Lyranna Balkarriego na szyi. Akredytacja nie pomoże mi, jeśli ktoś ją dokładniej obejrzy, ale tak jak Ra'haam mam nadzieję, że ochrona będzie za bardzo skupiona na czymś innym. Mam też nadzieję, że Balkarri dotrzyma swojej części umowy. Zaproponowałem mu materiał jego życia, a on naprawdę jest fanem dołeczków. Jednak bardzo dużo zależy od mojego ryzykownego posunięcia.

Tylko delegaci, osobista ochrona i prasa mają wstęp na szczyt. Świta, asystenci, personel akademii i legionieści zbrali się w kafejkach i jadłodajniach pod posągami Założycielek. Zapowiedź specjalnego wystąpienia Adamsa i de Stoy pobudziła ciekawość, więc na promenadzie panuje tłok.

Trzy razy tracę z oczu Cat. Serce wali mi szaleńczo w piersi, gdy szukam jej w tłumie. Ostatecznie znowu ją znajduję – przecina ścisk jak nóż, kierując się z powrotem w stronę portów.

To zrozumiałe.

To jest miejsce, które ona, a zatem i Ra'haam znają najlepiej.

Zjeżdża turbowindą na niższe poziomy. Zbiegam schodami, ściągając na siebie zaciekawione spojrzenia techników. Może kieruje się do zbiorników z paliwem? Magazynów z amunicją? Jest tam mnóstwo materiałów wybuchowych...

Cat przechodzi jak gdyby nigdy nic przez posterunki ochrony, pokazując przepustkę GAW. Ja robię, co mogę, żeby je ominąć. Mam wrażenie, że bawimy się w kotka i myszkę, ale nie jestem pewien, kto jest myszką, a kto kotem. Zdumiewa mnie to, że w rozgrywce decydującej

o życiu miliardów istot na planszy wielkiej na miliony lat dwa pionki mogą odegrać decydującą rolę.

Docieramy na pokład Theta, kiedy mi się wymyka. Muszę zatrzymać się na schodach, żeby patrol ochrony mnie minął, a kiedy wychodzę do korytarza, widzę, że Cat... zniknęła.

Rozglądam się, zbiegam jeden poziom niżej, wytrzeszczając oczy.

Dokąd ona poszła?

Odtwarzam swoje kroki, coraz bardziej zdesperowany, serce mi wali, głowa pęka. Obraz końca akademii znowu płonie w moim umyśle.

Nie, nie, nie...

Rzecz w tym, że w szachach nie rozgrywasz tak naprawdę partii – rozgrywasz przeciwnika. Próbujesz odgadnąć, co zrobi, zanim to zrobi.

I wygląda na to, że właśnie dałem się przechytryć.

Rozglądam się coraz bardziej rozgorączkowany. Zerkam na skradziony unikron. Widzę, że jest już 8:27 czasu lokalnego. Zostały mi tylko trzydzieści trzy minuty do wystąpienia Adamsa i de Stoy. Jeśli Ra'haam martwi się tak jak ja, jeśli tak jak ja dostrzegł nacisk, z jakim de Stoy mówiła o cieniach i rośnięciu...

Wtedy to widzę. Malutki jarzący się znak na nijakich drzwiach.

Toaleta.

Pędzę tam, wpadam na chudego, młodego Betraskanina w mundurze akademii, który uśmiecha się przepraszająco, kiedy się mijamy. Rozglądam się po pomieszczeniu, żołądek mi się zaciska, kiedy widzę przewód wentylacyjny.

Świeże zadrapania w farbie wokół kraty.

Podchodzę i nagle zatrzymuję się, słysząc głos za plecami.

– *Chakk...*

Oglądam się przez ramię na kadeta, który zatrzymał się w drzwiach toalety. Gapi się na mnie i wytrzeszcza wielkie czarne oczy.

– Tyler Jones – szepcze.

W końcu go poznaję.

– Jonii de Münn – mruczę.

Zeszłoroczny mistrz turnieju szachowego Akademii Aurora.

– Jonii, poczekaj, mogę to wyjaśnić...

Sięgam po pistolet pulsacyjny pod marynarką, on rzuca się do wyjścia. Trafiam ogluszającym promieniem w miejsce, gdzie sekundę temu stał, drugim strzałem zrzucam drzwi z zawiasów. On jednak już biegnie korytarzem, szukając unikronu i wzywając ochronę.

Koniec gry.

Pędzę do toalety, wrywam kratę, podciągam się do przewodu i szybko zamykam go za sobą. Pewnie niewiele czasu w ten sposób zyskam, ale minie minuta, zanim ochrona Legionu Aurory zostanie powiadomiona, że jeden z najbardziej poszukiwanych terrorystów Galaktyki, Alfa, który zdradził i jest winny ludobójstwa, a także pirat kosmiczny Tyler Jones znajduje się na stacji.

Zatem teraz tempo rozgrywki wchodzi na zupełnie nowy poziom.

Pełnę przewodem, oświetlając sobie drogę unikronem. To prawdziwy labirynt i normalnie pogubiłbym się całkowicie już po paru skrzyżowaniach, ale tak jak powiedziałem: naprawdę powinni częściej wpuszczać tu drony sprząające.

Widzę przed sobą – równie wyraźnie, jak widzę czekający mnie pluton egzekucyjny, jeśli ochrona mnie złapie – odciski rąk i kolan mojej najlepszej przyjaciółki na brudnej powierzchni metalu.

Czołgam się więc.

Czołgam się tak, jakby od tego zależało życie wszystkich rozumnych istot w Galaktyce.

Zegar na moim unikronie odmierza uciekający czas. Podpiąłem się do sieci stacji i zerkam czasem na wieści ze szczytu. Delegaci zbierają się w Enklawie Założycielek i zajmują miejsca w koncentrycznych kręgach, miriady ras w najróżniejszych strojach. Pośrodku sceny stoi podwyższenie oświetlone reflektorem, w powietrzu nad nim obraca się hologram przedstawiający symbol Legionu Aurory.

Orientuję się, że docieram właśnie w te rejony stacji, do których dostęp jest ograniczony. Mijam w przewodach automatyczne posterunki ochrony, ale wykrywacze ruchu i lasery zostały przekierowane przez małe urządzenie umieszczone na ścianie, niewątpliwie gadżet stworzony z myślą o operacjach specjalnych GAW. Przesuwam się w szerszy przewód śladem Cat. Pocę się w garniturze, temperatura powoli rośnie. Mijam kolejne trzy posterunki ochrony i widzę, że też zostały rozbrojone.

Zastanawiałem się, czy bomba może znajdować się na statku terrańskiej delegacji albo czy to jakieś urządzenie na lądowisku może spowodować zniszczenie stacji. Rozważałem, czy Cat wedrze się do jednego z magazynów amunicji albo dobierze się do zbiorników paliwa. Sabotażysta, który wie to, co trzeba, i ma dość czasu, może na wiele sposobów zaskoczyć personel stacji. Teraz jednak już wiem, dokąd Cat zmierza. To najpewniejszy wybór. Najlepsze miejsce, żeby wywołać eksplozję, która zniszczy całą akademię i nie zostawi nikogo przy życiu.

Rdzeń reaktora.

Ślad Cat kończy się przy kolejnej kracie. Otwieram ją, wychodzę. Tak bardzo się spociłem, że marynarka wydaje się całkiem przemoczona. Jonii z pewnością już powiadomił ochronę, że tu jestem, chociaż nie rozległy się jeszcze alarmy – pewnie nie chcą zakłócać szczytu. Opadam na metalową podłogę i widzę, że jestem w reaktorze. Ciemny metal przybiera lekko niebieskawy odcień z powodu światła.

Do tej części stacji kadeci zdecydowanie nie mają wstępu i muszę przyznać, że nie znam jej zbyt dobrze. Nadal jednak widzę, dokąd poszła Cat, nawet gdy zabrakło śladów, bo leżą przede mną na podłodze rozrzucony członkowie ochrony.

Kłękam przy nich, sprawdzam puls i już widzę, że nie żyją. Otwarto właz, a za nim znajdują trzech techników i kolejnych dwóch strażników; wszyscy nie żyją. Zerkam na systemy ochrony, widzę, że kamery wyłączono, bez wątpienia za pomocą kolejnego urządzenia GAW.

Ciała, gadżety...

Kręcę głową. Ile trzeba wiedzieć i umieć, żeby wykonać takie zadanie. Jaką przewagę ma Ra'haam, dysponując wiedzą wszystkich ludzi, jakich wchłonał. Widzę teraz, o jak wiele ruchów nas wyprzedzał.

Czas ucieka.

- Szanowni reprezentanci - rozlega się głos w słuchawce w moim uchu.

Zerkam na unikron i dociera do mnie, że zaczęła się mowa otwierająca szczyt. Jest transmitowana w całej sieci na stacji. Głos admirała Adamsa dźwięczy wśród ścian, kiedy skradam się wypełnionymi parą korytarzami, mijając kolejne ciała. Żar dławi, powietrze jest gęste i wilgotne w moich płucach.

- Prześwietni goście. Przyjaciele. W imieniu nadkomendantki klanów de Stoy i moim własnym witam na pierwszym dniu Galaktycznego Szczytu.

Docieram do masywnych drzwi oznaczonych ukośnymi czarno-żółtymi pasami. Kolejne cztery ciała leżą przed nimi na ziemi. Wielkimi białymi literami wypisano na metalu:

uwaga! rdzeń reaktora. zakaz wstępu nieupoważnionym.

Światło nagle przygasa i staje się krwistoczerwone.

- Na Stwórcę, jeszcze nie! - modłę się.

Wiekuiesty płonie.

Jego powłoka jest rozdarta, paliwo i chłodziwo wycieka w próżnię i płonie. Ognisty łuk przecina ciemność, którą rozświetlają setki innych małych płomyczków. Każdy z nich to statek Wolnych Ludzi albo Ra'haam, przyjaciół lub wroga. Wszystkie walczą i umierają za maleńką szansę przeżycia.

- *G Wing*, nadlatują myśliwce Ra'haam! Są na twojej szóstej...
- Przyjąłem, *Trinity*, tu *Do'Kiat*, weźmiemy ich na siebie...
- Na oddech Stwórcy, są wszędzie! Zaraz...

W sali dowodzenia *Neridai* bitwa jest wyświetlana wokół nas, więc wydaje się, że kryształowe ściany są zrobione ze szkła. Stoję obok Aurory, patrząc na walkę z sercem w gardle. W czerni na krótko rozbłyskują nowe gwiazdy, pociski kluczą, macki chwytają, rozerwane kadłuby zniszczonych statków przechylają się bezradnie, krwawią i płoną. Wolni Ludzie Galaktyki walczą z odwagą rodem z legend, z odwagą, o jakiej śpiewa się pieśni.

Jeśli jednak zawiedziemy, nie pozostanie nikt, żeby je śpiewać.

A siły Ra'haam są tak liczne...

- Spójność kadłuba spadła do siedemnastu procent! Potrzebujemy pomocy...

- Wykrywam nowe, liczne jednostki...
- Trafili mnie...!

Mój umysł jest burzą, moc mojego ojca i mojej be'shmai niesie się echem w mojej czaszce, wypełnia powietrze zakłóceniami. Ciemny błękit i krwista czerwień nawet tu, w czarno-białej rzeczywistości Fałdy, splatają się w symfonii zniszczenia. Zgniatają splugawione statki na krwawą miazgę, nieustająco pchając *Neridaę* do przodu – włócznia z kryształu Eshvarenów wielkości miasta leci z niemal relatywistyczną prędkością ku naszemu celowi.

Jest ukryty, śpiący pośród tej szarości, ale...

– Tam! – krzyczę, wskazując. – Tam jest!

Poza rozlewem krwi, za statkami, które zabijają i umierają w ciemności, Fałda faluje, jakby kamień prześlizgnął się po powierzchni wody. Choć kosmos jest pozbawiony dźwięków, przysięgam, że słyszę słabe nuty, piękne i drżące jak mrowienie na skórze.

Widzę to tak, jak widziałem poprzednio – maleńki wir czerni, szarości i bieli, rozwijający się niczym kwiat w wiosennym słońcu. Jakby reagował na obecność Zapalników. Jakby wiedział...

– Brama – szepczę i serce mi wzbiera.

Mój ojciec zerka, a potem znowu skupia się na bitwie. Aurora pogryzła się w jatce, szczerzy zakrwawione zęby, gdy łapie statek Ra'haam i miażdży. Brama otwiera się, rozszerza, aż ma tysiące kilometrów średnicy. To przejście do miniaturowego wymiaru, w którym skrywa się ojczyستی świat Eshvarenów.

Przelotnie przypominam sobie ostatni raz, kiedy tu przybyliśmy. Aurora, Finian, Scarlett, Zila i ja. To były prostsze czasy. Lepsze. Pamiętam ciepło ich przyjaźni, radość, kiedy nasza drużyna była razem, uczucie, że wspólnie możemy dokonać wszystkiego.

Mimo otaczającej nas jatki uśmiecham się na to wspomnienie. Dziękuję Pustce, że większość z nich nie dożyła takiej przyszłości. Przysięgam ze wszystkich sił, że dam z siebie wszystko, byle zapobiec tej przyszłości.

– Auroro, czy widzisz...

Coś uderza w kadłub *Neridai*, kryształ spada z góry i roztrzaskuje się na ziemi obok mnie. Ojciec odrywa wzrok od wyświeczonego obrazu, jego prawe oko płonie wściekle oślepiającą bielą.

– Uważaj, dziewczyno! – warczy.

Aurora ociera krew z ust, upiorne światło sączy się przez szczeliny wokół jej oka.

– Myślałam, że ty się nim zajmiesz!

– Nie mogę pilnować naszych flanek, dziobu i jeszcze rufy! Skup się!

– Skupiam się i idzie mi to o wiele lepiej, kiedy nikt na mnie nie wrzeszczy, ty chol...

Kolejne trafienie, kryształ się sypie ze ścian, Aurora się zatacza.

– W porządku, to była twoja wina!

– Kał, tu Tyler, jak mnie słyszysz?

Dotykam słuchawki łączności w uchu i odpowiadam szybko:

– Dobrze, bracie. Brama do świata Eshvarenów znajduje się dokładnie przed nami.

– Widzimy ją! Ale Ra'haam już o tym wie! Kolejne dwie flory Chwastów nadlatują, zostało nam czterdzieści siedem procent sił... Nie, czterdzieści trzy.

Patrzę na anomalie, zgrzytam zębami, ponaglając nasz statek całą siłą woli.

– Już prawie jesteśmy na miejscu. Wytrzymajcie.

– Ra'haam zdoła za wami polecieć?

Patrzę na Aurorę, ale ją znowu porwało uniesienie walki. Ojciec piorunuje wzrokiem wroga, krew spływa mu po podbródku i rozbryzguje się na podłodze. Widzę jednak jego lekko uniesioną brew...

– Nie wiemy – przyznaję. – Być może.

– Przyjąłem. Będziemy was osłaniać najlepiej, jak się da... Och, wielki Stwórco...

Za naszą rufą płonie niemożliwie jasne, oślepiające światło. Pośród mrowia statków Ra'haam podobnych do cieni na ciemniejszym niebie

Wiekuisty rozbłyskuje jak świąteczne ognie.

Powłoka pęka, cała stacja się trzęsie, a ja mogę tylko bezradnie patrzeć, jak jej rdzeń wybucha. Z ostatnim bezgłośnym krzykiem w postaci światła Statko-Świat eksploduje, a ja krzywię się z powodu słabego echa dziesięciu tysięcy istnień, które porwała w objęcia Pustka.

– *Amna diir* – szepczę.

– Nie... – wyrывa się Aurorze. Łzy błyszczą w jej oczach.

– ...Jie-Lin...

Głos rozlega się w pustce, ciepły jak wiosna, oleisty i śliski. Mimo smutku, mimo ognia walki, Aurora zaciska zęby.

– ...Jie-Lin...

– Nie zważaj na to, dziewczyno – ostrzega mój ojciec.

– Nie zważam.

– Chce cię zdekonzentrować...

– ZAMKNIJ SIĘ, DOBRZE?

Brama jest przed nami, wypełnia nam całe pole widzenia. Wieczna spirala, a za nią sekrety Pradawnych. Uderzamy o próg, przelatujemy dalej, a biel, szarość i czerń Fałdy rozpalają się nagle i boleśnie jaskrawymi, żywymi kolorami – tęczyowy grzmot dzwoni mi w czaszce.

Brama faluje za nami jak woda, jak krew. Serce mi się zaciska, kiedy widzę statki Ra'haam płynące na fali, jaką wywołało nasze przejście. Wlewają się przez ranę, jaką wyrwaliśmy.

Bitwa przelewa się poza Fałdę.

Wiekuisty przepadł.

Nie mamy już dokąd uciekać.

Wolni Ludzie lecą za statkami Ra'haam, wśród nich *Mściciel*. Tyler ze swoją załogą osłaniają nas do końca. Przed nami widzę ojczysty świat Pradawnych, niegdyś wypełniony pięknem, muzyką i światłem, a teraz martwy i szary. Jednak kolejni wrogowie pokonują wyrwę za nami, niezliczone szeregi, szczątki niegdyś barwnej, kalejdoskopowo różnorod-

nej Galaktyki, teraz zgniłe, wypaczone w jeden umysł, w jeden ogład, jedną wolę, nagięte do jednego potwornego celu.

Żeby wszystko stało się takie jak Ra'haam.

Spostrzegaj tak, jak ja.

Myśl tak, jak ja.

Rób to, co ja.

Najbliższe statki Ra'haam ostrzeliwiają *Neridaę*, wirują, atakują, uderzają. Pociski są przedziwne: mają ciernie, ociekają jadem, są otulone czepnymi niby-łupinami.

– Kal, to kapsuły abordażowe, wykonaj unik!

Mój ojciec uderza, zakrzywiając palce jak szpony. Aurora ryczy, niewidzialny wiatr odwiewa jej czarne włosy. Ma krew na zębach. Coś uderza w *Neridaę* i rozbija jej skórę, wstrząsając statkiem aż po rdzeń.

– Kal, oberwaliście! Drugi atak od rufy!

Wstrząsa nami kolejne uderzenie. Patrzę na Aurorę zdesperowany. Krzywi twarz z bólu i radości walki.

– Be'shmai?

– Czuję to, Kal – szepcze. – To... to...

– To jest tu – warczy mój ojciec. – Na pokładzie.

Rozglądam się po sali, statki nadal suną wśród gwiazd. Ani Aurora, ani mój ojciec nie mogą stąd wyjść, dopóki trwa bitwa i trzeba kierować Broń do świata Eshvarenów. Jednakże wróg jest tu, wśród nas. Tylko ja mogę go zatrzymać.

– Zbliża się – mówi ojciec. Powieki mu drgają. – Trzydzieści. Czterdzieści ciał. Idą centralnym korytarzem.

– Mamy tu oddział abordażowy – melduję Tylerowi i wyciągam pistolet. – Trzy tuziny. Może więcej. Idę im naprzeciw.

– Przyjąłem, już lecimy! Powstrzymuj ich, dopóki do was nie dotrzemy!

Aurora łapie mnie za rękę, gdy odwracam się do wyjścia.

– Uważaj na siebie.

Obejmuję ją, przyciskam usta do jej warg, czuję smak krwi. Żelazo, rdza i zniszczenie.

– Wróć, be'shmai. Obiecuję.

Gdy odchodzę, zatrzymuje mnie głos ojca.

– Kaliisie.

Odwracam się do niego – człowieka, który kiedyś był centrum mojego wszechświata. Stoi w poświęceniu umierających statków, strzaskanych silników, płonącego paliwa, skąpany w szkarłatnym świetle rzezi. Gęsta i fioletowa krew ścieka mu z podbródka na podłogę u jego stóp, oczy mu płoną, skupione na bitwie na zewnątrz, na symfonii zniszczenia, którą wygrywają on i moja be'shmai.

Zbliżamy się do martwego świata. Ocalenia, które może się tam znajdować. Ojciec zerka na mnie przelotnie – akurat, żeby szepnąć. Udzielić mi jedynej mądrości, jaką zna.

– Przelej jego krew.

tyk-tak.

tyk-tak.

tyk-tak.

Działam na autopilocie, rozmowy opływają mnie jak biały szum, pogrążam się we własnych myślach.

Moje ciało siedzi ściśnięte obok Finiana i Scarlett na Pegazie Nari.

Czołgamy się zsyphem.

Jestem w kostnicy, kradnę kartę dostępową z ciała Pinkertona.

Wszystko to już robiliśmy. Tuzin, setkę, tysiąc razy.

Mój umysł pracuje swobodnie, analizuje każdą pętlę, jaką przeżyłam.

Szesnaście razy próbowaliśmy wystrzelić rdzeń i za każdym zawodziliśmy.

Działaliśmy ostrożnie, ale zawsze nas wykrywano.

Eksperymentowaliśmy z brutalną siłą i przegrywaliśmy, bo przeciwnik miał przewagę.

Sięgaliśmy po logikę, nie raz, ale dwa razy. Skontaktowaliśmy się z dowódcą stacji, przedstawiając fakty tak prosto i spokojnie, jak się dało. Rozsądek nie zwyciężył tam, gdzie przegrywał spryt.

Zamykam obolałe oczy i oswabdam umysł, żeby swobodnie szukał. Mój intelekt jest nadzwyczajny. Zawsze to wiedziałam. Chociaż sięgałam coraz dalej, stawiałam mu coraz większe wyzwania, nigdy nie tra-

filam na granice jego możliwości. Teraz jednak na każdym kroku uderzam w jedną z dwóch ścian.

Na pierwszej wyryte są ogromnymi literami słowa:

Możesz spróbować jeszcze tysiąc razy. Tego się nie da zrobić.

Na drugiej jeszcze większymi literami wypisano:

Kończy ci się czas.

To nasza ostatnia szansa.

Znowu stoimy w gabinecie Pinkertona. Nasz niepełny krąg. Potężna burza ciemnej materii kotłuje się za powłoką stacji, nasza przyszłość czeka na impuls z burzy. Nasza droga powrotna. Nasz bilet do domu.

Gdybym tylko spostrzegła sposób...

Zrozpaczony głos Finiana ociera się o moją świadomość.

– Moglibyśmy zmodyfikować ogłuszające ustawienie dezelatora tak, żeby uderzał szerzej...

– Personel medyczny ma natychmiast zgłosić się na pokład 12 – wzywają głośniki. – Powtarzam, personel medyczny, pokład 12.

Pozwalam, żeby jego głos odpłynął. Labirynt otwiera się wokół mnie, kiedy sprawdzam każdą możliwą permutację faktów, ale za każdym razem natrafiam na ślepy zaułek. Każde „a co jeśli” i „może gdybyśmy” natrafia na przeszkodę. Przez cały czas powtarzamy kroki, które za każdym razem doprowadzają nas do śmierci. Maszerujemy ku temu samemu końcowi, świadomie godząc się na swój los.

– Może dałoby się jakoś zabezpieczyć pomieszczenie z sondą, żebyym zyskała na czasie – mówi Nari i w jej głosie też rozbrzmiewa desperacja.

– Na miejscu, żeby ochrona stacji nie mogła tego zdalnie wyłączyć.

– Ale wtedy będziesz zamknięta w środku, gdy reaktor wybuchnie – mówi Scarlett. – A musisz się wydostać, bo inaczej to wszystko pójdzie na marne.

To jest nie do przyjęcia. Nie możemy tkwić w sytuacji bez wyjścia, bo nie pochodzilibyśmy z rzeczywistości, w której Nari zakłada Legion Aurory.

Musi istnieć sposób, żeby przeżyła.

Musi.

Musi...

Liczby nagle przestają się przesuwac. Niekończący się fraktal możliwości przestaje się rozwijać. Widzę odpowiedź.

Otwieram oczy i widzę, że Scarlett przygląda mi się uważnie. Nawet teraz – wyczerpana, zmęczona smutkiem, strachem i nieustannymi próbami, nie potrafi ukryć łagodności w swoim spojrzeniu. Mimo starannie pielęgnowanej zewnętrznej skorupy ma bezgranicznie wielkie serce. Cieszę się, że odkryła, że to samo można powiedzieć o Finianie.

– Rozgryzłaś to? – pyta cicho.

– Tak.

Scarlett po prostu patrzy. Częstka niej już rozumie. Zaczynam dostrzegać geniusz tkwiący w jej empatii. Teraz. Pod sam koniec.

Przykro mi, że na nią krzyczałam.

Przykro mi z powodu wielu rzeczy.

tyk-tak.

tyk-tak.

tyk-tak.

– Nari – mówię. – Hallabongi, które twoi kuzyni przynoszą do domu twojej *halmoni* są dobre?

– Przepyszne – odpowiada zaskoczona. – Ale co...?

Patrzę jej w oczy. I wiem, że...

Nie jest już tak, że niczego nie czuję.

– Chciałabym spróbować hallabonga – mówię.

Chciałabym znaleźć się w takim domu. Z wielką rodziną, która przychodzi i wychodzi. Z tradycjami, z rodzinnymi żartami i opowieściami, z owocami tak soczystymi, że sok spływa pod nadgarstkach i ścieka z łokci.

– Też bym chciała. – Nari marszczy czoło. – Ale...

Finian zaczyna wreszcie rozumieć to, co Scarlett już wie.

– Zila, nie. Nie!

– Co? – protestuje Nari, patrząc na nas. – Co się dzieje?

Scarlett kręci głową.

– Zila, musi istnieć inny sposób...

– Tego nie da się zrobić w pojedynkę – odpowiadam.

Finian dołącza do protestów Scarlett.

– Nie, Z, co wymyślimy. Nadal mamy czas...

– W obecnym układzie sił Nari nie jest w stanie przeżyć, żeby wyrzucić rdzeń. A musi przeżyć, jeśli ma założyć akademię, bo inaczej my nigdy nie pojawimy się tutaj i nigdy nie zasadzimy nasiona, które umożliwi Aurorze pokonanie Ra'haam. Jeśli wyeliminować niemożliwe, to cokolwiek zostaje, bez względu na to, jak bardzo nieprawdopodobne się wydaje...

Patrzę na Fina.

– ...albo bolesne...

A potem na Scarlett.

– ...albo smutne...

I na koniec na Nari.

– ...jest prawdziwe. Ktoś musi zostać i ci pomóc.

Pozwalam, żeby ich głosy wzajemnie się zagłuszały.

– ...zostawiłam już Cat, zostawiłam brata i jeśli myślisz...

– ...muszę tylko obmyślić, jak możemy posłużyć się...

– ...tym razem mogę...

Wstaję. Patrzę. Wreszcie milkną. Wyrzucili z siebie już wszystkie argumenty. Widzą oczywistą prawdę równie wyraźnie jak ja. Wiedzą w głębi ducha, że nie mamy już minuty do stracenia.

Dlatego odzywam się znowu:

– Wiele lat temu patrzyłam z ukrycia, jak napastnicy grozili moim rodzicom i przyjaciołom. Gdybym wyszła, zostaliby zastrzeleni, a mnie by zabrano. Dlatego pozostałam w ukryciu, mając nadzieję, że rozwiązanie samo się ujawni. W końcu napastnikom znudziło się czekanie, zabili

moją rodzinę i odlecieli. Nigdy więcej nie pozwolę, żeby ci, których kocham, zginęli z powodu mojego braku działania. Tym razem rzeczywiście jest coś, co mogę zrobić.

– Byłaś dzieckiem – szepcze Scarlett. – Nie musisz teraz za to odpokutowywać.

– Nie mogę – odpowiadam. – Wiem, że to nie jest moje zadanie, ale przeżyłam już taką historię, Scarlett, i tym razem zmienię zakończenie.

– Nie możemy cię tu zostawić. – Ból Finiana wyraża się w rysach jego twarzy. Głos mu się łamie. – Nie możemy zostawić cię tu samej.

Patrzę znowu na Nari.

– Nie będę sama.

– Ale jesteś w przeszłości, w czasach sprzed dwóch stuleci! – krzyczy.

– Ktoś musi – mówię. – Zawsze ktoś miał zostać. Wy oboje musicie wrócić do naszych czasów, żeby walczyć z Ra'haam. Możliwe, że tylko wy zostaliście z drużyny 312. Nie możecie zawieść.

– A ty? – szepcze Scarlett.

– Ja wszystko uruchomię – mówię. – Nie możemy oczekiwać, że Nari sama zajmie się wszystkim. Ktoś musi zostawić wskazówki dla dowódców Legionu Aurory, które obejmą wszystko: od chrapania Björkmana po podarunki w skarbcu. Tylko dzięki temu Magellan może wiedzieć wszystko to, co my wiemy.

– Ty napiszesz program – mówi cicho Finian. Ma łzy w oczach. – Zostawisz go, żeby Scarlett znalazła go w sklepie w sieci.

– Jej słabość do torebek można łatwo wykorzystać.

Scarlett uśmiecha się, chociaż już płacze.

– To dlatego tu jesteśmy – mówię im, wyjmując małą krawędź krysztalu ze skrytki Pinkertona i przytrzymując go przed Scarlett. – To dlatego zostawiono go w skarbcu dla nas. Żebyśmy trafili do tego miejsca i czasu, gdzie ja będę mogła zostać. Magellan powiedział nam, że jego znajomość faktów sięga tylko do określonego punktu w przyszłości. Do punktu, który ja opuściłam.

Finian kręci głową, drżą mu usta.

– Z, już straciliśmy Cat...

– I musimy znowu pogodzić się z jej stratą. Wszystko musi się wydarzyć dokładnie tak, jak już się wydarzyło. Musimy stracić Cat, żeby mogła nas uratować na Octavii. Musimy pozwolić Gwiazdobójcy, żeby zabrał Broń przed nami, bo dzięki temu strzeli i przeniesie nas w czasie. Ponieważ muszę tu wrócić i stać się początkiem wszystkiego. Muszę zostać w przeszłości, żeby zabezpieczyć przyszłość.

Scarlett splata ze mną palce. Tak jak Finian płacze.

– My ciebie też kochamy – szepcze.

Cieszę się, że mnie rozumie.

– Zadbam o jej bezpieczeństwo, obiecuję – mówi Nari, a drżenie i przekonanie w jej głosie ogrzewają mi serce. – Dopilnuję, żeby się ewakuowała. Weź fartuch laboratoryjny. Przy odrobinie szczęścia będzie panował dostateczny zamęt, żebym cię osłoniła.

– Będzie – mówię jej. – Wierzę w ciebie.

– Powinnaś wziąć Magellana – mówi Finian głosem pełnym emocji i przesuwa się w ciasnej przestrzeni, żeby pogrzebać w swojej torbie. – Będzie pełen użytecznych informacji, jeśli go naprawisz. Może uda ci się nawet obstawić kilka meczów i odłożyć ładną sumkę. – Urywa, a potem powoli wyjmuje Koniczynkę.

Patrzy na Scarlett. Ona kiwa głową. Fin wřęcza mi naszą maskotkę.

– Dla towarzystwa – tłumaczy mi Scarlett łamiącym się głosem. – W porządku, tylko nie zapomnij, że w naszym oryginalnym Łuku będzie potrzebna skrzynia, w której Auri będzie mogła się schować i... W mordę, nie wiemy nawet, do czego służyły buty Tylera ze skarbcza, więc skąd ty...?

– Przebywał w terrańskim więzieniu, kiedy go zostawiliśmy. Dostarczę mu sposób ucieczki. Mam nadzwyczajny intelekt, doskonałą pamięć i całe życie przed sobą – mówię jej. – Nic nie pozostawię przypadkowi.

Scarlett milczy przez długą chwilę.

- Och, Zilo - mruczy.

- Wiem - odpowiadam cicho.

- Chciałbym... - zaczyna Finian, ale nie kończy zdania.

- Mam jeszcze jedną szansę - mówię. - Potem pętla się skończy przed impulsem kwantowym i nie będziecie mieli źródła mocy potrzebnej do powrotu przed całkowitym kolapsem pętli. Wszystko zależy od następnych czternastu minut. Wszystko teraz i wszystko w przyszłości. Nasza ostatnia szansa, żeby powstrzymać Ra'haam. Żeby uchronić planetę, każdą kolonię, gatunek, każde życie, jakie się narodzi. - Wyciągam rękę po raz ostatni. - Damy radę.

Scarlett łapie moją dłoń i ściska.

- Jesteśmy Legionem.

Finian zaciska palce na naszych rękach.

- Jesteśmy światłem.

Nari kładzie dłoń na naszych i kiwa głową.

- Płonącym jasno pośród nocy.

- Drużyna 312 na zawsze. - Uśmiecham się.

tyk-tak.

tyk-tak.

tyk-tak.

Bitwa ryczy za nami, przed nami leży martwa planeta Eshvarenów.

Moc wzbiera we mnie, przyprawia o zawrót głowy, uzależnia, a ja gonię za tym uniesieniem. Mój umysł szaleje szybki i dziki, a ja wiem, że wyczerpuję samą siebie, żeby zniszczyć wroga, lecz nie potrafię sobie przypomnieć, dlaczego nie powinnam tego robić.

Jestem ucieleśnioną mocą Eshvarenów. Tak powiedział mi Esh w poprzednim życiu, w Echo. Jestem wszystkim, czego pragnęli, i wszyscy moi wrogowie spłoną.

Światło umierającego czerwonego karła okala planetę, kiedy pędzimy ku niej, mkniemy przed naszym wrogiem. Na skalistej powierzchni panuje spokój.

Przed nami cisza. Za nami chaos.

Kal idzie korytarzami pode mną, a *Neridaa* opada ku ogromnemu kraterowi, jaki tworzą potężne, szerokie na dziesięć kilometrów drzwi do stoczni. Drzwi już otwierają się bezgłośnie, ukazując idealnie gładką powierzchnię wyciętego w skale tunelu. Statek porusza się szybko, kierowany najdelikatniejszym dotykiem – prawie jakby chciał wrócić do domu.

– Lecimy za wami! – woła Tyler przez system łączności, kiedy statek Ra’haam rozbija się na powierzchni planety i umiera w płomieniach. – Tan, leć za nim i spróbuj, na Stwórcę, zrób to, de Mayr!

Caersan odzywa się ze swojego tronu. Krew ciurka mu z podbródka. Szczerzy zęby w drapieżnym uśmiechu.

– Niewielu rzeczy żałuję w swoim życiu, dziecko, ale dużo bym dał, żeby zobaczyć twoją minę, kiedy odkryłaś, że uprzedziłem cię i zabrałem *Neridaę*.

– A ja z radością zobaczę twoją minę, kiedy ją tobie odbiorę – odpowiadam.

To reakcja zupełnie nie w moim stylu, ale to ja mówię. Krzywię zakrwawione usta, kiedy Caersan mruży oczy.

Jednakże bitwa trwa; walka mnie pochłania. Statek pokonuje drzwi i wpada do tunelu szerokiego na wiele kilometrów. Statki Ra’haam i Wolnych Ludzi wlewają się za nami. Ciemność rozświetla się wybuchami, a ja słyszę przez system łączności wykrzykiwane rozkazy, nawarstwiające się, beznadziejny bałagan rozkazów i próśb.

Sięgam umysłem na zewnątrz i znajduję Kala, który prawie dotarł do mrowia Ra’haam wlewającego się do naszego rannego statku – fioletowo-złotą latarnię płonąca na tle skłębionej, głodnej masy zieleni i błękitu.

Zakotwiczam część siebie przy nim i sięgam dalej, znajduję *Mści-ciela*, wchodzę do umysłu Tylera i Lae, przebijając się przez ich wyczerpanie, strach i całkowite skupienie na walce.

Kal was potrzebuje! – mówię im.

Jest tam jednak ktoś jeszcze, słyszę jego głos, wyczuwam jego części, których już nigdy nie da się oddzielić od całości.

– ...Jie-Line...

– ...Jie-Line, przyjdź do mnie...

– Woła cię, bo się boi, że przegra – warczy Caersan, łapiąc się podłokietników tronu, aż mu bieleją kostki. – Nie bierz udziału we własnej przegranej, dziewczyno. Łzy są dla pokonanych.

Wpadamy do kryształowej jaskini w jądrze planety, a ja sięgam mentalnie do Kala, żeby nie pozwolić mu upaść, kiedy *Neridaa* nagle zwalnia. Kieruję ją ku rusztowaniu, ku jej dawnej kołysce.

Pomieszczenie jest ogromne, ma setki kilometrów szerokości. Potężne urwiska z kryształu odbijają światło wpadających za nami statków, luki ognia przelewają się przez tęczowe szczyty, wybuchy odbijają się echem od starodawnego kryształu.

Skala tego miejsca zapiera dech w piersi. Zakurzona pustka eonów wypełnia się bitwą o nasze przyszłe losy. Moc, jaka była potrzebna, żeby zbudować coś takiego, tę Broń, w której lecimy... Kiedy byłam tu poprzednio, czułam się mała jak insekt. Teraz jednak ta sama moc wypełnia mnie, rozpala. Kiedy *Neridaa* zajmuje swoje miejsce, zalewa mnie uczucie ulgi, jakbym zdjęła za ciasne buty, jakbym wreszcie mogła odechnąć.

Neridaa jest w domu.

Obracam głowę i dostrzegam przelotnie niebieskie kwiaty, które znikają, gdy statek wpada na tysiąc błyszczących kawałków. Jego szczątki uderzają w tego, kto go ściga, i następuje druga eksplozja.

Statek Tylera ląduje obok nas, jego załoga wybiega, ale jednostki Ra'haam kołują w jaskini jak chmara szarańczy przemieszana ze zbyt nielicznymi statkami naszych sprzymierzeńców. Kołują gęsto, duszną masą.

Przysięgam, że słyszę urywek muzyki, kilka upajających nut, a potem Caersan stęka z wysiłku, psując nastrój chwili.

Potrzebujemy czasu na naprawę zepsutego statku, na wyleczenie pęknięć, które pokrywają jego skórę. A kiedy patrzę na sklepienie z kryształu, zdaję sobie sprawę, że mamy zbyt mało sojuszników, żeby zapewnili nam potrzebny czas.

A ja nawet nie wiem, od czego zacząć...

Wtedy jednak, jakby w odpowiedzi, miedziany posmak w moich ustach staje się słodki, scena przede mną zaczyna błędnąć. Ogarnia mnie ciężkie odrętwienie, pogrążam się w znajomym miejscu, w którym już kiedyś byłam.

Nie mogę go zostawić, oni nadchodzą!

Kal!

Spotykamy się w szerokim korytarzu *Neridai*. Zalewa mnie tęczowe światło, otacza ryk bitwy toczącej się w górze.

Najeźdźcy są liczni, wylewają się z abordażowych kapsuł do korytarzy Broni. Tuzin różnych ras, różnych kształtów, ale jeden umysł. Ich skóra jest pokryta pleśnią, mają kwiaty w oczach, a za ich spojrzeniem wyczuwam istotę, w której się zawierają. Istotę, która była stara, kiedy mój świat był nowiutkim kamyczkiem, powoli stygnącym na orbicie wokół teraz martwego słońca.

Wyczuwam wolę, która czekała milion lat, żeby zatriumfować.

Tęczowe światło migocze, rozległe sklepienie drży od echa przedśmiertnych krzyków naszej malejącej floty. Ostrza są jak piórka w moich rękach, masakrują marionetki Ra'haam, tańczą taniec krwi z taką łatwością, z jaką oddycham. Wyczuwam jednak kolejne uderzenie w kadłub *Neridai*. A potem jeszcze jedno. Kolejne kapsuły abordażowe. Mnóstwo przeciwników. Wiem, że z tym wrogiem nie da się wygrać.

Mogę tylko wywalczyć trochę czasu.

Nadchodzą błyszczącymi korytarzami. Kolejna fala. Cofam się w węższe miejsce, gdzie ich przewaga liczebna straci nieco na znaczeniu. Stwór atakuje mnie w migoczącej tęczowej poświacie, ze zwiniętymi liśćmi w miejscu oczu, z koroną cierni oplecioną wokół rogów. Odcinam jedną wyciągniętą rękę, ale pozostałe popychają mnie na ścianę. Coś uderza mnie w plecy, kiedy szukam chwiejnie osłony – może strzał z działka pulsacyjnego. Nie jestem pewien, jest ich tak wielu...

- ...przestań walczyć, Kaliisie...

Zbyt wielu.

- ...poddaj się nam...

Cząstka mnie zawsze wiedziała, że zginę w walce. Nie boję się śmierci w walce o coś, w co wierzę. Boję się jednak ją zostawić. Moją Aurorę. Moją ukochaną. Byłem marnym cieniem, zanim ją poznałem. Niezapalonym ogniem, czekającym na iskrę, która mnie obudzi.

Powykrzywane ręce sięgają po mnie.

Oczy jak kwiaty płoną błękitem.

Nie chciałem, żeby tak to się skończyło.

Stwór, który mnie atakuje, wybucha, zalewając mnie krwią. Słyszę wystrzały z broni, wybuchy granatów, szept zerostrza tnącego ciało, a potem ponad rzezią głos, na którego dźwięk wzbiera mi serce.

- Toshh, raport! - krzyczy Tyler.

- Droga czysta, dowódcu! - odpowiada potężna kobieta, przeładowując broń i zerkając na skaner. - Ale nadchodzą kolejni! Siedemdziesiąt metrów!

Ocieram krew z oczu i widzę Lae stojącą nade mną, oświetloną skrzącym się fioletem ostrza w jej dłoni. Kiedy podaje mi zakrwawioną rękę, znowu mam silne wrażenie, że ją znam. To niemądra myśl, wiem, nie urodziła się jeszcze, kiedy my z Aurorą przemierzaliśmy swój czas, ale...

- Dobrze walczyłeś - mówi cicho Lae, rozglądając się po otaczającej mnie jatce.

Oglądam się i patrzę w błyszczący korytarz z kryształu z powrotem w stronę sali tronowej.

- Dobrze mnie wyszkolono.

Jej spojrzenie twardnieje. W oczach pojawia się nienawiść.

- Jest pod każdym względem takim potworem, za jakiego go uważasz - dodaje, wycierając ostrze. - Ale rodzina... to skomplikowana rzecz.

- Nic ci nie jest, Kal?

Odwracam się do nadchodzącego przez dym Tylera. Jego zwalisty pancerz wspomagany jest równie poobijany i zmęczony walką jak noszący go człowiek. Udaje mi się jednak uśmiechnąć mimo bólu i otaczającej nas śmierci.

– Twój widok zawsze cieszy moje oczy, Tylerze Jones.

– Nie napalaj się, młody – odpowiada z szerokim uśmiechem. – Nie umyłem dziś zębów. – Odwraca się do swoich ludzi i zaczyna wykrzykiwać rozkazy. – Dacca, osłaniaj wyrwę! Toshh, ustaw ekran ogniowy w tym korytarzu! Przeciwnik zbliża się, ale nie może nas minąć! Dwa-dzieścia sekund do starcia, ruchy, ruchy!

Patrzę, jak jego ludzie działają, przygotowując się do następnego starcia. Bitwa nad nami przycichła, ostatni z naszych obrońców zawo-
dzą. Wszyscy ci, którzy jeszcze żyją, wiedzą, że nie da się wygrać. Mimo to wypełniają rozkazy bez wahania, bo ogień w oczach Tylera i stal w jego głosie dodają im otuchy.

Kochają go tak samo, jak my go kochaliśmy.

Pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają.

Tyler rzuca mi zapasowy karabin. Zajmuje pozycję za tęczęwą iglicą z kryształu. W ciszy przed burzą zerka na Lae.

– Wszystko w porządku? – pyta cicho.

Dziewczyna kiwa głową, odrzuca złotosrebrny warkocz przez ramię.

– Doskonale.

– Jeśli chcesz się wycofać...

Tyler kiwa głową w stronę sali tronowej za nami i wpatruje się w nią jedynym okiem.

– Żeby strzec Aurory...

Lae unosi zerostrze, tęczęwki jej płoną w skrzącym się blasku. Wyczuwam, że Ra'haam nadchodzi, jego umysł napiera na mój własny. Widzę szczeliny wokół oczu Lae. To cena niezliczonych walk, jakie stoczyła – jakie stoczyli oni wszyscy – żeby utrzymać przy życiu ten maleńki płomyk. I nawet kiedy on zaczyna gasnąć...

– Mój ojciec nauczył mnie, jak odważnie walczyć – mówi. – Ale matka nauczyła mnie, jak umierać z honorem.

Tyler kręci głową.

– Lae...

– Nie – odpowiada, patrząc mu w oczy. – Nie obawiam się Pustki bardziej niż ona.

Patrzę na nich dwoje, zastanawiając się nad prawdą. Są jak ogień i lód, ale nie są tylko dowódcą i żołnierzem, to jedno jest jasne. Wyczuwam teraz więź między nimi, kiedy się postaram. Cieniutką jak nitka z waty cukrowej, ale wytrzymałą jak wykuta w ogniach słońc stal.

– Nadchodzą! – ryczy Toshh. – Teraz, ludzie!

Pewnie w tej chwili to nie ma znaczenia, myślę sobie.

Wróg atakuje.

Pieśń walki wypełnia powietrze.

I nie ma już czasu na słowa.

Tyk, tyk, tyk.

Serce wali mi teraz z prędkością setki kilometrów na sekundę. Obraz wybuchającej akademii wciąż do mnie powraca. Pistolet pulsacyjny ścisgam w spoconej dłoni, nóż od Saedii ciąży mi na nadgarstku.

Tyk, tyk, tyk.

Admirał Adams przemawia do zebranych, nieświadomy nadciągającej katastrofy.

– „Zebraliście się tutaj, żeby omówić narastającą falę niepokoju wśród licznych światów naszej Galaktyki. Jednakże nim zaczniemy szczyt, należy zwrócić uwagę na jeszcze jedną kwestię, która dotyczy nie tylko wszystkich obecnych gatunków, ale życia wszystkich istot żywych w Drodze Mlecznej”.

Widzę przed sobą rdzeń reaktora – trzy ogromne cylindry w rozległym okrągłym pomieszczeniu biegnące przez kręgosłup akademii. Ściany wyłożono tu grubymi przewodami, jasne ekrany terminali kontrolnych i stacji monitorujących pulsują słabym światłem.

Jest tu straszliwie gorąco, temperatura niemal nie do zniesienia. Para bucha, syczy, kłębi się. Cat odłączyła chłodzenie, żeby reaktor uległ przegrzaniu, i jednocześnie w jakiś sposób odcięła alarmy.

Rozglądam się i widzę otwarte terminale służące do wyłączenia reaktora. Systemy ostrzegawcze i sterowanie ręczne odłączono. Kolejne martwe ciała zaścielają podłogę. Skręcone karki, złamane kręgosłupy, usta otwarte w niemym krzyku.

Cat, co oni z tobą zrobili?

– „Legion Aurory został założony ponad dwieście lat temu w czasach mroku i konfliktu, zaraz po wojnie, jakiej nigdy więcej nie chcielibyśmy przeżyć” – mówi Adams, a jego głos niesie się w amfiteatrze. – „Od tego czasu działaliśmy jako siły pokojowe, służąc interesom wszystkich rozumnych ras w Galaktyce. Jednak to nigdy nie był nasz jedyny cel. Obawiam się, że ja i nadkomendantka de Stoy nie byliśmy całkiem szczerzy w kwestii tego, dlaczego zebraliśmy się tu dzisiaj”.

Słyszę szmer zaskoczenia wśród uczestników szczytu.

Podłoga zaczyna się trząść pod moimi stopami.

Adams bierze głęboki wdech, rozgląda się po delegatach, kiedy obraz wielkiej niebiesko-zielonej planety pojawia się na hologramie nad jego głową.

– „Reprezentanci, delegaci, przyjaciele, oto planeta Octavia...”.

Bez słowa ostrzeżenia rozlega się trzask i przekaz się urywa.

Światła wokół mnie migoczą, czerwień zastępuje pulsująca biel. Podłoga znowu trzęsie się pod moimi nogami. Blask z reaktora płonie coraz jaśniej, żar narasta. Mimo drżenia powietrza dostrzegam Cat, pochyloną nad kolejnym terminalem. Płonące światło rdzenia odbija się od jej lustrzanej maski.

Nie wie, że tu jestem. Jest całkowicie skupiona na sabotażu. Przyklekam na jednym kolanie, przełączam pistolet pulsacyjny na zabijanie. Skupiam się na mundurze. Na zagrożeniu. Nie myślę o dziewczynie w niego odzianej, o dziewczynie, którą kiedyś znałem, która błagała, żebym został.

„Tyler, kocham cię...”.

Celuję prosto w serce.

Jeden strzał i będzie po wszystkim.

Tyk, tyk, tyk.

– JONES! – rozlega się krzyk. – RZUC BROŃ!

Odwracam się z zaciśniętym sercem, kiedy pół tuzina ochroniarzy z Legionu wpada do reaktora z uniesionymi karabinami dezelatorowymi. Oglądam się na mój cel i widzę, że Cat odwraca się błyskawicznie od terminala, nabiera gwałtownie powietrza.

- Tyler.

Wyciąga spod munduru długą, smukłą broń, jaką posługują się agenci GAW.

Żołnierze za mną krzyczą ostrzegawczo.

Strzelam, ale Cat uskakuje i sama strzela do ochroniarzy. Powietrze wypełnia huk strzałów z dezelatorów, skwierczenie blastera Cat, syk mojego własnego pistoletu, kiedy trzy strony walczą o przyszłość Galaktyki w pomieszczeniu reaktora.

Uskakuję za komputery i krzyczę do ochrony:

- Ona próbuje wysadzić rdzeń reaktora! Musimy...

Słyszę brzęk metalu o metal. Wytrzeszczam oczy na widok dwóch pulsacyjnych granatów, które uderzają o ziemię obok mnie. Odskakuję. Wybuch zwala mnie z nóg. Uderzam o ścianę, spadam na ziemię za osłonę z pobrzękującej kupy metalu. Czuję krew w ustach, w uszach mi dzwoni.

- Jestem po waszej stronie, dupki!

Widzę ruch - smukły cień śmiga w ciemności do kolejnego terminala. Wyskakuję zza osłony, żeby strzelić, ale salwa z dezelatorów bucha za moimi plecami i muszę znowu się schować. Powietrze wokół mnie skwierczy.

Przyszpilili mnie.

Nie ma mowy, żebym ją dopadł.

- Cat! - ryczę. - Cat, błagam, nie rób tego!

Nikt nie odpowiada, słychać tylko ciężkie kroki legionistów na metalowej podłodze. Kolejni żołnierze wlewają się do pomieszczenia, rozbiegają się na boki, żeby mnie otoczyć. Nie chcę do nich strzelać, to moi ludzie. Jesteśmy Legionem! Jesteśmy światłem... Ale jeśli mnie złapią,

gdym wokół leży tyłu martwych ludzi i wisi nade mną oskarżenie o ludobójstwo i galaktyczny terroryzm...

– Cat, proszę! Wiem, że mnie słyszysz!

– Jones, to koniec. Rzuć broń!

Dostrzegam ją w kłębiącej się parze. Pulsujące światło. Gotujące się, wibrujące powietrze. Niestety nie mam czystej linii strzału. Serce mi wali. Ociekam potem. Obraz powtarza się raz za razem w mojej obolałej głowie: pękający kryształ, wybuchająca akademka, głos, głos, który teraz błaga, krzyk...

„...możesz to naprawić, Tyler...”

Napraw to, Tyler.

Nabieram powietrza. Myślę o siostrze. O Saedii. O Auri, Kalu, Finie i Zili. Modlę się szeptem do Stwórcy. Rzucam się przez podłogę z pistoletem w ręce, turlam się, klękam i celuję prosto w głowę Cat.

BANG!

Obrywam w biodro. Ból przenika mi ciało, strzał czysto przepala się przez mięśnie, z ust wyrывa mi się krzyk. Pudłuję. Widzę, że trafiam Cat w lewą rękę. Obraca się gwałtownie, syczy z bólu.

BANG!

Drugi strzał trafia mnie w skroń. Kość pęka, ciało zostaje przypalone, oko gotuje mi się w oczodole. Padam do przodu, pistolet wylatuje mi z ręki i z brzękiem sunie po kratownicy podłogi.

BANG!

Trzeci strzał uderza mnie w krzyż i przechodzi na wylot przez brzuch. Spalona krew obryzguje metal przede mną. Znowu wyrывa mi się okrzyk bólu, białe światło płonie w mojej głowie, nie czuję nóg, gdy uginają się pode mną. Padam na podłogę, mam krew w ustach, rozbijam sobie czoło o metal. Krew zalewa mi twarz. Nie widzę nic na prawe oko, nie...

Ktoś biegnie.

Pulsujący żar.

Cień pada na mnie, obracam się z jękiem na plecy. Widzę mundur Legionu, dezelmatorowy karabin wymierzony prosto w moją twarz.

– Koniec zabawy, zdraj...

Coś uderza w postać z boku, coś długiego, lśniącego i poruszającego się jak woda. Tułów żołnierza odrywa się od bioder, ciało zwała się krwawą masą. Słyszę zaniepokojone krzyki, coś, co brzmi jak trzask bicza, odgłosy, gdy coś się rozbryzguje. Cień pojawia się nade mną, grafitowy, blade, punkciki jarzącego się błękitu, kształt kwiatu.

Cat.

Mrugam ze wszystkich sił, obserwując jej ruch mimo pary. Przecina szeregi żołnierzy jak brzytwa, jak demon, jak potwór. Odrzuciła maskę, jej niebieskie oczy płoną upiornym światłem. Ze zgrozą widzę miejsce, gdzie moje trafienie zniszczyło rękaw munduru GAW. Z krwawego wgłębienia wysuwa się pęk ciernistych pędów, długich na dwa, trzy metry, w tym samym niebieskozielonym kolorze, co te potworne rośliny, które pochłonęły kolonię na Octavii. Przecinają powietrze ostre jak miecze.

Cat tnie żołnierzy, jak odłamek szkła tnie papier. Oni krzyczą zaniepokojeni, strzelają, strzały dezelmatorów wypełniają powietrze, ale ona się nie zatrzymuje, nawet nie zwalnia. Nawet się nie zadyszała, kiedy roznosi ich na strzępki, zostają po nich mokre plamy na ścianach i szczątki na podłodze.

A potem staje z pochyloną głową, zgarbionymi ramionami. Oddycha ciężko, masa długich ciernistych macek kłębi się obok niej, ocieka krwią na już mokrą podłogę.

Zamykam jedyne oko. Czuję smak soli i miedzi w ustach. Próbuję się podnieść.

Sięgnąć po pistolet.

Próbuję...

– Tyler.

Stoi nade mną i serce mi pęka na jej widok. Dwa małe kwiaty oślepiającego błękitu płoną w jej tęczęwkach. Jej mundur jest cały we

krwi. Widzę kształt tego, co było jej ustami, tatuaż feniksa na gardle. Jednak mój wzrok przesuwają się na długie, kolczaste pnącza, wylewające się z rozerwanego rękawa w miejscu, gdzie powinna być ręka.

Krew wzbiera pod moimi plecami. Moje nogi robią się zimne. Twarz mi drętwieje. Logiczna cząstka umysłu mówi mi, że to szok, że się wykrwawiam. Umieram. Jednak to ta logiczna cząstka mnie sprawia, że szepczę:

– U-uratowałaś mnie.

Kłękam i patrzę na mnie oczami, które kiedyś były brązowe. Nadal jakimś cudem wypełnia ją ta sama miłość do mnie co zawsze.

– As zawsze wspiera swojego Alfę. – Uśmiecha się.

Prawie płaczę. Łkam, kiedy przesuwam palcem po moim przypalonym czole, rozwalonym policzku.

Zastanawiam się, czy jakimś cudem przebiłem się do niej, czy zdała sobie sprawę, czym się stała. Drżącym szeptem pytam:

– Dlaczego?

– Nie rozumiesz? Ja cię kocham. – Uśmiecha się nieskończenie smutno, nieskończenie czule. – Więc my też cię kochamy.

Wstaje, jej niby-ręka się wiję. Podchodzi z powrotem do terminali. Próbuję unieść głowę, wypatrzeć ją wśród pary i czerwonych błysków. Jej palce są jak rozmazana plama nad przyciskami sterującymi, drzwi zatrząskują się z hukiem, zamykając nas w pomieszczeniu reaktora.

– C-c... – Krzywię się, łapiąc się za brzuch. – C-co robisz?

Ona nadal pisze, światło ciemnieje, podłoga mocniej drży.

– Kończę to.

Marszczę brwi i próbuję wstać.

– Ale... ty pow...

– Chcieliśmy, żebyśmy to byli my. – Płonący błękit kieruje się na mnie pośród skłębionej pary i narastającej ciemności. – Ostatecznie. Zaslugujesz na to.

– Cat... – szepczę i serce mi pęka. – T-ty też umrzesz...

– Nie. – Kręci głową, lzy błyszczą jej w oczach. – To ciało umrze, ale moje wspomnienia, myśli, moja miłość będą żyć dalej. Szkoda, że nie będzie cię tu z nami. Szkoda, że nie potrafiłeś tego zrozumieć.

– Cat...

– Będzie nam ciebie brakować. Bardzo.

Próbuję wstać, krew wylewa mi się przez palce, ale ból jest zbyt wielki. Czołgam się do niej metr, dwa, lepkimi czerwonymi palcami drapię metal, łamię paznokcie. Jestem jednak zbyt mocno ranny. Straciłem za dużo krwi.

Trudno mi myśleć. Trudno oddychać. Trudno ignorować wizję wybuchu stacji, myśl o przyjaciółach, rodzinie, naszych poświęceniach, przegranej tutaj i po prostu pomyśleć, pomyśleć.

– Boli? – pyta Cat.

Kaszlę krwią, z trudem przełykam ślinę i kiwam głową.

– Przykro mi. To już nie potrwa długo.

Wyciągam do niej rękę, zaciskam zakrwawione palce. Próbuję coś powiedzieć, ale dławię się krwią. Nie chcę tu umrzeć. Nie w taki sposób.

Tak bardzo się tego boję, boję się umierać samotnie, i przez jedną potworną chwilę zastanawiam się, jak to by było zjednoczyć się z Ra'haam.

Dociera do mnie, że tym właśnie jest Ra'haam.

W nim nigdy nie jesteś sam.

Przywołuję Cat. Szepczę:

– P... Poc...

– Co?

– Pocałuj... – szepczę. – Na p-pożegnanie?

Lzy błyszczą w jej oczach, gdy przestaje pisać. Słyszę, że coś uderza w drzwi, niosą się słabe głosy, wreszcie wyje alarm. Niestety jest już za późno. Wiem to. Za późno. Nigdy nie dostaną się tu na czas. Cat podchodzi do mnie, mały czarny cień z większym cieniem w jej wnętrzu, tak ogromnym i głodnym, że połknie gwiazdy.

Kłęka obok mnie. Patrzy mi w oczy.

– Pocałuj m-mnie – proszę.

Wzdycha, lzy płyną z jej jarzących się oczu. Przesuwa palcami po moim policzku, pochyła się i przyciska usta do moich. Przez chwilę znowu jestem z nią w hotelu na przepustce, podczas tej jednej jedynej nocy, jaką spędziliśmy razem. Cała miłość, jaką do mnie czuła, błyszczała w jej oczach i rozprysła się jak szkło, kiedy powiedziałem jej potem, że nie powinniśmy, że nie możemy być razem.

Powinienem był ją lepiej kochać. Powinienem był ją bardziej kochać. Próbuję jej powiedzieć z tym ostatnim oddechem, jaki mi został, gdy przyciskam usta do jej warg, gdy otwieram umysł i przelewam go do niej, próbuję ją przeprosić.

Kocham cię, myślę.

I wbijam nóż prosto w jej szyję.

Zatacza się do tyłu, kwiaty jej oczu otwierają się szeroko, krew leje się z gardła. Jednak nóż Saedii jest ostrzejszy niż brzytwa, monowłóknowe ostrze i syldrański stop przecinają czysto ciało, arterię i kość.

Dżgam znowu i znowu, zalany jej spojrzeniem pełnym bólu, poczucia zdrady i wściekłości. Zatacza się do tyłu, przykuca, ciemna krew tryska z ran. Drobne macki wysuwają się z obrzeży rany, blade i zakrwawione, wiją się na oślep.

Macki u jej boku uderzają, zaciskają się wokół mojej szyi, ale Cat pada, nim zdążą się zacisnąć, szok maluje się na jej blednącej twarzy. Nogi dygocą słabo, pięty drapią o podłogę, oddech się rwie.

Próbuje mówić. Tylko się dławi. Patrzy na mnie.

– P-przykro mi – szepczę. – Okropnie mi p-przykro.

Czołgam się.

Po mokrej podłodze. Zostawiam za sobą krwawy ślad. Podciągam się na połamanych paznokciach, przytrzymując zakrwawionymi rękami wnętrzości.

Nie zważam na ból. Czołgam się.

Jakby od tego zależało życie wszystkich rozumnych istot w Galaktyce.

Pełzną.

Docieram do terminala. Sięgam czerwonymi, lepкими palcami. Czarne kwiaty rozkwitają mi przed oczami, każdy oddech bulgoce mi w płucach. Wreszcie jednak udaje mi się uderzyć w przyciski, otworzyć drzwi. Padam na ziemię, jęcząc, kaszląc krwią, kiedy drużyna techników, inżynierów i ochrony wpada do pomieszczenia reaktora wypełnionego kłębiącą się parą i pulsującą czerwienią.

Jednakże nie jest jeszcze za późno.

Nie jest.

„...możesz to naprawić, Tyler...”

Laserowe celowniki tuzina karabinów dezeltatorowych płoną na mojej piersi.

Opadam na terminal, światło gaśnie w moim oku.

– Szach-mat – szepczę.

Aurora

Stoję w Echu, w miejscu, w którym mieszkałam przez pół roku i gdzie trenowałam, żeby zostać Zapalnikiem.

Jednak Echo w niczym nie przypomina miejsca, które pamiętam.

Na prawo ode mnie pofałdowane pola kwiatów prowadziły kiedyś do kryształowego miasta na horyzoncie. Na lewo dolina schodziła w stronę lasu. Przede mną bystra rzeka szemrała i pluskała, płynąc pod idealnie błękitnym niebem.

Teraz jednak wszystko się popsuło. Popękało jak *Neridaa*. Szczeliny przebiegają przez szare niebo tak samo jak po skórze Broni. Kwiaty leżą stłuczone jak szkło, rzeka popękała jak lód, kryształowe iglice na horyzoncie przekrzywiły się i poprzewracały. Nawet z powietrzem... coś jest nie tak. Kiedy serce mi się zaciska na widok tego zniszczenia, znajoma postać pojawia się nad polami strzaskanych kwiatów i leci ku mnie.

Esh ma ludzkie kształty, ale daleko mu do człowieka. To istota ze światła i kryształu, w którym promienie rozszczepiają się w tęczę. Jego prawe oko jest białe i świecące, tak samo jak teraz moje. On też się zmienił. Cieniutkie pęknięcia przebiegają po jego powierzchni, ze środka wycieka światło. Jednak ogarnia mnie ulga na widok mojego dawnego nauczyciela, wybiegam mu na spotkanie przez pole stłuczonych kwiatów.

– Esh! Jasny gwint, tak się cieszę, że cię widzę...

W-w-witaj – wchodzi mi w słowo. Przemawia równie melodyjnie jak zawsze, uprzejmie i łagodnie. – *Witaj w E-echu. J-jestem Eshvaren.*

– Tak, wiem. Esh, co tu się stało...?

Nie odpowiadasz parametrom pozwalającym na szkolenie. W jakiej sprawie przybywasz?

– Wiem, nie potrzebuję treningu...

Urywam, kiedy coś do mnie dociera i serce mi się zaciska. Przypominam sobie, że nie rozmawiam z prawdziwą osobą, tylko z projekcją. To amalgamat wspomnień i mądrości całej rasy Eshvarenów. I tak jak mi powiedziano, kiedy odchodziłam poprzednim razem, amalgamat zostanie zresetowany. Esh mnie nie pamięta, tak samo jak nie pamiętał Caersana, kiedy ja się pojawiłam za pierwszym razem.

Motyła noga!

W jakiej sprawie p-przybywasz? – powtarza po prostu Esh.

– No dobra, jestem Zapalnikiem. Trenowałeś mnie. Jestem tu z drugim Zapalnikiem, który jest prawdziwym socjopatą. Czemu postanowiliście oddać niemalże boską moc kompletnemu... – Kręcę głową i zmieniam temat. – To długa historia. Rzecz w tym, że Broń została uszkodzona i musimy ją naprawić. Szybko.

My... – Obraz Esha migocze jak na psującym się ekranie. – *Czujemy t-to. My...* – Podnosi wzrok na szare popękane niebo, patrzy na szczeliny przebiegające przez jego rękę. – *Co... z-zrobiłaś?*

Rozbłysk bólu przeszywa mi głowę, w umyśle widzę fragment walki toczącej się na zewnątrz. Czas płynie w Echu powoli, jak lód topiący się w gorący dzień, ale ja widzę kolejne statki Ra'haam wlewające się do jaskini. Niedobitki naszych obrońców płoną w zwolnionym tempie.

Wewnątrz *Neridai* wyczuwam Tylera, jego iskrę, słaby, ale piękny płomień w kolorze stopionego złota, którego nigdy do tej pory nie zauważyłam. Obok niego wyczuwam Lae, odbicie tych samych kolorów. Między nimi czuję Kala, złoto i fiolet w dławiącym zimnie.

Czuję jego gniew.

Czuję jego strach.

Wiem, że mam mało czasu.

– Zostaliśmy przerwani w czasie – wyjaśniam Eshowi. – Dwa Zapalniki razem... nie wiem. Ale Ra'haam tu jest! Cała Droga Mleczna umiera! Musimy natychmiast naprawić Broń. Możesz nam pomóc?

Esh przygląda mi się przez długą chwilę.

Galaktyka wstrzymuje oddech.

N-nie – odpowiada.

Kal

Ostrza w dłoniach mnie prowadzą, ciało mam śliskie od potu pod zbroją. Potykam się na lepkiej od krwi podłodze z kryształu.

– ...Kaliisie...

Nie słucham tego głosu, strzelam z pistoletu.

– ...Wiemy, że ją kochasz, Kaliisie. My też ją kochamy...

Wokół mnie załoga *Mściciela* walczy z całą zaciętością ludzi, którzy nie mają nic do stracenia. Wewnętrzny Wróg budzi się we mnie – ta cząstka mojej osoby ukształtowana przez człowieka z sali tronowej, która rozkoszuje się wojną i masakrą. Walczyłem z tą cząstką, którą ojciec próbował we mnie zakorzenić, odkąd sięgam pamięcią. I chociaż nienawidzę Wewnętrznego Wroga, to teraz cieszę się, że jest we mnie.

– ...Tylko w jeden sposób możesz ją uratować. Tylko w jeden sposób może żyć wiecznie, a wasza miłość będzie nieustannie rozkwitać w ciepłym świetle wszechogarniającego...

Nie słuchaj tego głosu. Słuchaj jego głosu.

Litość jest dla słabych.

Pokój jest dla tchórzy.

Łzy są dla pokonanych.

Nadchodzą kolejni. Dziesiątki. Setki. Zerkam na Tylera. Ma ponurą twarz. Lae patrzy mi w oczy i widzę śmierć, która się do nas zbliża.

Nie możemy jednak pozwolić, żeby dotarli do Aurory.

– Pośpiesz się, be'shmai – szepczę.

Aurora

– Nie? – podnoszę głos. – Jak to „nie”? Wy to zbudowaliście! Powinniście wiedzieć, jak to naprawić!

Obraz znowu migocze, jak transmisja podczas awarii zasilania. Grunt drży pod moimi nogami. Na zewnątrz Ra'haam zbliża się, napływa jak gęsta i słodka melasa. Ścieka w stronę Kala, Tylera i pozostałych...

– Esh! – krzyczę.

Echo. Sama Broń. Są u-uosobieniem nas... To wszystko jest połączone. Tak jak Broń została uszkodzona, tak samo my ulegliśmy uszkodzeniu. Nie możemy ci pomóc.

Kolejne drżenie przebiega po ziemi. Błyskawica przecina strzaskane niebo. Wyczuwam pozostałych na zewnątrz. Wykrwawiają się powoli, gdy kolejno padają pod naporem przeciwnika. Nie jestem pewna, co Esh ma na myśli, ale w każdej sekundzie, kiedy rozmawiamy, moi obrońcy umierają.

Rozglądam się po Echu, patrzę na samego Esha. Zastanawiam się gorączkowo.

– Jeśli to miejsce i Broń są powiązane...

Sięgam ku najbliższemu obiektowi strzaskanemu na setkę różnorodnych kawałków kryształu leżących w trawie. Wyczuwam resztki energii w tym miejscu. Widzę ją taką, jaka była w ciągu tych miesięcy, które spędziłam tu z Kalem. I kiedy moje oko zaczyna się jarzyć, składam fragmenty, formując je ponownie w dłoni.

W pojedynczy, doskonały kwiat.

W odpowiedzi na zewnątrz, poza Echem, maleńka szczelina w kadłubie Broni zasklepia się z powrotem.

Tak. – Esh kiwa głową. – Sama widzisz.

Zamykam oczy, spowalням oddech i myśli. Rozglądam się po otoczeniu – po tym prawdziwym i po projekcji, dostrajając się do obu. Nadal wyczuwam ludzi poza Echem, szybkie, znajome muśnięcia umysłu Kala, Tylera i nawet Lae. Czuję smak strachu i odwagi, smutku, gdy ich przyjaciele padają, wściekłość na istotę, która im ich odebrała. W górze nad nimi wyczuwam skradające się wynaturzenie – Ra’haam.

On mnie chce...

Latami uczyłam się kartografii z myślą o misji na Octavii. I codziennie, spacerując po Echu z Kalem, wbrew sobie uczyłam się ukształtowania tutejszego terenu. Przyciągam to wspomnienie, przypominam sobie, jak to miejsce wyglądało.

I jak znowu może wyglądać.

Jest jednak tak wielkie, utrzymanie go całego w umyśle...

Chociaż staram się ze wszystkich sił, nie zdołam...

– Nie mogę – mówię, gdy moja wyciągnięta ręka drży.

Wyciągam obie, krzywię się, próbując utrzymać całość.

– Czas nam ucieka, pomóż mi!

Esh tylko kręci głową.

– Nie dam rady sama!

Kal

Przegrywamy.

Ra’haam spycha nas, członkowie załogi Tylera padają jeden po drugim, gdy tracimy pozycje. Kryształowe posadzki są zlane krwią, smród śmierci wisi w powietrzu, a wróg po prostu napiera.

– Lae, wycofaj się! – ryczy Tyler, strzelając zza osłony.

Ona tańczy wśród potwornych postaci, jej ostrze się jarzy. Ścina potwora o oczach jak kwiaty, który zaszedł Dacę od tyłu.

– Dokąd?!

Ma rację. Nie możemy się dalej wycofać. Za nami jest już wejście do sali tronowej. Jeśli wróg dotrze do mojego ojca i Aurory, cała nadzieja...

Coś uderza mnie w nogę, coś gęstego i lepkiego. Działa jak... klej, przyszpila moją stopę do podłogi. Kolejne trafienie – w brzuch – i padam pokryty większą ilością kleistej mazi. Dociera do mnie, że nie mogę się ruszyć, tkwię jak owad zatopiony w bursztynie. Ogarnia mnie zgroza, kiedy pojmuję, że Ra'haam nie chce nas zabić, pragnie nas sobie podporządkować, wciągnąć do swojej ohydnej jedni.

– Kal! – krzyczy Tyler. – Uważaj!

Odcinam ręce, które mnie chwytają, krzyk niezgody rozbrzmiewa mi w umyśle, sięgam po Aurorę, bo nie chcę skończyć w taki sposób. Wzdrygam się, gdy palący strumień energii, ciemnoczerwony jak zakrzepła krew, przecina nadchodzącego Ra'haam.

Kolejny cios czystej mentalnej energii rozmazuje ciała wrogów na ścianach, zostawiając za sobą tylko połamane trupy.

Tyler mruga zaskoczony. Lae tylko warczy. Ja jednak wiem, kto nas uratował.

– Ojciec...

Stoi nade mną z wyciągniętymi rękami, odziany w czarną stal. Oczy ma podkrążone, usta i podbródek umazany fioletem – resztkami krwi, którą otarł. Widzę, że szczeliny w jego twarzy są głębsze, palce mu drżą – zdradza ledwie zauważalne nadwyrężenie.

Jednakże jego oko płonie jak gwiazda. Chociaż go nienawidzę, wyczuwam, jak Wewnętrzny Wróg wzbiera we mnie, gdy ojciec jednym ruchem ręki usuwa to, co mnie więzi.

– Żadne dziecko Caersana nie umrze na kolanach, Kaliisie. Walcz!

Aurora

Nie dam rady sama.

Bitwa trwa na zewnątrz, a ja daję z siebie wszystko, co mam – tyle samo, ile dają z siebie ci, co walczą poza Echem – żeby naprawić rozdarcia w Echu. Jest tego jednak zbyt dużo. Echo jest zbyt wielkie.

Staram się zobaczyć dawne obrazy wyraźnie, przypomnieć sobie, jak to miejsce wyglądało, gdy spacerowałam po falistych polach kwiatów z Kalem, trzymając go za rękę. Na tę myśl sięgam ku niemu umysłem poprzez dzielący nas ocean i wtedy rozumiem.

Widzę to.

Nie dam rady sama.

Ale przecież nie jestem sama.

On jest ze mną. Zawsze. Nie tylko Kal, ale też Tyler. Wyczuwam go, towarzyszącą mu załogę, pozostałych ludzi, którzy przetrwali, a których nigdy nie miałam okazji naprawdę poznać, dzieci i wojownicy, zacięci i przerażeni, stojący z niedobitkami tych, których kochają, albo całkiem sami – ostatni przedstawiciele swojego rodzaju.

Każdy z nich walczy i umiera za przyszłość Galaktyki, daje z siebie wszystko w nadziei na inne wczoraj.

– Nie jestem sama – szepczę.

– Jestem z pilotem imieniem Simann, desperacko próbuję pozbyć się Chwastów siedzących mi na ogonie, wiadomo było, że ta chwila nadejdzie, ale strach jest jak lód w trzewiach, wyciągam rękę do hologramu mojego męża na tablicy wskaźników i wiem, że wszystko będzie dobrze, bo niedługo znowu go zobaczę i...

– Jestem w Echu, czysta woda rzeki zmieniła się w krew, ale nie zważam na to, co widzę, i ruchem palca kreślę w powietrzu obraz z pamięci, czerpiąc z tysięcy sesji treningowych i...

– Stoję z Dacą, która walczy z mrowiem, i myślę o moim rodzeństwie, gdy wszyscy siedzieliśmy w blasku kominka, a ojciec opowiadał nam historie o dawnych bohaterach, i zastanawiałam się, czy kiedykolwiek wyrosnę na kogoś takiego, i właśnie zdaję sobie sprawę, że wyrosłam, że nim jestem i...

– Jestem w Echu, otwieram się na powódź na zewnątrz, odchyłam głowę, kiedy milion kawałków sztucznego szkła podnosi się z ziemi i tworzy pole pięknych kwiatów i...

– Jestem z Elin, opryskliwą Betraskanką z załogi Tylera, walczę plecy w plecy z Toshh i myślę o tym, jaka byłam głupia, że wcześniej nigdy nie zaproponowałam jej randki, nie powiedziałam jej, co czuję; zderzamy się ramionami, gdy obie się cofamy, ona przelotnie zerka mi w twarz, uśmiecha się i nagle dociera do mnie, że ona wie, zawsze wiedziała i...

– Buduję góry w umyśle, zagajnik, w którym spaliśmy z Kalem, i każdy z moich wojowników w jakiś sposób mi pomaga, użyczają mi fragmentu siebie, jakiś ostatni gest, myśl albo wspomnienie, które mi mówią, że nie jestem sama, że wszyscy jesteśmy razem, ich obecność przepływa przeze mnie jak woda. Eshvarenowie próbowali mnie przekonać, że to wszystko trzeba wypalić w sobie, ale miłość zawsze była tym, czego potrzebowałam do walki, ale...

– kiedy sięgam ku tym, których znam i najbardziej potrzebuję, najbardziej kocham

– czuję, że coś jest nie tak, czuję

– że coś jest naprawdę nie tak...

Kal

– Wycofać się! – krzyczy Tyler.

Jeden po drugim ludzie Tylera padali pod naporem wroga – ludzie na Wiekuistym, statki, które salutowały nam na pożegnanie, a teraz Toshh, Elin, Dacca oraz pozostali członkowie załogi *Mściciela*.

Małeńka cząstka jego serca znika z każdym z nich, mimo to on nadal walczy. O to, co mu jeszcze zostało.

Tyler, Lae, mój ojciec i ja.

Aurora za drzwiami do sali tronowej.

Jedna chwila w przeszłości może zmienić to wszystko.

Wróg jest zbyt liczny. Ojciec ścina jednego za drugim. Kiedy stoję obok niego, cząstka mnie, która dorastała w jego cieniu, śpiewa z uwielbienia.

Jednak reszta mnie oniemiała ze zgrozy, bo to nie tylko nasz los, ale całej Galaktyki. Kolejni nadchodzą, wciąż więcej, teraz nie tylko humanoidy, lecz istoty wszelkich kształtów – wielorękie behemoty z Manarii IV, olbrzymy o kamiennych pięściach z Dryftu Tartallus, wszystkie pokryte mchem, zniekształcone i stanowiące Jedno.

Widzę blask pulsujący w otaczającym nas kryształach; jest ciepły i kojący. Pęknięcia znikają, serce mi wzbiera na myśl, że Aurorze może się udać, ale coś wstrzymuje naprawę, coś ją dławi...

Patrzę w tunel za nami i widzę światło pulsujące w sali tronowej.

– Wycofać się! – krzyczy znowu Tyler.

Ojciec zgrzyta zębami, warczy.

– Utrzymaj pozycję, Terraninie!

– Możemy wciągnąć ich w wąskie gardło! – woła Lae. – Zyskać trochę na czasie!

Wynurzają się z dymu, szybują przez korytarze *Neridai* na skrzydłach pokrytych mdłą, sinawą zielenią. Prawie wyginęły, kiedy mój ojciec zniszczył Syldrę. Mimo to nadlatują, trzy lądują z grzmotem wśród zgnielego legionu Ra’haam. Wstrząs powala Lae na kolana, Tyler i ja zataczamy się, kiedy przestrzeń wokół nas wypełnia się rykiem.

– Stwórco, tylko nie znowu one – warczy Tyler.

– Drakkany – szepcze Lae.

Potężne stwory poruszają się szybko jak żywe srebro i są wielkie jak domy. Mimo to pierwszy pada, rozcięty na pół, kiedy palce mojego ojca przecinają powietrze. Drugi zatacza się, gdy ciskam ostatnią pulsacyjną bombę w jego paszczę, a mój ojciec unosi rękę i skręca mu szyję. Trzeci jednak atakuje z szybkością kobry, uderza w Lae, która nadal kłęczy.

Jego szpony wystarczą, żeby przeciąć stal, zęby ma ostrzejsze od mieczy i chociaż dziewczyna wykręca ciało i podrywa się, nie jest dostatecznie szybka. Szpony opadają, ślepia błyszczą jak kwiaty.

Z wrzaskiem protestu ktoś skacze między drakkana i jego ofiarę, pancierz wspomagany wyje, kiedy potworne szpony uderzają. Oboje

przelatują po złanej posoką posadzce.

- TYLER!

Aurora

- niebo znowu pęka z trzaskiem, pieśń wiatru się zmienia, gdy przelatuje pośród rosnących wokół mnie drzew.

- syldrański chłopiec klęczy, a dziewczyna patrzy, jak jego ojciec kopie go w żebra; chłopiec w milczeniu, uparcie nie chce walczyć w swojej obronie, a ja podbiegam z jego imieniem na ustach.

- Kal!

- kryształowe miasto na horyzoncie rozpada się, a ja szaleńczo, uparcie składam je z powrotem zgodnie z mapą w moim umyśle, przywracam mu całą jego chwałę, ale czuję cień między nimi a...

- syldrański chłopiec i dziewczyna stoją razem, kiedy ich rodzice krzyczą na siebie. Żadne z nich nie rozumie, ale oboje obserwują i uczą się; żołądek mi się zaciska, kiedy widzę cień, który zakorzenia się w ich sercach, wyczuwam płataninę bólu i miłości między całą ich czwórką.

- Caersanie, musisz to naprawić! - krzyczę.

Odwraca się w mojej wizji, żeby na mnie spojrzeć z nieodgadnioną twarzą.

- Nie ma czego naprawiać! - warczy, bo nawet nie potrafi dostrzec szkód i ryczy: - Słaba dziewczyno! - Wyrzuca mnie ze swojego umysłu, i

- krzyczę na niego, bo teraz to czuję - potężne, przesłodzone mrowie Ra'haam, które jest już tak blisko i wiem, że nie powstrzymam go bez pomocy ich wszystkich, bez niego nie dam rady tego naprawić, a on nie chce słuchać, nie pomoże mi, a ja to czuję w nich, ten cień niczym nowotwór, który mnie blokuje, powstrzymuje, i

- Jeśli nie zdołam powstrzymać tego teraz

- A nie zdołam powstrzymać tego teraz

- Wiem, że nie uda mi się powstrzymać tego wtedy.

– jestem z Tylerem, który stoi na mostku statku z Saedii, zanim została zabrana, zanim nawet naprawdę ją poznał i pokochał. Jest nadal młody, promienny i przypomina mi czasy, kiedy tańczyliśmy na Wieku-istym, ja w pięknej czerwonej sukni, on w tych idiotycznych spodniach, oboje pełni nadziei i wiary; patrzę w jego przystojną twarz, a on nie wie, co nadchodzi, i myślę...

– *nadal masz szansę, by to wszystko naprawić, Tylerze Jones. Powiedz mi, kiedy to się stanie i gdzie to się stanie*

– *jak to się stanie i*

– w tym miejscu, gdzie czas nic nie znaczy i minuta może trwać całe życie, gdzie mogę wszystko, jeśli tylko to sobie wyobrażę, przelewam siebie w jedną chwilę, pozostawiając wszystko inne poza sobą, sięgam daleko w czasie, żeby krzyknąć ostrzegawczo do chłopca, który kiedyś istniał, bo nie wiem, czy damy sobie teraz radę, ale może on to naprawi, bo w przeciwnym wypadku może już nic nam nie pozostać i...

– Może już nic nam nie zostać

– Nie zostało już nic, co ja...

– TYLER!

Kal

– TYLER!

Dopadam z poślizgiem mojego brata, kiedy kolejny impuls krwisto-czerwonej mocy bucha wokół nas. Tyler nadal trzyma w ramionach posiniaczoną i zdumiałą Lae. Serce mi się zaciska, gdy widzę krew płynącą z jego ust, rozdarcie w pancerzu, jego szyję. Ojciec znowu uderza, sfera mocy zmienia drakkana w miazgę. Jednak najgorsze już się stało...

– Chyba nie m-można oczekiwać, że zabije się dwóch t-tych łajdaków w jednym życiu – mówi z grymasem Tyler.

- Wstawaj – mówię, obejmując go za ramię. – Szybko.
- Z-zapomnij. – Kaszle i charczy. – U-uciekajcie.
- Nie – szepcze Lae, patrząc na mnie. – Musimy...
- Oczywiście. – Ignoruję protesty Tylera i pomagam mu wstać. –

Ojczy!

Zerka na mnie, oczy mu płoną; pławi się we krwi, jakby po to się urodził.

- Ojczy, musimy się wycofać!

- To idź!

Zadyszani, zdesperowani, ciągniemy z Lae Tylera tunelem, który prowadzi do sali tronowej. Ściany pulsują melodyjnie, krzyki umierających i wibracja mocy zalewają mnie jak deszcz. Znowu czuję ciepło, ale też wyczuwam coś niewłaściwego między nami, jakiś cień.

Aurora unosi się w sercu komnaty z odchyłoną głową, okiem płonącym jak milion gwiazd. Krzywię się, kładę delikatnie Tylera. Ręce mam uwalane jego krwią.

Lae krzywi twarz, oczy napęniają jej się łzami.

- Nie...

- Aurora! – krzyczę. – POŚpiesz SIĘ!

Ojciec poszedł za nami do sali tronowej, niechętnie się cofając. Ra'haam napiera. W ostatnim przebłysku gorzkiej desperacji ojciec ryczy, wyciągając ręce.

Kryształowe ściany pękają, *Neridaa* krzyczy z bólu, kiedy korytarz wali się, zamykając nas w środku.

Ra'haam jednak już uderza w barierę, a ja wiem, że chociaż ojca wiele to kosztowało, to zapewnił nam raptem pojedyncze minuty.

- Nie ma czego naprawiać! – warczy mój ojciec.

- Ojczy?

- Słaba dziewczyno!

Ściany drżą, policzki Aurory lśnią od łez.

Tyler ściska dłoń Lae, oddycha teraz szybko i płytko.

– Była z ciebie taka dumna.

Światło w nim gaśnie.

– Ja też j-jestem...

Łzy płyną ze zrozpaczonych oczu Lae. I wreszcie pojmuję. Gdy emocje skupiają się na jej twarzy: duma i zaciekłość. Widzę te rysy tak dziwne i tak znajome. Włosy, które są ciekawym stopem srebra i złota.

Słowa Tylera dźwięczą mi w czaszce, zagłuszając odgłosy nadchodzącego wroga.

Sprzymierzyłem się z nią i jej starą załogą, żeby walczyć z Ra'haam. Była niesamowitą kobietą ta twoja siostra.

– Zawsze myślałem, że Saedii nienawidziła naszej matki – mówię, patrząc na nich oboje. – Jednak jej imię...

– ...brzmiało Laeeth – szepcze ze smutnym uśmiechem Tyler.

– Bracie...? – pytam cicho.

Odchodzi. Jego światło gaśnie.

Lae pochyla głowę, zalane krwią srebrnozłote warkocze zwisają wokół jej twarzy, kiedy otwiera usta. Jej krzyk odbija się od ścian, powtarza go echem Aurora, sama *Neridaa*, moc uderza o rosnące szczyliny jak fala o kamienisty brzeg. Wyciągam rękę do przyjaciela ze łzami w oczach.

– Bracie...

– Wstawaj – rozlega się warknięcie.

Odwracam się do niego – nieodmiennie góruje nade mną jak cień.

– Wstawaj! – ryczy mój ojciec, piorunując nas oboje wzrokiem. – Jesteśmy Syldranami! Nasi przodkowie przemierzali gwiazdy, kiedy jego przodkowie byli służem w oceanie! Mamy wojnę do wygrania, a wy nadal oplakujecie terrańskiego kundla?

Lae odwraca się, szczerząc z wściekłości zęby.

– Nie waż się! – warczy. – Nie waż się nazywać mojego ojca kundlem.

Ściany znowu grzmia, stwory w zawałonym korytarzu przekopują się i są coraz bliżej, sklepienie dygoce, połamany kryształ spada jak deszcz.

– Ojca? – Oczy Gwiazdobójcy rozbłyskują. Spluwa krwią na podłogę, gdy *Neridaa* dygoce. – Terranin? Obrzydliwość. Jaka pozbawiona honoru nieszczęśnica ległaby z kimś takim jak on i nadal śmiałaby nazywać siebie Syldranką?

Kręcę głową niemal ze śmiechem.

– Ależ jesteś głupcem.

– A ty jesteś dzieckiem – warczy. – Nieodrodny syn swojej matki.

– I jestem z tego dumny! – ryczę, wstając. – A gdybyś dał mi chociaż kropkę z oceanu miłości, jaką ona mi dała, mógłbym nadal to samo powiedzieć o tobie! Ty jednak potrafisz tylko nienawidzić! – Rozkładałam ręce, ogarniając tym gestem statek, strzaskane tęczowe światło. – I oto co z tego wynika! Koniec Galaktyki! I po co?

– Dla honoru naszego ludu!

– Zabiłeś nasz świat! Zabiłeś swój lud! Gdzie w tym honor?

– To byli zdrajcy! – krzyczy. – Szukali pokoju z Terranami! Żadne prawdziwe dziecko Syldry nie niżyłoby się, żeby lec z naszym wrogiem!

– Powiedz to własnej córce!

Nieruchomieje, wytrzeszcza płonące oczy.

– Co...

– Spójrz na nią! – krzyczę, wskazując Lae.

Ściany dygocą. Tęczowe światło ciemnieje. Aurora otwiera usta i zamyka, jakby chciała coś powiedzieć.

– Nauczyłeś nas wojny – mówię mu. – Nauczyłeś nas strachu. Nauczyłeś nas krwi i wściekłości, i wroga. Jednak nawet Saedii znalazła w sobie zdolność, by pokochać Terranina. Żeby urodzić mu dziecko. Umrzeć w obronie tego, co ty zostawiłeś za sobą zniszczone.

Lży pieką mnie w policzki, gdy patrzę na siostrzenicę.

– Twoje dzieci przez całe życie stały w cieniu twojej nienawiści. Mimo to Saedii stworzyła coś tak pięknego. – Odwracam się do ojca, kręcąc głową. – Wyobraź sobie, co my moglibyśmy stworzyć, gdybyś tylko nas kochał.

- Napraw to...

Odwracam się i widzę Aurorę unoszącą się pośrodku sali. Moc wzbiera w niej, otula mnie, nas, załamuje się na potrzaskanym kryształ. Łzy wzbierają jej w oczach, kiedy patrzy na mojego ojca.

- Nie ma czego naprawiać! - warczy.

- Caersanie, nie dam rady zrobić tego sama.

Wyciąga do niego rękę. Stawką jest cała Galaktyka.

- Napraw to.

Scarlett – zostało czternaście minut

Ziła w moich objęciach to same ostre kąty w kontraście do mojej miękkości. Chciałabym, żeby to nie był pierwszy i ostatni raz, kiedy ją obejmuję. Jestem zasmarkanym kłębkim nieszczęścia i chociaż wiem, że Ziła ma rację, nie mam pojęcia, czy zniosę kolejną stratę. Jestem w stanie zrobić to, co muszę, ale co zostanie ze mnie po drugiej stronie?

Ona jednak dając mi tę chwilę, nie odsuwa się, po prostu zostaje w moich objęciach, prawdziwie i całkowicie, pozostaje częścią mojego życia przez jeszcze kilka sekund. A potem... coś w niej odpuszcza i rozluźnia się, opiera głowę na moim ramieniu na jedno okamgnienie.

I już wiem, że jest gotowa. Stała się tym, kim musiała, żeby to zrobić. A część tej transformacji, która nie pochodziła wprost z niej, to dary od nas.

Podnoszę wzrok, oczy nadal mam pełne łez i napotykam wyczekujące spojrzenie Nari.

Obiecuję, że się nią zajmę, mówią jej poważne oczy.

Ściskam Zilę raz jeszcze, nadal patrząc na dziewczynę, która będzie jej dla nas strzegła. Ona jest wszystkim, mówi moje własne spojrzenie. Potrzebuje kogoś, kto o nią zadba.

Porucznik Nari Kim po prostu kiwa głową. Ona już to wie. Widzi to.

Odsuwam się, wypuszczam Zilę. Fin wsuwa rękę w moją dłoń.

Nie pozostaje już nic do powiedzenia, nie ma zresztą czasu.

Odwracamy się i biegniemy.

Zila – zostało dwanaście minut

To dziwne uczucie iść za Nari, zamiast nią kierować przez system łączności, ale znam każdy krok, jakbym sama przebiegła je setkę razy. Nari i ja pokonujemy zakręt, przywieramy płasko do drzwi, odliczamy cenne sekundy, aż patrol mija koniec korytarza.

Finian i Scarlett zaraz odwrócą ich uwagę. I w ten sposób Nari i ja dotrzemy do rdzenia czterdzieści pięć sekund wcześniej, niż udawało jej się dotąd.

To nie wystarczyłoby, gdyby była sama. Ale dzięki temu zyska czas, by mnie osłaniać.

Razem damy radę.

Finian – zostało dziesięć minut

– Niech to Stwórca i jego owłosione...

– Mniej gadania, więcej biegania! – dyszy Scar.

Patrol ochrony biegnie głośno korytarzem za nami, wzywając wsparcie i pewnie ostrzał naszej obecnej pozycji. Na stacji jest Betraskanin i teraz o tym wiedzą.

Dobra nowina jest taka, że odwracamy ich uwagę. Zła – że jesteśmy prawie w hangarze i jeśli nie zgubimy ogona, to kradzież statku okaże się naprawdę trudna.

I wtedy widzę ją na ścianie przy następnym skrzyżowaniu przed nami. Jeśli da się łatwo wyrwać z uchwytu, to przeżyjemy. W przeciwnym wypadku już po nas.

– Scar – dyszę. – W lewo.

Nie zadaje pytań, po prostu rzuca się za róg, a ja łapię gaśnicę i wyrynam z uchwytu. Modląc się do Stwórcy, ciskam nią w goniących nas twarżdzieli.

Strzelają do mnie – jeden z nich jest tak blisko, że prawie funduje mi nową fryzurę. Trafiają jednak w gaśnicę i ta się rozlatuje. W okamgnieniu korytarz wypełnia się delikatnym białym proszkiem, który mnie oślepia. Wciągam ostry chemiczny zapach z oddechem. Po omacku szukam drzwi, które Scarlett przytrzymuje.

Wpadam do środka, zasłaniając obiema rękami usta, żeby zdusić kaszel. Drzwi zamykają się z szumem, a my słuchamy, jak patrol dociera do skrzyżowania, przeklina, a potem rozbiega się w cztery strony, oddalając się z tupotem od naszej kryjówki.

Cieniasy.

Zila – zostało osiem minut

Tym razem Liebermann padła, nie trafiwszy Nari. Unieszkodliwiłyśmy ochroniarzy stojących pod laboratorium. Docieramy do tabliczki:

Nieupoważnionym wstęp wzbroniony.

– Ochrona na poziom 2. Powtarzam: ochrona na poziom 2.

Skradziona karta przyłożona do panelu przy drzwiach. Elektroniczny basowy sygnał.

I alarm, który podpowiada mi, że zostało osiem minut do implozji stacji i końca naszej ostatniej pętli.

– Uwaga! Przebicie pola siłowego postępuje. wprowadzić procedury bezpieczeństwa na pokładzie 9.

I wreszcie we własnej osobie znajduję się w dużym okrągłym pomieszczeniu, które widziałam raz za razem oczami Nari. Cylindryczna szklana gabłota dominuje w laboratorium, przewody i kable łączą ją z baterią komputerów stojących pod ścianą. Nasz cel znajduje się w środku; jest popękany, unosi się w powietrzu, pulsuje światłem.

Kiedy pierwszy raz widziałam jedną z tych sond, Aurora dotknęła jej i przeżyła pół roku w Echu razem z Kalem. Zastanawiam się przelotnie, co się z nimi stało. Czy przeżyli. Czy to wszystko będzie warte wysiłku.

– Co tu, u diabła, robicie?

Nari ogłusza mężczyznę w białym kombinezonie chroniącym przed promieniowaniem. Tym razem ogłusza też jego towarzysza, zanim zdąży wyciągnąć broń. Przyklekam, wsuwam ręce w maszynierię i skupiam się na swoim zadaniu.

Liczy się tylko ta chwila.

– Za dwadzieścia sekund będziemy miały towarzystwo – mruczy Nari.

Stoi idealnie nieruchoma ze wzrokiem wbitym w drzwi. Jak unoszący się w powietrzu sokół, który czeka na swoją szansę.

System pozwalający wyrzucić kryształ w przestrzeń jest bardziej mechaniczny niż elektroniczny – pewnie po to, by zadziałał w razie awarii zasilania. Cztery zamki rozmieszczone w czterech różnych kierunkach świata trzymają sondę i każdy należy ręcznie odblokować. Mechanizmy niestety są ciężkie, przyśrubowane. Rozglądam się po podłodze i podczołguję do nieprzytomnego inżyniera. Obracam go na plecy, przesuńkuję jego pas z narzędziami i łapię ciężki klucz.

Pośpiesz się, Zilo, pośpiesz. Tym razem zdołasz ich uratować.

– Uwaga! – krzyczy Nari, kiedy drzwi się otwierają i nagle otaczają mnie dźwięki, światło i dym. Jedną ręką nasuwam koszulę na usta i nos. Klucz pasuje do pierwszego mocowania. Szarpnię je raz, drugi. Wreszcie udaje mi poluzować śrubę. Otwieram zamek.

Podpełzam do drugiego, nie zważając na ogień skwierczący nad moją głową, zapach topiącego się metalu. Nari powstrzymuje ochronę, ale jest ich bardzo wielu i wiem, że zostało już tylko kilka sekund, zanim jeden z nich zapewni pozostałym osłonę ogniową i umożliwi im wbiegnięcie do laboratorium.

Zerkam na sondę i otwieram kluczem drugi zamek. Alarm rozbrzmiewa głośnie. Sonda wciąż się unosi, pulsuje światłem i trzyma moich przyjaciół w tym miejscu.

W tym czasie.

– Zila! – krzyczy Nari, kiedy broń ryczy i kolumna nad jej głową bucha fontanną iskier. – Pośpiesz się!

Czołgam się na brzuchu do następnego zamka, syreny wyją mi w uszach.

Ręce mam śliskie od potu, klucz ślizga się, gdy mocno ciągnę, krzywię twarz i wreszcie otwieram trzecie mocowanie.

– ZILA! – ryczy Nari.

– Dziesięć sekund! – odkrzykuję.

Jestem już przy czwartym zamku, walczę, żeby wsunąć klucz, i szarpie z całej siły, by go obrócić. Ostatnie mocowanie stawia opór, uparte, denerwujące. Los całej galaktyki spoczywa w moich rękach. Nie jestem religijną osobą, ale cząstka mnie potwornie tego teraz żałuje.

– Proszę – szepczę do kogokolwiek, kto słucha.

Proszę.

I wreszcie, wreszcie śruba puszcza.

Jeszcze przez chwilę światło pulsuje. Strumień energii płynącej przez zniszczoną sondę się urywa. I wreszcie światło w sondzie migocze.

A potem gaśnie.

Z głuchym łoskotem cylinder otwiera się, zniszczona sonda wypada z niego w zimną pustkę kosmosu.

Pozbawiona zasilania.

Pozbawiona życia.

Udało mi się.

Nie ma jednak czasu na świętowanie. Nari cofa się do mnie, nadal strzelając i przeklinając. Powietrze wypełnia się palbą, hałas jest prawie ogłuszający.

Pięć sekund.

Nari zużywa resztkę amunicji, strzelając w drzwi, a potem uskakuje za moją kolumnę. Splatając dłonie tak, jak zaplanowałyśmy.

Upuszczam klucz i podnoszę się, stawiając stopę na jej złączonych rękach.

Nari wstaje, stękając, i podnosi mnie do góry. Przebijam się do przewodu w suficie, łapię się brzegów dziury i podciągam, nie zważając na ból, gdy wciskam się w za ciasną przestrzeń. Zaraz wysuwam się, żeby podać rękę Nari.

Ona skacze, kolejna bateria komputerów wybucha za nią i przez chwilę myślę, że nie uda mi się jej złapać, bo nie jest dość wysoka.

A potem jej dłoń uderza o moją i ze wszystkich sił wciągam ją na górę. W tej samej chwili patrol ochrony wpada do laboratorium.

Finian – zostało siedem minut

Jesteśmy później niż zwykle i w hangarze panuje ruch; nasza wypróbowana ścieżka do promu przepadła. W głowie mi się kręci, serce mi wali, kiedy przykucam ze Scar w cieniu pojazdu dostawczego. Próbuję oddychać głęboko, żeby się uspokoić.

Oddech pogwizduje mi w gardle – dziwaczny, wysoki dźwięk. Nadal czuję chemię z gaśnicy, przekłete *chakk*. Fuj. Co Terranie do nich wkładają?

– Musimy spróbować dotrzeć na ten sam statek – szepcze Scarlett. – Większość załogi skoczy do kapsuł ratunkowych, ale prom to jedyne, czym wlecimy w burzę.

Chcę jej przytaknąć, ale język mam dziwnie ciężki, wargi mnie mrowią i usta nie chcą robić tego, czego od nich oczekuję. Kiedy Scarlett patrzy na mnie, tylko kiwam głową.

– Możesz... zrobić coś, żeby odwrócić ich uwagę? – pyta szeptem. – Włączyć gdzieś alarm albo zrobić jakąś magiczną sztuczkę z komputerem?

Kręcę głową, pochylając się, przyciskając dłonie do ziemi. Nie mogę nabrać powietrza. Mam zawroty głowy.

– Dobrze się czujesz? – pyta zaniepokojona.

Wskazuję statek. Musimy ruszać.

– Zatem tradycyjne rozwiązanie – mruczy. Wychyla się i rozgląda, a potem obiema rękami wyciąga klin spod koła najbliższego myśliwca i ciska nim w głąb hangaru.

Kloc łąduje z potężnym hukiem i wszyscy patrzą w tamtą stronę.

Scar wyskakuje jak sprinter z bloków startowych. Ja biegnę chwytając za nią, jest za gorąco, za bardzo mi się kręci w głowie, obraz przed oczami zaczyna mi pływać. Wiem, dokąd muszę biec, ale biegnę na oślep.

Moje nogi są słabe. Egzoszkielet za długo pracował bez wytchnienia.

Dobiegamy do ciężkiego promu, który zawsze kradniemy.

Czuję ból, gdy kolanami uderzam o podłogę. Pracuję szybko przy włączaniu, otwieram go, zwierając kable pośród dymu i chaosu, tak samo jak zawsze. Tyle że ręce mi się trzęsą.

Nie mogę nabrać powietrza.

Mój język jest dziwny.

Coś jest nie tak.

Zila – zostało sześć minut

– Zila! – Głos Scarlett niesie się przez system łączności zniekształcony, ale zrozumiały.

– Chwileczkę – mówię, pokonując zakręt i czołgając się za Nari. Przewody są naprawdę ciasne, ale obie jesteśmy drobne. Nikt z ochrony nie zdoła pójść za nami. Nie mamy jednak dużo czasu, żeby dotrzeć do kapsuł ewakuacyjnych.

– Powtarzam: Przebicie pola siłowego postępuje. wprowadzić procedury bezpieczeństwa na pokładzie 9.

– Zila, chodźże! – woła Nari i kopniakiem wybija kratę przed nami.

– Scarlett? – pytam, czołgając się. – Jesteście na promie?

– Uwaga: Nieuchronna implozja reaktora za trzy minuty. Cały personel ma natychmiast zgłosić się do kapsuł ratunkowych. Powtarzam: implozja reaktora za trzy minuty.

– Tak, już lecimy! – krzyczy Scarlett. – Kierujemy się w burzę, ale coś się stało z Finem! Nawdychał się jakiejś chemii na górze i teraz nie może oddy...

– Powtarzam: Nieuchronna implozja reaktora. Natychmiastowa ewakuacja całego personelu.

Łapię się ścian stacji, która cała się trzęsie. Alarmy w przewodach brzmia potwornie głośno.

– Co takiego mówiłaś? Co się stało Finianowi?

– Zila, on nie może oddychać!

Scarlett – zostało pięć minut

Fin garbi się w fotelu pilota, wokół nas płonie przestrzeń. Kapsuły ratunkowe wystrzelują z boków stacji, płonąca plazma wylatuje z jej wnętrza, a my pędzimy w stronę ogromnych skłębionych macek burzy ciemnej materii, do żagla i impulsu, naszego biletu powrotnego do domu.

Tyle że nie wiem, czy Fin tego dożyje.

Twarz mu spuchła, oczy wychodzą z orbit, usta przybrały dziwny fioletoowy odcień. Staram się nie panikować, wziąć się w garść. Kładę go na podłodze, gdy zbliżamy się do burzy, i skupiam się na głosie Zili. Wydaje się, że dobiega z bardzo daleka.

– Czy on rzeźi, Scarlett? Czy to brzmi jak poświstywanie?

Pochyliam się, przysuwam ucho do jego ust z sercem tłukącym mi o żebra. Już się nie rusza, nie mówi, nie...

Stwórco, proszę, proszę, nie rób tego...

– Tak.

– Zatem nadal oddycha – mówi Zila. – Nari i ja biegniemy do kapsuł ratunkowych. Skoro Finian nie jest w stanie, to ty musisz pokierować statkiem przez burzę w stronę kwantowego żagla. Musisz być w pobliżu, kiedy impuls uderzy. Dla pewności nie więcej niż dziesięć metrów.

– Ja? – Rozglądam się spanikowana, widzę fotel pilota. – Ja nawet nie potrafię tym latać! Do moich obowiązków należały błyskotliwe komentarze!

– Posłuchaj uważnie, Scarlett...

– Zila, nigdy niczym nie latałam bez autopilota! – krzyczę. – I nie wiem, co mu jest, nie znam się na med...

– Scarlett! Posłuchaj mnie. To nasza ostatnia szansa powrotu do domu. Dasz radę. Musisz.

Patrzę na chłopca na pokładzie obok mnie, który nie może oddychać. Przyszłość nas wszystkich zależy od tej chwili. Każdy moment w moim życiu prowadził właśnie do tej chwili. Wyraźnie słyszę w umyśle jego głos.

Nie jestem pewien, czy zauważyłaś, ale to ty jesteś osobą, która trzymała całą naszą drużynę w kupie. Potrzebujemy cię, Scar.

Zamykam oczy, biorę się mentalnie w garść.

Potrzebują mnie.

On mnie potrzebuje.

– No dobra, to lecimy.

Finian – zostały cztery minuty

W głowie mi się kręci, moje ciało walczy o oddech, ale tonę i nie mam czego się złapać. Próbuje wspiąć się na skałę, kiedy ocean uderza we mnie, łapie lodowatymi rękami i każda fala ściąga mnie w dół, w dół i w dół.

A ja tylko myślę, że nie mogę się puścić, nie

mogę

się

puścić.

Dopóki nie będę miał pewności, że opuściliśmy pętlę.

Jeśli teraz umrę, to czy przeze mnie zaczniemy od początku?

Nie mogę tego zaryzykować.

Nie mogę jeszcze umrzeć.

Wbijam paznokcie w skałę, kiedy morze mnie opływa, fale we mnie wałą, ściskają mi płuca. Widzę bardzo niewyraźnie.

Tak strasznie, strasznie mi przykro, że Scar zostanie sama, że sama jedna będzie musiała stawić czoło Ra'haam. Ostanie się tylko serce druzyny 312. Ale może zawsze mieliśmy tylko serce? Może miłość zawsze była płomieniem, jakim powstrzymywaliśmy ciemność?

Moje pole widzenia się zawęża.

Muszę się trzymać.

Aż dotrzemy do domu.

Scarlett – zostały trzy minuty

– Zila! – krzyczę, patrząc bezradnie na Fina, kiedy wygina plecy i drapie podłogę. – Zila, on nie może oddychać!

Głos Zili brzmi spokojnie w moim uchu.

– Musisz zająć się tym, co najważniejsze, Scarlett. Wciąż lecis w stronę żagla?

Coś znowu uderzyło w prom, silniki zmagają się z burzą. Nawet na jej obrzeżach siły, jakie tu działają, są miażdżące, kolosalne. Zerkam na czujniki promu, na ekran i widzę potężny srebrny prostokąt wznoszący się w ciemności przed nami.

– Tak! Lecimy prosto na żagiel. Jest w zasięgu dziesięciu tysięcy kilometrów!

– Świetnie. Czy na promie jest apteczka?

Podnoszę wzrok, rozglądam się rozpaczliwie po małej kabinie. Podrywam się, otwieram gwałtownie szafki, przeszukuję je, zapasy rozsypują się na podłogę.

– Nigdzie jej nie widzę! – krzyczę, waląc kolanami w podłogę, gdy padam na klęczki obok Fina.

Powieki mu się zamykają.

Słyszę przez system łączności wycie syren.

– Uwaga: Kaskadowe przebicie pola siłowego. Nieuchronna implozja reaktora za trzy minuty. Cały personel ma natychmiast zgłosić się do kapsuł ratunkowych. Powtarzam: implozja reaktora za trzy minuty. Odliczanie trwa.

– Jeśli nie ma apteczki, to posłużymy się tym, co mamy – oznajmia po prostu Zila. – Opisz objawy.

– M-ma spuchnięte usta, oczy... – Łapię gwałtownie powietrze i ścisnę jego rękę. – Nie może oddychać, chwytą się za gardło...

– Opisujesz wstrząs anafilaktyczny, Scarlett. Pewnie spowodowany chemikaliami, których się nawdychał. Musisz przeprowadzić tracheotomię.

– Co?! – wrzeszczę.

– Gardło mu tak spuchło, że się zacisnęło. Musisz wykonać nacięcie poniżej opuchnięcia, żeby mógł oddychać. Będziesz potrzebować noża.

– Zila, nie mogę...

– Scarlett – przerywa mi Zila. – Nie mamy czasu. Finian nie może umrzeć przed uderzeniem impulsu, bo pętla zacznie się od początku. Nosi mały śrubokręt w egzoszkielecie na prawym ręku.

Dłonie mi się trzęsą. Finian już się nie rusza, jego ręka jest ciężka, gdy ją podnoszę, obracam i znajduję śrubokręt w małym zagłębieniu.

To nie może się dziać naprawdę.

– Mam – dyszę, robiąc to i zarazem nie wierząc, że to robię. – Mam, co teraz?

– Będziesz potrzebować małej, sztywnej rurki, cieńszej od twojego palca.

– Rurki?! – krzyczę, oddychając za szybko. Niektórzy ludzie są nienaturalnie spokojni w obliczu kryzysu, ale Scarlett Jones do nich nie

należy. – Na Stwórcę, skąd mam coś takiego wystraszać...

– Rozejrzyj się. Musi coś tam być.

– Nie ma! Zila, tu niczego nie ma!

Prom znowu się trzęsie, energie na zewnątrz grożą, że nas rozedrą. Nieprzejrzana ciemność rozświetla się głębokim ponurym fioletem, kiedy ciemna energia skwierczy w burzy. Zerkam na ekran, widzę ogrom, skalę burzy i dociera do mnie, że bałabym się o własne życie, gdybym już nie bała się o życie Fina.

Nadal jesteśmy za daleko od żagła. On umrze, zanim dolecimy. I to na moich rękach.

Tak daleko zaszliśmy. Tak bardzo walczyliśmy. Tak wiele straciliśmy.

Tu się rozgrywa wielowiekowa historia.

I tak ma brzmieć jej ostatni rozdział?

I wtedy coś mi się przypomina – to jest jak uderzenie potwornej energii. Wkładam ręce do kieszeni na piersi kombinezonu Fina, szukam desperacko i wreszcie znajduję.

Długopis.

– Zila, przeklęty długopis!

– Hmm. Ciekawe.

– Marudził z powodu tego cholerstwa przy każdej okazji – mruczę, rozkręcając go nerwowo. Fin leży nieruchomo, kiedy krzyczę mu w twarz. – A jednak to nie aż taki beznadziejny prezent, co?!

Jego pierś się nie rusza.

Powieki tak mu zapuchły, że nie mógłby otworzyć oczu.

Kolejne części długopisu uderzają o podłogę, aż wreszcie trzymam obudowę. Stal nierdzewna. Jasna i ciężka. Burza kotłuje się wokół promu. Ciemna energia skrzy się na czarnym tle.

– Co teraz? – pytam.

– Przesuń palcami po jego gardle – tłumaczy spokojnie Zila, a ja łapię się tego jak skały. – Wyczujesz dwa wybrzuszenia. Między nimi zrób nacięcie i wsuń długopis.

Uspokajam siłą woli rękę, przesuwam opuszkami po skórze Fina raz i drugi, upewniając się, że znalazłam właściwe miejsce. Burza próbuje rozerwać prom na śrubki, ale każę sobie znieruchomieć.

Uspokoić się.

Oddychać.

A potem już jestem tylko ja ze śrubokrętem w ręce i jest gardło Finiana. I... kurwa, kurwa, kurwa, kurwa. Dlaczego ze wszystkich członków drużyny musiało paść akurat na mnie?

– Dasz radę, Scarlett – mówi cicho Zila. – Nie ma dla ciebie rzeczy niemożliwych.

Biorę wdech. Zaznaczam miejsce.

Dam radę.

Zila – zostały dwie minuty

– Oddycha! Zila, Stwórco, on...

Słowa Scarlett znikają w morzu zakłóceń, kiedy zbliża się z Finianem do burzy i łączność zostaje zerwana.

Nari i ja siedzimy w naszej kapsule ratunkowej, wyglądamy przez iluminator głowa przy głowie. Mrok pustki jest rozświetlany setkami maleńkich światełek, czerwonych i zielonych – to inne kapsuły wystrzelwane ze stacji Szklany Pantofelek. Dalej widzę burzę i maleńki prom Scarlett i Finiana lecący przez atramentową ciemność na spotkanie z żaglem kwantowym.

Za niecałe dwie minuty, jeśli wszystko pójdzie dobrze, impuls w nich trafi. Pozostałości drużyny 312 znajdują się dwa stulecia ode mnie, na zawsze poza moim zasięgiem.

Tyle że to nie jest prawda. Wszystko, co zrobię, dosięgnie ich ostatecznie.

Patrzemy, jak prom wlatuje w burzę.

Nari przyciska rękę do szyby.

– Szczęśliwej drogi – szepcze, kiedy burza przesłania stateczek. – Udanego polowania.

Minuta.

Odwracam się do Nari, przyglądam się rysom, które stały mi się tak znajome podczas tego jednego dnia, który przeżyaliśmy raz za razem. Dużo o niej wiem, a jednocześnie tak mało. Mam resztę życia, żeby się nauczyć.

– Wiem, że cię zostawili – szepcze Nari, patrząc mi w oczy. – Ale nie zostawili cię samej.

W jej słowach są iskry, które przeskakują między nami jak elektryczność, jak uderzenie maleńkiej kwantowej błyskawicy. I kiedy trafiają, jestem jak prom – przekształcona i przeniesiona, znajduję się w nowym miejscu i...

Unoszę dłoń i bardzo powoli, ostrożnie, dotykam jej policzka i przesuwam palce ku szyi.

Jej skóra jest ciepła.

Nari jest taka dzielna, taka zaciekle. Jak sokół.

Tak pełna życia, powiązana tysiącem więzi z przyjaciółmi, z rodziną, ze światem.

I jest piękna. Rysy jej twarzy, zarys ust... Słyszę głos Scarlett w umyśle, melodyjny i rozbawiony. „Nie jest wysoka”.

Nie jestem sama.

Jestem z nią.

Wystarcza najdelikatniejszy nacisk moich palców na jej kark, żeby się pochyliła i musnęła moje wargi ustami. Za kilka chwil impuls uderzy, a ja już płonę.

Scarlett – została minuta

Żałuję, że nie jestem z tych, którzy się modlą.

Jednakże pierś Finiana porusza się powoli, a ja obserwuję go, odliczając. Trzymam ręce spokojnie na sterach. Nie pozostaje mi nic innego

jak czekać.

Nie wiem, co zastaniemy po powrocie do domu. Nie wiem, czy w ogóle wrócimy do domu. Wiem jednak, że zrobiłam wszystko, co w mojej mocy.

Zerkam na ekran i na burzę szalejącą na zewnątrz, a kiedy patrzę na Finiana, widzę, że otworzył oczy.

– Nie ruszaj się – mówię mu natychmiast. – Nie ruszaj się. Będziemy musieli naprawdę szybko zabrać cię do prawdziwego lekarza.

Unosi brwi, ale nie próbuje mówić.

– Jeszcze nie. Jeszcze kilka sekund – mówię. – Domyślam się, że pytasz, czy przeskoczyliśmy. Jeśli pytasz, czy znalazłam umiejętności, odwagę i ogólną nadzwyczajność, żeby przeprowadzić operację pośród panującego chaosu, to cóż. Jeżeli myślisz, że sprawdzisz tyłu chłopaków w poszukiwaniu tego idealnego, zamierzałam pozwolić takiemu drobiazgowi jak tracheotomia stanąć na drodze prawdziwej miłości, to ewidentnie nie doceniasz tego, jak zmęczyło mnie szukanie.

Usta drgają mu słabo.

Zerkam znowu na zegar.

Już czas.

Zrobiłam wszystko, co mogłam.

Żagiel rozciąga się pod nami, metaliczny, falujący, szeroki na tysiąc kilometrów. Otaczająca nas burza jest nieskończona, niemożliwa, ma dość mocy, żeby rozerwać ściany czasu i przestrzeni, które zamknęły się wokół nas. Kryształ na moim gardle zaczyna płonąć. Czarne światło. Biały szum. Czuję to na skórze. Słyszę w głowie. Jesteśmy tacy maleńcy, tak nic nieznaczący w obliczu tego wszystkiego, że zastanawiam się przez chwilę, jakie to ma tak naprawdę znaczenie.

Finian patrzy na mnie wielkimi, czarnymi oczami, które kiedyś uważałam za tak trudne do odczytania. Kiedy patrzymy sobie w oczy, dociera do mnie, że to właśnie jest to.

Właśnie to ma znaczenie.

– Do zobaczenia w przyszłości, przystojniaku.

TRZASK.

Jestem w połowie w jednym świecie, w połowie w drugim, obrazy nakładają się na siebie. Echo i rzeczywistość stapiają się ze sobą.

Lae ma łzy na policzkach, brudny, błotnisty deszcz spada z nieba w Echu, maleńkie pęknięcia rozprzestrzeniają się pajęczyną po całej *Neridai*.

Sięgam w głąb siebie po moc, żeby zamienić czarny deszcz w słodki i krystaliczny, a Kal wyciąga rękę, żeby zetrzeć łzę z policzka Lae, i ta słodka chwila trwa w jego i w moim świecie mimo otaczającej nas rzezi.

– Będziemy walczyć do ostatniego oddechu, żeby uczcić twojego ojca – mówi łagodnie, a Lae zaciska zęby i kiwa głową.

– Tak, wuju.

Niestety zwalony kryształ, którym Caersan zablokował wejście, nie powstrzyma Ra'haam na dużo dłużej, a jego rany przebiegają przez krajobraz Echa jak czarna plaga. Chwila wytchnienia dla Echa i *Neridai* mija równie szybko, jak nadeszła.

Ostrzegawczy krzyk, który posłałam do Tylera, nadal dźwięczy w moim umyśle.

Nieharmonijny wrzask, który nie chce ucichnąć.

Sam mi powiedział.

Kiedy to się stanie.

Jak do tego dojdzie.

Wszyscy przywódcy planet zgromadzeni w jednym miejscu.

Agent Ra'haam z bombą.

Śmierć i chaos, które sparaliżują Galaktykę, aż Ra'haam będzie mógł rozkwitnąć i buchnąć nasionami, by wszystko stało się niebieskie, zielone i nieumarłe.

Czy usłyszał mnie wtedy? Czy powstrzymał zamach?

Czy nadal bylibyśmy tutaj, gdyby mu się udało?

Kolejny wyszczerbiony kanion otwiera się w Echu i sprawia mi to taki ból, jakby ktoś przeciągnął odłamkiem szkła po moich wewnętrznościach. Sięgam znowu do Caersana, który stoi jak zlany krwią czarny posąg.

– Caersanie, nie dam rady sama. Musisz to naprawić. Proszę.

Zaciska pięści, odwraca się do mnie z dzikim wzrokiem i podnosi głos tak, że aż ryczy:

– Niczego. We. Mnie. Nie. Trzeba. Naprawiać.

– zawał zamykający wejście ustępuje, odłamki kryształu buchają, Kal i Lae odwracają się, żeby ostatni raz stawić czoło wrogowi. Łączy ich teraz nowa więź miłości, jej tęczowa chwała miesza się z jego fioletem i złotem, ponieważ Kal nie jest taki jak jego ojciec i potrafi dawać miłość, a Tyler nauczył Lae ją przyjmować, i...

– syldrański chłopiec leci na ścianę, ojciec staje nad nim, gdy chłopiec osuwa się na ziemię.

Krzyczę do Kala, ale chłopiec odwraca się, żeby na mnie spojrzeć, i ten

chłopiec

nie

jest

Kalem

– kryształowe miasto w Echu wali się i rozpada

– słyszę własny głos, jak błagam Caersana, żeby mi pomógł, kiedy rozpaczliwie naprawiam *Neridaę*, a ona wciąż i wciąż się rozpada

– fala śmierć wlewa się przez wejście, ostrze Kala jest jak roz-mazana plama, macki Ra’haam oplatają się wokół nóg Lae, wloką ją i mrowie zalewa jej miotające się ciało

– a Caersan tnije i uderza w narośle wokół niego, napór rośnie, dudni mi w skroniach, pęknięcia rozcinają mi twarz, wypływa z nich pulsujące światło i myślę, że krzyczę

– umysł Lae jest jasny i widzę w nim błyszczący stolik Saedii do gry w tae-sai i rozumiem, że jej matka uwielbiała grać przeciwko Tylerowi i nauczyła grać córkę, widzę żal i sprzeciw w umyśle Lae, kiedy wyrywa rękę z uścisku Ra’haam

– Kal i Caersan krzyczą, ale we wszystkich naszych umysłach ona przewraca drewniany pionek templariusza, żeby dać znać, że to koniec gry, wolną ręką unosi pistolet i, jak jej matka, odmawia Ra’haam jego zdobyczy

– kiedy pociąga za spust i tęczyowy blask jej umysłu gaśnie, Kal osuwa się na kolano, a ja obejmuję jego umysł własnym i słyszę, jak krzyczę, kiedy pokazuje mi po raz ostatni, jak bardzo mnie kocha, bo jeśli cofniemy się w czasie, to Tyler nadal będzie żył, Toshh i Dacca, i Elin będą żyły, a pewnego dnia urodzi się Lae, ale jeśli Kal zginie teraz, stracę go na zawsze.

Z rykiem Caersan atakuje Ra’haam, który powalił jego syna, ale w miejscu każdego odciętego pędu pojawia się nowy. Caersan wie, że w ten sposób nie zwycięży. Czuję to.

– Walcz! – krzyczy, a ja już nie wiem, do kogo mówi. Wymachuje ostrzem, nie potrafi się poddać, zrezygnować.

– Caersanie! – wołam. – To nie ta walka! Uzdrów ze mną *Ne-ridaę!*
Podnosi wzrok, ma popękana twarz, światło jest oślepiające...

– a potem stoi ze mną w Echu na polu kryształowych kwiatów i znowu jestem w dwóch światach, w trzech, czterech, bo istnieje tak wiele miejsc i czasów...

– chłopiec próbuje zrozumieć, dlaczego jego ojciec jest tak bardzo rozgniewany

– syn chłopca próbuje zrozumieć, dlaczego jego ojciec jest tak bardzo rozgniewany

– „Wyobraź sobie, co my moglibyśmy stworzyć, gdybyś tylko nas kochał”.

– Synu, ja...

– kwiaty pękają jeden po drugim... a potem nieruchomieją...

...wszystko nieruchomieje...

W obu światach, obok mnie w Echu i obok Kala na podłodze, Caersan podnosi głos i krzykiem wyraża cały swój sprzeciw wobec Ra'haam:

– NIGDY NIE WYGRASZ!

i Gwiazdóbójca rozpada się na milion fragmentów, dając z siebie absolutnie wszystko w tym akcie sprzeciwu, w absolutnej odmowie kapitulacji

wszędzie wokół niego Ra'haam płonie, czernieje i czerwienieje, kurczy się i zwiija

a w Echu Caersan jest wszędzie, miejsce nasiąka jego energią, naprawiając się i piękniejąc

napełnia także mnie swoją energią i jestem potężna, nie-skończona

i przez chwilę znam go w sposób całkowity, a potem on znika, ale pośród ryczącej ciszy w chwili jego odejścia

wiem, że zabił miliardy.

Wiem, że nigdy nie będzie można mu wybaczyć.

I wiem, że ostatnie resztki siły życiowej zużył na ten splątany, wściekły cios sprzeciwu, na niezgodę na klęskę, na pokaz stalowej siły woli i akt gniewu...

...a także, owszem, na akt miłości.

Kal leży na podłodze, łapiąc gwałtownie powietrze, otoczony przez spalone i poczerniałe szczątki Ra'haam, a ja podchodzę do niego chwiejnie, klękam; on zamyka oczy z powodu blasku bijącego z mojej twarzy, ale podnosi ręce, żeby mnie objąć, a ja obejmuję go umysłem i mówię

Kocham cię

Kocham cię

Kocham cię

I nie jestem do końca pewna, kto mówi w tej chwili. Okiełznuję moc Caersana, która wciąż przeze mnie płynie, i czuję w sobie ciepło Kala, i

światło

wypływa

ze

mnie,

kiedy...

– Niewątpliwie nie brakuje ci talentu do dramatyizmu, legionisto.

Otwieram oko. Szare ściany wokół mnie. Białe światło nade mną. Na jego tle barczysta sylwetka o grubym karku. Metal na piersi i cybernetyczne ręce połyskują słabo, a głos jest basowy, dudniący.

– Admirale Adams... – szepczę.

Dociera do mnie, że znajduję się w punkcie medycznym akademii. W tym samym miejscu, w którym pierwszy raz spotkałem Aurorę O'Malley. Przez chwilę prawie odwracam twarz, żeby sprawdzić, czy nie ma jej po drugiej stronie ściany, czy właśnie się nie budzi.

Monitory i maszyny syczą i brzęczą wokół mnie, pulsują stałym, ciepłym blaskiem. Od szyi w dół czuję głównie odrętwienie, zastanawiam się, dlaczego świat wydaje się taki dziwny. Podnoszę drżącą rękę do twarzy i czuję gruby dermoplastr na policzku i prawej brwi.

– Straciłeś je – mówi Adams. – Oko. I śledzionę. Strzał ominął kręgosłup o jakieś dwa centymetry. Masz szczęście, że oddychasz.

– Kiedy to się wciąż powtarza, nie można tego nazywać szczęściem – odpowiadam szepcem.

Admirał parska.

– Nigdy nie byłem w stanie wyleczyć cię z twojego ego, Jones. Jesteś taki jak twój staruszek. – Przyciska metalową dłoń do mojego ramienia.

– Byłby z ciebie dumny, synu. Tak jak ja jestem.

– Jasne, pękałby z dumy. Galaktyczny terrorysta. Zdrajca Legionu Aurory. Kosmiczny pirat. – Przesuwam palcami po miejscu, w którym

kiedyś miałem oko, czuję ból w pustym oczodole. – Przynajmniej prezentuję się, jak należy, dla plutonu egzekucyjnego.

– Nie będzie plutonu egzekucyjnego. Wszystkie wiadomości huczą od relacji z twoich dokonań. Twój przyjaciel Lyrann Balkarri już od trzech dni pieje z zachwytu nad tobą w GNN-7 i wychwala za to, że w pojedynkę uratowałeś szczyt. Obiecuję wywiad na wyłączność. – Admirał chrząka z podziwem. – Ukryta kamera w klapie marynarki. Sprytne.

– Chciałem, żeby z-został jakiś ślad. – Krzywię się, kiedy ból przebija się przez mgiełkę wywołaną lekami. – Coś, co przemówiłoby w-w mojej obronie, gdyby s-sprawy źle się ułożyły. Oczyściły moje nazwisko. – Patrzę na Adamsa i wzruszam ramionami. – Nazwisko taty. Pan rozumie.

– Rozumiem. Naprawdę rozumiem, Tyler.

Prostuje się, kiwa głową w stronę ustawionych pod ścianą monitorów.

– Nagrania są naprawdę dramatyczne, muszę przyznać. I niezły nagłówek: „Spisek terrorystyczny mający na celu zniszczenie stacji Aurora został pokrzyżowany przez legionistę-odszczepieńca”. Twoja historia prawie przyćmiła naszą. Jednak nie całkiem.

Skupiam się na ekranach; ściskanie w żołądku próbuje się przebić przez środki przeciwbólowe, którymi mnie napompowano po uszy. Widzę, jak Adams i de Stoy przeprowadzają prezentację na Galaktycznym Szczycie. Na hologramie za nimi widnieje Octavia – skolonizowany świat pochłonięty przez Ra’haam, a potem poddany kwarantannie i odcięty na rozkaz TerraRządu. Na innych ekranach widzę różne planety, także pokryte niebiesko-zieloną wrogą zgnilizną.

Inne planety-wylęgarnie, domyślałam się.

Adams i de Stoy powiedzieli na szczycie o Ra’haam.

Inne ekrany przedstawiają legionistów aresztujących agentów GAW ze świty premier Ilyasovej. Widzę, jak zrywają im lustrzane maski z twarzy pokrytych niebieskoszarym mchem, z oczami jak kwiaty; widzę

wściekłość, strach i wstrząs. Czytam nagłówki: „Infiltracja szeregów GAW”, „Podejrzenia padają na TerraRząd”, „Komisja senacka”.

– Pan wiedział – szepczę.

Patrzę mu w oczy, gniew gotuje mi się w brzuchu, głos mi się trzęsie.

– Przez cały ten czas, pan wiedział.

– Część tego – odpowiada z westchnieniem. – Nie dość.

– Wiedzieliście dość, żeby umieścić Aurorę na moim Łuku. Żeby zostawić paczki dla nas w Szmaragdowym Mieście. Żeby zostawić nam Zero. A to znaczy, że wiedzieliście, co się stanie z Cat, kiedy polecimy na Octavię. – Oko piecze mnie od wzbierającej łyzy, monitor rejestrujący pracę serca zaczyna wyżej popiskiwać, a ja próbuję się podnieść. – Wiedzieliście, co się z nią stanie. Wiedzieliście, że Ra’haam ją zabierze.

Admirał patrzy mi w oczy, zaciskając zęby.

– Owszem.

– Ty sukinsynu – syczę.

– Należą ci się przeprosiny. – Adams wzdycha. – I wyjaśnienie. Mogę jednak tylko zaoferować ci to pierwsze. Drugim zajmie się ktoś inny.

Sięga do kurtki galowego munduru. Wszystkie zaszczyty i odznaczenia na jego piersi, których tak mu zazdrościłem, wydają mi się teraz okupione krwią. Staram się sobie wyobrazić, czy jest coś, co może mi powiedzieć, wyjaśnienie, jakiego może mi udzielić, dzięki któremu mógłbym zapomnieć zdradzone spojrzenie Cat, gdy wbijałem nóż, jej zgrozę i smutek...

Adams kładzie mały, okrągły odtwarzacz holograficzny na prześcieradle zakrywającym mi kolana i naciska guzik. Obraz wyświetlany nad soczewką odtwarzacza, migocze i ożywa. Jest dziwny, linie są dwubarwne – białe i niebieskie.

Stara technika, domyślam się. Naprawdę stara.

Potrzebuję chwili, żeby rozpoznać postać, która nabiera kształtu w powietrzu przede mną. Kobieta nosi archaiczny mundur Legionu, ma pierś obwieszoną odznaczeniami. Jest starsza, może po siedemdzie-

siątce. Ma życzliwe spojrzenie i krótkie siwe włosy. Nadal jednak rozpoznaję ją z promenady w akademii.

– To jedna z Założycielek – szepczę.

– Witaj, legionisto Jones – mówi. Głos jest odrobinę zniekształcony. – Nazywam się Nari Kim. Jeśli to oglądasz, to dowództwo Legionu uznało, że sytuacja spełnia kryteria operacyjne, pozwalające przedstawić ci wyjaśnienie wydarzeń, w jakich niedawno brałeś udział. Zmienne w tym równaniu nie pozwalają na wchodzenie w szczegóły, ale przy odrobinie szczęścia Legion Aurory znalazł się teraz w położeniu umożliwiającym mu zadanie ostatecznego ciosu Ra’haam i dokończenie misji, która trwa od dwustu lat.

Uśmiecha się do mnie po matczynemu.

– Mamy u ciebie ogromny dług, legionisto. Powiedziano mi, że jesteś genialnym dowódcą. Dzielną i szlachetną duszą. A nade wszystkim dobrym i kochanym przyjacielem. Żałuję, że cię nie poznałam, Tylerze. Choć mam wrażenie, że prawie cię znam. Wiedz jednak, że jesteśmy ogromnie dumne z tego, jak daleko zaszedłeś. Wiemy, ile poświęciłeś. Co straciłeś. Modlę się tylko, żeby ostatecznie okazało się, że było warto.

Uśmiecha się szerzej, całuje palce i przyciska je do obiektywu, a ja patrzę zdumiony. Ta kobieta to bohaterka. Jedna z Założycielek Legionu. Słyszeć, jak mówi do mnie w taki sposób...

– Jest ktoś jeszcze, kto chce ci coś powiedzieć – dodaje. – Dlatego pożegnaj się teraz, Tylerze Jones. Życzę ci powodzenia. Pamiętaj, że wszystkie nadzieje i całe życie w Galaktyce zależą od ciebie i twoich przyjaciół.

Wyciąga rękę poza zasięg kamery i kogoś przywołuje.

– Chodź, kochanie.

Zapada cisza. Nari Kim znowu przywołuje kogoś gestem, uśmiechając się.

– W porządku.

Postać staje w kadrze przedstawiona tymi samymi dwubarwnymi liniami holograficznego światła. Ma długie, kręcone włosy, głównie srebrne i białe, skórę pomarszczoną ze starości.

W pierwszej chwili jej nie poznaję. A potem Nari pomrukuje zachęcająco i postać odwraca ku niej głowę, a ja dostrzegam...

...to niemożliwe. Kolczyki z wisiorcami w kształcie sokołów.

Kobieta siada przed kamerą, a do mnie zaczyna docierać...

Patrzy w obiektyw i widzę, że ma rzęsy mokre od łez. Wtedy rozpoznaję ją, chociaż to niemożliwe, mimo dzielącej nas przepaści czasu, mimo śladów smutku wyrzeźbionych wokół jej oczu.

- Zila... - szepczę.

- Cześć, Tyler.

Milknie, jakby brała się w garść. Wydaje się taka drobna. Drobniejsza, niż to zapamiętałem. Stojąca obok Nari ściska jej dłoń. Pokrzepiona tym gestem Zila znajduje siłę, bierze głęboki wdech i zaczyna mówić.

- Jeśli to oglądasz, to masz już za sobą moment, w którym ja odeszłam i wkroczyłam w sferę całkowitej niepewności. Bardzo się cieszę, że przetrwałeś uwięzienie przez GAW. Mam nadzieję, że mój podarek dla ciebie okazał się użyteczny. Wybacz, jeśli nie był w stu procentach adekwatny. Pracowałam, posiłkując się niemal nieskończoną liczbą zmiennych.

Marszczy czoło i je pociera.

- Podczas bitwy o Terrę, kiedy wystrzelono z Broni Eshvarenów, kolizja energii parapsychofizycznych oraz odkształcenie temporalne cisnęły mnie, Finiana i twoją siostrę Scarlett w przeszłość, do roku 2177.

Otwieram szeroko oczy i patrzę na Adamsa, ale on tylko ogląda nagranie. Sądząc po jego zaciekawionej minie, widzi je po raz pierwszy.

- Z powodu wydarzeń zbyt skomplikowanych, żeby cię nimi zanużać, byłam zmuszona zostać w tym czasie - mówi Zila. - Mnie oraz nadkomendantce de Karran i Nari przypadło przygotowanie drogi dla przyszłych wydarzeń i walki z Ra'haam. Zrobiliśmy wszystko, co

w naszej mocy, żeby mieć pewność, że wydarzenia ułożą się dokładnie tak samo. Tak jak powinny. Tak jak musiały, żeby Aurora zdołała odzyskać Broń Eshvarenów i posłużyć się nią w walce z wrogiem. Niestety...

Głos jej się łamie. Spuszcza wzrok na rękę, z trudem przełyka ślinę. Zila Madran, którą znałem, żyła za murami. Odgradzała się od świata, odcinała od swoich emocji, była zimna i rzeczowa.

Teraz jednak płacze, łzy spływają jej po policzkach.

Widzę, że Nari Kim znowu wyciąga rękę, obejmuje Zilę, trzyma mocno, całuje ją w policzek, w kostki dłoni, w usta. Chociaż to stare nagranie, a rozjarzone linie obrazu są cieniutkie, to widzę miłość w jej oczach. Do oka napływa mi łza, kiedy dociera do mnie, co muszą dla siebie znaczyć. Gdy myślę, że moja przyjaciółka znalazła kogoś, kto tak się dla niej liczył.

– Po prostu mów prosto z serca, kochanie – zachęca ją Nari.

Zila znowu patrzy w kamerę. Głos jej drży.

– O-ogromnie mi przykro, Tyler – szepcze. – Z powodu Cat. Próbowalam wymyślić alternatywę. Jakiś sposób, żeby ją oszczędzić. Bałam się dnia, kiedy będę musiała ci to powiedzieć, ale ryzyko katastrofy, paradoksalnego efektu motyla, który zmieniłby historię w sposób nieodwracalny... – Pociąga nosem, przełyka ślinę. – N-nie mogłam tak ryzykować. Beze mnie tutaj nikt nie pomógłby Nari stworzyć Legionu, nie dopilnowałby, żebyś na pewno spotkał Aurorę, i nikt nie chroniłby was w Szmaragdowym Mieście. Nikt nie strzegłby przyszłości. By mieć pewność, że Ra'haam zostanie pokonany, wszystko musiało się potoczyć dokładnie tak samo, aż do chwili, w której opuściłam wasze czasy. – Kręci głową i patrzy błagalnie. – Wszystko.

Pochyla głowę, włosy opadają jej na twarz.

– Przeżyłam życie najlepiej, jak potrafiłam. – Ścisną dłoń Nari. – Znalazłam szczęście. Ciężko pracowałam, widziałam różne miejsca, poznałam ludzi, którzy wnieśli w moje życie radość. Moja drużyna była dla mnie drugą rodziną po tym, jak straciłam pierwszą. Poświęciłam życie na przygotowanie tego, czego będziecie potrzebować, ale przeżyłam też

wiele przygód. Wiele śmiechu. Znalazłam tu trzecią rodzinę, wbrew wszelkim oczekiwaniom. Myślę, że będziesz się martwić, wiedząc, gdzie się znalazłam. Chcę, żebyś wiedział, że byłam szczęśliwa. Wiedz jednak, że nie ma dnia, w którym nie myślałabym o Cat i o tym, do czego się przyczyniłam.

Znowu unosi głowę. Patrzy na mnie na wskroś stuleci.

– Proszę cię o wybaczenie. Mam nadzieję, że zrozumiesz, że kierowałam się najlepszymi intencjami i że dzięki tej ofercie zapewniliśmy przyszłość Galaktyce. Ścieżka przed tobą nie jest pewna. Nie wiem, co się wydarzy. Wiem jednak, że jestem wdzięczna za to, że mogłam cię poznać. To był zaszczyt służyć pod tobą. Niezmierzonym błogosławieństwem jest to, że mogłam cię nazywać swoim przyjacielem.

Wyciągam rękę do obrazu, łzy spływają mi po twarzy, kiedy palce przechodzą przez hologram. Myślę, jak to musiało być – żyć z takim ciężarem. Z brzemieniem przyszłości Galaktyki na barkach.

– Zee – szepczę. – Oczywiście, że ci wybaczam.

– Dowódco – mówi teraz Nari, zwracając się w pustkę. – Wierzę, że tego słuchasz. Masz teraz dostęp do protokołu Omega, od węzła szóstego do piętnastego. Dopilnuj, żeby węzeł dziesiąty został dostarczony osobiście do Aurory O'Malley. Masz także dostęp do naszych obiektów na pokładzie Epsilon, sekcja zero. Podamy kody. Proszę dokładnie wypełnić wszystkie instrukcje. Od tego zależy życie dwójki bardzo dzielnych żołnierzy.

– Wierzę, że nasze wyliczenia są poprawne – mówi Zila. – I dość czasu już minęło od naszego zniknięcia, by nie doszło do paradoksu. – Kiwa głową, zagryzając pasemko włosów, jak to zwykła robić, gdy się zamyślała. – Tak. Tak, to się uda. Musi.

Nari Kim patrzy na mnie, uśmiech wywołuje zmarszczki wokół jej oczu.

– Proszę sprzedać sójkę temu białasowi w moim imieniu, Jones. I podziękować siostrze. Udanych łowów, legionisto. Płoń jasno w mrokach nocy.

Zila patrzy w kamerę i sięga do mnie.

Dotykam palcami jej własnych ponad oceanem czasu i łez.

– Żegnaj, przyjacielu – mówi z uśmiechem.

Nagranie się kończy.

– Niech to diabli... – warczy Adams.

Patrzę na niego okiem zamglonym od łez, w głowie mi się kotłuje z powodu wszystkiego, czego się dowiedziałem. Niemożliwość tego, ogrom – ledwie jestem w stanie to ogarnąć. Jednak wyraz oczu Adamsa przywraca mnie do rzeczywistości, odciąga od spisków, które realizowano przez stulecia, od bolesnych uczuć i ciężko okupionych radości. Pociągam nosem i ocieram mokre policzki.

– Co się stało?

Adams gapi się na odtwarzacz z twarzą jak ponura maska. Obraz Zili i Nari Kim zniknął i teraz przepływa tam strumień kodów.

– Muszę przejrzeć nowe dane, które właśnie otrzymaliśmy. Jednak sądząc po tym, co właśnie mówiły... Myślę, że jest dokładnie tak, jak się obawialiśmy.

– Proszę posłuchać, nie wiem, co tu się dzieje, ale...

– Jest dokładnie tak, jak powiedziała Założycielka Madran. – Adams wypowiada nazwisko Zili niemal z nabożną czcią. Tak jak kapłani mówią o Stwórcy.

Oni uważają ją za Trzecią Założycielkę, dociera do mnie.

– Wiedziała z całą pewnością, co się wydarzy tylko do czasu bitwy o Terrę – tłumaczy Adams. – Do momentu, w którym została usunięta z naszego czasu. I mimo całego swojego geniuszu Zila Madran nie mogła przewidzieć przyszłości. Pamiętała tylko to, co już widziała. Nie mogła wiedzieć.

– O zamachu na stacji Aurora?

Kiwa głową.

– Nie tylko to. Wszystkie dalsze nasze plany awaryjne, jakie przygotowaliśmy z myślą o pokonaniu Ra'haam, kręciły się wokół Zapalnika

i Broni.

Przesuwa metalową dłońią po głowie.

– A one przepadły – szepczę. – Podczas bitwy o Terkę.

– Broń, Zapalnik, Aurora O'Malley. – Adams odwraca się do iluminatora na ścianie, patrzy na gwiazdy pośród mroku. – Wszystko, co zrobiliśmy, miało zapewnić nam ich obecność i pozwolić uderzyć w tej chwili, zanim wróg się rozsiej. I po tym wszystkim, po setkach lat, wiadomościach i protokołach przekazywanych w tajemnicy kolejnym dowódcom... – Patrzy na puste ręce. – Nie mamy nic.

Patrzę na odtwarzacz, zastanawiam się gorączkowo.

– Założycielka Kim wspomniała o obiektach na pokładzie Epsilon, sekcja zero. – Przełykam z trudem ślinę, nie ważąc się żywić nadziei. – Mówiła o mojej siostrze. Może...

Adam uderza w odznakę Legionu z komunikatorem i mówi szybko:

– Adams do de Stoy.

– Słyszę cię, Seph.

– Mam nowe informacje. Spotkajmy się na Epsilon. Przeprowadzę Jonesa.

Na chwilę zapada cisza, słychać tylko, jak de Stoy nabiera powietrza. Wątpię, żebym kiedykolwiek widział, by nadkomendantka de Stoy straciła nad sobą panowanie, ale kiedy odpowiada, wiem, że nie posiada się z radości.

– Zrozumiałam. Widzimy się na miejscu.

Adams kiwa głową, rozłącza się.

– Modlisz się jeszcze, Tyler? – pyta cicho. – Wiem, że kiedy zapada mrok, trudno nie stracić w...

– Codziennie, admirale. Codziennie.

– Świetnie. Pomódl się teraz.

* * *

Zastanawiałem się, dlaczego nazwa „Pokład Epsilon” brzmiała dziwnie. Kiedy Adams popycha mnie na antygrawitacyjnym wózku inwalidzkim korytarzami ośrodka medycznego do windy dla oficerów, w moim umyśle kształtuje się odpowiedź. Kiedy patrzę na setki poziomów, podpoziomów i sekcji stacji zarysowanych jarzącymi się liniami na panelu sterowniczym windy, dociera do mnie, że na stacji Aurora nie ma pokładu Epsilon.

W każdym razie nie istnieje na żadnych planach.

Adams sięga do wewnętrznej kieszeni kurtki munduru po biokodowaną platynową kartę dostępową. Przyciska palec do sensora, przesuwając kartę przez czytnik windy. Panel odsuwa się, sensor omiata jego twarz, tęczęwki i odczytuje odcisk dłoni. Kiedy z brzękiem zapala się zielone światełko, admirał pochyła się i mówi:

– Adams. Jeden-jeden-siedem-cztery-alfa-kilo-dwa-jeden-siedem-beta-indygo.

Kolejny brzęk. Czuję, że się obracamy, kiedy winda obraca się na swojej osi.

– Epsilon, sekcja zero – mówi Adams. – Hasło: czujność.

Żołądek napęlnia mi się tłuczonym szkłem i boli mnie prawa strona twarzy – może powinienem był przy wyjściu poprosić o dodatkę środków przeciwbólowych. I chociaż ledwie to czuję, to wiem, że serce wali mi jak szalone na myśl, że może znowu ujrzę swoją siostrę. Nie miałem pojęcia, co się z nią stało, po tym jak GAW uwięziła mnie i Saedii. Obawa, że może nie żyć, nieustannie mi ciążyła i nigdy nie śmiałem dłużej się tej myśli przyglądać. Świadomość, że cofnęła się w czasie razem z Zilą i Finem, wydawała się niemal niepojęta.

Mogła jednak nadal żyć.

O, Stwórco, proszę, niech się okaże, że ona żyje.

Drzwi windy otwierają się z sykiem, a ja widzę długi, jasno oświetlony korytarz, prowadzący do ciężkich drzwi, które wyglądają na dość mocne, żeby wytrzymać bombardowanie termojądrowe. Nadkomentantka de Stoy już tu jest, w pełnym rynsztunku. Jej jasna skóra i śnież-

nobiałe włosy wydają się jeszcze bielsze w ostrym świetle. Patrzy, jak Adams popycha mnie na grawiwózku, wita nas skinieniem głowy, przyglądając mi się poważnie.

– Wygląda na to, że sporo przeszedłeś, legionisto Jones.

– Nic, z czym nie dałbym sobie rady, pani nadkomendantko.

Uśmiecha się bezkrwistymi, bladymi wargami. Nadkomendantka de Stoy nigdy się nie uśmiecha.

– Dobra robota, żołnierzu. Naprawdę dobra robota.

Adams przesuwając biokartę przez czytnik na lewo od drzwi i kiwając głową do de Stoy.

– Gotowa?

Nadkomendantka przesuwając własną kartę i pochyla się, opierając ręce na szkle sensora. Skanery znowu badają ich twarze, siatkówki i dłonie, igielka pobiera próbki tkanki i krwi. Na koniec wypowiadają serię haseł z nagrania Zili i Nari. Technologia jest stara, ale zabezpieczenia są tak solidne, jak to tylko możliwe, zważywszy, że stację wybudowano dwieście lat temu.

Kokolwiek znajduje się dalej, Zila chciała, żeby było dobrze chronione.

Drzwi szcękają, alarm odzywa się na chwilę, światło przybiera ciemnoniebieski kolor. Właz odsuwa się, mrok za nim rozświetla się, gdy lampy na suficie z szumem ożywają. Adams popycha mnie do środka, a mi zapiera dech w piersi na widok konstrukcji za drzwiami.

Grube przewody ciągną się od baterii starych komputerów, połączonych z cylindrycznym zbiornikiem z przezroczystej plastali pośrodku pomieszczenia. Wewnątrz pulsuje światłem jak serce...

– Sonda – szepczę. – Sonda Eshvarenów.

Światło zaczyna pulsować w sali, zlewa się wewnątrz kryształu o kształcie lży. Widzę, że sonda jest strzaskana, koniuszek łezki odpadł, światło załamuje się w sieci miliona pęknięć.

– Na oddech Stwórcy – szepcze Adams.

Obraz ożywa nad komputerowymi terminalami i serce mi wzbiera, gdy znowu widzę Zilę. Jest młodsza niż chwilę temu, może po czterdzieście, stoi prosto, oczy jej błyszczą.

– Witajcie, dowódcy. Jeśli słyszycie tę wiadomość, to bitwa o Terę zakończyła się, ja opuściłam wasz czas i zostałam w 2177, a Protokół Strzał z Bicza został uruchomiony. Proszę włączyć wszystkie skanery krótkiego zasięgu na stacji Aurora z maksymalną czułością i monitorować przestrzeń pod kątem jednostek latających. Proszę przekazać obsłudze skanerów, że mają szukać promu pochodzenia terrańskiego, seria Rybołów, model 71-C. Proszę zebrać personel medyczny, żeby zajął się załogą promu, przygotować się na udzielenie pomocy dziewiętnastoletniemu Betraskaninowi, który doznał wstrząsu anafilaktycznego i prawdopodobnie obrażeń gardła, krtani i tchawicy.

Żołądek mi się zaciska, oddycham szybciej.

– Przez ostatnie trzydzieści lat udoskonalałam te algorytmy – mówi Zila. – Jako kadetka marzyłam o zasobach na taką skalę. Żałuję, że nie będę mogła zobaczyć końcowych rezultatów.

Przez chwilę widzę dziewczynę, która zdecydowanie za bardzo lubiła dezelatory ustawione na Ogłuszenie.

– Jestem tak pewna sukcesu, jak to możliwe – mówi. – Ale nie jestem nieomylna. Nie jestem też religijna. – Rozgląda się po pomieszczeniu. – Mam nadzieję, że tam jesteś, Tylerze. A jeśli tak, to może modlitwa byłaby nie od rzeczy. Zawsze byłeś tym wierzącym w naszej grupie.

Adams przekazuje polecenia przez łączność w odznace obsłudze skanerów, gromadzi personel medyczny. Obraz milczącej Zili się unosi. Kiedy tak patrzę, widzę, jak zaczyna żuć pasemko włosów.

Po minucie albo dwóch światła zaczynają mocniej pulsować. Górne lampy w korytarzu za nami ciemnieją i całkowicie gasną.

Bez żadnego więcej ostrzeżenia cała sieć na stacji pada, sztuczna grawitacja wyłącza się i Adams klnie pod nosem, kiedy sonda Eshvarenów zaczyna płonąć tak mocno, że prawie nas oślepia. Wszystkie włoski

na moim ciele stają dęba. Poddźwiękowa wibracja narasta mi z tyłu głowy.

– Ona zasysa moc z całej stacji – syczy de Stoy.

Holograficzne usta Zili układają się w szelmowski uśmiech, a ja wyciągam do niej rękę. Mimo przerażenia i łez uśmiecham się razem z nią.

A potem robię to, o co mnie prosi – zamykam oko, wyobrażam sobie Finiana i Scar, mojego przyjaciela i moją siostrę bliźniaczkę i modłę się do Stwórcy, wkładając w to całe serce.

Sprowadź ich z powrotem.

Proszę, sprowadź ich z powrotem do mnie.

Wibracja zamienia się w niski krzyk. Sonda Eshvarenów płonie tak jasno, że widzę światło przez zamkniętą powiekę. Obracam głowę, gdy dźwięk narasta. Stacja dygoce, cała moc z reaktora aż do ostatniej kropli zostaje skierowana na płonące serce sondy.

Krzyk zaczyna sprawiać ból, słyszę, jak Adams ryczy, ale przez cały ten czas się modłę. Trzymając się ze wszystkich sił myśli, jaką podsunął mi Adams, kiedy wylecieliśmy na stację Sagan, zanim odkryliśmy obecność Aurory i daliśmy się wciągnąć w tę łamigłówkę, w tę wojnę, w tę rodzinę, która powstawała przez setki... nie, miliony lat.

Musisz wierzyć, Tyler.

Musisz wierzyć.

Krzyk mija granicę słyszalności.

Światło przekracza granicę oślepienia.

I wreszcie wraz z ostatnią przykrą nutą jest po wszystkim.

Blask sondy Eshvarenów słabnie i w końcu gaśnie. Górne światła włączają się, a ja krzywię się, gdy powraca grawitacja i ból przeszywa moje udręczone ciało, kiedy opadam na grawiwózek.

Adams i de Stoy odbierają różne zawiadomienia, komunikaty i ostrzeżenia, które de Stoy ucisza zwięzłym rozkazem, a Adams dudniącym rykiem.

– Tylko absolutnie niezbędne informacje. Personel skanerów, raport! Patrzę mu w oczy, serce mi bije jak szalone, nie ośmielam się mieć nadziei.

– Nic, panie admirale – nadchodzi odpowiedź. – Niczego nie wykryliśmy.

– Zawęzić pole, poruczniku – rozkazuje de Stoy. – Statek może być pozbawiony mocy. Szukajcie, czy wykryjecie coś na poziomie termalnym, kinetycznym, sprawdzajcie promieniowanie w całym spektrum.

– Tak jest, pani nadkomendantko, w tej chwili – pada odpowiedź.

Minuty wleką się jak eony. Gapię się w miejsce, gdzie był hologram Zili, ale on już zniknął i tylko powidok sondy wypalił mi się pod powieką.

– Macie coś? – pyta Adams.

– Nie, panie admirale. Skanery są czyste.

– Tu Drapieżnik w przestrzeni. Potwierdzam, nie nawiązano kontaktu.

Siedzę i gapię się w miejsce, gdzie znajdował się hologram mojej przyjaciółki, wiedząc, że nigdy więcej jej nie zobaczę.

I może nie byłoby to takie straszne – powiedziała, że była szczęśliwa – gdyby nie myśl o pozostałych. Auri i Kal zniknęli, nie wiadomo gdzie. Zila nie żyje od ponad stu lat. Cat nie żyje. A teraz Fin i Scarlett...

Słucham nadchodzących raportów, obsługa skanerów i piloci potwierdzają to, co już powiedziano. To, co już wiem.

– Czujniki czyste.

– Brak kontaktu.

Przepadli. Wszyscy moi przyjaciele. Cała moja rodzina.

Po tym wszystkim, co wycierpieliśmy i straciliśmy...

– Zostałem ja jeden – szepczę.

Drużyna 312 na zawsze.

CZĘŚĆ 4

UJRZĘ CIĘ W GWIAZDACH

Nigdy nie sądziłem, że skończę w taki sposób.

Siedzę w grawiówzku i gapię się przez długi iluminator na gwiazdę, którą nazwano Aurora. Leki, jakie dostaję, to naprawdę mocna chemia, nie czuję więc bólu spowodowanego ranami. Jednak jakimś cudem to tylko pogarsza sytuację. Ponieważ bez bólu odczuwam jedynie brak. Puste miejsce, gdzie powinno być moje oko. Puste miejsce obok mnie, gdzie powinna być moja rodzina.

Nigdy nie sądziłem, że skończę w taki sposób.

Flota ustawia się w szyku obok akademii. Częstka mnie mimo okoliczności jest pod wrażeniem tego widoku. Zbiera się największa armada w znanej historii Galaktyki. Koalicja ras, dziesięć tysięcy statków zebranych z całej Drogi Mlecznej w odpowiedzi na zagrożenie w postaci Ra'haam.

Chellerianie i Betraskanie. Ishtarri i Rigelczycy. Grempy i Tol'Mari, Rikeryjczycy i Wolni Syldranie. Nigdy nie wyobrażałem sobie czegoś takiego.

Adams i de Stoy nie obijali się przez te lata, kiedy dowodzili Legionem, i poza tym, że stworzyli ścieżkę, która zawiodła drużynę 312 do odkrycia Broni i założenia Legionu w przeszłości, wysłali z zadaniami także innych agentów, zbierających dane na temat dwudziestu dwóch światów-wylęgarni Ra'haam. Drużyny Legionu, rozesłane wzdłuż linii galaktyczne kwarantanny i przez zaginione Bramy Fałdy, zbierały

dowody, nagrania i dane z zainfekowanych światów, które właśnie zaczynają się budzić, czekają, by rozkwitnąć i sypnąć nasionami.

Te dane, nagranie z mojej walki z Cat w reaktorze, zdemaskowani agenci GAW, wystarczyły, żeby stworzyć ten kruchy sojusz.

Nie mamy jednak Zapalnika.

Nie mamy Broni.

Mamy jednak bomby termojądrowe. Wyrzutnie dezelatorowe. Zderzacze masy. Broń biologiczną. Niszczyciele atmosfery. Destruktry jądrowe planetarnych. Połączone siły wojskowe setek światów, żeby spalić wroga jeszcze w kołysce. Wytyczono kurs i pierwszy cel ataku – świat, od którego wszystko to się zaczęło.

Planeta, która mogłaby spać jeszcze przez wiele lat, gdyby grupa terrańskich kolonistów nie zakłóciła jej snu.

Miejsce, w którym Ra'haam wciągnęło do swojego kolektywu pierwszych nowych członków od eonów i uruchomiło ciąg wydarzeń. Miejsce, gdzie straciliśmy Cat.

Planeta Octavia.

A ja ugrzązłem tutaj i tylko patrzę.

Bezradny.

Samotny.

Patrzę, jak statki kluczą, jak ustawiają się w szyku, piękne i eleganckie, ostre i śmiertcionośne, setki ras, tysiące modeli, setki tysięcy wojowników czekających przed Bramą Fałdową Aurory. Po wejściu na pokład *Niezłomnego* – lotniskowca Legionu – admirał Adams powiedział mi, że już dość zrobiłem. Że mogę wreszcie odetchnąć. Że zasłużyłem na odpoczynek.

Nie wiem, czy w to wierzę.

Nie wiem, czy to wszystko było tego warte.

Pada sygnał. Tysiące światełek rozbłyskuje, salutując stacji. Kiedy flota zaczyna wylatywać przez Bramę Fałdy, kładę rękę na przezroczystej plastali. Serce mi ciąży w piersi.

Ostrzegłem Adamsa i de Stoy, że mimo uzbrojenia, mimo ich siły, może nie być łatwo. Nawet gdybyśmy mieli Broń – której nie mamy! – planowaliśmy tę bitwę od nieco ponad dwóch stuleci.

Ra'haam przygotowywał się przez milion lat.

Auri, gdzie jesteś?

Patrzę, jak statki wypadają przez bramę jeden po drugim, wszystkie nasze nadzieje, życie nas wszystkich zawisło na tym cieniutkim włosku.

I wtedy nagle dostrzegam coś w ciemności.

Mała iskra energii niedaleko od powłoki stacji.

Motyle podrywają się do lotu w moim brzuchu, gdy wstają przy iluminatorze.

A potem biegnę – tak naprawdę to kuśtykam chwiejnie z powodu tych przeklętych ran i krzywię się, gdy wpadam na grupę wytrzeszczających oczy kadetów i ładuję się do turbowindy.

Wzywam Adamsa, ale znowu włącza się przeklęta automatyczna sekretarka, więc sfrustrowany walę unikronem w ścianę windy.

Winda zjeżdża do hangaru, wpadam z niej, wrzeszcząc na ekipę ratunkową, która stoi przygarbiona obok promu medycznego, bo ma przerwę. Patrzą na mnie jak na wariata, jakby mi odbiło. Jeden z nich mówi, że powinienem wracać na izbę chorych. Nie będę powtarzał, co potem wywrzeszczałem, ale wystarczyło, żeby przekonać ich, że mają załadować tyłki w kombinezony i zabrać mnie w czerni.

Serce mi wali, gdy startujemy, grawitacja znika, nadzieja wzbiera we mnie razem z moimi wnętrznościami, gdy pojawia się nieważkość. Pęd wbija mnie z powrotem w fotel przeciążeniowy, gdy wskazuje, wołając „Tam! TAM!”, małą kropką szarości unoszącą się pośrodku niczego.

W przeciwieństwie do mojej siostry mam fioła na punkcie statków. Potrafię nazwać każdy, jaki wykorzystywały Terrańskie Siły Obronne od 2118 roku, czyli odkąd powstały. Potrafię rozpoznać markę. Określić model. Powiem wam, w którym roku wszedł do użytku i kiedy przestano go produkować.

Naprawdę lubię statki, jasne?

– Seria Rybołów – szepczę. – Model 71-C. Używany w latach 2168–2179.

Mimo sprzeciwów ekipy medycznej wkładam kombinezon, zanim oni zdążą się przygotować. Trudno nawigować z jednym okiem – nie mieli jeszcze szansy zainstalować mi cybernetycznego, więc całkowicie straciłem głębię widzenia.

Miły młody betraskański kapral mówi mi, że powinienem usiąść.

Przejmie go informuję, że powinien się zamknąć.

Prom medyczny podczepia się do Rybołowa kablem grawitacyjnym, wchodzimy na niską orbitę wokół niego. Sekundy wloką się latami.

Patrzę na Rybołowa, kiedy zbliżamy się tak, żeby móc wejść na jego pokład. Zaciskam zęby z taką siłą, że zaczynają trzeszczeć. Kadłub w wielu miejscach jest czarny od przypalenia, metal jest dziwnie pofalowany, jakby stopił się w ogromnej temperaturze, a potem błyskawicznie został zamrożony, zanim całość po prostu by się rozleciała. Okna są przypalone, ciemne od węgla. Nie widzę wnętrza. Nie widzę ich.

Nie widzę jej.

Nasza śluza powietrzna syczy, otwiera się szeroko i ubezpieczeni kablami wysypujemy się w próżnię. Mam dość rozumu, żeby nie płatać się ratownikom medycznym pod nogami, kiedy technik próbuje włamać się do systemu elektronicznego i ostatecznie ucieka się do przecięcia metalu przemysłową lancą termalną.

Na siłę otwierają drzwi do ładowni podnośnikiem hydraulicznym, cząsteczki węgla odrywają się od stopionego metalu. Żołądek wypełnia mi się lodową breją. Wchodzę za ekipą medyczną, reflektory na naszych hełmach przecinają ciemność, kiedy docieramy do wewnętrznej śluzy powietrznej. Ekipa zabiera się do pracy przy zamkach, a ja przyciskam ręce do wąskiego iluminatora w śluzie i zerkam w głąb promu.

I tam, w ciemności, widzę ich, widzę i krzyczę, uderzam pięścią w okienko.

– Finian! – ryczę. – Scarlett!!

Unoszą się w nieważkości, ogniście rude włosy Scar i mlecznobiała skóra Fina odcinają się od czarnej jak smoła ciemności panującej w pomieszczeniu.

Fin jest zawinięty w folię termiczną i skafander kosmiczny, który powinien znajdować się w muzeum. Z przerażeniem zauważam bladoróżową krew rozbryzniętą wewnątrz jego hełmu.

Scar obok niego nosi drugi takim sam staroświecki skafander, jej ciało unosi się bezwładne i nieruchome w ciemności. Na szyi widzę medalik ze skarbca Dominium w Szmaragdowym Mieście. Kryształ jarzy się jak świeca, ale stopniowo przygasa.

– POŚpieszCIE SIĘ! – wrzeszczę. – OTWÓRZCIE TO!

Śluza powietrza dygoce, ratownicy medyczni raz jeszcze korzystają z podnośników hydraulicznych, żeby otworzyć ją na siłę. Padam na brzuch i przeciskam się pod drzwiami, zanim do końca się uniosą, nie zważając na ból w ciele. Krew zbiera się pod medopatrankami.

Sunę rozpaczliwie przez pokład, łapiąc się sufitu, żeby trochę zwolnić, zaczepiam jedną ręką o fotel pilota, a drugą ręką łapię siostrę. Ma zamknięte oczy. Unoszące się włosy tworzą aureolę wokół jej twarzy. Nie ma tu tlenu, w ogóle żadnej atmosfery, dźwięk nie ma się jak nieść, więc zamiast tego krzyczę wprost do jej głowy, poprzez łączącą nas więź krwi, i modłę się „Stwórco, proszę, proszę”.

Scar, słyszysz mnie?

Ratownicy wchodzą za mną, zajmują się Finem. Sprawdzają odczyty, jego funkcje życiowe.

– Musimy natychmiast zabrać tę dwójkę na stację.

Scar! To ja, Tyler!

Ratownicy odpychają mnie na bok, owijają moją siostrę w okrycia elektrotermiczne, przypinają do grawinoszy. Trzymam ją za rękę, kiedy wracamy do naszego promu. Nie zamierzam jej wypuścić, nie zamierzam się poddać. Nie po tym wszystkim.

Nie mogę stracić i jej.

SCARLETT, *OBUDŹ SIĘ!*

Leży nieruchomo na noszach, umocowana teraz wewnątrz naszego promu, rozgrzewa się po lodowatym zimnie kosmosu.

Jednakże nadal się nie rusza, ledwie oddycha, a ja nie czuję jej umysłu, tej dziwnej więzi, wykraczającej poza to, co łączy bliźnięta, jaka zawsze między nami istniała, tego daru od matki, której nigdy nie poznaliśmy, taty, którego straciliśmy, rodziny, jaką byliśmy, wszystkiego, co teraz jest dla mnie ważniejsze niż kiedykolwiek wcześniej. *Scar, proszę, nie mogę i ciebie stracić, nie mogę!*

– Tyler...

Otwieram oko, serce mi wali, gdy widzę, że Scarlett patrzy na mnie spod rzęs, ledwie mówi. Powieki ma posiniaczone. Wyczuwam ogrom tego, co właśnie przeżyła, ciężar, jaki dopiero co dźwigała. I mimo wszystkiego, co przeszła, nadal znajduje w sobie siłę, żeby się uśmiechnąć.

– Cześć, Szczawiku...

Śmieję się, szlocham, zwieszam głowę.

– Nie cierpię, kiedy tak do mnie mówisz.

Rozchyła usta, strach błyszczy w jej oczach.

– F-Finian?

– Nic mu nie jest – szepczę. – Nic mu nie jest, Scar.

Chcę ją uściskać tak bardzo, że prawie czuję smak tej chęci. Chcę ją złapać w ramiona i już nigdy nie wypuszczać. Widzę jednak, ile przeszło jej ciało i nie chcę ryzykować, że zrobię jej krzywdę. Ściskam więc tylko jej rękę, pochylam się, żeby pocałować ją w czoło, lzy odrywają się od moich rzęs i unoszą się w niskiej grawitacji, kiedy przelewam do jej głowy wszystkie swoje uczucia. Smutek i strach, żal i ból, ale nade wszystko czystą nieskalaną radość na jej widok.

Znamy się całe życie. A nawet dłużej – poznaliśmy się, zanim się urodziliśmy. I cokolwiek robiłem, co przeżyłem i z kim walczyłem, była

przy mnie, nawet kiedy tak naprawdę nie było jej obok mnie. Bo jest częścią mnie.

Na zawsze.

Scarlett otwiera ramiona, a ja obejmuję ją najdelikatniej, jak się da. Gładzi moje włosy, a ja wtulam twarz w jej rude loki.

- Ja ciebie też kocham - szepcze.

Tych, którzy lecą do układu Octavii, czeka długa podróż przez Fałdę. Dostatecznie długa, żeby moje rany zaczęły się goić, kiedy czekamy na wiadomość, że flota koalicji dotarła do celu. Rehabilitacja wymaga ode mnie ciężkiej pracy, cybernetyczne wszczepy nadal odbieram jak coś obcego, ale zaleta jest taka, że mogę teraz czytać wiadomości prosto z sieci.

Fin wciąż leży w izbie chorych, ale kiedy kuśtykam do jego pokoju, on i Scar odrywają się od siebie z głośnym cmoknięciem, więc domyślałam się, że chłopak dochodzi do siebie. Moja siostra poprawia kurtkę od munduru, odgarnia zbłąkane pasmo świeżo ufarbowanych włosów z zaczerwienionych ust i sadowi się na med-koi obok Fina. Zatrzymuję się z głośnym loskotem, unoszę brew i patrzę na nich. Fin się czerwieni, co jest dość dziwne w przypadku Betraskanina.

– Miałaś odpoczywać – mówię.

– Przecież odpoczywa – odpowiada pogodnie Scarlett.

– Wbiłaś mu długopis w gardło. Może powinnaś dać mu parę dni, zanim zaczniesz mu lizać migdałki.

– Przebawne – mówi, przewracając oczami. – I jakie obrazowe. Nie mam jednak pojęcia, co wygadujesz.

Wskazuję swoją twarz:

– Wiesz, dzięki temu cybernetycznemu oku, które mi dali, widzę w podczerwieni. Twoje policzki są prawie o 0,2 stopnia cieplejsze, kiedy kłamiesz.

Wyciąga spod Fina jedną z licznych poduszek i ciska nią w moją głowę.

– Powinieneś być dostać cholerną przepaskę na oko.

– Wtedy nawet dla mnie trochę za bardzo zbliżyłbym się do wizerunku kosmicznego pirata.

– Ahoj, kapitanie – mówi, szczerząc zęby w uśmiechu.

– Bezan staw. – Uśmiecham się. – Bandera na maszt!

– Arrr – warczy Fin cichym, łamiącym się głosikiem.

Scar odwraca się do niego, udając oburzenie, i szturcha go w pierś.

– Nie powinieneś mówić!

Fin wzrusza ramionami i uśmiecha się z zakłopotaniem, a Scarlett przykłada mu rękę do policzka i całuje go w usta. Scar powoli się odsuwa i przyglądam się mojemu Macherowi. Fin udaje, że nie czuje mojego wzroku, ale w końcu zerka na mnie z ukosa.

– Wiesz... – odzywam się – ...kiedy to wszystko już się skończy, będziemy musieli uciąć sobie małą pogawędkę na temat mojej siostry.

Fin wskazuje dermoplastry na gardle i wzrusza przepraszająco ramionami. Poruszając tylko ustami, mówi „Nie powinienem rozmawiać”.

– Mój krzepki obrońca – mówi Scar, przykładając rękę do serca i trzepocząc rzęsami.

– Nie martwię się o ciebie – prychem. – Martwię się o niego.

Scarlett przewraca oczami i patrzy na torbę, którą mam ze sobą.

– Co mi przyniosłeś?

Siadam obok łóżka i zaczynam grzebać w torbie. Rzucam jej kilka racji z „Prawie Prawdziwym Makaronem™”. Siostra wpatruje się we mnie i udawane oburzenie zmienia się w prawdziwe.

– Przyniosłeś mi żołnierskie racje? Tyler, jesteśmy na stacji, tu mają prawdziwe jedzenie. Co, u...?

Urywa, kiedy wyjmuję pudełko lodów z czterema rodzajami czekolady i łyżkowidelec z jadalni akademii. Rzucam to w jej wyczekujące

ręce.

– Ooooch, kochany z ciebie człowiek, Tylerze Jones. Wyba-czam ci.

Fin krzywi się i odzywa szeptem:

– Nie mogę uwierzyć... że jesteś głodna.

– Nie powinienes nic mówić. – Scarlett otwiera pudełko z lodami, jakby kryła się w nim odpowiedź na kluczowe pytanie dotyczące życia, wszechświata i wszystkiego innego. – A kiedy masz wątpliwości, jedz.

Fin patrzy na hologram wyświetlany na ścianie i mamrocze:

– Po prostu... to dziwne uczucie świętować teraz.

Oboje ze Scar patrzymy w tym samym kierunku i napawamy się widokiem. Nadkomendantka de Stoy została na pokładzie stacji Aurora, żeby nadzorować atak. Jednak Adams przesyła nam nagrania bezpośrednio z mostka swojego okrętu flagowego, *Niezlomnego*. Powiedział, że zasłużyliśmy sobie na miejsca w pierwszym rzędzie podczas tego historycznego wydarzenia.

I rzeczywiście na naszych oczach rozgrywa się historia.

Po niemal dwóch tygodniach lotu przez Fałdę statki koalicji wreszcie dotarły do Bramy Octavii i teraz ustawiły się do ataku z zamiarem zniszczenia pierwszej planety-wylęgarni Ra'haam.

Statki ustawiły się jak włócznie w czerni i bieli Fałdy. Ich sylwetki rysują się na tle bramy. Tak jak wszystkie inne układy, gdzie Ra'haam ukrył swoje wylęgarnie, brama Octavii to naturalnego pochodzenia słaby punkt między wymiarami. Wygląda jak migoczące rozdarcie na powierzchni Fałdy, a nie jak sześciokątna brama, jakimi posługują się Terranie, albo w kształcie łezki jak bramy Syl dran. Ma dziesiątki tysięcy kilometrów szerokości, a jej brzegi skrzą się wybuchami czarnych kwantowych błyskawic. Ponad jej horyzontem obraz migocze i faluje jak gorące powietrze, a dalej widzę słaby błysk płonącej krwistoczerwono gwiazdy Octavii w wielobarwnej rzeczywistości normalnej przestrzeni.

Kiedy ostatni raz widzieliśmy to miejsce, była nas siódemka. Drużyna 312. Wszyscy wiemy, co straciliśmy na tej planecie. Co nam odebrano. Przez chwilę gniew i ból są tak wielkie, że stać mnie tylko na to, żeby oddychać.

– To dziwne świętować śmierć Ra’haam? – prycha Scarlett, odchylając się i zjadając łychę lodów. – Żartujesz sobie? Powinam była przynieść piwo.

Trzask i syk otwieranego kapsla niesie się echem w pokoju. Podaję Scarlett lodowato zimną butelkę ishtarrskiego *ale*.

– Ooooch, naaaprawdę kochany z ciebie człowiek, Tylerze Jones.

– Myślałem... że nie pijesz – szepcze Fin.

– Dziś robię wyjątek – odpowiadam, wypijając powoli łyk. – Chcesz jedno?

Fin kręci głową, patrząc znowu na ekrany. Wyczuwam jego niepokój i szczerze mówiąc, po części go podzielam. Jeśli Eshvarenowie zaplanowali atak na pradawnego wroga przed tysiącletkami i zadali sobie tyle trudu, żeby umożliwić nam skorzystanie z Broni, to wydaje się, że grzeszymy nadmierną pewnością siebie, myśląc, że uda nam się wyjść cało przy zastosowaniu tylko brutalnej siły.

Jednakże jeśli pomyśleć o tym racjonalnie, to przy całej ich mocy, Eshvarenowie żyli milion lat temu. Nie wiem, czy istniały inne zamieszkałe planety za ich czasów. Może byli całkiem sami? Pewnie nie mieli pojęcia, jakie siły może zgromadzić koalicja kilkuset żyjących wśród wielu gwiazd ras rozumnych, jeżeli odpowiednio je zmotywować. Ta flota, ta siła... czegoś takiego jeszcze nie widziano w Galaktyce.

Poza tym to nasza jedyna nadzieja.

Poza tym Adams i jego towarzysze nie są głupcami i nie szarżują na oślep. Już wysłali falę sond zwiadowczych przez bramę, żeby zbadać układ. Z nadchodzących raportów wynika, że Octavia III wygląda niemal dokładnie tak samo jak wtedy, kiedy wylądowała tam nasza siódemka – zwyczajna skała klasy M. Siedemdziesiąt cztery procent

powierzchni zajętej przez ocean, cztery główne kontynenty. Nudy jak sobotni wieczór w moim internacie. No, chyba że ktoś lubi szachy.

Ja jednak wiem, że niebieskozielone masy lądowe i połacie niebieskozielonego oceanu to tak naprawdę nie są już ziemia i woda. To skóra Ra'haam. Piękne paprocie, falujące pnącza i zwijające się liście, pływające się w ciepłym płynącym z jądra planety. To maska skrywająca twarz potwora, który rośnie pod spodem.

Tyle że z danych, ze wszystkich odczytów wynika...

- Nadal śpi - mruczy Scarlett.

- Na to wygląda. - Kiwam głową.

- Naprawdę myślisz, że się uda? - pyta moja siostra.

Zaciskam zęby, patrząc, jak zostaje wydany rozkaz i flota zaczyna wypływać przez bramę. Staram się nie myśleć o wszystkim, czego potrzebujemy i czego nie mamy, o wszystkim, co musieliśmy poświęcić, żeby zająć tak daleko. Cat i Zila, Kal i Auri.

- Musi - szepczę.

Podejście jest podręcznikowe, doskonałe, armada opada z bramy jak karząca ręka Stwórcy. Fala za falą rigelskie elegie, chelleriańskie kosy, betraskańskie *sah-ka* tną ciemność jak strzały niebo nad starożytnym polem bitwy, gdzie wrony już witają wrzaskiem rzeź.

Za nimi lecą okręty wojenne, potężne sylwetki orbitalnych platform bombardujących z Ishtarr, aalańskie gwiazdy śmierci, bojowe holki gremków, miotacze warp Nu-laot, lotniskowce Legionu Aurory eskortowane przez niezliczone Łuki. Zauważam, że oddycham szybciej już na sam ten widok, podniecenie sprawia, że dostaję gęsiej skórki. Po części tak rozpaczliwie żałuję, że mnie tam nie ma, żeby zadać ten cios, że czuję smak tego żalu.

Zamiast tego tkwię w pokoju szpitalnym na drugim końcu Galaktyki.

I mogę tylko bezradnie patrzeć.

- To za nas wszystkich, Ty - mówi Scar, patrząc mi w oczy.

- Aha. - Kiwam głową i z trudem przelękam ślinę. - Za Cat.

Rozkaz pada przez system łączności. Zaczyna się bombardowanie. Dziesięć tysięcy statków, dziesięć tysięcy strzałów, dziesięć tysięcy pięści niosących nasze światło w ciemność.

Kiedy spadają pierwsze bomby, atmosfera Octavii zaczyna płonąć: rozbłyski termojądrowe jarzą się bielą, orbitalny ogień zaporowy rozrywa chmury, katapulty elektromagnetyczne sprawiają, że ziemia trzęsie się w posadach. Początkowo atak wydaje się czymś drobnym. Planeta jest ogromna, skala – tak wielka. Jednakże nawet słonia zabije dostatecznie dużo mrówek. A większość mrówek nie jest wyposażona w broń nuklearną.

Błękit i zieleń płoną i czernieją. Krystalicznie czyste niebo Octavii III ciemnieje, miliardy ton ziemi i pyłu zostają wyrzucone w atmosferę, kiedy powierzchnia płonie, a sama planeta trzęsie się w posadach. Ostrzał jest nieustępliwy, nieskończony, potęga połączonych ras Galaktyki skupiła się na jednym celu: zabiciu smoka w jego leżu, utopieniu bestii, póki śpi.

Na oddech Stwórcy, początkowo nie śmiałem żywić nadziei, ale w miarę jak miażdżące, przytłaczające bombardowanie trwa, kiedy niebo Octavii III czernieje od popiołów, a jej atmosfera płonie i ucieka w kosmos...

– Udaje im się – szepczę. – Naprawdę im się...

Początkowo to brzmi jak szept. Jak coś bezkształtnego i pozbawionego tonu, umiejscowionego gdzieś u podstawy mojej czaszki. Narasta w miejscu, gdzie skrywałem wszystkie niemądre lęki, które brałem za prawdziwe jako dziecko: strach przed potworami czającymi się pod łóżkiem i paskudne głosy w mojej głowie.

Patrzę na Fina, ale on chyba niczego nie zauważa; wbija spojrzenie wielkich czarnych oczu w relację z ataku, płonące niebo odbija się w gładkim ciemnym łuku jego soczewek kontaktowych. Jednak kiedy patrzę na Scar, zauważam, że marszczy lekko brwi i rozchyła usta, jakby miała się skrzywić.

– Słyszysz to? – pytam.

- Nie.

Patrzy mi w oczy i kręci głową.

- Czuję.

Cisnienie narasta, spływa mi kaskadą po kręgosłupie, napiera na oczy od środka tak mocno, że muszę je zamknąć. Przyciskam dłoń do mokrego od potu czoła.

Na chwilę zapada cisza, jakby coś nabierało oddechu.

A potem szept zamienia się w krzyk, KRZYK tak potężny, głodny i nienawistny, że sięga poprzez samotne pustki kosmosu i łapie mnie za serce, ściska je tak, że prawie zatrzymuje.

- O, Stwórco...

Scar syczy, krew płynie jej z nosa.

- Co się... dzieje?

Fin unosi drżącą rękę, a jego szept jest jak lód w moim brzuchu.

- Patrz.

Flota. Atak. Pociski, katapulty elektromagnetyczne, bombardowanie - wszystko ucichło i znieruchomiało. Jakby Adams zarządził przerwanie ognia, tyle że żaden taki rozkaz nie nadszedł przez system łączności. Więcej: w ogóle nic nie płynie przez system łączności, jakby wszyscy w armadzie słuchali, urzeczeni, przerażeni albo sparaliżowani tym okropnym

okropnym

KRZYKIEM.

Alarmy rozbrzmiewają na pokładzie stacji Aurora. Wzywają dowódców, żeby wysłali meldunki do stacji, światło staje się żółte, kiedy przechodzimy na Poziom Gotowości 2. Cała Galaktyka jest świadkiem tych wydarzeń i wyobrażam sobie niepewność, panikę, które rozlewają się jak trucizna, gdy najpotężniejsza flota, jaką kiedykolwiek zgromadzono, wisi zamrożona, nieruchoma, wyrysowana ciemnymi sylwetkami na tle luny płonącego świata.

- Admirał Adams... - szepczę.

Atmosfera Octavii III wiruje i kłębi się, ogniste burze szaleją wśród wałów czarnych chmur wysokich na setki kilometrów. Krzyk przybiera na intensywności, jest tak przenikliwy, że ledwie widzę z powodu łez, krew tryska mi z nosa i oblewa usta. Fin trzyma Scarlett za rękę, ociera potok szkarlatu kapiący jej z podbródka. Ja jednak zmuszam się do patrzenia na ekrany, przerażony, osłupiały, kiedy skłębione chmury Octavii III zostają rozerwane i zaczyna się wylewać coś spod spodu.

Nie wygląda to jak potwór, jak zgroza ani jak koniec. I to jest potworne: aż oniemiałem z wrażenia na widok piękna trylionów zarodników, które, płonąc błękitem, wypadają spod płonącej skóry Octavii III i zalewają przestrzeń. Przy okazji rozrywają planetę, roztrzaskują jej serce, roznoszą góry i stopiony płaszcz; krwawiące, płynne jądro wylewa się w kataklizmie, który przechodzi wszelkie wyobrażenie.

Octavia III umiera z krzykiem; ja też krzyczę, tak samo jak to coś krzyczy, wyje, wrzeszczy niczym głodny noworodek wyciągnięty z ciepłego łona matki na zimny świat. Serce mi się zaciska w piersi, kiedy lśniąca zarodniki lecą przez ciemność, uczepiają się statków, wgłębiają się, ich macki szukają, strąki z nasionami pękają, zepsucie rozlewa się przez najpotężniejszą flotę, jaką kiedykolwiek zgromadzono w Galaktyce, i zagarnia dla siebie.

– O, nie – szepcze Scar. – O, Stwórco...

– Obudził się... – mówię cicho.

Widzę światła, gdy włączają się silniki i statki zaczynają zawracać – kilka załóg, które mają dość przytomności umysłu, żeby spróbować uciec. Jednak większość po prostu wisi w pustce nieruchomo jak pozbawiona życia, podczas gdy Octavia III umiera w płomieniach, krzyżąc, rodząc coś, co ogrzewała w swoim łonie przez ostatni milion lat.

Zarodki lecą, rozsypują się niczym kulki z niebieskiego szkła, pochłaniają flotę koalicji i toczą się dalej. Widzę, że przekaz z armady zaczyna się rwać, kiedy jeden statek po drugim zostaje pożarty, pochłania go rozkład. Chcę się odwrócić, zamknąć oczy, powiedzieć sobie, że potwór pod łóżkiem nie istnieje naprawdę, nie istnieje.

Mimo to zmuszam się do patrzenia, jak Ra'haam dosięga Bramy Fałdy, Iśniącego rozdarcia wśród gwiazd i nieskończonych ścieżek prowadzących do reszty Galaktyki. Scarlett ani razu w swoim życiu nie weszła do kaplicy, a teraz modli się, gdy błyszczące kule zaczynają się przelewać. Fin sięga po moją dłoń i ściska tak mocno, że trzeszcza mi kostki.

– Widziałem to – szepcze. – We śnie.

Wypowiadam jedyne słowo, jakie przychodzi mi do głowy.

Imię potwora.

– Ra'haam.

Istota, która kiedyś zagrażała pożarciem wszystkich rozumnych istot w Galaktyce. Głód tak ogromny, intelekt tak przerażający, wróg tak niebezpieczny, że cała rasa poświęciła siebie, żeby zapobiec jego ponownemu przebudzeniu.

Mimo to zawiedli.

Eshvarenowie zawiedli.

I niech nam Stwórca dopomoże, bo my także zawiedliśmy.

Ra'haam.

Dziesięć dni później cała Galaktyka pogrąży się w panice.

Nigdy nie widziałem niczego takiego. To jest jak infekcja sunąca przed Ra'haam, przed falą błyszczących niebieskich zarodników wlewających się do Fałdy razem ze splugawioną armadą koalicji.

Dotarły do nas tylko urywkowe obrazy z posunięć wroga, ale dość, żeby wiedzieć, że flota i wszyscy w niej przepadli. Wszystkie te gwiazdy śmierci, Kosiarze i lotniskowce były teraz obrośnięte zarodnikami, pleśnią i niebieskozielonymi liśćmi, ciągnęły się za nimi długie, skłębione pnącza. Wyglądały jak porośnięte pąklami i wodorostami wraki na dnie terrańskiego oceanu. Drzę na myśl o tym, co stało się ze wszystkimi dzielnymi żołnierzami na pokładach tych okrętów.

Admirał Adams. Jego towarzysze – inni dowódcy.

Legion Aurory i wszystkie wojska w Galaktyce na dobrą sprawę powalono na kolana.

Chociaż jeszcze kilka tygodni temu spał ukryty i milczący, teraz cała Galaktyka zna jego imię, niesie się ono szeptem przez ciemność, wypowiadane ze strachem za zamkniętymi drzwiami i wykrzykiwane w wiadomościach.

Ra'haam.

Wróg, który zamierza połączyć wszystkie rasy w Galaktyce, jedną po drugiej.

Aż nie zostanie nic poza nim jednym.

Na ile możemy się zorientować, wyklut się tylko z wylęgarni na Octavii. Może ma to coś wspólnego z atakiem, a może z terrańską kolonią, którą tam założono. A może z jeszcze innym czynnikiem. Tylko jedno wiemy z całą pewnością: bez względu na to, jak źle przedstawia się obecna sytuacja, będzie dwadzieścia jeden razy gorzej, kiedy pozostałe wylęgarnie się przebudzą.

Ta wojna praktycznie skończyła się, zanim się zaczęła.

Strach z tym związany szerzy się jak pożar, zalewa Drogę Mleczną tak, jak wróg zalewa Fałdę. Inne rasy zaczęły panikować, niektóre posuwały się do tego, że zniszczyły Bramy Fałdy w swoich układach – wola pograć się w nowych ciemnych wiekach, jak te poprzedzające odkrycie Fałdy, niż pozwolić, żeby Ra’haam skolonizował ich światy. A przez ten czas zarodniki prą naprzód, jarząc się upiornym błękitem nawet w pozbawionym barw krajobrazie Fałdy.

Nieskończone.

Nieustępliwe.

Splugawiona flota niesie falę zarodników, płynie jak cienie pośród jarzących się, błyszczących burz rozległych na miliardy kilometrów. Kiedy oglądam urywki przekazów w wiadomościach, zalany zgrozą tego wszystkiego, nie potrafię oprzeć się beznadziei.

Zrobiłem dokładnie to, co kazała mi wizja. Powstrzymałem zniszczenie Akademii Aurory, powstrzymałem katastrofę, jaka mogła wyniknąć ze zniszczenia Galaktycznego Konwentu. Zrobiłem, co mi kazano.

I robiąc to, pomogłem wręczyć Ra’haam potężną flotę wojenną, której w przeciwnym wypadku zapewne nigdy by nie zgromadził.

Scar i Fin wycięli sobie ścieżkę przez czas, Zila poświęciła życie, żeby stworzyć w przeszłości Legion Aurory i zwalczyć Ra’haam, Auri i Kal oddali życie, próbując zdobyć dla nas Broń, a mimo to wróg tu jest, wlewa się do Fałdy tak, jak zawsze chciał, tak jak to zaplanował.

Może po tym wszystkim, czego dokonaliśmy, drużyna 312 tylko pogorszyła sytuację? – myślę sobie.

I to, co zrobiłem, żeby uratować stację Aurora, nic nie dało. Ponieważ stacja Aurora to miejsce, dokąd flota Ra'haam uda się w pierwszej kolejności.

Nasze drużyny logistyczne to potwierdziły. Kurs wytyczono. Dane zestawiono.

Ra'haam tu leci.

I pojawi się za niecałe dwadzieścia godzin.

Nie nadejdzie pomoc. Nie zdarzy się żaden cud. Wróg ma przewagę liczebną i jest lepiej uzbrojony. Chociaż nadal mamy rezerwę w postaci okrętów i systemu obrony, to prawda jest taka, że nasza obrona nie na wiele się zda wobec tak ogromnej floty.

– Scar, musimy się stąd wynosić.

Stoimy na promenadzie, chaotyczny tłum kłębi się wokół nas. Niedobitki dowództwa stacji potwierdziły, że Ra'haam leci na stację Aurory i cały personel, który nie jest niezbędny, otrzymał rozkaz ewakuowania się. Sprzedawcy z rodzinami pakują pośpiesznie sklepy i swoje mienie, ciemność na zewnątrz rozświetlają błyski setek silników – promy, lotniskowce, frachtowce odpływają przez Bramę Fałdy w poszukiwaniu jakiegoś w miarę bezpiecznego miejsca.

– Drogi bracie, chyba całkiem ci odbiło – mówi Scarlett.

– Mówię serio. – Wskazuję stację. – Czas na dyplomację minął. Nie ma sensu, żebyś tu zostawała.

– Z tego co widzę, nie ma sensu, żeby ktokolwiek tu zostawał – wtrąca się Fin.

– Dziękuję! – wykrzykuje Scar, kłaniając się przed Finem teatralnie. – Nareszcie ktoś tu mówi z odrobiną sensu!

– Myślałem, że masz się w ogóle nie odzywać – mruczę.

Mój Macher posyła mi uśmiech, jego nowy egzozskielet syczy cicho, kiedy wzrusza ramionami.

– Wszyscy wiedzieliśmy, że to zbyt piękne, żeby dłużej mogło trwać.

– Serio, Tyler, powinniśmy ewakuować się razem z...

– Nie mogę. Złożyłem przysięgę Legionowi, kiedy do niego wstąpiłem.

– Legionowi?! – prycha. – Tyler, straciliśmy większość dowódców i niemal wszystkie statki, kiedy Octavia rozkwitła! Z Legionu już nic, k...

– Wiem – wchodzę jej w słowo, tracąc nad sobą panowanie. – Wiem to lepiej niż ktokolwiek inny! Zaufaj mi, kalkulowaliśmy to z de Stoy tysiąc razy! Jeśli jednak mam umrzeć, to umrę, walcząc! A najlepsze miejsce do walki jest tutaj!

Patrzy mi w oczy i tylko wzrusza ramionami.

– W takim razie zostaję z tobą.

– Scar, nie. Nie ma...

– Nie chcę tego słyszeć! – krzyczy Scar. – Nie wstąpiłam do Legionu dlatego, że chciałam uczynić Galaktykę lepszym miejscem! Nie wstąpiłam po to, żeby zostać bohaterką! Wstąpiłam, bo jesteś moim młodszym bratem i opiekuję się tobą! I nie wlekłam mojego cudnego tyłka przez czas, przestrzeń i zapadające się pętle paradoksu tylko po to, żeby odwrócić się i uciec przy pierwszym lepszym galaktycznym kataklizmie. Słyszysz?!

Patrzę mojej siostrze w oczy.

Znałem Scarlett Isobel Jones przez całe swoje życie. Znam ją lepiej niż kogokolwiek innego w Drodze Mlecznej. Wiem, że z łatwością przeszła przez akademię, że nigdy nie traktowała jej tak serio, jak by mogła, że może nigdy nie była najlepszym nabytkiem dla Legionu.

Widzę jednak teraz, że ciężkie próby, którym musiała stawić czoło, i bitwy, które stoczyła, zmieniły ją. Jest twardsza niż kiedyś. Dzielniejsza. Widzę, że przez ostatnich kilka miesięcy znalazła w sobie źródło siły, o którego istnieniu nawet nie wiedziała. Jednak jedno w Scarlett Isobel Jones się nie zmieniło. Wszystkie straty i trudy nie zdołały zmienić jednej rzeczy.

Nadal kocha mnie tak zaciekle jak nikt inny.

– Scarlett – mówię. – Jeśli tu zostaniesz, umrzesz.

– Już raz cię straciłam – odpowiada, unosząc podbródek. – Nie pozwolę na to po raz drugi.

Fin staje obok niej i bierze ją za rękę.

– Wygląda na to, że zostałeś z nami, szefie.

Wzdycham, wyglądając przez ogromny iluminator. Uciekające statki. Upadek Galaktyki.

Wiem, że nie mamy wyjścia. Wiem, że patrzymy w lułę wymierzoną prosto w nas. Pamiętam, jakie to było uczucie walczyć z Cat w reaktorze. Patrzeć w jej jarzące się oczy. Wykrwawiać się na podłodze. Pamiętam tę straszną chwilę, kiedy się zastanawiałem, czy nie lepiej byłoby zatrącić się w Ra’haam niż umrzeć samotnie.

Wiem teraz, jak głupi był ten strach. Bo nawet w najczarniejszej godzinie nigdy nie byłem sam. Obejmuję Scar, tulę ją mocno i łapię też w objęcia Fina.

Dociera do mnie, że właśnie tym jest rodzina.

Nigdy nie jesteś sam.

Światło staje się czerwone. W głośnikach rozlega się dźwięk alarmu, metaliczny głos niesie się echem po promenadzie.

– Stacja Aurora, tu nadkomendantka de Stoy. Czerwony alarm: zbliżają się nieautoryzowane statki. Cały personel: poziom gotowości jeden.

– O w mordę – szepcze Scarlett.

– Powtarzam, tu nadkomendantka de Stoy. Liczne nieautoryzowane statki przekraczają Bramę Fałdową Aurory. Cały personel: poziom gotowości jeden.

– Przyleciał – szepcze Fin.

– Nie. – Marszczę czoło, wypuszczając ich z objęć i wyglądając przez iluminator na bramę. – Ra’haam ma nadal dziewiętnaście godzin do...

– Legionisto Jones, tu de Stoy, czy nie słyszysz?

Uderzam w komunikator na piersi.

– Doskonale, pani dowódco.

- To lepiej galopuj w podskokach do centrum dowodzenia, żołnierzu.

Patrzę znowu na Bramę Fałdy, brzuch mi się zaciska, kiedy czarne kształty zaczynają się wylewać z pęknięcia.

Kładę rękę na plastali iluminatora, serce wyrywa mi się z piersi, bo nie mogę uwierzyć własnym oczom.

- Znam te statki... - szepczę.

- Tyler? - pyta Scar. - Co...

Ja jednak już biegnę, pędzę promenadą przez tłum, rycząc na całe płuca:

- Scar, Fin, za mną!

- Dokąd, u diabła, b...

- BIEGIEM!

Scar i Finian pędzą za mną przez ścisk do turbowindy. Jedziemy na mostek w wieży centrum dowodzenia w milczeniu. Fin i Scar patrzą na mnie jak na wariata, a ja sam się zastanawiam, czy całkiem mi odbiło.

Nie ważę się mieć nadziei, nie ważę się nawet myśleć o tym, ale kiedy nasza trójka wypada na tłoczne pokłady centrum dowodzenia Legionu Aurory, moje podejrzania się potwierdzają i burza motyli uwalnia się w moich brzuchu. Najdurniejszy uśmiech na świecie wypływa mi na twarz.

- Co to jest? - pyta Fin, patrząc na ekrany.

- Udało jej się. - Szczerzę zęby w uśmiechu. - Udało jej się!

Kształty są teraz wyraźniejsze, wylewają się w oślepiającym świetle przez Bramę Fałdową do układu Aurory. Flota okrętów wojennych lśniących i eleganckich, ich czarne kadłuby są ozdobione pięknymi znakami namalowanymi błyszczącą bielą. Ludzie, którzy urodzili się ze smakiem krwi w ustach.

Ludzie urodzeni dla wojny.

Nadkomendantka de Stoy stoi ze swoimi ludźmi i ma w sobie tyle pewności siebie, ile może mieć dowódca, który bez jednej godziny snu znalazł się pośród galaktycznego kataklizmu. Jej chuda, blada twarz jest skrzywiona, czarne oczy wpatrują się we mnie.

- Wywołują nas przez ostatnie pięć minut - informuje nas. - Chcą rozmawiać z tobą, Jones.

Kiwam głową, prostuję się nieco bardziej.

- Przyjąłem, pani nadkomendantko.

Obraz nadlatującej floty na holoekranie przed nami rozplywa się, potężną armadę zastępuje pojedyncza twarz. Jej włosy są czarne jak pustka między gwiazdami, oczy błyszczą jak ciemne klejnoty, czarne usta krzywią się w uśmiešku, kiedy jej spojrzenie pada na mnie.

Jest piękna. Zaciekła. Genialna. Bezwzględna.

Nie przypomina nikogo, kogo bym znał.

- Saedii... - szepcze Fin.

- Tyler Jones - mówi Saedii.

- Najwyższy czas. - Uśmiecham się, unosząc lekko poblížnioną brew. - Zastanawiałem się, czy zamieszasz przespać całą wojnę.

Scar i Fin patrzą na mnie oniemiałi. Saedii tylko prychna.

- Będę miała dość czasu na sen w grobie.

- Zrobiłaś to, co potrzebowałaś? - pytam. - Masz to, czego chciałaś?

Saedii rozkłada ręce, jakby obejmowała armadę Nieugiętych, którą dowodzi. Uśmiecha się triumfalnie, a ja zauważam nowy łańcuch wiszący na jej szyi, srebrny, z półtuzinem odciętych syldrańskich uszu.

- Jestem templariuszką Nieugiętych, Tylerze Jones. Robię, co zechcę, leczę, dokąd zechcę, i biorę, co zechcę.

- Wiesz, co do nas leci.

Kiwa głową, zaciekła i ponura.

- Widzieliśmy.

- Wiesz więc, że nie wyjdziemy z tego żywi - ostrzegam ją. - Nasz jedyny plan, to zabić ich jak najwięcej, zanim się pożegnamy raz na

zawsze.

– Zatańczę z tobą taniec krwi. Pomalujemy słońce na czerwono tego dnia. – Kręci głową. – Nieugięci się nie żegnają.

Serce płonie mi w piersi na jej widok. Nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo mi jej brakowało, aż do tej chwili. Wyciągam do niej rękę, a ona unosi swoją, jakby chciała, żeby nasze dłonie się zetknęły. Żałuję, że nie mamy więcej czasu, żałuję, że nie poznałem jej lepiej, żałuję...

– Cieszę się, że tu jesteś, Saedii Gilwraeth.

Czarne usta wyginają się w leciutkim uśmiechku.

– Ja też chętnie raz jeszcze stanę do walki u twego boku, Tylerze Jones, i...

– I?

– I cieszę się, że ponownie cię widzę.

Saedii patrzy przez jeszcze jedno nieskończenie długie okamgnienie, a potem transmisja się kończy. Opuszczam rękę, zdając sobie sprawę, że cała załoga na mostku patrzy na mnie z niedowierzaniem.

– Oczywiście jestem wdzięczna za pomoc, ale prawie żałuję, że nie miałam czasu przeczytać twojego raportu na ten temat, legionisto Jones – odzywa się de Stoy.

Mój Macher ma minę, która wyraża coś pomiędzy podziwem a wstrząsem, zaś moja siostra decyduje się od razu na całkowite niedowierzanie. Patrzy to na mnie, to na ekran.

– Ty... i ona?

Wzruszam ramionami.

– To przez dołączki.

– Jakim cudem jeszcze chodzisz? – szepcze Fin.

Uśmiecham się szeroko.

– Fakt, przez jakiś czas kuśtykałem.

Fin zasłania otwarte usta jedną ręką, a za plecami Scarlett drugą przybija ze mnie bezczelną piątkę. Scar przyłapuje go na tym i patrzy na nas.

– Co wy? Macie po dwanaście lat?

– W skali od jednego do dziesięciu na pewno jesteście solidnymi dwunastkami – odpowiadam, wzruszając ramionami.

– O, Stwórco... – jęczy Scarlett.

Uśmiechy szybko gasną, ciepło w mojej piersi zaraz znika i zostaje tylko myśl o tym, co do nas leci.

Chociaż cieszę się z obecności Saedii i jej armady, to wiem, że nie przeważą szali zwycięstwa na naszą stronę. Zainfekowana flota jest zbyt wielka, Ra'haam jest zbyt wielki – tak jak powiedziałem: możemy tylko zadać mu jak największe straty, zanim sami padniemy.

Jeśli jednak to nam zostaje, to załatwimy to najlepiej, jak się da.

I jeśli to naprawdę jest koniec, to przynajmniej nie jestem sam.

* * *

Siedemnaście godzin później stoję na mostku znajomego Łuku, wpatrując się w nasze linie obrony. Za nami stacja Aurora błyszczy jak słońce o świcie, jeży się działami pulsacyjnymi i wyrzutniami pocisków. Flota Legionu ustawia się w szyku.

Adams i de Stoy skierowali prawie wszystkie statki, jakie mieli, do ataku na Octavię, więc zostało nam ze czterdzieści Łuków, które osłaniają z obu flank *Niezwykłego* – ciężki krążownik, którym dowodzi sama nadkomendantka de Stoy.

Jednakże wspiera nas armada Nieugiętych pod dowództwem Saedii – ciemne sylwetki Zjaw i Widm, smukłe, ogromne lotniskowce Banshee i Cienie, setki setek. Ustawiliśmy się w falandze przed Bramą Fałdy, żeby zgotować piekło pierwszym statkom, które z niej wypadną.

– Wrogowie nadal się zbliżają – nadchodzi ostrzeżenie przez system łączności. – Flota nieprzyjaciela wkroczy do układu Aurory za sześć minut.

– Dzięki za podwózkę – mruczę, patrząc na bramę. – Nie chciałbym przesiedzieć tej chwili wykluczony z gry.

Stojąca obok mnie Emma Cohen wzrusza ramionami, przyglądając się flocie.

– Uznałam, że jestem ci to winna po tym, jak uniemożliwiłeś wysadzenie stacji i tak dalej.

– Nie żywisz urazy za to, że zamknąłem cię w twoim własnym areszcie?

– To zależy – mówi, zerkając na mnie z ukosa. – A żywisz urazę za to, że strzeliłam ci w twarz?

– Oboje zrobiliśmy to, co musieliśmy. – Uśmiecham się. – Jesteśmy Legionem.

Kiwa głową i odpowiada uśmiechem.

– Jesteśmy światłem.

– A mi naprawdę przykro z powodu Damona – wtrąca się Scar. – Nie miałam pojęcia, że spotykaliście się w tym czasie.

Emma wzrusza ramionami, patrząc na bramę.

– To był dupek.

– Prawda?

– Flota nieprzyjaciela wkroczy do układu Aurory za cztery minuty.

– Nie, nie – mówi Fin, który siedzi z de Rennem. – Twoja trzecia matka to moja pierwsza ciotka ze strony drugiego dziadka.

Czołg Emmy Cohen zamiera w trakcie obliczeń, jego palce zatrzymują się nad pulpitem sterowniczym wyrzutni pocisków.

– Ale mój drugi pierwszy wuj to twój trzeci kuzyn, nie?

– Dariel to twój wujek?

– Aha, drugiego stopnia ze strony...

– Jak ci idą obliczenia, de Renn? – odzywa się Cohen.

– Załatwione – odpowiada Czołg, prostując się. – Możemy ruszać, Alfo.

– Flota nieprzyjaciela wkroczy do układu Aurory za trzy minuty.

Hologramy przed nami wyświetlają symbol Legionu i zaraz nad konsolami pojawia się twarz nadkomendantki de Stoy. Ostatni żywy

dowódca Legionu Aurory. Jest ponura i zdeterminowana. Jej głos rozlega się na mostku i niesie się do całej podległej jej floty.

– Legioniści Aurory. Być Betraskaninem to nigdy nie być samemu. Każdy z nas jest częścią rozległej sieci, klanu i większego klanu, ma rodzeństwo, rodziców, dziadków, kuzynów i setki innych krewnych, z którymi łączy nas krew. Dokądkolwiek idziemy, wiemy jedno: jesteśmy rodziną. To jest spuścizna, z którą się rodzimy. Jednak każdy z nas tutaj jest częścią czegoś jeszcze potężniejszego, bez względu na to, czy jest Betraskaninem, Terraninem czy Syldraninem. Jesteśmy częścią klanu, który sami wybraliśmy. Klanu, który zbudowaliśmy nie w oparciu o więzy krwi, ale obietnice, których zdecydowaliśmy się dotrzymać. Przysięgliśmy nasze serce sprawie i sobie nawzajem. Nawet teraz Legion Aurory płonie jasno, kiedy noc jest najczarniejsza. Nawet teraz stajemy przeciwko temu, co złe, walczymy o pokój. Taką przysięgę złożyliśmy, taką obietnicę daliśmy Legionowi i sobie nawzajem. Wiedźcie jedno: to największy honor w moim życiu stać dzisiaj z każdym z was ramię w ramię. Jesteście klanem, który wybrałam, rodziną mojego serca. Nie ma innego miejsca w tej galaktyce czy innej, w którym wolałabym się teraz znaleźć.

Jej głos się urywa i niemal natychmiast zostaje zastąpiony przez mechaniczne ogłoszenie:

– Flota nieprzyjaciela wkroczy do układu Aurory za jedną minutę.

Przez system łączności niesie się znajomy, zimny jak lód głos, który mimo to potrafi rozpalić ogień w mojej piersi.

– *De'na vosh, aam'nai. De'na siir.*

Patrzę na okręt flagowy Saedii wiszący w ciemności za naszą lewą burtą i zerkam pytająco na Scar.

– Nie znajcie strachu, moi przyjaciele – tłumaczy moja siostra. – Nie znajcie żalu.

– *Dun belis tal'dun. Nu belis tal'satha.*

– Koniec nie jest końcem. Śmierć nie jest porażką.

– *An'la téli saii.*

- Uj...

- Tak, tu już znam.

- Serio?

Kiwam głową i mówię cicho:

- Ujrę was w gwiazdach.

- Uwaga: nieprzyjacielska flota zbliża się. Do wszystkich statków:
nieprzyjacielska flota...

Brama Fałdy gwałtownie jaśnieje, błyskawica przecina czarne niebo i przez płonące okno wlatuje pierwszy statek Ra'haam.

Już tu jest...

To terrański lotniskowiec, elegancki, choć ciężki, jeży się od broni. Na kadłubie roi się od narośli podobnych do grzyba na wykrocie, niebieskich, zielonych i widmowo bladych, długie pędy ciągną się za nim. Serce mi się zaciska na widok nazwy na dziobie, teraz prawie nieczytelnej pod plamami infekcji Ra'haam.

Niezłomny.

- Admirał Adams - szepcze Finian.

- Już nie - mruczę w odpowiedzi.

Zamykam na chwilę oczy. Wiem, że zaraz zaczniemy do niego strzelać. Spróbujemy zabić go tak, jak zabiłem Cat.

Jednak zanim umarła, Cat mnie obroniła.

Ra'haam mnie bronił.

Ra'haam mnie kochał, bo Cat mnie kochała.

To już nie jest admirał Adams, ale... cząstka jego osoby...

- Wszystkie stanowiska bojowe, ognia!

Zaczyna się ostrzał, oślepiający, płonący. Promienie pulsacyjne tną jasnymi smugami, pociski lecą, strugi gazów za nimi wiszą jak wstążki podczas Święta Federacji. Eksplozje wybuchają bezgłośnie, blask termojądrowy jest równie jasny jak gwiazda Aurora za naszymi plecami, topi grodzie i rozrywa metal.

Niezlomny sunie przez burzę ognia, płomienie i chłodziwo tryskają z jego rozdartej skóry razem z czymś, co wygląda prawie jak krew, co kłębi się i gotuje w próżni. Nasza flota wciąż atakuje, strzela aż w końcu okręt flagowy ugina się pod tym naporem i pęka w aureoli płomieni.

Admirał Adams i ja co niedzielę chodziliśmy do kaplicy.

Nigdy nie zaszedłbym tak daleko bez niego.

„Musisz wierzyć, Tyler”.

– Przykro mi – szepczę.

Jednak jego już nie ma – nie może mnie usłyszeć.

I nie ma teraz czasu na żałobę. Nie będzie pieśni żałobnych ani salutów z dwudziestu jeden dział. Ponieważ za płonącym wrakiem flagowego okrętu naszego dawnego dowódcy przelewa się przez Bramę Fałdy reszta flory Ra’haam.

Elegie, kosy i *saht-ka*, gwiazdy śmierci, bojowe holki i miotacze warp unoszą się na skłębionej fali milionów błyszczących zarodników. Wlewają się do układu Aurory, tysiące tysięcy statków, zbyt wiele, żeby stawić im czoło, nie mówiąc o pokonaniu ich.

Cohen wykrzykuje rozkazy i nasz Łuk kluczcy wśród strumieni ognia, błyszczących kul, przecina ciemność, ostrzeliwując wroga z taką mocą, jaką tylko mamy.

Armada Nieugiętych wypala potężne połączenie w nadciągającej hordzie, czarna próżnia kosmosu jest zlaną lepką, śliską krwią Ra’haam. Jednak szeregi wroga są niezliczone, ich siła jest niespożyta. Kiedy Ra’haam odpowiada ogniem i statki wokół nas zaczynają umierać, wiemy, że to może się skończyć tylko w jeden sposób.

– Jak się trzymamy, nadkomendantko?! – krzyczę.

– Systemy chłodzące reaktora zostały odłączone – odpowiada de Stoy. – Układy bezpieczeństwa przełączone na tryb ręczny.

– Ile mamy czasu do poziomu krytycznego?

– Trzy minuty. Miejmy nadzieję, że twój plan zadziała.

– Skoro masz umrzeć, to zgin w walce.

Wąły rozbłysk promieniowania pojawia się za naszymi plecami, przebija się przez powłokę stacji Aurora, kiedy reaktor zbliża się do przeciążenia. Przypominam sobie narastający żar w rdzeniu, migoczące światło, krew Cat na rękach. I znowu to widzę oczami wyobraźni – wizję, ten sen na jawie, gdy stacja Aurora wybucha raz za razem.

Ra'haam wyczuwa, że coś jest nie tak, statki na ariergardzie zaczynają hamować, awangarda spowalnia atak.

Jednakże Brama Fałdy znajduje się teraz na naszych celownikach. Zaraz znajdzie się w naszym zasięgu, a wtedy zaczniemy strzelać i rozniesiemy ją w strzępy, żeby uwięzić wroga razem z nami w tym miejscu.

– Dwie minuty do poziomu krytycznego.

Głos w mojej głowie powiedział mi, że mogę to powstrzymać. Że mogę wszystko naprawić. Może jednak nie powinienem był. Może śmierć stacji, a wraz z nim marzenia w postaci Legionu, jej wybuch pośród wrogów i pożoga, aż zostaną same węgielki, to najlepsze, na co możemy mieć nadzieję.

Sięgam po dłoń Scarlett i ściskam ją mocno.

Stojący obok niej Fin obejmuje ją w talii.

Ten koniec nie jest końcem.

– Minuta do poziomu krytycznego.

Zobaczmy się ponownie.

W gwia...

Galaktyka wokół nas wywraca się na nice.

Grzmot miliardów burz narasta w mojej głowie.

Zataczam się pod wpływem tej siły, ludziom wokół mnie wrywają się słabe okrzyki, potykają się, walka na zewnątrz zamiera. Widzę, że wisiołek na szyi Scar jarzy się teraz kalejdoskopowym ogniem, mostek wypełnia kaskada – echo, ryk, krzyk narodzin, który niesie się falą w ciemności i wypala wszystko oślepiającą bielą.

Jakiś kształt przebija się przez ściany czasu i przestrzeni. Przedziera się przez wieczność, przez przeszłość, przyszłość i nieskończony zbór

możliwości, nadchodzi z krzykiem. Światło płonie tak jasno, że oślepia, rozszczepia się teraz na wszystkie kolory widma, od czerwieni, do żółci, błękitu i indygo. Nie, nie widma, ale tęczy

TEŃCZY

wytrawionej na grocie z połamanego kryształu wielkiego jak miasto, który teraz unosi się w ciemności przed moimi oczami.

Niewiarygodne.

Niemożliwe.

- Na oddech Stwórcy - wrywa się Finianowi.

- To Broń! - wykrzykuje Scarlett.

Jeszcze nie jest za późno, dociera do mnie.

Ona tu jest.

- Aurora - szepczę.

Jestem wszystkim.

Jestem każdym.

Jestem wszędzie.

W okamgnieniu jesteśmy w miejscu, w którym powinniśmy się znaleźć, hymn *Neridai* powoli cichnie do niskiego akordu, który wprawia w wibrację moje kości.

Kryształ Eshvarenów śpiewa swoją pieśń, energia, która była Caersanem, wygasa we mnie. Podnoszę głowę i widzę, że Kal leży ranny pośrodku sali tronowej, a ja zwinęłam się w kłębek wokół niego, osłaniając go własnym ciałem.

Jesteśmy sami.

Nigdzie nie ma śladu Ra'haam.

Caersan zniknął.

Ciała Wędrowców nadal leżą, ale ciała Tylera i Lae zniknęły, bo już nie są czymś realnym, a tylko... możliwym.

Ponieważ znaleźliśmy się w domu.

– Be'shmai – szepcze Kal, próbując unieść się na jednym łokciu.

– Jestem – odpowiadam szeptem.

Kocham cię – mówi mój umysł wprost do jego.

Powtarzałam mu to, kiedy podróżowaliśmy w czasie, kiedy go osłaniałam. Te słowa nadal żyją między nami i nie mam nic przeciwko temu. Nie chcę ich cofać. Chcę je powtórzyć tak wiele razy, jak to możliwe w czasie, jaki mi pozostał.

– Nic mi nie jest – mówię, podnosząc się.

Bo rzeczywiście czuję się dobrze. Powinnam być wyczerpana po walce, żeby naprawić statek, ale nigdy nie czułam się równie silna. Ani równie zdeterminowana.

Wszyscy, którzy przetrwali w przyszłości, oddali życie, żeby sprowadzić nas tu z powrotem. Żeby dać mi szansę zmienić to, jak ułoży się nasza historia. Nie zamierzam tego zmarnować.

Na moją prośbę Broń wyświetla mi widok z zewnątrz na ścianach sali tronowej – panoramę na trzysta sześćdziesiąt stopni z trwającej bitwy. Zupełnie jakby ściany *Neridai* były zrobione z przezroczystego szkła zamiast kryształu.

Śmierć i życie rozgrywają się w otaczającej nas przestrzeni, Łuki Legionu Aurory w panice skręcają, żeby ominąć Broń, ścigane przez statki Ra'haam, za którymi ciągną się pnącza. Kiedy się rozglądam, wszędzie widzę to samo.

Legion Aurory toczy ostatnią walkę u boku floty złożonej z eleganckich, krwiożerczych syldrańskich statków, na których burtach wymalowano znaki Nieugiętych. Ktokolwiek przejął dowodzenie po Caersanie, uznał najwidoczniej, że Ra'haam jest wrogiem, z którym warto walczyć.

Razem obie floty stawiają czoło armadzie, która ma nad nimi niezmierną przewagę liczebną, armadzie statków najróżniejszych rozmiarów i kształtów, przejętych od wszystkich zagarniętych ras. Statków spowitych w pnącza i kierowanych bezrozumnym głodem.

Mały statek Legionu okrąża Broń i odpływa jak spłoszona rybka na widok cienia. Widzę teraz, jaki los czeka jego załogę w najbliższych sekundach.

Widzę, że szaleńcza ucieczka przed pościgiem, próba pozbycia się głodnego Ra'haam siedzącego im na ogonie, wyśle ich prosto w stronę okrętu flagowego Ra'haam, gdzie skończą błyskawicznie w bezgłośniej eksplozji ognia, a każdy z nich będzie miał kilka milisekund, żeby zrozumieć swój los, zanim pochłonie ich zapomnienie.

Kal też to widzi, jego zgroza odzwierciedla moją własną. Sięgam więc na zewnątrz i zmieniam kurs Łuku, dzięki czemu przelatuje nad okrętem flagowym, ucieka w bezpieczne miejsce między towarzyszami. Wszędzie szaleje krwawa walka.

Ra'haam jest znacznie większy niż dotąd, jego obecność jest o wiele potężniejsza, bogatsza. Nowa armada reprezentuje niezliczone utracone jednostki, które zginęły w okamgnieniu, gdy bezmyślna jednia Ra'haam je przejęła. Kiedy jednak ocieram się o niego umysłem, kiedy Ra'haam drży, dygoce i kieruje uwagę na mnie, powoli wykrzywiam usta w uśmiechu.

Przekrzywiam głowę na lewo, a potem na prawo, słyszę, jak strzelają mi kręgi w szyi. Ponieważ byłam w przyszłości i widziałam, jak to może się skończyć. A ta wersja Ra'haam, tu i teraz?

Mówię to na głos, czując wibrującą we mnie moc, rzucam wyzwanie, gdy światło bije z mojego oka i szczeliny w skórze otwierają się powoli pajęczyną. To jest bolesne i radosne.

- To wszystko, na co cię stać?

Zaciskam dłonie w pięści.

- Widziałam gorsze rzeczy.

Kal z bólem klęka, fiolet i złoto jego umysłu mieszają się z moim.

- Jest ich tak wielu - szepcze, patrząc na bitwę, na flotę, która kiedyś była armią setek światów. - Tak wielu utracono.

- Tak wielu zostało do uratowania - mówię cicho. - Zostało ich znacznie więcej niż w przyszłości. Spójrz, Kal. Co widzisz?

Pociągam jego umysł za swoim, żeby pokazać mu Ra'haam - tysiące, miliony połączeń, jednię, owo „ja”, które rodzi się z tego, co powinno być wielością, zbiorem indywidualności, „nami”. Skłębiona masa dusz związanych razem jednym celem - rozrostu, pożarcia wszystkiego, co się przed nią znajdzie.

Pokazuję mu wspaniałą spletaną sieć mentalnej energii łączącej każde z tych ciał ze wszystkimi pozostałymi, każdy statek z pozostałymi.

To w gruncie rzeczy jest piękne.

Kal wzdyga się, ale trzymam go mocno, a potem skupiam się na tym, co jest na zewnątrz, i pokazuję mu to, czego wcześniej nie potrafiłam spostrzec, dopóki nie znalazłam się gdzie indziej i kiedy indziej i nie przyjrzałam się Ra'haam z bliska podczas walki.

Od tego skupiska ciągną się także inne żyły, mentalne autostrady i zaułki, które pulsują niebiesko-zieloną energią; sięgają w niewyobrażalną dal, jakiej nasze umysły nie są w stanie pojąć. W dal, dla której pokonania musielibyśmy naszymi słabymi stateczkami podróżować miliony lat.

Widzisz to, myśli Kal. Jego umysł próbuje odsunąć się od skali tego, co obserwujemy, ale zaraz zbiera się na odwagę i próbuje ogarnąć to raz jeszcze. *Teraz widzisz to wszystko*, myśli do mnie.

Tak, widzę wszystko, potwierdzam. *I wiem jak to zabić.*

Broń została zaprojektowana przez Eshvarenów tak, żeby wystrzelić do dwudziestu dwóch planet-wylęgarni po kolei. Niestety teraz nie ma na to czasu. I nie jestem pewna, czy mam w sobie dość siły po walkach, jakie już zaliczyłam.

Jednakże Eshvarenowie nie mieli pojęcia, że natkniemy się na jedną planetę przed pozostałymi. Że ludzie z ich nieskończoną, nienasyconą ciekawością znajdą naturalną Bramę Fałdy, której nikt inny wcześniej nie spróbował zbadać, zbyt odległą od wszystkiego, żeby wydawała się interesująca. Że przelecą przez nią i wylądują gdzieś, gdzie nikt wcześniej się nie znalazł.

Nie wiedzieli, że obudzimy Ra'haam przed jego czasem.

I teraz, kiedy ta mała cząstka jest przebudzona, może działać jak kanał łączący go z całą resztą. Jeśli zniszczę tę flotę, wylęgarnię, która wykluła się przedwcześnie i która przejęła kolonię na Octavii, to mogę posłać to zniszczenie przez nieskończoną sieć niczym wirus, niczym pożogę.

Mogę zniszczyć planety-wylęgarnie, zanim się przebudzą.

Możesz zabić wszystko, co Ra'haam zawiera, zdumiewa się Kal.

Owszem. Jak płomień, który wypala wszystko od środka.

A ja będę paliwem.

Zaczynam się śmiać, ocierając krew kapiącą mi z nosa, i przygotowuję się do ataku. Zabiję to coś tu i teraz, a ta śmierć się rozprzestrzeni jak infekcja, aż Ra'haam umrze wszędzie.

Kal sięga po moją rękę i już nie pyta, czy mogę to przeżyć. Wyczuwam jednak w nim iskierkę nadziei, więc ukrywam przed nim prawdę.

Przez jeszcze kilka minut.

Splata palce z moimi. Zamierza zostać ze mną tak długo, jak to możliwe.

Nie jesteś sama, mówi w głębi mojego umysłu.

Postanawiam uwolnić go w ostatniej chwili, odesłać, żeby przeżył resztę pięknego życia beze mnie w świecie, jaki dla nich stworzę, ale na razie trzymam go blisko siebie.

Zawsze było wiadomo, że pożyje sto lat dłużej ode mnie, a jest tak wiele rzeczy, które powinien zobaczyć i zrobić. Chciałabym być przy tym, stać u jego boku, ale z radością poświęcę siebie, wiedząc, że w ten sposób to wszystko mu umożliwię.

W ciszy przed burzą sięgam, żeby musnąć czułe miejsca, które będę chronić, i odkrywam, że mogę sięgnąć dowolnie daleko.

Przesuwam opuszkami po lśniąącym kadłubie stacji Aurora, po flocie, a potem sięgam dalej i widzę Szmaragdowe Miasto, Wiekuistego, równie cudownie brudnego i żywego jak zawsze, tętniącego życiem i obietnicą. Przemykam obok potężnego wraku Hadfielda ku światom, gdzie lud Dacci, lud Elin i lud Toshh nadal żyją, wciąż bezpieczne. Widzę zniszczone Bramy Fałdy planet, które odcięły się w próżnej nadziei na przetrwanie, i w ogromnej oddali widzę Ziemię, gdzie zaczęła się moja historia.

Nie mam granic i już wiem dlaczego.

Bo w żaden sposób się nie powstrzymuję, nie chowam żadnej cząstki siebie dla bezpieczeństwa. Nie musi nic mi zostać, gdy już to skończę.

Muszę tylko przetrwać na tyle długo, żeby dopilnować końca Ra'haam.

Ukochana, mówi Kal, tak maleńki w nieskończonej Galaktyce, ale zawsze, zawsze słyszalny. *Musimy działać*.

Delikatnie, bardzo delikatnie kieruje moją uwagę z powrotem do miejsca, gdzie jest moje ciało, i rzeczywiście – już widzę. Bitwa trwa. Wokół mnie maleńkie światełka jak świetliki gasną jedno po drugim.

Statek wybucha i rozpada się na milion lśniących kawałeczków. Pięć drobnych iskerek życia, które w nim były, przepada.

Kiedy skupiam się na tym miejscu i czasie – na stacji Aurora i armadzie Ra'haam – dostrzegam migotanie jego umysłu.

Prawie je przegapiam pośród chaosu walki.

Tyler!

Jest tak bardzo, bardzo młody, jeszcze nie wycieńczony. Jest, jest, jest

moim przyjacielem

i jest

tak jasny

i w tym miejscu i czasie nadal jest – żyje

dlatego biorę się w garść i każę wszystkiemu, co mnie otacza

ZNIERUCHOMIEĆ.

tak się dzieje.

Obrońcy zamierają. Nikt nie może strzelać. Statki Ra'haam nieruchomieją, nie mogą sięgać swoimi wiecznie szukającymi pnączami. Bitwa zamienia się w obraz, wszystko się zatrzymuje, obie strony patrzą na siebie z nagle niereagujących statków.

I bardzo, bardzo uważając, żeby go nie skrzywdzić, pozwalam najdrobniejszej cząstce mnie wpaść radośnie na Tylera. Towarzyszy mi w tym Kal. Mentalny okrzyk Tylera ma przepiękny jaskrawożółty kolor, jak słońce, jak pola pszenicy, jak złote nici.

Nauczyłam się w Echu, jak przeżyć pół roku w kilka godzin i teraz jestem silniejsza, mogę przeżyć wieczność w okamgnieniu.

Mam więc czas.

Mam czas na to.

Wystarczy ledwie szturchnąć i... jesteście. Po raz ostatni znajdujemy się w jednym z moich najbardziej ulubionych miejsc na świecie. Bo niby czemu nie?

Nasza trójka – Kal, Tyler i ja – siedzimy przy okrągłym stole z syntetycznego drewna w kuchni, w skromnym mieszkaniu należącym do spółki Ad Astra. Na blatach stoją słoiki i pojemniki z jedzeniem, garnki wiszą na hakach pod sufitem. Moi rodzice lubili gotować tak często, jak się dało podczas przygotowań do misji na Octavii.

– Zawsze powinniście mieć miejsce, gdzie możecie nakarmić przyjaciół – powiedziała mnie i Callie mama, kiedy narzekałyśmy, że musimy przeciskać się obok stołu, żeby przejść do korytarza.

Teraz muzyka gra cicho w tle, a ja czuję zapach chleba sodowego matki, który piecze się w piekarniku. Wielka micha groszku stoi pośrodku stołu. Przyciągam ją do siebie i zaczynam łuskać groszek. Tata hodował go na parapecie i łuskanie zawsze należało do moich zadań.

– Gdzie jesteście? – pyta Tyler.

Obraca się zaskoczony i rozgląda.

– W domu – odpowiadam cicho. – Wpadliśmy tu na minutkę.

– Zaszczycasz nas, dzieląc się z nami miejscem przy swoim palenisku – mruczy Kal i ponieważ nasze umysły są połączone, wyczuwam wagę tradycji za tym syldrańskim powiedzeniem.

– To twoja robota? – pyta Tyler, rozglądając się po domu. – To ty zatrzymałaś walkę?

– Tak – mówię, przyglądając mu się uważniej. – Poczuleś to?

Coś powoli pojawia się między nami, jakbyśmy obserwowali odwrócone w czasie blaknięcie. To... są pasma. Ciemnoniebieskie w moim przypadku, fioletowe Kala i żółte Tylera. Wiszą między nami jak pajęczyna.

Myszę, że to nasze umysły, a raczej sposób, w jaki nam się ukazują w chwili, którą dla nas stworzyłam.

Przesuwam palcami po pięknej żółtej nici Tylera, która jest przywiązana do mojego nadgarstka, i dowiaduję się czegoś nowego na jego temat.

– Nie chodziło tylko o Lae! Jesteś po części Syldraninem, ale nie wiedziałeś o tym.

– Kto to jest Lae? – pyta i wyciąga rękę, żeby dotknąć włókna między nami.

Kal i ja patrzymy po sobie ze smutkiem.

– Moja krewna – odpowiada po prostu Kal. – Największa duma mojej rodziny, bracie. – Uśmiecha się. – Mam nadzieję, że pewnego dnia ją poznasz.

Teraz, kiedy znalazłam nasze włókna, łatwiej jest zobaczyć inne – tęczę przywiązaną do naszych nadgarstków i znikającą w dali. Sięgam, sunę ich tropem, szukając reszty naszej rodziny.

Chwilę potem przy stole siedzi Scarlett, przywiązana do nas żywą czerwienią. Jej niesamowita empatia nagle nabiera sensu – to dar po matce z Ligi Wędrowców. Jej pasma wiążą się ze mną, Kalem i tysiąc-krotnie bardziej zawiłą siecią z jej bratem bliźniakiem – więź między nimi jest jak gobelin z czerwieni i złota. Widzę chwilę, kiedy jej umysł

łączy z się umysłem Tylera, kiedy poznaje prawdę na temat ich matki. Wyrzywa jej się słaby okrzyk i czuję jej smutek związany ze stratą matki.

Potem pojawia się obok niej Finian, szmaragdowa zieleń pełna życia. Dla niego to jest trudniejsze: nie ma syldrańskiej krwi, nie przeszedł treningu Eshvarenów, jego umysł nie został do tego stworzony. Jest jednak Betraskaninem i ludzie przy stole to jego klan, wybrana przez niego rodzina, i to go z nami wiąże – jego zielone pasmo jest częścią naszej całości. Zresztą zawsze miał w sobie wiele miłości.

Każde z nas trzyma go mocno i kiedy migocze, pomagamy mu pozostać, wzmacniamy naszą miłością jego część utkanej tęczy.

Potem szukam Zili, coraz bardziej nerwowo, wypatruję jej pasma, bo wiem, że musi gdzieś być, ale niczego nie znajduję. Scarlett patrzy na mnie ze łzami w oczach, nasze umysły się łączą i

och, Zila.

Zila.

Mam nadzieję, że ją kochałaś. Mam nadzieję, że byłaś szczęśliwa.

I kiedy już myślę, że to koniec, zauważam coś jeszcze: czarne pasma biegnące od Tylera i Kala, a kiedy za nie ciągnę, widzę...

Saerii Gilwraeth siedzi przy stole moich rodziców, unosząc brew.

Bez słowa Tyler sięga po miskę i podaje jej groszek do łuskania. Coś między nimi przeskakuje. Kolejne pasma, żółte i czarne, splatają się jak chmara pszczoł – tętniących życiem ale niebezpiecznych. Saerii bierze groszek i łamie lupinę.

Jej przenikliwy umysł prawie znajduje prawdę na temat Lae w moim umyśle, kiedy patrzę na nich dwoje, ale odpycham tę wiedzę w bezpieczne miejsce. Pewne rzeczy należy odkryć we właściwym czasie. Widząc ich razem, mam przeczucie, że pewnego dnia poznają Lae.

Żadne z nas nie posługuje się słowami, żadne tego nie potrzebuje – nasza rozmowa przebiega z prędkością błyskawicy, pasma rozwijają się między nami tworząc najpiękniejszą, dziką, chaotyczną i zarazem doskonałą tęczę,

dzielimy się swoimi historiami,
mówimy sobie „kocham cię”,
a gobelin rozrasta się

i

i

i

...zaczynam widzieć.

Och.

Och tak, widzę.

Widzę coś, czego nie zauważyłam wcześniej, kiedy planowałam swój koniec.

Ogarnia mnie coś nowego, możliwość, jakiej nigdy nie brałam pod uwagę, dopóki wypełniała mnie chęć walki i zacieklej obrony. Jakbym powoli budziła się z bardzo długiego snu, mrugam powiekami, żeby skupić się na obrazie przed sobą, i zaczynam widzieć...

To się kryje w sposobie, w jaki Fin trzyma się nas mocno, chociaż utrzymanie więzi umysłowej ze swoim klanem wymaga od niego każdej uncji siły.

To się kryje w tym, jak Scar nieodmiennie ogarnia nas swoją miłością i akceptacją.

To jest w sposobie, w jaki Ty myślisz najpierw o każdym z nas, zanim pomyślisz o sobie, w sposobie, w jaki walczy za to co słuszne, bez względu na własne zmęczenie.

To się kryje w wysiłkach Kala, by dążyć do najlepszej wersji samego siebie, wierzyć w najlepsze wersje każdego z nas, odsuwać na bok to, co mówi mu świat, i stawać się tym, kim sam pragnie zostać.

To jest w zacieklej miłości Saedii i jej lojalności, w niezachwianym zaangażowaniu w to, co wie, że musi zostać zrobione.

Kiedy jestem z nimi połączona, pomagają mi zobaczyć coś ważnego.
Coś, co przecież już wiedziałam.

Wiedziałam, że to prawda, kiedy Esh powiedział mi, że trzeba wypalić wszelkie więzi, a ja się zbuntowałam. Wiedziałam, że to prawda, kiedy Caersan powiedział mi, że potężni biorą to, co zechcą, a ja sprzeciwiłam mu się, żeby bronić innych.

Wiedziałam to od początku, bo moja drużyna pokazywała mi to za każdym razem, gdy mnie wspierała. I teraz znowu mi to pokazują. W dodatku nie oni jedni uczyli mnie tej lekcji, którą tak powoli ogarniam.

Tyler pokazał mi to w pierwszych chwilach historii drużyny 312, kiedy porzucił szansę na idealną drużynę, żeby zrobić to, co serce mówiło mu, że jest właściwe, i odnalazł mnie... Tamta chwila była pierwszym kamyczkiem lawiny.

Lae i Dacca, Elin i Toshh też mi to pokazały, kiedy stanęły i walczyły, zamiast uciec i zapewnić sobie jeden dzień więcej życia.

Cat mi to pokazała, kiedy poświęciła własne ciało i przyszłość, żeby uratować swoją drużynę.

Zila pokazała mi to, gdy poświęciła życie, jakie знаła, żeby stworzyć nam życie.

Caersan pokazał mi to w swoim ostatnim czynie, kiedy nas uratował. Bo jego ostatni czyn był wyrazem miłości i właśnie wtedy osiągnął szczyt mocy.

Miłość jest potężniejsza od gniewu i nienawiści.

Zawsze będzie.

Miłość może zmienić wszystko.

Tak, to by się udało: gdybym podpaliła Ra'haam od środka i pozwoliła, żeby ogień przeżarł się na wylot. Ale może... może gdybym...

Tęcza między nami zacieśnia się, jest nieznośnie piękna i w tej chwili jesteśmy wobec siebie skrajnie szczerzy. Nie ma dowcipów Fina, wyższości Saedii. Jesteśmy tylko my.

My, którzy ufamy sobie wzajemnie, widzimy innych i jesteśmy przez innych widziani.

I odpowiadamy na to, co znajdujemy...

– To musi płynąć z miłości – mówię, stojąc pośrodku zamrożonej bitwy.

– Cat nadal tam jest – odpowiada Tyler. – Wciąż jest częścią Ra’haam. Kochamy ją. A ona kocha nas. Jej ostatnim czynem przed śmiercią była próba uratowania mnie.

– Admirał Adams tam jest – mówi Scarlett.

– Pół akademii, z którą trenowaliśmy przez wiele lat – dodaje Finian. – Nasi nauczyciele, nasi przyjaciele.

– Wszyscy, którzy są częścią Ra’haam, kochali kogoś – mówi Kal, zaciskając palce na mojej dłoni. – Każdy był rodzicem, dzieckiem, przyjacielem, sąsiadem, każdy kogoś kochał...

Rodzicem.

– Mój ojciec tam jest – szepczę. – Wciąż mnie woła.

– Tego nie da się zrobić na siłę.

Saedii wypowiada słowa powoli, jakby je wypróbowała. Częśćka jej osoby nadal buntuje się przeciwko temu, ale Saedii podnosi wzrok i patrzy mi w oczy.

– A w każdym razie nie powinno się próbować.

– Nie ma miłości w przemocy – mruczy Kal.

– Dasz radę? – pyta Fin, mocno ściskając dłoń Scarlett.

– Nie musisz robić tego sama – dodaje Tyler. – Drużyny 312. Na zawsze.

– Be’shmai, zdołasz? – pyta cicho Kal.

Wstaję.

– Przekonajmy się.

Odwracam się do drzwi, które prowadzą na korytarz, i kiedy je otwieram, znajduję się w dżungli.

Powietrze jest ciepłe i wilgotne, ubrania kleją mi się do skóry, światło jest przyćmione. Wierzchołki drzew tłoczą się nade mną, sprawiając, że wszystko w dole pogrąża się w półmroku, pętla pnączy ciągną się

między pniami. Poszycie lasu jest zasypane liśćmi i porośnięte młodymi, pełnymi nadziei drzewkami, które wyciągają się ku światłu.

Panuje tu idealna, upiorna cisza – nie słyhać szelestu krzewów, okrzyków ptaków ani mała, owady nie cykają ani nie brzęczą, nie ma żadnego z tysiąca dźwięków, jakie powinny składać się na leśną symfonię.

Zerkam w dół i widzę tęczowe pasma przywiązane do mojego nadgarstka i ciągnące się w dal. Jednak nie oglądam się za siebie.

Zamiast tego stawiam pierwszy krok.

Dżungla ożywa, pnącza wiją się i sięgają ku mnie. Jestem tutaj, ale zarazem znajduję się na mostku *Neridai*, gdzie klęczę obok Kala. I siedzę przy stole kuchennym rodziców, i patrzę na zamrożoną bitwę w kosmosie, gdzie statki wiszą jak zatopione w bursztynie, z wciąż żywymi załogami, które nawołują się, zadając te same pytania, domagając się tych samych odpowiedzi.

Muszę walczyć, żeby oczyścić sobie ścieżkę, odrywam pnącza od rąk, pochylam się pod ciernistymi gałęziami, dostrzegam kątem oka zamrożoną bitwę, wyczuwając smakowity zapach pieczonego chleba mojej matki.

Zaczynam dostrzegać ludzi.

Nie znam ich, znajdują się zwykle prawie poza zasięgiem wzroku, ukryci za winoroślami, gałęziami i pniami. A kiedy idę ku nim, nigdy ich nie znajduję, gdy w końcu wynurzę się z zieleni podrapana i spocona.

– Czekaj! – wołam, przepychając się między dwoma drzewami rosnącymi tak blisko siebie, że muszę przeciskać się bokiem. Łapię pasma tęczy przywiązane do nadgarstka i delikatnie je przesuwam, żeby się nie zerwały. – Czekaj, muszę z tobą porozmawiać!

Mężczyzna obraca się, statki wokół mnie, które trzymam w miejscu, drżą, a kryształ Broni błyszczy. Jestem Aurorą Jie-Lin, ale jestem też Tylerem Jericho Jonesem.

– Myśleliśmy, że już nigdy nie przyjdiesz – mówi admirał Adams, uśmiechając się i opuszczając cybernetyczne ręce, które krzyżował na piersi. – Czas do nas dołączyć.

– Nie – odpowiadamy Tyler i ja jednocześnie. Mój głos niesie się echem w jego głosie.

– To nic strasznego – mówi mężczyzna uspokajającym tonem. Pnącza owijają mu się wokół ramion i piersi jak wąż. – Nie ma się czego bać.

– To nie jest w porządku – protestujemy.

Przechyla głowę i uśmiecha się do nas, rozkładając ręce, żeby objąć dżunglę.

– Oto miejsce, w którym powinniście być. Razem, kochani, z nami. Wiemy, że to przerażający skok, ale czasem trzeba okazać wiarę.

Zataczam się do tyłu i wpadam nie na pień, który powinien rosnąć za mną, ale na miękkie, ludzkie ciało.

Obracam się gwałtownie i stoi tam Cat, wpatruje się we mnie idealnie niebieskimi oczami, zupełnie jak wtedy, gdy ją trzymałam, desperacko próbując uratować ją przed pogrążeniem się w Ra'haam.

I jestem mną, ale jestem też Scarlett, a umysł Cat jest równie piękny, jak był wtedy, kłębiące się wiry czerwieni i złota, które przypominają mi, jak bardzo kochała walkę. Czuję głębię miłości między tymi dwiema kobietami, potęgę ich przyjaźni, siostrzaną więź. Cat unosi rękę.

– Kochamy cię – mówi, a ja odwracam się chwiejnie.

Rozcięcia na skórze szczypią mnie od potu, kiedy przepycham się przez milczące gałęzie i słychać tylko chrzęst martwych liści pod moimi stopami, moje ciężkie dyszenie.

Teraz kieruje mną instynkt i już nie widzę *Neridai*, zamrożonych statków, kuchni rodziców. Trzymam tęczowe pasma w pięści, aby były bezpieczne, i pcham się na oślep w kierunku, w którym muszę.

Głębiej.

Głębiej.

Muszę bardziej się zagłębić.

Przepycham się przez gałęzie, liście mnie uderzają, pnie tłoczą się na mojej drodze. Przyśpieszam, poruszam się coraz bardziej szaleńczo, zaczepiam stopą o kłodę i przewracam się na polanie, uderzam ze stęknieniem o ziemię.

A kiedy unoszę głowę, widzę, że on już na mnie czeka.

Nie princeps, nie jeden z nich.

Po prostu mój tata z okrągłymi policzkami i życzliwymi oczami. Trzyma książkę z podaniami ludowymi, którą razem czytaliśmy, kiedy byłam mała, i którą czytaliśmy razem w Echu, gdy Eshvarenowie kazali mi się z nim pożegnać.

Leżę na ziemi i liściach i szepczę te same słowa, jakie wypowiedziałam wtedy. Wszystko we mnie pragnie rzucić mu się w ramiona, dać mu się objąć, poczuć tę pociechę, o której myślałam, że już na zawsze przepadła.

– Kocham cię, tato.

A on odpowiada prawie tak samo.

– My też cię kochamy, Jie-Lin. Zawsze.

My.

Zamiast „ja”.

Kręcę głową, gardło mi się zaciska, żal wzbiera we mnie i unosi się jak pięść.

– To nie ty – szepczę.

– Ależ to ja – odpowiada cicho, nadal się uśmiechając. – Chodź, przeczytajmy historię. Możemy być razem. Tak bardzo, bardzo cię kochamy, moja kochana córeczko.

Zrobiłabym wszystko, żeby przeżyć z nim jeden dzień więcej. Za jeden dzień z moją mamą, z Callie. Za szansę, żeby powiedzieć im to, co powiedziałam w Echu. Za szansę pożegnania się naprawdę.

I chcę powiedzieć sobie, że to nie to.

Jednakże im bardziej się zagłębiam, tym lepiej widzę.

To nie jest on.

A zarazem... to jest on.

To miłość Cat do Tylera sprawiła, że stanęła w jego obronie. To miłość ojca do mnie sprawia, że Ra'haam próbuje nawiązać ze mną kontakt, zamiast mnie zabić.

– Kocham cię – mówię. – Przyszłam ci powiedzieć.

Niestety, powiedzenie mu tego tutaj, teraz, w taki sposób – to nie wystarcza.

Muszę wejść głębiej.

Muszę pogrążyć się tak, żeby nie było już powrotu.

Widzę teraz, że muszę zrobić to, czego się bałam.

Pokochać to znaczy poddać się.

A ja tak bardzo boję się, że się zatracę. Ręce mi się trzęsą, kiedy grzebię przy tęczowych sznurach przy nadgarstku. To moja ścieżka powrotna, mój szlak z okruszków chleba, one łączą mnie ze wszystkim.

Miłość nie powinna oczekiwać, że wszystko dla niej porzucisz; miłość nie działa w taki sposób, ale właśnie w taki sposób kocha Ra'haam i jeśli mam się zgłębić na tyle, żeby pokazać mu inny sposób, inny rodzaj miłości...

Odwiązuję jedno pasmo po drugim, łzy spływają mi po policzkach, śmieję się i płaczę, uwalniając się od kotwic, ale wiem, że tak trzeba, że będzie dobrze, wszystko będzie dobrze.

Ostatni sznurek, fiolet Kala obrębiony złotem zsuwa się.

I jestem wolna.

To jest upajające.

Staję się częścią Ra'haam, każda cząstka mojego umysłu stapia się z nim, rozplywa się w cudownym uczuciu bycia kochaną, tuloną i rozpoznawaną; jestem żywa w sposób, jakiego nigdy sobie nie wyobrażałam.

Przeżywam tysiąc żywotów, milion żywotów i dzielę się własnym. Łączymy się w cudownej unii.

Kiedy jednak roztapiam się w innych, zapalam iskrę, którą wiem, że muszę zapalić – ale nie podpalam Ra'haam ogniem żalu, gniewu i wście-

kłości.

Nie wypalam go na wylot od środka.

Bo teraz wiem, że to jest właściwa droga. Nie tamta, którą obrali Eshvarenowie – oni wszyscy co do jednego spłonęli w walce, ale wystarczyło, że przeżył jeden fragment Ra’haam, by walka rozgorzała od nowa.

Tym razem historia musi potoczyć się inaczej.

I to ja będą tą zmianą.

Dlatego świadomie rozpościeram skrzydła i staję się całkowicie cząstką Ra’haam. Milion połączeń zapala się wokół mnie, kiedy łączę się z jednią, i wiem, że Ra’haam zna mnie, znamy się wzajemnie. Podróżuję przez Ra’haam z prędkością światła i

spadamy

coraz

głębiej

głębiej

głębiej

pograżając się

w

miłości.

Moja miłość rozprzestrzenia się jak ogień. Dzielę się historią Aurory Jie-Lin O’Malley, która weszła na pokład statku lecącego do nowego świata i obudziła się dwieście lat później.

Moje „ja” staje się „my” i my opowiadamy moją historię, kiedy ja pogrążam się coraz głębiej.

Opowiadamy naszą historię o Tylerze Jericho Jonesie, synu wojownika i Wędrowczyni, który znalazł nas śpiących pośród gwiazd.

Historię Saedii Gilwraeth, także córki wojownika i Wędrowczyni, która nauczyła się nowego sposobu patrzenia na świat.

Finiana de Karrana de Seela, któremu świat powiedział, że nie jest dość dobry, a on dowiódł światu, że niczego mu nie brakuje.

Scarlett Isobel Jones, która miała serce tak wielkie, że potrafiło bić za przyjaciół, gdy ich własne serca groziły, że zawiodą.

Kaliisa Idrabana Gilwraetha, który znosił ciosy i szyderstwa, gdy przysiągł służyć nawet tym, którzy nigdy nie odpowiedzą na to miłością, bo tak należało.

Zili Madran, która stworzyła sobie nowe życie i umożliwiła nam nasze obecne życie. Jej miłość utorowała drogę dla naszych serc.

Catherine „Zero” Brannock, która jest częścią nas i która nigdy się nie wahała, nigdy nie zaprzestawała walki i nigdy nie przestała kochać.

Caersana, archonta Nieugiętych, Gwiazdobójcy, któremu nie można wybaczyć, ale który także kochał.

Opowiadamy sobie wszystkie nasze historie, duże i małe, jasne i mroczne, i razem widzimy wszystkie kolory tęczy. Małeńka cząstka nas jest nadal mną, a nie nami, a ja utrzymuję ją przy życiu jeszcze jedną chwilkę dłużej, żeby móc powiedzieć.

Nie chodzi o sumę części tęczy – tłumaczę im – chociaż razem są piękne. Chodzi o każdy zawarty w niej odcień, z którego każdy jest piękny na swój sposób. To historie o tym, jak każda z tych osób żyła i kochała, czasem mądrze i dobrze, czasem niemądrze, czasem w mroczny i straszliwy sposób. Każda z tych podróży jest ich własna. Miłość nigdy nie powinna oczekiwać, że porzucisz to, co cię odróżnia. Prawdy, która mówi tylko o tobie i o nikim innym.

I kiedy ostatnia cząstka mnie roztapia się w Ra’haam, kiedy wspomnienie mojego „ja” gaśnie, ustępując pięknemu, nieodpartemu „my”, to się zaczyna...

Moja miłość rozprzestrzenia się jak radosna pozoğa, a ja patrzę, jak jedna
po
drugiej

historie Ra’haam budzą się, zapalają niczym węgielki w ogniu, który wydawało się, że dawno temu zgaś.

To galaktyka pełna gwiazd, które po kolei ożywają.

Ra'haam – a raczej każda jego cząstka – przypomina sobie, jak to być „nimi” zamiast „tym”.

Jak to być „ja” zamiast „my”.

W tej chwili Ra'haam przypomina sobie, że miłości nie można zażądać ani zabrać.

Można ją tylko dać.

Przypomina sobie, że miłość daje wybór.

Że miłość jest wyborem, którego dokonujemy raz za razem.

Chcemy tego wyboru, mówię, kiedy ostatnie cząstki mnie zlewają się z ekstatyczną radością. *My jesteśmy tym wyborem.*

Powoli, w chwili, która trwa wieczność, światła zapalają się w odpowiedzi. Każdy z nich jest teraz trochę bliżej osoby, jaką był przed połączeniem, zanim stał się „nami”. Jedno światełko, dwa, potem miliony – powraca do mnie odpowiedź.

My... rozumiemy.

I ponieważ to... nie, oni... nie: my jesteśmy wielością i przeżyliśmy miliony żywotów, wiemy teraz, co musimy zrobić.

* * *

Powracam gwałtownie do swojego ciała, na pokład *Neridai*. Leżę na podłodze, patrzę w kryształowy sufit. Jednak nadal jestem z Ra'haam, nadal jestem częścią nadzwyczajnego, niepowstrzymanego „my”, którego już nigdy nie opuszczę, i to jest wspaniałe.

To nie była po prostu cena, jaką warto było zapłacić. To jest najpiękniejsze doznanie, jakiego doświadczyłam w swoim życiu.

Kal siedzi obok mnie, podnosi gwałtownie głowę, oczy ma mokre, policzki zalane łzami.

– Wróciłaś! – wykrzykuje słabo, podnosząc moje palce do swoich ust, gdy powoli zapala się w nim nadzieja.

– Na chwilę – odpowiadam szeptem, nadal się uśmiechając.

Czuję flotę Ra’haam, wyczuwam resztę mnie samej na zewnątrz w ciemności i mam ochotę rozpaść się jak dmuchawiec i pozwolić, żeby każda cząstka mnie poleciała, zatonała w „my”, które czeka. W milionie żywotów i miłości, które są teraz częścią mnie, na zawsze razem.

– Co to znaczy? – pyta cicho Kal. – Na chwilę?

– To znaczy, że wkrótce musimy odejść. – Ja też mam mokre oczy, ale nie płaczę ze smutku. Tak bardzo go kocham. Boli mnie myśl o opuszczeniu go. Jednak nigdy nie będę sama.

– Dokąd pójdziemy? – pyta.

– Nie my – odpowiadam, splatając umysł z jego umysłem po raz ostatni, ciemny granat i srebro z fioletem i złotem. – Nie ty i ja.

Kal rozumie.

Ra’haam odejdzie, a ja jestem Ra’haam, zatem też odejdę.

– Nie zostawiaj mnie, proszę – szepcze łamiącym się głosem, mocniej zaciskając dłoń na moich palcach.

– Mógłbyś odejść z nami – mruczę.

Pomaga mi bez słowa wstać i razem patrzymy, jak od armady Ra’haam odrywa się jeden statek wraz z jednym promem z floty Legionu. Oba lecą pomiędzy pozostałymi statkami zawieszonymi w bezruchu, zbliżając się do Broni wielkości miasta, która nigdy by nie wystarczyła.

Trzymając się za ręce, ja i Kal idziemy do hangaru. Mijamy miejsce, gdzie w przyszłości nasi przyjaciele i bliscy zginęli w naszej obronie.

Tak bardzo będzie mi go brakować.

* * *

Wszyscy czekają już na nas, kiedy tam docieramy.

Fin i Scarlett, Tyler i Saedii, każde z nich nieufne, pełne nadziei, na ich twarzach maluje się wszystko – od uśmiechu po grymas. To oni

mnie tu doprowadzili. Obok nich stoi mój ojciec, który uśmiecha się i wyciąga do mnie ręce.

Podbiegam i to uczucie, o którym myślałam, że już nigdy go nie poczuje, może być teraz na zawsze moje, gdy opieram głowę na jego ramieniu, a on obejmuje mnie mocno. Jestem tak szczęśliwa, że chcę na zawsze pozostać w tej chwili.

I mogę. Mogę!

Inni jednak nie muszą, bo miłość daje wybór.

Tak... pamiętam, że nie chciałam opuścić Kala. Jednak sama wybrałam, że dołączę do Ra'haam, żeby pomóc nam zrozumieć, dlaczego walka musi się skończyć. Nie mogę tego żałować.

To Scarlett przerywa w końcu ciszę.

– Auroro? Co tu jest grane?

– Kiedy zerwałaś więzi, myśleliśmy, że... – Fin urywa, z trudem przełykając ślinę.

– Ona zamierza odejść z nimi – mówi z zaciśniętym gardłem Kal, a ja czuję, jak tęczowe pasma znowu sięgają po mnie, gdy Tyler, Scarlett i Finian krzyczą w proteście.

– Wszystko w porządku – zapewniam ich. – Naprawdę. Byliście razem, zanim ja się zjawiłam, i znowu będziecie razem po moim odejściu. Będziecie dalej żyć i będziecie bezpieczni. Musicie wziąć ze sobą Kala.

– Nie. – Jego odpowiedź jest cicha, ale twarda jak diament.

– Kal, to właśnie muszę zrobić – mówię i cały Ra'haam podziela mój ból, bo tak bardzo, bardzo go kochamy, ale teraz jestem częścią Ra'haam i nawet gdybym chciała, nie zdołałabym wyplątać własnego umysłu z całości.

– Czy to naprawdę jest coś, co musisz zrobić? – Sfrustrowany podnosi głos. – Czy może to coś, co chcesz zrobić?

Jego umysł chwyta mój, zaplątuje nas tak ciasno, jak tylko potrafi, i z echem jego słów powracamy do izby chorych na pokładzie Wieku-

istego. Wiem już, co zaraz powie.

– Łatwo jest zginąć w ogniu wojny, o wiele trudniej jest żyć w świetle pokoju.

– Nie poświęcam się bez powodu – mówię. Desperacko pragnę, żeby to spostrzegł; już nie próbuję powstrzymywać łez. – Nie chodzi tylko o to, że postanowiłam umrzeć. Ja nie umrę, będę z nimi żyła wiecznie. Taką cenę musiałam zapłacić, żeby pomóc Ra’haam zobaczyć, dlaczego musimy przestać. Musiałam stać się częścią nas, żebyśmy zrozumieli.

– Ale teraz to widzi! – Kal już krzyczy. – Widzi, a mimo to z nim zostajesz! Auroro, proszę, zostań z nami. Ze mną. Pozwól, żebym ci wystarczył.

– Już czas, Jie-Lin – odzywa się cicho mój ojciec.

I ostatecznie to jest bardzo proste.

* * *

Ojciec i córka stoją razem w hangarze kryształowego statku. Łączą ich nie tylko więzi pokrewieństwa, ale też takie, która czynią ich jednym i tym samym, dwoma ciałami tego samego stworzenia. A poza nimi, w czerni, są tysiące innych ciał tego samego stworzenia i miliony więcej umysłów.

Początkowo powoli, ale potem szybciej i wreszcie gwałtownym strumieniem wlewają się do ciała jej ojca, który staje się naczyniem dla wszystkiego, czym Ra’haam kiedykolwiek był, jest i będzie.

Ukochany dziewczyny łapie jej ciało, gdy upada, już niepotrzebne, bo jej umysł jest teraz częścią całości. Bierze ją na ręce i razem z siostrą i jego drużyną biegną z powrotem na Łuk, bo kryształowe miasto wokół nich drży.

Drużyna Legionu Aurory czeka na nich, zagania na pokład, gdy chwiejnie wpadają przez śluzę, i Łuk odlatuje od *Neridai*, która migocze i drży. Fragmenty kryształu się odrywają.

Cały Ra'haam zbiera się w jednym ciele, podczas gdy Aurora, dziewczyna spoza czasu, Zapalnik, dzieli się z pozostałymi tym, co wie, co potrafi. Razem widzą dokładnie to, co musi się stać.

Na pokładzie Łuku syldrański chłopiec krzyczy zaniepokojony.

– Ona przestała oddychać!

– Na oddech Stwórcy, gdzie jest Zila, kiedy jest potrzebna?

– Medyka!

– Dajcie jej środki pobudzające!

– Nie chodzi o jej ciało, głupcy, nie czujecie, że jej umysł jest gdzie indziej?

To te pogardliwe słowa jego siostry sprawiają, że unosi głowę i patrzy w stronę Broni, która już nie jest bronią.

Kiedy migocze po raz ostatni i zaczyna gasnąć

on

wykonuje

skok

i odnajduje jej umysł i MOCNO CHWYTA.

Z okrzykiem, jedno po drugim, jego drużyna i przeklinająca wszystko siostra rzucają własne umysły i formują łańcuch, który trzyma małeńki fragment dziewczyny przywiązany do tego czasu i przestrzeni...

* * *

I wszyscy oni są z nią, kiedy kryształowy statek znika i pojawia się w bardzo, bardzo odległej ciemności między galaktykami, gdzie nie ma żadnego życia, gdzie nikomu nie zostaną odebrane dom i serce.

Patrzają, jak statek roztapia się w nicość, zostawiając tylko unoszącego się w ciemności mężczyznę.

On uśmiecha się, przechyla głowę i powoli wypuszcza powietrze. I wydycha milion gwiazd, milion dusz i więcej, aż czarna przestrzeń pło-

nie tak jasno jak galaktyka, aż Ra'haam tańczy i migocze niczym świetliki, jak nowe niebiesko-zielone gwiazdy, nieskończona konstelacja, żywa, kochająca i połączona.

* * *

Powoli jego ciało rozpada się w pył, bo już nie jest potrzebne.

A tamta piątka nadal przywiera do jednej gwiazdy, wyciągając się bardziej, niż są w stanie, tak zaciekli, tak pełni miłości, zdeterminowani, że nie porzucą już żadnego więcej członka drużyny.

A ta jedna gwiazda to ja.

- Be'shmai – szepcze Kal. – Wróć do domu.
- Nadal cię potrzebujemy! – woła Scarlett.
- Zostało zbyt wiele rzeczy do zobaczenia – mówi Fin.
- Nie będziesz sama – obiecuje Tyler.
- W przeciwnym wypadku nie da się z nim wytrzymać – mruczy Saedii.

Po tych słowach wszyscy wybuchamy śmiechem i przez chwilę prawie żałuję, że nie mogę się wyplątać, ale nie widzę sposobu.

Jie-Lin, szepcze Ra'haam, wszystkie głosy połączone, każdy brzmi inaczej, każdy rozkoszuje się na nowo odzyskaną indywidualnością.

Czego pragniesz?

Chciałabym...

Be'shmai, wróć do domu.

Nadal cię potrzebujemy.

Zostało zbyt wiele rzeczy do zobaczenia.

Nie będziesz sama.

W przeciwnym wypadku nie da się z nim wytrzymać.

A potem rozlega się jeszcze jeden głos z mojej drużyny.

Cat jest jedną z tych cudownych gwiazd, głosem w mojej głowie, twardym ramieniem, które mnie popycha, żywym uśmiechem. Na nowo odzyskaną sobą, która będzie żyła tu wiecznie.

Nie sądzę, żeby to już był twój czas, Pasażerko Na Gapę.

I delikatnym pchnięciem, pokazuje mi, gdzie znaleźć uskok, gdzie trzeba nacisnąć, żeby...

...ale cena.

Cena.

„Łatwo jest zginąć w ogniu wojny, o wiele trudniej jest żyć w świetle pokoju”.

Sięgam do Kala, który poszedł za mną do Echa, w przeszłość i z powrotem, mój ciemny granat znajduje jego fiolet, mój umysł pięści

jego, próbuje zapamiętać sobie każdy ułamek tej chwili, nauczyć się go tak, żebym nigdy nie zapomniała.

Okno zaczyna się zamykać, połączenie między naszą galaktyką a miejscem, do którego udał się Ra'haam, słabnie, Cat jest zaplątana we mnie, a ja w nią, symfonia wspomnień płynie przeze mnie: niebieskozielona planeta, na której umarła i się odrodziła, a wcześniej podwodna sala balowa, skradzione godziny treningów na promach, jedna noc, która miała być idealna, a skończyła się złamanym sercem, i dalej wstecz: pożyczane stroje, żarty w ostatniej ławce, egzaminy wstępne, twarze, uczucia i chwile przelatują wirem, aż osiągają crescendo i pewien chłopiec popycha dziewczynkę w ich pierwszym dniu w przedszkolu.

Cat pokazuje mi, ile wspomnień może zawierać pojedyncze życie.

Spostrzegam harmonię Ra'haam, widzę dzikie, nieprzewidywalne piękno życia przeżywanego w pojedynkę, ale nigdy do końca samemu.

Zbieram ostatnią okruszynkę swojej siły, odwracam twarz, żeby nie widzieć...

...i odcinam się.

* * *

Siadam, łapiąc gwałtownie powietrze, jakbym była pod wodą, i widzę, że przyjaciele zbrali się wokół mnie. Ty, Scarlett i Fin. Saedii trzyma rękę na ramieniu Kala, a ja próbuję sięgnąć do niego, pocieszyć go, ale...

Nic.

Jakbym uderzyła w białą, pustą ścianę.

- Be'shmai? - dopytuje się z niepokojem Kal. Przyklęka obok mnie.
- Co zrobiłaś? - pyta Saedii, wpatrując się we mnie.
- Przepadła - szepcze Scarlett.
- Co przepadło? - dopytuje się Finian.
- Jej moc - wyjaśnia półgłosem Tyler.
- To był jedyny sposób - mówię cicho.

Jest we mnie pustka, ale miejsce, które ją zawiera, jest niewyobrażalnie małe. Byłam ogromna, byłam nieskończona.

A teraz tkwię w zduszonej głuszy, wszystko jest ciche jak w zimowy dzień.

Właśnie... amputowałam część mnie, która dołączyła do Ra'haam, i nie wyczuwam już przyjaciół – nie bardziej, niż byłam w stanie na początku tej historii. Nie jestem Zapalnikiem. Nie jest zbawczynią.

Jestem zupełnie zwyczajną dziewczyną.

Mogłabym żyć wiecznie w chwili, w której ucałowałam milion ich na pożegnanie, ale chociaż czuję się dziwnie, pusto, słuchając tylko uszami, widząc tylko oczami, kiedy Kal tuli mnie w objęciach, a ja słyszę jego serce głośno i prawdziwie bijące za żebrami to... czysta radość z tego, że żyję, jest przemożna.

W ogóle nie czuję go w umyśle. Widzę go jednak i dotykam, a kiedy uśmiecham się do niego przez łzy, on odpowiada uśmiechem i wiem, że dobrze wybrałam.

Będę żyła w pokoju i będę żyła dla miłości.

Miłość oferuje wybór i ja go dokonałam. Wybrałam drużynę, która uczyła mnie od pierwszej chwili, kiedy się spotkaliśmy. Rodzina jest tam, gdzie ją znajdziesz, i to właśnie jest moja rodzina. Powinniśmy być razem.

– Przepadł? – szepcze Scarlett i wiem, że myśli też o Cat.

– Już go tu nie ma – odpowiadam. – Ale... nie przepadł całkiem.

Odruchowo odwracam się we właściwym kierunku.

Myślę, że zawsze będę wiedziała, który to kierunek.

Jest przestrzeń między galaktykami, gdzie powinna istnieć tylko ciemność, teraz migocząca życiem i wspomnieniami, wypełniona gwiazdami jak świetliki, które będą dzieliły się sobą z innymi tak długo, jak tego zechcą.

Są bardzo daleko, ale nie przepadły. Znajduję frazę, której nauczyłam się od Saedii w tych chwilach, kiedy byliśmy połączeni.

Wydaje się, że pasuje, więc szepczę ją na pożegnanie.

– Ujrzę was w gwiazdach.

– Idź, idź, idź, bo się spóźnimy – mruczy Scar. Niewiele brakuje, by zaczęła biec, ale nie jest w stanie.

– Co byłoby ogromnym szokiem dla wszystkich – odpowiadam, łapiąc ją za rękę, żeby zwolniła.

Wracamy właśnie z przepustki, którą spędziliśmy na Trasku. Scar oczarowała nawet moją trzecią babkę. Jestem pewien, że w tej chwili, gdyby ze mną zerwała, rodzina zatrzymałaby ją, a mnie wyrzuciła, ale nie mogę ich za to winić. Nie sposób jej się oprzeć. Wyjechaliśmy tylko na trzy tygodnie, ale, Stwórco, dobrze jest wrócić na stację Aurora.

Początkowo żadne z nas nie było pewne, czy Legion to właściwy wybór dla nas po tym wszystkim, co się wydarzyło. Jednak przynajmniej Ty, Scar i ja na razie poprzestaliśmy na Legionie. Tyler mówi, że tu możemy działać najwięcej dobrego, a właśnie tego ogromnie potrzeba w Galaktyce.

Większość planet straciła znaczący procent swoich obywateli podczas bitwy z Ra'haam. Całe cywilizacje odcięły się za zniszczonymi Bramami Fałdy. Aurora powiedziała mi kiedyś, że jest całkowicie pewna, że w przyszłości pojawi się ktoś, kto będzie wiedział, jak to obejść, ale nie chciała zdradzić nic więcej.

Na razie robimy tyle dobrego, ile się da, i tam, gdzie zdołamy.

A jutro zrobimy coś dobrego tutaj.

Scarlett i ja wypadamy pośpiesznie na długi sierp promenady, razem zanurzamy się w tłum. Stacja aż pęka w szwach od ludzi, delegaci z całej

Galaktyki napływają do akademii, tabuny kadetów, legionistów i cywili zalewają jadłodajnie i bary. Wszyscy są podekscytowani z powodu ceremonii.

Podnoszę wzrok na przezroczyste sklepienie, światło Aurory pada na posagi Założycielek w sercu promenady. Wysokie na sto metrów górują nad miejscem, które razem wykuły, nad Legionem, który uratował Galaktykę.

Pierwszy posąg wyrzeźbiono w czarnym opalu z Traska, twarz postaci jest mądra, odważna i pogodna, patrzy w przyszłość pełną nieskończonych możliwości. Drugą wycięto w marmurze wydobytym na Terrze. Uśmiecham się, patrząc na znajomą twarz Nari Kim. Jest starsza niż dzieciak, którego poznaliśmy, ma teraz pierś obwieszoną medalami i gwiazdki admirała na ramionach. Mimo to nadal jest dzieciakiem, którego poznałem.

– Dobrze wyglądasz, Ziemniaczko – mówię, uśmiechając się szeroko.

– Ej! – Scarlett szczypie mnie w rękę. – Pamiętaj, że mówisz do Założycielki Akademii Aurora, legionisto.

– Jasne, ale strzeliła do mnie. I wysadziła mnie. I spaliła. Bez względu na admirałskie gwiazdki jestem pewien, że nadal była gigantycznym wrzodem na tyłku.

Scar się śmieje i ściska mi dłoń, uśmiechając się do posągu.

– Rzeczywiście wygląda dobrze, skoro już o tym wspomniałeś. Myślę, że ją wypolerowali.

– No wiesz, będzie miała towarzystwo.

Kiwam głową w stronę trzeciej postaci stojącej między Założycielkami. Jest zasłonięta ogromną płachtą zielonego aksamitu, ale to jasne, że jeszcze jeden posąg postawiono obok tamtych dwóch. Właśnie po to, żeby go zobaczyć, zleciało się tak wielu ludzi.

Tajemnicza trzecia Założycielka. Nieznana bohaterka wojny z Ra'haam, której pomnik zostanie odsłonięty jutro podczas wielkiego święta. Nie miała nic przeciwko temu, żeby całe życie spędzić w cieniu i w ten sposób zachować tajemnicę, uniknąć paradoksu. Poświęciła

życie ratowaniu Galaktyki, która nigdy nie miała się dowiedzieć o jej istnieniu.

Jutro to się zmieni.

Jutro cała Droga Mleczna pozna jej imię.

– Chodź – nalega Scarlett. – Zobaczmy ją jutro. Pozostali czekają.

Przepychamy się przez tłum, przez ten radosny rozgardiasz, i wreszcie docieramy do turbowind. Wznosząc się i patrząc przez przezroczyście ściany na ścisk w dole, wbrew sobie uśmiecham się.

Uśmiecham się jeszcze szerzej, kiedy docieramy na miejsce spotkania, gdzie już czekają Aurora, Kal, Tyler i nawet skrzywiona Saedii Gilwraeth. Zaczynają się piski i uściski, kiedy Scar rzuca się na Auri. Muszę przyznać, że właściwie przyłączam się do tych uścisków. Kal też zostaje w to wciągnięty, ale znosi wszystko z wielką godnością. Zauważam schludnie ubraną poważną młodą kobietę stojącą u szczytu stołu, ale zanim zdążę się dobrze zastanowić, kim jest, Auri obejmuje mnie tak mocno, że egzoszkielec wchodzi w tryb obronny, chroniąc moje płuca i dbając, żebym mógł dalej oddychać.

Ty tylko się śmieje i czeka, aż emocje opadną. Sięga po dłoń Saedii, która musi się czuć naprawdę bardzo kochana tego dnia, bo nawet nie robi wrażeń, jakby chciała mu odgryźć rękę. Najwyraźniej ich związek na odległość jakoś działa.

– Co ty i Kal tu robicie? – dopytuje się Scarlett, łapiąc Aurorę za rękę, kiedy siadamy. – Myślałam, że jesteście na drugim końcu Galaktyki!

Kal i Auri pracowali z Syldranami nad odbudową, odkąd podpisano traktat pokojowy między Nieugiętymi a resztą syldrańskiego społeczeństwa i nadszedł czas, żeby zająć się czymś takim jak zasiedlenie nowej planety. Syldranie co prawda nie przepadają za ludźmi z zewnątrz, ale Auri mówi, że fakt, że posiadała supermoce mentalne i była powiązana z Eshvarenami, zapewnia jej dość szacunku, więc jakoś sobie radzi. Pewnie nie przeszkadza też to, że ma w rodzinie templariuszkę.

– Żartujesz sobie? – mówi Auri. – Za nic w świecie nie przegapilibyśmy tego.

- Widziałaś projekt? - pyta Scar.

- Tyler nam go przysłał - mówi Kal, kiwając głową na naszego Alfę. - Piękna robota, bracie.

- Nadal uważam, że powinieneś włożyć pistolet dezelatorowy do jej dł... AUĆ! - krzyczę, kiedy Scar kopie mnie pod stołem i piorunuje wzrokiem, a potem uśmiecha się do brata.

- Jest piękny, naprawdę. Zila byłaby dumna.

- Zila byłaby bardzo skrzepowana. - Uśmiecham się szeroko i rozcieram siniaka na łydce, rozglądając się po pokoju. - Daj spokój. Myślisz, że Zila Madran kiedykolwiek pomyślałaby, że zostanie upamiętniona stumetrową podobizną ze szczerego złota? Na Stwórcę, żałuję, że jej tu nie ma, bo chciałbym zobaczyć jej minę, kiedy odsłonimy pomnik.

- No więc... - zaczyna Tyler.

Wszyscy w pokoju patrzą na naszego Alfę.

- Co więc? - pyta podejrzliwie Kal.

- O co chodzi? - dopytuje się Scar.

- Nie bez powodu wezwałem was tu dzień wcześniej - mówi Tyler, kiwając głową w stronę kobiety u szczytu stołu. - A oto i powód.

Wszyscy patrzą teraz na nieznaną. Jest Terranką, w wieku około dwudziestu pięciu lat, schludnie ubraną w szary strój. Ma poważną twarz, ale nie wygląda na wojskową, wątpię więc, żeby należała do Legionu. Rozgląda się po zgromadzonych i w końcu spojrzenie jej ciemnych oczu zatrzymują się na Aurorze.

- Kim jesteś? - pyta Auri.

- Posłańcem - odpowiada po prostu nieznaną, uruchamiając projektor na nadgarstku, żeby nagranie wyjaśniło resztę.

Twarz Aurory się rozjaśnia, Scarlett wyrywa się zduszony okrzyk, a ja sam łapię się na tym, że się uśmiecham, zdumiony obrazem przed nami.

To jest Zila.

Jest starszą panią, ma całkiem srebrne włosy i zmarszczki mimiczne wokół oczu. Patrzy prosto w kamerę i mam wrażenie, że patrzy na nas.

– Witajcie, przyjaciele – mówi i chociaż przez lata jej głos się trochę zmienił, niewątpliwie jest to Zila Madran. – Ta wiadomość ma zostać dostarczona rok po wydarzeniach, nad których przygotowaniem pracowałam całe życie. Z całego serca mam nadzieję, że wszyscy jesteście obecni, żeby tego posłuchać. Muszę pogodzić się z tym, że chociaż wiem wiele, to jedno na zawsze pozostanie dla mnie tajemnicą. Mój Alfa powiedział mi kiedyś, że pewne chwile wymagają wiary. Wiem, że ja wierzę w was. Auroro, mam nadzieję, że masz się dobrze. To jest w szczególności wiadomość dla ciebie. Potrzebowałam paru lat, żeby zrozumieć, że w czasie, do którego się przeniosłam, twoja matka i siostra powinny nadal żyć i mieć się dobrze... I oplakiwać twoją stratę. Wiem, że to cię ogromnie smuciło, więc rozważyłam dostępne opcje, nigdy nie zapominając, że najważniejsze jest uniknięcie paradoksu.

Auri zakrywa usta ręką, oczy jej błyszczą, a Kal przesuwają się na krzesła, żeby objąć ją ramieniem. Scar ścisną jej rękę.

Zila na nagraniu mówi dalej:

– Rozmawiałam z twoją matką na krótko przed jej śmiercią i powiedziałam jej, że jesteś bezpieczna. Przykro mi, że nie zdążyłam wcześniej, ale uznałam, że ryzyko paradoksu jest zbyt wielkie. Wiedz, że ta rozmowa ogromnie ją uspokoiła. Przez pewien czas obserwowałam twoją siostrę Callie, zanim uznałam, że będzie w stanie zachować sekret i ostatecznie powiedziałam jej prawdę o twoich losach.

Aurora teraz już płacze, ale chyba ze szczęścia, a kobieta, która przyniosła nagranie, znowu unosi nadgarstek. Jednym ruchem wyświetla zdjęcie, które pojawia się obok nagrania Zili. Kobieta na nim wygląda bardzo, bardzo podobnie do Aurory, ale jest starsza i opiera na biodrze małe dziecko.

– To twoja siostra z siostrzenicą Jie-Lin – wyjaśnia Zila.

Kobieta pokazuje kolejne zdjęcie: teraz kobieta, która musi być starszą Callie, stoi obok drugiej kobiety, która musi być Jie-Lin, a z nimi jest

kolejne dziecko.

– A to jest jej córka – mówi Zila. – Zaaranżowałam to tak, żeby wraz z kolejnymi pokoleniami dokładano nowe zdjęcia do kolekcji, i mam nadzieję, że całość dostarczy...

Nagranie zostaje zatrzymane i wszyscy patrzymy na kobietę z projektorem. Nawet Saedii wygląda jak ktoś, kogo ulubiony serial urywa się bez ostatecznego rozstrzygnięcia.

– Mam nadzieję... – mówi kobieta, której oczy trochę błyszczą – ...że tę wiadomość dostarczy ktoś z potomków Callie.

– Ty... – Aurora dławi się słowem i nie może go wykrztusić.

– Jestem twoją praprapraprasiostrzenicą – odpowiada cicho nieznamoma. – Nazywam się Jie-Lin. To była rodzinna tradycja.

Aurorze wyrywa się na wpół szloch, na wpół śmiech i każdy mój betraskański instynkt mówi mi, że to jest dźwięk, jaki wydaje z siebie ktoś, kto odnajduje swoją rodzinę. Podrywa się z krzesła tak szybko, jakby ją teleportowano, wpada w ramiona Jie-Lin. Obejmują się w milczeniu, a nagranie znowu rusza. Natychmiast zwraca moją uwagę, gdy słyszę swoje imię.

– Finian zasugerował, kiedy się zegnaliśmy, że powinnam obstawić kilka sportowych wydarzeń, korzystając z pomocy Magellana – mówi Zila. – Nie jestem do końca przekonana co do etyczności tego rozwiązania, ale Nari powiedziała, że wiele poświęciliśmy, więc mamy prawo wziąć coś w zamian. Szczegóły dotyczące konta bankowego znajdziecie w tych aktach. Mam dwie prośby, a poza tym możecie wykorzystać te pieniądze tak, jak zechcecie. A będzie to spora suma. Moja pierwsza prośba jest taka, żebyście ufundowali stypendium imienia Cat. Wierzę w Legion Aurory i chciałabym, żeby innym łatwiej było do niego wstąpić. Moja druga prośba jest taka, żebyście spędzili trochę czasu razem. Sugerowałabym, żeby Scarlett to zaplanowała, bo jesteśmy pewne z Nari, że wybierze doskonale miejsce na przepustkę. I proszę, pomyślcie o nas chwilę, gdy będziecie tam lecieć.

Wszyscy teraz płaczą, z wyjątkiem Saedii, rzecz jasna, która bez wątplenia nie ma kanalików łzowych. Kiwa tylko powoli głową, co pewnie u niej jest odpowiednikiem wzruszenia.

– Znalazłam tu rodzinę, chociaż zawsze będę tęsknić za rodziną, jaką zostawiłam – mówi Zila. – Mam nadzieję, że wszyscy znajdziecie takie szczęście w swoim życiu. – Uśmiecha się. – Życzę wam wszystkiego najlepszego, moi przyjaciele.

I tak po prostu nagranie kończy się i Zila znika.

Nie została jednak zapomniana.

– Motyla noga – mruczy Aurora, pociągając nosem i wyplątując się z objęć Jie-Lin.

– To będą najbardziej epickie wakacje w historii świata – mówi Scarlett.

– Właśnie wróciliśmy z wakacji – jęczę.

– A ja za nic w świecie nie mogę wziąć teraz wolnego – wtrąca Tyler.

Scarlett kładzie ręce na biodrach.

– Żartujesz sobie?

– Mówię serio – odpowiada Ty, kręcąc głową. – Na czas po odsłonięciu pomnika zaplanowano mnóstwo spotkań dyplomatycznych, potem musimy przyjąć całe rzesze nowych kadetów, a de Stoy chce przearanżować strukturę dowodzenia.

– Jasne. – Kiwam głową. – A nam ciągle brakuje ludzi w inżynierii mechanicznej i dlatego mam od chole...

– Na oddech Stwórcy... – Scar wzdycha dramatycznie, patrząc to na mnie, to na Ty'a. – Błagam, czy moglibyście być jeszcze większymi nudziarzami?

Wzruszam bezradnie ramionami.

– Mam robotę do zrobienia, Scar.

– Słuchaj – mówi, pochylając się niżej. – Wakacje, które ja zorganizuję, oznaczają basen. A basen oznacza, że spakuję tylko kostium kąpielowy. Porachuj to sobie, de Seel.

Zerkam na Tylera.

- W porządku, przekonałaś mnie.
- Świetnie. - Scar się krzywi. - A co z tobą, Szczawiku?
- Wiesz, że nie cierpię, kiedy tak mnie nazywasz, prawda?
- Wiesz, że ja nie cierpię ciebie, prawda?
- Ranisz mnie.

Tyler zerka na Saedii w zadumie.

- A ty w ogóle masz jakiś kostium kąpielowy?

Saedii piorunuje wzrokiem wszystkich w sali.

- Jestem pewna, że bez większego wysiłku zaimprovizowałabym jakiś z czyjejsz zdartej skóry.

- Skórzane bikini... - mruczę, patrząc w dal.

- No dobra - orzeka Tyler. - Przekonałaś mnie.

- Oni zawsze są tacy? - pyta cicho Jie-Lin.

- Z czasem można się przyzwyczaić - odpowiada z powagą Kal.

Aurora obejmuje ją raz jeszcze i się uśmiecha.

- Witaj w rodzinie.

Członkowie drużyny

► Rachunki Krwi i Długi Wdzięczności

▼ Podziękowania

Zamknąwszy naszą drugą wspólną serię książką, którą pisaliśmy w czasie międzynarodowej pandemii i lockdownu na skalę narodową, co wymagało pomysłowości, jaka zaimponowałaby nawet drużynie 312, zdaliśmy sobie sprawę bardziej niż kiedykolwiek dotąd, że każda powieść to owoc zbiorowego wysiłku całej wioski. Praca z naszą wioską przy tej książce to był prawdziwy przywilej.

Nigdzie nie zaszlibyśmy bez naszej ekipy wydawniczej; to oni kierują nas do najlepszej wersji każdej naszej książki, wychwytyują błędy, niosą nasze historie w świat i dbają, żebyście o nich usłyszeli. Mamy szczęście, że ją mamy. W USA dziękujemy Barbarze, Melanie, Arely, Artiemu, Amy, Nancee, Dawn, Kathleen, Jake'owi, Denise, Judith, Emily, Joshowi, Mary, Dominique, Johnowi, Kelly, Jules, Sharon, Megan, Jenn, Kate, Elizabeth, Adrienne, Kristin, Emily, Natalie, Heather, Jen, Ray, Alison, Natalia i Dakocie. Tu, w Australii, dziękujemy z całego serca Annie, Nicoli, Yvette, Simon, Sheralyn, Evie, Mattowi, Lou, Megan, Alison i Kylie. W Wielkiej Brytanii dziękujemy naszej niezłomnej ekipie: Katie, Molly, Lucy, Kate, Hayley, Julianowi, Markowi, Paulowi, Laurie i Juliet. Dziękujemy naszym fantastycznym międzynarodowym ekipom wydawniczym i tłumaczonym, którzy wsparli nas w wysiłku przedstawienia Wam historii drużyny 312.

Chcemy też wyrazić specjalne podziękowania dla Charliego i Deb, za ich fantastyczne okładki i projekty graficzne.

Wydania audio tych książek są genialne i nie możemy zamknąć serii, nie dziękując Nickowi i jego całej ekipie, począwszy od producentów, a skończywszy na niesamowitych narratorach.

Raz za razem dziękujemy naszym agentom, Joshowi i Tracey Adams. Za Wasze wskazówki, cierpliwość i wsparcie. Dziękujemy też Annie, Stephenowi i niesamowitej siatce naszych zagranicznych agentów, którzy pomogli drużynie 312 znaleźć domy na całym świecie.

W pracy nad książkami pomagają nam też liczni eksperci i konsultanci. Oto niektórzy z tych, którym należą się nasze podziękowania: dr Kate Irving, Gary Braude, Megan i Hoonseop Jeong, Mikyung Kim, Oh Young Lee. Dzięki Wam ta książka jest lepsza pod niezliczonymi względami, ale wszelkie błędy pozostają, rzecz jasna, tylko nasze.

Dziękujemy też wszystkim księgarzom, bibliotekarzom, czytelnikom, vloggerom, bloggerom, tweeterowcom i bookstagramerom, którzy pomogli ponieść w świat wieść o drużynie. Bez Was nie dalibyśmy rady i nawet byśmy nie próbowali.

A oto członkowie naszych osobistych drużyn, którym też należą się podziękowania: Sam i Jack, Marc, B-Money, Rafe, Weez, Paris, Batmana, Surly Jim, Glen, Spiv, Tom, Cat, Orrsome, Toves, Sam, Tony, Kath, Kylie, Nicole, Kurt, Jack, Max, Poppy, Meg, Michelle, Marie, Leigh, Alex, Sooz, Kacey, Soraya, Nic, Kiersten, Ryan, obie Cat, Flic, George, Cormac, Marilyn, Kay, Neville, Shannon, Adam, Bode i Luca. W House of Progress to Ellie, Nic, Lili, Eliza, Dave, Liz, Kate, Skye i Pete. W Roti Boti Gang zaś: Kate, Aimee, Emily, Kylie, Ned, Maz, Sashi i Emma, której brakuje nam każdego dnia. Dziękujemy Wam – bez Was zgubilibyśmy się w Galaktyce.

Składamy też podziękowania dla tych, którzy dołączyli do nas po drodze, chociaż nie wiedzieli, że ich dzieła nas zainspirowały: Franka Turnera, Joshui Radina, Matta Bellamy'ego, Chrisa Wolstenholme'a, Dominic Howard, Buddy'ego, Bena Ottewella, The Killers, Marka Mortona, Randy'ego Blythe'a, Toma Searle'a, Dana Searle'a, Sama Cartera, Marcusa Bridge'a, Jona Deiley, Winstona Mccalla, Oli Sykesa, Maynarda Jamesa Keenana, Ronniego Radke, Coreya Taylora, Chrisa Cornella, Iana Kenny'ego, Trenta Reznora. Składamy także hold Anne McCaffrey, pionierce science fiction, której telepatyczne smoki przeniknęły do DNA tej książki na więcej niż jeden sposób.

I wreszcie dedykujemy też książkę naszym małżonkom oraz córce, Amie, która dołączyła do nas mniej więcej w tym samym czasie, co pierwsza książka z serii. Na koniec zostawiliśmy oczywiście najlepsze. Wy jesteście naszą drużyną, a my mamy szczęście, że jesteście Waszą. Oby na wieczne czasy!